

KATARZYNA
BERENIKA
MISZCZUK

Przesilenie

*Czy żarem miłości
można się sparzyć?*

W
ydawnic
two
ab

Katarzyna Berenika Miszczuk

PRZESILENIE

Seria: KWIAT PAPROCI



Copyright © by Katarzyna Berenika Miszczuk, MMXVIII
Wydanie I
Warszawa, MMXVIII

Spis treści

Dedykacja

Prolog

1.

2.

3.

4.

5.

6.

7.

8.

9.

10.

11.

12.

13.

14.

15.

16.

17.

18.

- [19.](#)
- [20.](#)
- [21.](#)
- [22.](#)
- [23.](#)
- [24.](#)
- [25.](#)
- [26.](#)
- [27.](#)
- [28.](#)
- [29.](#)
- [30.](#)
- [31.](#)
- [32.](#)
- [33.](#)
- [34.](#)
- [35.](#)
- [36.](#)
- [37.](#)
- [38.](#)
- [39.](#)
- [40.](#)
- [41.](#)

[42.](#)

[43.](#)

[44.](#)

[45.](#)

[46.](#)

[47.](#)

[Epilog](#)

[Podziękowania](#)

Dla mojego Męża – Janka

Prolog

Niebo było bezchmurne. Dagome zadarł głowę i stał przez chwilę, wpatrując się w gwiazdy. Przytrzymał dłonią kaptur, by nie spadł mu z głowy. Gdzieś zaskrzeczał puszczyk. Mężczyzna skrzywił usta w grymasie na ten dźwięk.

Cmentarzysko pod Wzgórzem Lecha było niebywale zatłoczone. Ktoś popchnął go zniecierpliwiony tym, że tarasuje wąską ścieżkę, zamiast iść do przodu. Oderwał spojrzenie od nieboskłonu i pozwolił, by porwał go tłum.

Mimo że przewyższał wzrostem większość mężczyzn, nie wyróżniał się z tłumu. Przykurzony podróżny płaszcz, kaptur nasunięty na twarz oraz zatknięte za pas noże skutecznie odstraszały od niego pijanych mężczyzn szukających zwady, a gadatliwych zniechęcały do pogawędki o niczym.

Drżące płomienie pochodni, zatkniętych w ziemię w równych odstępach, oświetlały trakt prowadzący w głąb miasta zmarłych. Szedł wolno, wdychając dym i zapach wiecznie zielonych cisów posadzonych u bram cmentarza.

Usłyszał muzykę, gwar i śmiech. Dziady, święto zmarłych, zawsze były wesole. Nigdy tego nie rozumiał. Nie potrafił cieszyć się z tego, że jego bliscy nie żyją. Nie wierzył, że po śmierci może być lepiej. Usilnie, przez wiele lat, nie odwiedzał miejsca pochówku swoich żon i Garda. Bał się tego, co mógłby poczuć, gdyby znowu znalazł się blisko nich.

Teraz złamał swoją zasadę. Przyszedł, chociaż się bał.

Przyszedł dla Ote.

Przyspieszył kroku, chcąc jak najszybciej minąć łąkę, na której rozstawili się kuglarze, tancerze i sprzedawcy ze swoimi kramami. Nagle zdenerwowała go wrzawa i tłum. Zaprzagnął, by wszyscy zniknęli. Chciał zostać na cmentarzysku sam.

– Synku, niebawem duchy będą kroczyć między nami. Raduj się! – Jakiś starzec złapał go za łokieć.

Dagome spojrział mu w twarz i cofnął się. Spojrzenie zasnutę bielmem ślepcy przewiercało go na wylot. Bezzębne dziąsła ukazały się w radosnym uśmiechu. Zmarszczki na twarzy wyglądały znajomo.

W pierwszej chwili mężczyzna przestraszył się, że to żerca, który przed wieloma laty, razem z Siemomysłem, oddał mu władzę nad Polanami. Jego serce zwolniło, gdy zrozumiał, że to niemożliwe, bo tamten już dawno nie żyje.

Jednak podobieństwo było uderzające.

– Puść mnie, starcze! – Wyrwał mu się gwałtownie i wpadł na grupę ludzi, którzy zaprotestowali oburzeni.

– Zmarli są wśród nas – obwieścił jeszcze tamten. Odszedł, unosząc ręce do nieba i kołysząc się w rytm melodii, którą tylko on słyszał.

Dagome, zakłopotany, odsunął się od zdenerwowanego tłumu i mocniej nasunął kaptur na twarz. Minęli go żołnierze jego syna. Pochylił się i zgarbił. Obserwowali go przez chwilę, ale poszli dalej, gdy upewnili się, że nie wszczyna bijatyki. Nieśli w dłoniach dzbany z miodem, nie mieli ochoty brać udziału w żadnej kłótni, więc patrzyli przez palce na większość wybryków rozbawionych ludzi.

Dagome rozejrzał się uważnie. Obecność gwardii Bolesława oznaczała, że syn przyszedł już na cmentarz, na groby rodziców. Pomimo że sam jak ognia unikał miejsc wiecznego spoczynku, samolubnie ucieszył się, że syn przyszedł zapalić światło na jego grobie. Nawet jeśli wiedział, że jest on pusty.

Stanął w cieniu drzew i potoczył spojrzeniem po ludziach wokół. Prawie wszyscy byli już pijani. Obwieszane kwiatami kobiety tańczyły, mężczyźni klaskali i tupali do rytmu. Z ich gardeł wydobywały się kolejne wersy pieśni żałobnych, które wcale nie były smutne.

Zakradł się do centrum cmentarzyska, gdzie znajdowały się groby władców. Zobaczył swojego syna. Nie widział go prawie dwadzieścia lat, odkąd rzucił się w wir podróży po całym kraju. Krytycznym okiem zmierzył szyderczy uśmiech na twarzy potomka i iskrę okrucieństwa w jego oczach. Zaokrąglona sylwetka pasowała raczej do polityka, a nie żołnierza, o którego podbojach i brawurze tyle słyszał.

Syn wraz z żoną szybko pomodlili się przy jego grobie i ruszyli, w otoczeniu straży, na festyn.

Syn zmienił się na gorsze, ale Dagome tylko wzruszył ramionami. Nie zamierzał się wtrącać w to, jak Bolesław rządzi krajem. To nie było jego zadanie. Zniknął i zrobił mu miejsce, tak jak obiecał. Bolesław sam musiał zasłużyć na chwałę swojego imienia. To potomni go oceniają, a nie ojciec.

Czekał cierpliwie w cieniu drzew, spoglądając na rozbawioną gawieź.

Alkohol lał się strumieniami. Mieszkańcy Gniezna i okolic ucztowali na grobach swoich zmarłych, zostawiając drobne dary dla duchów przodków. Wszędzie płonęły świece, mające wskazać dziadom drogę powrotną do zaświatów, gdy uroczystości się zakończą. Świateł na grobach było tyle, że brak pełni księżyca w niczym nie przeszkadzał. Na cmentarzysku było jasno, jakby ciągle trwał dzień.

Gdy w okolicy zapadła cisza, a większość świętujących mieszkańców przeniosła się na łąki, Mieszko wyszedł z cienia i stanął przy grobach. Chłód wieczoru wkradał się pod jego płaszcz. Poczuł, jak ciało pokrywa mu gęsia skórka. Odrzucił kaptur na plecy.

Jego skołtuniona broda przykrywała uchylone usta. Przez ostatnie lata widział zbyt wiele, by teraz nie zaufać swoim instynktom. W mroku coś się czaiło i nie był to bezczelny złodziejasek, myślący o kradzieży jego sakiewki. Oparł dłoń na sztylcie wystającym z pochwy u pasa i czekał cierpliwie na ruch przeciwnika. Wciągnął powietrze, starając się wyczuć w nim woń czającej się w mroku istoty.

Trwał w bezruchu, jednak nikt go nie atakował. Przeczucie, że nie jest sam, wciąż się utrzymywało. Obrócił się dookoła, uważnie sondując wzrokiem każdy cień. Każdy zakamarek wydawał się skrywać przyczajoną sylwetkę. Zmełł w ustach przekleństwo. Najwyraźniej obserwator nie chciał go atakować. Wrząca w żyłach krew powoli zaczęła się uspokajać. Ogarnął go zimny spokój.

– Wyjdź z cienia – powiedział w przestrzeń.

Nic się nie stało. Wciąż czuł, że nie jest sam, jednak wrażenie niebezpieczeństwa zniknęło.

Przetarł dłonią zmęczoną, brudną twarz. Oczy okolone głębokimi cieniami potoczyły spojrzeniem po grobach. Miał ochotę splunąć na ziemię, ale wiedział, że krążące duchy mogą nie przyjąć dobrze takiego zachowania.

Opuścił dłonie. Przecież nie mógł zginąć. Nic się nie stanie, jeśli zostanie zaatakowany. Jeśli tajemniczy człowiek bądź istota ma ochotę kryć się w cieniu, niech tak będzie.

Jego oddech zamienił się w wirujący obłoczek pary.

Przed sobą miał swój kopiec. Okazały, ponieważ skrywał prochy władcy, a raczej prochy wieśniaka, który przypominał go z wyglądu. Po bokach znajdowały się groby jego żon i nałożnic. Szczątki Dobrawy zostały złożone po jego prawicy, a Ote po lewej. Klęknął na twardej, zimnej ziemi.

Skostniałe dłonie oparł na pożółkłej od mrozu trawie. Pochylił głowę i wpatrzył się w płomyki dziesiątek świeczek ustawionych przez jego poddanych i rodzinę w glinianych miseczkach. Oddawali mu w ten sposób cześć.

Chcieli, by dzięki światłu znalazł drogę do zaświatów. Uśmiechnął się krzywo na tę myśl. Szybko nie trafi do Wyraju.

Po swoim odejściu przez kilka lat odwiedzał Gniezno w okolicy Dziadów, by przekonać się, jak sobie radzi Bolesław. Samolubnie chciał też sprawdzić, czy został już zapomniany przez poddanych.

Bolesław zawsze przychodził na jego grób. Mieszko wiedział, że syn czeka, ma nadzieję, że ojciec pojawi się znowu w jego życiu. Dagome nie zamierzał tego czynić.

– Ote – odchrząknął i dodał szybko: – Dobrawo.

Poczuł, że nic nie idzie po jego myśli. Nie tak chciał rozpocząć tę rozmowę. Znowu przeklął. Przez ostatnie dziesiątki lat jedynie Ote zaprzętała jego myśli. Zupełnie zapomniał o Dobrawie. Miał nadzieję, że odeszła do swojego boga i nieba, że nie słuchała teraz jego wyjaśnień

– To nie tak miało być – mruknął pod nosem. – Nie udało mi się.

Zrezygnowany przysiadł na piętach. Słowa, które pieczołowicie układał w głowie od wielu miesięcy, gdzieś uleciały. Czuł się nagi. Wszystkie wymówki, wszystkie gładkie słowa gdzieś zniknęły.

– Przepraszam – powiedział, patrząc na grób Ote. – Nie znalazłem południcy. Polowałem, zabijałem, ale jej nie znalazłem. Mogę mieć tylko nadzieję, że ktoś mnie ubiegł i pozbawił ją głowy.

Mieszko wielokrotnie przejechał całe królestwo wzdłuż i wszerz, ale nie natrafił na żaden ślad demonicy, która spaliła jego żonę. Zabijał każde stworzenie na swojej drodze, wcześniej je przesłuchując, czasem torturując. Jednak ani jedna istota nie potrafiła nakierować go na trop południcy.

– Zawiodłem cię. – Pochylił głowę. – Wiedz, że nie zaprzestane starań. Znajdę ją i zabiję. Do końca swoich dni będę jej szukał.

W pobliżu rozległo się nawoływanie puszczyka. Mieszko wstał, nie odrywając spojrzenia od grobów.

– Ote, mam nadzieję, że jesteś szczęśliwa. Że znalazłaś się w otoczeniu swoich bogów. Że Swarozyc... – Każde słowo przychodziło mu z coraz większym trudem. – On nigdy na ciebie nie zasługiwał. Mam nadzieję, że go nie spotkałaś...

Pokręcił głową, ledwie powstrzymując się przed przekleństwem.

Ponownie odezwał się dopiero, gdy zdołał opanować gniew.

– A ty, Dobrawo, ciesz się życiem wiecznym, które obiecał ci twój bóg – dodał znacznie łagodniej. – Może kiedyś się spotkamy. Może was obie jeszcze kiedyś zobaczę.

Bez zastanowienia wyszarpnął sztylet zza pasa i rzucił. Srebrna samica puszczyka z głośnym wrzaskiem zerwała się do lotu na krótką chwilę, zanim ostrze wbiło się w gałąź, na której siedziała.

Sztylet utkwiał w drewnie, drżąc od siły uderzenia. Mieszko śledził czujnym wzrokiem ptaka, który szybko uciekał w mrok. Wrażenie czyjejś obecności, które towarzyszyło mu, odkąd przestąpił bramy cmentarza, zniknęło.

Splunął na ziemię, nie dbając już o obecność przebudzonych dziadów.

Nie oglądał się za siebie. Opuścił Gniezno jeszcze tej samej nocy z silnym postanowieniem, że zabije każdego upira na swojej drodze.

1.

Pościel była szorstka, zbyt mocno wykrochmalona. Przesunęłam palcami po białym materiale, który otulał mnie sztywnym kokonem. Bałam się, że jeśli tylko zbyt gwałtownie się poruszę, to złamie się i mnie pokaleczy.

Poczułam ostry, odrobinę drażniący zapach środków dezynfekujących. Stale unosił się tutaj w powietrzu. Zwykle przywodził mi na myśl bezpieczeństwo i czystość. Teraz jednak tylko mnie denerwował.

Otworzyłam oczy i spojrzałam na sufit. Zbudowany z białych, porowatych płyt skrywał za sobą kable i przewody. Wisiał zdecydowanie zbyt blisko mojej głowy. Miałam wrażenie, że zaraz spadnie i mnie przygniecie, udusi. Przekręciłam głowę, nie mogąc dłużej znieść jego widoku. Okno nie było dużo lepsze. Przysłaniały je białe żaluzje, przypominające więzienne kraty. Przez jasne światło, prześlizgujące się między deseczkami, niczego nie widziałam.

Byłam jedyną plamą koloru, poza tym wszystko tonęło tu w bieli. Miałam wrażenie, że znowu znajduję się w tajemniczym pokoju pozbawionym cienia, że jestem bezpieczna w domu Baby Jagi.

Jednak nie byłam w Bielinach. Nie miałam też żadnej pewności, że jestem bezpieczna. Chciałam wrócić do domu.

Przymknęłam oczy i natychmiast ponownie je otworzyłam. Za każdym razem, gdy tylko opuszczałam powieki, widziałam jego twarz. Jego wzrok. Pustkę. Niedowierzenie. Złość. Strach...?

Mieszko nie przyszedł, odkąd się obudziłam.

Poczułam, jak po moim policzku płynie łza. Nie wycierałam jej. Wsiąknie w pościel. Może materiał od tego zmięknie.

Ktoś zastukał do drzwi. Nie czekając na moją odpowiedź, do pokoju weszła pielęgniarka. Na głowie miała czepek, dzisiaj już rzadkość. Nie widziałam jej twarzy. Pochylała głowę nad trzymanym w dłoniach zawiniątkiem. Wróciłam spojrzeniem do okna i przestałam zwracać na nią uwagę.

Kobieta krzątała się po pokoju. Usłyszałam, jak przesuwają drugie łóżko, dotychczas puste. Czyżby chcieli położyć kogoś obok mnie? Już nie będę mogła rozpamiętywać w samotności swojego nieszczęścia? Westchnęłam

niezadowolona.

– Jak się czujesz?

Drgnąłam na dźwięk głosu. Nie spodziewałam się, że pielęgniarka będzie czegoś ode mnie chciała. Odwróciłam się w jej stronę i zamarłam. Tuż obok mojego łóżka stała bogini Mokosz. Miała na sobie biały strój pielęgniarski i czepek. Posklejane w strąki włosy opadały jej na ramiona. Pomiedzy pasmami dostrzegłam kłos zboża i wyschnięty listek, zdradzające, iż jeszcze przed chwilą tarzała się po polu.

Niestety nie widziałam jej stóp. Ciekawe, czy była boso? Nikogo w szpitalu nie zdziwiło, że jedna z pielęgniarek spaceruje bez butów?

– Mokosz? – zdziwiłam się.

– Jak się czujesz? – zapytała ponownie.

Uśmiechała się, ale jej oczy pozostały puste, jak oczy lalki. Nie było w nich żadnych emocji. Patrzyła na mnie, ale wydawało mi się, że jednocześnie w ogóle mnie nie dostrzega.

– Czuję się dobrze, dziękuję – odparłam. – Coś się stało? Czemu do mnie przysłaś?

Z wysiłkiem odwróciłam wzrok od jej pozbawionej uczuć twarzy. Przytulała do piersi jakieś zawiniątko w białym ręczniku.

Po plecach przebiegł mi dreszcz.

– Co tam trzymasz? – Tym razem to ja domagałam się odpowiedzi.

Milczała. Na jej twarzy pojawił się uśmiech, od którego krew ścięła mi się w żyłach. Rysy bogini wyostrzyły się, a wargi rozciągnęły się szeroko, ukazując lekko zaostrome zęby. Zupełnie jakby je spiłowała po tym, jak ostatnio ją widziałam. Oczy zalśniły dziko. To nie była bogini, którą znałam, a która obiecała mi swoją protekcję. Przypominała strzygę.

– Wszystko się skończy – oświadczyła gardłowo zmienionym głosem.

– Mokosz? – jęknęłam, przesuwając się na przeciwległy brzeg łóżka, byle tylko znaleźć się jak najdalej od niej. Uderzyłam barkiem o metalową barierkę. – Co tam trzymasz? – powtórzyłam pytanie. – Matko?

Zawiniątko poruszyło się, zupełnie jakby w tłumok zaplątany był noworodek. Nie rozległ się żaden dźwięk, ale byłam przekonana, że w jej rękach leży dziecko.

Nagle ręcznik zaczął nasiąkać krwią.

– Musisz coś zmienić – oświadczyła bogini matka, a jej uśmiech zgasł w jednej chwili. – Musisz wziąć odpowiedzialność. Obietnica.

– Mokosz! – krzyknęłam.

Spróbowałam usiąść, ale poczułam w dole brzucha ostry ból.

– Przestań! – wrzasnęłam.

Krew zaczęła ściekać z ręcznika na ziemię. Słyszałam, jak kapie na podłogę.

– Nie!!!

Nagle tłumok stanął w ogniu. Najpierw były to pojedyncze żółte płomyczki przeskakujące pomiędzy warstwami zawiniętego materiału, ale po chwili przerodziły się w niebieskawę, kilkudziesięciocentymetrowe płomienie.

Mokosz zdawała się w ogóle na to nie zważać. Nadal trzymała zawiniątko w wyciągniętych rękach. Blask ognia upodobił teraz jej twarz do oblicza martwego utopca, pana Darka. Płaty skóry zaczęły odpadać z jej policzków. Tłuszcz skwierczał. Ona mimo to nie wydawała się cierpieć. Stała nieruchomo, ciągle wyciągając do mnie ręce.

– Obietnica – powtórzyła.

2.

Drzwi do mojej sali szpitalnej uderzyły o ścianę, gdy ktoś pchnął je odrobinę zbyt zamaszyście. Zamrugalam, krzyk zamarł mi na ustach. Mokosz zniknęła w jednej chwili, tak samo jak ból w dole brzucha. Szarpnęłam się i wyrzalam przez metalową barierkę łóżka.

Podłoga była czysta. Białe kafelki lśniły. Żadnej krwi, żadnych płatów skóry, które opadły ze smażącego się żywcem ciała.

Wszystko zniknęło. Jakby zupełnie nic się nie stało.

Dopiero razem z ubraną w kwiecistą chustkę Babą Jagą pojawiły się kolory, gwar i zamieszanie. Obcasy jej błyszczących czólenek, chyba specjalnie wypastowanych z okazji przyjazdu do miasta, wystukiwały wesoły rytm.

– Gosiu! Jak się czujesz? – Błysnęła złotą licówką w uśmiechu.

Spojrzałam na nią nieprzytomnie. To sen? Mokosz tylko mi się śniła?

A Dagome na cmentarzu? Był snem, który śniłam w koszmarze? Co się dzieje? Co jest prawdą?

Jaga położyła torebkę na stoliku ustawionym obok łóżka. Niechcący rzuciła na podłogę przezroczysty kubeczek z tabletkami przeciwbólowymi, których nie połknęłam. Potoczyły się po kafelkach. Zaczekała, ale nie schyliła się, żeby je podnieść.

– Och, to było coś ważnego? – zapytała z udawaną troską, ledwie patrząc na tabletki. – Gosia, odezwij się! Jak się czujesz?

Na moich nogach wylądowała foliowa siatka z ubraniami i butami. Nie potrafiłam ogarnąć rozumem tego, co przed chwilą się stało. Wpatrywałam się w nią oniemiała, wciąż zastanawiając się, co jest prawdą. Czy Baba Jaga na pewno przyszła mnie odwiedzić? Czy szelest torby jest prawdziwy? Czy uśmiech jej uszmkowanych na ciemny róż ust jest prawdziwy?

Czy zaraz to wszystko nie spłynie krwią i nie spłonie?

– Dobrze – wychrypiałam.

– Wyglądasz jak śmierć – oznajmiła. – Stało się coś?

Nagle skrzywiła się z niesmakiem. Patrzyłam, jak nabiera powietrza przez nos i marszczy czoło. Krytycznym wzrokiem zlustrowała każdy centymetr mojej twarzy i matowych włosów rozsypanych na pościeli.

– Ależ tu smród! – skwitowała. – Nie lubię szpitali. Nie wiem, jak możesz w ogóle chcieć tutaj pracować. Wydaje mi się, że to wszystko...

Razem z nią potoczyłam spojrzeniem po bezosobowym pokoju.

– To wszystko wydaje się wysysać życie, zamiast je ratować. W ogóle nie ma tu ciepła, współczucia – dokończyła niezadowolona.

– Niby tak – mruknęłam.

– Nie mogę się doczekać, kiedy stąd wyjdziemy.

Delikatnie pomasaowałam pod pościelą swój brzuch, chociaż wcale już nie czułam bólu, który zesłała na mnie bogini. Opatrunek był suchy.

– Byłam u twojego lekarza – oświadczyła szeptucha.

Drgnęłam.

– Co powiedział?

– Że powinnaś tu zostać jeszcze co najmniej tydzień. Jeśli chcesz się wypisać, to tylko na własne żądanie.

Zmierzyła mnie uważnym spojrzeniem.

– Dziwnie się zachowujesz. Stało się co? Przecież ty zwykle wygadana jesteś. Buzia ci się nie zamyka.

– Wszystko okej – mruknęłam.

Kiwnęła głową bez przekonania.

– Tu masz dokumenty, które musisz podpisać, żeby wyjść. – Położyła na pościeli kartki i długopis.

Podparłam się rękami, żeby usiąść i spuścić nogi na podłogę.

– Czekaj, pokaż najpierw brzuch. Mówił, że założyli ci szwy – rozkazała.

Zanim zdążyłam zaprotestować, bezceremonialnie popchnęła mnie z powrotem na materac, zerwała ze mnie kołdrę i szarpnięciem podniosła podkoszulkę, którą miałam na sobie. Na moim brzuchu, w miejscu, w którym ugodził mnie nóż, naklejony był duży opatrunek. Żółć podeszła mi do gardła, gdy zobaczyłam brunatną, zakrzepłą już krew, która dużo wcześniej przesiąkła przez gazę.

– Zapiecze – powiedziała i zanim zdążyłam zaprotestować, szarpnęła za biały plaster.

Gwiazdy zatańczyły mi przed oczami, gdy jednym ruchem zerwała opatrunek. Zaklęłam pod nosem przekonana, że pozrywała mi szwy.

– Jaga! – syknęłam.

– Leż, nie przeszkadzaj. Trzeba ci wyjąć czym prędzej te sznurki. Już się wrastają w ciało.

Uniosłam się na łokciu i spojrzałam na brzuch. Na krzywej, długiej na

jakieś pięć centymetrów bliźnie miałam założonych osiem szwów. Fioletowa nitka z supełkami została praktycznie wchłonięta pod świeżą tkanę. Szwy wyglądały, jakby założono je dobrze ponad miesiąc temu, a nie ledwie przedwczoraj.

– Dobrze, wszystko się zagoiło. Nie martw się. Będzie dobrze – usiłowała mnie pocieszać. – Usunę ci te sznurki, bo inaczej wciągniesz je jeszcze głębiej, dobrze?

Sięgnęła do swojej torebki i ku mojemu zdziwieniu wyciągnęła pęsetę chirurgiczną oraz skalpel. Złapała pęsetą końcówki nici i zacmokała niezadowolona, machając w powietrzu skalpelem.

– A... dezynfekowałaś...? – zapytałam.

Posłała mi pełne niechęci spojrzenie.

– Powietrze w tym miejscu je zdezynfekuje – burknęła.

Poczułam szarpnięcie i pieczenie, gdy skóra została rozcięta ostrzem. Po chwili na blacie stolika obok mnie pojawił się pierwszy fioletowy supełek.

Jeszcze siedem.

W sumie miała rację – co mi zależało? Już miałam w brzuchu brudny nóż. Skalpel niesiony bez żadnego zabezpieczenia w damskiej torebce, w której o ile mnie pamięć nie myli, zawsze znajduje się również czosnek i kurza zasuszona nóżka z pazurami, nie mógł mi już chyba bardziej zaszkodzić.

Pokręciłam głową z niedowierzaniem. Mam szczęście do noży. A raczej ma do nich szczęście skóra na moim brzuchu.

– Co powiedział lekarz? – zapytałam, żeby jakoś wypełnić ciszę.

– Nie mógł uwierzyć, że jesteś w takim dobrym stanie. Musimy cię czym prędzej stąd zabrać, zanim nabierze podejrzeń.

Ścisnęło mnie w dołku. Już nie byłam normalna. Ktoś mógłby nabrać podejrzeń, że coś jest ze mną nie tak. Czy czeka mnie przez to życie podobne do tego, które wiecie Mieszko? Samotne, bo jakakolwiek bliskość może zrodzić niewygodne pytania?

– A moja mama? Mówiłaś jej coś? – spytałam z nagłym strachem.

Nie odezwałam się do niej od naszej pamiętnej rozmowy. Na pewno czekała na mój telefon. Zamartwiała się i już sto razy zdążyła zadzwonić do Jarogniewy. A w ogóle, to gdzie jest moja komórka?!

– Musiałam. Jest twoją matką. Ma prawo wiedzieć, co się dzieje z jej jedynym dzieckiem.

Dostrzegłam swój telefon komórkowy w foliowej torbie leżącej na łóżku.

Poczułam ostatnie draśnięcie skalpela i kroplę krwi płynącą po brzuchu. Na blacie pojawił się ostatni supełek.

– No! Do wesela się zagoi – ucieszyła się Baba Jaga.

Wyciągnęła z opakowania jednorazową chusteczkę higieniczną, zawinęła w nią skalpel oraz pęsetę i wrzuciła je do torebki. Przykleiła mi do brzucha ten sam opatrunek.

– Jak wrócimy do domu, to nałożę ci na to maść mojej roboty. Może blizna się chociaż trochę od tego zmniejszy. Podpisuj dokumenty.

Posłusznie sięgnęłam po kartki i zaczęłam je wypełniać. Nawet nie czytałam rubryk o możliwych powikłaniach, które mogą mnie spotkać, jeśli wyjdę ze szpitala przed zakończeniem leczenia. Moje myśli błądziły wokół blizny na brzuchu. Tak podobnej do tej, którą na swojej piersi ma Mieszko. Czemu po ugodzeniu nożem Witka została mi blizna? Do tej pory wszystkie rany goiły się bez śladu.

Dlaczego tym razem kwiat paproci nie zadziałał tak, jak powinien?

– Ubieraj się, a ja poszukam twojego lekarza – powiedziała. – Pojedziemy do domu.

– Czym pojedziemy? – zapytałam.

– Samochodem.

– A kto będzie prowadził?

– Mieszko – odparła krótko i wyszła.

Rana na brzuchu, choć zagojona, lekko ciągnęła. Zupełnie jakby w środku został jakiś szew, który delikatnie ciągnie skórę w stronę kręgosłupa. Poczułam mdłości, gdy tylko to wyobrażenie stanęło mi przed oczami.

Pośpiesznie wkładałam na siebie bieliznę i ubrania, które przywiozła mi Baba Jaga. Na ramiona narzuciłam sweter. Ubrania pachniały proszkiem do prania i suszoną lawendą, którą Jarogniewa wkłada do każdej szafy w obawie przed molami. Komórka była rozładowana. Nowoczesna bateria nie wytrzymała bez ładowarki.

Przed oczami cały czas widziałam jego twarz. Leżałam w szpitalu trochę ponad dobę. Niby krótko, ale z drugiej strony chyba jesteśmy przecież parą. Nie przyszedł mnie odwiedzić. Nie wiedziałam, co się z nim działo. Obraził się na mnie? Uznał, że go zdradziłam? To na pewno. Przecież uważa, że nie może mieć dzieci. A ja nie zdążyłam mu powiedzieć, że

jednak może.

Ręce tak mi się trzęsły, że nie potrafiłam zapiąć swetra na małe, czarne guziczki. Cały czas wyślizgiwały mi się ze spoconych palców.

Co mi powie? A może będzie udawał, że nic się nie stało? Bałam się, że przez to, że nie powiedziałam mu wcześniej o ciąży, już nigdy mi nie zaufa. A teraz? Teraz przecież było już za późno. Ciąg dalszy dramatu czeka mnie za drzwiami szpitala.

Przez krótką chwilę pożałowałam, że jednak wypisałam się na własne żądanie.

Nie słuchałam, kiedy lekarz jeszcze raz usiłował przemówić mi do rozsądku i namówić do pozostania w szpitalu. Widziałam brak zrozumienia w jego oczach i odrazę, gdy zerkał na Babę Jagę. Wyraźnie było po nim widać, że uważa wiejskie metody leczenia za gusła i niebezpieczną szarlatanerię. Poniekąd miał rację. Po dźgnięciu nożem nie powinnam tak szybko opuszczać oddziału. Niemniej jednak nie mogłam mu powiedzieć, że wszystko ze mną dobrze, bo moje rany goją się szybciej dzięki naparowi z kwiatu paproci.

Z pewnością skierowałby mnie wówczas na oddział psychiatrii. Nie mam czasu na leczenie psychiatryczne.

– Gosia, dobrze się czujesz? – zapytała szeptucha.

Poczułam, jak sękata, spracowana dłoń Baby Jagi łapie mnie za lodowate palce. Zamrugalam i spojrzałam na nią zaskoczona. Dopiero teraz zorientowałam się, że stoimy przy przeszklonych drzwiach prowadzących na parking. Pograżona w rozmyślaniach nie zarejestrowałam, że pokonałyśmy pół szpitala, żeby się tu dostać.

Szybko. Za szybko tu doszliśmy.

– Co? Tak – mruknełam nieuważnie.

– Czego się znowu martwisz? – zapytała zrezygnowana. – Niby parę powodów do zmartwień masz, przyznaję. Ale o co chodzi teraz? Mów, bo chcę już stąd wyjść. Śmierdzi tu strasznie...

– Mieszko – powiedziałam tylko.

Na szczęście zrozumiała.

– Aha. – Pokiwała głową. – Mieszko jest mężczyzną. Oni rzadko kiedy skaczą ze szczęścia, gdy słyszą, że ich kobieta spodziewa się dziecka. A sytuacja, w której się znaleźliście, jest dość wyjątkowa.

Pociemniało mi przed oczami.

– Wszystko przez Swarożycę – syknęłam.

– To prawda, wszystko przez niego – przyznała skwapliwie. – Ale co z tego? Teraz tego nie zmienisz. Musisz porozmawiać sobie w cztery oczy z Mieszkiem, i tyle.

– A będzie chciał ze mną rozmawiać?

– W końcu przyjechał teraz po ciebie, czyż nie?

– A nie namówiłaś go do tego przypadkiem?

– Ja? Skądże – zachnęła się na tyle przekonująco, że nie byłam pewna, czy kłamała.

Fotokomórka otworzyła przed nami przeszklone drzwi. Po drugiej stronie, z włączonym silnikiem, czekał już czarny samochód, który tak dobrze znałam. Zobaczyłam przez szybę Mieszka siedzącego na miejscu kierowcy. Przez otwarte okno gawędził z ochroniarzem, skutecznie nie dając mu się przepędzić sprzed budynku, pomimo że napis na asfalcie wyraźnie informował, że miejsce przeznaczone jest wyłącznie dla karettek pogotowia.

– Siedział przy tobie przez cały czas, gdy byłaś nieprzytomna – oznajmiła Baba Jaga i pomachała do ochroniarza. – Wyszedł niedawno, żeby pojechać po mnie i po auto.

Mieszko odwrócił głowę i nasze spojrzenia się skrzyżowały. Wydawało mi się, że minęła wieczność, zanim się uśmiechnął.

Ale się uśmiechnął, a mnie zrobiło się cieplej na sercu.

Rzucił coś w stronę ochroniarza i wybiegł z samochodu, żeby otworzyć nam drzwi. Jarogniewa wpakowała się na siedzenie z przodu. Mieszko podał mi rękę i zapytał:

– Jak się czujesz?

– Dobrze – odpowiedziałam.

Chciałam jeszcze o coś zapytać, miałam nadzieję, że może on coś powie. Nic z tego! Bezceremonialnie wepchnął mnie do samochodu. Zupełnie jakby nagle zaczął się przejmować zakazem postoj.

Przez całą drogę do Bielin nie odezwał się ani słowem. Jaga natomiast szczebiotała wesoło za całą naszą trójkę i zdawała się nie zauważać, że żadne z nas nie odpowiada na jej pytania. Mieszko czasami tylko zerkał na mnie w lusterku tym swoim ponurym, lodowatym wzrokiem, z którego niczego nie potrafiłam wyczytać.

Ja za to czułam się coraz lepiej z każdym kilometrem oddalającym mnie od szpitala. Miałam wrażenie, że zdrowieję. Nawet wspomnienie demonicznej Mokosz zaczęło się zacierać w mojej pamięci.

Gdy zajechaliśmy pod willę szeptuchy, wreszcie zrozumiałam, dlaczego Mieszko miał taki zły humor. O dziwo, okazało się, że wcale nie przeze mnie.

Jaga otworzyła drzwi samochodu. Ja także sięgnęłam do klamki.

– Ty nie wysiadasz – zimny głos Mieszka zatrzymał mnie w pół ruchu.

Szeptucha szarpnęła głową.

– Wysiada. I idzie do mnie, do domu – powiedziała twardym tonem.

– Nie wysiada – burknął. – Jedzie do mnie.

– Właśnie że wysiada. Muszę zająć się jej raną.

– Ja się nią zajmę.

– Nie umiesz. Poza tym mieszka u mnie.

– A teraz będzie mieszkać u mnie.

– Nie zgadzam się!

Kręciłam głową od jednego do drugiego, ciągle nie rozumiejąc, czemu się kłóć.

– Nie zostanie z tobą. To zbyt niebezpieczne – wycedził Mieszko.

– Dlaczego? – zdążyłam wtrącić.

– Pozwól sobie przypomnieć, że to tylko twoja zasługa – skwitowała Jaga, kompletnie mnie ignorując. – A teraz wszyscy mamy kłopoty!

– Moja zasługa? – warknął.

– A niby czyja?!

Zirytowana klasnęłam w dłonie i krzyknęłam:

– Hej!

O dziwo, odwrócili się w moją stronę. Każde miało tak samo wściekłe spojrzenie. Przez chwilę pożałowałam, że im przeszkodziłam. Może lepiej było pozwolić im się pozagryzać? Miałabym przynajmniej święty spokój.

– Wyjaśnicie mi, o co chodzi? A wtedy sama podejmę decyzję, czy wysiadam, czy zostaję? Obydwoje zacisnęli wargi ze złości. Przez chwilę przypominali rozkapryszone przedszkolaki bijące się o kredki. Jednak gdybym miała obstawiać, które z nich by wygrało, wcale nie jestem taka pewna, czy postawiłabym na Mieszka. Jaga wyglądała na zdeterminowaną.

– No? Dalej! Wykrztuście to z siebie! Nie macie zbyt wiele czasu, bo chce mi się sikać i zaraz po prostu wysiadę, żeby pójść do łazienki. Streszczajcie się! – Teraz mnie puściły nerwy, bo naprawdę zaczęłam odczuwać parcie na pęcherz. – O co wam chodzi?

– Chodzi o Witka – oświadczył grobowym głosem Mieszko.

– O Witka? – spytałam zdziwiona.

Po chwili ogarnął mnie wstyd. Zupełnie o nim zapomniałam, skupiając się wyłącznie na sobie. Przypomniałam sobie głuchy dźwięk, gdy kij spotkał się z jego głową. Uderzenie od razu pozbawiło go przytomności. Tego byłam pewna. Widziałam, jak upadł na ziemię.

Całe szczęście, że Mieszko niechcący go nie zamordował! Przecież takie uderzenie... Nie mogłam sobie uprzytomnić, czy trafił go w skroń, czy w czoło. Jeśli w skroń, to mogło być z nim naprawdę krucho.

– Jedź do mnie – zaproponował, odwracając się do mnie z przedniego siedzenia. – Ze mną będziesz bezpieczna. Obiecuję.

– Wątpię, żeby drugi raz chciał zrobić mi krzywdę – zaprotestowałam. – Przecież oberwałam zupełnie niechcący. Zaczęła się na Sławę, a nie na mnie. Swoją drogą, musimy z nim poważnie porozmawiać. Dlaczego ją zaatakował? Czego od niej chciał? Czy zrobił krzywdę innym boginkom i demonom?

– Jedź do mnie – powtórzył trochę mniej cierpliwie.

Spojrzałam Jarogniewie w oczy. Wydawało mi się, że ma wątpliwości co do mojego bezpieczeństwa, które miałyby mi zapewnić obrażony mężczyzna. Ja także zaczynałam się zastanawiać, czy aby nocowanie u Mieszka to dobry pomysł. Jeszcze znowu strzeli mi focha. Nie ma nic bardziej irytującego niż tysiącletni facet, który jest tak zapalczywy i nieustępliwy w swoich poglądach, że rzadko można mu przemówić do rozsądku. Skończy się tym, że nie będziemy się do siebie odzywać przez cały dzień.

Niemniej jednak naprawdę musiałam chociaż spróbować porozmawiać z Mieszkiem sam na sam. Nie chciałam, żeby szeptucha była świadkiem naszej rozmowy.

– Jago...

Na szczęście zrozumiała moją decyzję.

– Masz do mnie przyjść jutro – zastrzegła surowym tonem. – Chcę zobaczyć twój brzuch. Dzisiaj się nie nadwerężaj. Umyj się zwykłym mydłem, plastra nie musisz nosić.

– Dobrze.

– A ty się nią opiekuj. – Stuknęła palcem w pierś Mieszka. – Jeśli tylko włos jej z głowy spadnie, znajdę cię wszędzie, a twoja dola będzie straszna. Poza tym oboje jesteście mi jutro potrzebni. Musimy się zająć ważnym problemem.

– Jago? – Zdażyłam jeszcze ją zatrzymać, zanim wysiadła.

– Tak?

– Gdyby zgłosiła się policja, żeby ze mną porozmawiać o tym zdarzeniu, to odeślij ich, proszę, do Mieszka, dobrze?

– Policja? – Pobladła. – A po jakie licho policja?

– Musiałam złożyć doniesienie – wyjaśniłam. – Byli dzisiaj w szpitalu. Mój lekarz zgłosił, że zostałam ugodzona nożem. Takie są przepisy.

– Same kłopoty z tego będą – sarknęła. – Jeszcze tylko policji brakuje. Ale dobrze, przyśle ich do ciebie, gdyby się pojawili.

– A ty będziesz bezpieczna? Skoro Mieszko podejrzewa, że z Witkiem mogą być kłopoty, to kto zagwarantuje, że i ciebie nie będzie chciał zaatakować.

– Spokojnie, ja sobie poradzę. – Machnęła ręką. – Idę. A wy bądźcie grzeczni!

Wysiadła i trzasnęła ze złością drzwiami. Widziałam przez szybę, jak mamrocze coś pod nosem.

Czekaliśmy, aż wejdzie do domu. Oczywiście drzwi były otwarte. Nigdy ich nie zamykała, wychodząc z założenia, że nie ma głupich, którzy by się włamywali do szeptuchy.

– Co powiedziała policja? – zapytał Mieszko, zawracając samochodem na poboczu.

Żwir i kamienie zachrzęściły pod kołami. O włos mineliśmy rozpadający się płot na sąsiedniej posesji, gdzie stała drewniana chatka szeptuchy. Kiedyś płot był prosty. Do momentu, kiedy spotkał się z moim, zełomowanym już niestety, autem.

Mieszko zerknął na mnie w lusterku wstecznym. Jego oczy były takie puste. Zupełnie bez życia. Po plecach przebiegł mi dreszcz. Miałam wrażenie, że bardzo dużo wydarzyło się przez ten jeden dzień, gdy leżałam nieprzytomna w szpitalnym pokoju. Mogłam coś przegapić.

– Lekarze poinformowali policję – powtórzyłam. – Musiałam złożyć doniesienie. Teraz toczy się śledztwo.

– Przeciwno żercy?

– Nie. Przeciwno przypadkowemu złodziejaskowi, który chciał mnie okraść – odpowiedziałam bardzo powoli, obawiając się jego reakcji. – Zaczęłam się bić ze złodziejaskiem i skończyłam z nożem w brzuchu.

– Dlaczego kryjesz Witka? – W jego głosie słychać było wzbierającą furję, której nie potrafił, a może nie chciał, kryć. – To on cię zaatakował, a nie jakiś przypadkowy złodziejasek.

– Bo uważam, że kierowali nim bogowie, a raczej bóg. On nie jest złym człowiekiem. Zabijał demony, tak jak ty. Czy to również czyni ciebie złym człowiekiem?

Mieszko nie odpowiedział.

– Poza tym Bieliny nie powinny tracić drugiego żercy w tak krótkim czasie – dodałam. – Gdybym wskazała na niego, wszczęto by przeciwko niemu postępowanie karne i nie mógłby dalej pełnić swoich obowiązków. Jestem pewna, że to wszystko da się jakoś wytłumaczyć.

– Zbrodnię trzeba karać – mruknął. – A ja jestem złym człowiekiem. Mówiłem ci to wiele razy.

3.

Nie poczekałam, aż otworzy mi drzwi. Wskoczyłam z samochodu i ruszyłam przez zabałaganione podwórko do domu. Nacisnęłam klamkę. On oczywiście także nie zamknął drzwi. A jakże. Moje spojrzenie prześlizgnęło się po progu, który jeszcze nie tak dawno mu przekopywałam. Oby zaklęcie Baby Jagi już nie działało. Weszłam do zalanego światłem holu. Przed sobą miałam schody z ciemnego drewna prowadzące na piętro. Zerknęłam z ciekawością do salonu, ale wciąż stało tam tylko biurko i pojedyncze krzesło.

To naprawdę ładny dom. A raczej będzie ładny, gdy Mieszko go wreszcie umebluje.

Położył mi dłoń na ramieniu. Wzdrygnęłam się.

– Gosia?

Jego głos nie był już zimny i pełen niechęci. Czyżbym usłyszała w nim nutę troski? Pozostawało mi mieć tylko nadzieję, że sobie tego nie wyobraziłam.

– Ładnie tu u ciebie – westchnęłam.

– Jesteś głodna?

Dłoń z mojego ramienia przesunęła się pomiędzy łopatki i delikatnie pchnęła mnie w stronę kuchni. Posłusznie ruszyłam w tamtym kierunku.

– Nie, ale napiłabym się herbaty.

– Nie mam herbaty...

Przewróciłam oczami. Czego w sumie się spodziewałam?

– Może być woda.

– Dobrze.

– Ale przegotowana – zastrzegłam.

Weszliśmy do kuchni. Każdy kąt błyszczał tu czystością. Łatwo można się było zorientować, że Mieszko w ogóle jej nie używał. Ciekawe, gdzie i co jadał. Nie był już przecież uczniem wróża, który codziennie był dokarmiany przez wszystkie gospodynie, mające nadzieję wyswatania go ze swoimi córkami.

– Usiądę sobie na ganku – powiedziałam.

Zanim zdążył odpowiedzieć, wyminęłam go, zręcznie wymykając się jego

cieplej dłoni. Gdy szłam korytarzem, usłyszałam szum wody nalewanej do czajnika. Dlaczego od niego uciekałam? Chyba boję się rozmowy o dziecku, jego reakcji. Boję się, że mnie już nie kocha.

Wyszłam przez tradycyjnie otwarte przeszklone drzwi na dwór i stanęłam na tarasie. Gdy zostałam sama, wreszcie poczułam ulgę.

Nie wymienił jeszcze zniszczonych przez deszcz desek na podłodze. Usiadłam na brzegu i opuściłam nogi w wysoką, wyschlą na pieprz trawę. Mieszko skupił się na razie na remoncie wewnątrz domu. Ogród był tak samo zapuszczony jak taras.

W oddali, niedaleko czereśniowego sadu, widać było stajnię. Nie znam się kompletnie na tego typu zabudowaniach. Wydawało mi się, że już jest skończona. Inaczej chyba nie wprowadziłby tam niedawno zakupionego konia, oczywiście rasy shire.

Mieszko nie grzeszył oryginalnością. Tego rumaka także nazwał Nix, choć różnił się umaszczeniem od poprzedniego. Nowy koń był skarogniady. Mimo że dawno już przestał być źrebakiem, wesoło dokazywał na łące. Usłyszałam jego rżenie.

Za moimi plecami skrzypnęły drzwi, a mnie oblał zimny pot. Nie miałam ochoty na rozmowę, która mnie teraz czekała.

Postawił kubek na deskach obok mnie i usiadł bez słowa. Wzięłam naczynie z lekko utraconym uchem, pełne przegotowanej wody, i przestawiłam na drugą stronę, żeby nas nie rozdzielało.

Dłuższą chwilę patrzyliśmy na Nixa biegnącego po specjalnie wydzielonym dla niego kawałku posesji. Zatrzymywał się z ciekawością przy każdym krzaku i drzewku, zupełnie jakby był pierwszy raz na dworze. Obfite szczotki nad pęciami podskakiwały przy każdym kroku. Był ładniejszy od poprzedniego konia. Poza tym jego entuzjazm wydawał się zaraźliwy. Ciężko było się nie uśmiechnąć, obserwując jego przebieżkę.

– Jak się czujesz? – zapytał Mieszko.

Odetchnęłam głęboko. Nie wytrzymał. A było tak przyjemnie. Teraz będziemy musieli rozmawiać. A co do samego pytania – jak ja się czuję? Nie ma na to prostej odpowiedzi.

– Nie wiem – odpowiedziałam zgodnie z prawdą. – Mam mętlik w głowie. A ty?

– Ja nie zostałem dźgnięty w brzuch nożem.

Podwinęłam podkoszulkę i spojrzałam na opatrunek. Wciąż była na nim plama zaschniętej krwi. Szarpnęłam za plastry. Puściły z łatwością, chociaż

i tak odrobinę zapiekło. Na mojej skórze malowała się blizna. Była jasna, odrobinę poszarpana. Dziury po szwach zniknęły bez śladu. Nie potrafiłam nawet zgadnąć, skąd Jaga wyciągnęła nitki. Dookoła ciągnął się ślad po kleju z plastra, który zawsze najtrudniej zmyć.

Mieszko nie zdołał się powstrzymać. Wyciągnął rękę i palcem przesunął po bliźnie. Załaskotało mnie.

– Blizna? Dlaczego został ci na brzuchu ślad? – zapytał zdziwiony.

– Nie wiem.

Mnie także to zastanawiało. Przecież inne rany goiły się momentalnie bez zostawiania żadnych pamiątek po urazach. Dlaczego tym razem było inaczej?

– Ty też masz bliznę na sercu – zauważyłam.

– To był cios, który mnie zabił – przyznał i cofnął dłoń.

– Może to był mój...

Zacisnął mocno szczęki. Jego usta zamieniły się w wąską kreskę i pobieleły. Zmrużył oczy. O ile wcześniej mogłam podejrzewać, że po prostu nie cierpiał Witka, o tyle teraz wyglądał, jakby serdecznie go nienawidził.

– Jeśli to był cios, który mnie zabił, to kwiat paproci mnie uratował – powiedziałam. – Myślisz, że jestem teraz nieśmiertelna? Tak jak ty?

– Nie wiem, Gosiu.

Wróciliśmy do obserwowania Nixa. Mieszko wziął mnie za rękę. Kciukiem rysował drobne kółka we wnętrzu mojej dłoni.

– Mieszko, musimy porozmawiać o... – zaczęłam.

– Poczekajmy do jutra – przerwał mi. – Teraz wystarczy mi, że jesteś obok.

Objął mnie ramieniem i przyciągnął do siebie. Poczułam pod powiekami łzy. Właśnie tego teraz potrzebowałam.

Następnego ranka obudziłam się pierwsza. Mój „zły człowiek” leżał obok mnie i wcale nie wydał się zły. Przytulał policzek do poduszki, miał lekko uchylone usta, a na czole wreszcie nie miał marsa poirytowania. Pomyślałam, że podczas snu na jego twarzy pojawia się spokój, a znika gdzieś całe napięcie i złość, które od jakiegoś czasu ciągle mu towarzyszą. Zrobiło mi się smutno, że praktycznie zawsze, gdy go widzę, jest

zmartwiony.

Przeciągnęłam się i powiodłam spojrzeniem po sypialni. Ciężkie zasłony nie przepuszczały zbyt wiele światła. Panował półmrok. Półki wypełnione książkami wydawały się przechylać w naszą stronę, zupełnie jakby zaraz miały zrzucić na nas wszystkie te ciężkie, oprawione w skóry tomy. Postanowiłam później dokładnie się im przyjrzeć. Ciekawiły mnie tajemnice, które mogły znajdować się na ich kartach. Chciałam dowiedzieć się więcej o Mieszku, o tym, co lubił.

Położyłam dłonie na brzuchu i przejechałam palcem po cieniutkiej, odrobinę poszarpanej bliźnie. Umarłam? Naprawdę umarłam? A może kwiat paproci po prostu nie poradził sobie z tak dużą raną? Przecież nóż wszedł głęboko. Na pewno obrażenia były duże. Może jednak wcale nie umarłam?

Moje myśli odpłynęły po chwili w zupełnie innym kierunku. Już nie głaskałam blizny. Teraz głaskałam brzuch, w środku którego znajdowała się mała fasolka. Obca i dobrze znana jednocześnie.

Muszę mu przecież powiedzieć. Wszystko. Teraz nie ma już na co czekać. Mieszko musi poznać prawdę. Musi mi uwierzyć.

– Gosia?

Drgnęłam.

– Och, myślałam, że jeszcze śpisz – wyszeptałam, bojąc się odezwać głośniej.

Wyciągnął w moją stronę dłoń i starł pojedynczą łzę, która zdradziecko potoczyła mi się po policzku.

– Co się dzieje? – zapytał.

Przygryzłam wargi, walcząc z uczuciami, które mnie ogarnęły. Nie było czasu na roztkliwianie się nad sobą. Trzeba wypić piwo, którego się nawarzyło.

– Musimy porozmawiać o dziecku – wydusiłam w końcu.

Nie cofnął dłoni. Nadal gładził mnie czule po policzku.

– Porozmawiajmy – zgodził się.

Spodziewałam się, że jego oczy znowu zamienią się w lód, ale nic takiego się nie stało. Między brwiami pojawiła się jego zwykła zmarszczka, ale spojrzenie nie wyrażało wściekłości ani zawodu. To już coś!

– Jestem w ciąży. Nie straciłam dziecka – oświadczyłam.

– To dobrze.

„To dobrze”?! Na wszystkich bogów świata, mógł wykrzesać z siebie

choć trochę więcej entuzjazmu!

– Mieszko, to twoje dziecko.

Teraz zabrał dłoń, a oczy zalśniły mu złością.

– Nie mogę mieć dzieci. Przecież dobrze o tym wiesz – odparł, a mnie zrobiło się zimno.

– Tak – burknęłam niezadowolona z jego reakcji. – Tak skutecznie mnie o tym zapewniałeś, że się nie zabezpieczaliśmy, i zobacz, jak się skończyło. Wpuściłeś mnie w maliny!

– Nie mogę mieć dzieci. Nigdy nie mogłem – warknął.

– Nie wiem, jak to się stało. Mokosz też nie wie! Niemniej jednak się stało.

Odepchnęłam jego dłoń i usiadłam. Cały czas trzymałam się za wciąż płaski brzuch.

– Zdziwiła się jeszcze bardziej od ciebie. To ona zresztą mi powiedziała jako pierwsza, że jestem w ciąży. Jeśli mi nie wierzysz, to możesz ją o to zapytać. Powie ci, że to twoje dziecko – wyrzucałam z siebie gorączkowo słowa.

– Nie ufam bogom...

Zalała mnie fala goryczy. Byłam wściekła, że mi nie wierzył. Jeszcze nigdy aż tak bardzo się nie zirytowałam. Jak mógł sądzić, że kłamię? Kłamać mi się zdarza, ale jego jeszcze nie okłamałam!

A w każdym razie nie w tak poważnej sprawie!

– Zapytaj Mokosz, zapytaj bogów. To twoje dziecko, Mieszko, i ty za nie odpowiadasz!

Usiadł. Kołdra zsunęła się i skotłowała mu na biodrach. Jednak nie zamierzałam się teraz roztkliwiać nad jego perfekcyjną klatką piersiową z układem mięśni jak z atlasu anatomicznego i brakiem nocnej bielizny, której nie nosił, bo nie lubił. O nie! Teraz musiałam przemówić mu do tego pustego łba!

Wpatrywał się we mnie bez słowa. Stało się to, czego się obawiałam. Zamiast oczu miał dwa kawałki niebieskawego lodu.

– Zrozumiem, jeżeli mnie zdradziłaś... – zaczął.

Nie wytrzymałam i uderzyłam go w twarz. Prawie nie drgnął, za to ja poczułam, jakbym zgruchotała sobie jakąś kość w prawej dłoni. Szlag! Zamiast przytulać brzuch, zaczęłam masować rękę. Brakuje mi jeszcze kontuzji.

– Jak śmiesz?! – Głos drżał mi z emocji. – Nie zdradziłam cię. Nie

miałam nikogo innego. To twoje dziecko, czy tego chcesz, czy nie!

– Przecież to niemożliwe. – Pokręcił głową.

– Ty zatwardziały... ty... ty... ty chłopie przebrzydły! – Byłam tak wściekła, że nie mogłam znaleźć odpowiednich słów. – W cholerny kwiat paproci potrafisz uwierzyć! W głupich bogów spacerujących po ziemi też! W demony wypijające z ludzi krew! W zarastające się w trzydzieści sekund rany! A w kobiety zachodzące w ciążę bez pomocy bogów to już nie?!

– Nigdy wcześniej nie spłodziłem dziecka, a żyję przeszło tysiąc lat. Może to dlatego mam wątpliwości – wycedził.

– W takim razie niespodzianka! – wrzasnęłam, zrywając się na kolana. – Wreszcie się udało! Widocznie jestem kimś wyjątkowym, skoro ze mną ci się udało! Widocznie czary miłości zadziałały! A może ten pieprzony kwiat paproci! A może wszystko naraz to jeden szalony żart bogów!

Złapał mnie za ramiona i usadził w miejscu. Zdążył w ostatniej chwili, bo chciałam wybiec z pokoju. Nie wiedziałam dokąd, ale na pewno jak najdalej stąd, jak najdalej od niego.

Zawsze uciekałam, kiedy sytuacja zaczynała mnie przerastać. Poczułam niechęć do samej siebie.

– Czekał – warknął.

Szarpnęłam się, ale trzymał mocno. Jego palce wpiły się w moje ramiona. Wbiłam paznokcie w jego przedramiona. Klęczeliśmy naprzeciwko siebie w rozkopanej pościeli. Ja dyszałam wściekle żadna mordy i krwi. Jego nozdrza rozszerzały się rytmicznie. Miałam ochotę wydrapać mu te lodowate oczy. Jeszcze chwila, a rzucimy się sobie do gardeł niczym zwierzęta.

– Kłamiesz? – zapytał w końcu.

Unieruchomiona w jego uścisku miałam ochotę na niego napluć.

– Zapytaj mnie o to jeszcze raz, a wyjdę i już nie wrócę! – krzyknęłam. – Nie kłamie! Nie kłamie, kiedy mówię, że noszę pod sercem twoje dziecko!

Jego chwyt na moich ramionach odrobinę zelżał. Lód powoli topniał.

– Nie kłamiesz...?

– Jeśli dziecko będzie po tobie takie irytujące, to się wyprowadzam. Sam sobie je wychowuj – mruknęłam.

– Nie kłamiesz...?

– Na wszystkich bogów! Mam ci to napisać, żebyś uwierzył?! Czy ty sam siebie słyszysz?!

– Przestań! – Szarpnął mną.

– To ty przestań! – wrzasnęłam. – Puść mnie natychmiast!

Puścił, a ja z zaskoczenia o mało nie spadłam z łóżka. Miałam ochotę jeszcze raz go uderzyć, ale zamiast tego założyłam ręce na piersiach, żeby mnie więcej nie korciło. Dość tej przemocy domowej.

– Ja nie mogę mieć dzieci – powiedział powoli, zupełnie jakby sam się chciał upewnić w tym twierdzeniu.

– Najwyraźniej jednak możesz, bo będziemy mieć dziecko – oświadczyłam. – Raczysz mi wreszcie uwierzyć?

– Wyobraź sobie, jakie to trudne! – ryknął tak głośno, że aż szyby zadzwoniły w oknach. – Postaw się na chwilę w mojej sytuacji!

Zaskoczona opadłam na pościel i usiadłam na piętach. Mieszko rzadko krzyczy. To zwykle ja się wydzieram. Mało komfortowa sytuacja, kiedy to się zmienia.

– Przyznaję, pewnie jest to szok... – mruknęłam.

– Pewnie? – prychnął. – Przez tysiąc lat nie mogę spłodzić potomka, a ty mi oświadczasz, że jesteś w ciąży. Nawet nie wiesz, ile razy podczas swojego życia już słyszałem takie wyjaśnienia. Zawsze okazywało się, że to nie jest moje dziecko. Zawsze.

I znowu powracamy do tematu liczby jego byłych. Rozumiem, że miał tysiąc lat na romanse, niemniej wkurza mnie to za każdym razem tak samo. Nie wygram z chorobliwą zazdrością.

– I jak mam ci to niby udowodnić? – zapytałam. – Bo bardzo chętnie udowodnię. Możemy zrobić testy DNA, jak już urodzę. Nie ma sprawy! Tylko w laboratorium mogą się zdziwić, że coś z twoją krwią jest nie tak.

– Przysięgnij, że nie kłamiesz – poprosił, a mnie przez chwilę wydawało się, że słyszę w jego głosie nadzieję.

– Przysięgam.

– Zrozum... – Przełknął ślinę. – Kobiety, które kochałem, dawały mi już dzieci. W tych dzieciach widziałem kobiety, które kochałem, więc... Ech, nie jestem dobry w gładkich słowach...

Potarł twarz. Cały jakby odrobinę oklapł, skurczył się. Czekałam cierpliwie, pozwalając mu się namyślić. Wiedziałam, że to jedna z tych chwil, kiedy powinnam siedzieć cicho i czekać na rozwój wypadków.

– Uznawałem te dzieci za swoje. Nie były moje i żadna z moich kobiet tego nie ukrywała. Byłem w stanie je kochać, chociaż na początku wydawało mi się to trudne – wyznał cicho. – Każde z tych dzieci zostało urodzone przez kobietę, którą kochałem. Były więc w pewien sposób moje.

Przypomniałam sobie Bolesława z wizji. Mieszko teraz nie kłamał. Czułam wtedy to, co on odczuwał. Szalała w nim ojcowska troska, duma, strach o losy dziecka, które nawet gdy dorośnie, wciąż jest dzieckiem w oczach rodzica. Oraz miłość. Zwykła, prosta miłość rodzica. Bezgraniczna, bez żadnych warunków, bez oczekiwań.

– Dlatego jeśli to nie jest moje dziecko, to postaram się być dla niego dobrym ojcem – oświadczył. – Nie wiedziałem, że pragniesz dziecka... Kobiety chyba zawsze chcą mieć dzieci.

Znawca kobiecej psychiki. Jak jeszcze doda, że to szanuje, to przysięgam, że nie zdołam się powstrzymać i dam mu w zęby. Tym razem pięścią.

– Czy to dziecko Witka? – zapytał i zacisnął mocno wargi, aż pobieleły.

– Co takiego?!

– Zrozumiem, naprawdę zrozumiem. Wyjechałem. Zostawiłem cię samą. Z całą pewnością mogłaś poczuć się odrzucona, gdy pojechałem dopilnować pogrzebu Ote. Mszczuj umarł, zostałaś zaatakowana. To na pewno było dla ciebie trudne.

Na końcu języka miałam stwierdzenie, że faktycznie mógł wymyślić lepsze rozwiązanie niż zostawienie mnie samej tuż po tym, jak widziałam śmierć Mszczuja, śmierć Ote, a następnie jego własną, zakończoną magicznym powrotem do zdrowia.

Aż dziwne, że nie mam po tym jakiegóż traumy. Psychozy chociaż. Nerwicy jakiegóż...

Chociaż, tak po głębszym zastanowieniu, nerwicę chyba miałam już wcześniej.

– Wtedy pojawił się Witek. Człowiek zaangażowany, zakochany w tobie. Zrozumiem, że potrzebowałaś opieki, a on przy tobie po prostu był. To jego dziecko, prawda?

Cała złość, którą czułam, gdzieś wyparowała. W sumie czemu ja mu się w ogóle dziwię? Pewnie na jego miejscu miałabym dokładnie takie same wątpliwości.

– Witek? – powtórzyłam bezmyślnie.

– Pojawił się w twoim życiu, kiedy mnie nie było.

– W moim życiu pojawiło się wtedy wiele rzeczy – skwitowałam.

Na przykład tabletki na depresję...

– Widziałem, jak Witek na ciebie patrzył – powiedział.

– A jak ja na niego patrzyłam? – zapytałam.

Otworzył usta, ale nic nie powiedział. Zmarszczył brwi, zupełnie jakby gorączkowo usiłował sobie to przypomnieć.

– Patrzyłeś tylko na niego, co? – westchnęłam. – Gdybyś nie był taki zazdrosny, prosty chłopak, tobyś zauważył, że ja na niego patrzę jak na zwykłego kolegę. Nie miałam z Witkiem romansu. Nie odpowiadam za to, czego on mógł chcieć. Wiem, że ja niczego od niego nigdy nie chciałam. Spałam tylko z tobą. Dziecko jest twoje. Mogę ci to powtarzać do śmierci, bo to prawda.

– Moje?

Ręce mi opadły.

– Może to sobie przemyśl na spokojnie. Nie jestem pewna, czy dzisiaj do czegoś dojdziemy – stwierdziłam zrezygnowana.

– To naprawdę moje dziecko? – zapytał jeszcze raz.

– Tak, na litość wszystkich bogów. *To twoje dziecko.*

– Witek mógł je zabić! – wybuchnął tak gwałtownie, że aż się cofnęłam.

I kto tu ma ciężowe wahania nastroju?

– A właśnie. Co z Witkiem? – zainteresowałam się.

Po raz kolejny przypominałam sobie głuchy odgłos, gdy drewno spotkało się z jego głową. Przerazający dźwięk. Nie wiem, czy kiedykolwiek będę w stanie go zapomnieć.

– Chyba sukinsyn nie żyje – skwitował Mieszko z szerokim uśmiechem.

Serce mi zamarło.

– Co?! – wydusiłam.

– I dobrze mu tak – stwierdził ze wzruszeniem ramion.

4.

– Jak to zniknął? – zapytałam, nie wiem już po raz który.

– Dzwoniłaś do matki? – odburknęła Baba Jaga.

– Nie – warknęłam. – Telefon mi się rozładował, a u Mieszka nie mam ładowarki. Jak Witek mógł zniknąć?

Krążyłam w kółko po maleńkiej polance, która była sceną dość drastycznych wydarzeń sprzed dwóch dni. Z łatwością odnalazłam miejsce, gdzie upadłam. Na ugniecionej trawie wciąż było widać ciemne plamy mojej krwi. Poczułam mdłości. Nie pamiętałam, żebym krwawiła aż tak obficie.

Bez trudu znalazłam też połamane krzaki, w które wpadł młody żerca. Tu z kolei nie było nawet jednej kropli krwi. To dobry znak!

– Zrobiło się zamieszanie. – Mieszko wzruszył ramionami.

Zadrżałam, gdy zawiął chłodny wiatr. Zerknęłam na niebo. Kończyło się gorące lato. Pomimo że dopiero zaczął się wrzesień, wydawało się, że zaraz nastanie szara, mokra jesień. Nadchodził kres czasu Jaryły. Będzie musiał wsiąść na białego konia.

– Jaryło odjechał – mruknęłam.

– Co? – zdziwił się Mieszko.

Opierał się o chudziutką brzoźkę. Nawet nie miał zamiaru udawać, że pomaga szukać śladów po zaginionym. Po prostu tylko się na mnie gapił. Nie wiem. Chciał mnie złapać na kłamstwie? Myślał, że nagle się wygadam, że dziecko tak naprawdę zostało spłodzone przez Witka? Popłaczę się nad jego losem?

Baba Jaga zacmokała, ukazując swoją złotą licówkę.

– Jaryło nigdzie nie odjeżdża – stwierdziła. – Starzeje się po prostu i nie chce mu się już pilnować wiosny i rozkwitania roślin razem z Mokosz. Bogini idzie spać, a on się starzeje. Na wiosnę pojawi się nowy Jaryło i zamorduje starego.

Wzdrygnęłam się. Nigdy nie lubiłam tej opowieści. Poza tym nie potrafiłam zrozumieć, ile jest tych wcieleń boga Jaryły. I po co on się w ogóle odradza, żeby zabić samego siebie. Nie ma wyrzutów sumienia, że sam się zabija? Ja bym nie umiała. Idiotyzm.

– To co z tym Witkiem? Naprawdę go tutaj zostawiliście? – drążyłam.

– Zauważ, że mieliśmy inne rzeczy na głowie. Wykrwawiałaś się – powiedziała Jaga.

– A co w ogóle się wtedy stało? – zapytałam. – Bo ja nie do końca pamiętam.

Szeptucha spojrzała na Mieszka. Mężczyzna oderwał plecy od drzewka i podszedł do mnie.

– Uderzyłem żercę w głowę i podbiegłem do ciebie. Nie zamierzam za to przepraszać. Ty krwawiłaś, po chwili zemdłałaś. Sława zadzwoniła po pogotowie. Zrobiło się zamieszanie. Tyle.

– Mieszko mnie znalazł, na szczęście już się zbierałam do domu i szłam drogą – dodała Jarogniewa. – Szybko przybiegłam. Dotarłam tutaj razem z ratownikami z pogotowia. Potem pojechaliśmy z tobą do szpitala.

Pokręciła głową i złapała się za bluzkę na wysokości piersi, jakby wspomnienie ją zabolalo. Chyba nieźle ją wystraszyłam.

– A Witek? Zostawiliście go tutaj? – zapytałam.

Nie mogłam tego pojąć. Załoga karetki go nie widziała? Przeszli obojętnie obok nieprzytomnego mężczyzny? Wiem, że Mieszko potrafi być dość przekonujący i może po prostu nie pozwolił ratownikom zająć się kimkolwiek innym. Jednak to dziwne, że nie przysłali do niego drugiej załogi.

– Kiedy skupiliśmy się na tobie, ten tchórz zniknął – burknął Mieszko, wciąż niezadowolony, że tak dużo czasu poświęcamy żercy. – Kiedy wróciłem z Jarogniewą, już go nie było.

Przewróciłam oczami, ignorując jadowite spojrzenie, którym uparcie powracał w stronę mojego brzucha.

– To czemu podejrzewacie, że stało mu się coś złego? – zapytałam. – Skoro zniknął podczas zamieszania, to znaczy, że najzwyczajniej w świecie przestraszył się i uciekł. Dlaczego w ogóle robimy z tego problem? Mógł się przecież przestraszyć Mieszka. Pewnie bał się konsekwencji. Sława nic nie mówiła?

– Nie pytaliśmy jej – skwitował.

– Problem w tym, że Witek nie wrócił do siebie do domu – wyjaśniła Baba Jaga. – Kiedy wracałam ze szpitala, postanowiłam do niego zajrzeć. Chciałam dowiedzieć się, co właściwie się stało. Chciałam, żeby się wytłumaczył. Nie było go w domu. Wszystko zamknięte na cztery spusty. Sąsiadka powiedziała, że nie wrócił z festynu.

- Hm... może gdzieś zabalował? – rzuciłam.
- Z urazem głowy? – Jaga miała wątpliwości.

Po cichu się z nią zgodziłam. Wszystko wskazywało na to, że uciekł. Przestraszył się i uciekł.

– Może pojechał do rodziny? – zasugerowałam bez przekonania, bo dobrze pamiętałam, co opowiadał mi o swojej rodzinie. Nie był z nią specjalnie zżyty. Chociaż bardziej prawdziwe byłoby stwierdzenie, że był z nią porządnie skłócony.

– Nikomu nic nie powiedział. Dowiadywałam się później u głównego guślarza w regionie. Nie wie, gdzie bieliński żerca może obecnie przebywać. Gosiu, żerca musi doglądać swoich wiernych. Nie może wyjeżdżać bez słowa. Co ja mówię! Nie chodzi o to, że nie powinien tego robić. Jemu nie wolno wyjeżdżać bez pozwolenia – bulwersowała się szeptucha. – Zawsze, ale to zawsze musi zgłosić innemu kapłanowi z okolicy, gdzie będzie. Kiedy chce jechać na wakacje, to trzeba znaleźć mu zastępstwo. Żadne samowolki nie wchodzą w grę!

Och, nawet nie wiedziałam. Nic dziwnego, że jest coraz mniej powołań kapłańskich, skoro nawet na wakacje nie można sobie swobodnie pojechać.

– Ale z drugiej strony Witek był przekonany, że mnie zabił, rozmawiał z bogiem, chyba nawet domyślałam się którym, zabijał istoty nadprzyrodzone. Może postanowił zniknąć na jakiś czas, przyczaić się, ukryć...? – dywagowałam.

- Jeśli uciekł, to znaczy, że jest niepoważny – ucięła Jaga.

Mnie tam jego ucieczka wcale nie dziwiła. Sama też najchętniej dałabym nogę. A przecież jak się ucieka, to się nie mówi nikomu dokąd.

– To co teraz zrobimy? – Rozłożyłam ręce. – Dzwonimy po szpitalach, czy gdzieś nie przyjęli człowieka z urazem głowy? Może on stracił pamięć!

– Ty to masz wyobraźnię... – westchnęła Baba Jaga i pochyliła się, żeby obejrzeć wyrwane kępki trawy i krzaki połamane po upadku Witka.

– Nic nie zrobimy – mruknął Mieszko i wrócił do obojętnego opierania się o brzózkę. – Sam się zgubił, to niech sam się znajdzie...

- Gdyby umarł, to chyba leżałoby tu jego ciało – dodała Jaga rezolutnie.

Ciągle siedziała w kucki, grzebiąc palcem pomiędzy wyrwanymi kępami trawy. Podeszłam bliżej i pochyliłam się, żeby zajrzeć jej przez ramię.

Jarogniewa podniosła dłoń i powąchała czubki palców. Gdy odsunęła rękę od twarzy, zauważyłam, że opuszki miała ubrudzone na szaro.

- Popiół – szepnęła.

Chociaż chłodny wiatr ustał, poczułam na całym ciele ciarki. Wyprostowałam się gwałtownie i cofnęłam. Uderzyłam plecami o Mieszka, który złapał mnie za ramiona, ratując przed upadkiem.

Jego ciepłe dłonie dodały mi trochę otuchy.

– Popiół? – powtórzyłam zszokowana. – Skąd się tutaj wziął? Przecież tu nic nie płonęło. Myślisz, że Swarożyc maczał w tym palce?

W końcu dookoła ognistego boga zawsze unosi się chmurka dymu i całkiem fotogeniczne żółte iskierki. Gdyby tu spacerował, to pewnie zostałyby trochę popiołu.

Szeptucha podniosła się z głośnym stęknięciem i pomasowała kolana.

– Pewnie maczał. Nie zdziwiłoby mnie to – odpowiedziała.

– Ale po co?

– Ludzie nie pojmą zamiarów bogów – oświadczyła.

Mieszko mocniej ścisnął mnie za ramiona, jakby chciał oddać mi trochę swojej odwagi i spokoju. Bałam się przyszłości. Bałam się kłopotów, w które wpakowałam się dzięki pomocy boga ognia. A najbardziej bałam się obietnicy, którą mu złożyłam.

Popiół nie powinien mnie dziwić. Któż inny miałby się mieszać do mojego życia? To musiał być Swarożyc.

– To co robimy? – zapytałam znowu.

– Nie wiem... – odparła cicho Jaga.

Wiatr, który zerwał się z nową siłą, nie zachęcał do dłuższego przebywania na łonie natury. Popatrzyliśmy jeszcze chwilę na trawę, pokiwaliliśmy głowami i ruszyliśmy do domu. Mieszko odwiózł mnie do Jarogniewy, a sam ruszył na zakupy, ponieważ oświadczyłam, że się wyprowadzę, o ile nie kupi jedzenia.

Naprawdę go kocham. Jednak nie na tyle mocno, żeby jeść czerstwy chleb z podeschniętym żółtym serem bez narzekania.

Szeptucha bardzo się ucieszyła, że spędzimy ze sobą chwilę sam na sam, bez jego pełnego dezaprobaty milczenia. W domu szybko obejrzała mój brzuch, nasmarowała maścią, która śmierdziała cebulą, a następnie zaparzyła rumianku i usadziła przy kuchennym stole, na którym postawiła świeżo pokrojoną szarlotkę.

Powoli zaczęłam żałować, że mieszkam teraz z Mieszkiem, a nie z Babą Jagą. Suchy ser nie może konkurować z szarlotką.

– A teraz powiedz mi prawdę. Jak się czujesz? – zapytała.

– Doskonale! – skłamałam radośnie.

– Bujać to las, a nie nas – mruknęła i pogroziła mi palcem.

Parsknęłam. A czego niby się spodziewała?

– Brzuch mnie nie boli. Nawet takie dziwne ciągnięcie, gdzieś w środku, już zniknęło. – Wzruszyłam ramionami. – Poza tym chyba jest okej.

– A jak z Mieszkiem? Uwierzył, że nosisz jego dziecko?

Siorbnęła głośno rumiankiem i spojrzała na mnie chytrze znad kubka. Nie było sensu kłamać. Od razu by zauważyła.

– Nie wiem. – Skrzywiłam się. – Niby uwierzył, ale mam wrażenie, że cały czas usiłuje złapać mnie na kłamstwie.

– Mężczyzna. Oni nigdy nie wierzą, że dziecko jest ich – odparła. – Uwierzy, jak zobaczy po urodzeniu, że podobne.

– Znaczy: czerwone ze złości i wiecznie niezadowolone?

Zaśmiała się chrapliwie.

– Dobrze, że nie tracisz ducha. Teraz musisz być silna za was oboje. Co ja mówię! Troje!

Zerknęłam z niepokojem na piekarnik. Wiem, że Swarożyc nie mógł nas przez niego podsłuchać. Niemniej nie mogłam pozbyć się wrażenia, że jest gdzieś obok i dyszy mi wściekle na karku. Poprawiłam warkocz, niemalże przekonana, że czuję jego dłoń wsuniętą we włosy.

Dzięki bogom, poza kołtunem – bo nie mam u Mieszka szczotki do włosów – niczego w moim warkoczku nie było.

– Boję się, Jago – wyznałam.

– A czego konkretnie się boisz? Może coś zaradzimy, jak powiesz głośno.

– Że Swarożyc mnie zabije.

Przez chwilę milczała.

– A czegoś jeszcze? – zapytała w końcu.

– Porodu? Porody są chyba straszne...

– E, tam! – Machnęła ręką. – Do porodu masz jeszcze dziewięć miesięcy. A który to w zasadzie teraz miesiąc?

– No dopiero co przecież... pierwszy się kończy – burknęłam.

Mam taki fart w życiu, że nawet testy ciążowe nie są mi potrzebne. Wystarczy Mokosz i jej macanie po brzuchu. Prywatna służba zdrowia – literalnie.

– To zostało jeszcze osiem, jeszcze mamy czas – uspokoiła się.

– Na zmartwienia? – westchnęłam.

– A ty to tylko byś się czymś martwiła – parsknęła.

– Jak na razie tylko to mi dobrze wychodzi...

Czego ona się nałykała, ja się pytam? W mojej sytuacji nie można się przecież nie przejmować!

Zaśmiała się, widząc moją minę.

– Moja droga Gosiu, powiedz mi tak zupełnie szczerze: ty się martwisz przez cały czas, odkąd tylko trafiłaś do mnie na staż, prawda? – zapytała.

Nawet nie musiałam się zbyt długo zastanawiać nad odpowiedzią. Znam samą siebie wystarczająco dobrze. Przecież ja się martwię całe życie. Dziwne, że wrzody żołądka jeszcze mnie całkiem nie wyniszczyły.

– No tak.

– A twoje zmartwienia miały na cokolwiek wpływ? Pomogły ci w czymś? – drążyła.

Teraz już musiałam się zastanowić. Martwię się cały czas, zawsze mam w głowie wszystkie najgorsze scenariusze, które mogą mnie spotkać. Jednak czy aby któryś z nich się spełnił? Jak do tej pory bogowie potrafili zawsze mnie zaskoczyć.

Niestety rzadko pozytywnie.

– Czy ja wiem... – mruknęłam. – Może uniknęłam dzięki nim jakichś kłopotów?

– Mówisz, że to dzięki swoim zmartwieniom uniknęłaś zakochania się w nieśmiertelnym mężczyźnie, udało ci się nie zerwać kwiatu paproci, nie złożyć obietnicy bogu i nie zejść w ciążę bez swaćby?

Skrzywiłam się. Coś w tym było. Niby wiedziałam, czego nie powinnam robić, a i tak to robiłam. Moja dola miała zdecydowanie kiepskie poczucie humoru.

– Czyli co? Sugerujesz, żeby iść na żywioł?

– Niech cię bogowie bronią. Tego na pewno nie powiedziałam. Mówię tylko, żebyś zawierzyła sobie. Swojej doli nie zmienisz, nieważne, jak bardzo będziesz się starać. Stanie się to, co było ci pisane. Dlatego zmartwieniem się możesz jedynie sobie zaszkodzić. Co najwyżej bogowie mogą pomóc ci zmienić przeznaczenie.

– Od bogów to ja się będę trzymać z daleka.

Nawet ja wyczułam fałsz w swoim głosie. Już widzę, jak mi się uda trzymać chociażby taką Mokosz na dystans. Obecnie, kiedy fascynuje ją moja ciąża, istnieje spore ryzyko, że jeszcze wpadnie na pomysł, żeby zostać cioteczką.

– Ja w twoim wieku świetnie się bawiłam. – Jaga uśmiechnęła się do swoich wspomnień.

Chciałam zapytać ją o jej ciążę i dziecko, które straciła przez „pójście na żywioł” ze Swarożycem, ale powstrzymałam się w obawie, że wyrzuci mnie z domu, zanim skończę tę pyszną szarlotkę.

– Musisz mi kiedyś opowiedzieć o tych czasach.

– Kiedyś ci opowiem – zgodziła się. – Jak będzie trochę spokojniej. To będzie długa i barwna opowieść.

Westchnęła i pokręciła głową. Radość w jej oczach zamieniła się nagle w złość.

– A właśnie, Swarożyc się do ciebie odzywał? – zapytała.

Poczułam jeszcze większą ciekawość. Opowiadała mi kiedyś, że bóg ognia pokazywał jej się w płomieniach i namawiał do eksperymentów z ziołami. Pośrednio był też odpowiedzialny za jej nieudane małżeństwo. Okrutnie mnie ciekawiło, czy aby na pewno była to tylko pośrednia вина.

– Nie, na razie milczy. Na szczęście – odpowiedziałam.

– Nigdy nie był cierpliwy. Pewnie długo nie wytrzyma – zauważyła.

Niestety obawiałam się tego samego.

Dopiłam rumianek i zerknęłam na swój telefon. Leżał na podłodze, tuż obok kontaktu, podłączony do ładowarki, którą znalazłam w sypialni na strychu szeptuchy. Żołądek mi się skurczył ze strachu. Powinnam zadzwonić do mamy. Na pewno się martwi.

Baba Jaga podążyła za moim spojrzeniem.

– Mówiłam jej tylko o twoim wypadku. Nie powiedziałam o dziecku.

Cholera. Miałam nadzieję, że wie już wszystko.

– Chyba muszę do niej zadzwonić...

– Powinnaś.

5.

Odebrała praktycznie od razu. Wyrzuty sumienia, które do tej pory udawało mi się stłumić, o mało nie zwały mnie z nóg, gdy usłyszałam jednocześnie panikę i ulgę w jej głosie. Nie było to zbyt bezpieczne, biorąc pod uwagę, że właśnie wchodziłam po schodach.

– Gosia?

– Cześć, mamó.

A potem były łzy. Jej, moje. Mówiliśmy jedna przez drugą, zapewniając się wzajemnie, że wszystko jest dobrze i że będzie dobrze. Powtarzałyśmy, że tęsknimy i kochamy się jak szalone.

– Jak się czujesz? – zapytała mama, gdy przestałyśmy już pisać i płakać. – Rozmawiałam z Jarogniewą, ale jej nie wierzę. Może nie chciała mnie martwić. Co ja mówię, na pewno nie chciała mnie martwić!

– Mamó, wszystko dobrze, nic mi nie jest – zapewniłam ją. – Czuję się dobrze.

– Ale byłeś w szpitalu! Rana brzucha! O bogowie! Myślałam, że oszaleję.

– Głos rwał się jej z emocji. – Chciałam do ciebie przyjechać, ale jak zadzwoniłam, to Jarogniewa powiedziała, że cię wypiszą ze szpitala, że zaraz jedzie cię odebrać i że to bez sensu.

– Nic mi nie jest. Kwiat paproci zadziałał, wszystko się na mnie zagoiło jak na kocie.

– Córeczko! Przepraszam cię, że nie przyjechałam. Tak bardzo cię przepraszam!

– Mamó, daj spokój! Jaga miała rację. Byłam w szpitalu tylko przez chwilę. Tylko niepotrzebnie byś się tłukła pociągiem.

– Wróć do domu – poprosiła.

– Nie mogę...

– Jak to nie możesz?! Co się dzieje?! Dlaczego nie wracasz?! – zawołała histerycznie. – Wróć do mnie! Do domu!!!

Nie poznawałam jej. Zawsze była lekkoduchem. Nigdy niczym się nie przejmowała, a w każdym razie nie aż tak bardzo. Uważała, że zawsze obie spadniemy na cztery łapy, więc zamartwianie się nie ma sensu. Nigdy się nie stresowała, nigdy nie martwiła. Wierzyła w bogów, magię szeptuch,

zioła i... cuda.

Zawsze powtarzała, że jestem jej cudem.

Przed oczami stanęły mi scenki z dzieciństwa, a raczej wspomnienia, w których według mnie zachowywała się dziwnie. Często kompromitowała mnie przed koleżankami. Wieszala amulety na wszystkich oknach. Okadzała mieszkanie ziołami, przez co nie mogłam nikogo zapraszać do domu, bo wstydziłam się tego zapachu. Kazała mi nosić codziennie czerwoną wstążeczkę na nadgarstku. Robiłam to do momentu, aż zbuntowałam się w liceum. Często chodziliśmy po szeptuchach. Dobrze pamiętałam czary odprawiane nad moją głową.

Zawsze sprawiała wrażenie „nawiedzanej” lub raczej nadmiernie uduchowionej. Jednak była wspaniałą mamą. Doskonale się dogadywałyśmy. Była moją mamą, ale także najlepszą przyjaciółką.

I pewnie to dlatego ja się zawsze wszystkim przejmowałam. Ktoś w naszym domu musiał to robić.

Chociaż z drugiej strony... jestem jej jedyną córką. Poza mną nie ma nikogo, bo dziadkowie zmarli dawno temu. Ma pełne prawo się bać, że coś mi się stanie. Zostałaby wtedy zupełnie sama. To pewnie dlatego tak krzyczy. Nawet nie potrafię sobie wyobrazić, jak bym się czuła, gdyby coś się stało mojemu dziecku.

– Ja... mam, jest tu kilka spraw, którymi muszę się zająć – powiedziałam spokojnie. – Chyba nie mogę przyjechać.

– Przecież powiedziałas, że wrócisz. Miałaś wrócić, żebyśmy porozmawiały... sama wiesz o czym. Błagam cię, zaklinam! Wróć do mnie, do Warszawy! Powinnaś tutaj wrócić. Porozmawiajmy... o tym!

Pokręciłam głową, chociaż ona i tak nie mogła tego widzieć.

– Mam... nikt nie słyszy, o czym rozmawiamy. Możesz powiedzieć głośno, kto jest moim ojcem. Nie musisz się bawić w zagadki.

– Oni zawsze słuchają – szepnęła gorączkowo.

Po plecach przebiegł mi dreszcz. Coś było nie tak. Bardzo nie tak. Nie zachowywała się jak moja mama. Była spięta i bardzo zdenerwowana.

Moja mama powinna się teraz zaśmiać, obrócić wszystko w żart, jako że nie lubiła kłótni, a następnie pozwolić się pocieszyć. To, że uciekła do Warszawy, gdy moja opowieść o kwiecie paproci ją przerosła, pasowało do niej idealnie. Jednak wcześniejsze samozaparcie, by przyjechać do Bielin, z których wyjechała, mając dwadzieścia cztery lata, zupełnie nie.

– Mam... kto słucha? – zapytałam zaniepokojona.

Po drugiej stronie słuchawki zapadła cisza. Mnie za to zaczęły przed oczami przelatywać wszystkie nazwy chorób z podręcznika do psychiatrii.

– Mamo? Mamo, nie strasz mnie!

Usłyszałam, jak wzdycha ciężko.

– Nie chcę cię straszyć. Już od dawna spodziewałam się, że dobre czasy kiedyś muszą się skończyć. Wróć do domu. Proszę.

– Mamo... dlaczego wysłałaś mnie do Bielin? Pamiętasz? Tak bardzo mnie namawiałaś do przyjazdu. Czemu mnie tu przysłałaś, skoro tak nie cierpisz tego miejsca?

Usiłowałam sobie przypomnieć, kiedy zmieniło się jej zachowanie. Praktycznie zmusiła mnie do przyjazdu tutaj, sama załatwiła mi miejsce stażowe u Jarogniewy. Potem słuchała zachwycona każdej mojej opowieści, kiedy do niej dzwoniłam. Dopytywała o metody leczenia pacjentów, sekrety Baby Jagi. Jak zwykle była pełna optymizmu i euforii. Nawet nie chciała, żebym przyjeżdżała do domu na święta.

Dopiero po obchodach Nocy Kupały, gdy puszczą stanęła w ogniu, zmieniła diametralnie zdanie i zaczęła mnie namawiać do powrotu. Zupełnie jakby praktyki u szeptuchy nie wydawały jej się już dobrym pomysłem. Początkowo myślałam, że to przez sam pożar i wizję utraty jedyne dziecko, jednak może wcale nie miałam racji? Może było inne wyjaśnienie? Co to mogło być?

– Obiecał, że nie zrobi ci krzywdy – wyszeptała, a mnie serce zamarło w piersiach.

– Kto? – zapytałam, nie poznając własnego głosu.

– Przyjedziesz do Warszawy? Wrócisz? – zapytała, kompletnie mnie ignorując. – Wróć. Tak będzie najlepiej.

– Mamo, nie mogę wyjechać. Mam kilka rzeczy do załatwienia. Jestem teraz z Mieszkiem, jesteśmy parą. – Odczekałam chwilę, ale nie zareagowała histerią na tę wiadomość. Mogłam mówić dalej. – Niebawem skończę staż i zdobędę wszystkie zaliczenia. Nie wyjadę teraz z Bielin.

– Ukradł mi cię, chociaż obiecał, że tego nie zrobi, że mi cię nie zabierze – odparła płacząco.

– Mamo, nic nie rozumiem. O czym ty mówisz? O kim?

Usłyszałam, jak pochlipuje i wyciera nos. Szelest chusteczki higienicznej o mało mnie nie ogłuszył. Chyba wycierała nią słuchawkę.

Nawet nie zauważyłam, kiedy nogi poniosły mnie na strych w domu Baby Jagi. Stanęłam pod drzwiami do tajemniczego pokoju. Zaskoczona

zauważyłam, że tym razem nie były zamknięte.

– Ja nie mogę przyjechać do Bielin – powiedziała. – Nie powinnam była przyjeżdżać poprzednio. Poczułam się pewnie, zbyt pewnie. Było już po Nocy Kupały. Nic nie wskazywało... Nie mogę przyjechać, żeby z tobą porozmawiać. Ty musisz przyjechać do mnie. Tak będzie najlepiej.

– Mamo, przecież teraz rozmawiamy – zauważyłam. – Możesz mi wszystko powiedzieć. Teraz. Możesz mi powiedzieć, kto jest moim ojcem.

Pchnęłam drzwi. Nie przekroczyłam progu. Chłonęłam wzrokiem zagadkowe wnętrze. W środku nie było starych mebli, kartonów z przetworami i najróżniejszych gratów, które zwykle trzyma się na strychach. Pomieszczenie było kompletnie puste, jeśli nie liczyć dziesiątek najróżniejszych świec stojących na podłodze. Każda świeczka była innej grubości i koloru. Łączyła je tylko gruba warstwa kurzu. Już dawno nikt ich nie zapalał. Okna przysłonięte były czarnym materiałem. We wnętrzu panował mrok, rozjaśniony delikatnie światłem z korytarza, które miałam za sobą.

Całość sprawiała bardzo niepokojące wrażenie. To miejsce wyglądało jak scenografia do horroru.

Co to za pokój?

– Boję się. – Szept mamy zmroził mnie na kość.

– Czego się boisz? – zapytałam, mocno zaciskając palce na klamce. Kłykcie moich palców pobieły. Gdy oderwałam z wysiłkiem dłoń, zauważyłam, że drży. Też się bałam.

– Przeszłości, osądzenia – odpowiedziała jeszcze ciszej.

– Mamo, przestań mówić zagadkami! Doprowadzasz mnie do obłędu!

Westchnęła ciężko i znowu smarknęła.

– Gosiu, pamiętasz, jak mówiłam ci, że wyjechałam z Bielin? – zapytała.

– Tak, mamo, pamiętam.

Zamknęłam zagadkowe drzwi i znękana usiadłam na podłodze korytarza. Oparłam się plecami o jedną ze ścian, a na drugiej wsparłam stopy.

– Uciekłam z Bielin z tobą w brzuchu. Musiałam uciec. Nie miałam męża, nie miałam nawet chłopaka. To nie było dobrze widziane ani we wsi, ani tym bardziej w moim domu rodzinnym. Dziadkowie byli surowymi, prostymi ludźmi.

Miałam już dość. Ledwie mogłam się powstrzymać przed wrzaśnięciem do słuchawki, żeby wreszcie wydusiła z siebie, kto jest moim ojcem. Wiedziałam jednak, że efekt może być odwrotny. Istniało

prawdopodobieństwo, że się wtedy obrazi i znowu powtórzy jak zdarta płyta, że powinnam do niej przyjechać.

Dobrze znałam moją mamę. Zbyt dobrze.

– Masz teraz tyle lat, ile ja miałam, gdy zaszłam w ciążę i cię urodziłam.
– Westchnęła ciężko. – Masz prawo sama o sobie decydować.

– Mamo...

– Nie przerywaj mi. Muszę to z siebie wyrzucić. Za długo nosiłam sama ten ciężar. Zbyt wiele lat minęło. Muszę to powiedzieć głośno. Wszystko.

– Dobrze, mamo.

Zacząła opowiadać, a mnie włosy stanęły dęba. Nie spodziewałam się, że usłyszę coś takiego.

– Pewnie uznasz, że przesadzam i zmyślam! – Zaśmiała się gorzko. – Jeśli mi nie uwierzysz, zapytaj swoją szeptuchę. Jeśli jej babka wszystko jej opowiedziała, poświadczy moje słowa. Gosiu, moja kochana... naszą rodzinę przeklęto. Bardzo dawno temu. Tak dawno, że nikt nie potrafił mi nawet powiedzieć, kiedy to było.

– Klątwa?

– Pamiętasz, jak straszyłam cię opowieściami o strzygach? – zapytała zniecka.

– Pamiętam – przyznałam z goryczą. – Okazały się niestety prawdziwe.

– Skarbie, wszystkie potwory są prawdziwe. Może nie zawsze wyglądają tak jak w opowieściach, ale zawsze są prawdziwe i istnieją w tej albo innej postaci. Strzygi niestety chodzą po tej ziemi w postaci bardzo cielistej i bardzo zgodnej z legendami. Wiem to, chociaż nigdy żadnej nie spotkałam. A wiem to dlatego, że naszą rodzinę przeklęła kiedyś strzyga.

– Co? – wyrwało mi się, bo w jej głosie usłyszałam emfazę, która pojawiała się zawsze, gdy opowiadała mi zmyślane historie.

– Nie przerywaj. Naszą rodzinę przeklęła strzyga. Przekleństwo polegało na tym, że w naszym rodzie zawsze będą się rodziły córki oraz że te córki zawsze będą miały dwie dusze.

Poczułam niepokój. Nadal uważałam, że moja kochana mama, za którą wskoczyłabym w ogień, snuje banialuki, żeby odwlec moment, w którym będzie musiała wyznać, kto jest moim ojcem, jednak żołądek skurczył mi się ze strachu.

Ja przecież mam dwie dusze. Powiedziałam co prawda o tym mojej mamie, więc może posklejała ze sobą radośnie wszystkie fakty, żeby jej historia nabrała autentyczności. Jednak niepokój pozostał.

– Chcesz powiedzieć, że masz dwie dusze? I zostaniesz po śmierci strzygą? – zapytałam.

– Ja? Nie – zaśmiała się. – Ja nie zostanę strzygą, bo już nie mam dodatkowej duszy. Oddałam ją tobie, gdy pojawiłaś się w moim brzuchu.

– Co?

– Gosiu, na tym polegała nasza klątwa – powiedziała. – Kobiety naszego rodu zostały przeklęte. Każda z nas rodzi się z dwiema duszami. Musi począć córkę, by przekazać jej dodatkową duszę, jak chorobę. Matka wtedy staje się bezpieczna, jednak córka jest przeklęta do momentu, aż sama urodzi dziecko.

– Ty nie kłamiesz, prawda?

– Oczywiście, że nie kłamię! – obruszyła się. – Mówię prawdę! Na naszą rodzinę jest nałożona klątwa!

Zacząłam się zastanawiać nad genealogią naszej rodziny. Stanowiłyśmy rodzinę jedynaczek. Moja mama, babcia, prababcia i z tego, co pamiętałam, praprababcia zawsze miały tylko jedno dziecko. Zawsze dziewczynkę. Spory zbieg okoliczności. Niemniej takie sytuacje się zdarzają. Nie trzeba do tego od razu dorabiać całej ideologii.

– Żeby odczynić klątwę, trzeba ją przekazać dalej? Klątwa to nie choroba – prychnęłam. – Trochę to naciągane. A skąd w ogóle wiadomo, że klątwa działa? Jeśli każda przekazała ją dalej, to nie mamy potwierdzenia.

– A tobie kto powiedział, że masz dwie dusze? – odpowiedziała pytaniem na pytanie. – Masz pewność, że je masz? Ty jesteś najlepszym dowodem. Mądra baba na wsi potwierdziła klątwę mojej mamie. Tylko dlatego twoja babcia wyszła za męża, za twojego dziadka. Wcale go nie kochała, oddała mu swoją rękę i ciało, żeby pozbyć się klątwy.

Gorycz w jej głosie mocno mnie zaskoczyła. Przez całe swoje życie nie usłyszałam od niej zbyt wielu ciepłych słów na temat dziadków. Ich samych pamiętam tylko z wizyt w Warszawie. Mama nigdy nie pozwoliła mi do nich jechać na wakacje. Jednak nigdy tak otwarcie ich nie atakowała. Starła się raczej mówić o nich oględnie.

– A ty? Uwierzyłaś? – zapytałam zaczepnie.

– Uwierzyłam, ale nie chciałam skazywać swojej córki na życie z klątwą. Poprosiłam bogów o pomoc.

– I co?

– Jeden zgodził mi się pomóc.

– Mało skutecznie, skoro mam nadal dwie dusze – mruknęłam.

Tego można się było spodziewać po bogach. Totalna fuszerka. Pewnie byli zbyt zajęci swoimi sprawami.

– Nie wiem – jęknęła. – Obiecał mi pomoc. Miał ocalić cię przed moim losem.

– A który to bóg był taki wspaniałomyślny?

Skrzyżowałam palce, modląc się w duchu, by nie był to Swarozyc. Bo jeśli to on wszedł w konszachty z moją mamą, to zdecydowanie miałam już duży problem.

– Weles.

– Hę? Weles? Bóg podziemi? Pasterz zmarłych dusz, opiekun bydła, bogactwa i obietnic? W życiu bym się tego nie spodziewała. Co on ma do dwóch dusz?

Ach... no tak... strzygi to jego sługi. W końcu Ote po śmierci należała do niego, pomimo że to Swarozyc ją zabił, na jej własne życzenie.

– Poszłaś do Welesa? – Moje zdumienie nie miało granic.

– Nigdzie nie poszłam. Sam przyszedł...

– Weles? Do ciebie?

No jasne – jaka matka, taka córka. Mnie przecież też odwiedził w Jare Święto, żeby postraszyć mnie swoją rzekomą władzą.

A może w sumie nie taką rzekomą...

– Modliłam się do niego i przyszedł. Też się tego nie spodziewałam...

– Mamo, a co on ci obiecał? Co powiedział dokładnie?

Zaczynałam mieć złe przeczucia. Weles, ten podstępny bóg podziemi, na pewno umiał tak obiecać, żeby ostatecznie nic nie obiecać.

– Obiecał mi, że moja córka nie stanie się strzygą, że klątwa zostanie przełamana – powiedziała.

– A powiedział coś więcej? W jaki sposób? Zaproponował to tak bezinteresownie? Nic nie chciał w zamian?

Zaśmiała się ponuro.

– Oczywiście, że chciał coś w zamian – powiedziała.

– Co?

– Musiałam mu obiecać, że przyślę swoją córkę w roku, w którym będzie obchodziła dwudzieste czwarte urodziny, do Bielin.

Przypomniałam sobie słowa Baby Jagi, tłumaczącej mi, że widzące rodzą się raz na dwanaście tysięcy trzysta czterdzieści pięć pełni księżyca, równo na dwadzieścia cztery lata przed zakwitnięciem kwiatu paproci. Skurczybyk planował to wszystko od dawna! Wyhodował sobie własną

widzącą, która mu zerwie kwiatek!

– Co dokładnie mu obiecałaś? – zapytałam słabym głosem.

– No właśnie nic. Obiecałam tylko, że przyślę cię do Bielin. Chciał tylko, byś była w Bielinach w Noc Kupały. Pozostałe dni roku go nie interesowały – wyjaśniła.

– A powiedział ci, jak dokładnie zamierza sprawić, że klątwa zostanie przełamana?

Była to całkiem ważna informacja.

– Nie powiedział. Wspomniał coś tylko o tym, że nie wolno mi i tobie bać się ognia. Nie pamiętam dokładnie. Uwierz mi, byłam w szoku, kiedy z nim rozmawiałam. Wyobrazasz to sobie? Bóg! Bóg nagle pojawił się tuż przede mną! I ze mną rozma...

– Co? O co chodzi? Jak to: nie bać się ognia? – przerwałam jej bezceremonialnie.

– Nie wiem, nic więcej nie powiedział.

– Nie pytałaś? – jęknęłam zawiedziona.

– Bóg ze mną rozmawiał. Nie będę przecież wypytywała boga!

Oczywiście, że nie powiedział, a ona nie zapytała. Nie spodziewałam się niczego innego po mojej mamie.

Nie wyglądało to dobrze. Sama zdołałam wymyślić co najmniej dwie metody odczynienia rzekomej klątwy. Jeden sposób polegał na tym, żeby przekazać ją dalej, a kolejny, by po prostu mnie zabić, jak zresztą sam Weles się odgrażał. Bez dwóch zdań zakończyłoby to klątwę.

Tylko o co mu chodziło z tym ogniem?! Czy to ma jakiś związek ze Swarozycem?! Bogowie, przecież chyba nie może chodzić o to, że swarny bóg jest moim ojcem i dlatego mam się go nie bać? To byłoby zdecydowanie zbyt pokręcone. Chyba.

– Mamo... – jęknęłam. – Dlaczego go nie zapytałaś?!

– O co ci chodzi?! – zirytowała się. – Chciałam przecież dobrze. Powiedział, że złamie klątwę. Nic więcej nie chciałam wiedzieć.

– No samą siebie uwolniłaś od klątwy, ale mnie narobiłaś tylko kłopotów!

Od razu pożałowałam wypowiedzianych słów. Zamknęłam oczy i pomasażowałam czoło, gdy moja mama oburzona nabierała głęboko powietrza, żeby mi wygarnąć.

Jednak, o dziwo, nie zrobiła tego. Usłyszałam tylko syk wypuszczanego przez zęby powietrza. Odezwała się oschłym tonem:

– Przykro mi, jeśli uważasz, że zrobiłam to z samolubnych pobudek. Może po części tak było, jednak przede wszystkim zależało mi na tym, by moja córka nie żyła w ciągłym strachu, że po śmierci zamieni się w potwora. A jak potem urodzi swoje własne dziecko, to każdego dnia będzie się bać, że to ono umrze i zamieni się w strzygę! Nikomu nie życzę takiego losu!

– Mamo, przepraszam... – zaczęłam, ale mi przerwała:

– Dość! Na razie muszę ochłonąć. Nie chcę się z tobą kłócić. Jeśli nie chcesz teraz przyjechać, to jedyne, o co cię proszę, to żebyś uważała na siebie. Weles obiecał, że nie zatrzyma cię dłużej niż na okres Nocy Kupały, ale może kłamał, skoro nie chcesz przyjechać do domu.

– Ja nie wiem już, gdzie jest mój dom – powiedziałam cicho.

– Na pewno nie w Bielinach.

– A jesteś tego pewna? Obie stąd pochodzimy. Pamiętasz, jak dobrze się czułaś, kiedy przyjechałaś w odwiedzinach?

– Nie pamiętam. Ja ten most spaliłam. Nie wrócę.

– Rozumiem. A co z moim ojcem? Mieszka gdzieś tutaj? Jest stąd? Skąd ja się wzięłam? Wyszłaś z tego lasu już w ciąży?

– Jeśli tak dobrze dogadujesz się z bogami, to zapytaj o wszystko Welesa – odparła obrażona.

– Mamo...

– Muszę ochłonąć. Zadzwoń do ciebie. A ten Mieszko! Ten Mieszko to mi się nie podoba. O!

Rozłączyła się. Spojrzałam na telefon, którego ekran powoli się wygasił. No cóż... Nie była to najlepiej poprowadzona rozmowa. Dobrze, że nie zajmuję się zarobkowo negocjacjami.

Odetchnęłam głośno i uderzyłam dłonią w czoło.

Nie zdążyłam jej powiedzieć, że jestem w ciąży!

6.

Niebo pokryte było ciemnymi chmurami. Przypominały ołowiane okręty, które rozbijały się o siebie, krzesząc pioruny. Na ziemię spadały krople wody. Uderzały z pluskiem o kamienne płyty i ziemne kurhany. Zadarłam głowę do góry i przetarłam twarz dłońmi, żeby cokolwiek zobaczyć.

Miałam wrażenie, że ulewa chce mnie pochłonąć, wciągnąć w swoje wnętrze. Czułam uderzenie każdej kropli, wiatr chłostał moje ramiona, którymi objęłam się, chociaż wcale nie było mi zimno.

Opuściłam głowę i rozejrzałam się dookoła. Byłam na cmentarzu żerców i szeptuch. Poza mną nie było tu nikogo. Strach pogładził mnie swoimi zimnymi palcami po plecach.

Skąd się tutaj wzięłam? Co się stało?

Spojrzałam na swoje ubranie. Miałam na sobie luźną podkoszulkę i majtki, a na stopach czerwone skarpetki frotte w białe grochy. Skarpety powoli nasiąkały wodą i błotem. Ciężko było już dostrzec czerwień materiału. Palce u stóp zaczęły mi marznąć.

Czerwone skarpetki... skarpetki... Wiem! Przypomniałam sobie, jak Mieszko drwił ze mnie przed snem. Nie potrafił zrozumieć, że po prostu zawsze marznę w stopy i całą zimę spędzam w grubych skarpetkach. Jemu nigdy nie było zimno, dlatego jak mi wyjaśnił, prawie zawsze spał na golasa. Wobec czego, oczywiście, nie miałam najmniejszego zamiaru protestować.

Skarpetki... Ten szczegół sprawił, że przypomniałam sobie, że tak ubrana położyłam się spać u boku Mieszka, w jego domu.

Czemu teraz jestem w lesie? Gdzie Mieszko?

Przed oczami stanął mi wąpierz. Znowu jakiegoś spotkałam? To Weles dawał o sobie znać? Wywabił mnie z domu? Obejrzałam dokładnie swoje ręce, ale nigdzie nie widziałam zadrapania, śladu po tym, że demon mógłby zatruć mnie swoim jadem.

Nagle nad moją głową przetoczył się huk grzmotu. Ziemia pod moimi stopami zadrżała.

Struchlałam.

Szybko wskoczyłam pod sosnę i przykucnęłam obok cisu, posadzonego

specjalnie pośrodku lasu, tuż obok cmentarza, by strzegł jego granic. Czerwone niby jagody miały kolor moich skarpetek, kolor krwi.

Grzmot się powtórzył. Nagle niebo rozdarła błyskawica, przez chwilę oślepiając nagrobki upiornym blaskiem. Przypominały scenografię do filmu, a nie prawdziwy cmentarz. W rozbłysku zobaczyłam Radka stojącego po kolana w sinym obłoku, który wydawał się ledwie materialny. Ale zaraz potem mężczyzna zniknął.

– Radek? – wyszeptałam.

To niemożliwe. Przecież planetnik nie żyje! Nie może walczyć teraz w obłokach. Widziałam jego rozkładające się zwłoki. Stałam nad nimi. Płakałam nad jego losem. To nie może być Radek!

Z szarości chmur wysunęła się przerażająca głowa żmija. Niebo ponownie rozbłysło piorunami, tym razem rozświetlając wszystko fioleto-woróżowym blaskiem.

Szczęki pełne kamiennych zębów rozwarły się, usiłując pochwycić mężczyznę. Ten ledwie umknął. Stracił jednak równowagę. Chmura rozwiła się pod jego nogami. Koziółkując, zaczął spadać w dół, prosto na ziemię. Zamachał rozpaczliwie rękami, ale nie zdołał się niczego uchwycić, ponieważ dookoła niego niczego nie było.

Nie potrafiłam stłumić krzyku.

Radek spadł i zniknął mi z oczu. Nie usłyszałam dźwięku uderzenia. Ziemia była na to zbyt mokra i miękka. Oby tylko nie trafił w płytę nagrobną.

Niespodziewanie gałęzie cisu tuż obok mnie poruszyły się, gdy ktoś przeszedł niespełna metr dalej. Zasłoniłam usta dłońmi.

Przede mną zatrzymała się Ote...

Nie zdołałam się powstrzymać. Pisnęłam przerażona i opadłam tyłkiem w kałużę błota. Jednak ona nie zareagowała na mój zajęczy popłoch. Miałam wrażenie, że mnie nie usłyszała.

Wyglądała tak, jak ją zapamiętałam. Włosy w strąkach, szaleństwo wypisane na twarzy. Jej oczy rzucały wściekłe błyski, gdy szukała swojej zagubionej ofiary. Stała, wężąc w powietrzu. Była tak blisko, że doskonale widziałam skrzydełka jej nosa drgające nerwowo. Zmrużyła oczy i uśmiechnęła się paskudnie, ukazując ostre zębiska. Niemożliwe, by mnie nie widziała ani nie wywęszyła. Klęczałam tuż obok niej!

Spłynął na mnie spokój. Zrozumiałam, że to wizja. Tylko wizja! Nikt siłą nie ściągnął mnie do lasu. To tylko moja cudowna zdolność widzącej. Moje

ciało pewnie leżało teraz spokojnie na łóżku obok Mieszka, bo raczyłam nieświadomie wyjść z siebie.

– Gdzie jesteś? Gdzie polazłaś, zdiro? – powtarzała pod nosem Ote.

Kiwała się lekko na boki, jakby nie mogła powstrzymać rozsadzającej jej energii. Jej bose stopy ugniatały błoto, które przeciekało pomiędzy jej palcami z mlaszczącym odgłosem.

Zmarszczyłam brwi.

Teraz, po fakcie, mogłam z czystym sumieniem stwierdzić, że moje odczucia co do jej osoby zupełnie się nie zmieniły. Nadal nie byłam w stanie na nią patrzeć. Jak to dobrze, że mogłam spotkać ją jedynie w swoich koszmarach.

Poza tym naprawdę nie wiedziałam, co Mieszko w niej widział. Rozumiem, że jest teraz lekko zniekształcona przez bycie demonicą, ale daleko jej było do modelki. Niska jakaś taka, zgarbiona, z małym biustem, poza tym te zęby. Phi!

Pognała przed siebie, węsząc niczym pies w poszukiwaniu swojej ofiary, czyli mnie. Pewnie teraz mój obraz biegł przez cmentarz i zaraz natknie się na Radka i żmija.

Podniosłam się powoli z kucek i przyczaiłam, ale nic się nie działo. Do tej pory zwykle nie podróżowałam w swoich wizjach. Pozwalałam się im ponieść. Teraz jednak nic się nie działo. Ote odeszła. Radek zniknął. Co robić? Gdzie iść? A co najważniejsze – jak się obudzić?

Ruszyłam powoli przez cmentarz. W skarpetkach chlupotało mi błoto, a ja zaczęłam się zastanawiać, czy powinnam odszukać miejsce, w którym zaczęła się na mnie Ote.

Szybko jednak porzuciłam ten pomysł. Nie czułam potrzeby oglądania, tym razem z boku, sceny, w której ktoś wbija mi nóż w brzuch.

Postanowiłam sprawdzić, co się stało z Radkiem, kiedy uratował mnie, niczym rycerz z baśni, przed żmijem. Tym razem już bez obaw ruszyłam w stronę potwora o ciele utkany z mgły, deszczu i kamienia. Przestałam też odczuwać zimno. Śmieszne. Najwyraźniej moja jaźń musiała zrozumieć, że to wizja i dzięki temu przestała podsuwać mi odczucia.

Stałam w samym centrum cmentarza. Koncentrycznie ustawione płyty wydawały się mnie obserwować. Usiadłam na ławce. W chmurach rozgrywał się spektakl światła i dźwięków. Co jakiś czas migająca sylwetka planetnika i jakaś część cielska żmija. Wydawało mi się, że Radek przegrywa. Potwór był coraz niżej. Niewiele brakowało, by stanął na

cmentarzu i zniszczył nagrobki.

Nagle powietrze przeszył dźwięk rogu myśliwskiego. Zerwałam się na równe nogi.

Tego szczegółu nie pamiętam z Nocy Kupały. Chociaż o tej godzinie najprawdopodobniej wykrwawiałam się już w chatce i usiłowałam zmusić Mieszka do wypicia naparu. Mogłam go tam nie usłyszeć. Nie był na tyle głośny.

Kolejna melodia rogu rozległa się z przeciwległej strony. Usłyszałam skowyt i szczekanie psów.

Grzmot wstrząsnął ziemią, gdy żmij także je usłyszał.

– Szybko!!! – usłyszałam spanikowany wrzask Radka.

Rozglądałam się bezradnie. Nigdzie nie widziałam psów. Słyszałam ich szaleńcze ujadanie, ale nie mogłam ich dostrzec. Dźwięki rogów stawały się coraz głośniejsze. Doszedł do nich tętent wielu końskich kopyt i męskie okrzyki. Brzmiało to tak, jakby zbliżała się do nas prawdziwa armia!

Błyskawica uderzyła z trzaskiem o sosnę kilkadziesiąt metrów ode mnie. Drewno strzeliło na wszystkie strony, a drzewo przełamało się jak zapalka. Pisnęłam, odruchowo zasłaniając twarz, chociaż odpryski drewna i tak nie mogły mi nic zrobić.

Gdzieś wystrzelił pistolet. Ukucnęłam i zakryłam uszy rękami. Zdecydowanie nie pamiętam takich atrakcji z Nocy Kupały! Gdy mój spanikowany umysł zrozumiał wreszcie, że to przecież nie do mnie ktoś strzela, uniosłam do góry głowę i otworzyłam usta ze zdziwienia na niecodzienny widok.

Na fioletowym niebie nagle zrobiło się wyjątkowo tłoczno. Radek oświetlony był piorunem, który powoli formował się w jego dłoniach. Przeskakujące iskry rzucały na jego twarz cienie, ale doskonale widziałam jego szaleńczy uśmiech. Gdyby miał włosy zamiast wygolonej czaszki, pewnie wszystkie stałyby mu dęba od wyładowań elektrycznych. Poza planetnikiem dookoła zwalistej sylwetki żmija uwijały się męskie sylwetki na koniach i niezliczona ilość myśliwskich psów. Mężczyźni strzelali z pistoletów, łuków, rzucali oszczepami, atakowali maczugami. Psy z kolei podgryzały żmija po nogach i ogonie.

Kim oni są? I jakim cudem unoszą się wszyscy w powietrzu? W przeciwieństwie do planetnika nie stali na uroczych chmurkach.

Szala zwycięstwa zaczęła przechylać się na stronę Radka. Jego kolejny piorun był mniejszy i bardzo szybko zgasł. Zrozumiałam, że mężczyzna

znacznie osłabł. Gdyby nie pomoc, nie miałby żadnych szans w konfrontacji.

Ścisnęło mnie w gardle z żalu. Przypomniałam sobie, jak mówił, że powoli robi się za stary do tej pracy i że niedługo zdarzy mu się jakiś wypadek. No i się zdarzył. A Radek umarł. Ciekawe, czy jego umięśnieni koledzy z siłowni go opłakali.

Myśliwi zaciekle atakowali potwora, spychając go w stronę gołoborza. Każdy był ubrany inaczej, zupełnie jakby wykradli ubrania myśliwych z różnych epok. Psy także się od siebie różniły. Niektóre wyglądały na rasowe, z kolei inne przypominały wilki.

Nagle głowa żmija rozprysła się na kawałki. Usłyszałam grzmot kamieni, gdy spadały na gołoborze.

Myśliwi zadęli jeszcze raz w swoje rogi i zaczęli odjeżdżać w mrok na swoich czarnych rumakach. Sfora psów pognała za nimi, tym razem już w kompletnej ciszy.

Cofnęłam się o krok, by objąć to wszystko wzrokiem. Zahaczyłam piętą o fragment nagrobka i poleciałam na plecy.

Jęknęłam.

Nagle coś położyło mi się na piersi. Straciłam oddech i spanikowałam. Zepchnęłam z siebie ciężar.

– Hm? – mruknął Mieszko przez sen.

Usiadłam i zamrugałam. Byłam w naszej sypialni. Poduszka wciąż była ciepła od mojej głowy. Kołdra niemalże spadła na ziemię, gdy skopałam ją podczas snu. Zadrżałam z zimna. Miałam skostniałe dłonie, które trzęsły się z zimna.

Spojrzałam w ciemnościach na skarpetki frotte, które miałam na stopach. Czerwone. W grochy. Umazane błotem.

– Gosia? Co się stało? – zapytał Mieszko. – Wiercisz się.

Sięgnął po kołdrę i przykrył się niemalże na głowę. Jemu chyba także było zimno. Odetchnęłam głęboko zaskoczona, że mój oddech nie zamienia się w parę.

– Nic, nic. Miałam dziwny sen... a może raczej wizję – odpowiedziałam.

Potarłam twarz dłońmi. Czemu to zobaczyłam? Kim byli ludzie, którzy pomogli Radkowi w walce ze żmijem? Przybyli na jego wezwanie, czy znaleźli się tam przypadkiem? Jakim cudem mogli podróżować po niebie?

Nic nie rozumiałam.

– Hm? – wymruczał, podsypiając.

- Mieszko, tu jest strasznie zimno – powiedziałam.
- To chodź do mnie pod kołdrę. – Uniósł ją zachęcająco.
- A jak to zimno z mojego snu?

Objęłam się rękami i zadrżałam. Mieszko nie ruszał się przez chwilę. W końcu westchnął głęboko i usiadł obok mnie.

- Co widziałaś? – zapytał i objął mnie ramieniem.

Od razu zrobiło mi się cieplej. Miał gładką, rozgrzaną skórę. Poczułam, jak ciepło powoli się we mnie wsącza.

Opowiedziałam mu całą wizję, ze wszystkimi szczegółami. Pomięłam tylko swoje odczucia na temat jego byłej żony. Zna moje zdanie na jej temat, nie muszę się powtarzać.

- Kim oni byli? – zapytałam Mieszka.
- Wygląda na to, że zobaczyłaś Dzikiego Łów – odparł zaskoczony. Zaczął mnie masować po plecach, a ja zamruczałam.
- Dzikiego Łów? Co to jest?
- To potępione dusze.

Oczywiście, że potępione dusze. Cóż innego mogłabym zobaczyć? Przecież nie słodkie kocięta i szczenięta.

Mieszko opadł z powrotem na łóżko i przykrył się kołdrą. Najwyraźniej uznał, że skończyliśmy rozmowę.

– Chodź spać. Jutro postaramy się pokombinować z ogrzewaniem. Może uruchomimy kominek? Co ty na to? – zaproponował.

Wizja wygrzewania się przy kominku, na miękkiej skórze, przy świetle płomieni, z kieliszkiem wina w dłoni...

A zaraz. Jakiego wina? Przecież ja jestem w ciąży.

Kakao. Kakao też jest dobrym rozwiązaniem. Kakao jest zawsze dobrym rozwiązaniem.

– Dzikiego Łów to mit. – Ziewnął, kuląc się z powrotem pod kołdrą. – Chodź spać.

– Ale to była wizja! – upierałam się. – Nie przyśnił mi się. A skoro mi się nie przyśnił, to znaczy, że naprawdę tam był. Mieszko, on był w Bielinach, to znaczy, technicznie rzecz biorąc w lesie, a nie w Bielinach. Opowiedz mi o nim. Nie zasypiaj. Opowiedz mi!

- A potem będę mógł iść spać? – upewnił się.
- Tak.
- A przytulisz się do mnie grzecznie i też pójdziesz spać?
- Tak – zapewniłam go gorąco.

– Dziki Łów rekrutuje się z potępionych dusz. Każdy może wejść w jego szeregi, ale zostanie potępiony i nigdy nie przekroczy bram zaświatów – zaczął wyjaśniać. – W moich stronach nazywano go Dzikim Gonem i wierzono, że sam Odyn staje czasem na jego czele. Na wschodzie przyjęła się nazwa Dziki Łów. Przemierza świat, cały czas poluje. Jego widok zwiastuje śmierć albo wojnę...

Zaczął zasypiać, więc poczęstowałam go sójką w bok i żeby go zachęcić, także schowałam się pod kołdrę, przysuwając się do jego boku.

Nie spodobało mi się, że jego widok może wróżyć śmierć.

– Ale ja miałam wizję, to chyba nie będzie wojny? – zapytałam. – To się pewnie liczy tylko na jawie, prawda?

– W sumie dawno na żadnej wojnie nie byłem...

– Mieszko!

– Oj, nie będzie, nie będzie. Zapytaj Jagi. To ona się zna na takich rzeczach, a nie ja.

Przytulił mnie do siebie.

– Zimna jakaś jesteś – mruknął niezadowolony.

Wtuliłam się w niego i przykryłam nas kołdrą. Zsunęłam tylko jeszcze z nóg skarpetki, które były wilgotne od błota i pachniały deszczem.

7.

Przez dwie kolejne noce prześladowała mnie ta sama wizja. Nie mogłam się na niczym skupić. Cały czas roztrząsałam jej znaczenie szukając drugiego dna, które przecież musi się kryć gdzieś w tej marze sennej. Nie bez powodu ją widzę.

– Gosia, nie wiem, co to znaczy – skwitował Mieszko, kiedy po raz kolejny zastanawiałam się głośno nad swoją wizją. – Dlaczego nie zapytasz szeptuchy? To ona się zajmuje takimi rzeczami.

W sumie miałam rację, że też wcześniej na to nie wpadłam! Porzuciłam Mieszka zajętego rąbaniem drewna do kominka, który wreszcie mieliśmy uruchomić, żeby nagrzać mniejszy salon oraz położoną nad nim sypialnię, i zadowolona ruszyłam do Jagi. Może wreszcie wszystko się wyjaśni!

Po drodze zaczęłam zastanawiać się nad domem Mieszka. A może raczej naszym domem? Przecież się do niego przeprowadziłam.

Gdy z parteru zniknęły worki z cementem i sterta gratów, niezbędnych podczas remontów, można wreszcie było przejść do urządzania domu. Nie podzielałam bowiem zdania Mieszka, że położenie podłóg i pomalowanie ścian wyczerpuje temat urządzania. Oczami wyobraźni widziałam mały hol z otwartymi przejściami po bokach – jedno z nich prowadziło do dużego salonu, który służył wcześniej Mieszkowi jako sypialnia, a drugie do mniejszego saloniku z kominkiem, otwartego na kuchnię. W holu powiesiłabym na ścianach obrazy, albo rodzinne zdjęcia, jeśli byśmy się jakichś doczekali. W mniejszym pokoiku po lewej zamierzałam zrobić gabinet z biurkiem i komputerem, a przed kominkiem postawić dwa fotele. Stół ustawię w kuchni obok wysokich okien.

Kuchnię i dwiema łazienkami nie musiałam się martwić, bo Mieszko zajął się nimi z właściwym dla siebie minimalizmem. Wystarczy dodać kilka dodatków w kolorze innym niż szary. Na piętrze znajdowały się jeszcze cztery sypialnie i łazienka z wanną zdolną pomieścić co najmniej Mieszka. Z kolei jeszcze wyżej był strych, który spokojnie mogliśmy zaadaptować na kolejne pomieszczenia.

W głowie miałam gotową listę kolorów i dodatków, którymi zamierzałam niewątpliwie upiększyć wnętrza Mieszka, czy tego chciał czy

nie.

A przecież został jeszcze cały ogród do aranżacji! Już nie mogłam się doczekać wiosny. Przy pomocy Jagi mogłabym założyć ogródek ziołowy!

Tuż przed drzwiami prowadzącymi do chatki westchnęłam ciężko. Sama nie mogłam uwierzyć, że potrafię ekscytować się takimi rzeczami. Remont wydawał się niesamowicie przyziemny i zwyczajny w porównaniu z rozmową z bogami, zabijaniem wąża czy chociażby atakiem nożownika.

To dobrze, że umiem się jeszcze cieszyć z drobnych rzeczy.

Zapukałam i wpadłam do chatki szeptuchy.

Odkąd zaszłam w ciążę, Jaga starała się mnie odsuwać od pracy. Nie chciała, żebym złapała jakąś chorobę zakaźną, która mogłaby zaszkodzić dziecku. Poza tym uważała, że po ataku Witka należy mi się odpoczynek. Odruchowo położyłam dłoń na brzuchu, wchodząc do chatki.

Poza Jagą i Gałganem nie było nikogo. Żadnych kichających czy kaszlących pacjentów. Droga czysta.

– Nie ma pacjentów? – zdziwiłam się.

Na jesieni, w sezonie infekcyjnym, drzwi jej chaty niemalże się nie zamykały.

– Martwa godzina się zbliża – powiedziała. – Chcesz zupy?

Faktycznie, było już blisko pory obiadowej. Rozsunęłam suwak kurtki i ściągnęłam z głowy czapkę. Z zadowoleniem stwierdziłam, że u szeptuchy było ciepło. Miałam już dość zimnego domu Mieszka. Piec, który kupił, wciąż nie dojechał i nie mogliśmy włączyć ogrzewania. Zostawał tylko kominek. Nie mogłam się doczekać, gdy go dzisiaj uruchomimy po raz pierwszy.

Wizja romantycznego obiadu przy kominku była niezwykle pociągająca.

– Czemu nie – zgodziłam się.

Stanełam nad garnkiem pełnym aromatycznego czerwonego barszczu. Poczułam, jak ślinka mi cieknie. Gałgan tańczył dookoła naszych nóg w nadziei, że i on coś dostanie.

– Pięknie pachnie – pochwaliłam.

– Wiem – oświadczyła z uśmiechem.

Usiadłyśmy przy stole i zaczęłam zawzięcie wiosłować łyżką. Miałam olbrzymi apetyt. Zupa bardzo mi smakowała. Jarogniewa przyglądała mi się z pobłażliwym uśmiechem, leniwie poruszając swoją łyżką.

– Co? – zapytałam, wybierając resztki z talerza.

– Już jesz za dwoje – skwitowała.

Mój dobry humor lekko siadł. Cięża ciągle mnie stresowała. Nie dlatego, że sam stan mnie przerażał, bo czułam się naprawdę świetnie. A w zasadzie czułam się tak, jak wcześniej. Nie miałam żadnych, ale to naprawdę żadnych objawów. Czasami wręcz się zastanawiałam, czy aby na pewno wciąż jestem brzemienna. Uwierzę chyba dopiero wtedy, gdy przez wystający brzuch nie będę mogła zobaczyć swoich stóp.

Bardziej niż ciąży bałam się tego, co ona oznaczała. Obawiałam się reakcji bogów. Stresowałam się bardzo czekając mnie realizacją obietnicy dla Swarozycy, a także naruszenia moich kruchych stosunków z Mieszkiem.

No i tak już na sam koniec – wzięcie odpowiedzialności za czyjeś życie także było odrobinę przerażające. A co, jak nie będzie chciało się uczyć, tylko odziedziczy po tatusiu skłonność do bijatyk?

Albo będzie chorowite jak mamusia?

– Co cię do mnie sprowadza? – zapytała Jaga. – Dobrze się czujesz?

– Tak, nic mi nie jest – uspokoiliam ją. – Żadnych mdłości, puchnięcia nóg, złego humoru.

– Na puchnięcie nóg to jeszcze trochę za wcześnie – wtrąciła.

– No tak...

– To o co chodzi? Widzę przecież, że aż cię skręca, żeby coś mi powiedzieć.

No to jej powiedziałam. Ze wszystkimi szczegółami. Łącznie z tym, że każdej nocy budzę się w ubłoconych skarpetach. Ten szczegół zaniepokoił ją równie mocno, co mnie, bo oznaczał, że wizja stała się częściowo materialna.

Mnie dodatkowo irytowała konieczność ciągłej walki z praniem. Muszę przekonać Mieszka, że pralka jest mu niezbędna. W swoim przedpotopowym rozumowaniu uważa, że wszystko da się wyprać ręcznie. Po moim trupie będę prała ręcznie spodnie dżinsowe. Szanuję swoje ręce.

– Co mogę zrobić, żeby nie mieć tej wizji? – zapytałam. – Niezbyt dobrze się wysypiam.

– Możemy potraktować ją jako koszmar i zastosować odpowiednią mieszankę ziół przed snem – stwierdziła.

– Och, a jaką?

Przyjazne spojrzenie Baby Jagi od razu stwardniało. Zmrużyła oczy i skrzywiła usta w niechętnym grymasie.

– Powinnaś wiedzieć jaką – odparła. W jej głosie wyraźnie zabrzmiała

przygana, więc zastanowiłam się dwa razy, zanim odpowiedziałam.

– Chyba niestety nie wiem – przyznałam ze skruchą i dorzuciłam bombę, która ostatnio działa w większości przypadków. – Poza tym jestem w ciąży. Nie chciałabym sobie niechcący zaszkodzić.

– Było kilka przepisów w zeszycie mojej babci – powiedziała. – Przecież go czytałaś. Miałaś nauczyć się ich na pamięć.

– No tak...

– Gdzie jest ten zeszyt?

Zaczęłam się gorączkowo zastanawiać, gdzie ostatnio go widziałam. Na pewno czytałam go, jeszcze mieszkając z Jarogniewą. Musiał więc być gdzieś w jej willi. Tylko gdzie?! Nie zabrałam go do domu Mieszka, byłam o tym przekonana.

Cholera...

– U ciebie w domu – oświadczyłam pewnym głosem.

– Tak? – wysyczała.

– Tak – blefowałam bezwstydnie.

O bogowie, oby tam był!

Jaga wstała z krzesła i podeszła do kredensu. Miałam gorącą nadzieję, że nie wyciągnie teraz zeszytu z jakiejś szuflady i nie udowodni mi, że zmyślam. Poczułam, jak na policzki wpełza mi rumieniec, tylko o parę tonów jaśniejszy od zjedzonego barszczu. Po chwili szeptucha odwróciła się do mnie, ściskając jakiś plik papierów, wyglądających na urzędowe druki. To na szczęście nie był zeszyt babci.

– Co to?

– Podstawa programowa – powiedziała.

Odsunęła od siebie kartki i zmrużyła oczy, usiłując przeczytać druk. Zacmokała licówką.

– Podstawa programowa? – upewniłam się.

– Mam tutaj spisane wszystko, co powinnaś umieć – oświadczyła zadowolona. – O! Widzę!

– Co takiego? – zaniepokoiłam się.

Puściłam w niepamięć wszystkie ustępy mojej książeczki praktyk. Po pierwszym szoku, jeszcze w Warszawie, postarałam się wyjątkowo szybko zapomnieć zwłaszcza te, mówiące o węzłach. Nie spodziewałam się, że Jaga kiedykolwiek będzie egzekwować wszystkie te podpunkty. Myślałam, że po prostu podpisze się w każdej rubryczce.

No bez przesady!

– Powinnaś umieć sporządzać leki nasenne! – Postukała paznokciem w zapelnione drobnym drukiem papiery.

Nie podobał mi się kierunek, w jakim zmierzała ta rozmowa. Miałam zdecydowanie złe przeczucia.

– Gosiu, znamy się nie od dziś.

– No... znamy się... – odparłam z rezerwą.

– Wiesz, że cię lubię.

– No wiem...

– Niemniej obawiam się, że czas najwyższy, żebym przeprowadziła ci kolokwium.

8.

Nic nie zmięczyło jej serca: ani bogowie czyhający na moje życie, ani zaginiony Witek, ani nawet ciąża. Miałam zaliczyć kolokwium i już. Nie udało mi się jej przekonać, że przecież nie powinnam się denerwować w moim stanie. Odparła, że wcale nie muszę się denerwować, bo wszystko umiem.

Do zaliczenia miałam przystąpić już za dwa dni, po weekendzie. A wszystko dlatego, że wyrwało mi się nie do końca zgodne z prawdą zapewnienie, że pilnie uczyłam się przez ostatnie miesiące.

Owszem, uczyłam się. Umiałam rozróżniać zioła, wiedziałam, kiedy coś kwitnie, jaka nalewka jest najlepsza na katar. Poprzyklejałam nawet do bezcennego zeszytu kolorowe karteczki i zrobiłam kilka notatek w swoim zeszycie. Gruntowną nauką jednak bym tego nie nazwała. Po etapie edukacyjnego entuzjazmu przeprowadziłam obrzęd nocy panińskiej, a potem nie było już nastroju do nauki. Nie ręczę za to, co zostało w mojej głowie.

Na szczęście udało mi się odnaleźć zeszyt. Nic mu się nie stało. Leżał sobie spokojnie pod poduszką, w pokoju, na strychu willi szeptuchy. Nocowałam tam, gdy moja mama przyjechała w odwiedziny i schowałam zeszyt pod poduszką, zupełnie o nim zapominając.

Zdecydowanie muszę go skserować albo przepisać. Rozumiem, że ma dużą wartość sentymentalną dla Jarogniewy, więc wolałabym go niechcący nie zniszczyć. Gdybym to zrobiła, czekałby mnie smutny koniec. Zwłaszcza jeśli Jaga zna na pamięć wszystkie zaklęcia i przekleństwa z zeszytu babci.

Kawał cholery był z tej babki, swoją drogą...

Z łezką w oku wędrowałam po domu Baby Jagi. Szeptucha została w swojej chacie, więc mogłam sama pokręcić się po willi. To chyba ciążowe hormony, ale wszystko zaczęło mnie rozczulać. Stojąc w pokoju na strychu, przypomniałam sobie, jak zobaczyłam światło w oknie Mieszka i przestraszyłam się, że to Swarozyc chce go skrzywdzić. Jak głupia pobiegłam wtedy do niego, a moja mama oczywiście ruszyła w ślad za mną. To od tamtej pory nasze stosunki były napięte.

Nie potrafię pojąć, co jej się w Mieszku nie podoba. To na pewno

dlatego, że nie zdążyła go dobrze poznać.

Zanim wyszłam z domu, zajrzałam jeszcze do drugiego pomieszczenia na strychu. Drzwi nadal nie były zamknięte. Ciemności i unoszący się wszędzie kurz nie zachęcały, ale mimo to weszłam do środka. Zerwałam czarny materiał z jednego z okien dachowych. Strzępki czarnego materiału wkręciły się w zawiasy i zawisły smętnie. Fragment, który został mi w rękę, rzuciłam pod ścianę.

Gdy wieczorne, pomarańczoworóżowe światło wpadło do zagadkowego pomieszczenia, mogłam mu się wreszcie lepiej przyjrzeć. W grubej warstwie kurzu widać było jedynie odciski moich stóp. Biorąc pod uwagę, że na wsi nie kurzyło się aż tak bardzo jak w mieście, zdecydowanie dawno nikt tutaj nie zaglądał.

Dlaczego w takim razie Baba Jaga otworzyła drzwi? Wcześniej były przecież zamknięte. Otworzyła je więc i nawet nie weszła do środka. To ja jestem pierwsza. Po co w takim razie odblokowała zamek? Chciała tylko zajrzeć? Sprawdzić, czy nic się nie zmieniło?

Poczułam się nieswojo. A może to nie szeptucha otworzyła drzwi?

Świece także przykrywał kożuch szarego pyłu. Nikt nie zapalał ich od lat. Mimo to w powietrzu unosił się delikatny zapach wosku. Na pochyłym suficie wisiały dawno porzucone pajęczyny, pełne zasuszonych trucheł much i martwych pajaków. W tym pokoju nie było życia.

Miałam wrażenie, że coś obserwuje mnie w ciemności czającej się w kątach pomieszczenia.

– Ubożęta, jeśli mnie obserwujecie, to tylko tracicie czas – powiedziałam głośno, raczej by dodać sobie odwagi, niż przegonić podglądaczy swarnego boga. – Nie ma tutaj nic do oglądania. Powtórzcie to swojemu panu.

Jeszcze raz potoczyłam spojrzeniem po pokoju, nawet nie usiłując liczyć dziesiątek świec. Po co Jaga kazała mi kiedyś kupować świece, skoro tutaj miała ich całe mnóstwo? Czemu nie wzięła kilku do swojej chaty? Nie chciała ich zapalać do zaklęć, bo już były kiedyś używane?

Na plecach poczułam powiew zimnego powietrza. Odwróciłam się szybko, ale niczego za sobą nie dostrzegłam. Okno było zamknięte, a materiał w strzępach wisiał kompletnie nieruchomo. Drzwi były otwarte tak, jak je zostawiłam.

Ruszyłam szybko do wyjścia, przeskakując przez świece. Nie zamierzałam spędzić tutaj ani chwili więcej. Coś zmieniło się w powietrzu. Poczułam się nieswojo.

Na środku pomieszczenia dostrzegłam na podłodze zarys jakiegoś kształtu. Zatrzymałam się gwałtownie i ukucnęłam. Deski były zniszczone i brudne, ale wyraźnie dostrzegłam na nich narysowany niegdyś czerwoną farbą krąg. Nie był duży. Mogły w nim stanąć cztery osoby.

Rysunek zatarł się w kilku miejscach, zupełnie jakby ktoś chciał go celowo zniszczyć. Rozejrzałam się dookoła. To był prawie idealny okrąg. Świece, niby ustawione bezładnie, w wielu nierównych rzędach, otaczały to miejsce, ten skrawek podłogi. Jakimś cudem wcześniej tego nie zauważyłam. Dziwne...

Oj, Jaga, Jaga... Co ty tu wyczyniałaś?

Spojrzałam na trzymany kurczowo w dłoniach brulion. Nigdy nie doczytałam go do końca. Może w nim znajdę jakieś odpowiedzi.

Po plecach znowu smagnął mnie zimny powiew. Niepewna, skąd bierze się ten dziwny przeciąg, uniosłam głowę.

Nagle drzwi do pokoju drgnęły i powoli zaczęły się zamykać. Serce stanęło mi w gardle. Zerwałam się na równe nogi i rzuciłam do wyjścia. Kopnęłam niechcący jedną ze świec, a ta wyleciała na korytarz tuż przede mną.

Ciężko oddychając, zlustrowałam korytarz. Oczywiście nie było na nim nikogo.

– Jaga? – zawołałam.

Istniała możliwość, że weszła właśnie do domu, w efekcie zrobił się przeciąg, a te przekłete drzwi zaczęły się zamykać. To by wszystko wyjaśniało.

Wyjaśniałoby, gdyby mi odpowiedziała. Jednak nikt się nie odezwał. Nikogo poza mną nie było w willi.

Złapałam świecę z podłogi, wrzuciłam ją byle jak do środka i zatrzęsłam drzwiami. Nie podobało mi się to miejsce. Nie zamierzałam szybko do niego wracać. Oj, nie.

Kiedy szłam drogą, zobaczyłam Jagę wychodzącą ze swojej chatki. Wyprostowała się z wysiłkiem i pomasowała plecy w okolicy krzyża. Ostatnio często dokuczały jej bóle. Pomachałam jej zeszytem. Kiwnęła głową zadowolona, że go znalazłam.

– Pamiętaj! Za dwa dni! – zawołała jeszcze.

Przez chwilę chciałam ją zapytać o pomieszczenie na strychu, albo chociaż ostrzec, że drzwi same chciały się zamknąć, ale pomyślałam, że byłoby to z mojej strony wścibstwo. Być może miała swoje powody, by je

zamknąć przede mną i nigdy o nich nie wspominać. Zamykające się samoistnie drzwi też na pewno dało się łatwo wytłumaczyć. To musiał być przeciąg.

Gdy weszłam do domu Mieszka, powoli zapadała już ciemność.

– Mieszko? – zawołałam z holu.

Wydostałam się z kurtki i skopałam buty w kącie. Zadrżałam, gdy przez skarpetki poczułam zimno ciągnące od podłogi.

– Tu jestem! – odkrzyknął z gabinetu.

Przebiegłam przez hol do pokoju, w którym na podłodze była położona, już nie tak zimna, drewniana klepka. Zatrzymałam się w progu zaskoczona. Mieszko stargał materac z sypialni na piętrze i rozłożył go przed kominkiem. Siedział teraz po turecku w samych spodniach dresowych i dokładał drwa do wesoło płonącego ognia. Światło w pokoju było zgaszone i kolorowe błyski płomieni tańczyły po ścianach niemalże pustego pomieszczenia.

Ominęłam stojące pod oknem biurko i usiadłam na materacu. Wysoki zegar zaczął wybijać rytm. Robił to o każdej pełnej godzinie.

– Czyli z piecem nadal nic się nie da zrobić? – zapytałam.

– Nie, może dojedzie jutro. Cytuję: *może*. Chyba wszyscy zamawiają w tym samym momencie piece – odpowiedział skwaszony. – Nocujemy dzisiaj tutaj. Nie będziesz mi znów marudzić, że ci zimno.

– Co ja poradzę, zimno tu! – obruszyłam się.

– Teraz nie będzie ci zimno, a ja niedługo coś wymyślę.

– Zegar będzie nas budzić – zauważyłam, gdy przestał wybijać rytm.

– Mogę go zatrzymać – zaproponował.

– Nie zepsuje się?

– Nie powinien. Wystarczy zatrzymać sprężynę.

Spojrzałam na metalowe serce zegara wiszące na łańcuchu. Żał było je zatrzymać.

– Spróbujmy spać z zegarem. Najwyżej w nocy go wyłączysz – powiedziałam.

Koło kominka, na wysprzątaną przeze mnie – bo przez kogóż by innego – podłogę leżała cała sterta drewna. Mieszko chyba zamierzał wprowadzić się tutaj na stałe, bo wątpię, że moglibyśmy zużyć te szczapy jednej nocy.

– Co masz? – Przysunął się do mnie.

Podaliśmy mu zeszyt babci Jarogniewy i wyjaśniłam szybko, jakie nieszczęście mnie dzisiaj spotkało. Przekartkował notatki i pokiwał głową.

– Za moich czasów szeptuchy wzbudzały powszechny strach i szacunek – oświadczył.

– Strach?

– Tak, dokładnie w tej kolejności. Najpierw strach, a potem szacunek. – Oddał mi zeszyt. – Nikt nie śmiał przeciwstawić się wiedźmie.

Pomyślałam o Ote, którą znałam z wizji i nie tylko. Nie dziwię się, że się bali.

– Gdybym ja była szeptuchą, to ludzie nie musieliby się mnie obawiać – powiedziałam.

– A nie zostaniesz nią? – zapytał zdziwiony. – Myślałem, że wciągnęłaś się w te ziółka i czary. Podczas remontu ciągle mnie zameę... ciągle mi mówiłaś, gdzie mam zamurować jaki wieniec albo jajko. Wciąż uważam, że to jajko pod podłogą będzie kiedyś śmierdzieć.

– Nie będzie – oświadczyłam.

– Mam nadzieję...

– A szeptuchą w żadnym razie nie zamierzam zostać – dodałam.

– Co w takim razie zamierzasz? – zapytał powoli. – Nigdy cię o to nie zapytałem.

To prawda. Nie zapytał mnie o zdanie, kupując dom w Bielinach. Zaplanował naszą przyszłość, nawet przez chwilę nie zastanawiając się, czego mogłabym chcieć. Chociaż z drugiej strony, czy miałam mu to za złe? Tyle się ostatnio działo w moim życiu, że ucieszyłam się z faktu, że ktoś zaczął myśleć za mnie. Ja się na razie skupię na tym, co mam w brzuchu i na sprawieniu, żeby Swarozyc się ode mnie odzepił.

Wyciągnął stopy w stronę ognia i wziął mnie za lodowatą rękę.

– Przemarzałaś. – Zmarszczył brwi zaniepokojony tym odkryciem. – Znowu. Ciągle marzniesz.

Zerwał się z materaca i poszedł do kuchni. Usłyszałam stuk przełącznika czajnika elektrycznego.

– A zrobisz mi herbatę z imbirem? – zawołałam za nim.

Odburknął coś w odpowiedzi. Chyba nie kupił imbiru, chociaż go o to prosiłam.

– Nie wiem czy chcę zostać szeptuchą – powiedziałam na tyle głośno, żeby usłyszał. – Zawsze chciałam być lekarzem, nosić biały, sztywny fartuch, wzbudzać respekt swoją wiedzą. Nie strach, tylko właśnie szacunek. Chciałam pomagać innym.

– Przecież jako szeptucha też byś pomagała.

Patrzyłam, jak ustawia obok mnie krzesło i na drewnianym siedzisku stawia dwa parujące kubki i talerz kanapek z szynką i pomidorem. Kanapki były lekko zasuszone. Chyba zrobił je już jakiś czas temu, kiedy na mnie czekał.

Rozczuliło mnie to. Nie do końca pasowało do wizji romantycznego obiadu przy kominku, ale jestem w stanie przymknąć oko na to drobne odstępstwo. Starał się.

– Niby tak, ale szeptuchowanie jest takie trochę... mniej higieniczne od pracy w szpitalu. Tam są środki odkażające, czysta pościel, specjalne linoleum bez łączeń, w których mogłyby gnieździć się bakterie...

– W twoich żyłach płynie magia kwiatu paproci. Naprawdę jeszcze przejmujesz się zarazkami? A co one ci mogą teraz zrobić?

Usiadł za mną i oplótł mnie ramionami. Oparłam się o niego plecami i otworzyłam zeszyt. Płomienie przed nami dawały wystarczająco dużo światła, żebym mogła czytać. Przebiegłam wzrokiem pierwsze kartki, na których znajdowały się przepisy na popularne syropy i nalewki. To już miałam opanowane. Ale musiałam się jeszcze nauczyć całych stron przepisów z cyklu: „jak pozbyć się sąsiada”. Nawet nie zdawałam sobie sprawy, że jest na to aż tyle sposobów!

– Poza tym nie chcę być kimś złym – pożałowałam się. – A niektóre z tych przepisów są... no cóż... Wymagają na przykład zarżnięcia kury, czy nacięcia swojego palca.

– To straszne – skwitował, odrzucając mój warkocz do przodu. Poczułam na karku jego ciepły oddech. – Nie wiem, jak zdołałabyś przeciąć swój własny palec. Dzisiejszy poranek musiał być dla ciebie prawdziwą traumą.

Pacnęłam go zeszytem. Faktycznie rano przecięłam sobie palec nożem. Nie moja wina, że ostrze ześliznęło się z jabłka, którego nie byłam w stanie obrać, ale okazało się na tyle ostre, że w moje ciało weszło jak w masło.

– Żebyś wiedział, że straszne. Praca lekarza jest prostsza. Masz tabletkę, maść albo syrop. Dajesz i każesz łykać. Jak nie pomogło, to dajesz inne lekarstwo. A tutaj wszyscy oczekują cudów! – żołądkowałam się w najlepsze. – I co najgorsze, trzeba im je dawać! A co ja wiem o krowach i kamieniach księżycowych? Wiem, że czasami trzeba potrzebę jednym o drugie, i tyle! A gdzie tu podstawy naukowe? Badania kliniczne?!

Mieszko pokiwał posłusznie głową, chociaż miałam wrażenie, że w ogóle mnie nie słuchał.

– Badania. Masz rację. Badania są najważniejsze.

Skubnął mnie zębami za płatek ucha.

– Przecież to brednie! – kontynuowałam. – Albo takie zaklęcia miłosne. Jakoś mi się nie wydaje, żeby noszenie przez pannę sera pod pachą miało zwiększyć jej szanse na małżeństwo. Zwłaszcza jeśli potem tego kawalera musiała nakarmić tym serem. No ja dziękuję za takie porady!

– Mam nadzieję, że nie karmiłaś mnie takim serem.

– Nie.

Na końcu języka miałam uwagę, że z uporem maniaka stosowałam szampon z lipy, który także przyciągał płęć przeciwną, ale w sumie po co mu się tłumaczyć. Niech żyje w przeświadczeniu, że to on pierwszy mnie zauważył.

Zrobiło mi się gorąco od siedzenia przy kominku. Ciepłe ciało Mieszka znajdujące się tuż za mną zapewne także się do tego przyczyniło. Zdjęłam sweter i zostałam w samej podkoszulce. To był błąd. Mój pierwszy błąd, skoro chciałam się uczyć tego wieczoru.

Mieszko mruknął aprobująco. Jego dłonie wsunęły się pod cienką bluzkę. Poczulałam, jak jego palce błędzą po nagiej skórze. Opuszki jego palców były chropowate od odcisków. Zawsze je miał. Nawet przyspieszone gojenie ich nie eliminowało. To nie były palce delikatnego mężczyzny spędzającego całe życie przy biurku. To były dłonie przywykłe do miecza i ciężkiej pracy.

Sunęły teraz od moich bioder w stronę piersi. Palce zataczały delikatne kręgi. Fale rozkosznych dreszczy przebiegały po moich plecach.

– Co zrobiłeś ze sztyletem? – zapytałam.

Sama byłam zaskoczona tym pytaniem. Ogień skojarzył mi się ze Swarożycem, a od niego moje myśli momentalnie powędrowały do narzędzia mordy. Niezbyt dobry temat na rozmowę, gdy dłonie mężczyzny błędzą pod bluzką.

Twoją bluzką.

– Schowałem go – powiedział.

Jego palce nic sobie nie robiły z naszej rozmowy. Unosił moją podkoszulkę coraz wyżej, aż zmusił mnie do zsunęcia ubrania. Opadło na podłogę. Zostałam w koronkowym staniku. Miałam wrażenie, że w pokoju robi się coraz goręcej. Zdecydowanie nie byłam już zmarznięta.

Ogień płonął naprzeciwko nas, rzucając na ściany ciepłe, powykęcane cienie. Rzuciłam w jego stronę niespokojne spojrzenie, ale na szczęście nie zobaczyłam niczego podejrzanego. Coraz trudniej było mi złapać oddech.

– Gdzie go schowałeś? – szepnęłam, gdy jego dłonie wspięły się na moje piersi. Odchyliłam głowę do tyłu i przytuliłam policzek do jego brody. Ukłuły mnie szorstkie nitki jego zarostu. Drobne włoski dawały już o sobie znać, chociaż rano się ogolił.

Wskazał palcem na jedną z kamiennych płyt pod kominkiem. Wyglądała tak samo jak inne. Nie wyróżniał jej żaden szczegół, rysa czy skaza. Zwykła płytka z beżowego marmuru poznaczona delikatnymi żyłkami.

– Tam jest skrytka. Musisz uderzyć w prawy górny róg, a płytka odskoczy – wyjaśnił.

– A po co ci ta skrytka? – zdziwiłam się.

– Żeby chować w niej sztylet.

Poczułam jego usta na swojej szyi. Całował delikatnie. Miałam wrażenie, że ledwie dotyka wargami mojej skóry.

Złapałam zeszyt babci szeptuchy.

– Muszę się uczyć – wysapałam, czując, jak moja silna wola topnieje z każdym kolejnym gorącym oddechem muskającym skórę. Dreszcze podniecenia leniwie pełzały po moim ciele.

– Nie przeszkadzaj sobie – wyszeptał prosto do mojego ucha i pocałował delikatną skórę. Poczułam muśnięcie jego języka.

Jęknęłam.

– Mieszko... muszę się uczyć!

– Ucz się.

Jego ciepłe wargi zaczęły zsuwać się wzdłuż szyi. Miałam wrażenie, że pocałunki mnie parzą. Gdy odsunął się ode mnie na chwilę, ledwie powstrzymałam się, by nie przyciągnąć go z powrotem.

Spojrzałam na litery, zapisane w zeszycie odrobinę nieczytelnym pismem. Nie miałam ochoty teraz się w nie wczytywać. Czułam, jak moje serca obija się o żebra, a krew szumi w żyłach. Nie rozumiałam znaczenia słów. Litery mieszały się ze sobą. Chrzanić przepisy!

Położył dłonie na moich ramionach. Palce zaczęły masować naprężone mięśnie. Poczułam, jak powoli opuszcza mnie całe napięcie.

– Kolokwium – szepnęłam jeszcze.

– Zdążysz...

– Mam dwa dni.

– To mnóstwo czasu – zapewnił mnie ze śmiechem.

Miałam ochotę odgryźć mu się, że w jego czasach nie musiał się tyle uczyć, więc nie powinien się wymądrzać, ale szybko mi przeszło, gdy jego

dłonie zaczęły błędzić przy zapięciu moich spodni. Na wszelki wypadek odłożyłam brulion z dala od herbaty i materaca. Nic go nie zaleje, a my go nie zgnieciemy. BHP przede wszystkim!

Położyłam się i pociągnęłam Mieszka do siebie. Uniosłam biodra do góry, pomagając mu w zsunięciu spodni. Rozpięłam stanik i odłożyłam go na bok. Zostałam w samych majtkach. Tym razem nie miały motywu Hello Kitty. Na samym środku białych fig producent wielkodusznie umieścił tylko różowe serduszko.

Zawstydzona zasłoniłam piersi i ruchem głowy wskazałam na płomienie.

– A jeśli Swarożyc patrzy? – zapytałam.

– Niech też ma coś z życia – powiedział i mnie pocałował.

Odsunął moje ręce i przykrył jedną z piersi własną dłonią. Wygięłam plecy i westchnęłam. Niecierpliwie szarpnęłam za gumkę jego dresów.

Zaśmiał się cicho i położył się obok mnie. Objęłam go za szyję i przytuliłam się do jego nagiej piersi. Uwielbiałam czuć jego nagą skórę na swojej. Położył dłoń na moje kolano. Jego palce zaczęły sunąć po moim udzie, w stronę majtek.

– Nie mam nic przeciwko zirytowaniu swarnego boga. Niech wie, że jesteś moja i nigdy mu cię nie oddam – dodał.

Oboje spojrzeliśmy na ogień, w którym na szczęście nie czało się nic złego.

A potem zupełnie nie obchodziło mnie, czy ktoś na nas patrzy.

9.

Nauka z Mieszkiem szła mi koszmarnie. Nie mogłam się skupić, gdy spaliśmy koło kominka. Tak mu się to spodobało, że chyba odpuścił sobie montaż pieca. Przestał już nawet dzwonić do firmy, która miała go przywieźć.

– Jaga, mogę u ciebie dzisiaj nocować? – zapytałam, wpraszając się dodatkowo na zupe.

Mój czas na naukę dramatycznie się skurczył. Został mi jeden wieczór, następnego ranka miał odbyć się mój sprawdzian, a ja ciągle nie przyswoiłam całego zeszytu. Zostało mi ostatnie kilkanaście stron i powtórka całego materiału. Nie dam rady tego zrobić z Mieszkiem, który najwyraźniej postanowił udowodniać każdej nocy Swarożycowi, że wygrał.

– A czemu? – zapytała z błyskiem w oku.

– Mieszko mi przeszkadza w nauce.

– W nauce? Ponoć wszystko umiesz.

– No daj spokój. Jeden wieczór chcę spędzić sama. Mogę spać w pokoju na strychu. Nie będę ci przeszkadzać. Nawet nie zauważysz, że jestem.

– Oj, Gosiu, Gosiu.. – Zacmokała licówką i zmarszczyła brwi. – W żadnym razie mi nie przeszkadza, że u mnie zamieszkasz.

Przestała oporządzać grzyby. W całej chatce unosił się przyjemny zapach, który zawsze kojarzy mi się ze świętami. Grzyby wyjątkowo obrodziły w tym roku. A Jaga najwidoczniej postanowiła zebrać wszystkie prawdziwki, które pojawiły się w lesie.

– Super! – ucieszyłam się.

Nie zamierzałam już wracać do domu. Miałam ze sobą w torbie pizzę i ubranie na zmianę. Jedyne, o czym marzyłam, to zakopać się pod kołdrą z kubkiem herbaty i zeszytem. Nic więcej do szczęścia nie było mi potrzebne.

– Ale wiesz, że w sumie powinnaś wprowadzić się na stałe? – zapytała.

– Hę? Dlaczego?

Drzwi chatki szeptuchy otworzyły się gwałtownie. Stała w nich kobieta pracująca w sklepie niedaleko skrzyżowania i przystanku busów. Uśmiechnęłam się do niej. Lubiłam ją. To ona wskazała mi drogę do Baby

Jagi, kiedy przyjechałam po raz pierwszy do Bielin, poza tym zawsze odkładała mi świeże bułki, kiedy pomieszkiwałam u szeptuchy.

– Dzień dobry szeptucho, ja po poradę przyszedłam! – oznajmiła. – Tak jak się umawialiśmy!

Zamknęła z rozmachem drzwi. Uderzyły o futrynę z głośnym trzaskiem. Przestraszony Gałgan o mało nóg nie pogubił, uciekając za piec.

Przesiadłam się na ławę pod oknem, żeby miały miejsce przy stoliku. Jarogniewa zostawiła grzyby i wytarła zabrudzone na czarno palce o lnianą szmatkę.

Wstała powoli i ruszyła w stronę kredensu. Pomasowała się po grzbiecie. Zmartwiłam się. Nie wyglądało mi to na jej zwykłą grę mającą na celu wyciągnięcie jak największej sumy z klienta.

– Aaa, uczennica szeptuchy! – sklepikowa ucieszyła się na mój widok. – Co tam słyhać?

– Siodojcie, siodojcie – wtrąciła Jaga i powoli ruszyła w stronę swojego kredensu.

– Wszystko dobrze – odpowiedziałam do pacjentki, która wpatrywała się we mnie swoimi lekko wyłupiastymi oczami.

Uśmiechnęła się szeroko na widok mojej różowej torby, w której miałam rzeczy. Zasiadła na krześle przy okrągłym stole i zaczęła machać nogą.

– Ach widzę, że przeprowadzacie się znowu do szeptuchy? – zapytała, wskazując na mój bagaż.

Uniosłam do góry brwi. A co to ją obchodzi?

– Chwilowo tak – odparłam.

– I bardzo dobrze. Ja to tam się nie czepiam, ale wiadomo, co to we wsi gadają – skwitowała.

Jaga stanęła obok niej i położyła na stole mały pakunek z szarego papieru, przewiązany jutowym sznurkiem. Z namaszczeniem rozwiązała kokardkę i zaczęła odwijać kolejne warstwy. Klientka wzdrygnęła się, ale pochyliła ciekawie.

– To jest właśnie to? – zapytała.

– Tak – odparła Jarogniewa.

Nie miałam zielonego pojęcia, co się dzieje i co to za wielka tajemnica. Nie kojarzyłam także tajemniczego pakunku. Nie było go w kredensie ostatnim razem, kiedy robiłyśmy inwentaryzację.

– Smatą żłób musis potseć – powiedziała Jaga.

Wstałam ze swojego miejsca na ławie i zerknęłam ponad jej ramieniem

na stół. W papier zawinięte były jakieś szare gałgany ozdobione delikatnym rzucikiem w romby. Były brudne.

A po co pocierać tym żłób...?

Zamarłam. W zeszycie babci był jeden przepis, w którym należało potrzeć żłób w stajni, aby mieć utuczone bydło i aby krowy zawsze całą paszę ze żłobu zjadały.

Sklepiarka z obrzydzeniem zawinęła gałgan w papier i położyła na stole dwieście złotych.

– Oddaj mi potem! – Jarogniewa zgarnęła pieniądze do kieszeni fartucha i pogroziła palcem klientce.

Lekko pobladła na twarzy kobieta pokiwała głową. Widać po niej było, że w żadnym razie nie zamierzała przywłaszczać sobie pakunku.

– Na pewno zadziała? – upewniła się jeszcze.

– Tak.

– W takim razie do widzenia. Przyjdę jutro i oddam... to.

Wstała i wyszła szybko z chaty. Wyjrzałam przez okno. Szła sztywno szosą, trzymając paczkę przed sobą, zupełnie jakby ta wydzielala jakiś nieprzyjemny zapach.

– Czy tam w środku było to, co myślę? – zapytałam.

– A ja wiem, co ty myślisz? – zachnęła się Jaga.

– Czy to był kawałek ubrania wisielca?

– Widzę, że jednak się uczyłaś! – ucieszyła się.

– Na litość wszystkich bogów, skąd wytrzasnęłaś ubranie wisielca?!

– Z cmentarza – oświadczyła i usiadła z powrotem do oporządzania grzybów.

Usiadłam na krześle naprzeciwko niej.

– To się domyślam, że z cmentarza – skwitowałam. – Nie pamiętam tylko, żeby wcześniej taki eksponat znajdował się w twoich zasobach. Czy ty ostatnio rozkopywałaś groby?

– Owszem – odparła, nie podnosząc na mnie oczu.

– Sama?

– Nie inaczej.

– Czemu nie poprosiłaś mnie o pomoc?! To dlatego bolą cię plecy i się po nich ciągle macasz! Wszystko jasne! Trzeba było mi powiedzieć.

– Jesteś brzemienna. Nie możesz się szarpać! – Spojrzała na mnie twardym wzrokiem.

Oparłam dłonie na stole i pochyliłam się w jej stronę.

– A ty, z całym szacunkiem, jesteś już dojrzałą kobietą. Też się nie powinnaś szarpać.

– Przejdzie.

– Mieszko mógł kopać, on lubi łązić po cmentarzach. Jeszcze jakbyś mu przy okazji pozwoliła odrąbać komuś głowę...

– A zastanawiałam się, czy nie zabrać głowy – wtrąciła. – Zakopana w ogrodzie przepędza demony. A jakby ją pomoczyć w wodzie, to potem tę wodę mogłybyśmy mieszać z wódką i miałybyśmy lekarstwo na nadużywanie alkoholu. Kobity ze wsi by się o to zabijały. Czytałaś o tym, mam nadzieję?

Ledwie powstrzymałam odruch wymiotny, chociaż dobrze znałam ten przepis, czytałam o nim wczoraj.

– Czytałam, czytałam...

– Ale nie wzięłam jej w końcu – ciągnęła z niezadowoleniem. – Prawie wcale ciała na niej nie było, w zasadzie same kości obleczone w trupaż. Ostatni wisielec umarł bardzo dawno temu. Jakiś świeży by się nam przydał. Całe szczęście, że chociaż koszulę miał z tworzywa sztucznego, nie rozłożyła się tak szybko jak garnitur. Z garnituru nie było już co zbierać.

– Całe szczęście... – Pokiwałam głową, nie dowierzając, że rozmawiamy właśnie o bezczeszczeniu zwłok.

A jutro czeka mnie jeszcze z tego kolokwium!

Przed oczami ciągle miałam Jagę, którą nocą, po kryjomu macha łopata na pobliskim cmentarzu. Zaraz, zaraz... cmentarzu?

– Czekał, a gdzieś ty kopała w poszukiwaniu tego wisielca? – zapytałam.

– Przecież wisielców się nie zakopuje na cmentarzu, bo odebrali sobie życie i przynoszą przez to pecha.

Trzeba ich pochować na rozstaju dróg, żeby nie mogli trafić z powrotem do wsi, jakby przypadkiem wstali z martwych. Każde dziecko wie, że wisielec może, bez żadnego problemu, zmienić się w złego upira o wielce oryginalnej nazwie: wisielec. Łazi potem taki po wsi, ze sznurem na szyi i dusi przechodniów, dopóki ktoś odważny nie zerwie mu sznura z szyi.

– Sama go kiedyś zakopałam, to pamiętam gdzie leży. – Wzruszyła ramionami, jakby to nie było nic niezwykłego.

– Sama go...?

– To teraz nieważne! – Machnęła ręką. – Może kiedyś ci opowiem. To stara historia z młodości. Oj, to była dopiero historia.

Chętnie posłuchałabym tej opowieści już teraz. Z Jarogniewy

zdecydowanie było niezłe ziółko. Jak nie doprowadzała sąsiadów do pijaństwa, to łąziła po lesie w poszukiwaniu wejścia do zaświatów albo zakopywała wisielców.

– A sznur? – zapytałam jeszcze.

Wisielczy sznur jest dość potężnym artefaktem. Przynosi szczęście, bogactwo, a także pomaga przywiązać do siebie miłość.

– Dobrze schowany u mnie w domu. A ty myślałaś, że skąd ja się dorobiłam na dom? Przecież nie na syropie z sosny – zadrwiła.

Sądziłam, że dzięki sprzedaży kamieni księżycowych, ale najwyraźniej się myliłam.

– Wracając do Mieszka. – Postukała paznokciem o blat, żeby skupić na sobie moją uwagę. – Nie powinnaś z nim mieszkać. Ludzie gadają.

– Co gadają? Czemu nie mogę z nim mieszkać?

– No przecież sama słyszałaś, co Kowalikowa powiedziała.

– No właśnie nie do końca zrozumiałam, o co jej chodziło.

– Takie to wyedukowane, z miasta przyjechało, gdzie wszystko wolno i nikt krzywo nie patrzy. Niestety na wsi, moja droga Gosiu, jest zupełnie inaczej. Powiedz mi, skarbie, a swaćbę to wyście wzięli?

Och! To o to chodziło.

– No nie... – przyznałam.

– A jak brzuch ci się pokaże, to co wtedy będzie, hę? Wstyd taki! Weź ty tego chłopa w łeb stuknij. Oświadczyć się chociaż powinien.

Poczerwieniałam. Swaćba w ogóle nie przyszła mi do głowy. Cieszyłam się z tego, co mam. Nie pomyślałam o ślubie. Jakoś tak wydawało mi się logiczne, że kiedyś staniemy się mężem i żoną, ale raczej była to kwestia dalszych planów, a nie tych najbliższych.

– I tak se policzą po porodzie, kiedy poczęliście dzieciaka. Tacy głupi to na wsi nie są. Do dziewięciu policzą – dodała złowieszczym tonem. – A kogo będą wtedy obgadywać?

– No... mnie?

– Mnie! – huknęła. – Że uczennicy nie przypilnowałam! Taki wstyd na stare lata mnie spotka...

10.

Zerknęłam tęsknie na pograżony w ciemnościach dom Mieszka. Widziałam lekką, drgającą łunę przez okna na parterze. Pewnie już spał przy kominku, grzejąc się i wypinając w stronę płomieni, na wypadek jakby Swarożyc chciał popatrzeć.

Ja natomiast siedziałam na strychu Jagi i starałam się za wszelką cenę nie usnąć. Odeszłam od okna, zakańczając tym kilkuminutową przerwę w nauce i usiadłam z powrotem na łóżku.

Przekartkowałam już wszystkie swoje notatki, a także wszystkie przepisy wykaligrafowane przez babcię szeptuchy. Zostało mi jeszcze tylko kilka kartek zapełnionych pochylonym pismem Jarogniewy. Nie podobały mi się te ostatnie zaklęcia. Ponad połowa służyła przywołaniu do siebie boga ognia i związania go obietnicą.

Już i tak zbyt wiele mnie łączyło ze Swarożycem. W żadnym razie nie miałam ochoty dowiadywać się, w jaki sposób związać się z nim kolejną obietnicą. Dziękuję bardzo!

Podrapałam okrągłą bliznę, która znajdowała się po wewnętrznej stronie mojego prawego nadgarstka. Nie doskwierała mi już, zbielała i jakby się zmniejszyła. Nie czułam jej. Czasami nawet zapomniałam, że ciągle ją mam. Jednak była tam. I będzie ze mną na zawsze.

Kolejne strony zeszytu zapisane przez Jarogniewę mówiły, jak zgasić ogień.

Te zaklęcia interesowały mnie znacznie bardziej.

Przekląłam własną głupotę, że nie przeczytałam tego wcześniej. Nie wiem, do czego mogło mi się przydać i czy w ogóle mogło, ale przecież wręczając zeszyt, Jaga mówiła mi, że z tyłu jest coś ciekawego. A ja nawet nie sprawdziłam, głupia.

Kilka godzin później udręczona słowami zaklęć tłukącymi mi się po głowie położyłam się w pościeli, kurczowo obejmując brzuch. Nie podobały mi się te zaklęcia. Ani te przywołujące ogień, ani te, które miały go zgasić. Prawie wszystkie wymagały wymalowania kręgu na podłodze. Rzecz jasna krwią. Na pewno będę miała przez to koszmary senne. Mogę się założyć.

Zgasiłam lampkę nocną i wykręciłam się do niej plecami.

Zanim zamknęłam oczy, pomyślałam jeszcze, że powinnam dowiedzieć się czegoś więcej o sztylicie, który podarował mi Swarożyc. Co było w nim takiego, że to on miał być narzędziem karni?

Pogłaskałam czule brzuch i odetchnęłam głęboko.

– Dobranoc – szepnęłam do fasolki, która była w środku.

Powoli zaczęłam wierzyć, że mam w środku pasażera i nie jest to bynajmniej pasożyt złapany od Gałgana. A skoro już raz w to uwierzyłam, to postanowiłam mówić do dziecka. Kto je tam wie? Może wszystko słyszy.

Nagle pod zamkniętymi powiekami zobaczyłam rozbłysk światła. Zaalarmowana otworzyłam oczy, ale w pokoju było ciemno. Podniosłam się na łokciu i rozejrzałam po całym pomieszczeniu. To był wyraźny błysk. Jakby ktoś zapalił lampę.

Sięgnęłam po telefon leżący na szafce nocnej i zerknęłam na wyświetlacz. Na ekranie pokazującym minutę po północy nie wyświetlało się żadne powiadomienie. Mogłam więc założyć, że rozbłysk nie był żadną wiadomością.

Przyśniło mi się to?

Zaniepokojona wstałam z łóżka i wyjrzałam przez okno. Okolica wydawała się spokojna. Nic nie wyglądało podejrzanie. Po podwórku nikt się nie kręcił. Niebo było bezchmurne, więc o błysku pioruna nie mogło być mowy. W oknach naszego domu ciągle migotała delikatnie pomarańczowa poświata. Mieszko pewnie spał.

Przygryzłam wargę. Dopiero co minęła północ. Obudzenie się o tej porze to bardzo zły omen. Po północy demony spacerują po świecie i nie przejmują się zbytnio, że ktoś je niechcący zauważy. Zresztą zwykle jest to wtedy ostatni moment, gdy biedak może coś zauważyć.

Przed oczami stanęły mi zwłoki wisielca, które z przekrzywioną na bok głową wędrują w poszukiwaniu swojego sznura. Na kościach czaszki wiszą malutkie skrawki skóry, a garnitur rozpada się w oczach, bo w przeciwieństwie do koszuli w romby nie był z tworzywa sztucznego. Niemalże od razu kolacja wróciła mi się z żołądka do przełyku.

Niech lichy weźmie moją wyobraźnię!

Nagle usłyszałam skrzypnięcie desek. Zaczęłam dygotać, teraz zupełnie już nie mogąc pozbyć się przeświadczenia, że gdzieś tutaj spaceruje sobie żywy trup. Powoli odwróciłam głowę i pełna najgorszych obaw spojrzałam na drzwi do pokoju.

Były zamknięte. Ale pomiędzy brzegiem drzwi, a podłogą jaśniał pasek

światła. Najwyraźniej ktoś był w korytarzu. Usilnie starałam się uspokoić. Przecież nie jestem w tym domu sama. Może to Baba Jaga postanowiła zajrzeć do swojego pokoiku ze świeczkami. Musiała w tym celu zapalić światło w korytarzu i na schodach, bo przecież po ciemku można się łatwo przewrócić. To całkowicie logiczne i zrozumiałe.

Jednak pomimo całej logiki, po cichu podeszłam do swojej torby i wyciągnęłam z niej srebrny sztylet. Starałam się zawsze mieć chociaż jeden z nich pod ręką. Mieszko sprawił mi najlepszy prezent pod słońcem. Po co komu kolczyki czy kapcie? Nic nie wygra ze srebrnym sztyletem na upiry.

Stałam pod drzwiami i przyłożyłam ucho do drewna. Cisza. Żadnego skrzypnięcia, kroku, oddechu. Jedynie moje serca tłukło się jak szalone o żebra.

Może to jednak Jaga spaceruje po nocy? Niestety nie wydawało mi się to zbyt prawdopodobne. Statystycznie rzecz biorąc, a także mając na uwadze mój ostatni rok życia – nie było szansy, żeby to była szeptucha.

Odetchnęłam głęboko i sięgnęłam do klamki. W tej chwili światło wpadające przez szparę pod drzwiami zgasło. Nie usłyszałam żadnego dźwięku. Po prostu zniknęło. Co do wszystkich bogów?

Otworzyłam drzwi teraz bardziej zirytowana niż przestraszona. Zdołałam uspokoić się, przypominając sobie, że dom Jagi jest dobrze chroniony przed demonami: dookoła całego budynku jest krąg z soli, drzwi i okna są zabezpieczone metalowymi sztabami, a w każdej ścianie są zamurowane amulety.

Lampy w korytarzu były zgaszone, ale zza uchylonych drzwi do tajemniczego pokoju zachęcająco sączyła się wąska stróżka światła. W żadnym razie mi się to nie podobało. Zupełnie jakby coś chciało, żebym tam poszła, jakby mnie prowadziło. Miałam ogromną ochotę odwrócić się na pięcie, zaprzeć klamkę krzesłem i schować się pod kołdrą – jak dziecko. Mimo to odważnie – bądź głupio, kwestia semantyki – ruszyłam w tamtą stronę wyciągając przed siebie sztylet. Byłam gotowa dźgnąć każdego, kto się napatoczy.

Może spełnienie obietnicy dla Swarozycy nie będzie takie trudne, skoro mam takie mordercze zapędy.

Szarpnęłam za drzwi i wskoczyłam do środka.

A w środku nikogo nie było.

Stałam na uginających się pode mną nogach i dyszałam ciężko. Różowe

skarpetki zatoneły w kurzu, a dłoń wyciągnięta ze sztyletem zaczęła drżeć z wysiłku. Musiałam przedstawiać całkiem zabawny obrazek: rozczochrana, z szaleństwem w oczach, w groszkowozielonej piżamie z napisem „księżniczka” na piersiach.

Nikt nie będzie zadzierał z wojowniczą księżniczką. Nikt!

Skupiłam swoje spojrzenie na świeczce. Nie sposób było na jedną z nich nie patrzeć, biorąc pod uwagę, że w pomieszczeniu stało ich kilkadziesiąt. Zwłaszcza że ta jedna, jedna jedyna... była zapalona.

– Jaga? – odezwałam się, chociaż miałam niemalże stuprocentową pewność, że to nie ona bawi się ze mną w podchody. To zupełnie nie było w jej stylu.

– Obawiam się, że nie – odpowiedział mi ciepły, melodyjny głos.

Obróciłam się kilka razy dookoła, ale nikogo nie widziałam. Wnętrze przestronnego strychu tonęło w ciemnościach. Przez okno, z którego dwa dni temu zerwałam materiał, wpadała delikatna łuna księżycowego światła, ale to było za mało, żebym cokolwiek zobaczyła.

– Pokaż się – rozkazałam.

Drzwi do pokoju powoli się zamknęły, uniemożliwiając mi ucieczkę. Poczułam, że drzę. Dłoń ze sztyletem tak bardzo się spociła, że obawiałam się, czy zdołam długo go utrzymać.

– Najpierw się uspokój – doradził mi głos. – Nie chcemy obudzić twojej gospodyni. Śni właśnie o swojej młodości. To bardzo przyjemny sen.

Pomyślałam nie bez złośliwości, że dla Jagi chyba nawet koszmary są przyjemne, skoro z łezką w oku opowiada o wykopywaniu zwłok wisielca.

– Ciężko się uspokoić, skoro nie widzę, z kim rozmawiam – odparłam.

– A uspokoisz się, jeśli stanę obok?

– A mam wybór...? – burknęłam pod nosem.

– Każdy... zawsze... ma wybór...

Z najgłębszej ciemności pod przeciwległą ścianą dobiegły mnie ciche kroki. Zobaczyłam sylwetkę, która powoli nabierała kształtów i szczegółów. Mężczyzna był wysoki. Jego rudawa broda otaczała kwadratową szczękę. Zmrużył czarne oczy, jakby światło świecy go oślepiało. Nie miał na sobie koszuli, jedynie spodnie. Jego bose stopy wzbijały w powietrze tumany kurzu.

Stał naprzeciwko mnie i zmierzył mnie uważnym, taksującym spojrzeniem. Splótł umięśnione ręce na piersiach. Pod złocistą skórą napięły się grube postronki żył.

Moja dłoń ze sztyletem zadrżała. Stało się. Przyszedł powiedzieć mi, kogo mam zabić. Albo by zrobić mi krzywdę.

– Swarożycu... ja... – zaczęłam, ale przerwał mi, unosząc dłoń.

Przełknęłam słowa, które chciałam wypowiedzieć. Nie byłam gotowa na poznanie imienia swojej ofiary. Miałam zamiar zagadać go na śmierć. Umiem gadać jak najęta, to dla mnie żaden problem. Możemy nawet do rana gawędzić chociażby o pogodzie. Byle tylko nie wypowiedział imienia osoby, którą mam zabić.

– Nie jestem Swarożycem – oświadczył.

Zamrugłam i jeszcze raz dokładnie się mu przyjrzałam. Wyglądał identycznie jak bóg ognia. Taki sam lekko sardoniczny uśmiech i wyraźne zmarszczki wokół ust. Te same oczy przypominające węgle. Ta sama ruda broda i skłonność do obnażania się, a także chodzenia na bosaka. Mimo wszystko faktycznie coś się nie zgadzało. Nie był taki, jakiego zapamiętałam.

Jest jakiś... jaśniejszy? Dotarło do mnie, że nie otacza go dym z ogniska, z którego w większości składa się swarny bóg. Dookoła mężczyzny pojawiło się za to światło. Miałam wrażenie, że to on jest jego źródłem. Dopiero teraz uświadomiłam sobie, że na strychu zrobiło się bardzo jasno. Musiałam zmrużyć powieki. Poczułam, jak po policzkach płyną mi łzy z podrażnionych oczu.

– Dadźbóg? – zapytałam.

Brat boga ognia, opiekun słońca, pochylił lekko głowę.

Wyprostowałam się, gdy światło, którym mnie poraził, odrobinę przygasło. Mimo wszystko nie opuściłam dłoni ze sztyletem. Bogom nie należało ufać. Nawet tym potencjalnie przyjaznym ludziom.

– Miło mi cię poznać – zmusiłam się, by to powiedzieć.

– Nie wierzę ci, ale miło, że się starasz.

Na jego ustach zagościł przekorny uśmiech. Swarożyc nie umiał się tak uśmiechać. Jego usta zawsze wykrzywiały się w chytrym grymasie. Nawet wtedy, gdy przekonywał, przymilał się, uwodził.

– Przychodzę, by wyrazić zaniepokojenie uczynkami mego brata – poinformował mnie solarny bóg.

Zbiło mnie to odrobinę z pantafelku. Nie byłam do końca pewna, jakiej reakcji ode mnie oczekiwał. Miałam pokiwać głową i ucieszyć się z jego troski? Tylko co mi po niej? Powinien coś z tym zrobić, wpłynąć na swojego pragnącego chaosu brata.

– Chcę, byś wiedziała, że jego zachowanie w żadnym razie nas nie cieszy – dodał.

– No mnie również.

– Rozumiem, że jesteś rozgoryczona, śmiertelniczko. Masz do tego pełne prawo.

Drgnęłam. Nazwał mnie śmiertelniczką. Wiedział coś, czego ja nie wiem? Nadal jestem śmiertelna, pomimo że moje rany goją się szybciej? To jakaś metafora? Czy tak po prostu mu się powiedziało z przyzwyczajenia?

A może to ja przesadzam? Przez poczynania Swarożycy wszędzie doszukiwałam się teraz podstępu.

– Dziękuję za twoją troskę – powiedziałam. – Jeżeli to wszystko, to pozwól, że udam się na spoczynek. Było mi bardzo miło cię poznać.

Zaśmiał się. Miał inny uśmiech, ale identyczny śmiech jak Swarożyc. Przez chwilę naszła mnie wątpliwość, czy to aby na pewno bóg słońca. Może to Swarożyc bawi się moim kosztem? Udaje, że jest kimś innym?

Ale jednak jeśli to on, to gdzie jest dym?

– Nie umiesz dobrze kłamać. Jeśli chcesz przeżyć, musisz się tego nauczyć – stwierdził.

– Ćwiczę każdego dnia...

Posłał mi zniewalający uśmiech. Rozjaśnił jego twarz i zapalił iskierki w oczach. Ledwie się powstrzymałam, żeby go nie odwzajemnić. Nawet nie zauważyłam, kiedy moja dłoń sama opadła wzdłuż ciała. Zupełnie jakby nie powinno się grozić ostrzem słońcu.

– Rozumiem, co widzi w tobie mój brat – stwierdził. – Jesteś naprawdę interesującą kobietą.

– Już mam chłopaka, dziękuję.

Pokiwał głową i lekko zmrużył czarne oczy.

– Zachowujesz się jak ulubiona kochanka Swarożycy. Macie w sobie ten sam ogień. Nawet ja czuję te płomienie. To dlatego tak się na ciebie wziął.

– Mówisz o Ote? – Wolałam się upewnić. Podejrzewam, że Swarożyc nie próżnował przez ostatnie tysiąclecia.

– Tak.

Cholera jasna. Nie miałam ochoty mieć z nią nic wspólnego. Poza tym w moim mniemaniu nijak nie byłyśmy do siebie podobne. Kompletnie straciłam humor. Nie ma to jak usłyszeć, że przypomina się byłą swojego faceta.

– Wiem też, jakie są cele mojego brata – mówił dalej Dadźbóg.

– Wiesz?

– Wiem. – Pokiwał głową. – Razem z innymi bardzo niepokoimy się jego poczynaniami.

– A nie możecie mu czegoś powiedzieć? – zapytałam.

Znowu się zaśmiał. Miałam wrażenie, że jego głos mnie otula, pieści moje uszy. Chciałam poprosić go, żeby nie przestawał się śmiać.

Zamrugałam gwałtownie i cofnęłam się o krok. Co się ze mną dzieje? Dlaczego on tak na mnie działa? Czemu wydaje mi się tak nieskończenie... dobry?

– Przestań – powiedziałam.

Uśmiech zniknął z jego twarzy.

– No proszę, proszę – odparł, patrząc na mnie przenikliwie.

Nagle jego blask przygasł. W pomieszczeniu zrobiło się ciemniej i zimniej. Już nie było tak przyjemnie.

Zacząłam się bać. Udało mi się rozzłościć nowego boga i nawet nie zajęło mi to pięciu minut. Nowy życiowy rekord.

– Widząca... – Zdawał się smakować to słowo.

– Do usług.

Pokręcił głową.

– Może i mają rację? – rzucił.

– Kto i w czym?

– Nie twoja rzecz.

Zagotowałam się. – Czego ode mnie chcesz? Przekazałeś mi już swoje wyrazy zatroskania. To miło, że słońce martwi się o ogień i o śmiertelników, których może poparzyć. Jednak jeśli masz mi coś do przekazania, to byłabym wdzięczna, gdybyś wreszcie to zrobił – powiedziałam z jawną pretensją.

Skrzywił się. Wcale nie jest takim pomocnym i dobrym bogiem. Nie mógł być, jeśli ze Swarózcem łączyło go to samo pochodzenie. Zadrżałam na myśl o tym, jaki musi być ich ojciec – Swaróg, bóg nieba, słońca i kowalstwa, potrafiący zamieniać się w Raroga, ognistego sokoła. Wedle legendy to Swaróg wykuł na swoim kowadle słońce. A jeśli słońcem był jego syn? No cóż. Musiało boleć.

– Dam ci coś, co pomoże ci poradzić sobie z moim bratem i tym, co szykuje – obwieścił.

– Och, dziękuję!

– Człowiek, który ma serce z kamienia, może zadać ostatni cios. Czerń,

odbicie bieli, na zawsze pozostanie czernią, nie oświetli jej najsilniejszy płomień. Serca z kamienia nie zdoła ogrzać największy żar.

Przez chwilę wpatrywałam się w niego w oczekiwaniu, ale on tylko się do mnie uśmiechał. Miałam nadzieję, że oświadczy, że żartował i wyjmie z kieszeni coś, co pozwoli mi zapanować nad bogiem ognia, ale nic takiego nie zrobił.

– Zagadka? Dajesz mi zagadkę? – zapytałam w końcu, gdy cisza zaczęła się robić odrobinę krępująca.

– To i tak zbyt wiele. Niczego więcej nie otrzymasz ode mnie, ani od mojego ojca. Walcz, tylko to ci zostało. Bogowie nie wezmą cię w swoje objęcia.

– Dość fatalisty...

– Wróć w objęcia Chors – przerwał mi.

Machnął dłonią w moją stronę, jakby odganiał się od natrętnej muchy. Poczułam, że lecę do tyłu. Ziemia uciekła mi spod nóg, światło zgasło, a moje oczy same się zamknęły. Odetchnęłam głęboko, gdy mój policzek dotknął poduszki. Zrobiło mi się ciepło. Kołdra otulała mnie do snu. Chciało mi się spać, tak bardzo chciało mi się spać.

Kołdra? Jaka kołdra?

Otworzyłam oczy i zeszywniałam. Leżałam w łóżku, w pokoju na strychu. Dotknęłam poduszki. Była ciepła. Musiałam już dłuższą chwilę się do niej przytulać. Rozejrzałam się szybko po pokoju i odrzuciłam pościel. Szarpnęłam za zieloną koszulkę. Zaczęłam macać prześcieradło, ale nigdzie nie mogłam znaleźć sztyletu. Przecież przed chwilą miałam go w ręku!

Spod framugi nie przesączał się nawet najcieńszy promyk światła. Sięgnęłam po telefon komórkowy i go odblokowałam. Zegar na wyświetlaczu wskazywał minutę po północy. Godzina duchów dopiero się rozpoczynała.

Oszalałe serce zaczęło zwalniać.

Potarłam twarz. Wychodziło na to, że wszystko to mi się śniło. Chyba że zagadka była wizją. Powtórzyłam ją szybko, a następnie zapisałam z boku mojej kartki z notatkami, tuż obok mieszanki ziół przydatnej do nasiadówek na hemoroidy. Adekwatne miejsce.

Serce z kamienia? O co mu chodziło? To ja mam serce z kamienia? No bez przesady! Przecież mam uczucia, bardzo często na przykład płaczę. Chyba nie można mi zarzucić, że mam serce z kamienia.

Furia, która mnie raptem ogarnęła, bardzo szybko zmyła ze mnie resztki

lepkiego snu.

Miałam nadzieję, że to tylko jakiś durnowaty sen, a nie prawdziwa wizja. Bo jeśli to wizja, to za przeproszeniem Dadźbóg może sobie zabrać tę zagadkę tam, gdzie sam nie dochodzi i gdzie się robią hemoroidy.

Wstałam i jednym szarpnięciem otworzyłam drzwi na korytarz. Dom pogrążony był w ciszy, jego spokoju nie naruszało nawet jedno skrzypnięcie deski. Oczywiście pokój ze świecami był zamknięty. Mimo to postanowiłam wejść do środka.

Przekroczyłam próg i zakląłam szpetnie. W kurzu było widać ślady moich stóp, ale tylko te, które zostawiłam wcześniej tego wieczoru. W żadnym kącie nie czaił się bóg słońca – pełen blasku, ale mimo wszystko tak samo mroczny jak Swaróżyc.

Wszystko byłoby idealnie.

Gdyby na środku pokoju nie paliła się samotna świeczka.

11.

Baba Jaga świdrowała mnie spojrzeniem. Miałam wrażenie, że jest w stanie zajrzeć do mojej głowy i samodzielnie znaleźć tam odpowiedzi na wszystkie pytania. Wałkowała mnie już dobrą godzinę. Zaczęło się od kartkówki z zielnika. Położyła przede mną kilkanaście zasuszonych ziół, a następnie kazała je nazwać i wymienić zastosowania.

Uważam, że przez ostatnie miesiące dokonałam wręcz niemożliwego, biorąc pod uwagę, że jeszcze nie tak dawno byłam człowiekiem, który nie odróżniał koperku od pietruszki. A teraz? Potrafiłam rozpoznać każde zielsko na łące.

Pomyliłam się jedynie przy białym, bardzo niepozornym kwiatku, o drobnych, cieniutkich płatkach. Byłam przekonana, że to rumianek. Jarogniewa jednak jako podpuchę podsunęła mi zasuszoną margerytkę, bo pamiętała, że kiedyś już pomyliłam te dwie rośliny. Na litość wszystkich bogów, do głowy by mi nie przyszło, że to margerytka! To rumianek!

– Nad ziołami to ty musisz jeszcze popracować – zauważyła.

Przewróciłam oczami. Rozpoznałam dwadzieścia dziewięć z trzydziestu roślin. Uważam się za mistrzynię w tej kwestii.

– A co, jak kiedyś się pomylisz i w wyniku swojego błędu kogoś zabijesz? Margerytki mogą być trujące – postraszyła.

Tym razem posłusznie pokiwałam głową. Prawda, to by podpadało pod błąd w sztuce.

– To teraz przechodzimy do szczegółowych pytań – oświadczyła. – Powiedz mi, co możesz zrobić z kretem?

– Mogę go zasuszyć, a potem wyprodukować proszek miłosny – powiedziałam. – Proszek trzeba potem dodać do herbaty osoby, którą chce się w sobie rozkochać.

To było akurat proste. Jeden w pierwszych przepisów, które poznałam w trakcie swojego stażu.

– A co jeszcze? – dopytywała.

– Jeśli złapię go maju, ukatrupię i spalę na proszek, to jeśli posypię później nim kogoś, kogo nie lubię, to dostanie pryszczki. Chociaż twoja babcia nazywała to trądami.

– To takie paskudne pryszczki. Mogą po nich nawet zostać blizny – wyjaśniła. – Dobrze, a powiedz mi teraz... Jaki jest sposób na ból gardła?

– Są ich dziesiątki! Nie wiem, o który ci chodzi. Niektórzy mówią, że ból gardła oznacza, że człowiek ma w nim żabę. Trzeba więc złapać żabę, owinąć w szmatę i przykładać do szyi.

– Ale mnie chodzi o taki wyjątkowy sposób, tak leczyła mądra baba w Pińczowie – podpowiadała.

Przypomniałam sobie. Głównie dlatego, że było to bardziej idiotyczne niż cokolwiek innego. Poza tym miało dopisek „przepis od Gniewosądki z Pińczowa”.

Bogowie! Gniewosądka? Jarogniewa? Litości kiedyś ci rodzice w ogóle nie posiadali.

– Osobę z bolącym gardłem należy postawić przed kominem i kazać jej w niego dmuchać. Głupota. Nie wiem, może to jakieś przedpotopowe inhalacje? Tylko czemu ma dmuchać w dym? Jeszcze gdyby miała się tym dymem zaciągać. Chociaż jak ktoś pali śmieciami w piecu, to by się zapewne dobrze nie skończyło. Wiesz, że jak się pali plastik, to wtedy do powietrza dostają się takie rakotwórcze substancje jak benzo...

– Zapomniałaś o czymś – przerwała mi.

– No jeszcze ta osoba musi być na czczo, pamiętam, pamiętam. Pewnie, żeby od dymu nie wymiotowała.

Westchnęłam ciężko. Za oknem powoli zaczął już zapadać zmierzch. Byłam zmęczona. Najchętniej położyłabym się do łóżka, przytuliła do szerokich pleców Mieszka i wypięła zadek w stronę kominka, żeby mnie grzało z dwóch stron.

Jednak na razie się na to nie zapowiadało. To będzie długie kolokwium. Najwyraźniej Jaga postawiła sobie za punkt honoru przepytac mnie ze wszystkiego. Dosłownie ze wszystkiego.

Godzinę później skończyłyśmy z jej zeszytem i przeszłyśmy do przepisów na nalewki, a potem do wiejskich przesądów.

– Jak kupujemy krowę, która się ociełiła, ale nie chcemy, żeby tęskniła za zostawionym cielakiem, to trzeba wyrwać mu sierść z karku, zmieszać ją z chlebem i dać mućce do zjedzenia – recytowałam zrezygnowana.

– Widzę, że nie zachwycają cię te przepisy – zauważyła Jaga.

– No proszę cię... Przecież na pewno nie działają. Zresztą słabo spałam tej nocy.

Oczy Jagi zabłyśły, gdy zrobiła rozmarzoną minę.

– Oj, działają, działają. Pamiętam, jak kiedyś, jeszcze jako młoda dziewczucha, rzucałam uroki. Miałam, tak zwane, złe spojrzenie! – pochwaliła się. – Każdy o tym wiedział.

– A teraz już się ciebie nie boją? – zapytałam.

– Teraz już mi się nie chce straszyć. Kiedyś to było zabawne. Baby wiązały dzieciakom czerwone wstążeczki na nadgarstkach, zanim weszły do mojego gabinetu. Kiedy mijałam ich na ulicy, spluwali na ziemię.

No ja to bym wołała, żeby na mój widok nikt nie pluł, ale najwyraźniej się nie znam.

– A teraz? – westchnęła teatralnie. – Zawracają człowiekowi głowę jakimiś głupotami. Dodatkowo już nie wierzą. Po prostu nie wierzą. Jak mają działać te wszystkie przepisy, kiedy oni w nie nie wierzą. Przecież one wszystkie opierają się na silnej wierze.

– Znaczą placebo? – podsunęłam.

– Nie do końca.

Zaskoczona, aż się wyprostowałam. Czyli przynajmniej częściowo przyznawała mi rację, że niektóre przepisy to zwykłe oszustwo? Świat się kończy.

– A nie nauczyłabyś mnie tych uroków? – poprosiłam.

W sumie przydatna rzecz. Patrzysz na kogoś, a tej osobie, dajmy na to, wyskakują pryszczki na czole. Bogowie! Gdybym znała takie sztuczki na studiach, wszyscy faceci byłiby moi, bo każda z rywalek miałaby więcej krost niż gładkiej skóry.

– Z tym darem trzeba się urodzić – spławiła mnie.

– No tak...

– Poza tym jesteś za miła.

To mnie trochę polechtało. Chociaż ton jej głosu wskazywał, że moja postawa raczej jej nie zachwyca.

– To, co? Zdałam? – zapytałam. – Czy jeszcze masz jakieś pytania w zanadrzu?

– Zdałaś, zdałaś. Ale pilnuj się, bo na sam koniec też mogę ci zrobić kolokwium.

– Zapamiętam.

Tak samo jak zapamiętam tę przekłętą margerytkę. Mogę się założyć, że na ostatnie kolokwium też mi ją podsunie.

– W takim razie czas na coś pysznego – oświadczyła Jaga.

Patrzyłam, jak podchodzi do lodówki. Otworzyła drzwi i wyjęła z niej

półmisek z sernikiem. Z ust pociekła mi ślinka. Rzuciłam się do wyjmowania ze zmywarki talerzy. Zdecydowanie czułam się w kuchni Jarogniewy jak w swojej własnej.

– Wracasz do Mieszka? – zapytała chwilę później, gdy już obie zadowolone siorbałyśmy herbatę i zajadałyśmy się sernikiem domowej roboty.

– Tak.

Nie mogłam powstrzymać uśmiechu. Stęskniłam się za nim. Poza tym po wczorajszym śnie, to miejsce sprawiało, że dostawałam dreszczy.

– Jago... a powiedz mi, do czego służy pomieszczenie na strychu? – odważyłam się w końcu zadać do pytanie. – Czemu w środku jest tyle świeczek?

Zacisnęła usta w wąską kreskę. Jej oczy błysnęły, a z twarzy odpłynęła cała krew. Przestraszyłam się, że zaraz dostanie mi tu zawału.

– Jest zamknięte. Skąd wiesz, co jest w środku?!

– Było otwarte od dłuższego czasu. Spokojnie można wejść do środka. Nie otwierałaś go?

Zerwała się ze swojego miejsca i zadziwiająco szybko jak na swoje bolące plecy pognęła po schodach. Przestraszona, od razu ruszyłam jej śladem. Tuż przed drzwiami Jarogniewa zawahała się. Powoli, zupełnie jakby sprawiało jej to ból, sięgnęła do klamki i ją nacisnęła.

Drzwi ani drgnęły. Dla pewności szarpnęła kilka razy i pociągnęła mocno do siebie, jakby chciała je siłą otworzyć.

– Są zamknięte. – Spojrzała na mnie zdumiona. – Tylko ja mam klucz. Skąd możesz wiedzieć co jest w środku? Miałaś wizję?

– To nie była wizja. Byłam w środku. Nawet kilka razy. Przepraszam! Naprawdę przepraszam! – dodałam szybko, widząc jej minę. – Po prostu zaciekawilo mnie, co tam jest. Drzwi były otwarte. Myślałam, że to zwykły strych pełen dziwnych gratów.

Patrzyłam, jak sięga do jednej z kieszeni swojej spódnicy. Wyciągnęła z niej duży, kanciasty klucz. Żeliwo było odrobinę zardzewiałe. Przez jego uszko przewleczona była niegdyś czerwona, teraz zmatowiała, lekko już tylko różowawa wstążeczka.

Wsunęła klucz w zamek i przekręciła go. Zapadki przeskoczyły z głośnych chrzęstem. Nacisnęła klamkę i pociągnęła do siebie skrzydło drzwi. Stałam za jej plecami i zapuściłam żurawia do pokoju. Nic się w nim nie zmieniło, odkąd byłam tu ostatniej nocy. W grubym kurzu wciąż

odciśnięte były wyłącznie ślady moich stóp, a z jednego z okien zwisał smętnie czarny materiał.

Wciągnęłam powietrze nosem. Gdy wróciłam później do pomieszczenia, zgasiałam pojedynczą świeczkę z obawy, że chałupa spłonie jeśli tego nie zrobię. Nie było już czuć zapachu dymu.

– Naprawdę tu wchodziłaś – szepnęła. Była wstrząśnięta. Głos trząsał się jej z emocji. – Jak to zrobiłaś?

– Drzwi były otwarte. Naprawdę. Ja ich specjalnie nie otwierałam. Dzisiejszej nocy także były uchylone.

– To Swarożyc z tobą igra! – Pokręciła głową. – Ja w tym pokoju... ja tu z nim... rozmawiałam i odprawiałam czary ognia.

Zdecydowanym ruchem zatrzęsnęła drzwi i szybko przekręciła klucz w zamku. Wszedł w mechanizm z oporem, zupełnie jakby pomieszczenie broniło się przed zamknięciem.

– Nie otwierałam tych drzwi od dobrych kilkunastu lat – sapnęła ze złością. – I tak zostanie!

Pokiwałam głową i ruszyłam za nią z powrotem na parter. Ramiona Jagi przygarbiły się, zwolniła kroku.

– Chcesz mi o tym opowiedzieć? – zapytałam, gdy już usiadłyśmy przy stole.

– Nie.

Okej, nie będę naciskała. Szeptuchę poznałam już na tyle dobrze, że wiedziałam, że nie warto się jej naprzykrzać. Gdy nadejdzie właściwy moment i tak wszystko mi opowie. Wróciłam do sernika, kiedy ona zbierała myśli.

– Czemu widziałaś wewnątrz? – sarkała pod nosem. – Czemu cię tam wpuścił?

Opowiedziałam jej pokrótce o moim nocnym widziadle.

– Nie wiem, czy to Dadźbóg – skwitowała. – Ja bym Swarożycowi nie ufała. Mógł się podszywać pod brata. To by nawet bardzo do niego pasowało.

Jeśli to zrobił, to udało mu się mnie oszukać. Postać boga słońca była tak podobna, a jednocześnie tak różna od boga ognia.

Odstawiłam kubek na stół i postukałam paznokciami o blat. Już od dłuższego czasu chciałam o coś zapytać szeptuchę, ale nie czułam się na siłach. Musiałam wziąć się wreszcie w garść. Rozmowa telefoniczna z mamą ciągle odbijała się echem po mojej głowie. Cały czas

zastanawiałam się, kto jest moim ojcem i wciąż nie zdecydowałam się udać na spacer do lasu.

Ale właśnie podjęłam decyzję o odwiedzeniu Welesa na bagnach, gdzie zasiada na tronie pod drzewem kosmicznym. Mam nadzieję, że to dobry pomysł i że bóg świata podziemnego będzie bardziej rozmowny od mojej matki.

Tymczasem Jarogniewa już się chyba otrząsnęła, bo także wróciła do jedzenia deseru.

– Jago, nauczyłam się wszystkich przepisów, pamiętam, co mi opowiadałaś, ale nie znalazłam jednego zaklęcia, sposobu... ech, nawet nie znam właściwej nazwy – zaplątałam się.

– Co chcesz zrobić?

– Chcę sprawdzić ojcostwo.

Otworzyła szeroko oczy. Łyzeczka wypadła jej z ręki i uderzyła głośno o talerzyk.

– To nie Mieszka...?

– Oczywiście, że jest Mieszka! – warknęłam. – Chciałabym sprawdzić, czyją córką jestem ja. Kto jest moim ojcem? Moja mama nie chce mi powiedzieć. Obraziła się na mnie i powiedziała, żebym zapytała... bogów.

Ugryzłam się w język, zanim wypowiedziałam imię boga zmarłych. Z jakiegoś powodu wolałam, żeby nie wiedziała, że moja mama zawarła z nim pakt.

Pakt z bogiem. Jaka matka, taka córka.

– Jest sposób na sprawdzenie ojcostwa. – Zacmokała licówką. – Tylko to raczej ojciec sprawdza za pomocą krwi dziecka, czy dziecko jest jego. A nie odwrotnie.

– No to krew dziecka mamy. Ja jestem dzieckiem. To chyba możemy przeprowadzić ten test, prawda? Bez osoby ojca?

– No niby tak – odpowiedziała z wahaniem. – Tylko że to zwykle ojciec dziecka przychodzi z taką prośbą.

– Znaczący, masz jakiś dylemat etyczny w tej chwili? Czy fizycznie nie da się przeprowadzić tego zaklęcia bez ojca? – dopytałam.

– Nie! To nie jest problem etyczny – parsknęła śmiechem. – W żadnym razie. W sumie sama jestem ciekawa, kto cię taką spłodził.

Z Babą Jagą nigdy nie wiadomo, czy to co mówi, to komplement czy raczej przytyk. Tym razem podejrzewałamby jednak zgrabnie wbija szpilkę.

– Skocz do piwnicy i przynieś mi dwa jajka – rozkazała. – Ja przygotuję resztę.

– Jajka, okej! – Zerwałam się z krzesła, o mało go nie przewracając.

– Tylko jedno jajko musi być kukułcze, a jedno przepiórcze – uściśliła.

Tu już dostrzegłam pewien problem.

– Nie wiem, jak wyglądają – przyznałam. – Domyślam się tylko, że są mniejsze od kurzego.

– Leżą w podpisanych pudełkach. Czytać przecież umiesz. Ale przy okazji, dobrze, że zauważyłaś braki w swojej wiedzy. Jeśli zrobię ci kolokwium na koniec stażu, to spodziewaj się na nim pytań o jajka.

Zeszłam po chybottliwych stopniach do piwnicy rozświetlonej rzędem jarzeniówek. Pamiętałam, żeby nie łapać się poręczy, bo ta trzymała się na drewnianych podpórkach na słowo honoru. Uśmiechnęłam się na widok stołu, przy którym przygotowywaliśmy się do polowania na wążierza.

Jednak po chwili mój uśmiech zgasł. Z czego ja się w sumie cieszę? Zabiliśmy go. Nie dokonałam tego osobiście, ale w trójkę pozbawiliśmy go nieśmiertelności pod postacią wążierza. Ote także zginęła przeze mnie. Nie wnikając już w dywagacje, czy taki los jak najbardziej im się należał, miałam już krew na rękach. Czemu w takim razie tak mierzila mnie obietnica, którą złożyłam Swarożycowi?

Spojrzałam na swoje wyciągnięte dłonie. Zaczęły drżeć.

– Ale wtedy to było w obronie własnej – powiedziałam sama do siebie.

Nie jestem potworem. Musiałam wtedy się bronić. A teraz? Teraz jeśli każe mi kogoś zabić, to będę musiała to zrobić z premedytacją. Moje życie nie będzie zagrożone. To ja komuś zagrożę. Będę taka jak oni, jak wążierz i strzyga.

Kto mnie wtedy ocali?

Podeszłam do kąta, w którym stały regały pełne weków, pudełek i worków. Ukucnęłam naprzeciwko półki z jajkami. W pudełkach po butach, wyłożonych sianem, leżały jajka. Całe mnóstwo jajek. Kurze, kacze, przepiórcze, jedno strusie, gołębie, a nawet drobniutkie jajka wróbli. Zgarnęłam przepiórcze i sięgnęłam do pudełka podpisanego „kukułka”. W środku leżało jedno żółte jajko.

No to chyba oznacza, że mamy tylko jedną próbę. Chwilę później Jaga potwierdziła moje złe przecucia.

– Tak, mamy tylko jedną szansę, bo nie mam więcej kukułczych jajek. Nie tak łatwo je znaleźć. Czyli możesz zapytać tylko o jednego mężczyznę,

którego podejrzewasz o ojcostwo. Przykro mi.

– No dobrze.

Jaga postawiła na stole żeliwną miskę wypełnioną letnią wodą. Obok leżały dwa sztylety. Nie wyglądały na specjalnie ostre. Podała mi jeden z nich. Nie był błyszczący, ani nawet pokryty lekką patyną. Wyglądał jakby również był wykonany z żeliwa. Powierzchnia ostrza była chropowata. Musiał być bardzo stary.

– Będziesz musiała przeciąć opuszkę palca i wypuścić do miski tyle kropel krwi, ile jest liter w twoim imieniu – poinformowała mnie.

– Pełnym, czy w zdrobnieniu? – upewniłam się.

Posłała mi pełne potępienia spojrzenie. No dobra, dobra. Przecież niekoniecznie musiało być pełne imię. Lepiej zapytać, niż zrobić źle.

– A dezynfekowałaś...? – Nie zdążyłam ugryźć się w język.

W sumie, co to mnie obchodzi? Mieszko ma rację. Przecież w moich żyłach krąży napar z kwiatu paproci. Niemniej starych przyzwyczajęń nie zapomina się tak łatwo.

Jaga wsadziła dwa jajeczka do miski i zaczęła mamrotać coś pod nosem. Oba najwyraźniej nie były już pierwszej świeżości, bo od razu uniosły się nad powierzchnię wody. Zaczęłam się zastanawiać, czy w takim razie w ogóle czar zadziała.

Jajka były lekko nakrapiane. Różniły się jedynie wielkością. To zniesione przez kukułkę było mniejsze.

Szeptucha wzięła drugi sztylet i nakłuła swój palec. Z głębokiej ranki na opuszcze zaczęła płynąć krew. Kilka kropel spadło na blat stołu. Jaga zdawała się w ogóle tego nie zauważać. Wysunęła rękę nad miskę i odliczając głośno wpuściła do wody dziesięć kropli. Wpatrywała się w miskę, jakby od tego zależało jej życie.

– Rodzie i Rodzanice! Ja, Jarogniewa, wasza pokorna sługa, proszę was o odpowiedź na temat doli tego człowieka. Pochylcie się nad sznurem jego życia, poszukajcie węzłów. Czy jego dola jest związana z tym dzieckiem? Czy łączy ich krew? Rodzie, Rodzanice proszę was o odpowiedź. Wysłuchajcie mnie, pochylcie się nad dolą tego mężczyzny.

Jajka opadły i z cichym stukiem dotknęły dna miski. Na powierzchni wody pojawiły się bąbelki, zupełnie jakby zaczęła wrzeć. Oczy o mało nie wyszły mi z orbit. Miałam wrażenie, jakby nagle, pomimo zapalonego światła, w kuchni zrobiło się ciemniej.

Szeptucha zapytała, wciąż nie podnosząc głowy:

– Jak brzmi imię ojca? Muszę je wymówić. Kiedy to zrobię i znowu poproszę bogów o pomoc, będzie twoja kolej. Gdy wymówię twoje imię, będziesz musiała wpuścić do miski swoją krew. Ja otworzyłam drzwi i rozpoczęłam rytuał. Ty swoją krwią go zakończysz.

– Rozumiem – pokiwałam gorliwie głową.

Za moimi plecami skrzypnęła podłoga, zupełnie jakby ktoś stanął na spracowanej drewnianej klepce. Wyobraziłam sobie boga Roda, opiekuna rodziny i jego trzy córki, Rodzanice, które po narodzeniu dziecka zaplatają jego dołę i podejmują decyzję, czy jego życie będzie szczęśliwe i długie.

Czy stoją teraz za mną trzy kobiety? Najmłodsza, która ledwie wkroczyła w dorastanie, dojrzała kobieta oraz staruszka, której uroda przekwitła?

Za przykładem Jagi postanowiłam się nie odwracać. Skupiłam się na misce i jajkach, które zniknęły pod powierzchnią wzburzonej wody.

– Imię ojca! – syknęła Jarogniewa.

Miałam jedną szansę. Jaga nie miała więcej kukułczych jaj, a nowych nie znajdziemy aż do wiosny.

Tylko jedna szansa.

Czyje imię wypowiedzieć?

– Swarozyc.

12.

Wypowiedziałam imię tego, kogo bałam się najbardziej. Czy to dlatego Weles powiedział mojej mamie, niemal dwadzieścia pięć lat temu, że ma nie obawiać się ognia? Czy w jakiś sposób zmusił boga płomieni, by to on zajął się klątwą?

Jaga drgnęła, dłonie zaczęły jej drżeć. Chyba w ogóle się tego nie spodziewała.

– Rodzie, Rodzanice, pytam w imieniu męż... boga... o imieniu Swarożyc. Czy ta krew jest jego krwią? Powiedzcie mi, czy Gosława jest jego córką?

Rzuciła mi ponagląjące spojrzenie. Czubek sztyletu był tak tępy, że nie chciał przebić skóry. W końcu zamiast nakłuwać, przesunęłam ostrzem w poprzek palca. Zrobiłam to chyba zbyt gwałtownie. Okazało się, że sam sztylet był jednak ostry. Nawet nie poczułam jak tnie skórę. Dopiero później, gdy krew wartkim strumieniem zaczęła płynąć na stół, rana zaczęła mnie piec.

Ścisnęłam drugą dłońią palec, starając się odrobinę zatamować krwotok. Na szczęście rana szybko zaczęła się zasklepiać. W innym wypadku ciężko byłoby mi odmierzyć odpowiednią ilość kropel.

– *Gosława* – szeptałam do siebie cichutko, strząsając kolejne krople do bulgocącej wody.

Nagle ciecz zaczęła gwałtowniej kipieć i pryskać na blat. Zrobiła się czerwona, chociaż wpuściłam tam tylko kilka kropli swojej krwi. Cofnęłam dłonie i przytuliłam je do siebie. Myślałam, że serce zaraz wyskoczy mi z piersi. Coraz wyraźniej czułam czyjaś obecność za plecami. Ktoś tam był i mi się przyglądał. Miałam wrażenie, że to spojrzenie wywierca mi dziurę między łopatkami, że zagląda prosto do mojego serca.

Które jajko wypłynie? Kukułcze? Oznajmiając mi, że nie jestem córką Swarożycy? A może przepiórcze?

I co ja zrobię, jeśli okaże się, że przepiórcze?

Przygryzłam wargę. Przecież to niemożliwe, by bóg ognia był moim ojcem. Jaki ojciec zalecałby się do własnej córki. Z drugiej strony był szalony. Kto go wie, co się działo w jego spaczonym umyśle!

– Rodzie, Rodzanice, oceńcie. Czy to dziecko pochodzi od boga Swarozycy? Czy łączą ich więzy krwi? Jaka jest ich dola? – zapytała Jarogniewa.

Wciąż nic się nie działo. Woda bulgotała jak szalona. Obie pochylałyśmy się nad miską, wypatrując leżących na dnie jajek. Zastanawiałam się, czy miska zaraz nie eksploduje i czerwony wrzątek nie obleje nas po twarzach.

– Rodzie, Rodzanice, proszę was. Sprawdźcie dolę tego dziecka oraz tego boga. Czy są powiązane? Czy jego krew dała początek jej krwi? – powtórzyła Jarogniewa.

Za naszymi plecami znowu skrzypnęła podłoga. Baba Jaga lekko zadrżała. Złapała mnie za rękę. Ona chyba także trochę się bała. Po chwili rozległ się kolejny dźwięk i jeszcze jeden. Jakby ktoś do nas podszedł. Jakby trzy osoby do nas podchodziły.

Rodzanice.

Dźwięki ich kroków ucichły. Stały za nami.

Poczułam, jak na moim czole zbierają się krople potu. Jedna z nich spłynęła mi po skroni i opadła na stół, tuż obok rozmazanej krwi.

– Rodzie, Rodzanice. Jaka jest wasza odpowiedź? Czy ta dwójka jest spokrewniona? Czy to jego dziecko?

Moje włosy poruszyły się, zupełnie jakby ktoś w nie dmuchnął, albo głęboko odetchnął.

Byłam na granicy. Nie wiedziałam, ile jeszcze zdołam znieść, zanim zacznę wrzeszczeć.

Nagle jedno jajko wypłynęło na powierzchnię. Woda przestała bulgotać i zmieniła kolor, zniknęła ciemna czerwień. Znowu była przezroczysta.

Na powierzchni unosiło się nakrapiane jajko o pękniętej skorupce. Było puste w środku, ale w wodzie nie unosiło się białko, ani żółtko.

– Kukulcze – szepnęła Jaga, a ja się rozplakałam.

13.

Zsunęłam z siebie kołdrę, starając się nią nie szeleścić, ani nie szarpać. Każdy ruch rozkładałam na co najmniej trzy mniejsze, byle tylko nie obudzić Mieszka. Najpierw delikatnie do góry, potem na bok, bogowie brońcie, tylko nie na niego, bo od razu się obudzi. Najpierw jedna noga poza materac. Następnie odepchnięcie się łokciem, centymetr po centymetrze, by materac zdradziecko nie podskoczył. Oparłam drugą nogę na podłodze i powoli wstałam.

Na szczęście Mieszko nawet nie drgnął. Nadal oddychał głęboko, śniąc chyba o czymś przyjemnym, bo na jego ustach malował się delikatny uśmiech.

Zakłuło mnie w piersiach. Uciekałam od niego. Nic mu nie powiedziałam.

Ale przecież nie pozwoliłby mi pójść.

Światło pełni wdzierało się do sypialni przez rozchylone zasłony, dzieląc łóżko na pół. Gdy zsunęłam się już ze swojej części i oparłam stopy na chłodnych deskach, zadrzałam. Mieszko uruchomił piec, więc nie musieliśmy już spać obok kominka. Jednak w nocy nadal było chłodno, gdy piec się wygaszał. Mimo wszystko cieszyło mnie, że przestaliśmy spać przy płomieniach. Czułam się tam obserwowana.

Przez chwilę przyglądałam się Mieszkowi. Nic nie wskazywało na to, żeby się przebudził. Mogłam iść. A raczej musiałam. Nie powinnam już dłużej czekać. Muszę z nim porozmawiać, sama nie dowiem się niczego więcej.

Wyszłam z sypialni i przymknęłam za sobą drzwi. Na schodach stawiałam stopy blisko ściany, by żadna z desek nie zaskrzypiała i nie zdradziła mojej ucieczki. W salonie szybko narzuciłam na siebie ubrania, które niby przypadkiem zostawiłam poprzedniego wieczoru. Zawiązałam mocno sportowe buty i narzuciłam kurtkę. W nocy było zimno, październik okazał się bardzo chłodny. Łatwo zmarznąć, zwłaszcza w lesie.

Zanim wyszłam, zgarnęłam jeszcze dużą lampę LED Mieszka. Ciągle jeszcze nie zelektryfikowano drogi, a ja nie zamierzałam błądzić po ciemku. W żadnym razie nie chciałam także iść bez ochrony. Na szyi

powiesiłam amulet w czerwonym woreczku, do kieszeni wsadziłam sprej pieprzowy, a w dłoń złapałam srebrny sztylet. Przez chwilę zastanawiałam się, czy nie zabrać sztyletu z bursztynem, ale nie znałam jego właściwości. Może nie służył do ochrony. Kto go wie, czy nie ściągnąłby na mnie jakichś kłopotów.

Wyszłam z domu, dziękując mojej doli, że nie mamy psa, który by mnie radośnie obszczekał. Na chwilę zatrzymałam się w holu, nasłuchując hałasów. Nic nie wskazywało na to, że Mieszko się obudził. Cały dom pogrążony był w ciszy. Jednak...

Nie, musiało mi się wydawać. Dom, chociaż odnowiony, cały czas pracował. Coś w nim stukało, szumiało, brzęczało. Zegar wybił równą godzinę. Była pierwsza w nocy. Nie jestem aż takim chojrakiem, żeby spacerować po lesie tuż po północy. Poczekalam aż minie pierwsza.

Zamknęłam drzwi, uważając, by zamek nie szczękął zbyt głośno. Ledwie oddychałam, tak byłam zestresowana. Gdyby Mieszko wiedział, co planuję, zamknąłby mnie w piwnicy, dla mojego dobra oczywiście.

Przemknęłam szybko przez posesję. Zerknęłam na pogrążoną w mroku stajnię. Przez głowę przebiegła mi myśl, że musimy Nixowi kupić jakiegoś towarzysza albo towarzyszkę. Zanudzi się sam w stajni i na łące.

Z każdym kolejnym krokiem coraz mocniej żałowałam, że nie mam roweru. Droga była długa i oczywiście, jak chyba każda w Bielinach, pod górkę.

Mój oddech zamieniał się w parę. Zapięłam kurtkę pod samą szyję i przyspieszyłam kroku.

W którymś momencie usłyszałam za sobą szelest, ale gdy się odwróciłam, szosa była pusta. Lampa LED w mojej dłoni zadrżała. Ze światłem byłam doskonale widoczna. Jeśli ktoś za mną szedł, nie miałby żadnych problemów ze śledzeniem każdego mojego kroku. Przekląłam pod nosem, ale nie zawróciłam ani nie zgasiłam lampy.

Musiałam się z nim spotkać. Udało mi się wyjść niepostrzeżenie z domu. Nie będę teraz zawracać.

Szelest suchej trawy na poboczu wydawał mi się zbyt głośny. Jednak gdy kierowałam lampę w tamtą stronę nic nie mogłam dostrzec. Jeszcze raz odwróciłam się za siebie. Tym razem niespodziewanie i szybko, tak by od razu zobaczyć kogoś, kto mógłby się za mną skradać.

Oczywiście nikogo nie było. W żadnym oknie mijanych przeze mnie domów nie paliło się światło. Może ktoś mnie obserwował z ciemności,

bezpiecznie ukryty za firanką, ale nie miałam najmniejszej szansy, żeby go dostrzec.

Przyspieszyłam kroku i postanowiłam, że już nie będę się odwracać.

Już dawno przestałam obawiać się puszczy i zamieszkujących ją zwierząt, ale dzisiaj każdy cień napawał mnie grozą. Miałam wrażenie, że za każdym krzakiem, czają się obserwujące mnie, czujne oczy. Wiecznie leżące pod drzewami wyschnięte liście głośno szeleściły przy każdym moim kroku. W ciemności ciężko mi było się zorientować, gdzie dokładnie jestem i dokąd prowadzi szlak. Wszystko wyglądało inaczej niż w dzień.

Wybrałam bezpieczną drogę wzdłuż strumienia. Szłam wzdłuż jego nurtu tak długo, aż ujrzałam pierwsze wierzby. Ich pochylone, powykręcane sylwetki przypominały zgięte wpół wiedźmy. W żadnym razie nie zachęcały, żeby do nich podejść. Zerknęłam na zegarek. Muszę wrócić, zanim Mieszko się obudzi. Nie może zauważyć, że zniknęłam, wyobrażam sobie awanturę, którą by mi wtedy urządził.

Stałam naprzeciwko dwóch wierzb. Długie witki splatały się ze sobą w uścisku. Potok obok mnie szemrał nieprzerwanie. Zerknęłam na jego powierzchnię, pływały na niej liście i suche gałązki. Ale żadnego utopca nie dostrzegłam.

Zimno kłuło mnie w policzki. Każdy oddech boleśnie szczypał w piersiach. W środku lasu, w pobliżu bagien było znacznie zimniej niż na drodze.

Nie ma co zwlekać! Tylko niepotrzebnie tracę czas. Błoto mlaskało nieprzyjemnie przy każdym moim kroku, oblepiając adidasów brązową mazią. Nie opuszczała mnie, nie do końca bezpodstawną zresztą, obawą, że zaraz coś mnie złapie za kostkę i wciągnie w trzęsawisko. Z duszą na ramieniu weszłam pomiędzy zwieszające się witki.

Wejście do krainy umarłych wyglądało jeszcze bardziej intrygująco niż ostatnio. Księżyc w pełni nadawał wszystkiemu zimnych, nierealnych barw. Srebrne wąsy mgły oplatały wierzby, które pochylały się nad nieruchomą taflą mokradeł. Woda mieniła się w blasku Chors, zmieniając kolory od butelkowej zieleni do ciemnego fioletu. Gdzeniegdzie, pomiędzy szuwarami przesuwały się blade, małe światełka.

Miałam nadzieję, że to tylko owady, a nie błędne ogniki, w które zamieniali się po śmierci niegodziwcy, by zwabiać niczego niepodejrzewających podróżników na bagna.

Uderzająca cisza zupełnie nie pasowała do tego miejsca. Jesienne liście

powinny szeleścić, woda szumieć. Tymczasem jedynymi dźwiękami przerywającymi tę niesamowitą ciszę był mój oddech i powolne kroki w mlaskającym błocie. Zupełnie jakby dźwięki oraz życie, które je generowało, zostało za moimi plecami, za zasłoną z wierzbowych witek.

Drzewo kosmiczne górowało nad innymi roślinami, wyciągając swoje gałęzie w stronę księżyca i gwiazd. Niemożliwe wręcz wydawało się, by nie było go widać już z bardzo daleka. Było znacznie wyższe od wszystkich drzew znajdujących się w puszczy.

Jednak ja już nie byłam w puszczy, nie byłam już nawet na ziemi. Nie powinnam o tym zapominać. Wyraj tkwił w bezruchu. Wedle legend powinny go pilnować dziki, utopce i czarownice. Wydawało się jednak, że jestem zupełnie sama.

Oczywiście nie licząc tych irytujących światełek, które rejestrowałam kątem oka. Gdy chciałam przyjrzeć się im wyraźniej, gasły. A do licha! Niech sobie świecą. Przecież nie jestem na tyle naiwna, żeby za nimi pójść.

Uniosłam przed siebie lampę i powoli zbliżyłam się do drzewa kosmicznego. Buty już dawno przemokły mi na wylot od mokrego błota i wody. Miałam wrażenie, że lepka maź pełźnie po mojej skórze pod dżinsami, wspinając się po łydkach. Powinnam była założyć kalosze. To zdecydowanie najpraktyczniejsze obuwie na spacer po lesie w okresie jesiennym.

Zadrżałam i kichnęłam. Pięknie! Katar gwarantowany.

Obeszłam dookoła grubą pień *axis mundi*. Pamiętając przestrogę boga podziemi mówiącą, że drzewo jest niebezpieczne dla śmiertelników, nie dotknęłam jego kory, chociaż pulsujące ciepło, które wydzielało, sprawiało, że miałam ochotę się do niego przytulić. Rozpięłam kurtkę i odetchnęłam głęboko. Powietrze wcale nie pachniało gnijącym bagnem i rozkładającymi się, butwiejącymi liśćmi. Miało przyjemny, żywiczny zapach.

Wróciłam do punktu wyjścia i podparłam się pod boki. Nie było tronu Welesa. Czyżby opuścił podziemia i spaceruje sobie po świecie, strasząc ludzi? Istniała przecież taka możliwość. Ale ja i tak nie mogłam zrobić niczego innego jak tu przyjść. Nie miał telefonu ani sekretarki, żebym mogła umówić się na spotkanie i rozmowę. Musiałam zaryzykować osobistą wizytę.

Szkoda tylko, że wcześniej nie przyszło mi do głowy, że mogę go nie zastać...

– Co tu robisz, widząca?

Ostry, przenikliwy głos, przypominający skrzek ptaka albo dźwięk wydawany przez widelec sunący po pustym talerzu sprawił, że podskoczyłam. Zastłuchana w ciszę i pogrążona w ponurych rozmyślaniach, zupełnie się go nie spodziewałam. Nie usłyszałam, jak ktoś się do mnie zbliżył.

Światło lampy zachybotowało, gdy o mało nie wypuściłam z rąk lodowatej, metalowej rączki. Niechcący niemalże oparłam się o pień drzewa kosmicznego. Przyjemne ciepło ogrzało moje plecy jak oddech, gdy przywarłam do kory.

Gdyby nie paraliżujące mnie przerażenie, pewnie uśmiechnęłabym się na myśl, że siedzenie na tronie, wykonanym z korzeni drzewa kosmicznego, musiało być całkiem przyjemne, gdy wokół panował taki ziąb. Jak podgrzewany fotel w samochodzie. Nic dziwnego, że Weles prawie nie schodził z siedziska.

Odwróciłam się do boga podziemi, który stał w odległości kilku metrów ode mnie. Był ubrany na czarno. Jego stopy w czarnych trzewikach unosiły się nad powierzchnią wody, a nie zapadały w błocie jak moje.

Odchrząknęłam i odpowiedziałam:

– Przyszłam, żeby porozmawiać.

Gdy spojrzał na lampę, którą trzymałam w dłoni, jego czarne zazwyczaj oczy zapłonęły zielonym blaskiem niczym źrenice kota. Wyraźnie widziałam jego bladą twarz. Nie mogłam tylko zrozumieć wyrazu, który się na niej malował. Bóg podziemi wydawał się jednocześnie zaciekawiony i zaniepokojony.

– Zgaś światło – wychrypiał.

Nie byłam pewna czy to prośba, czy rozkaz. Posłusznie nacisnęłam przełącznik. Początkowo spanikowałam, że w ciemnościach niczego nie będę widziała i Weles mnie skrzywdzi. Bo czemu by nie? W końcu przywlokłam się nieproszona w jego zaświaty i chciałam pomacać jego drzewo. Miał wszelkie prawo, żeby ukarać intruza.

Gdy tylko światło lampy zgasło, mokradła się ożywiły. Stojąca woda załśniła, odbijając światło gwiazd, wyglądała jakby ktoś rozsypał na niej srebrzysty brokat. Gałęzie drzewa kosmicznego nad naszymi głowami zaczęły emitować delikatny niebieskawy blask. Nawet para mojego oddechu zdawała się skrzyć w półmroku.

Gdyby nie fakt, że to brama do zaświatów pełnych martwych ludzi, wszystko wyglądałoby całkiem bajkowo.

Oczy Welesa na powrót przypominały czarne studnie. Nie poruszył się, zupełnie jakby wiedział, że ucieknę z krzykiem, jeśli tylko się zbliży.

Całkiem miło z jego strony.

Zauważyłam, że z jego ust nie unosiła się para. On nie oddycha! Zadrżałam, pomimo że drzewo kosmiczne przyjemnie grzało mnie w plecy.

– Chwała ci, potężny Welesie – powiedziałam i lekko skłoniłam głowę. W żadnym razie nie zamierzałam mocniej się pochyłać. Nie przyszedłam tutaj, żeby się przed nim płaszczyć.

Zaśmiał się kpiąco.

– Zaprawdę? Czego szukasz, widząca?

– Ja...

Odchrząknęłam i uniosłam hardo głowę. Nie zamierzałam się bać. Nie teraz, nie po tym wszystkim, czego się dowiedziałam i przeżyłam. Nie byłam już spłoszonym dziewczęciem.

– Szukam odpowiedzi – odparłam.

Nie odzywał się. Jego oczy delikatnie zamigotały. Wyciągnął w moją stronę dłoń. Nie zdołałam powstrzymać odruchu. To było silniejsze ode mnie. Cofnęłam się i uderzyłam z całej siły plecami o drzewo.

Zasyczał i ruszył w moim kierunku. Złość wykrzywiła jego twarz. Odsunęłam się na bok, chcąc przed nim uciec, ale to nie o mnie mu chodziło. Weles wyminął mnie i dotknął czule szorstkiej kory. Miałam wrażenie, że chciał sprawdzić, czy nie zrobiłam drzewu kosmicznemu żadnej krzywdy.

Gładził pień dłuższą chwilę. Usłyszałam jego szept, gdy coś mówił, niemalże przytulając usta do szorstkiej powierzchni drzewa. Byłam przekonana, że dotarło do mnie słowo: „kochane”. Na wszelki wypadek jeszcze trochę się cofnęłam. Też kiedyś zdarzało mi się mówić do mojej paprotki w doniczce, jeszcze kiedy mieszkałam w Warszawie. Jednak głównie ją strofowałam, że za szybko zrzuca liście. W żadnym razie nie mówiłam jej czułych słówek. Z drugiej strony moja paprotka uschła, zamiast tak dorodnie się rozrosnąć. Najwyraźniej czule rozmowy pomagają.

Bóg podziemi posłał mi zdziwione spojrzenie i odsunął się od drzewa. Nie przerwał jednak głaskania pnia.

– Drzewo cię zaakceptowało – powiedział w końcu. – Widząca... czyżbyś już widziała?

O czym on gada?

Na szczęście chyba dostrzegł moje zdziwienie, bo nie oczekiwał odpowiedzi. Odwrócił się ode mnie, pieszcząc wzrokiem korę drzewa. Nagle błoto zaczęło się rozstępować. Wysunęły się spod niego grube korzenie, by razem z pniem uformować tron boga podziemi.

Weles zasiadł na nim sztywno. Czyżby jakaś drzazga wbiła mu się w tyłek?

Cofnęłam się kilka kroków i stanęłam przed jego obliczem. Jeszcze raz skłoniłam głowę. Skoro najwyraźniej chciał bawić się w audiencję u wrót świata podziemnego, to nie ma problemu. Mogę się dostosować. Zazdroszczę mu tylko, że w przeciwieństwie do mnie siedzi na podgrzewanym siedzeniu. Gdy odsunęłam się od drzewa, dotkliwiej poczułam gryzący w policzki, nocny chłód.

Nic nie mówił. Chyba oczekiwał, że to ja zacznę pierwsza.

Odetchnęłam głęboko i przywołałam na twarz najbardziej łagodny uśmiech, na jaki było mnie stać.

– Przepraszam, że nie spełniłam danej ci obietnicy – powiedziałam, gdy cisza coraz bardziej zaczynała się przedłużać. – A także za to, że nie oddałam ci kwiatu. I jestem ci wdzięczna, że mnie za to nie zabiłeś.

Zaśmiał się sucho. Aż się skrzywiłam na ten dźwięk.

– Mokosz doniosła mi, żeś brzemienna – stwierdził kompletnie nie na temat.

A to papla! No nie mogła, po prostu nie mogła sobie darować, żeby nie rozgadać. Przecież obiecała mi, że nikomu nie powie!

Bogom nie można ufać.

Chociaż z drugiej strony sama to powiedziałam głośno w brzozowym zagajniku. O ciąży wie już Sława, Mieszko i nie wiadomo ile stworzeń, które były wtedy w pobliżu. Po plecach przebiegł mi dreszcz – tym razem strachu. Swarozyc na pewno nas wtedy obserwował. On także musiał się już o tym dowiedzieć.

Czy to dlatego Mokosz powiedziała Welesowi?

– Owszem – wydusiłam.

Pokiwał głową. Znowu zapadła cisza. Patrzył na mnie, a ja na niego. Ja rozumiem, że to bóg i że ma mnóstwo czasu, ale mnie się trochę śpieszyło, poza tym zmarłam na kość. Miałam nadzieję, że jakoś ustosunkuje się do moich przeprosin, ale najwyraźniej nie zamierzał. No i klops. Bo co teraz? Mam rozumieć, że mi wybaczył i wszystko już w porządku? A może ciągle jest wściekły i tylko patrzy, jak się na mnie zemścić?

Co też mówił do mnie ostatnio, kiedy się widzieliśmy? Że spotka mnie kara? I że jestem ludzką służebnicą, która po śmierci będzie w jego władzy?

Jakby go zgrabnie o to podpytać?

– Rozumiem, że się na mnie nie złościsz i wszystko jest okej? – palnęłam.

To chyba nie wyszło zbyt zręcznie...

– Jestem bogiem – oznajmił.

Czekałam, ale nic więcej nie dodał. Najwyraźniej to jedno zdanie miało mi wszystko wyjaśnić. No cóż. A ostatnio jak go spotkałam, to skubaniec był taki wygadany. Teraz bawi się w zagadki. Zaczęła mnie boleć głowa.

– Nie zapominam o tym – wspięłam się na szczyty swojego poczucia humoru. – Chodzi mi tylko o to, że kiedyś mi, drogi Welesie, groziłeś. Chciałam się dowiedzieć, czy twoje groźby są aktualne.

Ha! Zobaczymy, co teraz powie.

– Jestem bogiem – oświadczył po raz kolejny.

No to zaciął się. Ręce mi opadły.

– A to oznacza, że moje decyzje i moje zachowania mogą wychodzić poza twoje pojmowanie, widząca – dokończył łaskawie.

Niemniej nadal nie odpowiedział na moje pytanie. Postanowiłam poczekać. Może on dzisiaj po prostu tak długo skleca zdania.

– Co więcej, jestem bogiem obietnic – kontynuował. – Ty poniekąd nie złamałaś danej mi obietnicy.

Gorączkowo zaczęłam się zastanawiać, jak niby nie złamałam obietnicy, skoro ją złamałam. Przecież miałam oddać mu kwiat, żeby miał przewagę nad Świętowitem. A nie dałam mu kwiatu. Naparem z niego polałam ranę na brzuchu i napoiłam nim Mieszka.

O czymś nie wiem?

– Przecież... – zaczęłam, ale mi przerwał:

– Widząca... a tak mało widzisz.

Do cholery ciężkiej, jak mam cokolwiek widzieć, skoro wszyscy mówią do mnie zagadkami?! Nikt nie chce po prostu powiedzieć, o co chodzi. Nawet Swarożyc nie potrafi wydusić z siebie, kogo mam zabić!

– Czego nie widzę? – krzyknęłam. – No czego? Najwyraźniej widząca ze mnie jak z koziej dupy trąbka! Możesz mi wreszcie powiedzieć, czego nie widzę?!

– Nie – odparł po prostu.

Furia, która mnie opanowała, w jednej chwili opadła, jakby ktoś odłączył

mi wtyczkę. Co ja robię? Krzyczę na boga? Przecież to się źle skończy. Źle dla mnie – oczywiście.

– Rozumiem – skwitowałam.

– Czyżby? – zakpił.

Posłałam mu spojrzenie spode łba, ale nie skomentowałam. Już i tak dobrze się bawił.

– Mam pytanie – oświadczyłam.

– Zadaj je, może odpowiem.

– Moja matka nie chce mi powiedzieć, kto jest moim ojcem. Opowiedziała mi o klątwie, która rzekomo ciąży na naszej rodzinie. Chcę się dowiedzieć, czy to prawda i chcę poznać swojego ojca.

Weles postukał poczerniałym od brudu paznokciem w podłokietnik swojego tronu. Drzewo kosmiczne zaszumiało w proteście, więc położył płasko dłoń.

– Nie zadałaś pytania – zauważył usłużnie.

– Czy możesz mi powiedzieć, czy to, co mówiła moja mama jest prawdą? I czy możesz mi powiedzieć, kto jest moim ojcem? – dodałam z trudem tłumiąc złość.

– Twoja matka nie kłamała. Nad twoją rodziną ciąży klątwa podwójnych dusz – odpowiedział powoli, zupełnie jakby ważył każde słowo przed jego wypowiedzeniem. – Płynie w tobie krew mądrych szeptuch. Przed wiekami jedna z nich została przeklęta przez umierającą strzygę.

– Co muszę zrobić, by złamać klątwę? – zapytałam.

Spojrzał na mój brzuch.

– Możesz urodzić córkę – odparł.

– Ale w ten sposób tylko przekażę klątwę dalej – zaprotestowałam. – Co mogę zrobić, żeby ją przerwać?

Weles już otworzył usta, ale szybko dodałam:

– Oczywiście, poza tym, że umrę i zamienię się w strzygę?

Posłał mi wilczy uśmiech i pokręcił głową.

– Oprócz tego, ty nic już więcej nie możesz zrobić – powiedział.

– A kto może coś zrobić? Ty?

Tym razem kiwnął głową.

– Ale ty podobno już coś zrobiłeś. Moja mama powiedziała, że z tobą rozmawiała, że się jej ukazałeś i że obiecałeś jej pomoc. Obiecałeś, a w zamian ja miałam przyjechać do Bielin. Przyjechałam.

Zrobiło mi się słabo na myśl, że moja przyszłość została zaplanowana na

długo przed tym, jak pojawiłam się na tym świecie. Bogowie w jakiś sposób wiedzieli, że będę mogła zerwać kwiat paproci. Ba, wiedzieli, że się narodzę! Nie podobało mi się, że ktoś może mieć wpływ na moją przyszłość i dołą.

Sama chcę być panią swojego losu! Nikt mi nie będzie mówił, co mam robić! Nikt nie będzie za mnie planował mojego życia!

– To prawda – odpowiedział.

– Czyli już nie ciąży na mnie klątwa? Zdjąłeś ją?

– Cięży, ale dzięki tobie klątwa na zawsze zostanie zdjęta z twojej rodziny.

I poproś tu boga o pomoc.

– Jak to dzięki mnie? Przecież powiedziałeś, że mogę albo urodzić córkę, albo umrzeć?

– Użycie kwiatu paproci już zapoczątkowało proces. Zapytałaś, co jeszcze możesz zrobić. A ja ci odpowiedziałem, że więcej już nic nie musisz ani nie możesz zrobić. – Mówił do mnie spokojnie, jakby przemawiał do małego dziecka. O ile dziecko oczywiście nie uciekłoby na dźwięk tego skrzekliwego głosu.

Minęła dłuższa chwila, zanim pojęłam, co właśnie mi przekazał.

– Zaraz, zaraz! Chcesz mi powiedzieć, że od początku tak miało być, że użyję kwiatu? Że to jest ten twój sposób na pomoc mojej mamie? Przecież kazałeś mi go sobie przynieść!

– Masz go w sobie. Przyniosłaś go teraz. Gdy obiecywałaś mi przyniesienie kwiatu, nie powiedziałaś, kiedy to zrobisz.

Podobną obietnicę złożyłam Swarożycowi. Też nie określiłam widełek czasowych. Tylko czy on okaże się taki wspaniałomyślny jak Weles?

– Dlaczego byłeś dla mnie taki niemiły? Czemu mówiłeś, że spotka mnie kara?

– Znam cię lepiej, niż ci się wydaje, widząca. To były słowa, które miałem wypowiedzieć. Taka była moja dola w tym wszystkim.

Jeszcze jedno słowo o doli, a nie rękę za siebie.

– Czyli nie zamienię się w strzygę? – Wolałam się upewnić w tej kwestii.

– Jeśli umrzesz przed porodem, to zamienisz się w strzygę.

Moja hipochondria i strach przed bólem porodowym urosły właśnie do nieznanych mi wcześniej wielkości. Aż mi się zrobiło duszno. Przecież przy porodzie jest tyle rzeczy, które mogą pójść nie tak!

Przekłęte wykształcenie medyczne!

– No dobrze – mruknełam bardziej do siebie niż do niego. – Nadal wielu rzeczy nie rozumiem, ale...

– Wstyd.

Uniosłam głowę i spojrzałam w jego ciemne oczy.

– Jesteś widząca. Silną widząca. Dlaczego nie trenujesz? – zapytał. – Dlaczego nie widzisz?

– Nie wiem jak – powiedziałam zgodnie z prawdą.

Wizje miałam zwykle podczas snu. Oczywiście mogłabym więcej spać, nie miałabym kompletnie nic przeciwko temu, ale wątpię, że o to mu chodziło. Spojrzałam na nadgarstek, na którym, pod rękawem kurtki, był ślad po oparzeniu, podarunek Swarożycy. Miał mi rzekomo pomóc rozwinąć moje wizje, pokonać barierę, którą stworzyłam w swojej głowie.

Chyba już przestał działać.

– Do pewnych rzeczy powinnaś dojść sama. To twoja zdolność, twój dar. Pielęgnuj go – oznajmił. – Spraw, by dojrzał.

Miałam nieodparte podejrzenie, że ta rozmowa sprawia mu perwersyjną przyjemność. Dobrze wie, że zaraz zrobię albo powiem coś, czego będę później żałować. Czemu mnie prowokuje?

Postanowiłam zmienić temat.

– No dobrze, a powiesz mi, kto jest moim ojcem? Próbowałam sama się dowiedzieć. To na pewno nie jest Swarożyc, bo tak powiedziała wróżba. Kto w takim razie?

– Widząca... – westchnął słabo.

Dobrze wiedziałam, że skubaniec udaje, bo się przy tym uśmiechał.

– Dasz radę dojść do tego sama. Nie będę ci pomagał. Ćwicz, a prawda sama stanie ci przed oczami.

Znowu się we mnie zagotowało. „Dasz radę dojść do tego sama”. No jasne, że w końcu dam radę. Mam nawet pewne podejrzenia, ale na litość wszystkich bogów – najpierw moja matka, teraz on! Uzgodnili to, czy co?!

– A jakaś podpowiedź? – spróbowałam.

– Nie.

– A o co ci chodziło, gdy mówiłeś mojej mamie, że nie powinniśmy bać się ognia? – spróbowałam z innej beczki.

– Chodziło mi o to, co powiedziałem.

– No tak, ale...

– Ty chyba nie boisz się ognia. Nosisz na sobie nawet jego znaki – zauważył dziwnie zirytowany.

Para wylatująca z moich ust robiła się coraz wyraźniejsza, im dłużej przebywałam w Wyraju. Dreszcze cały czas pełzły mi po plecach i nie czułam już nóg w mokrych butach. Nie powinnam dłużej tu sterczeć. Nie będąc w ciąży.

– W takim razie co możesz mi powiedzieć o Swarożycu? – znowu zmieniłam temat.

– A co chcesz wiedzieć?

Poruszył się niespokojnie na tronie, zupełnie jakby nagle siedzisko przestało być wygodne. Zmarszczył groźnie brwi, ale zaraz rozpogodził się, przywdziewając ponownie maskę wielkiego, poważnego boga.

– Związałam się ze Swarożycem obietnicą – powiedziałam.

Pomimo swojej zwyczajnej bladości Weles jeszcze trochę pojaśniał.

– Co mu obiecałaś? – zapytał.

– Przysługę.

– Głupia dziewczyno...

– Tak, wiem – burknęłam. – Podszedł mnie. Moja wina, że mnie zagadał? Mina Welesa łatwo sugerowała odpowiedź.

– Jakiej obietnicy zażądał? – zapytał. – Ze Swarożycem nie wolno sobie pogrywać. Zmusi cię do spełnienia obietnicy.

– Jeszcze nie wiem – skłamałam.

Czemu nie powiedziałam mu prawdy? Na końcu języka miałam stwierdzenie, że dał mi sztylet i kazał kogoś zabić, tylko jeszcze nie powiedział kogo. A jednak tego nie zrobiłam.

– Co chcesz wiedzieć o Swarożycu? – zapytał jakby łaskawiej.

– W zasadzie już mi odpowiedziałeś na to pytanie. – Tym razem ja westchnęłam. – Już wiem, że zmusi mnie do dotrzymania obietnicy.

– Swarożycowi zależy na chaosie – powiedział, potwierdzając słowa Baby Jagi i ognistego boga, najwyraźniej motywy tego ostatniego były wszystkim świetnie znane. – Nie podoba mu się porządek panujący na świecie. Uważaj na niego. Gdybyś potrzebowała mojej pomocy, przyjdź tutaj.

Zaskoczyła mnie jego łaskawość. Co się stało, że nagle wszyscy chcą mi pomagać? Najpierw Mokosz, a teraz Weles? O czym oni wiedzą, a czego nie wiem ja?

Chociaż z drugiej strony powiedział tylko, żebym przyszła. Nie zająknął się ani słowem, że mi pomoże. Może po prostu chce poznać najnowsze ploteczki.

– Dziękuję – odparłam bez przekonania.

– Jeszcze jedno, widząca.

– Tak?

– Nie mów Swarożycowi o naszej rozmowie. Bóg ognia nie ma wstępu do Wyraju, więc nie mógł nas usłyszeć, ale tam... – Wskazał głową na brzeg lasu. – Jesteś dla niego ważna. Tam na pewno nie spuszcza cię z oczu.

– Rozumiem. To dlatego podczas Nocy Kupały byłeś dla mnie taki niemiły? Bo stał obok? Nie chciałeś, żeby się nie zorientował, że tak naprawdę mi pomagasz od czasów, zanim jeszcze się urodziłam?

Oczywiście nie odpowiedział. Zrozumiałam, że to dobry moment, żeby wrócić do domu. Zdecydowanie dobry moment. Po raz ostatni zmierzylśmy się spojrzeniami. Nie potrafiłam nic odczytać z delikatnego uśmiechu, który zagościł na jego ustach. Pokłoniłam się i odwróciłam na pięcie.

Nie musiałam nic więcej mówić. Oboje wiedzieliśmy, że jeszcze go odwiedzę.

Z ulgą wydostałam się zza szpaleru wierzb. Tutaj nie było już jasnego światła, którym emanowały mokradła i gałęzie drzewa kosmicznego. Musiał mi wystarczyć księżyc w pełni, który bardzo dokładnie przysyłaniały gałęzie drzew. Kompletnie niczego nie widziałam. Cały czas przeskakiwały mi pod powiekami błędne ogniki.

Odetchnęłam głośno i zakląłam. Najszpetniej, jak tylko umiałam.

Dreszcze szarpały moim ciałem, a zęby zaczęły stukać o siebie. Na szczęście, gdy tylko opuściłam Nawię, zrobiło mi się cieplej.

Ciekawe, dlaczego tam jest tak zimno? Zadrżałam jeszcze raz, gdy pomyślałam o tym, że w sumie chłód przydaje się w kostnicach.

Pokręciłam głową zła na wyobraźnię, która nieustannie mnie ponosiła. Nie ma co tu sterczeć. Czas wracać do domu, póki Mieszko jeszcze nie zauważył mojej nieobecności.

Zapaliłam lampę i wrzasnęłam, bo naprzeciwno mnie ktoś stał w kompletnym bezruchu.

14.

– Mieszko! – krzyknęłam z pretensją. – Mało zawału przez ciebie nie dostałam!

– Po co poszłaś do Wyraju? – zapytał.

Zmrużył oczy, gdy poraziło go światło, ale się nie odsunął. Nawet się nie skrzywił. Trwał w kompletnym bezruchu niczym rzeźba. Jedyne para unosząca się z jego ust nadawała mu cech żywej istoty. Na płócienną koszulę narzucił rozchełstany kozuch. Jeśli było mu zimno, to nie dawał tego po sobie poznać.

Ogólnie poza rozsadzającą go wściekłością niczego nie dawał po sobie poznać.

– Też się cieszę na twój widok – parsknęłam.

– Poszłaś do *niego*?

Jego głos delikatnie zadrżał. Opuściłam lampę niżej, żeby już go nie oślepić. Po Mieszku spodziewałam się wielu rzeczy. Wydawało mi się, że całkiem nieźle już go znam. Mimo to on ciągle potrafił mnie zaskoczyć.

– Nie szukałam w zaświatach Witka, jeśli o to ci chodzi – powiedziałam.

– Rozmawiałam z Welesem o klątwie, która ciąży na mojej rodzinie. Chciałam, żeby mi wyjaśnił kilka spraw. Oczywiście niczego konstruktywnego się nie dowiedziałam, bo oni wszyscy mówią zagadkami jak nawiedzeni.

Mieszko ruszył w moją stronę energicznym krokiem i przyciągnął mnie do siebie. Zmiażdżył mnie uściskiem ramion. Moja twarz została wbita w jego twardą klatkę piersiową. Rozluźniłam się i z ulgą wtuliłam, odsuwając lampę na bok, żeby nam nie przeszkadzała. Od razu zrobiło mi się cieplej.

Taki duży, taki silny, a mimo wszystko potrafi się przestraszyć. Czyżbym właśnie odkryła słaby punkt wielkiego wojownika?

– Czemu wymknęłaś się w nocy? – zapytał z pretensją.

– A puściłbyś mnie?

Nie odpowiedział.

– No właśnie... Wracajmy do domu – zaproponowałam. – Wypijemy ciepłą herbatę, albo schowamy się pod kołdrę, a ja ci wszystko opowiem.

– Nie uciekaj następnym razem – poprosił.

– Dobrze.

Niechętnie wypuścił mnie ze swoich objęć. Zerknął ponad moją głowę na wierzby broniące wstępu do świata umarłych. W jego oczach błysnęła niechęć.

Wziął ode mnie lampę i ruszyliśmy powoli przez las. Nie szliśmy wzdłuż strumienia, dość prostą drogą, którą sama dotarłam do Wyraju. Mieszko znacznie lepiej radził sobie ode mnie w puszczy i umiał znaleźć drogę w ciemnościach, dlatego wybrał szlak. Co jakiś czas mijaliśmy drzewa oznaczone białymi i czerwonymi paskami. Sama w życiu bym nie rozpoznała w nocy właściwej drogi. Wszystko wyglądało identycznie. Pięć razy bym się zgubiła, zanim trafiłabym od jednego oznaczonego drzewa do drugiego. Kurczowo trzymałam się go za rękę, by nie wywalić się na skrytych w mroku korzeniach.

Po jakimś czasie Mieszko skręcił pomiędzy skarłowaciałe sosenki. Przedzieraliśmy się teraz przez wąską ścieżkę, którą poruszają się tylko sarny. Gałęzie szarpały mnie za włosy, a krzaki chwyciły za nogawki spodni. Pomimo że przed chwilą byłam zmarznięta, teraz zgrzałam się i czułam, jak pod ciepłą kurtką, po plecach, płynie mi strużka potu.

Przed nami pojawiło się małe jeziorko. Od razu poznałam to miejsce. Drewniana chatka pośrodku lasu. Ucieszyłam się, że nienależący do najłatwiejszych spacer leśną dróżką wreszcie się kończy. Od chatki do drogi był już rzut beretem.

Mieszko chciał okrążyć jezioro i ominąć polanę, ale zatrzymałam go, wbijając obie pięty w ziemię.

– Co się dzieje? – zapytał.

– Dym.

Wskazałam palcem na kamienny komin, zdający się przechylać niebezpiecznie na krzywym dachu chatki. Unosiła się z niego smużka dymu. Prawie niewidoczna na tle ciemnego nieba, wyglądała, jakby właśnie dogasał ogień w kominku.

– Ktoś jest w środku – powiedziałam szeptem.

Mieszko zrobił krok w stronę domku, ale się cofnął.

– Chata nie należy do nikogo. Może zatrzymał się tam jakiś turysta albo myśliwy? – odparł. – Każdy ma prawo w niej nocować.

– A nie powinniśmy sprawdzić?

– Po co?

– Nie wiem... mam jakieś takie... przeczucie.

Nie potrafiłam wyjaśnić Mieszкови, o co chodzi, ale bardzo mi się nie podobało, że ktoś jest w chatce. W żadnym razie nie poczuwałam się do jakiegokolwiek własności. Jednak coś mnie gryzło, świerbiło pod skórą. Czułam jakiś dziwny niepokój.

– Musimy? – westchnął. – Jest już bardzo późno, a ty zmarzłaś.

Mimo wszystko wolałabym zajrzeć do środka.

– Proszę! – Nie dawałam mu spokoju.

– Dobrze. Sprawdźmy – zgodził się niechętnie.

Przeszliśmy obok nieruchomego jeziora. Spojrzałam na błyszczącą tafłę wręcz spodziewając się, że zamiast swojego odbicia zobaczę twarz pana Dareczka.

Tylko że pana Dareczka już nie było.

– Weź sztylet – wsunęłam mu w dłoń ostrze.

Nie zabrał żadnej broni. Najwyraźniej zamierzał wojować dzisiaj ze wszystkimi przeciwnościami losu jedynie za pomocą swoich gołych pięści. Wziął sztylet, ale widziałam po jego minie, że nie uważa tego za konieczność.

Podeszliśmy bliżej wejścia. Mieszko podał mi lampę.

Przez okna chaty nie było wiele widać. Lekki poblask ognia ukazywał jakiś kształt na łóżku, ale poza tym nic więcej. Błat stołu był pusty, obok kominka nie leżały szczapy drewna. Poczułam przypływ nadziei. A może w środku jest Witek? Może tak się przestraszył, że po prostu się ukrył i zamieszkał w środku lasu? Może nic mu nie jest?

Mieszko nakazał mi gestem, żebym poczekała. Jego oczy pociemniały. Nie wiedziałam, co dostrzegł przez okno, ale go to zaniepokoiło. Ja sama nie zauważyłam nic.

Hm. Nic.

Niemalże wykrzyknęłam to głośno, zachwycona swoją dedukcją. Nic. Nic było kluczem! Gdyby w środku był myśliwy albo turysta, wszędzie walałyby się jego rzeczy. Przed spaniem zdjąłby z siebie kurtkę, buty. Na stole rozłożyłby swoje rzeczy. Gdzieś stałby jego plecak.

A przez okno niczego takiego nie było widać.

W takim razie co to za kształt leżał na łóżku, w kącie izby?

Poczułam kolejny przypływ nadziei. To mógł być Witek! Przecież uciekł z Bielin. Nie zabrał ze sobą niczego.

Przestępując z nogi na nogę, patrzyłam, jak Mieszko skrada się do drzwi.

Zatrzymał się i przytulił twarz do drewna, żeby usłyszeć, co się dzieje w środku. Wzruszył ramionami, najwyraźniej nic nie usłyszał. Sięgnął do klamki. Delikatnie ją nacisnął i popchnął skrzydło.

Serce zaczęło wyrywać mi się z piersi. O ile wcześniej miałam złe przeczucia, to teraz byłam już przekonana, że coś jest nie tak. Żołądek skurczył mi się w supeł. Podejrzywałam... Nie! Wiedziałam, że stanie się coś złego.

Podreptałam za Mieszkiem, kompletnie ignorując jego zirytowaną minę. Dobrze wiedziałam, co miał mi do powiedzenia, ale nie zamierzałam go słuchać. Schowałam lampę za plecy i wsadziłam głowę do środka, starając się szybko przyzwyczaić oczy do półmroku.

W kominku dogasał ogień. Dopalało się ostatnie polano, praktycznie już tylko się żarząc. Ilość popiołu i okopcone kamienne ściany kominka sugerowały, że płomień początkowo był bardzo duży. Zbyt duży jak na tak mały kominek. Całe szczęście, że cała chata nie poszła z dymem od iskier.

Poza tym nic nie widziałam. Weszłam do środka i uniosłam do góry lampę, co Mieszko skwitował niecierpliwym burknięciem.

Rozejrzeliśmy się. W chacie panował niesamowity bałagan. Na podłodze, stole i ławie leżała warstwa szarego popiołu. Miałam wrażenie, że ktoś wymalował w niej jakieś znaki, ale w ciemnościach nie byłam tego do końca pewna. Mogło mi się wydawać. Nigdzie nie było żadnych rzeczy osobistych, ubrań, butów, jedzenia. Nie potrafiłam dostrzec nawet zapalek ani zapalniczki.

Powoli skierowaliśmy się do siennika, na którym pod kilkoma kocami ktoś chyba leżał. Popiół unosił się dookoła naszych stóp. Jeśli były tam jakieś ślady, to i tak przestały właśnie istnieć.

Pomimo naszej ostrożności zawiasy zaskrzypiały zdradziecko, gdy drzwi zamknęły się za naszymi plecami. Mimo to postać zakopana w barłogu nawet nie drgnęła. Zamarłam, obserwując, jak Mieszko zatrzymuje się nad posłaniem. Oddychałam coraz szybciej, ledwie radząc sobie ze wzbierającą paniką. Od unoszącego się w powietrzu popiołu zrobiło mi się duszno.

Plułam sobie w brodę na szalony pomysł zagładania do opuszczonej chaty. Nie należała do nas. Nie powinna nas w ogóle obchodzić. Trzeba było wrócić do domu, schować się pod kołdrę i skupić na całowaniu swojego chłopaka, a nie włóczyć po lesie.

Mieszko uniósł ostrzem sztyletu rąbek koców. Czekaliśmy, ale kształt nawet nie drgnął. Nie wiem, ile czasu staliśmy. Krew szumiała mi uszach

jak szalona, a serce obijało się o żebra. Miałam ochotę poprosić Mieszka, żebyśmy dali sobie spokój i wyszli.

Wydawało mi się, że minęła wieczność, zanim Mieszko wykonał kolejny ruch, chociaż trwało to pewnie ledwie kilka sekund.

Zerknął na mnie upewniając się, że jestem w bezpiecznej odległości i sięgnął dłonią do nakrycia. Na jego policzku drgał nerwowo mięsień. Poza tym wydawał się spokojny i opanowany. Zacisnął palce na materiale i jednym szarpnięciem zerwał go z postaci.

Koce opadły na ziemię, wzbijając chmury popiołu. Skąd go tyle się tu wzięło? Rozkaszałam się, nie mogąc powstrzymać odruchu. Nic nie widziałam przez załzawione oczy.

Mieszko zamarł wpatrując się w człowieka na łóżku. Zamiast mnie uciszyć, rozkazał krótko:

– Daj światło!

Szept w mojej głowie ponownie kazał mi uciekać, ale zamiast tego podeszłam bliżej i uniosłam lampę. Zamrugałam, wpatrując się w mężczyznę na pościeli.

Na sienniku, na plecach, leżał Witek. Ręce miał ułożone na brzuchu. Jego oczy były zamknięte. Poszarzała skóra wydawała się opinać kości na twarzy mężczyzny niczym zniszczony przez lata pergamin. Jego policzki zapadły się głęboko. Oczy wydawały się dziwnie wklęsłe, jakby gałki oczne osunęły się w głąb oczodołów. Szare cienie i sine usta sprawiały upiorne wrażenie. Wyglądał, jakby coś wysssało z niego życie.

Zrozumiałam, że Witek nie oddycha.

Było w nim tyle życia, ile w zwłokach leżących w trumnie, oczekujących na ciałopalenie.

Nabrałam głęboko powietrza i znowu się rozkaszałam.

– Czy on...? – wydusiłam w końcu.

– Na to wygląda – stwierdził Mieszko.

Podeszłam jeszcze bliżej i sięgnęłam do szyi leżącego, chcąc znaleźć tętno. Nie mogłam go namacać. Nie czułam ani jednego uderzenia. Była tylko jedna rzecz, która mi nie pasowała w tym obrazku.

– Mieszko...

Nie chodziło o dziwnie napiętą skórę. Nie rozumiałam, dlaczego tak wyglądał. Przypominał ofiarę trwającej bardzo długo głodówki, bądź chorego na nowotwór w krańcowym okresie choroby. Miał też pewne cechy zmumifikowanych ciał, które czasem znajdowano w wiecznej

zmarzlinie na Syberii albo głęboko na pustyni.

W kilka dni nie mógł doprowadzić się do takiego stanu, nawet jeśli niczego nie jadł, albo ciężko chorował.

To nie było normalne!

– Chodźmy stąd – mruknął Mieszko i rozejrzał się po wnętrzu chaty, jakby podejrzewał, że z jakiegoś ciemnego kąta zaraz ktoś na nas wyskoczy z siekierą. – Nie podoba mi się to. Nie powinniśmy byli tu wchodzić.

– Mieszko... poczekaj!

– Zostaw go. Wychodzimy.

– On nie ma pulsu. A w każdym razie ja nie mogę go wyczuć. Tylko że jest...

Cały czas macałam Witka po szyi, szukając zagubionego tętna. Ono przecież musiało gdzieś tu być. Musiało, bo Witek był...

– ...ciepły – szepnęłam.

– Co?

– On jest ciepły, Mieszko. Dotknij jego skóry. Witek żyje. Jakimś cudem on żyje.

Mężczyzna niechętnie dotknął dłoni młodego żercy i od razu się cofnął. Schwycił mocniej sztylet i zgiął rękę w łokciu, jakby szykował się do zadania ciosu.

– Nie wygląda, jakby był żywy – zaprotestował.

– Ale jest ciepły. Jak to wyjaśnisz?

Tak jak się spodziewałam, Mieszko wcale nie rwał się do wyczerpujących wyjaśnień.

– Może to jakaś forma katatonii? – rzuciłam w przestrzeń i sięgnęłam do jego nadgarstków. Tu także nie znalazłam naczynia, na którym poczułabym pulsowanie krwi. Skóra na rękach była szorstka i bardzo łuszcząca. Miałam wrażenie, że gdybym mocniej za nią pociągnęła, to zeschłe płyty posypałyby się na ziemię.

Sięgnęłam do jego twarzy i palcami jednej dłoni spróbowałam otworzyć powieki. Nie chciały się rozkleić, były zaropiałe, zaklejone jakąś szarą substancją. Gdy w końcu ustąpiły, a rzęsy niechętnie się rozkleiły, zobaczyliśmy, że oczy pokryte są bielmem. Cofnęłam rękę. Powieki ponownie się zamknęły.

Strach schwycił mnie za gardło. Stało mu się coś bardzo, bardzo złego.

Katarakta u tak młodej osoby raczej nie zdarza się zbyt często. Poza tym kiedy ostatnio go, widziałam był zdrowy. Nosił okulary, ale nie wyglądał,

jakby cierpiał na schorzenie poważniejsze od zwykłej wady wzroku.

No i nie istnieje związek pomiędzy zaćmą a urazami głowy.

– Wyjdźmy stąd! – głos Mieszka był coraz twardszy.

– Musimy wezwać pogotowie – zaprotestowałam. – On jest chory. Uderzyłeś go w głowę, może jest w śpiączce, może nie potrafi się obudzić. Może wygląda tak, bo... bo jest głodny.

Sama nie wierzyłam w swoje słowa, ale nie mogłam tak po prostu wyjść i go zostawić. Przecież jeszcze kilka dni temu był pełnym życia mężczyzną. Nie mógł tak szybko zamienić się w przeklętą mumię!

– Jeśli zapadł w śpiączkę po moim uderzeniu, to jak niby doszedł do tej chaty i rozpałił ogień w kominku? – syknął. – Wychodzimy stąd. Natychmiast.

Mieszko złapał mnie za ramię, chcąc odciągnąć od Witka. Dla niego dyskusja się skończyła. Rozumiałam go. I tak wytrzymał wyjątkowo długo jak na swoje możliwości. Cud, że za sam wygląd nie odrąbał Witkowi głowy, tak na wszelki wypadek.

Nagle zdarzenia przyspieszyły i potoczyły się według nieodkrytej logiki....

Gdy cofnęłam się, otwierając usta do głośnego protestu, Mieszko pociągnął mnie jak szmacianą lalkę w stronę drzwi tak, że nie zdążyłam się odezwać.

Wówczas polano w kominku dogasło.

Zniknęła ostatnia iskra, a drewno zamieniło się w popiół. Jedynym źródłem światła pozostała biała lampa LED, którą trzymałam. Ogień w kominku ledwie się żarzył, jednak gdy tylko zgasł, od razu zrobiło się dużo ciemniej. Mrok zalał całe wnętrze chaty. Miałam wrażenie, że zasysa światło, które wydobywa się z lampy.

I niemal w tym samym momencie, w którym ogień zgasł, Witek otworzył oczy.

Jego źrenice nie były już pokryte bielmem.

Palił się w nich pomarańczowy ogień.

15.

Oczy Witka płonęły wewnętrznym światłem. Zniknęła gdzieś białkówka. Źrenice rozszerzyły się nienaturalnie, obejmując całą powierzchnię gałek. Wyglądały jak oczy konia albo sarny. Na dnie czerni źrenic skakały płomienie. Nie miały w sobie jednak niczego z wesołych płomyków ogniska. – Gosia!

Mieszko szarpnął mnie gwałtownie do tyłu, jednocześnie wykrzykując moje imię. Lampa zatoczyła łuk, sprawiając, że wszystkie cienie w pomieszczeniu rozchwiały się, dając złudzenie ruchu. Byłam pewna, że Witek także się poruszył.

O mało nie upadłam, zaplątana we własne nogi. Ledwie zdołałam utrzymać równowagę.

– Otworzył oczy, otworzył oczy, otworzył oczy! – Zdałam sobie sprawę, że ten gorączkowy szept wydobywa się z moich ust.

Mieszko syknął, żeby mnie uciszyć. Zacisnął mocno palce na moim ramieniu i przeciągnął mnie za siebie. Dłoń ze sztyletem wyciągnął w stronę gardła Witka. Przygryzłam wargę tak mocno, że aż poczułam na języku smak krwi. Gdy tylko przestałam szeptać, do moich uszu zaczęła dobijać się cisza. Miałam wrażenie, że bębenki zaczynają mnie boleć. Niczego nie było słychać. Wcześniej delikatnie strzelało drewno w kominku, wiatr hulał w kominie, a stare deski w ścianach skrzypiały. Teraz wszystkie te dźwięki zniknęły.

Cienie pełzające po ścianach powoli się uspokajały, chociaż moja dłoń drżała coraz mocniej.

Założyłam uchwyt lampy na nadgarstek i złapałam Mieszka za rękę, którą mnie ścisnął. Odgięłam jego palce, kurczowo zaciśnięte na swoim ramieniu. Byłam pewna, że narobił mi siniaków. Wsunęłam palce pomiędzy jego i pozwoliłam, by zamiast tego mocno złapał mnie za rękę.

Z przerażeniem zarejestrowałam, że dłoń Mieszka jest lodowata. Mój wojownik się bał. Nie spodobała mi się ta konkluzja.

Nagle Witek usiadł na łóżku. Oboje drgnęliśmy. Sama o mało nie wyskoczyłam ze skóry. Mimo to, jak Mieszko, nie potrafiłam oderwać od niego spojrzenia.

Witek nie podparł się rękami, nawet nie zgarbił. Uniósł się do pozycji siedzącej jak sztywna lalka, bądź marionetka, którą sztukmistrz podniósł, pociągając za niewidoczne sznurki. Trzymał głowę sztywno. Nie zadrzała, gdy siadał, nie przechyliła się. Była nienaturalnie wyprostowana jak cały jego kręgosłup. Dłonie mężczyzny opadły na posłanie grzbietami do dołu, wydawały się pozbawione życia. Zauważyłam, że w ich wnętrzu wypalone są jakieś znaki. Zagięte palce zakończone brudnymi paznokciami przysłaniały mi widok, ale wydawało mi się, że to znak krzyża słonecznego.

Zrozumiałam, że to coś więcej niż blizny, które zostawiał na mojej skórze bóg ognia. To było piętno.

Witek nie patrzył na nas. Wbijał spojrzenie w jakiś punkt przed sobą. Wydawało się, że w ogóle nie zauważa naszej obecności.

Obróciłam się w stronę ściany za moim lewym ramieniem, która tak zainteresowała Witka. Na ścianie nie było niczego interesującego. Zwykła drewniana ściana, pozbawiona ozdób, obrazków. Nie było na niej nawet okna.

Oprócz strachu poczułam smutek. On wcale się tam nie patrzył. Jego tu nie było.

To Swarozyc coś mu zrobił. Coś złego.

I tak po prostu – Witka już nie było.

Powoli, krok po kroku, zaczęliśmy przesuwać się w stronę wyjścia.

Zamknęłam usta, pilnując się, by z pomiędzy warg nie wydostał się nawet najlżejszy szmer oddechu.

Witek ciągle się nie poruszał. Nie dał nam najmniejszego znaku, że w jakikolwiek sposób zarejestrował naszą obecność. Mieszko pchał delikatnie moją dłoń, zmuszając mnie do spokojnych ruchów. Każde z nas starało się jak najciszej stawiać stopy.

Nie zdążyliśmy wyjść.

Nagle Witek wykręcił głowę w naszą stronę. Nie wydał przy tym żadnego dźwięku. Nie krzyknął. Nawet nie stęknął. Po prostu odwrócił się do nas. Spojrzenie jego płonących oczu zogniskowało się na mnie.

Mechaniczny ruch jego głowy był tak nieludzki, że porażona stanęłam, pomimo że Mieszko szarpał mnie za rękę. Jego palce zrobiły się jeszcze bardziej lodowate. Szyja Witka wygięła się nienaturalnie, odrobinę zbyt mocno do boku. To musiało mu sprawiać ból. Jednak żaden grymas nie pojawił się na jego zapadniętej twarzy.

Mieszko znowu wysunął się do przodu i zasłonił mnie własną pierśią.

Ponad jego ramieniem ledwie teraz widziałam Witka. Mimo to postać na łóżku nie skupiła się na Mieszku. Nadal patrzył tylko i wyłącznie na mnie.

– Gosia? – zapytało widmo.

Nie miałam żadnych złudzeń. To nie był Witek. To nie był nawet jego głos. Skrzek, który wydostał się z zasuszonej krtani brzmiał zupełnie obco.

– Witek? – zapytałam mimo to.

Jego usta rozciągnęły się w uśmiechu. Sztywna skóra nie chciała usłuchać mięśni. Przez chwilę przestraszyłam się, że popęka w kącikach i odsłoni zęby.

– Tak – wyszeptał chrapliwie. – Witek.

Mieszko cofnął się, deptając mnie po stopach. Posłusznie przesunęłam się do tyłu, w stronę drzwi.

– Co ci się stało? – zapytałam.

– Gosia! – Ostrzegawczy ton Mieszka sprawił, że znowu drgnęłam.

Odwrócił się do mnie i rzucił mi spojrzenie przez ramię. Zobaczyłam w nim strach. O mało się nie zachłysnęłam. Jeszcze nie widziałam go w takim stanie. Poza strachem było coś jeszcze. Tylko co to było?

– Gdzie idziesz? Zostań – poprosił Witek.

Spojrzałam w płomienie tańczące w jego oczach. Przyzywały mnie.

– Co ci się stało, Witku? – powtórzyłam. – Odpowiedz mi. Inaczej wyjdę.

Uśmiech znikł z jego twarzy. Zmarszczył brwi i nagle skóra chłopaka zaczęła szarzeć. Pokryła ją siateczka pęknięć. Odsunęliśmy się gwałtownie z Mieszkiem i razem uderzyliśmy plecami o drzwi. Lampa zsunęła mi się z nadgarstka. Upadła z hukiem o podłogę, ale nie zgasła.

Skóra Witka zaczęła pękać w miejscach, w których pojawiły się czarne linie. Pod odstającymi płatami pojawił się żar. Poczułam swąd spalenizny, spalonego tłuszczu i mięsa. Niemal od razu żołądek ścisnął mi się w odruchu wymiotnym.

On płonie! Płonie żywcem!

– Jak widzisz, stało mi się wiele – powiedział chrapliwie i zakasłał.

Uniósł jedną z dłoni i zaczął podziwiać pęknięcia. Podczas ruchu kilka płatków skóry odpadło, by zamienić się w popiół zanim jeszcze dosięgnęły posłania. Czerwonawy żar powoli zaczynał pokrywać się nową porcją naskórka. Witek płonął. Cały żarzył się niczym polano w kominku, które powoli trawi ogień.

– Czym ty jesteś? – zapytałam.

Witek zakasłał.

– Bardzo zasycha mi w gardle – powiedział. – Nieprzyjemny... efekt uboczny.

Mieszko odsunął mnie i chwycił za drewnianą klamkę, gotów w każdej chwili otworzyć szarpnięciem drzwi i wypchnąć mnie na zewnątrz.

– Witek, czym ty jesteś? – nalegałam.

– Czym...? Czym...?! – W głosie Witka pojawiła się wściekłość. – Byłem człowiekiem. To ci mogę powiedzieć. Byłem kapłanem. Ale przez was już nie jestem.

– Czemu złościsz się na nas? – zaatakowałam. – Najwyraźniej słuchałeś złego boga. To on ci to zrobił. Nie my!

Zaśmiał się. Pomarańczowe płomienie w jego oczach zżółkły. Temperatura ognia wzrosła.

– Masz rację. To bóg mi to zrobił. Poprosiłem go o to. Chciałem stać się jednością. Jednością z bogiem. Pomazańcem. W takim razie możemy uznać, że nawet mi pomogliście. Gdyby nie wy, nigdy by do tego nie doszło. Gdybym wtedy... niechcący cię nie zaatakował, Gosiu, nie splamiłbym swojego honoru. Poprosiłem później Swarozycy, by wziął mnie pod swoją opiekę. Chciałem odpracować swoje złe uczynki.

Znowu się zaśmiał. Jego rechot przeszedł w chrapliwy kaszel. Gdy odkasływał, z jego ust wydostawał się popiół. Przetarł usta, zdzierając skórę. Żar zamigotał dookoła warg i zaczął szybko porastać szarą skórą.

Witek spuścił stopy na podłogę. Po kocu, który wciąż okrywał jego nogi zaczęły pełzać płomienie. Przerażony Mieszko szarpnął się całym ciałem i zamiast otworzyć drzwi tylko mnie do nich przygniótł.

– Nie spodziewałem się, że jedność będzie tak wyglądać – kontynuował Witek. – Ty przecież także osiągnęłaś jedność z bogiem. Opowiedział mi o tobie, o żarze, który was łączy, o pragnieniach. Dlaczego ciebie nie trawi ogień?

Przypomniałam sobie propozycje Swarozycy. Tak wiele razy namawiał mnie, bym zgodziła się, by ogrzewał mnie jego ogień, żebym mu się poddała. Czy skończyłabym tak jak Witek? Z płomieniami pełzającymi pod moją skórą, zamieniona w upira?

– Tak bardzo chce mi się pić – poskarżył się i znowu zakasłał.

W chatce zrobiło się cieplej. Dużo cieplej. Poczułam, jak po plecach płynie mi stróżka potu, a na policzki wpełzają rumieńce. Popiół pokrywający podłogę zaczął się delikatnie unosić do góry. Zobaczyłam, że pomiędzy nieoheblowanych desek, na których leżał, zaczynają

wydostawać się smużki dymu.

Chata zaczęła płonąć!

Koniec pogawędek. Najwyższy czas, żeby jak najszybciej się stąd ewakuować.

– Mieszko – szepnęłam.

Witek spojrzał na niego i wykrzywił usta w pogardliwym grymasie.

– Nie rozumiem twojej fascynacji tym tępym osiłkiem. Swarożyc też tego nie rozumie. Opowiedział mi wszystko o tobie, o nim. O tym, że dla niego chciałaś umrzeć. On na ciebie nie zasługuje.

– O tym ja zdecyduję – odparłam.

– Swarożyc mówił mi o tobie – ciągnął uparcie Witek. – Opowiedział mi, na czym polega więź pomiędzy widzącą kobietą a bogiem. Powiedział, że należysz do niego. Mnie pozwolił tylko zemścić się na twoim kochanku. Gdy to zrobię, od razu poczuję się lepiej. Tak powiedział. Ja jednak nie jestem pewien, czy go posłucham. Mam do ciebie żal, Gosiu. Nie obchodzi mnie, czy należysz do boga.

Mieszko chyba stwierdził, że wystarczy już dyskusji. Zwłaszcza w momencie, gdy upir zaczął nam otwarcie grozić. Odsunął mnie i szarpnął drzwi. Do wnętrza wpadł chłodny powiew nocy. Spod podłogi wyskoczyły płomienie, jakby tylko czekały na dopływ świeżego powietrza.

Witek zerwał się na równe nogi.

– Nigdzie nie idziecie! – krzyknął i znowu zaniósł się kaszlem.

Zgiął się wpół. Oparł dłonie na kolanach. Pomiędzy jego wargami zaczęły przeskakiwać płomienie. Na ziemię opadł pył, który miał w ustach.

– Nie pozwalam wam. Mam do przekazania wiadomość od Swarożycy – wycharczał.

Mieszko pchnął mnie z całej siły w pierś. Potknęłam się o wystający próg i runęłam na trawę, boleśnie objając sobie tyłek i łokcie. W tej samej chwili żerca rzucił się na Mieszka. Złapał go za kożuch na grzbiecie. Ze skrzekiem przypominającym wrzask rannego zwierzęcia wciągnął Mieszka do chaty, w której panoszyły się coraz wyższe płomienie.

Drzwi zatrzęsnęły się.

– NIE! – wrzasnęłam przerażona.

Zerwałam się na równe nogi i rzuciłam w stronę drzwi. Złapałam za metalową klamkę, ale tylko oparzyłam dłoń. Z jękiem cofnęłam się, machając zaczerwienioną dłonią.

– Mieszko! – zawołałam.

Kopnęłam z całej siły, ale zbite niby ze starych desek drzwi, ani myślały mnie przepuścić. Spróbowałam jeszcze raz, tak jak na filmach.

Z płaczem, kulejąc, musiałam się poddać. Nie miałam tyle siły, żeby je wyważyć. Ze środka dobiegał mnie tylko szum płomieni. Witek nie wydawał żadnych dźwięków. Mieszko także. Nie wiedziałam, co się dzieje.

Okno!

Pobiegłam naokoło chaty w stronę okna. Ledwie utrzymałam równowagę, gdy boląca stopa poślizgnęła się na mokrej trawie. Spojrzałam na lśniąca w ciemnościach jezioro położone tuż obok.

Woda! Tylko jak jej zaczerpnąć?! Nie widziałam żadnego wiadra.

Płomienie zaczęły już pochłaniać dach. Zielone liście samotnej paproci, która usadowiła się na szczycie chaty zbrązowiały i zaczęły się zwijać, gdy roślina powoli umierała. Przez szybę zamontowaną w drewnianej ramie okiennej niczego nie widziałam. Wszystko przysłaniał ogień i czarne kłęby dymu.

Ze środka dobiegł mnie jakiś trzask i dźwięk tłuczonego szkła.

Nie wiedziałam, co mam robić. Wołać o pomoc nie miałam po co. Kto by mnie usłyszał? Do głowy mi nawet nie przyszło prosić bogów o pomoc. Istniało ryzyko, że moich krzyków wysłucha jedynie Swarożyc.

Pewnie nas obserwował i śmiał się z Mieszka. I ze mnie.

Zanim zdołałam cokolwiek postanowić, szyba, obok której stałam, wybuchła pod wpływem uderzenia. Ukucnęłam i przykryłam rękami głowę, gdy szklane odłamki posypały się na wszystkie strony. Coś z głuchym dźwiękiem upadło niedaleko mnie.

Gdy podniosłam głowę, dostrzegłam, że obok leży Mieszko. Niemrawo podnosił się na nogi. Kozuch tlił się na nim w kilku miejscach, z kącika ust ciekła mu strużka krwi, twarz miał umorusaną popiołem. Potrząsnął głową jak pies.

Przez okno wyskoczył Witek. Nadal miał sztywne ruchy i przypominał drewnianą lalkę albo mechanicznego robota, ale potrafił poruszać się bardzo szybko. Opadł na nogi z gracją akrobaty, o którą nigdy bym go nie podejrzewała. Odwrócił się do mnie.

– Gosiu, Swarożyc cię pozdrawia. Kazał cię zapewnić, że wszystko będzie dobrze. Zaopiekuje się tobą.

Skóra, teraz już poczerniała, odpadała z niego, odsłaniając plamy żaru, które momentalnie pokrywały się nowym naskórkiem. Smużki dymu unoszące się z włosów żercy rozwiewały się szybko na wietrze. Jedynie

plomień w jego oczach nie chciały zgasnąć. Stały się białe, zupełnie jakby wypełniający go żar stawał się coraz gorętszy.

Ruszył w moją stronę.

Złapałam kawałek szyby i podniosłam się na nogi. Zanim zdążył mnie złapać, zamachnęłam się, tnąc na oślep.

Syknął i odskoczył. Z jego zranionego przedramienia nie pociekła krew tylko strzeliły iskry.

– Nie zrobisz mi w ten sposób krzywdy. Mnie nie można już zabić. Ani ty, ani twój kochanek nic nie możecie mi zrobić – poinformował mnie rzeczowo. – Ja już nie żyję.

– Nie podchodź do mnie!

Uniosłam szybę, ułamaną na kształt sztyletu. Poczułam, jak po nadgarstku płynie mi ciepła krew, gdy ostry brzeg przeciął moją skórę.

– Odejdź – poprosiłam. – Zostaw nas. Nie chcemy zrobić ci krzywdy.

Zaśmiał się.

– Wy *nie możecie* mi zrobić krzywdy – oznajmił. – Swarozyc powiedział, że teraz to ja będę mógł krzywdzić. Tylko ja.

– Uroczo, a teraz odejdź.

– Nie odejdę sam. – Pokręcił głową. – Najpierw zajmę się twoim kochankiem. Czeka go kara.

Grałam na czas. Wcale nie zależało mi na rozmowie i poznawaniu żądań boga ognia. Czekałam tylko, aż Mieszko dojdzie wreszcie do siebie. W końcu wstał na nogi i rzucił się na Witka. Złapał go za ramiona i szarpnął gwałtownie w stronę jeziora. Witek nawet nie zdążył zareagować.

Koszula Witka rozpadła mu się w dłoniach na popiół. Mieszko złapał go za ramię i zaczął wlec po trawie w stronę wody. Plomień ze skóry demona przeskoczyły na rękawy jego kozucha i koszuli. Skrzywił się z bólu, ale nie puścił.

Pobiegłam za nimi, ciągle ściskając kawałek szkła.

Witek szarpał się jak szalony. Orał paznokciami po ramionach Mieszka. Spod płomieni i resztek rękawów kozucha wyrzała zaczerwieniona skóra. Na szczęście jezioro nie było daleko. Ostatkiem sił Mieszko wepchnął Witka pod wodę.

Ja zatrzymałam się na brzegu. Patrzyłam przerażona, jak kotłują się w jeziorze. Gdyby nie blask z płonącej chatki niczego bym nie dostrzegła.

Nad powierzchnią jeziora unosiła się para. Witek zaczął wyć. Jego

zawodzenie zamieniło się po chwili we wściekły bulgot. Mieszko wciągnął go w miejsce, gdzie woda sięgała mu po pas. Oparł ręce na barkach żercy i wepchnął jego głowę pod wodę. Na powierzchni pojawiły się bąbelki i kolejne kłęby pary.

Dreptałam na brzegu, nie wiedząc, co mam robić. Nie byłam pewna czy też powinnam wejść do wody. Chciałam pomóc Mieszkowi, ale bałam się, że mogę mu przeszkodzić.

Co robić?!

Płomienie na rękawach Mieszka na szczęście zgasły, gdy materiał nasiąkł wodą. Po odsłoniętej, czerwonej od poparzeń skórze przedramion szorowały wygięte w szpony dłonie Witka. Woda kotłowała się, gdy żerca rozpaczliwie kopał i szarpał całym swoim wychudzonym ciałem.

Powoli ruchy demona stały się coraz bardziej chaotyczne. Coraz słabsze. Nadal usiłował się uwolnić, ale jego dłonie nie miały już siły atakować. Wysuwały się tylko smętnie na powierzchnię, nie potrafiły się chwycić ramion Mieszka. Chyba się topił. W końcu zabrakło mu tlenu do podtrzymywania trawiącego go ognia.

– Mieszko! – zawołałam.

Zignorował mnie. Uparcie przytrzymał Witka pod wodą do momentu, gdy ten zupełnie przestał się ruszać. Nie wydawał już żadnych dźwięków. Jedyne Mieszko dyszał ciężko niczym parowóz.

– Mieszko! – powtórzyłam.

Nadal nie reagował. Kłęby pary przestały unosić się znad powierzchni wody. Jezioro wygładziło się, zniknęły fale. Upuściłam kawałek szkła. Nie był mi już potrzebny.

Weszłam do jeziora. Woda okazała się ciepła. Nawet bardzo ciepła. Płonący Witek musiał ją ogrzać.

– Mieszko? Kochany. – Dotknęłam delikatnie jego ramienia, gdy już znalazłam się obok.

Drgnął, ale nie wypuścił z rąk ciała Witka. Widziałam go pod taflą czystej wody. Miał otwarte oczy. Nie płonęły w nich już płomienie. Skóra przestała się żarzyć. Była po prostu czarna i dziwnie napięta. Ręce i nogi były sztywne, wygięte w dziwnych pozycjach. Wyglądał jak ofiara pożaru, której mięśnie same skurczyły się pod wpływem ciepła.

– Możesz go już puścić – powiedziałam.

Nie zareagował.

– Mieszko, już po wszystkim.

Dopiero teraz drgnął. Odwrócił do mnie głowę. Zobaczyłam w jego oczach szaleństwo. Umorusana twarz pełna była smug z rozmazanego popiołu.

– Zostaw go. Wyjdźmy teraz na brzeg – rozkazałam.

Za naszymi plecami płonęła chata. Ogień ogarnął już cały dach. Kłęby dymu unosiły się wysoko do nieba.

– Chodź ze mną.

Mieszko puścił Witka. Nie wiem, czego oczekiwał mój chłopak, ale ja spodziewałam się, że żerca poruszy się po raz ostatni albo nagle ożyje. Nic takiego jednak się nie stało. Jego ciało opadło na dno jak kamień i tak już zostało.

Z przestraczem przyglądałam się rękom Mieszka. Pokrywały je bardzo poważne poparzenia. Miejscami przez spaloną skórę prześwitywały mięśnie i kości. Zrobiło mi się słabo.

– Musisz zdjąć kozuch i koszulę – oświadczyłam zdecydowanym głosem.

– Gdzie jest sztylet?

Złapałam go w pasie i pociągnęłam w stronę brzegu. Mokra kurtka na grzbiecie bardzo mi ciążyła. Buty boleśnie zaczęły obcierać. Nie powinno się wchodzić w pełnym ubraniu do wody.

– Został w chacie – wychrypiał zupełnie jakby i głos miał teraz poparzony.

– Pomogę ci. Musimy to zdjąć, odsunąć od ran.

Posadziłam Mieszka na brzegu i mozolnie zaczęłam rozbierać. Ledwie zdołałam uwolnić jego ramiona od materiału, który już zaczynał wklejać się w żywe rany.

– Co to było? – zapytałam, zerkając raz po raz na wodę. Cały czas obawiałam się, że Witek wykorzysta chwilę naszej nieuwagi i wyjdzie z wody jak gdyby nigdy nic. – Czym on się stał?

– To spalenie – odparł głucho.

16.

Mieszko siedział przy stole, w chatce szeptuchy i spod zmarszczonych brwi wpatrywał się w ścianę. Chciał tym wybitnie dziecinnym zachowaniem zaakcentować swoje niezadowolenie. Myślał, że jeśli będzie milczał bardziej uparcie niż zwykle, to się tym przejmie.

W żadnym razie się tym nie przejęliśmy.

Obserwowałyśmy go z Jagą znad garnka, w którym bulgotała mieszanka ziół na oparzenia. Szeptucha cmokała swoją licówką i miarowo mieszała drewnianą łyżką. Ja ucierałam w moździerzu kwiaty nagietka zmieszane z niewielką ilością miodu.

Odłożyłam tłuczek i spojrzałam na wnętrze swojej dłoni. Na skórze nie było nawet śladu po skaleczeniu szkłem. Za to poparzenia Mieszka wyglądały koszmarnie. Minęło już kilkanaście dni od tamtego wydarzenia. Jego rany pokryły się już różową, zbliźnowaciałą skórą, która nie była jednak wystarczająco elastyczna i sprawiała mu wciąż dużo bólu. Całe wnętrze dłoni miał poparzone, z kolei na przedramionach blizny układały się w odciski rąk o wyjątkowo długich palcach.

Przeszłam do stołu i zaczęłam nakładać na delikatną skórę maź, którą przed chwilą wyprodukowałam. Baba Jaga w tym czasie przelewała wywar z ziół do kubka. Mieszko był tym pojony odkąd wpadliśmy tamtej nocy do jej domu.

Miałam przez to wyrzuty sumienia. Już któryś raz zwałaliśmy się jej na głowę poranieni, potrzebujący pilnej pomocy. W końcu doprowadzimy ją do zawału.

Mieszko sapnął, ale nic nie powiedział. Siedział naburmuszony, trzymając okaleczone ręce na czystej gazie. Patrzył, jak delikatnie wmasowuję rozgniecione kwiaty w bolące go miejsce we wnętrzu dłoni. Nie ruszał się, nie stukał nerwowo nogą, nie przygryzał warg, ale ja wiedziałam, że aż się w środku gotuje.

Pochyliłam głowę i uśmiechnęłam się pod nosem. Mieszko nienawidził bycia uzależnionym od kogoś bądź od czegoś.

Gdy po walce z upirem zerwałam z niego spalone ubrania, zanim wżarły się w skórę, popłakałam się i wpadłam w histerię. Długo nie mogłam dojść

do siebie. Nie potrafiłam znieść faktu, że został tak okaleczony. Poza tym okropnie się przestraszyłam. Myślałam, że umarł w środku tej chaty. Mieszko usiłował mnie wtedy uspokoić, że przecież nic takiego się nie stało i że zaraz wyzdrowieje.

Tyle że nie zdrowiał.

Moje skaleczenie zasklepiło się od razu, niemalże na naszych oczach. On z kolei nadawał się do natychmiastowego przeszczepu skóry.

Zaciągnęłam go do Jagi, chociaż się opierał. Razem z szeptuchą szybko oczyściłyśmy jego rany i naniosłyśmy leki. Nic więcej nie mogłyśmy zrobić. Reszta zależała od jego organizmu i magii naparu kwiatu paproci, która tym razem z jakiegoś powodu nie chciała zadziałać.

Skończyłam nakładać nagietkową maść. Sięgnęłam po bandażę i pieczołowicie zaczęłam okrywać delikatną skórę. Mieszko ciągle się nie odzywał.

Najbardziej bolało go to, że musiałam mu pomagać w prostych czynnościach. Na początku nie mógł umyć się beze mnie. Poranionymi palcami, z mięsem na wierzchu, nie był w stanie otworzyć zatrzasku na opakowaniu szamponu. Wiem, że się starał. Sprzątałam później zabrudzone krwią i ropą opatrunki, gdy z uporem osła rozrywał świeżo zagojone rany.

Nie był w ogóle przyzwyczajony do własnej słabości i bardzo wstydził się poprosić o pomoc. Wolał już zrobić sobie krzywdę.

Pewnie wspólny prysznic mógłby być bardzo przyjemnym doświadczeniem, ale nie w momencie gdy jedna ze stron jest naburmuszona i stoi z rękami uniesionymi do góry, żeby tylko nie zamoczyć bandaży.

Jeśli coś takiego zdołaliśmy przetrwać, to chyba damy sobie radę ze wszystkim. Nie mogliśmy przejść lepszego sprawdzianu naszego związku.

Z drugiej strony w ogóle nie rozmawialiśmy o jego poparzeniach. Gdy tylko próbowałam podjąć temat, on od razu milkł albo wychodził, znajdując sobie nagle coś ważnego do zrobienia. Nie rozumiałam tego. Sama odchodziłam od zdrowych zmysłów, nie mogąc pojąć, czemu te rany nie chcą się goić i co to może oznaczać.

Zacząłam się bać, że wypita przez niego resztką naparu z kwiatu paproci przestawała działać, a on powoli tracił swoją nieśmiertelność. Jeśli to byłaby prawda, to co w takim razie miałyby oznaczać szybkie zagojenie się mojej rany? Teraz ja będę nieśmiertelna, a on nie? Nie potrafiłam przestać o tym myśleć.

Bałam się takich pytań. Mieszko chyba też się bał.

Skończyłam zawiązać opatrunki. Końcówki bandaży zawiązałam na supły. Korciło mnie, żeby zostawić gustowne kokardki, ale wiedziałam, że mój mężczyzna chwilowo pozbawiony jest całkowicie poczucia humoru.

– Już! – poinformowałam Mieszka.

Mruknął coś pod nosem, a ja wielkodusznie uznałam to za podziękowanie. Jaga postawiła przed nim kubek.

Wstałam od stołu, żeby umyć moździerz. Jaga także się odwróciła, żeby go nie zawstydząć. Początkowo położyliśmy go na zmianę, gdyż nie był w stanie utrzymać ucha kubka. Teraz pił już sam. Szło mu opornie, dłonie nie były jeszcze tak sprawne jak przed poparzeniami, palce stały się odrobinę sztywne przez co sporo rozlewał, ale dawał radę. Widać było, że dokucza mu ból, gdy robi coś zbyt długo. Mimo to starał się ze wszystkich sił. Ćwiczył każdego dnia.

– Już nie mam więcej pacjentów – powiedziała Baba Jaga, wycierając energicznie ręce w kraciastą ścierkę. – Możemy zaraz się zbierać.

– Jak sądzisz...? – zapytałam cicho i skinęłam dyskretnie głową w stronę Mieszka.

– Jest dużo lepiej. Myślę, że za dwa tygodnie jego dłonie wrócą do całkowitej sprawności. To bardzo uparty człowiek. Wiem, że będzie ćwiczył. Na szczęście mięśnie się wygoiły. Jego zdolność do regeneracji bardzo mu pomogła.

Ech, tylko czemu nie pomogła całkiem?

– Zostaną blizny, ale widać poprawę. Gdyby nie był tym, kim jest, jego ręce byłyby nie do uratowania – oświadczyła.

– Słyszę was... – mruknął.

– I bardzo dobrze – odparowała Jaga. – Ciesz się, że w twoich żyłach krąży magia kwiatu. W innym wypadku straciłbyś te wielkie łapska. Teraz musisz po prostu nauczyć się cierpliwości. Wiem, że wydaje ci się to niemożliwe, ale nawet ty jesteś w stanie się jej nauczyć, zapewniam!

Mieszko parsknął.

– Gdzie pochowamy Witka? – Zmieniłam temat.

– Gdzieś niedaleko chaty. – Wzruszyła ramionami.

Zamyśliłam się. Tym razem pożar nie rozprzestrzenił się na puszcę. Spłonęła jedynie chata. Sucha trawa powinna była się zająć od pożaru, ale tak się nie stało. Zupełnie jakby ktoś od początku pilnował ognia.

Ciekawe, kto...

Z głośnym stukiem odłożyłam tłuczek do moździerza. Przeklęty Swarozyc. Nie mogłam już znieść tego, że jest gdzieś tam, obserwuje i czeka. Byłam przekonana, że gdziekolwiek bym się nie obróciła, on siedzi ukryty gdzieś w cieniu.

Już ja mu dam przesyłanie mi wiadomości za pomocą upirów! Już ja mu pokażę!

Żadne z nas nie zbliżało się do lasu od tamtej nocy. Mieszko był poparzony, a my we dwie nie byłyśmy do końca pewne, czy leszy nie chowa do nas urazy o pożar. Jaga już raz przekonała się, że leszego łatwo zdenerwować. Dlatego na wszelki wypadek w ogóle nie zbliżyliśmy się do puszczy.

– Musimy iść? – zapytał Mieszko.

– Tak – odpowiedziałyśmy chórem.

– A niech sobie tam leży...

– Musimy ukryć ciało. Nie mogą go znaleźć w takim stanie – obruszyła się Baba Jaga. – Wiesz, ile by nam to nastreczyło kłopotów?! Jeszcze tu tylko policji brakuje.

W przeciwieństwie do szeptuchy nie byłam zachwycona, że nikt nie zainteresował się pożarem. Tym razem na miejsce zdarzenia nie przyjechała prasa, policja czy straż pożarna. Nawet żaden leśniczy nie pofatygował się, żeby przejść się po okolicznych domach i zapytać, czy niczego nie widzieliśmy. Zupełnie jakby nikt nie zauważył czarnego dymu. Chata spaliła się w nocy, jednak jakoś nie chciało mi się wierzyć, że nikt nie wyrzwał przez okno. Przecież ktoś musiał zobaczyć łunę pożaru.

A jednak nikt niczego nie zauważył.

Podejrzane...

A jednak nagle wszyscy bardziej zainteresowali się zaginięciem Witka. W tej sprawie policjanci kilka razy zaglądali do Jagi i przepytali chyba wszystkich mieszkańców Bielin, którzy bawili się w Święto Plonów na błoniach.

Mieszko odstawił kubek ze stukiem.

Odwróciłam się do niego. Delikatnie zginał i prostował palce prawej dłoni. Z jego czoła zniknęło kilka zmarszczek. Wydawał się wręcz pogodny.

– Przestaje boleć – powiedział. – Już prawie jest dobrze.

– Będzie dobrze za dwa tygodnie. Nie ciesz się przedwcześnie – pouczyła go Jaga. – I nie machaj tak tymi rękami, jeszcze sobie coś uszkodzisz.

Oczami wyobraźni zobaczyłam, jak zachęcony zmniejszeniem

dolegliwości jeszcze dzisiaj łapie się za widły lub wsiada na konia.

– Już jest dobrze – burknął.

Jak z dzieckiem. A pomyślałby kto, że jak się ma tysiąc lat, to jednak trochę oleju w głowie wypadało by już mieć.

Nagle drzwi chaty Jarogniewy załomotały o ościeżnice, gdy ktoś kilka razy uderzył w stare drewno. Szeptucha aż podskoczyła. Zmarszczyła brwi gniewnie i ze ścierką w dłoni ruszyła do drzwi.

– Nikogo się już nie spodziewam – burknęła do siebie.

Jednak otworzyła drzwi. Po drugiej stronie stała chuda kobieta w eleganckiej czarnej garsonce. Ufarbowane na wściekle rudy kolor włosy w delikatnych splotach opadały na ramionach. Kobieta poprawiała zsuwające się z nosa okulary w czarnych oprawkach i zlustrowała Babę Jagę, dość długo zatrzymując swoje spojrzenie na jej brudnym fartuchu. Ponownie poprawiała okulary. Zbyt duże jak do jej twarzy oprawki miały pewnie dodawać jej profesjonalizmu, ale wyglądały śmiesznie, gdy tak co chwilę się zsuwały.

Jaga zdążyła już przejść swoją transformację. Przygarbiła się, a na twarz przywołała dobrotliwy uśmiech.

– Słuchom? – zagadała uprzejmie.

Kobieta ponad jej ramieniem dokładnie obejrzała wnętrze chaty. Jej spojrzenie prześlizgnęło się po mnie i po Mieszku. Wyskubana brew uniosła się do góry. Widok chyba nie przypadł jej do gustu.

– Czy trafiłam do domu szeptuchy? Baby Jagi? – Wymawiając jej imię, uśmiechnęła się półgębkiem.

– Tak. Ja jestem szeptucha Jaga. – Mówiąc to, Jarogniewa położyła dłoń na sercu, jakby składała przysięgę. – Cuś tseba pomóc?

– Nazywam się Jenczysława Jelonek. Jestem dziennikarką.

Kobieta wysupłała ze swojej czarnej skórzanej torebki wizytówkę. Tekturka błyszczała złotym napisem.

– Dzisiaj już nie lece. Jutro przydźcie – powiedziała szeptucha dobrotliwie. – Wtedy cuś pomozemy.

Nawet nie spojrzała na biały kartonik. Od razu wsunęła go do kieszeni fartucha, w której zawsze trzyma ścinki papieru, słomę i patyczki wykorzystywane na podpałkę.

Dziennikarka zmarszczyła brwi i zmrużyła oczy.

– Ja nie na wizytę. Przykro mi, ale nie wierzę w pani... metody. Niemniej bardzo chciałabym o nich porozmawiać. Przygotowuję teraz cały

cykl artykułów na ten temat. Wójt doradził mi, że najlepiej zrobię, rozmawiając z panią osobiście. Cieszy się pani niezwykle dużą estymą u lokalnych... – Zerknęła na nas. – ...u lokalnej ludności.

Dała krok do przodu, ale szeptucha ani myślała ustąpić jej drogi i wpuścić do chaty. Podparła się pod boki i cmoknęła złotą licówką.

Jaga zaśmiała się. Znam ten chrapliwy śmiech. To rechot, podczas którego strzela niechcący śliną zza sztucznej licówki.

Dziennikarka odskoczyła do tyłu.

– Ja o leceniu nie godom, ja prosta kobita jezdem – oświadczyła Jarogniewa trzęsącym się głosem, którego używała w ostateczności, by wzbudzić litość u klientów i zaczęła zamykać tamtej drzwi przed nosem. – Jak nie po lecenie psyjechališta, to bywajcie.

Jelonek nie traciła jednak animuszu. Nie wsunęła stopy między drzwi, a ościeżnicę – pewnie głównie dlatego, że miała na sobie szpilki, ale wepchnęła się za to prawie cała, nieomal przewracając Jagę.

Jaga prychnęła jak kot i odsunęła się niechętnie.

– Ma pani coś do ukrycia? Dlaczego nie chce pani rozmawiać o swoich sposobach leczniczych? Czyżby nie działały?

– Ja prosta baba ze wsi. Do gazet sie pchać nie bede – szła w zaparte Jaga, brawurowo odgrywając swoją rolę. – We wsi popytać tseba.

– Rozmawiałam z kilkoma osobami w mieście. Podobno nie wszystkie pani *sposoby* lecznicze działają. Niektórzy mówią, że jeśli pani kogoś nie lubi, to każe sobie pani płacić krocie za swoje specyfiki – zaatakowała dziennikarka.

– Ja lubię wsytkich. Jakbym nie lubiła, tobym nie lecyła. Ale pani to chyba nie polubie i nie polece. Bywajcie.

Na twarzy Jelonek pojawił się grymas złości.

– Dobrze radzę, żeby pani ze mną porozmawiała, bo inaczej mogą dojść do bardzo ciekawych wniosków – wyszczała nienawistnie.

– Hej! – krzyknęłam oburzona. – Niech pani stąd wyjdzie. Szeptucha powiedziała, że pani nie przyjmie.

Dziennikarka nie obdarzyła mnie nawet jednym spojrzeniem.

– Ja tam nic nie wim – powtórzyła Jarogniewa. – Bywajcie.

Mieszko nie wytrzymał. Wstał z krzesła i podszedł do dziennikarki. Złapał ją za ramię i wyprowadził na dwór. Kobieta o mało nie skreśliła nogi, potykając się o próg. Jej wysokie obcasy zapadały się w żwirową ścieżkę. Usiłowała mu się wyrwać, ale nie była w stanie. Praktycznie

wisiała w jego uścisku.

Podniosła wrzask, ale Mieszko nic sobie z tego nie robił. Odprowadził ją za furtkę i wystawił na szosę obok przykurzonego czarnego samochodu, którym najwyraźniej przyjechała do Bielin.

– Drugi raz grzecznie nie poproszę – powiedział. – Niech pani tu nie wraca. Szeptucha nie chce i nie będzie z panią rozmawiać.

– Zabieraj te łapy! – ryknęła piskliwie. – A pan to kto? Jak się pan nazywa?! Puszczaj mnie chamie! To napaść!

Wyrwała mu się gwałtownie i uderzyła plecami o swój samochód. Okulary opadły jej na czubek nosa, a policzki pokrył rumieniec złości.

– Zniszczę was – wysyczała.

– Powodzenia – odparł i wrócił do domu.

Nie spuszczałam wzroku z Jelonek. Stałam przy oknie i wyglądałam przez oczka żakardowej firanki. Kobieta wyciągnęła z torebki telefon i coś na nim przycisnęła. Następnie wsiadła do samochodu i odjechała.

Nagrywała całe zajście.

– Ale numer! – skomentowałam.

– Eee, a to raz tacy nawiedzeni tu przyjeżdżali? Mało to wariatów na świecie? – zachnęła się Baba Jaga. – Idziemy, nie ma co tracić czasu.

Udawała, że nic jej to nie obeszło, ale doskonale widziałam jej minę, kiedy Jelonek zasugerowała, że szeptucha zachowuje się nieetycznie. Oczywiście, że tak się zachowuje, sama widziałam! Niemniej ubodło ją, że ktoś to powiedział głośno i że ją najwyraźniej we wsi obgadują.

– Chodźcie – pogoniła nas. – Trzeba zająć się Witkiem, a ja wolałabym wrócić do domu przed zmrokiem. Zrobiło się za zimno na moje kości.

17.

Szliśmy powoli przez puszcę. Wąska ścieżka prowadząca do chatki wydawała mi się bardziej niż zwykle zarośnięta, a pochylające się nad nami drzewa jeszcze wyższe. Miałam ochotę popukać się w głowę, przez niecałe dwa tygodnie rośliny nie mogły aż tak się rozrosnąć – i to jeszcze na jesieni. To tylko moja wyobraźnia płatała mi figle, bo wcale nie chciałam tam iść.

Mieszko kroczył lekko, na ramieniu oparł sobie łopatę. W każdym jego geście widać było radość z faktu, że wreszcie udało mu się wydostać z domu. Brakowało tylko, żeby zaczął pogwizdywać.

Z moich ust unosiła się niewielka mgiełka. Zapięłam kurtkę pod samą szyję i wyciągnęłam z kieszeni czapkę. Nałożyłam ją na głowę i od razu zrobiło mi się cieplej. Tylko w stopy było mi trochę zimno. Założyłam grube skarpety i kalosze, które niestety nie chroniły mnie wystarczająco przed chłodem. Mieszko praktycznie nigdy nie odczuwał zimna. Jego kozuch przeszedł do historii. Została mu tylko kamizelka podbita skórą barana, którą narzucił na koszulę. Zdecydowanie musimy mu kupić nowy kozuch. Przecież zima idzie.

Jaga nie ubrała się zbyt praktycznie do lasu. Założyła granatowy płaszcz do kolan, który zaczepiał o wszystkie gałęzie.

Zostały dwa tygodnie do Dziadów. Przy takiej pogodzie jakoś nie widzę udanego festynu na cmentarzu. Pamiętam obchody święta zmarłych w Warszawie. Zawsze trochę na pokaz, odrobinę przerysowane, powoli zamieniające się w parodię zachodniego Halloween. Radosne Dziady, gdy wszyscy idą na cmentarz napić się z przodkami, stawały się komercyjną papką z dyniami i słodyczami w roli głównej.

Chociaż akurat do słodczy, to ja nic nie mam.

Szeptucha parła do przodu jak taran, w ogóle nie zważając na wystające korzenie, o które co chwilę się potykała. Rozpierała ją złość po wizycie dziennikarki. Udawała, że tamta rozmowa w ogóle jej nie obeszła, ale każdy jej niecierpliwy ruch pokazywał, że jest inaczej.

Kiedy po raz kolejny dostałam odepchniętą przez Jarogniewę gałęzią prosto w twarz, zapytałam:

– Jaga? - spróbowałam głośniej. – Wszystko dobrze?

Nie odpowiedziała.

– Co? Co? – Zdawało się, że wyrwałam ją z rozmyślań.

Zatrzymała się i odwróciła do mnie. Na jej twarzy wyraźnie było widać, że się zamartwiała.

– Dobrze się czujesz? – zapytałam.

– Źle wyglądasz – kurtuazyjnie dorzucił Mieszko.

– Co? – znowu zapytała. – Tak, tak. Czuję się świetnie.

Baba Jaga umie kłamać. Jest w tym świetna. Jednak tym razem zupełnie jej nie wyszło. To już ja czasami lepiej zmyślam.

– Wiesz, że ona chciała ci tylko dopiec? – Położyłam dłoń na jej ramieniu. – Miała nadzieję, że sprowokuje cię do odpowiedzi. Na pewno nie obgadują cię we wsi.

– Przecież nie urodziłam się wczoraj – zachnęła się. – To oczywiste, że na mnie narzekają. Na pewno Nowakowa jej czegoś naopowiadała. Jestem o tym przekonana. Nie podobało jej się ostatnio, że nie chciałam jej znowu sprzedać kamienia księżycowego, tylko wysłałam do weterynarza. Jak tak dalej pójdzie, to przez głupotę tej baby jej biedna krowa w końcu zdechnie.

– Może nie... Może ta dziennikarka po prostu zmyśla, albo... – zaczęłam.

– Nie mów do mnie jak do dziecka – obruszyła się. – Szybko, chodźmy wreszcie do tej chaty. Chcę później zajrzeć jeszcze na cmentarz do Mszczuja. Robi się już późno, nie ma czasu do stracenia.

Spojrzeliliśmy po sobie z Mieszkiem. Wzruszył ramionami. Z Babą Jagą się nie dyskutuje. Skoro nie miała ochoty na rozmowę, to nie było sposobu, żeby ją do tego zmusić.

Niebawem dotarliśmy na polanę przed chatą. Z domku zostały same zgliszczka. Poczerniałe deski wyznaczały linię ścian. Dach zapadł się do środka. Jedyne osmalony kominek dumnie wyciągał się do nieba. Teraz, gdy nie był przysłonięty masą budynku, wyraźnie było widać, że faktycznie jest niesamowicie krzywy. Aż dziw, że ciągle stał.

Poczułam ukłucie w sercu. Tyle moich wspomnień było związanych z tym miejscem. I tych dobrych, i tych złych – wszystkie poszły z dymem. Tak po prostu. W jedną noc.

Obeszliśmy zgliszczka. Dookoła domu trawa była praktycznie nietknięta. To zdecydowanie był kontrolowany pożar, aż zbyt dobrze kontrolowany.

Stanęliśmy przed jeziorem.

Zakręciło mi się w głowie. Poczułam, że brakuje mi powietrza. Mieszko

rzucił na ziemię łopatę i w ostatniej chwili złapał mnie za ramiona. Nogi się pode mną ugięły. Przytrzymał mnie i mocno przytulił.

– A co to ma znaczyć, na litość wszystkich bogów? – Pytanie Jarogniewy zawisło w powietrzu.

Wzięła się pod boki i zaczęła tupać nogą. Kilka drobnych kamyków potoczyło się na wszystkie strony.

Zrobiło mi się niedobrze, zawartość żołądka powędrowała w górę mojego przełyku. Wyrwałam się Mieszkowi i rzuciłam w krzaki, gdzie od razu zwymiotowałam.

– Gosia?

Poczułam na ramieniu dłoń Mieszka.

– Gosiu, dobrze się czujesz? – zapytał.

– Wszystko okej – wysapałam, ledwie łapiąc oddech. – Ciężowe mdłości mnie złapały. Jest dobrze, nie musisz nade mną stać. Odejdź. Odejdź natychmiast.

Odsunął się. Słyszałam jak idzie w stronę jeziora. Baba Jaga mamrotała coś pod nosem.

Kolejny atak torsji szarpnął moim ciałem, tylko że nie miałam już czym wymiotować. Z kolejnym atakiem poczułam mocny ból w nadbrzuszu. Przestraszyłam się, że dziecku może się coś stać.

Wyciągnęłam z kieszeni chusteczkę do nosa i przetarłam usta. Powoli podniosłam się z kolan. Musiałam odetchnąć głęboko, zanim odważyłam się spojrzeć na jezioro.

Jezioro.

Przed oczami stanęła mi scena z początku mojego stażu u Jarogniewy. Poczułam, jak moje policzki pokrywają się rumieńcem. Mieszko, zrzucający ubranie w przyływie nietypowej dla siebie swobody, wskakujący nago do jeziora. Praktycznie rzuciłam się wtedy na niego. Zbłąźniłam się, nie potrafiąc utrzymać rąk przy sobie. Oczywiście ja też nie miałam wtedy na sobie ubrania. Z perspektywy czasu to dość żenujące wspomnienie.

W najbliższym czasie nie miałam co liczyć na powtórkę z rozrywki. Nawet nie z powodu przenikliwego zimna.

Jezioro zniknęło.

Stanęłam na brzegu i spojrzałam na zagłębienie, na dnie którego znajdowało się zaschnięte, spękane błoto i kamienie. Kilka żab leżało bez życia. Rośliny zaczęły gnić. Zza kamienia ciekła wąska strużka wody, która zasilala jezioro, ale była zbyt słaba, by wypełnić cały dół.

Mieszko zszedł na dno i stanął w miejscu, w którym ziemia była lekko poczerniała. Zaszurał butem. Usiłowałam sobie przypomnieć, czy to właśnie tam, w wodzie topił upira. Chyba tak.

– Dlaczego? – zapytałam.

– Mówicie, że utopiliście tutaj spaleńca? – chciała wiedzieć Jaga.

– Był martwy, nie oddychał – zaczął się tłumaczyć Mieszko. – Trzymałem go pod wodą tak długo, aż przestał się ruszać.

– Jezioro wyschło? – wydusiłam. – Przez to, że zostawiliśmy go pod wodą? Ale... ale...

Spaleniec mógł osiągnąć taką temperaturę, że wyparowało? Nie mieściło mi się to w głowie. Przecież to jezioro nie było małe, na litość wszystkich bogów!

– Witek musiał przeżyć – jęknęłam.

– Ciekawe, gdzie poszedł? – rzuciła w przestrzeń szeptucha.

18.

W ponurych nastrojach ruszyliśmy w stronę cmentarza kapłanów i szeptuch. Każde z nas było pogrążone w swoich myślach. Nie wiem, nad czym oni dumali, ja skupiałam się na zamartwianiu o przyszłość. Oczami wyobraźni widziałam katastrofę i koniec świata (a na pewno Bielin), który może zgotować nam pozbawiony wszelkich moralnych hamulców spalenie.

Czemu? Czemu, ja się pytam, nie mogę wieść normalnego, nudnego życia? Czemu co chwilę coś się musi psuć? Mało to mam na głowie?

Tym razem wycieczkę prowadził Mieszko. Nie opierał już beztrąsko łopaty na ramieniu. Trzymał ją w rękach, a całe ciało miał napięte i gotowe do odparcia ewentualnego ataku. Rozglądał się na boki i przeszukiwał spojrzeniem okoliczne krzaki. Wyglądał, jakby autentycznie miał ochotę spotkać dzisiaj Witka i mu przywalić. Pewnie chętnie odegrałby się za to, że nie mógł używać swoich poranionych rąk.

W przeciwieństwie do Jagi posuwał się irytująco wolno. Każdy swój krok stawiał delikatnie, niemalże całkowicie bezgłośnie. My w ogóle nie starałyśmy się być cicho. Zresztą nie sposób było się skradać po tych wszystkich zeschniętych liściach. Nie mam pojęcia, jak mu się to udawało.

Słońce powoli zaczęło chować się za horyzontem. W lesie mrok zapadał bardzo szybko, a my nie wzięliśmy żadnego źródła światła.

– Mieszko, w tym tempie nie dojdziemy przed zmrokiem – zauważyłam.

– Szszszszsz!!! – zbeształ mnie.

Dobrze... możemy się wlec.

Żadne z nas nie dyskutowało z Babą Jagą, która chciała zobaczyć grób Mszczuja i uparła się, wiedziona jakimś złym przeczuciem, że koniecznie musimy tam dzisiaj pójść. Wiedzieliśmy, że to dla niej ważne.

Zrównałam z nią krok, chociaż oznaczało to, że cały czas wpadałam na wystające z boku ścieżki gałęzie. Wbijała spojrzenie w plecy Mieszka. Szeptucha wydawała mi się lekko nieobecna.

– Jaga, jeśli Witek stał się spaleńcem, to co teraz? – zapytałam.

Zamrugła i spojrzała na mnie odrobinę przytomniej.

– Nie wiem, Gosiu, nie wiem. Nie rozumiem, jak taki miły chłopak

w ogóle mógł stać się demonem. Przecież był żercą! – odparła. – Taki miły chłopak...

Jej głos brzmiał staro. Doskonale słyszałam w nim zmęczenie i niechęć. Zrobiło mi się głupio. Po raz kolejny obarczałam moją opiekunkę problemami, których źródłem byłam tylko i wyłącznie ja. Gdybym nie przyjechała do Bielin, gdybym nie zerwała kwiatu paproci, gdybym w ogóle się nie urodziła...

– Wszystko jest nie tak, jak powinno. – Pokręciłam głową.

– Gosia. – Szeptucha wzięła mnie za rękę. – Wszystko będzie dobrze. Zobaczysz.

– Jakoś mam wątpliwości.

– Ty zawsze masz wątpliwości i zawsze wszystko widzisz w czarnych barwach. Na litość wszystkich bogów, zastanów się! – Zacisnęła na mojej dłoni palce z siłą imadła, a drugą ręką zaczęła wymachiwać w powietrzu dla podkreślenia wagi każdego słowa. – Przecież jesteś cała i zdrowa, na dodatek w ciąży! Co się nie udało? Widać, że twoja dola jest szczęśliwa. Wszystko się udało!

Zamrugłam na ten pełen ekspresji wywód. W Jagę wstąpił duch prawdziwego mówcy. Gdzieś zniknęły przygarbione plecy i zły nastrój. No proszę... Wystarczyło tylko jej trochę ponarzekać.

Ja zdecydowanie widziałam to wszystko zupełnie inaczej. Gdyby nie ja, Mszczuj ciągle by żył. Witek zapewne także.

Jaga popatrzyła na mnie swoim wszystkowiedzącym wzrokiem. Wydawało mi się, że dobrze wie, co właśnie sobie pomyślałam.

– Gosiu...

– Mszczuj by żył, gdybym nie przyjechała do Bielin zerwać kwiatu paproci – zauważyłam.

– Dola innych osób nie zależy od ciebie. Ich losy już dawno temu przypieczętowali bogowie. Tobie nic do tego.

Nie podoba mi się taki sposób myślenia. Jeśli wszystko zostało już zaplanowane przez kogoś z góry i nasza przyszłość zależy od przeznaczenia, to po co się starać?

– Poza tym przy trybie życia Mszczuja, możemy z całą pewnością założyć, że miał już marskość wątroby. I tak by długo nie pociągnął. Widziałaś, jakie miał żółte oczy? – zapytała.

Pokręciłam przecząco głową.

– Nie myśl sobie, że nie usiłowałam go wysłać na badania do szpitala.

Stary piernik za nic nie chciał pojechać – narzekała dalej. – Dobrze czułam, że go choroba zżera, tylko nie chciał mi dać tej satysfakcji i się przebadać.

Nic więcej nie powiedziałam. Pokiwałam głową i ruszyłam za Jagą, by uniknąć smagających mnie po twarzy gałęzi. Postanowiłam nie brać do serca słów szeptuchy na temat przeznaczenia. Ja jeszcze pokażę swojej doli i bogom!

W końcu dotarliśmy na cmentarzysko, które sprawiało dzisiaj wyjątkowo upiorne wrażenie. Na każdym grobie stała mała gliniana miseczka. Wszystkie były już puste. Wypełniająca je stearyna dawno się wypaliła.

– Znicze? – zdziwiłam się. – Kto je przyniósł?

– Za dwa tygodnie Dziady – zauważyła Jaga. – Na coś przecież płacę pięćdziesiąt złotych składki na miesiąc...

– Składki? – zapytałam nieprzytomnie, skupiając wzrok na Mieszku, który właśnie przeskakiwał od grobu do grobu, zaglądając za każdy nagrobek. Zachowywał się jak nie do końca tajny agent.

– Każda szeptucha i wróż musi płacić składkę na związek zawodowy – wyjaśniła. – Pięćdziesiąt złotych miesięcznie. Wyobrażasz to sobie? Takie zdzierstwo, a oni zwykłe gliniane znicze kupili. Wstydziłoby się.

– Ale coś za wcześniej je postavili.

– Nie, specjalnie tak zrobili. Zawsze zapalają światła na co najmniej dwa tygodnie wcześniej, by ogień utrzymywał się do świąt. Potem koniecznie należy podtrzymywać płomień przez całą noc, aż minie wigilia Dziadów. Gdy wstanie rano słońce, światła mogą zgasnąć. Jednak dopiero w momencie, kiedy blask promieni dotknie grobów.

– Przecież to niemożliwe, żeby na każdym nagrobku, w całym kraju palił się płomień przez całą noc. – Wzruszyłam ramionami.

Jak dla mnie to kompletne zabobony. Przecież pełno było grobów, których już nikt nie odwiedza, albo jakichś starych, zapomnianych mogił. Mało to wojen przetoczyło się przez nasz kraj przez ostatnie tysiąc lat? Taki chociażby Mieszko, jeszcze będąc władcą, w kółko się z kimś bił. Przecież te ciała pogrzebano gdzie popadnie. Nawet nie da się już znaleźć miejsc ich pochówku.

– Pali się. Kapłani tego pilnują. Dostają za to specjalny dodatek świąteczny. A czy mnie ktoś kiedyś dał jakiś świąteczny dodatek? Oczywiście, że nie! Bo przecież szeptuchom się nie należy, szeptuchy to prywatna praktyka! Co z tego, że też muszą płacić składki... – sarknęła, zrzucając z grobu Mszczuja zaschnięte liście.

– A co dostajesz w zamian za te pięćdziesiąt złotych? – zapytałam. – Masz jakieś ubezpieczenie czy coś innego?

– Dostaję co miesiąc gazetkę „Puls Szeptuchy” i wydumany szmatławiec „Gazeta Kapłańska”. Nic w nich nie ma poza ogłoszeniami – wyjaśniła.

– Super.

– Chociaż czasami zdarzają się tam całkiem dobre okazje. Widziałam ostatnio ogłoszenie o sprzedaży kur zielononózek. Całkiem tanio wychodziły. Tylko że trzeba by po nie jechać aż na Mazury, więc zrezygnowałam.

No tak. Kury i jajka.

Wrócił Mieszko. Ciągłe rozglądał się dookoła. Sądząc po jego lekko zawiedzonej minie, chyba wciąż nie tracił nadziei, że spotka tutaj kogoś, kogo będzie mógł zdzielić łopata.

Niektórzy to mają proste potrzeby.

– Tak sobie myślę, że może zadzwonię do Sławy – powiedziałam.

Szeptucha przerwała gładzenie nagrobka Mszczuja.

– Zapytasz ją o Witka?

– Tak. – Objęłam się ramionami. – Mam nadzieję, że nie będzie chciał jej zrobić krzywdy. Przecież stał się demonem poniekąd przez to, że próbował ją zabić. Może teraz na nią poluje, a my nawet o tym nie wiemy...

– Stał się demonem, bo zawarł pakt ze Swarozycem – powiedział twardym głosem Mieszko.

Tak, tak, wiem, do czego pijesz.

– Ale do Sławy zadzwoń. – Pokiwał głową. – Może będzie wiedziała, gdzie jest jego leże.

Dzięki za dobre słowo.

Mieszko uśmiechnął się wyjątkowo paskudnie i poszedł na kolejny obchód dookoła nagrobków. Zaczynałam powoli współczuć spaleńcowi. Mieszko jest mściwy, a poparzone dłonie wyjątkowo mocno zachwiały jego wyobrażeniem o własnej wspaniałości i niezniszczalności.

Patrzyłyśmy z Babą Jagą w milczeniu, jak po raz kolejny bawi się w komandosa. Gdy skierował się w stronę gołoborzy i jego sylwetka znikła w końcu za grobami, zapytałam:

– Skoro nie ma Mszczuja ani Witka... to kto w takim razie przeprowadzi ceremonię Dziadów? I kto będzie pilnował cmentarza i świateł? Święto nie odbędzie się w tym roku?

– Musi się odbyć! – oburzyła się, a w jej głosie zabrzmiało

zdenerwowanie i lekka panika. – To pierwsze święto zmarłych Mszczuja. Oczywiście, że musi się odbyć. Nie ma żadnej dyskusji! To pierwsze Dziady mojego Mszczuja...

Znowu pogładziła czule zimny kamień płyty nagrobnej. Pamiętam, jak zapewniała mnie, że nasi najbliżsi mogą wracać. Teraz już wiedziałam, że bardzo liczyła na to, że choć przez chwilę zobaczy swojego męża.

– Dostaniemy jakieś zastępstwo? Powinni chyba kogoś do nas skierować, prawda?

Wyobrażałam sobie, że tak to się właśnie załatwia, gdy ktoś się rozchoruje, albo... no cóż... umrze zamordowany przez upira, nie pozostawiając po sobie następcy.

– Zadzwońłam w tej sprawie do kapłana z Kielc. Powiedział, że mają problem z młodymi adeptami. Jest coraz mniej powołań do służby bogom – wyjaśniła. – Nie wiem, co będzie. On nie potrafił mi powiedzieć, czy wystarczająco szybko znajdą zastępstwo.

Westchnęłam ciężko. Przypomniałam sobie opowieści Witka. Tak się cieszył, że został wróżem, chociaż zrobił to wbrew swojej rodzinie. Teraz mało kto chciał, żeby jego pierworodny zajął się kapłaństwem. Każdy chciał, żeby jego dziecko zostało lekarzem, prawnikiem albo architektem. Wróż siedzący w halucynogennych oparach z ziół nie cieszył się obecnie zbyt wielką estymą.

– Ale to nie jest nasza broszka. – Wzruszyłam ramionami. – To oni powinni się martwić. Nam nic do tego.

– Niestety nie. Zostałam poinformowana, że oni nic nie mogą zrobić i że teraz wszystko zależy ode mnie.

Co za bezczelność!

– A skąd ty masz im wystraszyć wróża w dwa tygodnie? Na głowy upadli?! – wykrzyknęłam.

Przygarbiona sylwetka Mieszka mignęła pomiędzy nagrobkami z zupełnie innej strony cmentarza. Musiał obejść nas dookoła, sprawdzając teren.

– Wiedzą, że Mszczuj miał ucznia. Pomimo że uczył się tylko dwa lata, chcą żeby warunkowo objął opiekę nad Bielinami. A po pół roku, jeśli się sprawdzi, będzie mógł przyjąć święcenia kapłańskie – wyjaśniła.

Gwizdnęłam. To naprawdę rekordowo szybko chcą sobie wychować nowego wróża. Przecież trzeba praktykować latami, żeby pozwolili zrobić coś samemu. Naprawdę są aż takie braki kadrowe w Królestwie? Czyżby

w całym regionie mieli tylko jednego Witka w odwodzie? A jak Witek został oficjalnie uznany za zaginionego, to nagle zrobił się problem?

– Mszczuj miał ucznia? – zdziwiłam się.

Jaga postukała paznokciami w kamień.

– Gosia, hormony ci dzisiaj skaczą albo ten spacer cię zmęczył – zauważyła z przekąsem.

Spacer mnie zmęczył faktycznie. Okropnie się zasapałam.

Mieszko podszedł do nas i stanął obok. Na jego twarzy malował się zawód. Zaciskał mocno usta i strzelał spojrzeniem na boki.

– To co? Idziemy do domu? – zapytał. – Nie znalazłem niczego podejrzanego.

– Och... Mieszko! – Aż się zapowietrzyłam. – Ale to chyba się nie uda...

19.

To się faktycznie nie udało. Mówiąc w telegraficznym skrócie: Mieszko zapytał, o co chodzi, a Jaga wyjaśniła. Mieszko pokiwał głową. Potem szeptucha podniosła głos i się obraziła. Po Mieszku to spłynęło. Zapał się. W końcu wróciliśmy w milczeniu do domu.

Można się było spodziewać, że ta rozmowa przebiegnie w taki sposób. Byli teraz pokłóceni. Chociaż może należało by powiedzieć, że Jaga była oburzona, a Mieszko pozostał obojętny.

Ja natomiast dostałam niewykonalne zadanie: przekonać go w dwa tygodnie, że zostanie lokalnym wróżem to świetny pomysł. Gdyby mi się to nie udało, miałam przynajmniej namówić go do poprowadzenia tegorocznych Dziadów. Szeptucha chyba miała nadzieję, że wmówię mu, iż tak wypada postąpić ze względu na pamięć po Mszczuju.

Mieszko jest honorowym człowiekiem i często w swoich poglądach bywa nieco staroświecki. Jednak wątpiałam, by zechciał poświęcić swoje życie dla pamięci Mszczuja. Szeptucha oczekiwała ode mnie cudów. Przecież on jest uparty jak osioł! W życiu go nie zmuszę, by został kapłanem. Był uczniem Mszczuja tylko i wyłącznie po to, żeby nie przegapić widzającej, która odnajdzie kwiat paproci. Nigdy go nie kręciły obrzędy, modlitwy, ani tym bardziej bogowie! Do dzisiaj nie może patrzeć na tatuaż na swoim ramieniu, który przedstawia krzyż słoneczny, symbol Swaróżyca.

Zresztą Mieszko zbyt twardo stąpa po ziemi. Byłby chyba pierwszym kapłanem w historii, który nie ma ochoty odprawiać wróżb, bo uważa, że to nieładnie tak zmyślać ludziom w żywe oczy.

Pierwszą rozmowę na ten temat odbyliśmy jeszcze wieczorem po powrocie z cmentarza. Obśmiał mnie, kiedy usiłowałam go namówić.

Z rozmyślań wyrwał mnie pisk zawiasów. Przewróciłam się na bok w pościeli i spojrzałam na pośladki Mieszka. Mój dumny wojownik, o całkowicie już wygojonych łapach, właśnie się ubierał. Stał przy dębowej szafie i grzebał na półkach w poszukiwaniu czystej bielizny. Niestety nie szło mu zbyt dobrze. Większość jego majtek i skarpetek leżała w koszu na brudy.

Razem z nim do naszej sypialni wpłynął aromat kawy, którą ze sobą

przyniósł. Uwielbiam ten zapach, zawsze stawia mnie na nogi. Jednak dzisiaj nawet on nie był w stanie wyciągnąć mnie z łóżka. Byłam zmęczona. Miałam wrażenie, że wczorajszy spacer wyssał ze mnie wszystkie siły. Jaga mówiła mi, że mogę się tak czuć, kiedy będę w ciąży. Nie podejrzewałam jednak, że aż tak bardzo będzie chciało mi się spać.

Mieszko zamierzał zabrać Nixa na dłuższy spacer, dlatego zerwał się skoro świt. Już dawno zaplanował sobie przejażdżkę po okolicznych polnych drogach. W nocy spadł pierwszy tego roku śnieg. Do pokoju wpadało przez rozsunięte zasłony ostre światło, zwielokrotnione od białego puchu pokrywającego ziemię. Pogoda wydawała się idealna do spaceru po okolicy. Mieszko cieszył się jak dziecko. Jego radość można było porównać tylko do trudnej do pojęcia ekscytacji, która opanowywała Nixa, gdy tylko uchylało się drzwi od stajni.

Wciągnął na siebie bokserki, pozbawiając mnie ładnego widoku. Westchnęłam i przewróciłam się na plecy. Nie było już nic do podziwiania. Wciąż jeszcze nie przywykłam do faktu, że Mieszko najwyraźniej nie wstydzi się aż tak bardzo jak ja. Nie miał najmniejszego problemu z paradowaniem na golasa po domu.

Zakopałam się pod kołdrę. Ledwie wystawał mi czubek głowy. W ogóle nie miałam ochoty wstawać z łóżka.

– Kiedy przychodzi Sława? – zapytał.

– Mhm? – mruknęłam rozieszpana.

Poczułam, jak materac ugina się pod jego ciężarem. Otworzyłam oczy. Leżał obok mnie. Jego błękitne oczy znowu skojarzyły mi się z kawałkami lodu. Wyciągnęłam ręką spod pościeli i pogładziłam go po gładko ogolonym podbródku.

– Zmarzniesz – obwieściłam.

– A chcesz mnie rozgrzać przed wyjściem? – zapytał.

Uniosłam brwi.

– A Nix?

– Wytrzyma jeszcze chwilę.

– Tylko chwilę?

Jego chłodne ręce wkradły się pod pościel. Dłoń wsunęła się pod moją podkoszulkę, palce niecierpliwie szarpnęły za majtki. Guma strzeliła, a ja zaczęłam chichotać.

– Może dłuższą chwilę – odparł.

Znowu szarpnął za moje majtki, o mało ich na mnie nie rozdierając. Na

bogów! Co było w tej kawie?

Moje majtki i bokserki Mieszka zniknęły, zanim się spostrzegłam, a my kochaliśmy się leniwie, odrobinę sennie. Nawet nie zdjęłam podkoszulki. Oplotłam go w pasie nogami i przyciągnęłam do siebie. Oparł ramiona po bokach mojej twarzy. Mięśnie jego ramion pracowały pod skórą przy każdym ruchu. Mieszkowi naprawdę się nie spieszyło. Przytulił mnie i całował po szyi. Przejechałam mu paznokciami po plecach, a on mruknął z zadowoleniem niczym kocur.

Nix zdecydowanie musiał poczekać dłuższą chwilę.

– Idziemy pod prysznic? – zapytał Mieszko, gdy już oboje oddychaliśmy ciężko, lepiąc się do siebie od potu.

Zacisnęłam mocniej uda na jego biodrach.

– O nie, nie wyciągniesz mnie z łóżka – zaprotestowałam. – Dobrze wiem, jak kończy się pójście z tobą pod prysznic.

Zaśmiał się i pocałował mnie w nos. Oburzona rozplątałam nogi i pozwoliłam mu wstać. Przykryłam się ponownie kołdrą i przytuliłam do poduszki, która wciąż pachniała nim i naszą miłością.

– Kiedy będzie Sława? – pytanie wyrwało mnie z drzemki, w którą od razu zapadłam, gdy tylko odszedł.

Uchyliłam powieki.

– Mówiła, że dojedzie około jedenastej – odpowiedziałam. – Jeszcze sobie pośpię do tego momentu.

– A do której będzie?

Dobrze wiedziałam, o co mu chodzi. Nie przepadał za Sławą, bardzo przeszkadzało mu, że przyjaźnię się z rusałką. Ciągłe podejrzewał ją o niecne zamiary. Początkowo nie zamierzał się ruszyć z domu – chciał mieć na nią oko. Zupełnie jakby bał się, że boginka zamierza porwać moje nienarodzone dziecko... Tłumaczenie mu, że takie rzeczy robią mamuny, a nie rusałki do niczego nas nie doprowadziło. Na szczęście zdołałam mu uświadomić, że w jego obecności nie poznam żadnej ciekawej plotki, więc musi się ulotnić z domu.

W związku z tym zamierzał zniknąć na cały dzień pod pretekstem szukania śladów Witka. Skoro go wyrzucałam z domu, to zamierzał zmniejszyć szanse na spotkanie Sławy do minimum.

– Pewnie ze trzy, może cztery godzinki będziemy gadać – stwierdziłam.

– Nie wiem, o czym można tyle mówić...

– Ja wiem, że ty nie wiesz.

Sapnął zirytowany.

– Uważaj na siebie – powiedziałam.

– Pojadę tylko poszukać śladów spaleńca. Nie będę polował.

Pochylił się i pocałował mnie w usta. Jego wargi były ciepłe i przyjemnie smakowały kawą.

– Ty też na siebie uważaj – powiedział.

Prychnęłam i zamknęłam oczy. Cicho zamknął drzwi, w ostatnim momencie skrzypnęły zawiasy. Po chwili dobiegł mnie szum prysznica na parterze. Trzaśnięcia drzwiami wejściowymi już nie usłyszałam. Za to nawet przez zamknięte okno dobiegło mnie pełne radości rzenie Nixa. Miałam wrażenie, że ten koń także nie mógł się doczekać wspólnej przejażdżki i też odliczał dni.

Ja za to, z silnym postanowieniem, że wstanę z łóżka do jedenastej, jeszcze mocniej otuliłam się kołdrą.

Padał deszcz. Było ciemno. Moje skarpetki frotte znowu nasiąkały wodą. Włosy zamieniły się w mokre strąki, wiszące ciężko na plecach. Wysoko nade mną, młócąc ciężkimi skrzydłami, unosił się żmij. Smok utkany z mgły i kamieni, przeczący wszelkim zasadom fizyki, niemający prawa istnieć.

Z niesmakiem zauważyłam, że mam na sobie co prawda podkoszulkę sięgającą mi do połowy uda, ale niestety nie mam na sobie majtek, które po porannych ekscesach leżały pewnie skotłowane pod łóżkiem.

Chyba tylko ja mogę mieć wizje, w których paraduję z gołym tyłkiem... Dlaczego mnie to już nie dziwi? Dźwięk rogu rozbrzmiał z kilku stron. Zbliżał się mityczny Dzikie Łów. Obciągnęłam podkoszulkę tyle, ile się dało, i zaczęłam się rozglądać po ciemnym nieboskłonie. Przetarłam oczy z deszczowych łez, przez które nie widziałam ostro. Nigdzie nie mogłam dostrzec myśliwych. Był tylko żmij wijący się wściekle i drobna sylwetka Radka. Chłopak formował w dłoniach kolejną fioletową błyskawicę.

Znowu zrobiło mi się przykro. A może ta powtarzająca się wizja to efekt mojej żałoby po zmarłym planetniku? Ciągle nie mogę przeboleć, że umarł. Nie jest to moje wspomnienie, bo nie widziałam Dzikiego Łowu, musi więc należeć do niego.

Biedny Radek. Był taki młody.

Dźwięk rogu ponownie wprowadził ziemię w drżenie. Na chwilę zamarł nawet deszcz, a krople zawisły w powietrzu. Mogłam przejrzeć się w lekko podłużnych kropelkach, które znieruchomiały naprzeciwko mojej twarzy. Czułam, jak krew wibruje mi w żyłach, a serce stanęło, gdy dźwięk potoczył się po cmentarzysku.

Krople opadły, a moje serce wznowiło szybki rytm. Uff, aż mnie zatkało.

Zobaczyłam ich. Pędzili na czarnych rumakach. Psy ujadają, wałęsając się między końskimi kopytami. Po bokach rumaków spływała biała piana i odpadała płatami. Wydawały się wyczerpane, ale mimo to biegły z półotwartymi pyskami i szaleństwem w błyskających białkami oczach.

Gromada podzieliła się na dwie części i zaczęła osaczać żmija. Potwór otworzył pysk i rozbrzmiał pomruk gromu.

Myśliwi zaczęli strzelać do smoka. Niektórzy mieli strzelby, inni łuki, a piesi atakowali stwora włóczniami. Psy zaczęły podgryzać żmija po nogach i ogonie. Opadł kilkanaście metrów w dół, gdy strzały przebiły jego błoniaste skrzydło. Grzmot bólu wstrząsnął ziemią.

Żmij skierował się w stronę gołoborzy. Myśliwi i Radek ruszyli w pościg. Nuda.

Już to widziałam. Zmieniłoby się coś z tej wizji. W tej chwili ucieszyłoby mnie, gdyby chociaż moje skarpetki przestały przemakać. Poruszyłam stopami.

Nie. Nadal mokre.

Jednak jeden z członków Dzikiego Łowu został. Ciężki koń pociągowy, na którym siedział, przestępował niecierpliwie z nogi na nogę, rwąc się do dalszego biegu. Jednak jego jeździec ściągnął mocno wodze, osadzając go w miejscu. Mężczyzna w płytowej zbroi sięgnął do hełmu, który przysłaniał mu twarz i ściągnął go z głowy. Duży, czarny róg, w który wcześniej dał, wisiał przy siodle i obijał się o bok konia czarnego jak noc.

Mężczyzna odwrócił się i spojrzał prosto na mnie. Zmarszczył brwi, które tworzyły grubą czarną linię przez całe czoło.

Drgnęłam.

Przecież to niemożliwe, żeby mnie zauważył. Nie mógł mnie widzieć. To tylko wizja. Na dodatek wyjątkowo wtórna, bo nawiedziła mnie już któryś raz. Nigdy nie zostałam zauważona w niej przez Ote albo Radka. Nie mogłam, bo nigdy nie biorę czynnego udziału w moich widzeniach. Myśliwy także nie mógł mnie zobaczyć.

Bo chyba nie mógł? Takie są zasady wizji, czyż nie?

Z drugiej strony zawsze budziłam się z wilgotnymi i ubłoconymi skarpetkami, co także nie powinno mieć miejsca...

Jeździec skierował konia w moją stronę. Zwierzę ruszyło kłusem. Mężczyzna unosił się w siodle przy każdym kroku zwierzęcia. Ciągle trzymał pod pachą swój hełm.

Odwróciłam się, żeby zobaczyć, czy za mną nie ma niczego, co mogło zainteresować myśliwego. Nie było.

Niedobrze.

Gdy rumak znajdował się metr nad ziemią, zeskoczył miękko, zupełnie jakby wcześniej stał na niewidzialnej górcie. Ziemia zadrżała od uderzenia potężnych kopyt. Zatrzymał się przede mną i parsknął. Aż się cofnęłam, żeby mnie niechcący nie opluł albo nie ugryzł.

Jeździec przełożył nogę przez grzbiet i zszedł na ziemię. Na koniu wydawał się ogromny i przerażający, ale na ziemi nie grzeszył wzrostem. Był niewiele wyższy ode mnie. Napierśniki i naramienniki zniekształcały jego sylwetkę. Wydawał się przez to nieproporcjonalnie szeroki w ramionach, gdy jednocześnie jego szyja ginęła w warstwach rynsztunku. Całkiem pociesznie wyglądał.

Deszcz spływał po jego długich wąsach, które sięgały aż za brodę. Czaszkę miał gładko wygoloną z jednym kozacki pejsem, który przykleił się do mokrej skóry. Nie mogłam przestać patrzeć na jego brwi, które zrastały się nad nosem tak szczelnie, że nie było widać, gdzie zaczynała się jedna, a kończyła druga. Na swój sposób urocze.

– Kim jesteś? – zapytał.

Głos miał chrapliwy i lekko drżący, zupełnie jakby dawno go nie używał.

– Widzisz mnie? Naprawdę? – zdziwiłam się.

Zamrugał, wyraźnie zaskoczony moją impertynencją. Zaczęłam się zastanawiać, czy to nie powinien być aby moment, w którym zaczynam się bać. Zaświtała mi myśl, że należałoby wziąć nogi za pas. Nie do końca niestety wiedziałam, jak przerwać wizję. Zawsze same się urywały. Równie dobrze po każdej z nich mogłyby się wyświetlić napisy końcowe.

– Jestem atamanem Dzikiego Łowu! Matwiej Mazepa! – Uderzył się pięścią w metalowy napierśnik i wysunął brodę do przodu. Zmrużył czarne, małe oczy przypominające guziki. – Odpowiadaj, jak pytam!

– A ja jestem widzącą, najsilniejszą widzącą, jaka ostatnio spacerowała po tej ziemi! Nazywam się Gosława Brzózka! – oświadczyłam z dumą.

– Wiedźma! – Splunął na ziemię.

No uroczo. Widzę, że się zaprzyjaźnimy.

Przez jego twarz przebiegł grymas obrzydzenia i niechęci. Można było w nim czytać jak w otwartej księdze. Nie mam zielonego pojęcia, jakim cudem został dowódcą Dzikiego Łowu. Osoba na takim stanowisku nie powinna być... sama nie wiem... bardziej ogarnięte dyplomatycznie?

– Musisz wstąpić w nasze szeregi – oświadczył. – Będziesz podlegać Będziro...

– Zaraz, że co proszę? – przerwałam mu bezceremonialnie.

Otworzył gębę wytracony z równowagi. W jego krzaczastych brwiach zbierały się krople deszczu, by potem spływać mu prosto do oczu. Już chciał zacząć kolejną tyradę, ale nie pozwoliłam mu nawet zaczerpnąć tchu.

– Nie mam zamiaru nigdzie dołączać! – Wzięłam się pod boki. – To jest tylko i wyłącznie moja wizja, na dodatek z przeszłości. Wypraszam sobie. Nikt mi nie będzie mówił, co mam robić. A poza tym to ja bardzo uprzejmie proszę, żeby ta wizja wreszcie się skończyła, bo muszę jeszcze wziąć prysznic.

– Wiedźma – powtórzył roztropnie.

Zagapił się na moją mokrą podkoszulkę, która bardzo dokładnie obkleiła piersi. Przez biały materiał wyraźnie było widać brodawki. No na litość wszystkich bogów... Przecież nie będę spać w staniku.

– Hej! – Zasłoniłam się rękami. – Oczy mam wyżej! Słuchaj, panie ataman! Bardzo miło mi cię poznać, ale jesteś wyłącznie elementem mojej wizji, więc nie mam zamiaru wstępować w szeregi Dzikiego Łowu. Rozumiemy się?

– Jeśli na drodze Dzikiego Łowu stanie samotny myśliwy lub wojownik, musi niezwłocznie wstąpić w jego szeregi – poinformował mnie, prostując się najbardziej jak tylko mógł. Jego głos brzmiał, jakby recytował wcześniej przygotowaną formułkę.

– A czy ja wyglądam na myśliwego? Albo wojownika? – zapytałam.

Spojrzenie jego kaprawych oczek znowu prześlizgnęło się po oblepiającej mnie bawełnie, nagich udach i łydkach.

– Czasy się zmieniają. Ludzie dziwnie się dzisiaj ubierają – stwierdził rzeczowo. – Ten tam, na przykład. To nie jest ubranie wojownika. Spodnie muszą być luźne dla bezpieczeństwa męskości.

Wyciągnął rękę i wskazał na niebo. Na cieniutkiej chmurce stał Radek i z wyrazem uciechy na twarzy, strzelał piorunami w dogorywającego na

kupie kamieni zmija. Miał na sobie obciste rurki w kolorze ciemnej zieleni. Wyraźnie opinały jego zgrabne pośladki. Przyciasna podkoszulka także opinała bicepsy w sposób nie pozostawiający wątpliwości, jak wysportowaną sylwetkę skrywa.

No cóż. Przynajmniej spodnie miał w kolorze maskującym.

Potoczyłam spojrzeniem po niebie. Co prawda myśliwi byli ubrani w najdziwniejsze maski, kaski, hełmy i czapy, jednak byłam całkiem pewna, że nigdzie nie widziałam żadnej dziewczyny.

Przeraziłam się.

– A czy w tym waszym całym Dzikim Łowie polują kobiety? – zapytałam.

– Nie. Kobiety nie mogą być mężnymi myśliwymi.

Mityczny szowinista.

– Ja jestem kobietą – poinformowałam go i ponownie oparłam ręce na biodrach, żeby teraz dokładnie mógł się przyjrzeć moim piersiom. Niech stracę.

– Tak – zgodził się ponownie ogniskując wzrok na biuście.

Całe szczęście, że przynajmniej w tym temacie się zgadzamy.

– Słuchaj, a jak to jest, że się pojawiliście? – zapytałam.

Milczał, podziwiając moje piersi. Wiem, że są fajne. Sama jestem z nich bardzo dumna, ale mógłby się tak nie ślinić.

– Hej! Panie ataman! – krzyknęłam. – Dlaczego tu jesteście?!

– Polujemy.

Jego krzaczaste brwi uniosły się w wyrazie szczerego zdziwienia i spojrzał na mnie jak na głupka. Na wszelki wypadek ponownie zasłoniłam piersi. Jak się będzie na nie patrzył, to daleko nie zajedziemy.

– No tak, ale dlaczego tutaj? Czemu teraz? Ktoś was wezwał? Czy zawsze przyjeżdżacie, żeby bić się ze zmijami razem z Radkiem? – dopytywałam.

– Zostaliśmy wezwani przez planetnika – oświadczył.

Zerknęłam na Radka, który właśnie podskakiwał na swojej chmurce. To chyba miał być taniec zwycięstwa.

– Rozumiem – mruknęłam. – A w jaki sposób on was wezwał? Przecież nie macie telefonów.

– Telefonów? – zdziwił się. – Zawołał. Jest planetnikiem. Może nas zawołać. Zawsze go usłyszymy.

– A ktoś, kto nie jest planetnikiem, może was wezwać? – zaciekałam się.

– Tak. Trzeba wypowiedzieć specjalne słowa.

– Jakie?

– A po co chcesz wiedzieć?

Wzniosłam oczy do nieba.

– Z ciekawości pytałam, nie musisz mi mówić...

Żmij wydał ostatnie tchnienie. Rozsypał się na drobne kamienie, które z łoskotem potoczyły się na gołoborze.

Gdzieś z tyłu głowy usłyszałam dzwonek. Brzmiał jak dzwonek do drzwi. Ale tu przecież nie było żadnych drzwi. Odwróciłam się, ale za mną były tylko mokre nagrobki.

Wszystko zaczęło mi się zamazywać przed oczami. Zrozumiałam, że zbliżają się napisy końcowe mojej wizji.

– Do zobaczenia, atamanie Matwieju! – krzyknęłam jeszcze, ale nie wiem, czy mnie słyszał.

20.

Dzwonek do drzwi faktycznie dzwonił, bo ktoś wcisnął go palcem i ani myślał puścić. Świdrujący dźwięk wdzierał się pod czaszkę. Miałam wrażenie, że moje zęby wibrują w jego rytm. Otworzyłam oczy i zamrugalam rozespana. Leżałam cała mokra w pościeli, która powoli nasiąkała spływającym ze mnie deszczem. Po tej wizji nie tylko moje skarpetki były całe mokre.

Okej, to zdecydowanie zaczęło dziwnie wyglądać. Ciekawe, czy o coś takiego chodziło Welesowi, kiedy mnie pouczał?

Bo jakoś mi się nie wydaje.

– Cholera – syknęłam, odwijając przemoczoną kołdrę.

Koszulka była kompletnie mokra. Skarpetki nie nadawały się już do niczego. Oblepiało je błoto, które zabrudziło także pościel. Ściągnęłam skarpety ze stóp i wściekła rzuciłam je na podłogę.

Miałam serdecznie dość tych wizji. Do tej pory mogłam się dobrze bawić i traktować je jako ciekawostkę. Jednak nie w momencie, gdy uczestnik wizji mnie zauważył. Przecież to tak, jakbym się przeniosła w czasie do tamtej nocy. Przeróżająca perspektywa.

Kłapiąc gołymi stopami, pognałam na parter. Za drzwiami wejściowymi stała Sława. Oczywiście zasnęłam na jedenastą. Przyjaciółka żuła gumę i opierała się palcem o guzik.

Otworzyłam drzwi. Dmuchnęła, odganiając z twarzy blond grzywkę. Końcówki włosów miała zabarwione na wściekły róż, pasujący do gumy, z której wydmuchała kolejnego balona. Pękł, oblepiając jej nos.

– Na wszystkich bogów, czy ty się właśnie kąpałaś w ubraniu? – zapytała, zdejmując wreszcie palec z dzwonka.

– To dłuższa historia – westchnęłam.

– Mam nadzieję, że chociaż ciekawa.

Odsunęłam się od drzwi, żeby ją przepuścić. Stuknęła butem o wycieraczkę i posłała mi pełne niesmaku spojrzenie. Przez chwilę gapiałam się, jak zdrapuje gumę z grzbietu nosa, nie do końca wiedziałam, o co jej chodzi.

– No? Zacięłaś się? – ponagliła mnie.

Klapki w moim mózgu wskoczyły na swoje miejsca.

– Ach, przepraszam. Wejdz, rozgość się, zapraszam cię do środka – dodałam pospiesznie. – Zaraz przyjdę, tylko się ogarnę.

Zupełnie zapomniałam, że jeszcze nigdy nie była w domu Mieszka. Musiałam ją zaprosić, żeby jako upir mogła w ogóle przekroczyć próg. Stare, ale bardzo skuteczne zabezpieczenie przed niechcianymi gośćmi.

– Idź się ogarnij, kochana. I nie spiesz się, wyglądasz koszmarnie – skwitowała.

Z wahaniem przestąpiła próg naszego domu. Wciągnęła powietrze przez nos, zupełnie jakby poczuła jakiś przykry zapach. Zsunęła ze stóp zabrudzone błotem kozaczki na kilkunastocentymetrowych koturnach.

– Co się dzieje? – zapytałam, zamykając drzwi.

– Dużo tu żelaza i soli – powiedziała. – Nawet więcej niż w ogrodzie szeptuchy.

Znając Mieszka, pewnie chciał zabezpieczyć wszystko najlepiej jak się da. Zresztą dobrze pamiętałam przemysłowej wielkości worki soli, które wkopywał w ziemię wzdłuż ogrodzenia posesji.

– Gdyby nie twoje zaproszenie, nie byłabym w stanie wejść. I tak trochę tu nieprzyjemnie – wzdrygnęła się. – Nawet nie wiesz, jaką mordęgą było pokonanie twojego podwórka.

– Powtórzę Mieszkowi. Będzie zachwycony, że tak zabezpieczył chałupę – oświadczyłam.

Pokręciła głową na dźwięk jego imienia.

– A daj mi spokój. Następnym razem widzimy się na mieście – stwierdziła.

– Jak wolisz.

– Gdzie kuchnia? Pójdę zrobić sobie kawę, a ty się ogarnij – poleciała.

Skierowałam ją w odpowiednią stronę i posłusznie poszłam do łazienki. Gdy wróciłam już sucha, zastałam ją na podłodze przed kominkiem, na którym dogasał ogień. Mieszko musiał go dla nas rozpalić przed wyjściem. Sława usiadła z filiżanką kawy i machała stopą przed szybą. Rozsiadłam się obok niej i sięgnęłam po stojący opodal kubek.

– A to co? – zapytałam, wachając podejrzliwie napój.

– Spieniałam ci samo mleko. Z tego, co wiem, kobiety w ciąży nie powinny pić kawy, a ty pewnie masz teraz świra z tej okazji, więc przestrzegasz wszystkich zasad.

Aż się wzruszyłam. To się nazywa prawdziwa przyjaciółka – wie o mnie

wszystko!

– Dziękuję.

– Nie ma sprawy. No to teraz opowiadaj. Nie odzywasz się, odkąd ten psychol dźgnął cię w brzuch. Gdyby nie to, że cię obserwowałam, chyba umarłabym ze strachu – zrzędziła.

Siorbnęłam ciepłego mleka.

– Skarbie, ty już jesteś martwa – zauważyłam usłużnie. – Obserwowałeś mnie? Czemu?

– Świętowit mi kazał.

Zatkało mnie.

– A po co?

– Nie mówił mi. Kazał pilnować, to pilnowałam. Przecież nie będę z nim dyskutować. To mój szef.

Cholera jasna, a ten co sobie nagle o mnie przypomniał? Siedział tak długo cicho, myślałam, że przyjął do wiadomości, że nie oddałam mu kwiatu i no cóż... żył wiecznie dalej?

– Niedobrze... – mruknęłam.

– A czy kiedykolwiek było dobrze? – zauważyła filozoficznie.

– On czegoś ode mnie chce? Mam do niego iść i się kajać, że nie oddałam mu kwiatu paproci, czy co?

– Nie wiem. Ja tam na twoim miejscu to bym nie podchodziła do świętego dębu. Z bogami nigdy nic nie wiadomo. Chociaż on niby ostatnio ma jakiś taki lepszy humor.

Może to dlatego, że zostałam dźgnięta nożem. Mogło go to ucieszyć.

– A ty czemu jesteś taka naburmuszona? – zapytałam.

– Nie odzywasz się do mnie! Niby moja najlepsza przyjaciółka, a nie daje znaku życia – sarknęła.

Wypiła espresso jednym haustem niczym kieliszek wódki. Wzdrygnęła się i przez chwilę wyglądała, jakby miała zwymiotować.

– Przepraszam.

– Nie, no spoko. Niby esemesa mi napisałaś, jak wyszłaś ze szpitala. Nie nazwałabym tego rozmową, ale trzeba przyznać, że dałaś znak, że żyjesz.

– To o co chodzi?

Bo musiało o coś chodzić. Przecież Sława to zwykle chodzący entuzjizm.

– Ech, mam podły nastrój. Właśnie rozstałam się z facetem! – Po jej policzkach potoczyły się łzy jak grochy.

– Och.

Nie do końca wiedziałam, jak mam zareagować. Sława nigdy nie była specjalnie stabilna emocjonalnie. Zdołałam się już nawet przyzwyczaić do jej szaleństw. Niemniej rzadko płakała. Naprawdę rzadko.

I praktycznie nigdy przez mężczyzn. Wydaje mi się, że wypłakała już wszystkie łzy przeznaczone dla gatunku męskiego w chwili, gdy jej niedoszły małżonek razem ze swoją matką zabili ją. Do dzisiaj nie potrafię zrozumieć motywów, które nimi kierowały.

– Nawet nie wiedziałam, że masz chłopaka – zauważyłam.

– Bo nie miałam. To facet, z którym pracowałam w barze. Pamiętasz, jak pracowałam w barze?

– No, pamiętam.

Chociaż przez jad wapiersza niektóre fakty odrobinę się zamazywały.

– Kochaliśmy się kilka razy na zapleczu w trakcie roboty, na blacie baru po zamknięciu knajpy, u mnie w mieszkaniu, jak już się wyprowadziłaś, u niego w mieszkaniu, raz w parku... – Przygryzła wargę. – W sumie to bardzo często uprawialiśmy seks. A jemu coś do łba strzeliło i mi się oświadczył. Sto razy mu mówiłam, że nic do niego nie czuję. Przecież my nawet nie byliśmy parą!

– Wydaje mi się, że w jego mniemaniu mogliście być parą – wtrąciłam nieśmiało.

– Bzdura. Po prostu lubię seks. Nic nowego. Nikomu to przecież nie wadzi. Świetnie zabija nudę – odparła sztucznie lekkim tonem. – To sobie ubzdurał nie wiadomo co! Już nie miał co wymyślać.

– I co teraz?

– No nic. Przecież jak sama słusznie zauważyłaś, nie żyję. Nie mogę wyjść za mąż, nie mogę urodzić mu dzieci, nie mogę zostać żoną. Jestem przeklęta. I martwa...

Odstawiłam kubek i objęłam ją ramieniem. Wtuliła twarz w moją szyję. Poczulałam, jak po skórze płyną mi jej łzy. Plecy rusałki trzęsły się od płaczu.

– Obraził się na mnie. Nie będzie już seksów na stole. – Smarknęła.

– A ty płaczesz za nim, czy za tymi seksami? – zapytałam.

Nie odpowiedziała. Nie musiała. Bujałyśmy się dłuższą chwilę w objęciach. Nie wiedziałam, co powinnam zrobić, żeby poprawić jej humor.

Nagle wpadłam na pomysł. Odsunęłam się od niej i poklepałam ją po ramionach.

– Poczekaj na mnie. Mam nalewkę Baby Jagi z malin i porzeczek. Ja się

nie mogę jej napić, ale z chęcią cię poczęstuję!

– Jak ty mnie dobrze znasz. – Zaśmiała się, przecierając twarz. – Dawaj tę wódeczkę! A ja dołożę drewna do kominka.

Po kilku kieliszkach alkoholowego ulepku na twarz Sławy wrócił uśmiech.

– Ach, powiem ci, że to całe życie wieczne to bez sensu jest – stwierdziła. – Nawet przez chwilę korciło mnie, czy nie przyjąć tych oświadczeń i nie wziąć ślubu. No bo w sumie, można by spróbować. Wiesz jak?

Patrzyła na mnie wyczekująco.

– No jak? – zapytałam posłusznie.

– Mam fałszywe dokumenty. Dałoby to radę ogarnąć. Tylko co potem? Jak nawet w urzędzie się nie rypnie, to przecież po dwudziestu latach on się zorientuje, że ja się nie starzeję. To co, mam mu wmawiać, że chodzę regularnie do kosmetyczki? Mam się z nim rozwieść za dziesięć lat na wszelki wypadek? Poza tym co by było, jakby chciał dziecko? Za dużo problemów. Zresztą ja nie jestem stworzona do długich związków. Lubię przygody. Nie szukam stabilizacji.

Kiwałam posłusznie głową, dobrze wiedząc, że kłamie i ciągle jest jej przykro. Niemniej żadna z nas nie mogła na to nic poradzić. Sława umarła bardzo dawno temu. Jej kości nie zamieniły się, co prawda, jeszcze w proch, ale niewiele im brakowało. Nie było sposobu, by wróciła do żywych.

– Ach, zapomniałabym. Mam dla ciebie prezent! – wykrzyknęła.

Na jej twarzy pojawił się radosny uśmiech. Gdzieś zniknęła rozpacz i smutek. Gdyby nie lekko rozmazany makijaż, nie można by się było zorientować, że płakała.

Wyciągnęła z torebki czerwoną bransoletkę. Była spleciona z zabarwionych na rubinowy kolor rzemyków. Sława zawiązała mi ją na nadgarstku.

– Będzie chronić twoje dziecko przed mamunami – zapewniła.

– Bardzo ładna, dziękuję.

Odrobinę się zaniepokoiłam. Czyżby w pobliżu były jakieś mamuny?

– A myślisz, że mogą porwać mi dziecko? – zapytałam i objęłam ciągle płaski brzuch rękami.

– No na razie to chyba za małe, żeby ci podmieniły na swojego bachora. Zresztą z brzuchów kradną tylko wtedy, jak są naprawdę zdesperowane –

stwierdziła. – Ale wiesz, kilka mamun się kiedyś kręciło po okolicy. Lepiej dmuchać na zimne. Jak już urodzisz, to zawiążesz tę bransoletkę na nadgarstku dziecka.

– A mogą przejść przez sól zakopaną na podwórku?

– Nie, ale przecież chyba będziesz wychodziła z chałupy. Co ty? Dziewięć miesięcy chcesz tu siedzieć?

– Jeszcze tylko osiem...

– A daj spokój, hipochondryczko. Masz bransoletkę. Nic ci nie zrobią. A teraz opowiadaj, co u ciebie! – zażądała i popiła nalewki.

To jej opowiedziałam, a co! O ciąży, o tym, że dziecko jest Mieszka, o Witku, o jego zniknięciu. Wspomniałam nawet o rudej dziennikarce, która wpadła do chaty szeptuchy i oskarżyła ją o oszustwo.

– Z tym Witkiem to nieźle się porobiło. – Pokręciła głową i wyciągnęła nogi w stronę kominka.

Przed chwilą znowu dorzuciłam drewna. Płomienie wesoło skwierczały, osmalając szybę zamontowaną w żeliwnej ramie. Uwielbialiśmy wieczorami siedzieć tu z Mieszkiem. Z braku kanapy i foteli rozkładaliśmy się na poduchach oraz kocach i każde z nas czytało książkę.

No albo robiliśmy inne rzeczy.

Kominek to zdecydowanie najlepsza inwestycja.

– Czemu polazłaś z nim wtedy do lasu? – zapytałam.

– A bo taki był miły, wręcz przymilny. Ja byłam rozżalona po rozmowie z tym moim. Te oświadczyzny wybiły mnie z równowagi. Pomyślałam, że przydałaby mi się odmiana. Zresztą miałam ochotę na szybki numer. Ostatni raz zaciągnęłam kogoś do lasu ze dwadzieścia lat temu.

– No wiesz co! – obruszyłam się.

– Przecież masz Mieszka. Po co ci Witek? – zauważyła. – Skąd to święte oburzenie?

Zawstydziłam się. Miała rację. Nie wiem, czemu tak zareagowałam. Czemu ubodło mnie, że mogłaby go uwieść?

– Bo Witek był dobrym człowiekiem – wyjaśniłam.

– A ja jestem niby ta zła?

– Ty, jako ty, nie. Ale mimo wszystko jesteś rusałką, tak? Masz sprowadzać ludzi na złą drogę i najlepiej ich później mordować.

– Oj tam, oj tam. Już dawno nikogo nie zabiłam.

– Chwali ci się.

– A Witek sam chciał. Gdyby był takim dobrym człowiekiem, toby ze

mną nie poszedł – stwierdziła twardo i wypila zawartość kolejnego kieliszka. – Nie był kryształowym człowiekiem. On tylko przed tobą udawał, naprawdę. Żebyś ty słyszała, jak świntuszył, kiedy szliśmy do zagajnika!

Uśmiechnęła się rozmarzona.

Miał gadane jak poeta.

– Był kapłanem – sprostowałam cierpko. – Myślę, że spędził trochę czasu na czytaniu i poszerzaniu swojego słownictwa.

To, co mi opowiadała, nie trzymało się zupełnie kupy. Przecież Witek tak się nie zachowywał. Był miłym, uczynnym facetem, a nie podrywaczem, który szepcze do ucha sprośne kawałki.

– Służył Swarożycowi i musiał mu służyć już bardzo długo – powiedziała, gdy głośno wyraziłam swoje wątpliwości. – To on zabił Dareczka. Powiedział mi to. Miał wiele twarzy, Gosiu. Nie pokazał ci wszystkich. To był fanatyk.

Spojrzałyśmy na płomienie. Wystrzeliły wyżej, gdy drewniane polano pękło na pół. Poczułam się nieswojo. Miałam wrażenie, że Swarożyc nas słucha.

– Jak obie wiemy, słudzy boga ognia do najmilszych nie należą – dodała. Pomasowałam znamię na nadgarstku. A ja? Jaka ja jestem?

– Wiesz, co się teraz dzieje z Witkiem? – zapytałam.

Sława skrzywiła się z niesmakiem i odparła:

– Został spaleńcem. Nie wiem, czy mogło go spotkać coś gorszego.

– Dlaczego?

– Znałam kiedyś jednego spaleńca. Oni nie są tacy jak rusałki. Mnie jako rusałce jedynie wciąż się chce faceta. Uciążliwe, ale jak na klątwę całkiem jeszcze znośne, tak?

Taki rodzaj klątwy zdecydowanie wiele w jej przypadku tłumaczy. Pokiwałam głową, bo patrzyła na mnie wyczekująco.

– No właśnie! – podjęła i dołała sobie hojnie nalewki. – Takim południcom na przykład, ciągle jest ciepło i chce im się pić. Ale to też jest jeszcze znośne. Wiły nie mogą usiedzieć w miejscu, mają ADHD. A wiesz, co się dzieje ze spaleńcami?

Miałam głupie wrażenie, że wcale mnie ta informacja nie ucieszy.

– Niewyobrażalnie cierpią. Oni cały czas płoną żywcem. – Wypila dla kurażu kolejny kieliszek. – Rozpadają się, żeby od razu się odrodzić. To dlatego bardzo szybko tracą zmysły. Nie sposób pozostać normalnym,

kiedy cały czas cierpisz. Nie potrafię sobie tego nawet wyobrazić.

Zrobiło mi się niedobrze. Objęłam kolana rękoma i wpatrzyłam się w ogień. Jak Swarozyc mógł to zrobić swojemu słudze? Przecież Witek był mu wierny i robił to, czego chciał bóg. Dlaczego go tak skrzywdził? Nie było innego demona, w którego mógłby go zmienić? Na pewno jakiś był.

– Spaleńcy długo nie wytrzymują. Dawniej zamieniali się w nich podpalacze. Podpalenie domu było najgorszym przestępstwem. Dla takich ludzi nikt nie miał współczucia. Po śmierci, za karę, stawali się upirami. Byli przeklęci przez wszystkich, nawet przez bogów. Swarozyc bardzo surowo ich karał za wykorzystanie jego ognia do niecných czynów. Mieli cierpieć tak jak ich ofiary. Stanie się spaleńcem było jedną z najcięższych klątw.

Znowu sięgnęła po butelkę, ale ta była nieomal pusta. Odstawiła ją. Znałam opowieść o spaleńcach. Kiedyś sądziłam, że podpalaczy palono na stosach, by sprawiedliwości stało się zadość. Nie sądziłam, że faktycznie zamieniają się w upiry.

– To, że Witek teraz się gdzieś ukrył, oznacza tylko, że jeśli już opuści kryjówkę, to będzie naprawdę szalony.

– Nie możesz być tego pewna – odparłam słabo.

– Będzie mordował. Wiem, że uważasz, że był dobrym człowiekiem – kontynuowała, nie dając mi dojść do słowa, chociaż już otworzyłam usta. – Ale ból, który czuje się przez cały czas, ból mięsa oddzielanego od ciała, przypalanej kości... taki ból potrafi zniszczyć każdą cząstkę człowieczeństwa. Nieważne, jak dobrym się było.

– Może dałoby się mu jakoś pomóc? – zapytałam cicho.

– Nie ma dla niego ratunku. Swarozyc właśnie spuścił ze smyczy bardzo niebezpiecznego potwora. Nawet on nad nim nie zapanuje. Jednak znając boga ognia, to pewnie nigdy nie miał nawet takiego zamiaru.

Pokiwałam głową. Na pewno nie chciał kontrolować Witka. Przecież kontrola oznacza równowagę, a swarny bóg pragnął tylko i wyłącznie chaosu. Wspominał mi o tym niejeden raz.

– Czyli zostaje nam czekać, aż Witek się ujawni? Co wtedy będzie robił?

– Będzie chciał spalić świat. Będzie chciał przenieść swoje cierpienie na innych. Bo jest jeszcze jedna ważna kwestia... a w zasadzie dwie.

– No?

– W ogóle to czemu mnie o to pytasz, czy ty nie powinnaś wiedzieć takich rzeczy? Nie musiałaś się tego uczyć, żeby zostać szeptuchą?

Zapowietrzyłam się. Kolejna będzie mi zwracała uwagę. Może jeszcze jedno kolokwium?

– Czytałam bestiariusz – wycedziłam. – Ale do S jeszcze nie doszłam.

– Moja droga, to lekka bezmyślność z twojej strony, biorąc pod uwagę kłopoty, w jakie notorycznie się pakujesz.

– Naprawdę zamierzasz mnie teraz pouczać?

– Zwykle ty mnie pouczasz, jak to niby się źle prowadzi.

Niech już jej będzie. Chociaż nadal uważam, że z nas dwóch to ja mam więcej oleju w głowie, mimo że jestem o kilkaset lat młodsza.

– Więc mnie oświeć. Czego mogę się spodziewać po Witku?

– Przede wszystkim będzie chciał się odegrać. Oddać innym swój ból. Gdy spaleniec coś podpala, gdy oddaje swój płomień, czuje ulgę. Krótkotrwałą, ale zawsze ulgę. W związku z tym będzie chciał podpalić jak najwięcej.

– To niezbyt dobra informacja.

– Niezbyt, ale nie do końca. Za każdym razem, gdy coś podpali, traci swój zar. Wypala się. W końcu wypali się całkiem i odejdzie w niebyt, zamieni w popiół. Spaleńcy zwykle nie żyją zbyt długo. Toczące ich szaleństwo sprawia, że nie są w stanie się ukrywać, a jak się nie ukrywają, to podpalają. Problem sam się zaraz rozwiąże. Zobaczysz.

– Cudownie. A masz może jakieś pomysły, gdzie się teraz Witek ukrywa albo co może chcieć podpalić?

Sława potoczyła spojrzeniem po naszym domu.

– No wiesz... zwykle spaleńcy wracają do ludzi, których nie lubią. Mieszko nie zyskał sobie chyba zbyt wiele sympatii Witka. Zwłaszcza jeśli mu się wcześniej podobałaś – zauważyła. – A gdzie się ukrywa, to niestety nie mam pojęcia. Nie słyszałam żadnych plotek.

– Można go zabić w jakiś inny sposób niż poprzez doszczętne wypalenie?

Skrzywiła się.

– Ciekawe, czemu pytasz... Z tego, co wiem, to jedynym sposobem jest jego wypalenie.

Zasepiłam się. Nie podobało mi się to wszystko. Po co Swarozyc powołał go do życia? Naprawdę aż tak nie cierpi Mieszka? Podpali świat, by tylko się go pozbyć lub by go skrzywdzić?

Cholera. Zrobi to!

Sława jeszcze bardziej wyciągnęła przed siebie długie nogi i stuknęła piętą w tajną skrytkę Mieszka. Kamień odskoczył z trzaskiem. Rusalka

złapała się za serce przestraszona.

– O bogowie! Przepraszam! Nie chciałam wam domu rozwalać! To niechący!

Rzuciłam się do odblokowanej płytki, ale Sława zdążyła zobaczyć, co było w niej schowane. Bursztyn zamigotał, zupełnie jakby chciał zwrócić na siebie naszą uwagę.

– Sztylet Juraty – wyszeptała z nabożną czcią, a następnie spojrzała na mnie przerażona. – Którego boga zamierzasz zabić?

21.

„Którego boga zamierzasz zabić?”

Pytanie Sławy brzęczało mi w uszach, zamieniając się w ogłuszający pisk. Zabić boga! Boga! A co się wtedy stanie? Zapanuje chaos. Nie może zabraknąć żadnego z nich, bo inaczej świat zadrży w posadach, natura zwariuje. Jak znam życie i mojego pecha, nawet drzewo kosmiczne zwiędnie.

Co ten Swarożyc sobie wyobraża?! W co on mnie chce wciągnąć?! W koniec świata?! Nie życzę sobie!

– Boga? – wydusiłam.

– Mogę? – zapytała i zanim zdążyłam odpowiedzieć, wyciągnęła ze skrytki sztylet.

Znowu poczułam mdłości i dziwną słabość. Broń biała z reguły mnie nie przerażała. Jednak na widok tego, konkretnie tego jednego sztyletu, robiło mi się niedobrze. Myślałam, że to z powodu obietnicy, którą dałam Swarożycowi, a która na zawsze splotła nasze dole.

Jednak sam Swarożyc tak na mnie nie działał. W takim razie to ten sztylet musi coś emitować.

– Jest piękny – zachwyciła się rusałka.

Obracała go i podziwiała rozbłyśki światła w bursztynie. Nie trzymała sztyletu za klingę, zupełnie jakby bała się dotknąć rdzawych plamek pokrywających ją na całej długości. Dwoma palcami ścisnęła prosty jelec. Rzemień, którym była ciasno okręcona rękojeść, również był zachlapany czarną już krwią.

Sama nie przyglądałam mu się nigdy tak dokładnie. Nie chciałam nawet go dotykać. Zachwyty przyjaciółki bardzo mnie dziwił.

– Nie widzę w nim niczego pięknego – powiedziałam.

– Nie znasz się – skwitowała, wciąż wbijając spojrzenie w bursztyn wieńczący rękojeść. – Zobacz. Widzisz, co jest zatopione w żywicy?

– Jakiś owad.

– To osa.

– Tak?

Pochyliłam się i chociaż wciąż odczuwałam wstręt, przyjrzałam się

błyskotce. Faktycznie. W bursztynie na zawsze została zawieszona osa. Z pokrytego paskami odwłoku wystawało cieniutkie żądło, jakby usiłowała atakować zalewając ją żywicę. Skrzydełka były lekko przygięte i zasłaniały paski. Pochyliła delikatnie głowę i wyciągnęła chude nóżki. Ostatni atak osy zatrzymany w bursztynie.

– No proszę, nie zauważyłam wcześniej – przyznałam.

– Musiałaś być ślepa – parsknęła.

Sława objęła dłonią bursztyn. Zniknął pomiędzy jej długimi palcami. Przytuliła sztylet do piersi. Przymknęła oczy i westchnęła ciężko.

– Skąd go wzięłaś? – zapytała zduszonym głosem.

W jej oczach błysnęły łzy. Zbiła mnie tym z tropu. Miała skłonność do skrajnych, czy może nawet irracjonalnych, zachowań, jednak były pewne granice, których nawet ona zwykle nie przekraczała.

Chociaż z drugiej strony naprawdę dużo wypła. Ta nalewka była na spirytusie, miała pewnie z pięćdziesiąt procent alkoholu.

– Dostałam go – odpowiedziałam zdawkowo.

– Hm, ciekawy prezent.

– A ty zadałaś mi ciekawe pytanie. Którego boga zamierzam zabić? Co to w ogóle było za pytanie? – drażyłam.

– Bo tym sztyletem można zabić boga – odparła poważnie. – Po cóż innego byłby ci potrzebny? Przecież nie do obierania jabłek.

Całkiem racjonalne wytłumaczenie.

– Skąd go wzięłaś? – zapytała jeszcze raz.

– Dostałam – powtórzyłam.

– Nic więcej nie powiesz? – zirytowała się.

– Chyba nie mogę, a raczej nie powinnam – przyznałam. – Nie robię ci na złość. Po prostu nie mogę ci powiedzieć.

– A do czego chcesz go wykorzystać? – Sława wypowiadała słowa z namysłem. Nie wiedziała, jak zadać to pytanie.

– Jeszcze nie wiem. Na razie postanowiłam go schować i o nim zapomnieć – odpowiedziałam szczerze. – Mam nadzieję, że nigdy nie będę musiała go oglądać.

– To sztylet Juraty. Nie powinien być schowany.

Odchyliła palce. Żółty bursztyn błysnął w świetle ognia.

– To pamięć jej czynów. Jedyne dowód.

– Juraty? Kim była? – zapytałam.

– To długa i piękna opowieść, ale niestety bardzo smutna – odparła.

– Mamy czas.

Gdy bogowie byli jeszcze młodzi, świat wyglądał zupełnie inaczej. Ludzie dopiero uczyli się modlitw. Szanowali przyrodę i swoich stwórców. Cały świat żył w tym samym rytmie, według tych samych zasad.

Ludzie szczególnie wielbili Mokosz, która ich karmiła, więc była według nich najważniejsza. Każdy człowiek znał swoje miejsce i wiedział, jak ma wyglądać jego przyszłość, na co pozwalają mu bogowie. Rodzance dbały, by każda dola wiedziała, jak pokierować życiem swojego właściciela.

Lasy były pełne dzikiej zwierzyny, niebo kolorowego ptactwa, a wody błyszczących ryb. Świat był przepięknym miejscem.

W tamtych spokojnych czasach narodziła się Jurata. Została zrodzona z księżycowego blasku, który pokochał słońce, morskie fale. Pewnego ranka, gdy Chors zanurzył się w wodach Bałtyku, pojawiła się ona, boginka o bursztynowych oczach. Nikt nie był równie miły i dobry jak ona. Jej spokojne oblicze spoglądało z miłością na cały świat. Jednak miała także krnąbrną i gwałtowną duszę szalejącego morza. Potrafiła wpaść w straszny gniew w jednej chwili.

Mało kto już o tym pamięta, ale była nie tylko mądra, ale także niezwykle urodziwa. Miała skórę białą jak srebrne światło miesiąca, a oczy granatowe niczym najciemniejsza głębina Bałtyku.

Bogowie oczarowani jej cnotami dali jej bursztynowy pałac, w którym zasiadła na tronie. Miała strzec morza, rozkazywać falom i chronić żyjące w wodzie istoty. Panowała także nad słońcą wodą, pilnując, by ludzkie statki dopływały do celu, oraz dbała, by ten, kto umie łowić, miał dostęp do morskich bogactw.

W pracy pomagały jej wodne boginki, syreny, które miały zamiast nóg rybnie lub focze ogony, oraz jadzierki, piękne kobiety o pełnych kształtach. Wśród swoich sług miała także wodników oraz straszną istotę zwaną szalińc. Był to potwór morski zdolny swoimi harcami do rozpętania najstraszniejszego sztormu. Słuchał tylko jej, ale był na tyle szalony, że musiała przywiązywać go do morskiego dna, gdy opuszczała pałac, by nie wyrwał się na wolność.

Mijały lata. Jurata panowała nad Bałtykiem, wykonując dokładnie wszystkie rozkazy bogów. Towarzystwa dotrzymywały jej boginki, ona

jednak z dnia na dzień stawała się coraz mniej radosna, aż pewnego dnia uśmiech zniknął z jej twarzy na zawsze.

By nie czuła się samotna w swoim bursztynowym pałacu, bogowie ulepili z gliny i morskiego piasku mężczyznę o imieniu Gosk. Dali mu wóz, który ciągnęły morskie rumaki, by mógł ją odwiedzać na dnie Bałtyku. Od razu wysłali go do bursztynowego pałacu, by przypodobał się Juracie i przywołał uśmiech na jej urodziwą twarz.

Jednak Jurata nie pokochała Goska, który był dumny i zarozumiały. Nie podobało jej się, że bawiło go topienie rybaków i plątanie ich sieci. Mimo to nie przepędziła go ze swojego pałacu. Bogowie chcieli, by zamieszkał z nią na morskim dnie, więc zamierzała spełnić ich życzenie.

Pewnego dnia do pałacu Juraty przypląły przerażone jadzierki. Były niezwykle wzburzone. Nie mogły przestać płakać.

– Co się stało? – zapytała Jurata, schodząc z bursztynowego tronu.

– Młody rybak łowi przy brzegu – powiedziała najodważniejsza z boginek. – Każdego dnia łowi więcej ryb, niż jest w stanie sam zjeść. Sprzedaje je innym ludziom.

Królowa Bałtyku zdenerwowała się. Ludziom nie wolno było łowić więcej morskich stworzeń, niż sami byli w stanie zjeść. Takie były zasady panujące na świecie. By ukarać rybaka, spuściła w nocy ze smyczy szalińcia, który wzburzył morze i zniszczył rybackie sieci.

Jednak człowiek naprawił je i kilka dni później znowu łowił.

– Tak się nie godzi! Prosimy cię, Jurato, zrób coś! – lamentowały boginki. – Bogowie zezwolili na łowienie ryb, naszych przyjaciół, ale nie na to, by je sprzedawali! Kto nie umie łowić, ten nie powinien jeść morskich stworzeń.

Jurata po raz kolejny spuściła ze smyczy szalińcia, który ponownie porwał sieci młodego rybaka. Mężczyzna jednak się nie poddał. Znowu naprawił splątane i pozrywane sznurki, a następnie wybrał się na łów.

Tej zniewagi królowa nie mogła już znieść. Nakazała wodnikom, by przygotowali jej bursztynową łódź i zaprzęgli do niej wodne rumaki.

Kolejnego dnia wypłynęła na poszukiwanie śmiałka. Dostrzegła go nad brzegiem morza. Mężczyzna był wysoki i przystojny. Nie przeląkł się pięknej pani ubranej w suknię z bursztynowych płytek, z koroną na czole. Nie pokłonił się jej, ale podał dłoń, gdy wysiadała z łodzi.

Nie zdążyli się nawet do siebie odezwać. Dola Juraty i dola młodego rybaka splótły swoje nici, gdy tylko ich dłonie się zetknęły. Zakochali się

w sobie bez pamięci, nie bacząc na bogów.

Od tamtej pory królowa każdej nocy porzucała służbę morskim falom i wypływała na brzeg, by spotkać się z rybakiem.

On przestał łowić, bo nie chciał już krzywdzić jej poddanych. Niestety, Jurata zaczęła zaniedbywać wody Bałtyku. Boginki i wodnicy tęsknili za nią, ale pilnowali sekretu swojej pani.

Jedynie Gosk nie mógł jej wybaczyć. Był zazdrosny o człowieka, który skradł mu królową. Wezwał bogów, by pomścili jego krzywdę. Ci jednak odpowiedzieli mu, że nie mogą zmienić doli królowej i nie potrafią zmusić jej, by przestała kochać.

Wtedy chłopak postanowił się zemścić. Jego serce stało się ciemne i zimne jak morskie głębiny. Pewnej nocy, gdy Jurata uciekła na brzeg, by spotkać swojego kochanka, Gosk zakradł się do piwnic jej pałacu. Wyrwał łuskę z ogona potwora morskiego i zerwał łańcuch, który go wiązał z dnem.

Zaślepiiony bólem szalińc rozpętał najstraszniejszy sztorm, jaki widział świat. Bałtyk wylewał się ze swoich brzegów. Usiłował pochwycić w swoje fale księżyc i utopić boga. Ryby i inne morskie stworzenia zostały wyrzucone na brzeg na pewną śmierć.

Jurata spędzająca noc z ukochanym nie zauważyła, że stało się coś złego.

Nad ranem do małej chaty nad morskim brzegiem zawitali bogowie. Złość wykrzywiła ich oblicza. Nie mogli zrozumieć, dlaczego Jurata tak haniebnie zaniedbała swoje obowiązki. Z jej winy zginęło wiele morskich istot.

Młody rybak zasłonił ukochaną. Wyciągnął sztylet w stronę bogów. Obrażeni śmiałością człowieka bogowie nie okazali mu łaski. Świętowit zamienił śmiałka w piasek.

Jurata rzuciła mu się na pomoc. Usiłowała złapać mężczyznę, jednak on przesypał jej się przez palce. Został po nim tylko sztylet.

– Czemu to zrobiliście? Czyż nie służyłam wam wiernie przez te lata?! – zawołała, szlochając.

– Nie zwolniliśmy cię ze służby. Dla człowieka porzuciłaś Bałtyk i istoty, które powierzono twojej opiece. Od tej pory nie opuścisz więcej swojego pałacu i nie zaniedbasz więcej obowiązków – oznajmili jej twardo.

Przenieśli ją na dno Bałtyku, do bursztynowego pałacu. Tam przykuli ją łańcuchem do tronu. Przepędzili morskie boginki, do towarzystwa zostawili jej jedynie potwora morskiego przykutego jak ona.

Od tamtej pory Jurata mieszka samotnie na dnie morza. Codziennie płacze za miłością swojego życia, a jej łzy pod postacią bursztynów są wyrzucane na brzeg.

Wytarłam twarz. Po moich policzkach płynęły łzy, co prawda nie bursztynowe, ale słone jak Bałtyk. Smutna historia bardzo mną wstrząsnęła. Okrutne zachowanie bogów w ogóle mnie nie zaskoczyło. Nie spodziewałam się po nich niczego innego. Było mi za to strasznie żal Juraty, która po prostu się zakochała.

Szkoda, że bogowie nie umieli tego uszanować.

– To historia Juraty – wyszeptała Sława.

Wciąż obracała w dłoniach sztylet. Bursztynowa rękojeść błyszczała w płomieniach. Miałam wrażenie, że zaraz rozplynie się niczym miód i uwolni osę.

– A sztylet? Czy to jest ten sztylet, za pomocą którego chciał ją obronić rybak? – zapytałam.

– Tak, to on.

– Skąd w głowni bursztyn? Był już wcześniej?

– Legenda kończy się w momencie, gdy Juratę związane na zawsze z morskim dnem. Jednak to nie jest koniec jej historii...

Na ustach mojej przyjaciółki wreszcie pojawił się delikatny uśmiech. Bardzo złowieszczy uśmiech.

– Jurata była córką księżycy i morskiej piany, ale była także kobietą – powiedziała. – Jak każda kobieta umiała kochać, ale potrafiła także nienawidzić.

– Opowiedz mi, co się z nią stało dalej – poprosiłam.

– Ta historia już nie jest miła i romantyczna – zaznaczyła.

– Opowiedz.

Jurata trwała w żałobie po ukochanym przez kolejne lata. W tym czasie na Bałtyku nie rozpętał się żaden sztorm. Szalińc siedział przy tronie swojej pani i dotrzymywał jej towarzystwa, ale nie potrafił jej pocieszyć. Każdego

dnia królowa wylewała wiele bursztynowych łez. Morskie fale wyrzucały je na brzeg.

W końcu łzy Juraty powoli przestały płynąć. Potok łez wysechł na tyle, że każdego dnia roniła tylko jedną bursztynową łzę.

Płakała coraz mniej i coraz bardziej stawała się wyciszona. Morskie tonie zaczęły zamarzać na zimę, łącząc przeciwległe brzegi lodowymi mostami. Bałtyk smucił się razem ze swoją królową.

Jej serce miało już nigdy nie poczuć miłości. Rodzanice zdradziły jej, że dola, którą jej ofiarowały, miała zapewnić jej samotną wieczność na morskim dnie. Straciła całą nadzieję.

Pewnego dnia do jej pałacu przybył Gosk. Pyszałkowaty chłopak myślał, że spragniona towarzystwa królowa zaproponuje mu, by pojął ją za żonę i razem z nią rządził wodami Bałtyku.

Ona jednak nie chciała go widzieć. Przychodził każdego dnia, nie dając Juracie spokoju. Postanowiła dać mu zadanie, którego nie będzie mógł wykonać.

– Przynieś mi prezent – zażądała. – Wtedy przyjmę twe oświadczyzny.

– Czego najbardziej na świecie pragnie twoje serce, moja królowo? – zapytał.

Nie mogła mu jednak zdradzić prawdziwego pragnienia swojego serca, bo Gosk nie był w stanie ożywić rybaka.

– Przyrowadź mi królową, która tak jak ja była niegdyś wolna, ale potem zamknięto ją w jej pałacu – poprosiła. – Tylko ona będzie dla mnie godną towarzyszką.

Jurata nie spodziewała się, że Gosk wykona zadanie. Myślała, że jeśli uda mu się znaleźć uwięzioną królową, to nie będzie potrafił jej uwolnić i skłonić do podróży na dno Bałtyku.

Jednak młodzieniec nie ustawał w trudach. Zjeździł cały ludzki świat, by odnaleźć uwięzioną królową. W końcu mu się to udało.

Gdy minął kolejny rok Gosk stanął naprzeciwko tronu Juraty.

– Przywiozłem ci prezent – powiedział do niej.

Jurata się przestraszyła. Nie spodziewała się, że Gosk dotrzyma danego jej słowa. Morski chłopak podszedł do niej z zaciśniętą pięścią. Gdy ją otworzył Jurata zobaczyła na jego dłoni osę.

– To królowa os – powiedział. – Była niegdyś wolna, ale gdy założyła gniazdo, swój pałac, została uwięziona w środku.

– Jest martwa. – Królowa położyła małe ciało na swej dłoni.

– Nie przetrwała podróży przez morską toń, moja królowo – powiedział Gosk. – Czy oddasz mi teraz swoją rękę i zostanę królem?

Jurata zapłakała bursztynowymi łzami za królową os, którą zabił morski chłopak. Chwyliła sztylet, jedyną pamiątkę po rybaku, i wbiła go sobie w pierś. Wycięła swoje serce. Było z płynnego bursztynu, który powoli zaczął zastygać. Wsadziła w bursztyn królową os. A następnie umieściła swoje serce na rękojeści sztyletu rybaka.

Serce Juraty skamieniało, na zawsze łącząc się z bronią.

– Za odebrane życie rybaka oraz za odebrane życie królowej os przeklinam cię, Gosku – powiedziała i wbiła sztylet w jego pierś.

Gosk zginął, choć poza bogami, którzy go stworzyli, nikt nie mógł przerwać jego doli.

Jurata oddała sztylet potworowi morskemu, by ten wyrzucił go w najgłębsze morskie tonie. Bała się, że jej gniew i skamieniałe serce pozwoliłyby jej zabić bogów, co spowodowałoby zagładę na cały świat.

Od tamtej pory Jurata siedzi na tronie w swoim bursztynowym pałacu. Jednak już nie płacze za miłością swojego życia.

Nie płacze, odkąd jej serce skamieniało.

22.

Krótko po opowiedzeniu mi tragicznej historii morskiej boginki Sława uciekła, zasłaniając się jakimiś ważnymi sprawami. Podejrzewam, że pobiegła do Świętowita złożyć mu raport, ale nie mam o to pretensji. Jeśli bogowie potrafią być tak okrutni, jak wynika to z legendy o Juracie, lepiej, żeby wypełniała karnie zlecone zadanie.

Gdy Mieszko wrócił wieczorem z poszukiwań spaleńca, powtórzyłam mu opowieść o boginie o bursztynowych oczach. Jeszcze raz wspólnie obejrzelśmy sztylet. Nadal budził moją niechęć, ale teraz również żal. Współczułam biednej Juracie, której serce skamieniało.

– Jak myślisz? Ona ciągle tam jest? Na dnie Bałtyku? – zapytałam ze zgrozą.

– Pewnie tak. Czemu miałyby jej tam nie być?

– Bo ja wiem... przecież teraz są sonary, satelity, łodzie podwodne... Nikt jeszcze nie znalazł bursztynowego pałacu? Przecież Bałtyk wcale nie jest taki głęboki – powiedziałam.

– Upirów też jakoś w wiadomościach nie pokazują, a przecież istnieją – skwitował pragmatycznie.

Pokiwałam głową i uniosłam sztylet do światła. Miałam wrażenie, że osa porusza swoimi cienkimi skrzydełkami.

– Człowiek, który ma serce z kamienia, może zadać ostatni cios. Czerni, odbicie bieli, na zawsze pozostanie czernią, nie oświetli jej najsilniejszy płomień. Serca z kamienia nie zdoła ogrzać największy żar. – Powtórzyłam zagadkę, którą przekazał mi Dadźbóg.

Teraz już wiedzieliśmy, o co chodziło w części o sercu z kamienia. Niestety nie mieliśmy żadnego pomysłu, co dalej.

– Nie rozumiem tej zagadki. Nie da się jej rozwiązać. – Zniechęcona odłożyłam sztylet na miejsce.

– To zagadka. Musi mieć rozwiązanie – odpowiedział, wchodząc po schodach na piętro domu.

Patrząc na swoje odbicie w szybie kominka, pokazałam mu język. „Musi mieć rozwiązanie”. Oczywiście, że je ma. Szkoda tylko, że ja jestem za głupia, żeby na nie wpaść.

– Nigdzie nie znalazłem śladu spaleńca – powiedział zmęczony Mieszko, rozbierając się w sypialni.

Spędził cały dzień w siodle. Nix był tym zachwycony, ale pośladki Mieszka, które odwykły od jazdy konnej, trochę mniej.

– Sława nie wie, gdzie on jest – oznajmiłam. – Za to przekazała mi kilka dość nieciekawych informacji na temat upira.

Mruknął coś w odpowiedzi i zwałił się do łóżka.

– Jak myślisz, o co chodzi w tej zagadce? – zapytałam jeszcze raz.

Jednak on nie odpowiedział, bo już usnął. Tyle pożytku z tego chłopca.

Następnego dnia spał jeszcze, kiedy zeszłam na parter przygotować śniadanie. Miałam nadzieję, że usiądziemy razem przy stole i zrobimy małą burzę mózgów. Wrzuciłam cebulę na patelnię. Ledwie widziałam przez załzawione oczy. Niczym ślepiec dobrnęłam do okna i otworzyłam je szeroko. Mroźny powiew od razu mnie orzeźwił. Przetarłam twarz papierowym ręcznikiem kuchennym.

Na dworze padał śnieg. Uśmiechnęłam się do siebie. Lubię zimę. Cienka warstwa białego puchu pokrywała cały ogródek Mieszka.

Nagle uśmiech zamarł mi na ustach. Tuż obok ogołoczonej z liści gruszy stała kobieta. Jeszcze raz przetarłam oczy.

– Mokosz – szepnęłam.

Była wychudzona. Szara sukienka wisiała na niej smętnie, materiał był poszarpany i brudny, jakby dopiero co wytarzała się gdzieś w jakimś rowie. Włosy w tłustych strąkach opadały jej sztywno dookoła zapadniętej twarzy. Kiedy jej usta wykrzywiły się w imitacji uśmiechu, po plecach przebiegł mi dreszcz.

Trzymała w ramionach zawiniątko. Kształtem przypominało niemowlę zawinięte w gruby kocyk. Nie rozumiałam, dlaczego mi je pokazuje.

Wyswobodziła jedną rękę, a dziecko przytuliła do piersi. Pomachała mi. Coś powiedziała, ale nie potrafiłam odczytać słów z ruchu jej warg.

Ze ściskanego przez nią tobołka zaczął wydobywać się dym.

Rozległ się dźwięk dzwonka do drzwi. O mało serce nie wyskoczyło mi z piersi. Odruchowo odwróciłam się i spojrzałam przez ramię, na korytarz prowadzący do holu. Gdy z powrotem odwróciłam się do okna, po drugiej stronie, dokładnie naprzeciwko mnie, wsadzając przez otwarte okno głowę,

stała Mokosz.

– Nie zmienisz doli – powiedziała bogini.

Odskokczyłam przestraszona. Poślizgnęłam się, puchaty kapeć spadł mi ze stopy, a ja uderzyłam ciężko pośladkami o podłogę. Zęby mi zadzwoniły, a przed oczami zobaczyłam gwiazdy. Mokosz zniknęła.

Zerwałam się na równe nogi i wystawiłam głowę przez okno. Na drewnianych deskach ganku zobaczyłam tylko odcisnięte dwie mokre plamy, układające się w kształt stóp.

Dzwonek do drzwi ponownie zadzwonił. Tym razem znacznie dłużej. Pobiełam do holu. Nie łudziłam się, że zdążę otworzyć, zanim Mieszko się obudzi.

Owinęłam się szczelnie szlafrokiem i pobiegłam zobaczyć, kto się tak rano do nas dobija. Za plecami ukryłam dłoń z nożem kuchennym, który zdążyłam złapać. Mocno zacisnęłam palce na trzonku, gotowa w każdej chwili zaatakować.

Szarpnęłam za klamkę. Owionął mnie chłód październikowego poranka, a do domu wpadło kilka płatków śniegu.

Za progiem stał listonosz.

Opadło ze mnie całe napięcie. O mało nie roześmiałam się na głos, gdy zrozumiałam, że właśnie zaczęłam się z nożem na listonosza. Najzwyczajniejszego w świecie listonosza. Człowieka.

Mężczyzna po drugiej stronie drzwi uśmiechnął się do mnie uprzejmie. Granatowa czapka zsunęła mu się na czoło.

Nagle na schodach w domu rozległ się rumor. Spojrzeliśmy oboje w tamtą stronę. Mieszko, o mało nie łamiąc nóg, zbiegał na dół z szaleństwem w oczach. W lewej dłoni trzymał sztylet. Wszystko jeszcze byłoby do wytłumaczenia, gdyby nie to, że leciał nagusieńki, jak bogowie go stworzyli.

Listonoszowi o mało oczy nie wyszły z orbit.

– Skarbie, dobrze, że jesteś. Leć do kuchni! Chyba przypalam jajecznicę!
– wykrzyknęłam szybko.

Przymknęłam drzwi i posłałam biednemu listonoszowi najbardziej przymilny uśmiech, na jaki było mnie stać. „Nic się nie stało! Nic nie widziałeś! Nie ma niczego złego w nagich ludziach biegających z nożami po domu! To normalne!” – miałam na końcu języka, ale zamiast tego tylko zagaiłam:

– Słucham?

Odchrząknął zakłopotany i wyciągnął z torby białą kopertę. Płatki śniegu momentalnie zmoczyły papier.

– Mam przesyłkę do pana Mieszka... eee... Pierwszego – oznajmił. – Za pokwitowaniem.

– Mogę podpisać – zaproponowałam, przekładając za plecami nóż do lewej ręki.

– Jest do rąk własnych. Jest pani członkiem rodziny?

Oczywiście, że nie jestem, bo przecież nawet nie zaproponował mi swańby. Jestem z nim jedynie w ciąży, a to za mało, bym mogła odebrać jego list polecony.

– Już go wołam – odparłam, a mój uśmiech z uprzejmego stał się wyjątkowo wymuszony.

Przymknęłam drzwi i ryknęłam:

– Mieszko! Przesyłka do ciebie! Musisz pokwitować odbiór! Ja nie mogę, bo nie jestem twoją rodziną!

Mój mężczyzna wysunął się z kuchni w przewiązanym w pasie lichym fartuszku. Moim fartuszku. Kupiłam go, bo zawsze pryskam sobie tłuszczem po bluzce podczas smażenia albo coś rozlewam. Materiał był w delikatne kwiatuszki, na dole fartuszek ozdabiała czerwona falbanka, a na środku miał kieszonkę z napisem: „Pani Domu”. Z przodu ledwie sięgał mu do połowy ud.

Mieszko stanął naprzeciwko listonosza, a ja wycofałam się do kuchni. Zerknęłam jeszcze na jego pośladki, których nie skrywał z tyłu materiał.

– Pani chyba chciałaby zostać rodziną – usłyszałam teatralny szept listonosza.

Cebula zmieniła kolor na czarny i przywarła na zawsze do patelni. Zdjęłam ją z płyty grzewczej i wsadziłam do zlewu.

Jako że nie mieliśmy już więcej patelni, próbę usmażenia jajecznicy i przypodobania się swojemu mężczyźnie uznałam za zakończoną.

– Dzisiaj kanapki – powiedziałam, kiedy Mieszko wrócił do kuchni. – Jak myślisz, czy listonosz teraz wszystkim opowie, że jesteśmy nienormalni, bo biegamy na golasa po domu z nożami?

Mruknął coś, czytając list, który wyciągnął z koperty. Ledwo mi odpowiedział.

– Co to? Co dostałeś? – zapytałam zaciekawiona.

Powiedzmy sobie jasno – Mieszko nie dostaje poczty. Mieszko do tej pory nawet nie miał stałego miejsca zamieszkania. Tak do końca nie byłam

nawet pewna, czy ma jakieś dokumenty tożsamości.

A co gorsza, jeśli takowych nie posiada, to w jaki sposób my weźmiemy swaćbę? Miałam nadzieję, że to nie jest powód, dla którego jeszcze mi się nie oświadczył.

– To wezwanie... – odparł.

– Wezwanie? Gdzie?

– Do Gniezna. Mam się tam stawić w ciągu pięciu dni od dostarczenia do mnie tego pisma.

Zamrugalam zaskoczona.

– Ale czemu?

– Bo Jaga najwyraźniej poinformowała ich, że praktycznie skończyłem nauki u Mszczuja. Chcą, żebym przyjechał i podpisał dokumenty, zgodnie z którymi dostanę możliwość służby kapłańskiej...

– Słucham?

Nie, Jaga by tego nie zrobiła. A może jednak? Przecież zależało jej, żeby ktoś czuwał nad tegorocznymi Dziadami. Mnie nie udało się namówić Mieszka do chociażby grzecznościowej pomocy przy organizacji uroczystości. Najwyraźniej Jaga postanowiła wyciągnąć cięższą artylerię.

Rozłoszczony rzucił pismo na blat. Podszedł do okna i wyjrzał na zabałaganione podwórze. Mamrocząc coś pod nosem, podparł się pod boki. Fartuszek podjechał jeszcze wyżej. Nasi sąsiedzi, gdyby tacy byli, mieliby teraz bardzo ciekawy widok.

Sięgnęłam po urzędowy papier i szybko przebiegłam wzrokiem cały tekst. Było w nim mnóstwo paragrafów, artykułów i odwołań do przepisów, których i tak nikt nie zna. Niewiele zrozumiałam. Jednak bez większego problemu zlokalizowałam słowa, które chyba najbardziej wzburzyły mojego Mieszka. Na samym końcu pisma było napisane: „W razie niestawienia się wyżej wymienionego w ustalonym terminie w Urzędzie Kapłańskim w Gnieźnie wyżej wymieniony zostanie zatrzymany przez służby porządkowe i doprowadzony do Urzędu Kapłańskiego w Gnieźnie pod groźbą aresztu na czas określony...”. Nie wyglądało to dobrze.

– Przecież nie mogą cię zmusić – parsknęłam, odkładając pismo. – Nie można nikogo zmusić, by został kapłanem. To niedorzeczne.

– Ale muszę tam pojechać.

Jego ramiona opadły, zupełnie jakby opuścił go wojowniczy duch.

– Co? Nie możesz nigdzie jechać! Przecież polujemy na spaleńca!

Podeszłam do niego. Mieszko odwrócił się do mnie i położył dłonie na moich ramionach.

– Nie mam wyboru. Jeśli nie pojedę do Gniezna, żeby wytłumaczyć im, że się mylą, to wyślą po mnie ludzi, a wtedy szybko nie wrócę. Jeśli uda mi się wszystko załatwić, powinienem wrócić w dwa dni.

– A spalenie? – spanikowałam.

– Jedź ze mną – zaproponował. – Ze mną będziesz bezpieczna.

Pokręciłam głową. Przecież nie mogę zostawić Baby Jagi samej. A co, jeśli coś by się jej stało?

– Chyba powinnam tu zostać na wypadek, gdyby spalenie się pojawił.

– Właśnie z tego powodu powinnaś jechać ze mną. Nie dasz sobie z nim rady.

– Mogę głośno krzyczeć i uciekać.

– Doskonały plan. Ale nie nazwałbym tego radzeniem sobie. Jedź ze mną.

Pokręciłam głową. Nie wiem, dlaczego bałam się stąd wyjechać. Przecież to wydawało się najbardziej logiczne. Uciec od tego wszystkiego, od Swarocyca, od lasu, od Witka.

– Mam wrażenie, że powinnam tu zostać. – Pokręciłam z uporem głową.

– Coś mi mówi, że powinnam zostać.

Mieszko zacisnął mocno szczęki, a mięsień na jego policzku zadrgał. Spojrzał gdzieś ponad moim ramieniem i powoli pokiwał głową do własnych myśli.

– Idę pod prysznic – oznajmił. – Potem od razu jadę. Postaram się wrócić jutro.

Ściągnął fartuszek i rzucił go na blat wyspy kuchennej. Nic więcej nie powiedział, nawet na mnie nie spojrział.

Obraził się?

Nie zamierzałam się dłużej nad tym zastanawiać. Pobiełam szybko do holu, założyłam buty i narzuciłam na szlafrok kurtkę. Na ganku nie było już mokrych odcisków. Zeszłam na podwórko. Biała połać śniegu była nienaruszona. Nie mogłam znaleźć żadnego śladu po bogini.

– Jaka dola? – mruknęłam do siebie pod nosem.

Nie wiem, czego ona ode mnie chce. Czemu mi się po prostu nie ukáže i ze mną nie porozmawia. To całe czajenie się, rzucanie uwag półsłówkami jest nie na moje nerwy.

Na śniegu nie było odcisków jej stóp. Powoli zaczęłam podejrzewać się

o szaleństwo. Kiedy już prawie zdołałam się przekonać, że tylko mi się wydawało, że ją widziałam, podeszłam do gruszy. Obok smukłego pnia znajdowały się dwa owalne zagłębienia, w których rosły przebiśniegi.

23.

Nie wrócił następnego dnia ani nazajutrz. Mijał trzeci dzień, a on wciąż tkwił w Gnieźnie, starając się odkręcić całą sytuację. Z tego, co powiedział mi przez telefon, wynikało, że ganił go od jednego okienka do drugiego, wciąż musiał zdobywać czyjeś podpisy i nowe zaświadczenia. Urząd Kapłański okazał się niesamowicie przyziemnie zbiurokratyzowany jak na jednostkę zajmującą się duchowością.

Wszystko pewnie udałoby się bardzo łatwo wytłumaczyć, gdyby nie fakt, że Mszczuj przed Nocą Kupały wysłał do nich dokumenty poświadczające, że Mieszko ukończył u niego nauki.

Żadne z nas nie miało zielonego pojęcia, dlaczego to zrobił. Nigdy nie był zorganizowany, a tym bardziej uporządkowany. W życiu nie pamiętałby o konieczności wysłania papierów! Gdyby nie to, że kapłani nie płacą podatków, to zapewne i tego przez całe życie by nie robił. Ba! On nawet sam by nie wypełnił druczku na poczcie. Wiem, że umiał pisać. Tylko że odkąd rozstał się z Jagą, wszelkie przyziemne sprawy przestały go interesować.

Zrobienie czegoś z własnej inicjatywy zupełnie do niego nie pasowało.

Oprócz dokumentów poświadczających odbyte szkolenie Mszczuj napisał także list polecający kandydaturę Mieszka na kapłana i opiekuna bielińskiej społeczności. Naprawdę nie wiem, co mu strzeliło do głowy. Musiał mieć jakiś nowy przebłysk w swoim pijackim szale.

Nie było drugiej osoby, która tak słabo nadawała się na bogobojnego kapłana co Mieszko. On nie lubi bogów. Nie szanuje ich, nie wielbi. W jaki sposób miałby być przykładowym kapłanem? Poza tym irytują go wróżby. Nawet nie potrafię sobie wyobrazić Mieszka grzebiącego się w kurzych wnętrznościach. W ludzkich, bo właśnie kogoś zarznął w bitwie – owszem, umiem go zwizualizować. Ale w kurzych, zmyślającego, że rzekomo widzi tam przeszłość? W żadnym razie.

Czas gonił, a on utknął w Gnieźnie. Za dziesięć dni Dziady. Nie było mowy, żeby w tak krótkim czasie znaleźli kogoś na jego miejsce. Było niemalże pewne, że zmuszą go do przeprowadzenia tej ceremonii, a w najgorszym razie nawet do przyjęcia ślubów kapłańskich. Specjalnie

wszystko przedłużali, żeby nie było innej możliwości. Mimo to Mieszko nie przestawał się kłócić. Powiedział mi przez telefon, że próbował już wszystkiego, ale na urzędników nie działały ani prośby, ani groźby. Nawet łapówki. Postanowili sobie, że będzie nowym bielińskim wróżem, i już. On najwyraźniej nie miał w tej kwestii nic do powiedzenia.

Mimo to nadal nie potrafiłam sobie wyobrazić, w jaki sposób zmuszą go do wypowiedzenia na głos słów przysięgi czy też do podpisania się na dokumentach. Przecież nie przystawią mu pistoletu do głowy. A nawet jeśli to zrobili, to przecież nie robi to na nim żadnego wrażenia.

Obiecał mi, że wróci lada dzień, a ja zapewniłam go, że mam się świetnie i niczego mi nie brakuje. Słowem się nawet nie zająknęłam o trwającej od poprzedniego dnia nowej obsesji Jarogniewy.

Wczoraj wybrałam się do sklepu w Bielinach. Na piechotę oczywiście, bo zabrał samochód, a ja boję się jeździć konno. Mogę wypuścić Nixa ze stajni na łąkę, a potem go tam zagonić, ale w żadnym razie nie zamierzam dosiadać tego konia wielkości porządnego traktora.

Sklepiarka na mój widok się rozpląkała i zaczęła przepraszać. Gdy udało mi się już wydostać z niej jakieś wyjaśnienia, powiedziała, że była u niej ruda dziennikarka i pod pretekstem swobodnej rozmowy wyciągnęła kilka plotek.

Oczywiście pani ze sklepu spożywczego wiedziała o wszystkim, co się dzieje w Bielinach: kto z kim jest spowinowacony, kto pokłócony, a nawet jakie oceny w szkole mają dzieci wszystkich mieszkańców. Jak to w takiej miejscinie. Wystarczy iść do sklepu, żeby wysłuchać najnowszych plotek.

Niestety przez gadulstwo sklepowej w najnowszym wydaniu szmatławca, w którym pracuje ta dziennikarka, ukazał się artykuł o Babie Jadze oraz o jej sposobach na leczenie typowych dolegliwości. Dziennikarka oczerniła Jarogniewę. Dość jasno sugerowała w tekście, iż ta jest szarlatanką, która oszukuje ludzi, sprzedając im magiczne kamienie, stary ser albo substancje zakazane w Królestwie, wytwarzane ze zwierząt i roślin będących pod ochroną.

Sprzedawczyni była załamana. Ubzdurała sobie, że przez to, że opowiedziała dziennikarce plotki, szeptucha będzie się teraz mściła na niej i na jej rodzinie. Minęła dobra godzina, zanim udało mi się ją uspokoić.

Jak można się spodziewać, Jaga nie zareagowała zbyt dobrze na treść artykułu. Kupiłam gazetę, żeby jej go pokazać. Wolałam, żeby dowiedziała się ode mnie, a nie dopiero wtedy, gdy zorientuje się, że ludzie gadają za

jej plecami.

Nie podejrzewam, żeby nagle mieszkańcy Bielin pojawili się pod jej drzwiami z widłami i zapalonymi pochodniami oburzeni, że oszukiwała ich przez ostatnie lata, ale lepiej, żeby wiedziała, że ktoś jej psuje opinię.

Gdy przeczytała cały tekst, wymamrotała pod nosem coś brzmiącego jak: „Już ja jej pokażę magiczne kamienie”, a potem poszła do swojej chaty, zamknęła się na cztery spusty i zaczęła warzyć jakieś podejrzane specyfiki.

Trochę mi żal tej dziennikarki. W najlepszym razie dostanie parchów na tyłku.

Wyjrzałam przez okno. W domach sąsiadów powoli gasły światła, ludzie kładli się spać. Mimo to w chacie Jagi wciąż było jasno. Kiedy kilka godzin temu dobieżałam się do jej drzwi, nie chciała mi powiedzieć, co robi. Stwierdziła, że będzie się bawić ziołami, które szkodzą ciężarnym. Często ostatnio stosowała tę wymówkę, jeśli chciała się mnie pozbyć... Potem kazała mi wracać do domu i więcej jej nie przeszkadzać.

Na czas nieobecności Mieszka przeprowadziłam się do niej. To była kolejna rzecz, o której mu nie powiedziałam, żeby się nie martwił. Trochę bałam się zostawać sama. Nasz dom był pełen dźwięków, które mnie przerażały. Gdybym chociaż miała psa albo kota, do którego mogłabym gadać pod jego nieobecność. A przecież nie będę siedziała cały dzień w stajni ani nie zaproszę Nixa do kuchni.

Nie chciałam mówić o tym wszystkim Mieszkowi, bo jeszcze by tu wrócił, zamiast doprowadzić wszystkie urzędowe formalności do końca. W związku z tym spakowałam manatki, napisałam liścik, że jestem u Jagi, zabrałam sztylet Swarożyca i przeprowadziłam się do pokoju na jej poddaszu.

Ucieszyła się, naprawdę!

Z kolei ja już po pierwszym dniu pobytu u niej w domu, kiedy średnio co dwie godziny proponowała mi coś do zjedzenia albo do picia, bo przecież teraz jem za dwoje, zaczęłam mieć delikatne wątpliwości, czy to aby na pewno był dobry pomysł. Jednak teraz nie mogłam się wyprowadzić, byłoby jej przykro. Zrobię to dopiero, jak Mieszko wróci.

Usiadłam na łóżku i spojrzałam na komórkę. Nie było na niej żadnych wiadomości. Spodziewanie się po nim czułych esemesów jest zupełnie pozbawione sensu, bo on takich rzeczy przecież nie robi. A raczej nie umie. Nauczył się już dzwonić – to naprawdę wielki postęp jak dla kogoś tak opóźnionego technologicznie. Na esemesy muszę chyba jeszcze poczekać ze

dwa lata. Kto go wie? Może potem Mieszko zdoła nawet opanować posługiwanie się komputerem.

Wyznał mi, że konto bankowe ma tylko dlatego, że pani w banku podpowiada mu zawsze, co ma robić, bo on tego nie rozumie i go to nie obchodzi. Zdecydowanie muszę ogarnąć jego finanse. Podejrzewam, że większość swojego majątku ma zakopaną pod jakimś drzewem, bo tak jest bezpieczniej. Bogowie... mam chociaż nadzieję, że to drzewo jest gdzieś na terenie tej posesji.

Podniosłam poduszkę i spojrzałam na zawinięty w starą podkoszulkę sztylet z bursztynem i zeszyt z przepisami babci Jagi. Moje dwa największe skarby.

– Widzę, że trzymasz go blisko siebie. Dobrze.

Podskoczyłam jak oparzona. Przy drzwiach do pokoju stał wysoki mężczyzna. Tonął w cieniach, jego kontury zamazywały się, wydawały się płynne. Miałam wrażenie, że wiem, jak jest wysoki albo szeroki w ramionach, ale ta pewność zaraz zniknęła, gdy tylko cienie się przesunęły. Nad jego rudawą brodą lśniły oczy. Gardło mi się zacisnęło. Nie wyglądały jak oczy spaleńca. Przypominały raczej rozżarzone węgle. Tylko one się nie poruszały i były bardzo wyraźne. Poza tym miał białkówkę dookoła tęczówek.

– To nie stodoła, wypada zapukać – wycedziłam, łapiąc za sztylet.

Zaczęłam go odwijać z podkoszulki. Bursztyn błysnął żółto w świetle nocnej lampki. Zakłęłam pod nosem na ciemności panujące w pokoju. Bezwonny dym otaczający postać przy drzwiach nie pomógł. Miałam wrażenie, że przesłania światło, które dawała żarówka.

– Unosisz na mnie mój własny sztylet? – zapytał.

W jego głosie nie było złości. Raczej uprzejme zaciekawienie.

Powstrzymując obrzydzenie, złapałam za rękojeść upstrzoną plamkami krwi. Sztylet zadziwiająco dobrze leżał w dłoni. Nie był za ciężki ani zbyt toporny. Bursztyn błysnął miodowym światłem. Oniemiała wpatrywałam się w zatopioną w żywicy osę. Przysięgłabym, że poruszyła skrzydłami!

Z kamienia zaczęło wydobywać się bardzo delikatne, pulsujące światło. Przełknęłam ślinę zbyt oszołomiona, żeby cokolwiek powiedzieć. Dotknęłam bursztynu, żeby sprawdzić, czy będzie ciepły niczym zapalona żarówka. Na szczęście nie był.

Lecz pulsowanie przypominało bicie serca.

Odwróciłam się w stronę boga. Jego oczy błyszczały, usta rozciągnęły się

w zadowolonym uśmiešku.

– Lubi cię – szepnął.

– To nie jest twój sztylet. To sztylet Juraty – powiedziałam.

Zaśmiał się nieprzyjemnie. Aż złapał się za nagi brzuch, żeby pokazać mi, jak bardzo ubawiła go moja uwaga. Dym zawirował na podłodze.

Powoli zaczęłam się rozluźniać. Najważniejsze, że wreszcie się pojawił. Tak mocno się tego obawiałam, ale także tak bardzo nie mogłam się tego doczekać, bo wreszcie chciałam mieć tę rozmowę za sobą. Miałam dość czekania, aż mnie odwiedzi i wypowie imię przyszłej ofiary – to mnie powoli zabijało i odbierało resztki zdrowych zmysłów.

Teraz wreszcie to nastąpi. A ja odzyskam święty spokój.

Opuściłam rękę ze sztyletem i wstałam z łóżka, żeby nie pomyślał, że ze strachu przed nim chowam się pod kołdrą.

– Więc ktoś opowiedział ci legendę sztyletu – zauważył. – Pewnie jakaś zaprzyjaźniona boginka... niech zgadnę... może rusałka?

Przestraszyłam się. Już raz wziął na celownik Sławę.

– Skąd go masz? – zapytałam, usiłując przekierować rozmowę na inne tory. – Jak wydobyłeś go z dna morza?

– Jestem bogiem. Nie potrzebowałem do tego łodzi podwodnej. Wystarczyła mi jedna chętna syrena.

Zbałamucił jakąś biedną Arielkę i się cieszy. Zboczeniec jeden.

– Swarożycu, przestań ukrywać się w cieniu. Skoro mnie odwiedziłeś, to nieładnie się chować – pouczyłam go. – Poza tym następnym razem zapukaj, zanim wejdiesz do mojej sypialni. Nie znamy się aż tak dobrze...

Uśmiech na jego ustach delikatnie przygasł – w przeciwieństwie do oczu, które błysnęły ogniem. Poczułam satysfakcję, że popsulałam mu trochę humor. On psuł mój notorycznie. Należało mu się.

Jego sylwetka stała się wyraźniejsza. Dym rozwiął się, ukazując mi jego nagi tors. Na szczęście założył spodnie, po nim przecież wszystkiego można by się spodziewać. Stopy miał bose.

Wyglądał bardzo podobnie do Dadźboga. Spokojnie można było stwierdzić, że byli identyczni. A jednak nie miałam już wątpliwości, że wtedy odwiedził mnie bóg słońca. Otaczała go zupełnie inna aura, nastrój... nawet nie potrafiłam tego określić. Przy Dadźbogiem się nie bałam. Z kolei Swarożyc sprawiał, że mój żołądek skręcał się z niepokoju. Nawet wtedy, gdy swarny bóg stawał się przymilny. Teraz, gdy mogłam spojrzeć mu w oczy, byłam już stuprocentowo pewna, że poprzednio rozmawiałam

z bogiem słońca.

Obecność Swarożycy czułam pod skórą. Swędziały mnie blizny, które mi zostawił, a serce samo przyspieszało rytm.

– Tak bardzo jesteś spragniona widoku mężczyzny? – zapytał.

Nie ruszył się z miejsca, jedynie przegnał dym, który teraz czał się w kątach pomieszczenia. Trwał przy drzwiach, zupełnie jakby wyczuwał granicę, której nie pozwolę mu przekroczyć. Jeśli chciał mnie sprowokować, to musi się bardziej postarać.

– Nie, po prostu nie zamierzam rozmawiać z tchórzem, który kryje się we mgle – odparłam.

Myślałam, że wybuchnie gniewem, ale on znowu się zaśmiał.

– Dałem ci czas. Chciałem, żebyś przemyślała naszą ostatnią rozmowę. Teraz tego żałuję. Chyba tęskniłem za twoim zatrutym językiem.

– Ja za tobą nie tęskniłam.

– Nie wierzę. Na pewno myślałaś o mnie codziennie.

Dobrze mnie wyczuł. Nie było dnia, żebym się nie zastanawiała, kiedy znowu się pojawi i czego tym razem będzie chciał. To czekanie w niepewności powoli mnie zabijało.

Nienawidzę czekać.

– Po co przyszedłeś? – zapytałam.

Podeszłam do niego. Moje bose stopy zatrzymały się naprzeciwko jego stóp. Ani drgnął. Za to sztylet zaczął wyczyniać jakieś dziwne rzeczy. Bursztyn pulsował coraz szybciej. Zupełnie jakby serce Juraty przyspieszyło gnane strachem. Czyżby coś się działo w jej podwodnym królestwie, co podniosło jej ciśnienie?

Znowu miałam wrażenie, że osa się poruszyła.

– Reaguje na bogów – wyjaśnił Swarożyc.

Uniosłam na niego nieprzytomne spojrzenie. Zamrugałam, jakbym budziła się ze snu. Nie byłam do końca pewna, ile czasu stałam przed nim i wpatrywałam się w pulsujące światło. Miało w sobie coś hipnotyzującego.

– Gdy zbliżysz się ze sztyletem do boga, bursztyn się ożywia – wyjaśnił. – Jurata zniechęciła nas wszystkich i przeklęła.

– Czy tym sztyletem można zabić boga?

Tak twierdziła Sława, ale przecież jeszcze nikt nigdy tego nie dokonał. Skąd pewność, że tak jest w istocie?

– Owszem.

Wyciągnął w moją stronę rękę. Uniósł dłonie do góry, żeby pokazać mi,

że nie ma złych zamiarów.

– Opuść go – poprosił.

Spojrzałam na swoją dłoń. Wycelowałam ostrze prosto w jego brzuch. Jedynie centymetry dzieliły jego nieprzyzwoicie wręcz umięśnione podbrzusze od czubka sztyletu. Nawet tego nie zauważyłam. Nie pamiętałam, żebym to zrobiła. Cofnęłam rękę i opuściłam ją wzdłuż ciała.

Czy ten sztylet usiłował przejąć nade mną kontrolę? Mógł robić takie rzeczy? Na wszystkich bogów!

– Nie bój się. Nie robi ci krzywdy – zapewnił mnie.

Oddychałam ciężko. Może i nie robi krzywdy człowiekowi, ale bogowie nie będą mieli takich skrupułów nawet wtedy, gdy rękę ze sztyletem uniosę zupełnie nieświadomie.

– Dałeś mi narzędzie, którym można zabić boga. Po co?

– Zgadnij.

– Chcesz, żebym zabiła boga? – wyjąkałam.

– Tak.

– Którego?

Przed oczami przeleciał mi, niczym na barwnej fotografii, cały panteon naszych bogów. Tak wielu ich było. Niektórzy ważni, inni znacznie mniej. Jednak każdy z nich miał swoje miejsce na świecie, za coś odpowiadał. Kogo chciał pozbawić wieczności? Z kim aż tak bardzo był skłócony?

– Przecież nie będę psuł całej zabawy. – Posłał mi wilczy uśmiech. – Dowiesz się we właściwym czasie. Zostaw sztylet i chodź ze mną. Coś ci pokażę.

– Wolę nie zostawiać sztyletu – zaprotestowałam.

Unióś brwi do góry w grymasie udawanego zdziwienia.

– Nie ufasz mi?

– Jak się domyśliłeś? – prychnęłam.

– W takim razie idź przodem.

– Też mi nie ufasz? – ucieszyłam się.

Nie odpowiedział. Zamiast tego wskazał dłonią na drzwi. Nie podobało mi się, że będę miała go za plecami, ale tak uradował mnie jego niepokój na widok sztyletu, że to dodało mi animuszu.

– Skoro nie przyszedłeś powiedzieć mi imienia tego, kogo chcesz się pozbyć, to po co tu jesteś? – zapytałam.

– Tęskniłem.

Prychnęłam rozzłoszczona.

– To dokąd mam iść?

Tak naprawdę nie musiał dawać mi żadnych instrukcji. Łatwo domyśliłam się, gdzie powinnam się udać, widząc otwarte drzwi do pokoju ze świecami. Do przedpokoju wdzierała się rozedrgana łuna ognia.

Nawet nie powinno mnie to dziwić. Przecież to idealne miejsce schadzek dla boga ognia.

Wszystkie świece były zapalone, a w powietrzu unosił się zapach wosku. Gdzieś zniknął kurz pokrywający podłogę. Zobaczyłam zatarty, jakby specjalnie przerwany krąg. Bogowie, mam nadzieję, że to tylko farba.

Stałam poza kręgiem. Tak na wszelki wypadek. Swarożyc zatrzymał się obok mnie i niemalże zetknęliśmy się ramionami. Musiałam zadrzeć głowę do góry, żeby spojrzeć na jego twarz. Uśmiechał się, podziwiając płonące świece. Wydawał mi się wyższy niż zwykle. Dym, który mu towarzyszył, umościł się w kątach pokoju oraz pod zakrzywionym dachem. Drzwi powoli się zamknęły.

Chyba robię się odważniejsza, bo dopiero teraz poczułam ukłucie niepokoju... Cóż, albo głupsza.

– Po co mnie tu przyprowadziłeś? Jeśli chciałeś mi pokazać ten pokój, to już go widziałam. Nic nowego.

– Chcę porozmawiać. Tutaj nikt nam nie przeszkodzi.

Biorąc pod uwagę, że jest zbereźnym bogiem, który lubi uwodzić swoje wyznawczynie, naprawdę zaczynałam czuć się nieswojo.

– Poznaję to spojrzenie. – Westchnął ciężko. – Nie rozumiem, dlaczego traktujesz mnie tak niesprawiedliwie.

Odszedł ode mnie i usiadł na podłodze. Poza kręgiem. Wskazał mi dłonią na podłogę, dokładnie naprzeciwko siebie. Za jego przykładem nie przekroczyłam kręgu.

– Usiądź – nakazał. – Dla ciebie się odsunąłem.

Usiadłam po turecku, jak on. Szarpnęłam za podkoszulkę, żeby zasłoniła majtki. Niestety, kiedy przylazł, byłam w piżamie, gotowa do snu. Miałam więc na sobie jedynie jedną z wielu moich przydużych podkoszulek i majtki. Tym razem nie założyłam skarpetek, bo nie chciałam zniszczyć kolejnych podczas wizji.

Poczułam się goła. Mam nadzieję, że nie było widać moich piersi. Na wszelki wypadek nie odgarnęłam długich włosów na plecy, pozwoliłam im zwieszać się niemalże do pępka. Swarożyc zawsze sprawiał, że czułam się niepewnie, a siedzenie w tym pokoju, w blasku świec, kiedy żadne z nas

nie miało na sobie pełnego ubrania, wydawało mi się wyjątkowo niestosowne.

Mieszko dostałby szau.

Położyłam ostrożnie sztylet na drewnianej podłodze. Metal zabrzączał, gdy zbyt szybko cofnęłam dłoń. Bursztyn ciągle pulsował delikatnym światłem. Jeśli to miał być jakiś nadprzyrodzony czujnik zbliżeniowy, to niestety migocące światelko psuło całkiem efekt zaskoczenia, nie mogłabym zaatakować zniemacka.

Swarożyc czujnie śledził każdy mój ruch. Gdy tylko położyłam dłonie na kolanach, z dala od broni, od razu tego pożałowałam, bo wyraźnie się rozluźnił. Ledwie powstrzymałam się przed ponownym chwyceniem sztyletu. Nie chciałam jednak dać mu tej satysfakcji, nie zamierzałam pozwolić, żeby myślał, że może mnie kontrolować strachem. Poza tym zdążę sięgnąć po sztylet, gdybym go potrzebowała. W każdym razie mam nadzieję, że zdążę.

– Gosiu, Gosiu... Razem stworzylibyśmy coś wielkiego. Widzę potencjał, który w tobie drzemie, widzę, czego mogłabyś dokonać z moją pomocą – powiedział i skrzywił się, jakby właśnie musiał przełknąć coś gorzkiego. – Ty jednak wolałaś tego człowieka.

– Miłość jest ślepa.

– Miłość to mit. Jest tylko pożądanie. A tego mam dla ciebie pod dostatkiem.

Zboczeniec. Wiedziałam od samego początku.

– Mam teraz inne rzeczy na głowie – odparłam szybko.

– Raczej w brzuchu niż na głowie – skwitował.

Cienie pod sufitem się pogłębiły. Nawet światło dziesiątek świec stało się ciemniejsze. Otaczający nas dym zawirował i zgęstniał. Poczułam zapach płonących, żywicznych drzew. Jeszcze chwila, a Swarożyc puści wszystko z dymem.

– A więc wiesz...? – zawiesiłam głos.

– Tak, widząca. Wiem, że jesteś brzemienna. Łączy nas specjalna więź, wiem o tobie wszystko – stwierdził z przekąsem. – Poczułem, gdy zakiełkowało w tobie życie.

Nie odezwałam się. Naprawdę miałam głupią nadzieję, że nie wiedział.

– Spokojnie. W żadnym razie nie raduje mnie twój stan, ale muszę przyjąć go do wiadomości – dodał uspokajającym tonem, gdy zobaczył wyraz mojej twarzy. – Wiem, że wy, ludzie, uwielbiacie płodzić potomków.

Czemu miałbym nie pomóc ci spełnić tego marzenia?

Pomóc mi? Miałam ochotę się roześmiać. Jeszcze chwila, a dopisze sobie moją ciężę do swojej listy zasług dla tego świata!

Objęłam brzuch rękami. Nie do końca mu wierzyłam. Swarożyc umie kłamać.

– Czemu zamieniłeś Witka w spaleńca? – zapytałam, starając się zmienić temat. Nie chciałam roztrząsać z nim tematu mojej ciąży. Bóg ognia lubi zmieniać zdanie, a ja wolałam zostać przy tym, że moja ciąża i dziecko mu nie przeszkadzają.

– Czy to nie oczywiste? – zdziwił się.

– Oświeć mnie.

Jak na zawołanie światło świec stało się jaśniejsze. Parsknęłam. Okej, czasami i jemu wychodzą żarciki.

Płomyki znowu miały normalne rozmiary.

– Dlaczego zamieniłeś go w upira? Co ci takiego zrobił?

– Dotknął cię.

– Słucham?

– Pożądał cię, marzył o tobie. Słyszałem jego modlitwy. Głupiec modlił się do mnie. Do mnie! Do boga ognia! – Z każdym kolejnym słowem jego głos robił się coraz twardszy. – Słyszałem wszystko, co szeptał nocami. Czułem namiętność rozpalającą jego łądzwie.

Spojrzenie Swarożycy spoczęło na moim brzuchu. Powoli zaczęłam składać wszystkie te rewelacje w jedną całość.

Bogowie... on myśli, że noszę pod sercem dziecko Witka? To dlatego go przemienił, dlatego powiedział mi wtedy, że kogoś mi za karę odbierze. Ale przecież nie kochałam się z Witkiem. Nie dotykaliśmy się w żaden specjalny sposób. Raz poszliśmy na koncert! Nie było w tym nic zdrożnego. Skąd mu to przyszło do głowy? Czyżby Witek sobie to wyobrażał, a Swarożyc uznał, że to musiało się wydarzyć naprawdę?

Odebrał mi Witka, choć wcale nie należał do mnie. Pomylił się.

Swarożyc mylnie zrozumiał szok, który musiał malować się na mojej twarzy.

– Nie mogłem zostawić go przy życiu. Wszystkie jego modlitwy do mnie to była potwarz. Brukał moje imię, prosząc, bym sprawił, żebyś go pokochała – wyjaśnił z nienawiścią. – Ale ja jestem miłosierny. Zostawiłem ci dziecko. Wy, ludzie, lubicie dzieci.

To ma być ta jego łaska?!

Nie wiedziałam, jak mam zareagować. W jednej chwili miałam ochotę zaśmiać się mu prosto w twarz i zapłakać jednocześnie. Zabił niewinnego człowieka, bo wydawało mu się, że mamy romans. Nie potrafiłam sobie nawet wyobrazić, co zrobiłby z Mieszkiem, gdyby tylko ten był śmiertelny.

Walkę o Ote wygrał Swarozyc, ale mnie zagarnął Mieszko.

– Podobasz mi się, widząca. Zwodziłaś Mieszka, miałaś Witka. Teraz znowu zwodzisz tego tępego człowieka. Słyszałem was, kiedy rozmawialiście w alkowie. Byłaś bardzo przekonująca, kiedy mówiłaś mu o ciąży. Kłamczucha z ciebie. Tak bardzo przypominasz mi Ote.

Do cholery ciężkiej. Jeszcze raz ktoś powie głośno, że przypominam tę rudą wariatkę, to zacznę krzyczeć.

– Ja... – urwałam niepewna, co w zasadzie powinnam mu powiedzieć.

Wiedziałam tylko jedno – nie wolno mi wyprowadzać go z błędu. Niech myśli, że to dziecko Witka. Wtedy będzie bezpieczne. Potomka Mieszka zgładziłby od razu.

– Podoba mi się, z jaką pasją kłamałaś. Nawet ja przez chwilę miałem ochotę ci uwierzyć.

– Czemu nie uwierzyłeś?

– Wiem, że on nigdy nie spłodził potomka. Nie może.

Ha! Niespodzianka!

– Gdyby tylko nie był nieśmiertelny...

Dobrze wiedziałam, co by wtedy zrobił. Pozbyłby się go tak samo jak Witka. Wciąż się dziwię, że jednak nie pozwolił mu wypić naparu z kwiatu paproci. Mógłby go wtedy zabić raz na zawsze.

Z jednej strony to pocieszające, ale z drugiej – bardzo niepokojące, bo oznacza, że najwyraźniej ja jestem dla niego ważniejsza.

– Nie waż się go tknąć – warknęłam.

– Grozisz mi?

Poczułam na ramionach ciepły dotyk. Głos rozbrzmiał tuż przy moim uchu. Jego ręce zsunęły się po mojej skórze i przyspiliły moje dłonie do kolan. Nie mogłam sięgnąć do sztyletu, chociaż leżał tuż obok mnie. Odwróciłam głowę. Nasze twarze dzieliło zaledwie kilka centymetrów. Dokładnie widziałam czerń jego źrenic i kasztanowe rzęsy. W jego oczach płonął ogień. Dawno nie znajdował się tak blisko mnie.

Zerknęłam na miejsce, w którym przed chwilą siedział. Oczywiście już go tam nie było. Klęczał za mną, obejmując mnie w parodii uścisku. Teleportował się jak bohater filmu science fiction, tak szybko, że nawet się

nie spostrzegłam. Spróbowałam szarpnąć dłońmi, ale jego palce tylko mocniej zacisnęły się na moich nadgarstkach.

Jęknęłam z bólu i znowu odwróciłam twarz w jego stronę.

– Puść mnie! – zażądałam.

– Jesteś do mnie podobna – szepnął, jego głos zawibrował na najniższych nutach. – Nawet nie wiesz, jak bardzo.

– Nie jestem do ciebie podobna!

Potoczył spojrzeniem po mojej twarzy, dłuższą chwilę zatrzymując się na moich ustach.

– Coś ci pokażę, widząca. Zobacz swojego człowieka i klątwę, która na nim ciąży.

Następnie mnie pocałował. Jego gorące wargi zmiażdżyły moje. Zmusił mnie do otworzenia ust.

Miałam wrażenie, że moje płuca wypełnił dym. Nie mogłam oddychać!

24.

Kaszłąc przeraźliwie, zerwałam się na równe nogi, gdy tylko mnie puścił. Złapałam spazmatycznie oddech i zarzęziłam, usiłując pozbyć się zalegającego w płucach dymu. Zatoczyłam się jak pijana, kiedy przed oczami zawirowały mi czarne plamy. Miałam wrażenie, że umieram.

Pochyliłam się do przodu, opierając dłonie na kolanach. Raz za razem łąpałam głębokie wdechy, chcąc pozbyć się dymu. Miałam wrażenie, że oblepił moje gardło, przełyk, nos. Był wszędzie.

Gdy łzy przestały mi płynąć z oczu, zorientowałam się, że pod stopami nie mam wcale desek, tylko kamienie, ułożone jeden obok drugiego. Kostka brukowa boleśnie kaleczyła moją skórę.

Co, do cholery?

Podniosłam się powoli. Tuż obok, naruszając bardzo mocno granice mojej przestrzeni osobistej, stał Swarozyc. Podparł się pod boki. Rozejrzałam się po ziemi, ale nigdzie nie widziałam sztyletu Juraty.

– Zwariowałeś?! – ryknęłam. – Za kogo ty się uważasz?

Uderzyłam go z całej siły pięścią w pierś. Moja dłoń odbiła się od twardych mięśni jak piłka.

– Za boga... – powiedział, nie zwracając na mnie większej uwagi. – Patrz. Zaraz się zacznie. Nie chcesz tego przegapić, zapewniam.

Odwróciłam się w stronę, którą wskazywał. I otworzyłam usta ze zdziwienia. Zobaczyłam przed sobą Mieszka. Stał pośrodku placu, przypięty metalowymi kajdanami do pręgierza. Zaskoczona rozejrzałam się dookoła. Otaczali nas ludzie ubrani w kolorowe, wielowarstwowe stroje. Kobiety miały czepce na głowach i białe koszule pod czerwonymi, zielonymi lub żółtymi sukniemi, sięgającymi ziemi. Mężczyźni również byli ubrani bardzo barwnie, niektórzy mieli futrzane kołnierze, które zafarbowano na najróżniejsze odcienie.

Nie widzieli nas. Nikogo nie dziwił widok moich gołych nóg ani klatki piersiowej Swarozyca. Przechodzili obok nas, jakbyśmy byli powietrzem, ale na nas nie wpadali, nie popychali. Omijali naszą dwójkę, jakbyśmy stanowili niewidzialną przeszkodę, którą nawet nie warto zaprzętać sobie głowy.

Część z ludzi niosła w dłoniach kamienie lub gnijące warzywa. Wszyscy byli bardzo rozbawieni, widać było wyraźnie, że na coś czekają. Na placu panował radosny nastrój festynu.

Nagle ktoś rzucił kamieniem w Mieszka. Krzyknęłam, zasłaniając dłońmi usta, gdy trafił go w ramię. Na szczęście chyba nic mu się nie stało.

Co się dzieje?! Dlaczego jest przykuty łańcuchami do pręgierza?! Na piersi miał poplamioną krwią, rozprutą koszulę. Wyglądała, jakby wielokrotnie dźgnięto go nożem i przerwano w ten sposób materiał. Na skórze oczywiście nie było żadnych śladów tortur. Wszystkie jego rany musiały już się zagoić.

Szarpnął się, w końcu wygiął ramiona do tyłu, napinając łańcuchy. Krzyczał. Nie rozumiałam słów, które były pełne ostrych dźwięków. Złazy mi się z ogólnym wrzaskiem, który panował na placu.

– Mieszko – szepnęłam.

Chciałam pójść w jego stronę, ale za ramię złapał mnie Swaróżyc. Zatrzymał mnie w miejscu i przyciągnął do siebie. Poczułam na plecach ciepło jego piersi.

– Nie oddalaj się ode mnie – powiedział.

Ludzie dookoła nas krzyczeli. Staralam się wyłowić poszczególne słowa, ale zlewały mi się w bełkot. To jakieś szaleństwo!

– Kim oni są? Co się dzieje? – zapytałam boga.

Tłum mnie przerażał. Początkowo wydawali mi się radośni i szczęśliwi, ale teraz zaczęłam dostrzegać w ich twarzach nienawiść. Uśmiechom na ich twarzach daleko było do radości. Wypełniała je furia i okrucieństwo. Zaczęli skandować pojedyncze słowa, ale ja ciągle ich nie rozumiałam. Obracałam głową z coraz większą paniką.

– *Die Hexe* – szepnął mi do ucha Swaróżyc.

Otoczył mnie ramionami i przytulił do siebie. Dopiero teraz zauważyłam, że cała drzę. Zakasłałam, na języku ciągle czułam smak dymu.

Zaczęłam rozumieć. Oni nie krzyczeli po polsku, krzyczeli po niemiecku! *Die Hexe*. Uczyłam się przed laty niemieckiego w szkole. Usiłowałam przypomnieć sobie, co to słowo oznacza, ale nie mogłam wygrzebać z pamięci żadnej wskazówki.

– Czarownica – wyjaśnił bóg.

Powoli dostrzegałam inne szczegóły, które wcześniej nie pasowały mi do obrazka tego miasteczka. Za Mieszkiem stała wysoka budowla ozdobiona chrześcijańskim krzyżem. Katedra. Nie jesteśmy w Królestwie Polskim.

Jesteśmy u naszych zachodnich sąsiadów.

Nie wiedziałam tylko jeszcze, w jakich czasach się znaleźliśmy. Teraz nikt już się tak nie ubierał. A także nikt już teraz w Europie nie przykuwał ludzi do pręgierzy.

– Co się dzieje? Gdzie my jesteśmy? – zapytałam.

– To przeszłość, a raczej wizja przeszłości. Nawet bogowie nie potrafią podróżować w czasie. Jesteśmy w pewnym uroczym, małym miasteczku na zachodzie Europy. Przez pewien czas twój kochanek tutaj mieszkał – wyjaśnił Swarozyc.

Mieszko znowu zaczął krzyczeć. Ktoś znowu rzucił w niego kamieniem. Trafił go w głowę, po jego czole pociekła strużka ciemnej krwi. Zalała mu oczy. Potrząsnął głową jak pies, roztrącając krople na boki. Tłocząca się obok niego ciżba odskoczyła z piskiem, gdy krople poleciały na drogie suknie mieszczek.

Poczułam mściwą satysfakcję na myśl, że nie zdołają ich tak łatwo sprać z drogich materiałów.

– Czemu jest w dybach? – zapytałam.

Serce krwawiło mi na ten widok. Nie mogłam tego znieść. Nie mogłam znieść cierpienia na jego twarzy.

Uścisk Swarozycyca stał się mocniejszy. Wyraźnie czułam na plecach dotyk jego piersi. Dłonie boga ognia gładziły mnie czule po przedramionach.

– To nie dyby, dyby są drewniane, moja droga. To kuna, metalowa obęcz na łańcuchu. Twój Mieszko jest przywiązany, żeby mógł patrzeć na widowisko. Trafiło mu się bardzo dobre miejsce, w pierwszym rzędzie.

– Widowisko? – zapytałam słabo.

Swarozyc wciąż mnie nie puszczał, ale w skrytości ducha się z tego cieszyłam. Bałam się, że się przewrócę. Byłam bardzo osłabiona. Czułam, jakby dym wysał ze mnie wszystkie siły.

Mój towarzysz popchnął mnie delikatnie przez tłum. Ruszyliśmy wolnym krokiem między rozstępującymi się przed nami ludźmi. Oderwałam spojrzenie od Mieszka. Odwróciliśmy się ze Swarozycem w stronę, w którą tak się wyrywał, wieszając się na łańcuchach.

Odrobinę z boku placu, tuż pod wysokim słupem usypano stos drewna. Na samej ziemi leżały grube szczapy, a wyżej wyciągały się do nieba pojedyncze gałęzie, огоłoczone z zielonych liści. Do słupa była przywiązana młoda kobieta. Miała rozerwaną, brudną suknię. Biała, krągła pierś wystająca zza materiału była zakrwawiona i posiniaczona. Połowę twarzy

miała obitą i spuchniętą, pokrytą zakrzepłą krwią i stłuczeniami. Splątane włosy lepiły się z brudu, wisząc w strąkach.

Mimo to była piękna.

Patrzyła na Mieszka z oddaniem i miłością. Po jej policzkach, torując sobie ścieżki w brudzie, płynęły łzy. Drżące usta wykrzywiła w niemym krzyku. Zresztą i tak pewnie nie usłyszeliśmy jej głosu w panującej dookoła nas wrzawie.

Obok stosu stał kat z zapaloną pochodnią. Ogień pełzał po lnieniu, którym obwiązano z jednej strony długą żagiew. Na ziemię kapał płonący olej.

Ludzie coraz głośniej skandowali, ogarnięci szaleństwem. Wszyscy chcieli spalić czarownicę. Poczułam do nich nienawiść tak silną jak jeszcze do nikogo wcześniej. Chciałam, żeby to oni spłonęli, a nie ta biedna kobieta.

Po moich policzkach także popłynęły łzy. Nie mogłam na to patrzeć. Nie mogłam znieść widoku ran, które jej zadali, poniżenia i bólu.

– Biedny Mieszko nie ma szczęścia do kobiet – powiedział prosto do mojego ucha Swarozyc.

Jego ciepły oddech załaskotał mnie w kark. Dłonie boga nie przestawały uspokajająco gładzić mnie po ramionach. Nie miałam jednak wątpliwości, że zacisnęłyby się na nich, gdybym tylko spróbowała się wyrwać.

– Czemu? Czemu mi to pokazujesz? – wychrypiałam.

Kat rzucił pochodnię na schludnie ułożone drewniane klocki. Drewno musiało być bardzo suche albo czymś zaprawione, bo płomienie od razu zaczęły je łapczywie pożerać.

– Nie! – krzyknęłam spanikowana i szarpnęłam się do przodu.

Dłonie Swarozycy od razu mocniej mnie chwyciły. Nie pozwolił mi się odsunąć od siebie nawet na centymetr.

Płomienie wspinały się po drewnie. Mieszko zaczął się szarpać, kłąć. Dziewczyna zaczęła wrzeszczeć dopiero w momencie, gdy płomienie dosięgły jej stóp. Nie potrzeba było dużo czasu, by jej sukienka również się zajęła.

Krzyk Mieszka zamienił się w jednostajny ryk bólu. Brzmiał jak ryk rannego zwierzęcia.

Odwróciłam wzrok od kaźni. Nie mogłam na to patrzeć, nie mogłam znieść widoku płonącej kobiety, której już nawet nie było widać zza ściany ognia i dymu. Moje policzki były mokre od łez.

Odchyliłam głowę i spojrzałam na Swarozycy. W jego oczach odbijały się

plomień, na ustach malował się delikatny uśmiech. Odetchnął głęboko.

– Ciemni ludzie dawniej wierzyli, że dym ze stosu, na którym pali się czarownica, ma działanie lecznicze – powiedział. – Przywraca wzrok ślepy, wygładza skórę u kobiet, zwiększa potencję u mężczyzn.

Zrobiło mi się niedobrze. Miałam wrażenie, że na zawsze zapamiętam już zapach płonącego ciała.

– Co rozumiesz przez *szczęście do kobiet*?! – wycedziłam.

Uderzyłam go w rękę, którą mnie obejmował. Chciałam, żeby przestał się uśmiechać, żeby poczuł grozę tego, czego właśnie byliśmy świadkami.

Z trudem, jakby widok ognia go przyciągał, pochylił głowę, żeby na mnie spojrzeć. W jego źrenicach wciąż widziałam odbite płomień.

Zwolnił lekko uścisk, pozwalając mi odwrócić się w jego stronę. Trzymał mnie teraz za ręce w okolicach łokci, ale przynajmniej pomiędzy nami znajdowało się trochę przestrzeni.

– To widząca – wyjaśnił. – Twój Mieszko zawsze miał skłonność do kobiet o wyjątkowych zdolnościach. Przykro mi, ale nie jesteś pierwszą taką kobietą, do której poczuł pożądanie.

Otworzyłam usta, chcąc mu powiedzieć, że doskonale zdaję sobie sprawę z faktu, że nie jestem jego pierwszą dziewczyną, ale nie dał mi dojść do słowa.

– Uprzedzając twoje pytanie: nie, nie była czarownicą – dodał. – Umiała jedynie parzyć zioła, odbierała porody. To jednak nie podobało się bogobojnym ludziom, pomimo że chętnie chodzili do niej po rozmaite leki. Jego też próbowali zabić, ale im się nie udało. Uznali, że jest diabłem, a ona czarownicą, która spółkowała ze złem.

– Przecież to nie jego wina, że się na nią uwzięli – usiłowałam go bronić.

– Przez to, że nie można go skrzywdzić, sprowadził na nią śmierć. To przez niego trafiła na stos – zapewnił mnie.

Przypomniałam sobie sen, w którym nocnice zamknęły Mieszka. Widział w nim mnie, gdy moje ciało trawił ogień. Był w tym koszmarze zakuty w kajdany i nie mógł mi ruszyć na pomoc, gdy płonęłam żywcem.

To był jego największy koszmar, jego największy strach. Nie chciał znowu tego oglądać ani przeżywać. Zrozumiałam, że Swarozyc w tym jednym punkcie miał rację. Poznałam Mieszka na tyle dobrze, żeby wiedzieć, jak bardzo musi obwiniać siebie samego o śmierć tej dziewczyny.

Pomyślałam o innych jego kochankach. Wszystkie je zgładziła szalona Ote, która podążała jego śladem po całym świecie. Każdej swojej miłości,

nawet przelotnej, przyniósł pecha i śmierć. Z tym że o większości nie wiedział. Ta dziewczyna zmarła na jego oczach.

Odwrociłam się do wciąż wrzeszczącego Mieszka. Kobieta dawno już ucichła. Jej ciało wisiało smętnie na słupie, szarpane przez płomień, coraz mniejsze, coraz bardziej pokurczone. Umarła. On krzyczał za dwoje. Nie miał już do czego się wrywać, kogo ratować, ale nie przestawał ciągnąć łańcuchów. Znałam to spojrzenie. Mieszka już nie było. Był tylko potwór, którego nosił pod skórą, a uwalniał na polu walki.

Ludzie przypatrujący się kaźni zaczęli się śmiać i klaskać. Klepali się po ramionach i wymieniali pełne zadowolenia uwagi, jakby to, czego przed chwilą byli świadkami, było ich zasługą. Jakby byli z tego dumni.

Coś chrupnęło w jego ramieniu, kiedy szarpnął się z całej siły. Zrobiło mi się słabo, gdy zrozumiałam, że tak szaleńczo ciągnął, że powybił sobie ze stawów ramiona. Nagle łańcuch z chrzęstem wyrwał się z muru pręgiarza. Hak zamontowany w kamieniu nie wytrzymał.

Zaślepiiony furią Mieszko złapał pierwszego człowieka, którego dosięgnął. Choć ręce na pewno mdlały mu z bólu, rzucił mężczyznę na ziemię. Chwyił go za głowę i zaczął nią tłuc o bruk.

Krople krwi i kawałki kości leciały na wszystkie strony. Mieszko walił twarzą gapia o kamienie tak długo, aż została z niej krwawa miazga. Ludzie z bronią rzucili się w jego stronę, ale bali się podejść bliżej, jakby mężczyzna zamienił się w dzikie zwierzę.

– Czas na nas, widząca – oświadczył Swarożyc.

Złapał mnie za podbródek i uniósł moją głowę do góry. Po chwili poczułam na ustach jego gorące wargi. Owionął mnie zapach żywicznego dymu.

Tym razem już nie kaszlałam.

Kiedy otworzyłam usta, siedziałam na podłodze, na strychu. Świece migotały delikatnie. Za swoimi plecami miałam Swarożycę, który wciąż mnie obejmował, trzymając dłonie na moich nadgarstkach. Ciepło jego skóry przyjemnie grzało. Zachęcało, żeby osunąć się w jego ramiona, by się w nie wtulić. Nasze twarze znajdowały się naprzeciwko siebie. Usta dzieliło zaledwie kilka centymetrów. W czarnych oczach boga nie zobaczyłam już płomieni stosu. Widziałam tylko swoje odbicie.

– Odsuń się ode mnie – wycedziłam.

– Ranisz mnie.

– *Odsuń się.*

Posłusznie puścił moje dłonie i swobodnym krokiem obszedł wymalowany na ziemi krąg. Najwyraźniej tym razem nie zamierzał się teleportować. Zrozumiałam, że byłam głupia, sądząc, że zdążę sięgnąć po sztylet, gdyby chciał mnie skrzywdzić. Nie miałam na to najmniejszych szans. Przecież on był bogiem!

Usiadł naprzeciwko mnie. Był całkowicie rozluźniony.

– Wszystkie kobiety, które kochał ten mężczyzna i które zgodziły się na swaćbę z nim, nie żyją – powiedział.

– Grozisz mi?

Zaśmiał się tylko.

– Nie miałem nic wspólnego z ich śmiercią – odparł nie bez żalu.

– Co najmniej jedną masz na sumieniu – zauważyłam.

– Ote zabiła się sama. Poląła się oliwą, a następnie podpaliła. Ja tylko na to patrzyłem.

Pokręciłam głową z niedowierzaniem. Mogłam się założyć, że oglądanie jej agonii w płomieniach sprawiało mu perwersyjną przyjemność.

– Umiesz zobaczyć przeszłość. A do przyszłości też możesz zajrzeć? – zapytałam.

– Nie, nawet bogowie nie widzą tego, jak ma potoczyć się dola tego świata.

– Po co mi to pokazałeś?

Objęłam się ramionami. W pokoju było ciepło, ale nie mogłam powstrzymać drżenia, które opanowało moje kończyny na widok konającej kobiety. Nie byłam pewna, czy ten obraz nie odcisnął się na zawsze pod moimi powiekami. Bałam się, że go zobaczę, gdy tylko na chwilę zamknę oczy.

– Zależy mi na tobie. Chcę cię ostrzec przed tym mężczyzną. Mieszkasz z nim, dzielisz z nim łóżko.

Płomienie świeczek wystrzeliły do góry. Chyba jednak obserwował nas przez kominek.

– To moja sprawa, z kim dzielę łóżko – warknęłam.

Skłonił głowę.

– Masz rację. To twoja decyzja, komu oddajesz swoje ciało. Ja nie zamierzam cię do niczego zmuszać. Poczekam cierpliwie, aż sama mnie zaprosisz.

– Chyba zwariowałeś!

Posłał mi szeroki uśmiech. Nie odpowiedział, bo musiałby się zgodzić.

Był doskonale świadomy faktu, że jest szalony i nieobliczalny jak ogień, którym włada.

– Zastanów się, czy chcesz zostać z tym mężczyzną. To może się dla ciebie źle skończyć – poradził mi usłużnie.

Jeśli jeszcze poda mi statystyki, to wyjdę z siebie.

– Dziękuję za przestrożę. Jeśli to tyle...

– Mogę ci pokazać inne sceny z przeszłości twojego kochanka – przerwał mi. – Chcesz zobaczyć coś jeszcze?

– Nie – zaprotestowałam szybko. Zbyt szybko. Na jego twarzy znowu zagościł wilczy uśmiech. Bardzo go ucieszyła moja reakcja na tę wizję. Dostał to, czego oczekiwał.

Nie wątpiałam, że gdybym się zgodziła, pokazałby mi tylko te okrutne sceny, w których Mieszko przynosi pecha swoim wybrankom. Skoro nie potrafi go zabić tak jak Witka, to chociaż próbuje mnie do niego zniechęcić albo przynajmniej dobrze mnie nastraszyć.

– To naprawdę byłoby ciekawe – zapewnił. – Mieszko dużo podróżował, mogę cię zabrać do innego zakątka świata.

– Mimo to podziękuję.

Dłuższą chwilę siedzieliśmy w milczeniu, mierząc się spojrzeniami. Wiele bym dała, by móc odczytać jego myśli.

– Wiesz, do czego służy ten pokój? – zapytał znienacka.

Udał, że rozgląda się po pomieszczeniu, jakby był w nim po raz pierwszy w życiu. Światło świec lekko pojaśniało, a dym krążący pod powałą zniknął. Mogłam wyraźnie zobaczyć zarys desek na podłodze, belki stropowe i zasłonięte okna. Jedynie za tym, z którego zerwałam materiał, błyszczało nocne niebo, pełne jasnych punkcików gwiazd z sierpem księżycy malującym się na samym środku.

Jaga powiedziała mi dość oględnie, co tu robiła. Mimo to rzuciłam:

– Do medytacji?

– Nie, widząca.

– Nie nazywaj mnie tak – zaperzyłam się. – Mam imię.

Powoli wkurzało mnie, że wszyscy mnie tak nazywają. Zwłaszcza w momencie, kiedy zupełnie nie panuję nad wizjami, których istnienie wszyscy tak chętnie mi wytykają.

– Kolejny strzał? – zapytał.

– Nie. Jak chcesz się ze mną podzielić tą informacją, to po prostu mi powiedz.

– Tutaj, jeszcze tak niedawno, spotykaliśmy się z Jagą...

25.

Skoro Jarogniewa miała pokój pozbawiony cienia, żeby jej nikt nie podsłuchał za pomocą ubożąt, logiczne wydawało się, że miała też taki, w którym może spokojnie rozmawiać ze swarnym bogiem.

Coś mi tu tylko nie pasowało na linii czasowej. Przecież nie była długo właścicielką tej willi. Po tym jak poroniła, Mszczuj się wyprowadził. Zajął wtedy ponownie, jak za kawalerskich czasów, rozpadającą się chałupę pośrodku Bielin. Jaga została w chatce po swojej babci. W tym czasie powoli powstawał jej przyszły dom, nowoczesna willa.

Tylko po co Jadze pokój do rozmów z bogiem, z którym była skłócona? Przecież oskarżała go o stratę dziecka i rozpad małżeństwa. Z jakiego powodu na potrzeby wspólnych rozmów poświęcałaby cały strych?

– Niemożliwe – zaprotestowałam. – Przecież ona cię nienawidzi. Za żadne skarby nie chciałyby się z tobą spotykać ani z tobą rozmawiać.

Chyba że Jaga czegoś mi nie powiedziała. Umiała kłamać, kilka razy już minęła się z prawdą. Może wcale nie była aż tak skłócona ze Swarozycem. Jednak z drugiej strony doskonale pamiętałam nienawiść, z jaką mi o nim opowiadała.

– Dotykasz mnie takimi uwagami do głębi – stwierdził. – Szeptucha mnie kochała, tak jak wszystkie moje wyznawczynie. Była nosicielką mojego ognia. Podejrzewam, że nadal zachowuje w sercu odrobinę tego uczucia.

– Nie wierzę ci.

– Wielokrotnie mnie do siebie wołała. Malowała na deskach krąg z własnej krwi. Zapalała świece. Wołała mnie poprzez obrzędy ognia.

Spojrzałam na ciemną linię na deskach podłogi: przez lata skruszała i została zatarta. Jaga faktycznie nigdy nie bawiła się w półśrodki. Przypomniałam sobie, z jaką łatwością przekłuła swoją skórę w obrzędzie ustalania ojcostwa. Nie miałyby żadnych skrpułów przed rozmazywaniem swojej krwi na podłodze.

– Przychodziłeś, gdy cię wołała? – zapytałam.

Opowiadała mi przecież, że później przestał do niej przychodzić, że uznał, iż do niczego mu się nie przyda, skoro nie potrafi przekroczyć granic Wyraju, że pozbawił ją wszystkiego i zostawił. Pamiętam, z jaką urazą

opowiadała mi o tym wszystkim.

– Kilka razy się jej ukazałem, ale starałem się uszanować jej wcześniejszą prośbę.

– Czyli?

– Zabroniła mi się do siebie zbliżyć. Zagroziła, że się zabije, jeśli kiedykolwiek się do niej zbliżę. Dla jej dobra przestałem ją odwiedzać.

Swarożyc okazujący miłosierdzie? Wyobraziłam sobie młodą Jarogniewę, która krzyczy na boga i rozkazuje mu, by nigdy więcej do niczego jej nie namawiał. Wydawało się to wielce prawdopodobne. Szeptucha nie miałaby żadnych oporów przed ciskaniem wyzwisk w kogoś, kto jej zawinił. Zwłaszcza tak poważnie jak swarny bóg.

Nie spodziewałabym się natomiast, że grzecznie da jej święty spokój tylko dlatego, że mu kazała. Ja już wiele razy prosiłam o różne rzeczy, a jakoś nigdy nie przyjął tego do wiadomości.

– Ale mimo to później przyszedłeś, gdy stworzyła to miejsce i namalowała krąg – zauważyłam. – Sam twierdziłeś, że to miejsce waszych schadzek.

Skrzywił się i zerknął pospiesznie na ziemię. Zmrużyłam oczy. Coś ukrywał. Na pewno nie mówił mi całej prawdy. Jednak dał mi pewność, że to, co ukrywał, było w jakiś sposób związane z kręgiem na podłodze.

Przed oczami stanęły mi ostatnie strony zeszytu babci Jarogniewy. Na samym końcu, na wolnych stronach znalazłam kilka wybitnie enigmatycznych zapisków, które zrobiła sama Jaga. W większości były nieczytelne i zamazane czymś brązowym.

Miałam ochotę palnąć się w czoło. Krew przecież z czasem brązowieje. To były ślady krwi! Gorączkowo usiłowałam sobie przypomnieć, o co chodziło z tymi zaklęciami. Dotyczyły na pewno „wiązań ognia”. To stwierdzenie powtarzało się wielokrotnie, pamiętam, choć zupełnie nic z niego nie rozumiałam. Z tego powodu nie przyłożyłam się do nauki tych stron zeszytu, a Baba Jaga wcale mnie o nie podczas kolokwium nie pytała. Zupełnie jakby nie istniały.

Krąg... Stopa Swarożycy ani razu go nie przekroczyła, mimo że został przerwany. Ktoś dawno temu starł krew, by go przerwać. Widać było, jak ktoś, zapewne Jarogniewa, szorował ścierką deski.

Co by się stało, gdyby krąg był zamknięty, a bóg znalazł się w środku? Albo co by się stało, gdyby krąg był zamknięty i to ja byłabym w środku, a bóg na zewnątrz? Na pewno ta linia stanowi jakąś granicę, której on nie

chce przekraczać.

– Przyszedłem, tak pięknie mnie prosiła. A nawet błagała – odpowiedział.

Oczywiście, że przyszedł. Nie powstrzymałby się przecież. Coś się musiało stać w tym pokoju, coś, co sprawiło, że przestali utrzymywać ze sobą kontakty. I na pewno nie było to dramatyczne ultimatum Jagi.

– Czemu się uśmiechasz? – Z rozmyślań wyrwał mnie głos Swarożycyca.

– Przychodzisz do tego pokoju, jeśli cię zawołać?

– Gdy ty mnie zawołasz, przyjdę wszędzie – zapewnił.

Czarował mnie. Jego głos stał się miękki i ciepły, miałam wrażenie, że jest słodki niczym miód.

– Nie omamiał mnie!

– Ja nic nie robię. Reagujesz na mnie jak kobieta, to nie jest powód do wstydu. Wszystkie moje wyznawczynie tak reagują. Żadna nie żałowała tej reakcji.

– Szczerze wątpię. Jaga, jak sam przed chwilą przyznałeś, nie chciała cię znać.

Wzruszył ramionami.

– Ludzkie kobiety reagują bardzo emocjonalnie. Zapewniam cię, że wcześniej bardzo dobrze się czuła jako nosicielka mojego ognia.

Nawet nie chciało mi się już tego komentować.

– Czemu chcesz mnie wołać? Masz wobec mnie jakieś plany? – zainteresował się.

– Bogowie brońcie...

– Widząca...

Syknęłam.

– Gosiu – poprawił się. – Zachwycasz mnie. Razem dokonamy naprawdę wiele.

– A zechciałbyś sprecyzować, czego mamy dokonać? I kogo mam zabić?

– Nie spiesz się tak, moja droga. Dowiesz się wszystkiego w swoim czasie. Na razie ciesz się nadchodzącą zimą. Dziady się zbliżają.

– Co się stanie w Dziady? – Od razu podchwyciłam.

Swarożyc nie był mistrzem konwersacji. Na pewno wspomniał o Dziadach w jakimś celu. Bawił się mną.

– Nic – odparł. – Dlaczego coś miałyby się wtedy stać?

Wydawał się szczery, ale ja czułam przez skórę, że skubaniec coś planuje. Cholerny manipulanta.

- Odniosłam takie wrażenie...
- A co chciałabyś, żeby się stało?
- Chciałabym świętego spokoju chociaż w jedno święto – burknęłam.
- Nie mogę odpowiadać za cały świat. – Rozłożył bezradnie ręce.

Nagle ogarnęło mnie zmęczenie. Miałam wrażenie, że siedzimy na strychu co najmniej kilka godzin. Adrenalina, która krążyła mi w żyłach, odkąd Swarożyc stanął w mojej sypialni, powoli opadała. Nie miałam już siły na dalsze słowne potyczki. Chciałam, żeby już sobie poszedł, skoro i tak nadal zamierza mnie dręczyć, trzymając w niepewności.

Potarłam nadgarstek. Muszę zapytać go o jeszcze jedną rzecz.

- Pamiętasz, jak odblokowałeś moje wizje?
- Tak. Coś z nimi nie tak?
- Chyba znowu się zablokowały – poskarżyłam się. – Prawie każdej nocy mam tę samą wizję.
- A co widzisz?
- To, co wydarzyło się w Noc Kupały.

Postanowiłam nie wdawać się zbytnio w szczegóły. Wolałam, żeby nie wiedział, że każdej nocy gawędzę sobie uroczo z atamanem Dzikiego Łowu, Matwiejem Mazepą. Polubiłam go, ale nie na tyle, żeby co noc z nim rozmawiać. Żeby było jeszcze zabawniej, w każdej kolejnej wizji on także pamiętał, o czym już mówiliśmy. I bardzo go to przerażało. Jestem ciekawa, kiedy zacznie robić w portki na mój widok. Wydaje mi się, że powoli zbliżamy się do tego momentu.

- Znowu się zablokowałaś – zawyrokował.

Czyli po raz kolejny wszystkie moje problemy są tylko w mojej głowie? Cudownie. Chociaż w sumie nie wiem, czemu mnie to dziwi. Już przecież dawno okazało się, że jestem histeryczką.

- A jak się odblokować? – zapytałam.
- Mogę ci pomóc...
- Jak sama mogę się odblokować? – sprecyzowałam. – Nie życzę sobie więcej oparzeń.

Mieszko chyba wpadłby w furję, gdyby znalazł na mnie nowy ślad boga ognia. Tym razem wyjaśnienia, że był daleko, a ja potrzebowałam pomocy, na wiele by się nie zdały.

Bóg zmrużył oczy, ale się uśmiechnął.

- Mogę ci pomóc bez oparzenia – zaproponował.
- Coś czułam, że mi się to nie spodoba.

– Dlaczego moje wizje się blokują? Dlaczego nie mogę nimi sterować? Przecież powinnam umieć to robić.

– Powinnaś – przyznał. – Ale masz bałagan w głowie. Boisz się. Boisz się tego, co możesz, więc się zatrzymałaś.

Najwyraźniej mam własne mechanizmy obronne przed zbyt wielkim obciążeniem psychicznym. Cudownie.

– Okej, a na czym będzie polegała twoja pomoc? – chciałam wiedzieć.

– Zabiorę trochę tego strachu. Poprzednio zadziało.

Zaniepokoiłam się. Czy on mógł wpływać także na inne moje emocje, nie tylko strach? Jeśli tak, to mógł mną praktycznie sterować. Jest bogiem, więc wydaje się to logiczne. Bogowie powinni umieć takie rzeczy. Poczulałam, jak rodzi się we mnie wściekłość. Nie chciałam, żeby ktokolwiek za mnie decydował.

– Umiesz zabierać emocje? – upewniłam się.

– Umiem je przekierować.

– Czyli nie możesz wsadzić mi do głowy czegoś, czego wcześniej tam nie było?

– Jeśli chciałabyś wiedzieć, czy mogę sprawić, żebyś zapłonęła z miłości do mnie, a nie do tego człowieka, to odpowiedź brzmi nie. Mogę zmniejszyć lub zwiększyć poziom odczuwanych przez ciebie emocji, ale nie mogę ich całkiem odebrać lub dać.

Zamrugalam. Mogę się założyć, że próbował. Ostatnio pomiędzy mną a Mieszkiem nie układało się jak w bajce. Zrzucałam to na hormony, co jest moją nową ulubioną wymówką na wszystko, albo na sytuację życiową, w której się znaleźliśmy. A teraz dowiaduję się, że Swarozyc najprawdopodobniej mieszał mi w głowie. Udawał, że się odsunął, by dać mi więcej czasu, a tak naprawdę grzebał w moich emocjach.

– Ha! Czyli cię nie kocham – ucieszyłam się. – Gdybym cokolwiek do ciebie czuła, z całą pewnością byś to rozdmuchał do granic możliwości.

Mojemu swarnemu bogu wyraźnie zrzędła mina.

– Jesteś twardą kobietą, widząca – stwierdził. – Miłości do mnie jeszcze nie odnalazłem w twoim sercu.

– I nie znajdziesz – burknęłam.

– Ale... – zawiesił głos. – Na samym dnie twojego wiecznie nieczułego serca jest trochę pożądania. Pożądania mojego ciała.

– Sądzę, że wątpię...

– Ja wiem lepiej – uciał. – To jak z tymi wizjami? Chciałabyś, żebym ci

pomógł?

Miałam ochotę mu odmówić i jeszcze trzasnąć go w twarz za wszystko, co przed chwilą powiedział, ale naprawdę potrzebowałam tych wizji. Weles nie chce mi pomóc. Dalsze rozmowy z atamanem niczego ciekawego nie wnoszą. A ja potrzebuję efektów!

Muszę dowiedzieć się, kto jest moim ojcem. Poza tym jeśli moje wizje stają się takie uroczo interaktywne, to mogłabym dowiedzieć się z nich kilku przydatnych rzeczy. Mogłabym na przykład wywołać wspomnienia swoich przodków i zapytać ich o klątwę.

– W jaki sposób to zrobisz i co chcesz w zamian? – zapytałam.

– Negocjujemy – zaproponował. – Co ty chciałabyś mi za to dać? Jak myślisz, ile twoje wizje są warte?

– Nie wiem... Chcesz pieniędzy?

Zaśmiał się posepnie.

– A po co mi pieniądze?

– Nie wiem, czego mógłbyś chcieć – odparłam.

– Skoro nie chcesz nosić mojego śladu na skórze, musisz mi dać coś innego. Ślad ognia musi się jakoś wypalić. Odblokuję twoje wizje za pomocą pocałunku, tak jak przeniosłem cię do przeszłości. A co chcesz w zamian? W zamian jeszcze kiedyś dasz mi swój pocałunek. Wtedy, gdy cię o niego poproszę.

– Zwykły pocałunek? Będę musiała kiedyś po prostu cię pocałować? – Wołałam się upewnić. – Dotknąć moimi wargami twoich warg? Nic więcej? Nie będzie oparzenia na wargach?

– Tylko pocałunek, żadnych oparzeń.

– Gdzie jest haczyk?

Za łatwo się zgodził. Dał za niską cenę. To nie mogło być takie proste, a on nie mógł być tak miły i uczynny. Byłam przekonana, że mnie oszukuje. Nie mogłam tylko nigdzie dostrzec pułapki.

Oparzenie na skórze znaczyło mnie na całe życie. W jaki sposób pocałunek zostawi na mnie ślad?

– Nie ma żadnego haczyka. Nic nie poradzę, Gosiu. Mam słabość do widzących. Możecie ze mną zrobić wszystko. Spełnię każdą waszą prośbę.

– To będzie zwykły pocałunek? Najzwyklejszy? Nie przeniesiesz mnie za jego pomocą w czasie ani nie zadusisz dymem?

– Pocałunek ma na celu uwolnienie cię od strachu. Poza tym będzie po prostu pocałunkiem. Chociaż na pewno bardzo przyjemnym.

Zastanawiałam się gorączkowo, co powinnam zrobić. Wiem, jak zareagowałyby na to Mieszko. W ogóle nie powinnam mu o tym mówić. Byłby wściekły.

– Dlaczego pocałunek? – jęknęłam. – Nie może być coś bardziej neutralnego? Uścisk ręki?

– Pocałunek, bo tak postanowiłem. Nie zmienię zdania. Musisz się zdecydować.

Poczułam wyrzuty sumienia. Czy to oznacza, że zdradzę Mieszka? On pewnie uznałby, że tak. Już dwa razy całowałam się dzisiaj ze Swarozycem, ale dlatego, że mnie zmusił. A teraz miałabym się z nim pocałować z własnej woli. Jak bardzo chciałabym odblokować swoje wizje, tak jasno widziałam, że to jest niewłaściwe.

– Muszę się nad tym zastanowić – oznajmiłam.

– Nie.

Spojrzałam na niego zbита z tropu.

– Podejmij decyzję teraz. Jutro moja propozycja pomocy nie będzie aktualna.

Potarłam dłońmi twarz. Gdy spojrzałam na miejsce, w którym siedział, już go tam nie było. Złapałam za sztylet i zerwałam się na równe nogi. Bursztyn zaczął pulsować, gdy tylko moje palce zacisnęły się na rękojeści.

Odwrociłam się. Swarozyc stał tuż za mną.

– Jaka jest twoja decyzja?

Wycelowalam ostrze w jego stronę.

– Czas ucieka – przestrzegł.

Wypowiedzenie tych słów kosztowało mnie bardzo dużo.

– Zgadzam się.

Podszedł jeszcze bliżej. Nie opuściłam sztyletu. Szaleńczo świecący bursztyn znalazł się pomiędzy nami. Jego blask oświetlił nasze twarze. Osa w bursztynie zatrzepotała skrzydłami z podniecenia, gdy wyczuła bliskość boga.

Swarozyc położył dłonie na moich ramionach. Musiałam zadrzeć głowę, by spojrzeć mu w oczy.

– Jesteś tu ze mną bezpieczna, nie skrzywdzę cię – powiedział.

– Świetnie.

Uśmiechnął się półgębkiem. Ja nie potrafiłam. Doskonale zdawałam sobie sprawę z tego, co powiedział. Nie skrzywdzi mnie tutaj, ale nie wyklucza, że zrobi to gdzie indziej.

Przyciągnął mnie do siebie. Nie cofnęłam ręki. Trzymałam sztylet pomiędzy naszymi brzuchami, oparty ostrzem o jego żebra na tyle, by skóra lekko się ugięła, ale by jej nie przekłuć. Bogu się to spodobało. Prychnęłam niezadowolona, że niechcący spełniam jakieś jego perwersyjne fantazje, zamiast otwarcie mu grozić.

Światło bursztynu podświetlało nasze twarze. Pogłaskał mnie palcami po policzku i uniósł brodę do góry. Zamknął oczy i pocałował mnie. Jego usta były ciepłe i bardzo miękkie. Pomiedzy moje wargi wślizgnął się jego język. Szarpnęłam się, ale trzymał moją głowę mocno. Zwiększyłam nacisk ostrza na jego skórę.

Poczułam, jak krew przyspiesza mi w żyłach. Mimo że tego nie chciałam, pocałunek mi się spodobał. Swarożyc umiał dobrze całować. Nic dziwnego. Miał tysiąclecia, jak nie więcej, na praktykę.

Dmuchał delikatnie w moje uchylone usta. Zakręciło mi się w głowie.

– Już dobrze – szepnął, a jego wargi musnęły moje.

Szarpnęłam głową i mnie puścił. Cofnęłam się od razu kilka kroków. Uniosłam sztylet wyżej, a drugą dłonią otarłam wargi, które wciąż pulsowały od pocałunku. Serce tłukło mi się w piersiach. Kręciło mi się w głowie.

– Widzisz? Nie było tak strasznie. Gdybyś miała ochotę na więcej, zawołaj. Zawsze cię usłyszę. Czuję twoje pożądanie.

Nagle zgasły wszystkie świece i zrobiło się ciemno. Oślepią obróciłam się dookoła. Uderzyłam o coś łydką. Zmęłam w ustach przekleństwo. Obok mnie zapaliła się nocna lampka. Przerazona zorientowałam się, że stoję w sypialni. Noga bolała mnie, bo zderzyłam się z łóżkiem.

Sztylet w mojej dłoni już nie pulsował. Rzuciłam go na pościel, jakby miał mnie zaraz oparzyć.

Wyskoczyłam biegiem na pogrążony w egipskich ciemnościach korytarz. Pokój ze świecami był zamknięty: dla pewności szarpnęłam za klamkę, ale drzwi ani drgnęły. Wróciłam do sypialni i zerknęłam na zegarek. Miałam wrażenie, że rozmawialiśmy bardzo długo, ale minęło ledwie pięć minut.

Szkoda, że nie umiem sama tak zapętleć czasu.

26.

Po zabezpieczeniu sztyletu, czyli zawinięciu go w podkoszulek, padłam na łóżko jak zabita. Na szczęście nic mi się nie śniło. Trochę się obawiałam, że „dzięki pomocy” Swaróżyca spędzę całą noc, biegając po lesie, tocząc do niczego nieprowadzące dyskusje z atamanem Dzikiego Łowu, a rano obudzę się zmęczona. Na szczęście tak się nie stało. Mogłam wreszcie się wyspać. To było bardzo orzeźwiające uczucie.

Szczerze mówiąc, wyspałam się chyba pierwszy raz od kilku miesięcy. Niepokoiło mnie tylko, że potrzebowałam do tego wieczornego seansu ze swarnym bogiem...

Rano podczas śniadania usiłowałam podpytać Jarogniewę, co robiła poprzedniego wieczoru. Ciekawość mnie wręcz zżerała, ale Jaga trzymała język za zębami.

– Nic, o czym powinnaś wiedzieć i o czym mam zamiar mówić głośno – skwitowała.

Jadłyśmy późne śniadanie, ponieważ obie tego dnia zasnęłyśmy. Nie wiem, kiedy Jarogniewa wróciła do willi. Kiedy się kładłam, w oknach chaty wciąż paliły się światła. Wygląda na to, że dziennikarka będzie miała bardzo poważne kłopoty.

– Aleś nie w humorze! – mruknęłam.

Sama nie byłam w o wiele lepszym. Wciąż gryzło mnie sumienie. Po fakcie, gdy już ochłonęłam, całowanie się z bogiem ognia wydawało mi się koszmarnym pomysłem. Nie wiem, co mi wczoraj strzeliło do łba. Niemalże od razu po obudzeniu ogarnęła mnie obawa, że Mieszko się o tym dowie i oczywiście się na mnie wścieknie.

Nawet by mnie to nie zdziwiło. Też bym się na niego wkurzyła, gdyby całował się z kimś innym. Chociaż z drugiej strony ja miałam powód. To była cena Swaróżyca za pomoc w opanowaniu moich wizji. Niby niewygórowana cena, ale jednak...

Teraz doszło jeszcze do tego, że zaczęłam szukać sobie usprawiedliwień. Wyrzuty sumienia jeszcze mocniej we mnie uderzyły. Jestem złym człowiekiem. Och, oby Mieszko się o tym nigdy nie dowiedział! Poczulałam się, jakbym go zdradziła. To jedno Swaróżycowi udało się na pewno.

Całkowicie popsuł mi humor. Jak ja spojrzę Mieszkowi w oczy?

– Kiedy siedziałam w nocy w mojej chacie, zgłodniałam – odezwała się nagle Baba Jaga.

Uniosłam wzrok znad jajka na miękko, które właśnie obierałam. Gorąca skorupka parzyła mnie w palce. Uwaga Jagi wydała mi się pozbawiona sensu wobec rozterek, które sama właśnie przeżywałam.

– No i?

– I pomyślałam sobie, że to dobry moment na przekąskę – odparła.

– Niby tak, chociaż w nocy nie należy jeść, bo się wtedy tłuszcz skuteczniej odkłada – powiedziałam, wracając do swojego jajka.

– I szukając tej przekąski... – Głos Jagi podejrzenie stwardniał. – Straciłam trochę czasu.

– Ale ty chyba nie trzymasz jedzenia w swojej chacie? – zdziwiłam się, przypominając sobie mgliście jakąś jej opowieść o mrówkach, których długo nie mogła się pozbyć.

– Zawsze mam dobrze schowane ciastka na czarną godzinę.

Pokiwałam głową. Całkiem logiczne rozwiązanie. Chociaż ja pewnie nie umiałabym, przy moim łakomstwie, tak po prostu trzymać opakowania ciastek, by były pod ręką w razie potrzeby. Na pewno bym je zżarła przy pierwszej okazji.

– Ale nie znalazłam tych ciastek – zakończyła.

– Och, zjadłaś je wcześniej?

– Nie.

Oderwałam w końcu wzrok od jajka, zadowolona, że udało mi się je obrać i mogę wreszcie zabrać się do jedzenia.

– To co się z nimi stało?

W momencie gdy zadawałam to pytanie, w mojej głowie zapaliła się mała, czerwona lampka. Ciasteczka. Ciasteczka w chatce szeptuchy. Coś mi to mówiło, ale za nic nie mogłam sobie przypomnieć co.

– Nie wiem. Pustego opakowania też nie znalazłam, a przecież nie dostało nóżek i sobie nie poszło – zauważyła tonem dość jadowitym, nawet jak na nią.

Nagle lampka z czerwonej zamieniła się na zieloną. Och... ciastka. Przed oczami zobaczyłam samą siebie, jak jakiś czas temu przyjmowałam samodzielnie w jej gabinecie, bo Jaga pojechała do spa, ekhm, znaczy na pielgrzymkę.

– To ja je zjadłam... – przyznałam ze skruchą. Opuściłam wzrok

i zerknęłam na nią zza rzes. – Ale chyba nie rzucisz na mnie jakiegoś czaru, tak jak na tę dziennikarkę, co? Ja nie chcę dostać parchów!

A następnie popłakałam się łzami rzewnymi i dorodnymi jak ziarenka grochu. Aż się sama nie poznawałam. Potrafię dostawać hysterii z naprawdę błahych powodów, jednakże płacz z powodu hipotetycznych parchów jeszcze mi się nie zdarzył.

Jarogniewa oniemiała. Zbiłam ją z tropu swoim zachowaniem. Chyba nie podejrzewała, że uwaga na temat ciastek może mnie doprowadzić do płaczu.

– Nie, no, Gosiu, daj spokój! Przecież tylko chciałam ci zwrócić uwagę! Nie rzucę przecież na ciebie żadnej klątwy, głupia dziewucho. Przestań płakać!

– Przepraszam! Nie chciałam zjeść tych ciastek! To znaczy chciałam! Byłam głodna. Pracowałam wtedy sama... – zaczęłam się plątać w zeznaniach, a łzy dalej płynęły.

Jaga o tym nie wiedziała, ale nie chodziło tylko o ciastka. Tak naprawdę popłakałam się z kilku powodów. Nazbierało mi się. Nic nie poradzę. Pomyślmy... Mieszko, ciąża, konflikt z mamą, ojciec widmo, Swarożyc, spalenie, sztylet, krwawa wizja palenia na stosie, a na dokładkę doszła defraudacja ciastek.

Każdy by się załamał. Ciasteczka przeważały szalę nieszczęścia i kłopotów, w które się wpackowałam.

– Spokojnie, Gosieńko! Kupię nowe. Po prostu mogłaś mi powiedzieć wcześniej. Trochę się wczoraj zdenerwowałam, że nie mogę ich znaleźć.

– Odkupię! – zapewniłam ją gorąco.

– Daj spokój. Sama sobie przecież mogę upiec. No już, skarbie. O co chodzi? Czego tak płaczesz? Przecież widzę, że nie przez ciastka.

Podeszła do mnie i przytuliła moją głowę do swojej piersi. Smarknęłam, ale powoli zaczęłam się uspokajać, kiedy głaskała mnie po włosach. Chwila słabości mijała.

– Boję się Swarożyca – wyznałam.

– I słusznie.

– Nie pocieszasz mnie.

– Bo tu nie ma jak pocieszać. To bóg. Bogów należy się wystrzegać. A tego cholernika z całą pewnością.

Mówić jej? Czy nie mówić?

– Widziałam go – przyznałam się.

– Kiedy?

Odsunęła od siebie swoją głowę, żeby spojrzeć mi w oczy. Nie wiem, co chciała w nich zobaczyć. Oby tylko nie całą prawdę.

– Wczoraj. Jak zostałam wieczorem sama, tu w domu.

– Był w moim domu? – Lekko zbladła.

– Tylko kilka minut.

Myślałam, że to ją uspokoi, ale ona tylko zaczerwieniła się cała ze złości i usiadła z powrotem na swoim krześle. Koniec głaskania po główce.

– Czego od ciebie chciał? – zapytała.

– Usiłował mnie zniechęcić do Mieszka. Standard w jego wykonaniu. Poza tym powiedział mi, że spotykał się z tobą na strychu, w pokoju ze świecami.

Czerwień na jej policzkach zamieniła się w biel, a następnie szkarłat ponownie wpłynął na jej lico. Pojawiła się na nim też wściekłość. Przestraszyłam się, że zaraz dostanie palpacji z tych emocji.

– Co ci opowiadał? Co ci nakłamał?

Nakłamał? Od razu sugeruje, że kłamał?

– Nie chciał wchodzić w szczegóły... – Wzruszyłam ramionami. – Powiedział tylko, że go do siebie wzywałaś w tym pokoju.

Pokiwała gorliwie głową. Ściągnęła gniewnie brwi i wydawała się wyraźnie zasepiona, co... odrobinę poprawiło mi humor. Wiem, nie świadczy to o mnie zbyt dobrze, jednak cieszyłam się, że udało mi się ją sprowokować. Chciałam usłyszeć, co powie mi na temat swoich związków ze Swarożycem. Wiem, że nie była ze mną dotąd w pełni szczerą w tej kwestii.

Uznałam, że to właściwy moment na spróbowanie jajka na miękko. Wbiłam w nie łyżeczkę i odkryłam, że niestety już ostygło i stwardniało. Cholera.

– To prawda – przyznała w końcu. – W tym pokoju stworzyłam przestrzeń, specjalną przestrzeń, w której mogłam go do siebie przywołać. To było już po tym, jak rozstałam się z Mszczujem. Na długo po tym, jeśli mam być z tobą, Gosiu, szczerą.

Na jej twarz wróciły normalne kolory. Wydawała się odprężona, jakby pogodziła się z tym, co chciała mi właśnie powiedzieć. I jakby wyznanie miało jej przynieść ulgę.

– Nie jestem z tego dumna – zastrzegła. – Chcę, żebyś wiedziała, że teraz, na starość... trochę się wstydzę siana, które kiedyś miałam w głowie.

Zanim znowu się odezwała, zdążyłam zjeść niesmaczne jajko. Nie popędzałam jej. Bolesnymi wspomnieniami nie należy się dzielić na chybcika.

– Byłam nim zafascynowana. Pociągał mnie. Był przystojny, bardzo seksowny, a ta jego ruda broda! – Znowu się spłonęła. – Chyba się w nim podkochiwałam. To głupie, bo przecież nie był i nie jest człowiekiem. Bogowie nie wchodzi w związki ze śmiertelniczkami. Świetnie wiedziałam, że mnie wykorzystuje.

– Jaga...

– Czekał, nie przerywaj mi. Muszę wreszcie to z siebie wyrzucić.

Wzięłam ją za rękę, a ona mocno ścisnęła moje palce.

– Gdy straciłam dziecko... gdy z Mszczujem straciliśmy dziecko... wykrzyczałam mu, że to jego wina, że ma się więcej do mnie nie zbliżać, że go nienawidzę. A on zniknął. Posłuchał mnie. Po raz pierwszy, odkąd go poznałam, wysłuchał mojej prośby.

Hm, to najwyraźniej ja nie jestem z nim jeszcze na takim etapie znajomości. Jak na razie całkowicie ignoruje to, co do niego mówię.

– W ten sposób z mojego życia zniknęło dziecko, mąż, a także bóg, którego w jakiś szalony sposób kochałam – kontynuowała. – Wzywałam go później do siebie, nawet wiele lat później.

– Przychodził? – zapytałam, chociaż znałam odpowiedź.

– Kilka razy. Nigdy jednak już mnie nie dotknął. Nigdy też nie chciał się zbliżyć nawet na krok. Tłumaczył, że to dla mojego dobra.

– Jaga! – wykrzyknęłam.

– Czego się dziwisz? Przecież jest przystojny, a ja zawsze miałam gorącą krew. Poza tym czułam się wyjątkowa, wybrana. Bardzo mi imponował. Łatwo pokochać boga.

Po jej rumianym policzku potoczyła się samotna łza. Nagle wydała mi się starsza, niż jest. Ogrom emocji przygiął jej ramiona, głowa się pochyliła. Skóra na twarzy nagle stała się cieniutka, pergaminowa.

– Ja go naprawdę kochałam. Dopiero potem zaczęłam nienawidzić. Te dwa uczucia są do siebie bardzo podobne i czasem się ze sobą mieszają. Wtedy też go do siebie przyzywałam, chciałam go zmusić, żeby się do mnie zbliżył. Na szczęście on okazał się na to zbyt sprytny. Gosiu, nie popełniaj mojego błędu. Widzę, że on krąży dookoła ciebie jak ćma wokół świeczki. Uwielbia szeptuchy i silne widzące. Będzie cię mamił swoją uczynnością, komplementami, przywiązywał do siebie, uzależniał.

– Spokojnie, nie grozi mi to – odparłam słabym głosem. – W żadnym razie nie żywię do niego romantycznych uczuć.

Przypomniałam sobie nasz pocałunek, ten ostatni, najdelikatniejszy. Był miły, bo Swarożyc naprawdę dobrze całuje, ale nic poza tym. Na szczęście. Skoro już się upiera, że gdzieś w moim sercu tli się iskra pożądania, to niech mu będzie! Kto by nie poleciał na tę górę mięśni i gadkę podrywacza? Jednak jestem stuprocentowo pewna, że go nie kocham.

Ta konkluzja bardzo mnie uspokoiła.

– Obawiam się, że możesz być jego kolejnym celem – ostrzegła.

Biorąc pod uwagę historie większości widzających, które poznałam do tej pory, jeszcze się taka silna nie znalazła, której by choć trochę nie zawrócił w głowie. No cóż... ktoś musi być pierwszy!

– To bóg ognia. Jest potężny, intrygujący, tajemniczy. Stracić dla niego głowę naprawdę nie jest trudno. Unikaj go – doradzała dalej. – Nie popełniaj moich błędów. Ja swojego życia niestety już nie naprawię, ale ty możesz swojego nie popsuć.

– Wierz mi, nie zamierzam nic popsuć – powiedziałam. – Mieszkam z mężczyzną, którego kocham, i nie zamierzam go zamieniać na Swarożyca.

– No i dobrze – odparła uspokojona, a ja nie mogłam się powstrzymać przed pytaniem:

– A ty, Jago? Żałujesz?

– To nie jest proste pytanie.

– Wiem, przepraszam, ja...

– Są dni, kiedy żałuję. Łatwo potrafię wyobrazić sobie szczęśliwą rodzinę, którą mogłam założyć z Mszczujem. On był naprawdę dobrym człowiekiem. Szkoda, że nie poznałaś go, zanim zniszczył go alkohol.

– Szkoda – wyszeptałam.

– Z drugiej strony... – Puściła do mnie oko. – Matka zawsze mi powtarzała, że nie odziedziczyłam doli po naszej rodzinie. Zawsze pragnęłam przygód. A Swarożyc był jedną z największych przygód w moim życiu. Nie żałuję przeżyć, bo ukształtowały mnie taką, jaka jestem teraz, a ja bardzo siebie lubię. Żałuję tego, co mogło mnie przez te przygody w życiu ominąć.

Uśmiechnęłam się do niej. Zdążyłam już poznać szeptuchę na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że jest spełnioną kobietą, która naprawdę dobrze czuje się w swojej skórze.

– Dawno temu, gdy przeprowadziłam się sama do Bielin i rozpoczęłam tu praktykę, powiedziałam sobie, że postaram się żyć tak, by nigdy niczego nie żałować – powiedziała i pokiwała głową do własnych myśli. – Jak sama widzisz, nie do końca mi się udało, ale i tak jestem zadowolona.

Zdecydowanie niczego innego się po niej nie spodziewałam.

– Teraz już jestem starą babą...

– Wcale nie jesteś stara – wtrąciłam.

– To miłe, ale przecież widzę, że na ulicy to za tobą się oglądają, a nie za mną.

– Oglądają się? – ucieszyłam się.

– A będą jeszcze bardziej się oglądać, jak już brzuch ci się pojawi, a ty ciągle bez swaćby będziesz – ostudziła mnie bez skrpułów.

Miała rację. Cholerny Mieszko. Przecież ja mu się nie oświadczę. To on to musi zrobić.

– Posłuchaj rady starej baby, co to niektórzy mówią, że jest mądra. Żyj tak, żeby nie żałować, ale nie dbaj tylko i wyłącznie o swój interes. Rodzina jest ważna i to nieprawda, że dobrze wygląda się z nią tylko na zdjęciu. Rodzina to jedyna rzecz, którą człowiek ma w życiu. Żadne pieniądze, domy, podróże nie dadzą ci tego co ludzie tej samej krwi. W innym wypadku skończysz jak ja. Sama.

Zrobiło mi się przykro. Znałam sytuację Jagi. Wiem, że miała pięciu starszych braci. Trzech z nich niestety już nie żyło. Z pozostałą dwójką, od śmierci rodziców, nie utrzymywała bliskich kontaktów. Jej bracia mieli dzieci, z którymi od czasu do czasu rozmawiała przez telefon, ale to też ciężko było nazwać bliskimi relacjami. Miała nadzieję, że któraś z bratanic będzie chciała objąć po niej stanowisko szeptuchy, ale żadna nie zdecydowała się na studia medyczne. Nie było nikogo, kto przejąłby po niej schedę. Nie wiem, czy istniał ktoś, kto zaopiekuje się nią, gdy będzie już niedołączna.

Ciężko mi było sobie wyobrazić Jagę potrzebującą pomocy, ale przecież wszystkich nas czeka starość.

– Masz mnie – powiedziałam.

– Gosiu, dziecko kochane. – Poklepała mnie po dłoni. – Nie znam twojej doli. A biorąc pod uwagę twoją zdolność do pakowania się w kłopoty, jeszcze się okaże, że to ja pożyję dłużej od ciebie.

A to mnie pocieszyła.

– Dobrze! – Klasnęła w dłonie. – Ja idę do chaty!

- Pomóc ci?
- W żadnym razie. Ja się tam dzisiaj będę zajmować truciznami. Jeszcze coś ci zaszkodzi albo mdłości dostaniesz. – Podniosła się z krzesła.
- Jaga, co ty tam właściwie robisz?
- Posłała mi uśmiech, od którego można było dostać dreszczy.
- Szykuje małą niespodziankę dla pani dziennikarki.
- Chcesz ją otruć?
- Ja tylko zamierzam ją jutro zaprosić na herbatę. Już się nawet zgodziła na nasze spotkanie. Naiwna gęś.
- Ale ty chyba nie chcesz jej zabić?! Po co ci trucizny?! – zaniepokoiłam się nie na żarty.
- Oj, od razu zabić. Trochę buziuchnę jej tylko poprawię moimi niedziałającymi lekarstwami. Spokojnie. Przeżyje.
- Odetchnęłam z ulgą.
- Chyba że ma słabą wątrobę, ale to okaże się w swoim czasie...

Skoro Jaga znowu zamknęła się na cały dzień w swojej chacie, to ja postanowiłam dokładnie przeanalizować przepisy z jej zeszytu. Rozgryzę zagadkę kręgu, który tak niepokoi Swarożyca. Już ja mu się dobiore do skóry!

Zaopatrzona w kilka pudełek zapalek, zeszyt, herbatę malinową i sztylet podarowany przez Mieszka stanęłam przed drzwiami na strychu. Foliową siatkę, w której trzymałam większość potrzebnych akcesoriów, zawiesiłam sobie na nadgarstku.

– No i tak – skwitowałam głośno swoje przygotowania, wpatrując się w drewniane drzwi.

W swoim genialnym planie nie przewidziałam tylko jednego. A mianowicie tego, że pokój ze świecami będzie zamknięty na klucz. Mylnie założyłam, że skoro tyle już razy udało mi się wejść do środka bez żadnego wysiłku, to i tym razem się uda. A tu niespodzianka.

Siorbnęłam gorącej herbaty i wróciłam do przyglądania się drzwiom. Z tego, co pamiętałam, Jaga nosiła klucz w kieszeni swojego fartucha. Marne szanse, żebym zdołała go zdobyć niepostrzeżenie.

W swojej naiwności jeszcze raz nacisnęłam klamkę. Drzwi ani drgnęły. Cud nie nadszedł.

Pochyliłam się i zajrzałam przez dziurkę od klucza. W środku było dość jasno. Okno dachowe, z którego zdarłam materiał, wpuszczało całkiem dużo światła. Zobaczyłam kawałek podłogi, świeczki. Nic specjalnego. Już miałam się odsunąć, kiedy pole widzenia na chwilę przysłonił jakiś czarny, duży kształt.

Gwałtownie odskoczyłam od drzwi. Odrobina herbaty chlapnęła na podłogę, a siatka zaszeleściła, obijając się o moje biodro. Poczułam, że serce galopuje mi w piersi jak szalone.

– Ubożęta? – rzuciłam w przestrzeń. – Jesteście tam?

Zacząłam nasłuchiwać w nadziei, że dobiegnie mnie tupot ich małych, przerażających stópek. Nic jednak nie usłyszałam.

Co to, do wszystkich bogów, było?! Trochę było za duże jak na niewidzialne – *niewidzialne* – ubożęta. Odetchnęłam głęboko i zmusiłam się

jeszcze raz, by zerknąć przez dziurkę od klucza. Przysięgam sobie, że jeśli zobacze wpatrujące się we mnie oko, to rzucę wszystko na ziemię i ucieknę z szalonym piskiem.

Zmrużyłam powieki i zajrzałam przez dziurkę. Po drugiej stronie zamajaczyły mi świece oraz jasny promień światła z wirującymi w nim drobinkami kurzu. Może mi się tylko przywidziało, może niczego tam nie było. Przyłożyłam ucho do drewna i zaczęłam nasłuchiwać.

Nic.

Nie miałam zielonego pojęcia, co zrobić. Najchętniej zawinęłabym się w kocyk na kanapie, upodabniając się do naleśnika, i udawała, że mnie nie ma. Cofnęłam się i niechcący wdepnęłam w kałużę z herbaty.

Białe skarpetki szlag trafił. Sok z malin i herbata za Chiny Ludowe się nie spiorą.

Zerknęłam na siatkę, w której tkwił zeszyt babci Jarogniewy. Mogę nie mieć już lepszej okazji na zabawę przepisami. Nie wiem, kiedy znowu znajdę się sama w domu szeptuchy.

Załóżmy więc, że to były ubożęta, domowe duchy.

– Ubożęta? Jesteście gdzieś w pobliżu? Przydałaby mi się pomoc w otworzeniu drzwi – powiedziałam. – Możecie je dla mnie otworzyć?

Ubożęta są od pomagania gospodarzom. Wiem, że nie jestem gospodynią tego domu, jednak mogłyby wykazać się dobrą wolą. Przecież nie zawołam Swarożycą i nie poproszę go o otworzenie drzwi. Od razu się domyśli, że coś przeciwko niemu knuję.

Położyłam siatkę na ziemi i ruszyłam z kubkiem herbaty do kuchni. Założyłam, że nawet jeśli nie zdołam rozwiązać swojego problemu, to przynajmniej zjem kawałek ciasta drożdżowego, które zostało z wczoraj. Nie ma tego złego...

Jednak po wejściu do kuchni musiałam diametralnie zmienić swoje plany. Na samym środku stołu leżał klucz. Duży, żelazny klucz przewiązany czerwoną, wyblakłą przez lata wstążeczką.

Hm...

Wzięłam go do ręki. Twardy, zimny, szorstki. Zdecydowanie nie był przywidzeniem mózgu otumanionego hormonami. Byłam też stuprocentowo pewna, że gdy jadłyśmy z Jagą śniadanie oraz gdy później sprzątałam, to nie było go na stole.

Szczerze mówiąc, w ogóle się nie spodziewałam, że ubożęta mnie posłuchają. Rzuciłam w powietrze prośbę o pomoc raczej dla żartu

i z braku lepszych pomysłów.

– Dziękuję – powiedziałam.

Na szczęście nie usłyszałam chóralnej odpowiedzi „nie ma za co”. Wizja małych, niewidzialnych istotek, które żywią się mlekiem oraz mówią dziecięcymi głosikami, i tak wystarczała, żeby zapewnić mi koszmary senne. Wciąż przeraża mnie perspektywa, że ubożęta są wszędzie i cały czas mnie obserwują.

W każdym momencie mojego życia. Bogowie... muszę zamontować więcej żarówek w toalecie.

Z kluczem w dłoni porzuciłam pomysł zapchania się ciastem drożdżowym i pognałam po schodach na strych. Gdy tylko drzwi stanęły przede mną otworem, naszły mnie wątpliwości, czy na pewno dobrze robię. Istniało ryzyko, że ubożęta doniosą Swarożycowi, że chciałam tu wejść.

Najpierw wsunęłam do środka tylko głowę. Rozejrzałam się szybko, ale nie dostrzegłam ciemnego kształtu, który wcześniej przedefilował tuż przed moim nosem. Ostrożnie przeszłam przez próg. Nadal nic się nie wydarzyło, nie rzucił się na mnie żaden potwór.

Chyba naprawdę coś mi się musiało przywidzieć.

W środku było duszno, a w kątach dość ciemno. Zanim zabrałam się do odcyfrowywania zapisków Jagi, porządnie zamiotłam podłogę i zebrałam pajęczyny spod sufitu. Nie powstrzymałam się także przed odsłonięciem pozostałych okien i przewietrzeniem pokoju.

Przecież nie będę w ciąży siedzieć w dusznym pomieszczeniu pełnym zapalonych świeczek.

Kolejne kilkanaście minut zapalałam te cholerne świece. Jaga grubo przesadziła z ilością. Pokusiłam się o ich przeliczenie, ale przy czterdziestej siódmej się pomyliłam, więc dałam sobie spokój.

Następnie zamknęłam drzwi, ale zostawiłam uchylone okno, żeby się tu nie zadusić.

No dobrze! Proszę państwa, wróżby i zaklęcia czas zacząć! Poza tym skończyły mi się wszystkie dobre wymówki i nie pozostawało nic innego, jak zasiąść na podłodze z zeszytem. Zająłam miejsce pośrodku kręgu, wychodząc z założenia, że w filmach grozy tak zwykle robią, więc pewnie tak właśnie należy.

Otworzyłam zeszyt na notatkach Jagi. Na ostatniej stronie znajdował się delikatny rysunek ołówkiem. Był odrobinę nieczytelny, rozmazany, ale

dostrzegłam na nim krąg i kilka symboli. Pośrodku natomiast znajdował się krzyż słoneczny.

Podniosłam się ze stęknieniem i spojrzałam na miejsce, w którym siedziałam. Nie widziałam na deskach żadnego symbolu. No i klops. To znaczy, że mam narysować krzyż słoneczny?

Zaczęłam czytać zaklęcia. Kilka z nich mówiło o wiązaniu ognia. Nie miałam najmniejszej ochoty wiązać w jakikolwiek sposób Swarożycyca. Pewnie jego by to ucieszyło, ale mnie zdecydowanie nie bardzo.

Znacznie bardziej zainteresowały mnie zaklęcia dotyczące gaszenia ognia.

Siedziałam na strychu cały dzień. Po kilkudziesięciu próbach opanowałam kilka sztuczek, za pomocą których można było gasić i zapalać płomienie na świeczkach. Szkoda, że wcześniej tego nie przeczytałam, zanim zaczęłam biegać z zapalkami.

Nie wydawało mi się jednak, żeby mogło mi to w jakikolwiek sposób pomóc, gdybym chciała zrobić Swarożycowi krzywdę.

Wróciłam w końcu do niewyraźnego rysunku kręgu, który był tuż obok zaklęcia wiążącego ogień.

„Związanie ognia. Krąg z własnej krwi najlepiej. Kto narysował, ten może przerwać. Symbol osoby na środku. Sól. Spalony włos / krew / łza / ślina”.

Do tego dołączonych było kilka niewyraźnych rysunków, przypominających piktogramy. Ciężko nawet powiedzieć, żeby to było zaklęcie czy przepis. Brzmiało jak dziwna lista zakupów połączona z instrukcją składania mebli. Brakowało tylko dopisku z uczynną poradą, by w razie problemów z montażem skontaktować się z całodobowym punktem obsługi klienta.

Hm, soli nie wzięłam z kuchni. A, co tam. Może nie jest konieczna. Sięgnęłam po sztylet. Może chociaż spróbuję odtworzyć rysunek na podłodze. Resztą zajmę się później, albo zapytam Baby Jagi.

– Co tu robisz?

Ostrze przecięło opuszkę palca głębiej, niż zamierałam. Krew wartko zaczęła ciec po mojej ręce wprost na białą bluzkę.

– O cholera! – zaklęłam.

Swarożyc stał pod ścianą. Opierał się o nią plecami, dłonie wsunął do kieszeni spodni. Przyglądał mi się uważnie, usilnie próbując wyglądać niedbale. Mój zestaw ubraniowy na dziś oficjalnie został zniszczony.

– A co ty tu robisz?! – powtórzyłam po nim, tylko z dodatkiem dużej dawki złości i niechęci.

– Wpadłem w odwiedziny.

Ścisnęłam palec, usiłując zahamować krwawienie. Miałam ochotę zacząć przy nim rysować krąg, dopóki krew płynęła wartko, ale nie chciałam się zdradzić. Chociaż co ja głupia gadam. Przecież on na pewno już wie, że coś knuję. Wszystko stracone, nic nie ma sensu, a ja zginę marnie, usiłując kogoś zabić za pomocą zardzewiałego sztyletu, który świeci. Dobrze, że chociaż nie wydaje sygnałów dźwiękowych.

– Ubożęta ci doniosły? – zapytałam.

– Tak.

Oczywiście, że tak. Małe, niewidzialne sprzedawczyki. Po moim trupie zostawię im mleko na spodeczku. Mogą co najwyżej zjeść okruchy spod stołu.

Podszedł irytująco wolno i zatrzymał się naprzeciwko mnie. Ukucnął, a nasze twarze znalazły się na tej samej wysokości. Jego oblicze było spokojne. Podejrzanie spokojne.

– Co tu robisz? – jeszcze raz zapytał.

– Bawię się zeszytem Baby Jagi – odpowiedziałam zgodnie z prawdą.

Złota zasada kłamców mówi, żeby pomiędzy kłamstwa wplatać jak najwięcej prawdy, bo wtedy całe oszustwo staje się bardziej przekonujące. Postanowiłam się tego dzisiaj trzymać.

– A co dokładnie robisz?

– Usiłuję użyć do magii mojej krwi – przyznałam.

Jego twarz ciągle nie wyrażała żadnych emocji. Zaczęłam się zastanawiać, jak długo uda mi się to ciągnąć, zanim się porządnie wścieknie.

– Po co?

– A czemu miałabym tego nie robić? – oburzyłam się. – Już umiem zapalić płomień na świeczce, a także zgasić. Teraz postanowiłam przejść do przepisów zilustrowanych. Jarogniewa wspomina w nich o krwi, którą trzeba spalić, więc... próbuję to zrobić.

Zdałam sobie sprawę, że zaczynam niebezpiecznie dużo paplać. Jeśli chciałam w jakikolwiek sposób zdradzić się ze swoim zdenerwowaniem, to właśnie mi się udało. Brawo! Ciągle nie potrafiłam niczego odczytać z jego twarzy. Oboje wpatrywaliśmy się w siebie uparcie. Przyszło mi na myśl, że z boku może to wyglądać, jakbyśmy grali w Pomidora i usiłowali

rozśmieszyć się nawzajem.

Bóg zerknął na podłogę, na której rozsiadłam się po turecku. Oddzielała nas bura linia starego kręgu.

– Ćwiczysz dla mnie? – spytał.

– Słucham? – O mało się nie zachłysnęłam.

– Czyli jak rozumiem, ćwiczenia nie mają na celu poprawienia twoich zdolności nosicielki mojego ognia – odpowiedział sam sobie. – A jak wizje?

Zaczerwieniłam się. Jak mógł w ogóle pomyśleć, że ćwiczę dzisiaj dla niego, bo chcę mu się przypodobać, bo chcę być jego wyznawczynią. Też pomyśl! Chociaż z drugiej strony powiedział mi przecież, że to pokój tajnych schadzek, a ja wlażłam tu z własnej woli i bawię się świeczkami...

– Jeszcze nie próbowałam niczego zobaczyć. Czemu tu przyszedłeś i mi przeszkadzasz? Nie zapraszałam cię – zaatakowałam z nadzieją, że może uda mi się go przepędzić. – Mam dużo pracy.

Powoli, naprawdę bardzo powoli się uśmiechnął.

– Tęskniłem – odparł.

– Jakoś ci nie wierzę – skwitowałam.

Zauważyłam, że ranka na moim palcu już się zasklepiła. Teraz będę musiała jeszcze raz się ukłuć. Pięknie. Opuściłam dłonie na kolana i odetchnęłam.

Ja naprawdę mam już tego wszystkiego dość. Chcę, żeby cała ta historia się skończyła. Żeby dał mi wreszcie spokój.

– Jesteś sama w domu?

– Tak – przyznałam.

– Szeptucha wie, że tu jesteś?

– Nie.

Jego uśmiech jeszcze bardziej się poszerzył. Wyglądał prawie, jakby był szczerzy.

– Czego mi nie mówisz?

– Wielu rzeczy – odparłam zgodnie z prawdą.

Zaśmiał się. Jego spojrzenie było ciepłe, pełne uczucia. Jak dla mnie – przerażające. Gdybym nie znała go aż tak dobrze, mogłabym nawet pomyśleć, iż było pełne żarliwej miłości.

– Baw się w takim razie dalej. Niedługo znowu cię odwiedzę. A wtedy podam ci imię twojej przyszłej ofiary.

Podniósł się. Dym, dotychczas skotłowany przy jego stopach, uniósł się do góry, obejmując całą sylwetkę boga. Patrzyłam, jak Swarożyc rozwiewa

się i znika.

– Bo teraz to nie mogłeś mi powiedzieć? – rzuciłam w przestrzeń. – Pewnie za mało dramatyczne by to było, co?

Spojrzałam na zakrwawioną dłoń i rękaw bluzki utyłany na czerwono. Nie wiedziałam, co powinnam teraz zrobić. Nie byłam pewna, czy Swarozyc na pewno zniknął, czy nadal czai się gdzieś w kącie, tylko bawi się w niewidzialnego zboczeńca. Przecież powinien mieć jakieś boskie zajęcia, plan dnia. Ale nie, musiał się przypałać, jak tylko mu te wredne ubożęta doniosły!

– A do licha! – sapnęłam.

Jeszcze raz przejechałam ostrzem sztyletu po palcu i zaczęłam, w mniej więcej kontrolowany sposób, upuszczać krople dookoła siebie. Usiłowałam trafić w stary rysunek kręgu, ponownie uznając, że skoro już był narysowany, to pewnie był narysowany dobrze, tylko trzeba go poprawić świeżą krwią. Po chwili, zadowolona z siebie, mogłam podziwiać całkiem udany krąg.

Sięgnęłam po świeczkę, którą wcześniej postawiłam obok siebie. Była zgaszona. Spuściłam kroplę krwi na knot, zaczęłam pocierać go dwoma palcami i szepnęłam:

– Płoń, zaklinam cię na Swarozycyca, płoń. Niech jego dech, ognisty miech... – Mówiąc to, przewróciłam oczami. Naprawdę nie wiem, kto wymyślał te rymy. – ...Da mi zapalenie, ogniste płomienie.

Pomiędzy moimi palcami pojawił się ciepły płomyczek. Przysmażył mnie delikatnie w opuszki, zanim cofnęłam rękę. Idiotyczne zaklęcie, naprawdę idiotyczne. Na dodatek całkowicie nieprzydatne w życiu codziennym. Nie opłaca się upuszczać sobie krwi, żeby zapalać świeczkę. Nie w czasach, kiedy istnieją zapałki i zapalniczki. Mogę przystać jedynie na to, że jakiś sens znajduje się w zapalaniu ich wszystkich naraz. Bo takie zaklęcie też było w zeszycie.

Nie do końca rozumiejąc resztę zaklęcia, spaliłam w płomyku po kolei: kroplę swojej krwi, odrobinę śliny, włos, a na koniec łzę. Z łzą było najciężej. Zwykle udaje mi się zapłakać na zawołanie, ale teraz jakoś mi nie wychodziło. Musiałam sobie wepchnąć paluch do oka.

Skrzywiona, z jednym okiem tymczasowo niezdolnym do używania, patrzyłam na płomyk. Zrobił się podejrzanie zielony, ale poza tym nic się nie stało.

– Wiążę cię, przywiązuję do siebie i do kręgu – przeczytałam z zeszytu.

Rozejrzałam się dookoła, oczekując jakichś fajerwerków czy innego oświecenia, które by na mnie spłynęło łagodną falą. Nic z tego. Poza tym, że poczułam, iż mój pęcherz powoli domaga się opróżnienia, i zrobiłam się głodna. Najwyraźniej jeśli w zaklęciu nie ma rymów, to nie ma też efektów specjalnych.

Za oknami malował się już różowawy zmierzch.

– No i lipa – stwierdziłam.

Wstałam z podłogi z silnym postanowieniem, że resztę dnia spędzę najprzyjemniej, jak się tylko da, a mianowicie najem się, a potem położę i trochę poczytam.

Już miałam wyjść, kiedy uderzyłam o coś nosem. Aż mi się zakreśliło w głowie, a łzy, które wcześniej nie chciały lecieć, popłynęły wartko po policzkach.

– Co do... – wysapałam i wyciągnęłam przed siebie dłoń.

Oparłam się o coś gładkiego i chłodnego. Otworzyłam oczy i zamarłam ze zgrozy. Dłuższą chwilę zajęło mi ogarnięcie umysłem tego, co niechcący zrobiłam.

Moja dłoń opierała się na... powietrzu. A mówiąc dokładniej, na czymś przezroczystym i płaskim, co sądząc po dogłębnym opukiwaniu, rozciągało się od podłogi aż do sufitu. A wyrastało z kręgu narysowanego z mojej krwi.

Obeszłam rysunek na podłodze, przesuując dłońmi po niewidzialnej barierze. Panika zaczęła zaciskać mi gardło. Nie miałam zielonego pojęcia, jak mogę się stąd wydostać. Wyglądało na to, że ściana jest twarda, w żadnym razie się nie odkształca. Uderzanie w nią pięścią także do niczego mnie nie doprowadziło, nie licząc kolejnej fali łez, wylanej tym razem nad przetraconym palcem.

Rzuciłam się do zeszytu Jagi w nadziei, że znajdę tam informację, jak przerwać krąg. W żaden sposób nie mogłam go zetrzeć ręką, bo natrafiałam na ścianę. Z przepisu kompletnie nic nie wynikało.

– Sól – szepnęłam sama do siebie.

To był jedyny składnik, którego nie wykorzystałam, bo nie chciało mi się iść po niego do kuchni. Cholera jasna! Może trzeba było tę sól zjeść, to wtedy byłabym chroniona i mogłabym wychodzić z kręgu? Albo trzeba było ją spalić razem z krwią, śliną, łzą i włosiem?

Świeczka! Zapomniałam o niej!

Zdmuchnęłam zielony płomyk świecy, łudząc się, że to może wystarczy.

Zgasł, a i owszem. Niemniej jednak wcale nie zmieniło to mojego położenia. Ściany stały tutaj, gdzie je lekkomyślnie wygenerowałam. Pęcherz moczowy także był tak samo pełen jak jeszcze chwilę wcześniej. A może nawet pełniejszy.

Niedobrze.

Chociaż to zbyt delikatnie powiedziane. To była katastrofa.

– JAGA! – ryknęłam histerycznie.

Czyżby jeszcze piła zatrutą herbatkę z dziennikarką?

– JAGA!!!

Oj, niedobrze. Ja naprawdę muszę do łazienki!

28.

Jaga w końcu mnie uratowała, choć nie wyglądała na szczęśliwą. Śmiało można powiedzieć, że była nawet wściekła. Kiedy już wyszłam z łazienki, zwymyślała mnie na czym świat stoi. Miała pretensje o wszystko.

Poczawszy od kradzieży klucza.

– Ale to nie ja! Ubożęta mi przyniosły! – usiłowałam się bronić.

– Już ja ci dam ubożęta!

Poprzez niechlujne przygotowania:

– Czego żeś te okna odsłoniła? Przecież o to chodzi, że miały być zasłonięte! Po co inaczej świeczki palić i wosk marnować? Co ty sobie wyobrażasz, że ja teraz po drabinie będę skakać, żeby je znowu zakryć?

Na zapominalstwie skończywszy:

– Przecież sól jest najważniejsza! Sól potrafi złamać zaklęcia! Jak robisz magiczny krąg, to musisz go przerwać solą!

– Nie wiedziałam...

– Ale czytać chyba potrafisz? Jak byk stoi w moich notatkach.

– Napisałaś tylko słowo sól... Myślałam, że ją trzeba spalić czy coś.

– Bogowie, za co wy mnie tak karzecie? – wykrzyknęła, patrząc w sufit.

– Jak jeszcze mi tu zaczniesz opowiadać, że myślała, że ma tę sól zjeść, to ukatrupię na miejscu bez względu na konsekwencje.

W związku z tym nie przyznałam się, że i taki pomysł chodził mi po głowie.

– Najpierw trzeba było użyć soli. Dopiero potem spalać swoje rzeczy w świeczce. Poza tym nie musiałaś spalać wszystkiego, krew, włos, ślina i łza są wykorzystywane zamiennie! Przecież były przedzielone kreseczkami! – żołądkowała się.

Mogła napisać trochę jaśniej to zaklęcie. Ja rozumiem, że to były jej twórcze notatki, ale tam naprawdę nie było żadnych konkretów.

– Następnym razem rozsypujesz sól w poprzek kręgu. Będzie otwarty, dopóki nie zetrzesz soli, ale robisz to wtedy, gdy stoisz poza nim. To bardzo silne zaklęcie wiążące. Możesz zamknąć w środku każdego, rozumiesz? Każdego! Wyobrażasz sobie, co by się stało, gdybym nie przyszła, gdybym uznała, że pewnie śpisz, i dlatego bym cię nie szukała?

Nadal byś tam tkwiła. Albo gdyby coś mi się stało? Gdyby już nigdy nikt cię nie znalazł?

Okazało się, że krąg był do pewnego stopnia dźwiękoszczelny. Ledwie było mnie słyszeć, gdy wydierałam się na całe gardło.

– Przepraszam – powiedziałam.

Jaga zaczęła odzyskiwać kolory na twarzy.

– Krzywdę sobie mogłaś zrobić, głupia dziewucho – rzuciła jeszcze gderliwie.

Na szczęście najgorsze było już za mną. Nie będzie więcej krzyczeć, weszła w tryb narzekania. Chyba naprawdę się przestraszyła, kiedy zobaczyła mnie zamkniętą w kręgu.

– Po co się w to bawiłaś? – zapytała.

– Chodź do pokoju bez cienia – zaproponowałam. – Nie dowierzam ubożetom. Cały czas podsłuchują.

Kiedy już jej wytłumaczyłam, w jakie to kłopoty jak zwykle się wpakowałam, załamała ręce nad moją dolą, ale potem wyraźnie się ożywiła.

– To co? Wyjaśnić ci, jak powinnaś była to zrobić? – zapytała. – Bo tego kręgu to wcale nie musiałaś rysować swoją krwią.

Następnego dnia znacznie lepiej już się do wszystkiego przygotowałam.

Mroczne cienie czały się w kątach pomieszczenia. Okna na pochyłym dachu znowu zostały szczelnie zaklejone na czarno.

Usiadłam na piętach i odrzuciłam długie włosy na plecy. Sukienka zafalowała i rozłożyła się dookoła mnie na szorstkich deskach, niemalże w idealny okrąg. Mimo że ostatnio sprzątałam, chmurka kurzu uniosła się do góry i zakręciła mi w nosie.

Baba Jaga nie zaglądała na swój strych od kilkadziesiąt lat. Zamknęła za sobą drzwi na klucz, raz na zawsze odgradzając się tym od swojej przeszłości i powiązań z bogiem ognia, Swarogiem.

Potoczyłam spojrzeniem po dużym, pustym pomieszczeniu rozświetlonym dziesiątkami różnokolorowych świec. Ich cienkie płomyczki drżały delikatnie. Cienie w kątach poruszyły się. Odetchnęłam głęboko zatechnym powietrzem i zamknęłam oczy.

Ja nie zamierałam odgradzać się od Swarogia. Co to, to nie. Ja go

zamierzam do siebie przyciągnąć.

– Czy ktoś tu jest? – zapytałam.

Mój głos zabrzmiał głucho. Zupełnie jakby płomienie pochłaniały dźwięki.

Nie wiedziałam, czy gdzieś tam, w ciemnościach, czają się ubożęta, by podsłuchać każde moje słowo i podejrzeć każdy ruch. Usłyszałam jakiś szelest. Czyżby tupot małych stóp?

Otworzyłam oczy. W kurzu przede mną odcisnięte były ślady drobnych stóp.

Były tu.

Sięgnęłam do kieszeni sukienki i wyjęłam czerwoną szminkę. Pomalowałam nią wargi. Następnie zaczęłam rysować na drewnianej podłodze krąg w taki sposób, by otaczał mnie z każdej strony. Całe szczęście, że zamiast krwi można użyć farby lub szminki. Mazanie krwią po podłodze jest takie niehigieniczne.

Sięgnęłam po zeszyt babci Jagi, który zabrałam ze sobą. Otworzyłam go na samym końcu, w miejscu gdzie ołówkiem narysowany był bardzo podobny krąg.

Uśmiechnęłam się pod nosem. Płomienie świec dookoła mnie zadrzały, zupełnie jakby nie mogły się doczekać tego, co niebawem się stanie.

– Już wiem, jak zrobić ci krzywdę – szepnęłam cicho. – Wiem, jak cię zamknąć.

29.

Znowu się nie wyspałam. Po moich kolejnych zabawach z rysowaniem kręgów, tym razem zakończonych pełnym sukcesem, zasiadłyśmy wieczorem z Jagą przed telewizorem, żeby w nagrodę kompletnie się odmóżdżyć. Bo Jarogniewa uważa, że tylko do tego służy telewizja. Zmieniła zdanie, kiedy jej pokazałam kanał kulinarny.

Chyba dopiero o trzeciej w nocy udało mi się ją zagonić do łóżka.

Teraz obie siedziałyśmy nad śniadaniem jak nieprzytomne. Każda z nas wpatrywała się tępo w talerze, na których stygły tosty.

– Chcesz dzisiaj znowu coś oglądać? – zapytałam.

Spojrzała na kilkanaście kartek z przepisami. Wczoraj usiłowała zanotować wszystko, co tylko pokazali. A że trafiłyśmy na dwugodzinny blok tematyczny poświęcony, zgodnie z obecną porą roku, dyniom, zapowiadało się, że w najbliższym czasie zjemy wszystkie trzydzieści dwie, które wyrosły jej w ogródku (tylko dlatego, że w zeszłym roku wywaliła pestki przez okno).

– Chyba na razie wystarczy mi przepisów – stwierdziła.

Nagle rozległ się dźwięk dzwonka do drzwi.

– A kogo tam niesie? – burknęła.

Zacząłam wstawać, ale złapała mnie za rękę i powiedziała:

– Siedź, jeszcze nie zjadłaś. Ja przepędzę intruza.

Sięgnęłam po kubek z kawą zbożową. Nagle poczułam, że mój żołądek wykonuje niekontrolowany zwrot. Od zapachu kawy zrobiło mi się niedobrze. Całe śniadanie stanęło mi w gardle. Przewracając krzesło, rzuciłam się do łazienki, modląc się jednocześnie do Mokosz, żebym zdążyła.

Nie słyszałam, co się działo przy drzwiach. Na pewno dotarł do mnie podniesiony męski głos oraz równie donośne, a może nawet głośniejsze wymówki Jarogniewy. Przemknęłam korytarzem i zamknęłam się w łazience. Gdy wymiotowałam, odgłosy kłótni ucichły. Mój szaleńczy bieg przez hol chyba wybił ich z rytmu.

Miałam wrażenie, że zaraz wypluję z siebie całe wnętrze. Słyszałam co nieco o nudnościach i wymiotach ciężarnych, ale bez przesady!

Wymiotować od kawy zbożowej? Serio?

Otarłam spocone czoło i przepłukałam usta wodą. Miałam ochotę się jej napić, ale na samą myśl mój żołądek zaprotestował, znowu podchodząc mi do gardła. Ja dziękuję za takie poranne mdłości. Mdłości! Dobrze sobie.

Do drzwi łazienki ktoś cicho zapukał.

– Gosia?

Poznałam. Teraz poznałam ten głos. To był Mieszko. Wrócił! O mało nie zerwałam się z podłogi upaprana wymiocinami.

– Już, chwileczkę! – odkrzyknęłam. – Zaraz wyjdę.

Gdy weszłam do kuchni, już z umyтыми zębami, z grubsza doprowadzona do porządku, Jaga i Mieszko siedzieli sztywno naprzeciwko siebie. Przed Mieszkiem stał kubek z parującą kawą. Gdy tylko poczułam jej zapach, musiałam wykonać kolejny szaleńczy bieg do łazienki.

Na szczęście za drugim razem, kiedy w obawie przed silnymi zapachami ostrożnie przekroczyłam próg, przywitał mnie pusty stół.

W oczach Mieszka odbijała się troska. Miał podkrążone oczy. Cienie i kilkudniowy zarost sprawiały, że wyglądał na chorego. Dłuższe na czubku głowy włosy oklapły od czapki, którą najwyraźniej miał wcześniej na głowie. Wyglądał na zmęczonego, ale zadowolonego. Uśmiechnęłam się na widok kremowego golfu z grubej włóczki, który mu podarowałam jakiś czas temu.

Nie cierpiał go, chociaż nie chciał tego oczywiście przyznać głośno. Wziął go jednak do Gniezna. Myślałam, że po to, żeby go niechcący zgubić, a tu proszę! Założył go!

– Wróciłeś! – wykrzyknęłam.

Złapał mnie w ramiona i przytulił. Przez chwilę miałam okazję poczuć się jak bohaterka romansów, pięknonica heroina, której wybranek wrócił z długiej podróży. Szybko jednak to wrażenie mi przeszło, gdy dotarł do mnie delikatny zapaszek wymiocin, który cały czas unosił się delikatną mgiełką dookoła mojej twarzy.

– Mówiłem, że postaram się wrócić najszybciej, jak tylko mi się uda – powiedział.

Jego silne ręce objęły mnie i mocno przycisnęły do piersi. Usłyszałam, jak serce wojownika uderza miarowo niczym odległy grzmot.

– Tęskniłam!

– Ja też.

Najwyraźniej zapachy mu nie przeszkadzały albo to była tylko moja

wybujała wyobraźnia. Nie wiem, jak długo byśmy tak stali, gdyby nie Jaga, która odchrząknęła znacząco.

– Nie chcę wam zakłócać tej sielanki, ale chyba musimy porozmawiać, a ja powinnam już wędrować do pracy.

Oderwaliśmy się od siebie. Mieszko nadal posyłał w moją stronę zaniepokojone, długie spojrzenia, ale nic nie mówił. Podprowadził mnie tylko do krzesła, jakby obawiał się, że mogę się przewrócić, gdy tylko mnie puści. Jego dłoń opierała się o moje plecy, idealnie pomiędzy łopatkami.

– Może chcesz biec do pracy, a pogadamy później? – zaproponowałam.

– Eee, głupstwa gadasz. To Nowakowa tam stoi – odparła Jaga, zerkając zza firanki w kierunku swojej chatki. – Postoi sobie na zimnie, może dojdzie do wniosku, że nie będzie mi zawracać głowy kolejną pierdołą, z którą przychodzi. Masz.

Podawała mi szczelnie zamkniętą torebkę wypełnioną jakimiś suszonymi listkami i kwiatkami.

– Przygotowałam ci ziółka na mdłości – powiedziała Jaga. – Na razie nie zalałam ich wodą, bo nie wiem, czy od ich zapachu też nie zrobi ci się niedobrze. Spróbuj później.

– Nie ma sprawy.

Nie mogłam przestać patrzeć na Mieszka. Wydawał się taki wyczerpany. Musiał jechać w nocy albo bladym świtem. On jednak nie poświęcał mi tyle uwagi. Skupiał się teraz na świdrowaniu wzrokiem Baby Jagi.

– Słucham twoich wyjaśnień – powiedział do Jarogniewy.

Zacisnęła mocno usta i parsknęła.

– Nie muszę ci się tłumaczyć – odparła.

– Jednak byłoby miło...

– Nie podoba mi się twój ton!

Wzruszyła ramionami i odwróciła głowę, jakby zamierzała się obrazić, jednak zaraz się zmytygowała. Chyba przypomniała sobie, że to jednak on jest od niej starszy. Pamiętam, jak mnie strofowała, że się źle zachowuję wobec władcy.

Mieszko milczał. Wpatrywał się w nią tylko twardym spojrzeniem. Takim, od którego nawet ja dostaję czasem dreszczy, chociaż zwykle nie działają na mnie jego sztuczki.

– Mszczuj dawno temu napisał list polecający – wyjaśniła. – Zrobił to sam, wcale go nie namawiałam. Przyrzekam.

– Nie wierzę.

– Niech ci będzie. Podyktowałam mu jego treść, ale inicjatywa była całkowicie po jego stronie – dodała po chwili. – Mieszko, Mszczuj był tobą zachwycony. On naprawdę widział w tobie swojego następcę. Godnego następcę.

Mój mężczyzna pokręcił głową. Widziałam, jak zaczęło go ogarniać zniechęcenie. Nie był typem, który łatwo się poddaje, ale czasami po prostu machał ręką na niesprzyjające okoliczności i jeśli wiele go to nie kosztowało, starał się płynąć z prądem, bo to było łatwiejsze od dalszej dyskusji.

W taki sposób rozwiązaliśmy nasz spór dotyczący koloru kanapy, którą kiedyś kupimy.

On uważa, że to uzgodniliśmy. Ja uważam, że wygrałam, bo się poddał.

– Mszczuj był dumny, że wybrałeś właśnie jego, by się uczyć – powiedziała szeptucha.

Mieszkowi zrobiło się trochę głupio. Wszyscy wiedzieliśmy, że posługa u bielińskiego kapłana była tylko przykrywką. Później faktycznie wczuł się w rolę i starał się ogarniać za Mszczuja wszystkie sprawy, jednak wyraźnie nie sprawiało mu to żadnej radości.

– A na czym stało w Gnieźnie? – zapytałam.

– Praktycznie niczego nie udało mi się załatwić – oznajmił. – Wepchnęli mi w ręce dokument poświadczający, że odbyłem całe szkolenie, uprawniający mnie do prowadzenia samodzielnej praktyki. Nawet nie musiałem się nigdzie podpisywać...

– Och, nie?

– Nie. Okazuje się, że podpis kandydata nie jest do niczego potrzebny. Równie dobrze mogli wysłać mi to pocztą z radosną nowiną, że staję się kapłanem w chwili odebrania listu poleconego.

– To po co kazali ci przyjechać? – Bo ktoś im powiedział, że ja nie chcę być wróżem i że jeśli tak zrobią, to po prostu wyrzucę dokumenty i będę dalej żył swoim życiem. – Znowu skierował pełne oskarżeń spojrzenie na Jarogniewę. – W związku z tym ściągnęli mnie do Gniezna, żeby mnie przekonać. Usiłowałem składać odwołania. Przynosiłem im zaświadczenia, że nie zaliczyłem odpowiedniej liczby dni szkoleniowych. Nic ich nie obchodziło. Zostałem kapłanem.

– A ty znasz chociaż wszystkie modlitwy na pamięć? – spytałam z powątpiewaniem.

– Oczywiście, że nie! – zachnął się. – Powiedziałem im to. Byli

zaskoczeni, ale stwierdzili, że trudno, że zdążę się przecież nauczyć.

Jaga zachichotała.

– To kapłani – wyjaśniła. – Zapomnieliście już Mszczuja? Naprawdę spodziewacie się po nich jakiegokolwiek logiki?

– Czyli co? Zostałeś kapłanem? Ot tak? Po prostu? – dopytywałam.

– Nie, nie. Jako że stanowczo odmówiłem posługi, poszliśmy w końcu na kompromis. Zajmę się przygotowaniem do Dziadów, a jeśli nie znajdą nikogo do Szczodrych Godów, to także nimi. Od Nowego Roku nic mnie nie obchodzi, bo zobowiązali się kogoś tu przysłać.

– Chyba że ci się spodoba – zauważyła Jaga.

Nawet nie odpowiedział. Posłał jej tylko ciężkie spojrzenie.

– No to chyba dobrze, prawda? Wszystko się rozwiązało. Musisz się tylko teraz przemęczyć. My ci z Jagą przecież pomożemy – powiedziałam szybko. – Zanim się obejrzysz, miną Szczodre Gody i problem z głowy!

– Nie o to chodzi. Nie życzę sobie, żebyś robiła cokolwiek za moimi plecami.

Zmartwiałam, ale nie mówił tego do mnie. Uwaga była skierowana do Baby Jagi.

– Pytałam cię, ale nie chciałeś wziąć odpowiedzialności za ludzi, których zostawił ci Mszczuj – odparła.

– Więc mnie zmusiłaś.

– Poniekąd – przyznała.

– Nie rób tego więcej.

W jego głosie przebrzmiała ledwie skrywana groźba. Nawet szeptucha lekko zeszywniała.

– Przepraszam cię, Mieszko – powiedziała. – Ci ludzie, te święta... są dla mnie bardzo ważne. To pierwsze Dziady od śmierci Mszczuja. Nie pozwolę, żeby zajmował się nimi ktoś obcy, kto go nie znał. Uważam, że postąpiłam słusznie, bo twoim obowiązkiem jest zadbać o swojego mistrza i jego pamięć. Nie było cię na jego pogrzebie, nie położyłeś pochodni na jego stosie. Oddaj mu cześć chociaż w ten sposób.

Mierzyli się spojrzeniami. Przez chwilę wyglądało, jakby Mieszko miał zerwać się z krzesła i wyjść obrażony. O dziwo, trwał nieruchomo na swoim miejscu.

– Ja też przepraszam – odezwał się w końcu. – Nie powinienem był wyjeżdżać i porzucać Mszczuja. Masz rację.

– A ja obiecuję, że nigdy więcej nie zrobię niczego za twoimi plecami.

Czekałam, aż ze łzami rzuca się sobie w ramiona. Obstawiam, że jeszcze chwila i któreś pęknie. Niestety się zawiodłam.

– Cieszę się, że wszystko sobie wyjaśniliśmy! – Jaga zerwała się z krzesła. Podeszła do nas i poklepała Mieszka po ramieniu. – Powinieneś zacząć się przygotowywać do Dziadów. Musisz porozmawiać z wójtem, skrzyknąć ludzi. Gdybyś potrzebował pomocy, śmiało wpadaj. Idę do Nowakowej. To musi być coś poważnego, bo jeszcze tam sterczy.

Zanim zdążył cokolwiek odpowiedzieć, uciekła z kuchni. Spojrzał więc na mnie.

– A ty jak się czujesz? – zapytał.

– Teraz już dobrze.

Ogień w kominku płonął wesoło. Szczapy pękały z cichym trzaskiem, gdy pożerały je ciepłe płomienie, a złote iskry unosiły się w górę komina, wirując jak szalone w ciepłym powietrzu. Rozsiadłam się na kocyku, z katalogiem meblarskim na kolanach. Obok mnie stał kubek z ziółkami na mdłości. Na szczęście nie mdliło mnie od ich aromatu.

Mieszko wpadł dzisiaj w jakiś szal. Przejął się, że Dziady lada dzień, i postanowił zintensyfikować przygotowania. Odwiózł mnie do domu, napalił w piecu, kominku, odśnieżył całą posesję, a potem pobiegł, rzecz jasna, do swojego konia. Chyba mi nie dowierzał, że odpowiednio się nim zaopiekowałam.

Następnie zniknął pod prysznicem, oznajmiając mi jeszcze w biegu, że zamierza ugotować mi obiad, a ja mam odpoczywać.

Podejrzane.

Niemniej jednak nie protestowałam. Nikt nic dzisiaj ode mnie nie chciał, nie gonił, pozwolił się wyspać. Mogłam wreszcie odpocząć. Z czystym sumieniem wylegiwałam się w ciepłe, snując marzenia o tym, jak będzie wyglądał nasz dom, kiedy już go umebluję. I kupię kanapę. Turkusową. Bo tak.

Za oknem prószył śnieg. Grube płatki opadały powoli na coraz grubszą białą pokrywę. Słońce już dawno schowało się za horyzontem. Droga wciąż nie była zelektryfikowana, więc widoczność sięgała tak daleko, jak pozwalał blask z naszych okien.

Z kuchni napływały falami apetyczne zapachy, ale już nawet nie próbowałam tam wejść. Gdy chwilę wcześniej chciałam interweniować, bo na odmianę dobiegł mnie zapach spalenizny, przepędził mnie rozgorączkowany Mieszko. Nie, to nie, przecież nie będę się kłócić. Łaskawie pozwolił mi zapalić kilka świec, żeby zrobić nastrój, więc wykonałam, co do mnie należało, i znowu wróciłam przed kominek.

Ja wiem, że to jest bardzo romantyczne i nastrojowe, jednak patrząc w ogień, nie mogłam przestać myśleć o Swarżycu. W pewnej chwili miałam wrażenie, że płomienie ułożyły się w rysy jego twarzy, ale to było tylko złudzenie. Co chwilę myślałam odpływałam od kanap i foteli w stronę

naszej wczorajszej rozmowy i wizji płonącej kobiety.

Nagle Mieszko wypadł z kuchni, minął mnie bez słowa i pognął po schodach na górę.

– Pomóc ci? – krzyknęłam za nim.

– Nie!

Gdzieś na górze trzasnęły drzwi.

Oszaleć z nim można... Postanowiłam, że dzisiaj spróbuję pobawić się wizjami. Przed zaśnięciem postaram się bardzo intensywnie myśleć o mojej mamie. Może mi się uda. Cholerny Weles. Zupełnie jakby nie mógł mi po prostu powiedzieć. To tak naprawdę jego wina! Wszystko jest tylko jego winą. Gdyby się nie zaparł, że mi nie powie, kto jest moim ojcem, to nie poprosiłabym o pomoc Swarożyca. Co więcej, gdyby Weles nie odpowiedział na modlitwy mojej mamy, to w ogóle bym do Bielin nie przyjechała.

Mieszko po raz kolejny minął mnie biegiem i wpadł do kuchni.

Z drugiej strony, gdyby nie Weles, nie przyjechałabym do Bielin i nie poznałabym Mieszka. A teraz nie nosiłabym jego dziecka pod sercem.

Zaraz. Mieszko mnie minął, ale... Zaskoczona zdałam sobie sprawę, że chyba miał na sobie czystą koszulę. Przebrał się? A po co?

Nerwowo przyglądałam włosy i poprawiałam bluzkę. Brzuch ciągle miałam jeszcze płaski, więc mogłam chodzić w swoich normalnych ubraniach. Z lękiem pomyślałam o tym, że przecież w końcu zacznę tyć i nabierać wody, nogi w kostkach mi opuchną, twarz się zaokrągli, urosną piersi, a brzuch zwiększy się do rozmiarów piłki plażowej. Czy będę mu się wtedy podobać?

Mnie samej z tych wszystkich dodatkowych atrakcji w ciąży tylko zwiększenie rozmiaru miseczki stanika wydawało się pozytywne.

Do saloniku wszedł Mieszko.

– Szkoda, że nie mamy jeszcze stołu. Na kolanach nie będzie wygodnie – stwierdził. – Proszę.

Wzięłam od niego talerz makaronu, wyciapanego jakimś białawym sosem z kawałkami boczku. Danie z grubsza wyglądało na włoską carbonarę. Nawet nie wiedziałam, że on je takie rzeczy, nie mówiąc o tym, że umie je przygotowywać! Przecież szczytem jego możliwości kulinarnych są kanapki z serem. Nie mogłam wyjść z podziwu, wpatrując się w talerz.

– Coś nie tak? – zmartwił się.

– Nie, nie, wszystko jest świetnie.

Z naszej dwójki to ja uwielbiałam włoską kuchnię. Wydaje mi się, że kiedyś mu o tym wspomniałam, ale w żadnym razie nie spodziewałam się, że będzie pamiętał.

– To jakaś okazja? – spytałam, kiedy usiadł obok mnie na poduszce.

Miał rację, trzymanie ciepłego talerza na kolanach w żadnym razie do wygodnych nie należy. Jutro kupujemy stół. Nieodwołalnie.

– Tęskniłem – powiedział enigmatycznie.

Zjedliśmy, gawędząc o Gnieźnie i o tym, że wszystkie mieszkanki Bielin będą się teraz kochać w nowym kapłanie. Mieszka wyraźnie peszyła taka możliwość i nie do końca ją rozumiał. Najbardziej jednak denerwowało go, że to teraz on będzie musiał dopilnować budowy świątyni i nowego domu dla wróża. W żadnym razie nie zamierzaliśmy się tam przeprowadzać, ale trzeba będzie wszystko przygotować dla nowego kapłana.

Oboje nie dojedliśmy kolacji. Sos nie do końca się udał, jednak liczą się chęci. Już samą próbą gotowania Mieszko zdecydowanie podbił moje serce. To naprawdę była ostatnia rzecz, której bym się po nim spodziewała. Odstawiliśmy talerze, a ja przytuliłam się do niego i schowałam w jego ramionach. Oczy zaczęły mi się zamykać. Było mi ciepło, w brzuchu ciążył przyjemnie posiłek, miałam obok siebie ukochanego. Żyć, nie umierać.

– Było pyszne, bardzo dziękuję – wyszeptałam.

Pocałował mnie w czoło. Pogładziłam jego policzek. Był gładki, świeżo ogolony. Jego błękitne oczy zalało ciepło i coś jeszcze. Coś, czego nie potrafiłam odczytać. Jeszcze nigdy tak na mnie nie patrzył.

– Nie usypiaj mi tu – powiedział. – Mam jeszcze plany na dzisiaj.

– Hm? – Od razu się rozbudziłam.

Jego usta przesunęły się po mojej skroni. Musnął policzek, a potem przygryzł płatek mojego ucha. Sapnęłam i sięgnęłam do jego koszuli. Złapał mnie za dłonie i przygwoździł je do ziemi. Zerknęłam na jego odsłonięte przedramiona, na krzywe blizny, układające się w kształt rąk z powykręcanyimi palcami, pamiątkę po spotkaniu spaleńca.

Jego ciepły oddech załaskotał mnie w kark, który odsłoniłam, zaplatając włosy w koronę z warkocza.

– Nie tak szybko – zaśmiał się. – Każdego wieczoru, gdy byłam daleko od ciebie, marzyłem o zdarciu z ciebie ubrania, ale poczekaj jeszcze chwilę.

– Na co? – zapytałam nadąsana.

– Na niespodziankę.

Jego usta przesunęły się po moim ramieniu, w stronę dość głębokiego

dekoltu. Specjalnie założyłam taką bluzkę, kiedy przyjechaliśmy do domu. Chciałam mu się podobać.

Zdołałam uwolnić jedną dłoń. Wsunęłam palce w jego krótkie włosy. Oderwał się od mojej piersi i pocałował mnie w usta. To nie był romantyczny pocałunek, delikatny niczym muśnięcie skrzydeł motyla. Przygryzł moją wargę i mruknął zadowolony, gdy rozchyliłam usta.

Jego język wślizgnął się do moich ust. Poczułam ucisk w dole brzucha. Nic więcej mnie nie obchodziło. Chciałam... nie... chciałam to zbyt delikatne określenie. Ja pragnęłam, żeby zerwał ze mnie tę bluzkę. Chciałam dotknąć jego nagiej skóry. Chciałam poczuć go w sobie. Już, teraz, natychmiast.

Nagle odsunął się ode mnie. Ledwie mogłam złapać oddech.

– Co się stało? – wydusiłam zdezorientowana.

Znowu złapał mnie za dłonie, bo już dobierałam mu się do rozporka, usiłując uwolnić to, co coraz mocniej napierało na materiał spodni.

– Jeszcze nie teraz – powiedział.

Uśmiechnął się do mnie zadowolony. Podczas uśmiechu jeden kącik ust unosił mu się odrobinę wyżej od drugiego, przez co zawsze wyglądał, jakby lekko kpił, ale teraz nie zobaczyłam w jego uśmiechu żadnej ironii. Potoczył spojrzeniem po mojej twarzy. Podobał mu się stan, do jakiego mnie doprowadził. Wyglądał, jakby był z siebie dumny.

– Idziemy na spacer – oświadczył.

– Co? – Wciąż oddychałam ciężko.

Poprawił mi bluzkę i przykrył nią stanik, który wychynał zza niej, gdy się całowaliśmy.

– Spacer, a raczej przejażdżkę – dodał.

– Co? – powtórzyłam tępo.

– Ubierz się ciepło. Włóż może ten kozuch, który niedawno kupiłaś – poradził usłużnie.

Zerwał się na nogi i pomógł mi wstać. Oparłam dłonie na jego szorstkich od poparzeń przedramionach.

– Zaraz, nie rozumiem, co się dzieje. Dlaczego mam dokądś iść? Ale ja nie mam ochoty. Mnie się tu podoba. To mi się podobało! – Wskazałam palcem na swoje usta.

– Chodź na spacer.

– W taki ziąb? – Pojedziemy na Niksie.

Chyba lekko zzieleniałam na twarzy, bo zatrzymał się w pół kroku.

– Nie dasz rady? – zapytał lekko zbity z tropu.

– Nie wiem, może dam... Zobaczymy.

Już i tak ochota na całowanie się przy kominku mi przeszła. Równie dobrze mogę się wybrać na przejażdżkę. Może makaron lepiej ułoży się w brzuchu. To Mieszko powinien żałować, że nie dobrałam się do jego spodni!

Posłusznie założyłam brązowy kozuch, z obszytym futrem kołnierzem. Był bardzo ciepły. Idealny na zimy w rejonie Łysej Góry. Nie wyobrażałam sobie ogniska na cmentarzu bez równie ciepłej odzieży. A na pewno nie zamierzam zamarznąć na kość podczas Dziadów.

Mieszko wygasił świece i wyszedł razem ze mną na dwór. Spod jego rozchełtanego kozucha, nowego, bo poprzedni przecież spłonął podczas walki, unosiła się para, gdy rozgrzany poprowadził mnie do stajni.

Nix już na nas czekał. Był wyczesany, grzywa opadała mu miękko na szyję. Grzbiet miał przykryty ciepłą derką. Zastrzygł uszami na nasz widok i wesoło zarżał, przestępując z nogi na nogę.

Kiedy on to wszystko przygotował?

– Okej, co ty knujesz? – zapytałam. – A raczej co wy knujecie?

Miałam nadzieję, że dzisiejsza kolacja i wyśmienity humor Mieszka nie miały osłodzić mi jakichś nowych przykrości. Po nim można spodziewać się wszystkiego. Może zabił w jakiś sposób Witka i chce mi się teraz pochwalić swoim dziełem? Nie uśmiechało mi się podziwiać jego zwłok gdzieś w lesie.

– Zobaczysz za chwilę. Wsiądę pierwszy i ci pomogę, dobrze?

Bez wysiłku wskoczył na koński grzbiet. Ja niestety tak skoczna nie jestem. Rumak miał w kłębie więcej, niż ja miałam wzrostu. Ogrom tego zwierzaka lekko mnie przerażał. Konie nie powinny być aż takie wyrosnięte.

– Podasz mi lampę?

Posłusznie wyciągnęłam w jego stronę rękę z lampą LED, z którą zwykle wybierał się na wieczorne spacerunki. Następnie wdrapałam się najpierw na drewniany płotek, obok boksu Nixa, a potem pozwoliłam, by Mieszko podholował mnie do góry. Usiadłam przed nim. Grzbiet konia był na tyle długi, że Mieszko i tak mógł spokojnie trzymać wodze, gdy siedziałam z przodu, niczym dziecko. Poza tym widział wszystko nad moją głową, bo przecież jestem dużo niższa od niego.

– Gdzie jedziemy? – zapytałam, gdy koń ruszył stępa.

– Zobaczysz – szepnął mi do ucha. – Złap lampę.

Nie pytałam o nic więcej. Wolną dłonią schwyciłam grzywę Nixa i wtuliłam w pierś Mieszka. Dookoła siebie miałam jego ramiona i dłonie, którymi trzymał wodze. Lampa bujała się w rytm końskich kroków. Jej sine, skaczące przy każdym kroku konia światło pokazywało nam drogę i zabarwiało śnieg na bładoniebiesko.

Nie czułam mdłości. Nawet zapach konia nie podrażniał mojego żołądka. Po kilkunastu minutach musiałam przyznać rację Mieszkowi. Wieczorna przejażdżka, podczas gdy z nieba spadały grube płatki śniegu, była bardzo przyjemna. Bajkowa wręcz. Nasunęłam głębiej kaptur na głowę i pomimo lekkiego stresu, że koński grzbiet jest jednak bardzo wysoko nad ziemią, skupiłam się na przyjemności wieczornego wyjścia. W razie czego wpadnę w zaspę. Będzie miętko.

W końcu podjechaliśmy pod ścianę lasu. Moje dłonie, pomimo rękawiczek, zaczęły marznąć. Czubek nosa szczypał z zimna.

Mieszko skierował Nixa na ścieżkę pomiędzy drzewa.

– Dokąd my jedziemy? – znowu zapytałam.

– Zaraz będziemy na miejscu. Wytrzymaj jeszcze chwilę. Zimno ci?

– Trochę, ale wytrzymam.

Las wyglądał, jakby ktoś go posypał cukrem pudrem. Ciężkie czapy białego śniegu przykrywały zielone gałęzie jodeł i sosen. Wysokie drzewa chroniły nas przed spadającymi płatkami i wiatrem. Zrobiło się odrobinę cieplej. Dziewiczy śnieg skrzypiał pod końskimi kopytami. Przed nami nikt jeszcze nie podążał tą ścieżką, odkąd z nieba spadł biały puch. Miałam wrażenie, że Nix doskonale wie, gdzie powinien iść, i szedł bez wskazówek Mieszka.

– Ciemno – zauważyłam z lekkim niepokojem.

Faktycznie zaczęło się robić coraz ciemniej. Jechaliśmy cały czas szlakiem, który jednak oddalił się już od granicy lasu i prowadził nas w głąb puszczy. Niebo było zachmurzone, drzewa wysokie. Jedyne lampa mogła nam wskazać teraz drogę. Jej światło sprawiało, że wszystkie cienie wydawały się żywe.

Poczułam się nieswojo. Przejażdżka nie była już tak bajkowa. Jeszcze ta cisza! Słyszeliśmy jedynie sapanie Nixa. Nic poza tym.

Zacząłam się zastanawiać, czy wzięliśmy ze sobą broń. Samotna przejażdżka w środku nocy wydawała mi się teraz mądra.

– Jeszcze chwilę, kochana – uspokoił mnie.

„Kochana”. Rzadko nazywał mnie w ten sposób. Zsunęłam z głowy kaptur i odwróciłam do niego głowę. Mrugnął do mnie. Z naszych ust unosiły się obłoczki pary.

Oblepione śniegiem drzewa wyglądały zupełnie inaczej niż w pełni lata. Nix przeszedł nad zamarzną wodą. Zrozumiałam, że to przykryty cienką warstwą lodu strumień. Pod srebrzystą warstwą widać było wartko płynący potok.

Nie rozpoznawałam już żadnych ścieżek i szlaków. Całkiem straciłam orientację w tym bajkowym krajobrazie. Przez chwilę nawet wydawało mi się, że jedziemy w stronę wejścia do Wyraju.

Wjechaliśmy na polanę. Pośrodku znajdowało się przysypane śniegiem, nieregularne wzniesienie ze sterzącym do góry słupem. Zadarłam głowę do góry. Nie rozumiałam, na co patrzę. Nix zwolnił, gdy Mieszko lekko szarpnął za wodze.

– Schodzimy – powiedział.

Zeskoczył z konia wprost w głęboki śnieg, który sięgał mu do połowy łydek. Zabrał ode mnie lampę i postawił ją na ziemi, a następnie uniósł do góry ręce, łapiąc mnie w pasie. Przerzuciłam nogę nad końskim łbem i pozwoliłam, by mnie postawił. Zapadłam się w śnieg. Zaczął mi się wsypywać do botków.

– Mieszko, gdzie my jesteśmy? – zapytałam.

– Nie bój się, nic nam nie grozi.

Wziął mnie za rękę i poprowadził obok górki. Nasze nogi zapadały się głęboko w śnieg, więc dość szybko się zasapałam. Za górką znajdował się z kolei dołek. Obok wbite w ziemię stały dwie pochodnie z gatunku tych, które można kupić w każdym sklepie budowlanym. Śnieg dookoła nich był ubity.

– Byłeś tutaj dzisiaj? – zapytałam. – Kiedy?

– Po południu, jak spałaś.

Wypraszam sobie. Drzemałam. Ledwie godzinę. Najwyżej trzy...

– Myślałam, że poszedłeś tylko do stajni!

– Nie, przyjechaliśmy tu z Nixem.

Mieszko zapalił ogrodowe pochodnie. Dawały sporo światła, a gdy stanęliśmy tuż obok, poczułam, jak ich ciepło ogrzewa przyjemnie moje policzki. Mieszko cmoknął na konia. Nix zastrzygł uszami i posłusznie podszedł bliżej.

– Gosiu... – Mieszko wziął mnie za rękę. – Nie wiedziałem, czy

powiniennem cię tu zabierać. Z tym miejscem zdecydowanie wiąże się zbyt wiele emocji.

– Och, to nasza chata...

Dopiero teraz rozpoznałam to miejsce. Spojrzałam na zasypane śniegiem ruiny drewnianej chałupy. Sterczący słup to kamienny komin. Z kolei dołek, przy którym staliśmy, był kiedyś jeziorem.

Dopóki nie spróbowaliśmy utopić w nim spaleńca. No cóż... każdy popełnia błędy. Naprawdę mam nadzieję, że to jeziorko zdoła się wypełnić wodą.

– Tu po raz pierwszy cię pocałowałem – powiedział.

No, z tego, co pamiętam, to ja go pocałowałam, a nie on mnie, ale okej – nie będę się kłócić. Najchętniej wyrzuciłabym z pamięci ten moment swojego życia, w którym rzuciłam się na niego, jakbym sto lat chłopca nie widziała.

Posłuchajmy, co jeszcze ma mi do powiedzenia.

– To tutaj po raz pierwszy leżeliśmy obok siebie w jednym łóżku – kontynuował. – To tutaj chciałaś oddać za mnie życie.

Przynajmniej reszta faktów się zgadza. Do pierwszego pocałunku więcej nie wracajmy. Co najwyżej wnukom kiedyś opowiem, jak już będę miała alzheimera i zapomnę, że przysięgam nikomu o tym nie mówić.

Znowu zaczęłam się niepokoić. Mieszko się tak nie zachowuje. Ten wieczór jest zdecydowanie dziwny.

– Gosiu, wiem, że stało się tutaj także bardzo dużo złych rzeczy, ale takie jest życie. Nie składa się tylko z miłych chwil. Uważam, że nie można pozwolić, żeby to, co złe, przysłoniło dobre wspomnienia. Mnie to miejsce zawsze będzie się kojarzyło z tobą i z tym, co do ciebie czuję.

Oderwał wzrok od mojej twarzy i zerknął na ruiny. Pokiwał głową do swoich myśli. Przez chwilę był bardzo daleko stąd.

– Mieszko...

Znowu spojrzął na mnie i sięgnął po coś do kieszeni.

– Gosiu, kocham cię. Nie chcę iść dalej przez życie sam. Może jestem szalony, ale nie wiem, co przyniesie przyszłość. Chciałbym się o tym przekonać z tobą. Uczynisz mi ten zaszczyt i zgodzisz się zostać moją żoną?

Zrobiło mi się słabo. Miałam wrażenie, że zaraz się przewrócę od ogromu emocji, które na mnie spadły. Wielokrotnie narzekałam, że Mieszko powinien mi się oświadczyć, że wypadałoby wziąć swaćbę, ale... tak naprawdę nie wierzyłam, że on kiedykolwiek to zrobi. Skutecznie wbił

mi do głowy, że jest nieśmiertelny, więc nie chce się z nikim wiązać.

Zupełnie się tego nie spodziewałam. Marzyłam o tym każdego dnia, ale nie sądziłam, że to może zdarzyć się naprawdę.

– Ja... ja... tak! Oczywiście, że tak! – wykrzyknęłam.

Mieszko wziął moją rękę i wsunął mi na serdeczny palec srebrny pierścionek z zielonym oczkiem. Kwadratowy kamyk umieszczony w misternym, srebrnym koszyczku otaczały przezroczyste, drobne diamenciki. Zabłyszczał w świetle. Poznałam od razu ten kształt. Bardzo podobny szmaragd kupił mi kiedyś w postaci wisiorka. Powiedział wtedy, że będzie mi pasował do oczu.

– Jest idealny! – zachwyciłam się. – Ani za ciasny, ani za duży! Skąd znałeś rozmiar?

– Szczerze mówiąc, zgadywałem u jubilera. Kupiłem go w Gnieźnie – wyjaśnił. – Całe szczęście, że...

Stanełam na palcach i pociągnęłam go za kożuch, żeby się do mnie pochylił. Pocałowałam go w usta. Miał ciepłe wargi i nos w przeciwieństwie do mojego nosa, który chyba powoli zamieniał się w lodowy sopel.

– Kocham cię, Mieszko – powiedziałam. – Chcę zostać twoją żoną, chcę być z tobą na dobre i na złe.

Przytulaliśmy się, stojąc pomiędzy pochodniami.

– Ja ciebie też kocham.

Odwrócił mnie w stronę ruiny miłosiernie przykrytej śniegiem. Wyciągnął w jej stronę rękę.

– Co powiesz na to, żebyśmy odbudowali tę chatę? Przyprawimy tu kiedyś naszego syna i mu ją pokażemy.

– To może być córka – wtrąciłam.

Jednak on zignorował kompletnie mój komentarz. Pomyślałam o klątwie, która ciąży na mojej rodzinie. Niestety mieliśmy jak w banku, że to córka. Może schować między bajki marzenia o pierworodnym.

– Wracajmy, bo mi zamarznie – powiedział. – Mam nadzieję, że jak wrócimy, to nadal nie będziesz umiała utrzymać rąk przy sobie.

– Ha! Masz to jak w banku! Chociaż nie wiem, czy nie skupię się dzisiaj wyłącznie na podziwianiu pierścionka!

Gdy posadził mnie na grzbiecie Nixa i odjeżdżaliśmy już do domu, odwróciłam się jeszcze raz, żeby spojrzeć na ruiny i dopalające się powoli ogrodowe pochodnie. Chciałam zapamiętać dobrze to miejsce...

Uśmiech zamarł mi na ustach.

Pomiędzy pochodniami stał Swaróżyc. Dolna połowa jego ciała ginęła w szarym dymie. Naga klatka piersiowa lśniła w świetle jak naoliwiona. Pokręcił głową i założył ręce na piersi. Na jego twarzy malował się smutek. Nie złość, której się spodziewałam, ale szczyry smutek.

W końcu przestrzegął mnie przed oświadczeniami, strasząc historią poprzedniej miłości mojego wybranka i klątwą, która rzekomo na nim ciążyła.

– Jedźmy szybciej – poprosiłam Mieszka.

Zaśmiał się, pewien, że nie mogę się doczekać, aż wylądujemy w łóżku, i popędził konia. Na szczęście się nie odwrócił.

31.

W zaśnieżonych wierzchnich ubraniach pognaliśmy na piętro, do sypialni. Mieszko w biegu skopał ze stóp buty.

– Czeka! – Zatrzymałam się tuż przed drzwiami. – Trzeba to uczcić.

– Gosiu, jesteś w ciąży, nie możesz pić – zaprotestował, łapiąc mnie za rękę.

– Ale ty możesz, a ja napiję się rozgrzewającego soku malinowego – odparłam. – Zaraz wrócę. Poczekaj tu na mnie.

– Ja przyniosę, a ty zrób się na bóstwo – zaproponował.

– Ty nie wiesz, gdzie położyłam nowe zapasy od Jagi. Czeka!

Zaczął protestować, ale wyrwałam mu się i pognąłam z powrotem na parter. Zdjęłam przemoczone buty i omijając mokre plamy na podłodze, przebiegłam do salonu. Rozpinając kożuszek, przeszłam do kuchni. Tam o mało nie krzyknęłam.

Na tle wysokich okien, zza których wpadał blask śniegu, ktoś stał. Nieruchoma sylwetka mężczyzny wyraźnie malowała się w ciemnościach. Wciąż miał założone na piersi ręce. Nie widziałam wyrazu jego twarzy, więc nie potrafiłam stwierdzić, czy jest smutny. Oczy i usta miał ukryte w cieniu. Zapaliłam światło. Lampa włączyła się z głośnym pstryknięciem. Mimo to nadal nie potrafiłam niczego wyczytać z twarzy Swarozycyca.

Nie odezwałam się do niego. Rzuciłam kożuch na blat wyspy kuchennej i podeszłam do szafki, w której od niedawna trzymaliśmy wyroby alkoholowe Jarogniewy. Wzięłam butelkę wytrawnej nalewki z czarnego bzu dla Mieszka. To była jego ulubiona. Postawiłam ją na blacie. Swarozyc nadal czujnie obserwował każdy mój ruch, ale się nie odzywał. Stwierdziłam, że ja na pewno nie wykonam pierwszego ruchu. Podeszłam do innej szafki i wyciągnęłam dla siebie butelkę rozwodzonego soku z malin, który można popijać bez dodawania wody. Następnie sięgnęłam do jeszcze innej szafki, gdzie trzymaliśmy szklanki. Kieliszków wciąż się nie dorobiliśmy.

Ignorowanie go przyniosło zamierzony efekt: odezwał się jako pierwszy.

– Zgodziłaś się – powiedział tylko.

– Tak – odpowiedziałam i odważyłam się na niego spojrzeć. Nie poruszył

się, więc dodałam cicho: – Wyjdź z mojego domu, proszę.

Bałam się, że Mieszko może nas usłyszeć. Nie zamierzałam się przed nim tłumaczyć, dlaczego zamiast wołać o pomoc, rozmawiam spokojnie ze Swarożycem. Poza tym dzisiaj są moje zaręczyny. Bóg ognia nie zepsuje mi tego wieczoru.

– Popełniłaś błąd – oznajmił.

Miałam olbrzymią ochotę wdać się z nim w pyskówkę, ale nie zdążyłam mu odpowiedzieć, bo zniknął. Rozwiął się jak opar, którym uwielbiał się otaczać.

Złapałam za butelki i puste szklanki. Kontakt zgasiłam łokciem. Odwróciłam się jeszcze w stronę okien, ale nie zobaczyłam już cienia w kształcie mężczyzny. Najwyraźniej poszedł sobie na dobre. Mimo to, mijając kominek, zerknęłam na wszelki wypadek w dogasające płomienie. Na szczęście zobaczyłam tylko ipomarańczowy żar, a nie jego twarz.

Odetchnęłam. Nerwicy dostanę przez tę meksykańską telenowelę, w którą się wplątałam. Trzeba było drania nie całować.

Mieszko spacerował po sypialni w samych spodniach. Jego koszula zniknęła gdzieś w magiczny sposób. Dopiero po chwili zobaczyłam ją zmiętą i porzuconą za drzwiami, tuż obok butów i kożucha.

Przysłonił okno ciężkimi zasłonami i zapalił świece, które jakiś czas temu poustawiałam na półkach i szafkach nocnych, na specjalnych lustrzanych podkładkach. Kilka dni temu przez chwilę nie było prądu, gdy kable obciążone lodem nie wytrzymały. Zaopatrzyliśmy się wtedy w bardzo dużą liczbę świec, które stanęły w strategicznych miejscach naszego domu.

Nasz dom. Teraz chyba mogę już tak mówić z czystym sumieniem.

Nasz dom i mój narzeczony! Nie mogę się doczekać, kiedy powiem o tym mamie, Babie Jadze i Sławie!

Mieszko zabrał ode mnie butelki.

– Coś się stało? – zaniepokoił się. – Długo cię nie było.

– Nie, nic – zaprotestowałam szybko. – Zdejmowałam na dole buty. Widzę, że już wszystko przygotowałeś.

Na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech. Nie był kpiący ani zmanierowany. To nie był uśmiech Swarożycy. Mieszko uśmiechał się do mnie szczerze, z całego serca. Oczy mu błyszczały. Rozpierała go energia. Ledwie mógł ustać w miejscu.

Nalał do szklanek zdecydowanie za dużo. Ja w tym czasie odwinęłam z szyi szalik i rzuciłam go na ziemię, tuż obok jego koszuli. Podał mi

szklankę wypełnioną różowym sokiem o silnym zapachu malin.

– Gosiu, za nas – powiedział.

– Za nas – odparłam.

Stuknęło szkło. Sok malinowy był słodki i lepki. Przepyszny. Mieszko wziął zbyt duży łyk nalewki, ale przełknął go i tylko lekko się skrzywił.

– Jaga jest mistrzynią – skwitował i bez wahania dopił alkohol.

– Bo mi się upijesz! – Pogroziłam mu palcem. – A ja mam plany!

Odstawiliśmy szklanki. Sięgnął do moich włosów. Zaczął wyjmować z nich spinki. Wsunęłam dłonie pomiędzy grube pasma i je wzburzyłam, by warkocze się rozplątały. Oczko w moim pierścionku błyszczało przy każdym ruchu. Nie mogłam przestać na niego patrzeć. Tak bardzo cieszył mnie jego widok na palcu.

Zrzuciłam z siebie bluzkę i posłałam ją na podłogę. Mieszko szybko pozbawił mnie również stanika. Część włosów spłynęła na moje piersi.

– Jesteś piękna jak bogini – wyszeptał zachwycony.

– Brakuje tylko wianka we włosach. – Puściłam do niego oko.

Złapał za pasek od moich spodni i przyciągnął mnie do siebie. Zaczęliśmy się całować. Jego wargi smakowały nalewką. Zakreśliło mi się w głowie. Miałam wrażenie, że upijam się samym dotykiem jego języka. Oparłam dłonie na jego twardych mięśniach brzucha. Sunęłam po nich palcami. Zatrzymałam się na pasku ściskającym go nad wąskimi biodrami. Mieszko w tym czasie również nie próżnował, rozpinał właśnie moje spodnie i błędził dłońmi pod szorstkim materiałem dzinsów.

W żadnym razie nie pozostałam mu dłużna.

Popchnęłam go delikatnie w stronę łóżka. Cofał się krok po kroku, aż łydkami dotknął brzegu materaca. Nasze spodnie zaczęły zsuwać się po nogach w tym samym momencie. Zaśmialiśmy się pomiędzy pocałunkami.

– Chyba masz większą ochotę ode mnie – stwierdził.

Moje dłonie zsunęły się niżej.

– No nie wiem, kto tu ma większą... ochotę.

Parsknął.

Skopaliśmy spodnie z nóg. Dłonie Mieszka objęły mnie za pośladki. Przycisnął mnie do swoich bioder. Obrócił nas tak, że teraz ja miałam za sobą zasłane łóżko. Nie przestawaliśmy się całować. Smak czarnego bzu i malin mieszały się w naszych ustach.

Pociągnęłam go za sobą. Wpełzliśmy na pościel. Ja położyłam się na plecach, a on wylądował obok mnie, na boku. Jego dłoń sunęła po linii

moich majtek. Droczył się ze mną, pociągając za materiał.

Podniósł głowę i przesunął spojrzeniem po moim ciele. Miałam wrażenie, że mnie dotyka, chociaż on tylko patrzył.

– Jesteś piękna – powtórzył.

Mimo że nie pierwszy raz widział mnie nago, to jednak się zaczerwieniłam.

– Nie mogę się doczekać, kiedy zostaniesz moją żoną. Kiedy będziesz tylko moja.

Pocałował mnie w szyję. Jego usta zaczęły wędrować w stronę obojczyka, a potem niżej, do piersi. Odgarnął moje włosy, żeby mu nie przeszkadzały. Wsunęłam łydkę pomiędzy jego uda.

Westchnęłam, kiedy poczułam jego ciepłe palce na łydce, potem kolanie. Zaczęły sunąć, zataczając małe kółka po wewnętrznej stronie mojego uda. Zamruczałam z aprobatą, czym znowu wzbudziłam jego śmiech.

Jego pocałunki zaczęły wędrować w dół mojego brzucha. Polizał skórę dookoła pępka. Poczułam, że dostaję gęziej skórki. Odrzuciłam długie włosy nad głowę, żeby nam nie przeszkadzały.

– Mieszko! – sapnęłam zaskoczona tym, jak bardzo działały na mnie jego pieszczoty.

Podniósł głowę.

– Od dzisiaj jesteś moja.

– A ty jesteś mój – wyszeptałam.

Szarpnął za gumkę moich majtek. Uniosłam biodra do góry, żeby mu pomóc. Bielizna poleciała gdzieś na podłogę. Pochylił się nade mną, opierając dłonie po obu stronach mojej talii. Różowe blizny na jego przedramionach zalśniły. Światło świec malowało drżącymi błyskami i cieniami naszą skórę.

Jego oczy błyszczały jak oczko w moim pierścionku. Przyglądał mi się z głodem wymalowanym na twarzy.

Sięgnęłam dłońmi do jego bokserek i zsunęłam mu je z bioder. Dołączyły do reszty naszych ubrań.

– Kocham cię – powiedziałam, kiedy położył się na mnie, a ja wreszcie mogłam objąć go udami.

– Ja ciebie też kocham.

Znowu nie udało mi się nic zdziałać ze swoimi wizjami. Po romantycznym wieczorze i oświadczeniach usnęłam oczywiście jak kamień, ledwie tylko mój policzek dotknął poduszki.

Swarożyc byłby bardzo zawiedziony. Tak się „poświęcił”, żeby pomóc mi odblokować moje wizje, a ciągle się do tego nie zabrałam. Przyznam szczerze, że trochę ze strachu. Poza tym naprawdę dobrze się ostatnio wysypiałam. Było mi żal tracić czas i siły na bieganie w nocy po lesie i nudne rozmowy z atamanem, kiedy mogłam śnić o turkusowych kanapach i swaćbie.

Jednak następnej nocy postanowiłam szaleć. Cały dzień się przygotowywałam. Miałam mnóstwo czasu tylko dla siebie, bo Mieszko zajął się organizacją Dziadów. Prawie przez cały dzień podróżował pomiędzy okolicznymi miasteczkami uzgadniając szczegóły ceremonii z politykami, strażą pożarną, orkiestrą dętą. Nie mam zielonego pojęcia, kto się tym zajmował, kiedy za wszystko odpowiadał Mszczuj... Wydaje mi się, że wróż nic nie robił, a ludzie musieli skrzykiwać się za jego plecami i jakoś wszystko posuwało się do przodu.

Nie miałam już żadnych wymówek. Czas najwyższy dowiedzieć się, kto jest moim ojcem.

Spojrzałam na Mieszka. Spał obok mnie kamiennym snem wyczerpanego do granic człowieka. Nawet nie miał siły zjeść kolacji. Cudem zagoniłam go pod prysznic, zanim padł na łóżko i zachrapał.

Wszędzie w domu porozkładane były modlitewniki. Postanowił, że skoro już będzie samodzielnie przeprowadzał ceremonię, to zrobi to porządnie. Dlatego postanowił sprawdzić, jakie są dopuszczalne teksty modlitw i które brzmią najlepiej. Szczerze mówiąc, ja nie pojmowałam, po co tak się starał. Gdyby mu nie wyszło, to przecież szybciej znaleźliby nowego kapłana dla zgromadzenia w Bielinach. On natomiast uznał, że jak już się do tego bierze, to zamierza wszystko zrobić porządnie.

Położyłam się na plecach i wbiłam spojrzenie w sufit. No dobrze, to co teraz? Cały dzień rozmyślałam o swojej mamie, o Welesie, o moich narodzinach. Miałam nadzieję, że to sprowokuje moją wyobraźnię

i nakieruje wizję na właściwe tory. Jeszcze raz zerknęłam na Mieszka. Z nim było łatwiej. Dobrze pamiętam, jak kiedyś tylko go dotykałam, a obrazy zaczynały przesuwać się przed moimi oczami. Szkoda, że po Nocy Kupały i koszmarze tamtych wydarzeń straciłam tę umiejętność.

Zresztą to bez znaczenia, przecież i tak nie mam jak dotknąć w tej chwili swojej mamy.

Znów o niej pomyślałam. Nie powiedziałam jej jeszcze o moich zaręczynach (podobnie jak Jadze). Muszę zadzwonić do swojej rodzicielki. O ciąży też nie wie. Mogę się założyć, że nie będzie skakała ze szczęścia, gdy dowie się, że oczekuję dziecka przed ślubem.

Zacząłam fantazjować na temat ceremonii swaćby. Mieszko przebąkiwał, że moglibyśmy pobrać się jeszcze przed Szczodrymi Godami, ale nie wyglądał, jakby się do tego jakoś szalenie palił. Miałam wrażenie, że oświadczyzny były dla niego już wystarczająco traumatycznym przeżyciem i że musi odreagować, zanim wykonamy kolejny ruch w naszym związku.

Mój narzeczony.

Zerknęłam na niego. Leżał na boku, twarzą do mnie. Miał lekko uchylone usta. Długie, lekko rudawe rzęsy rzucały cienie na policzki. Mogę już o nim mówić, że jest mój. W końcu sam tak stwierdził.

Mój.

Kto by pomyślał? Na pewno nie ja, zwłaszcza pierwszego dnia naszej znajomości, gdy porównałam go do jego konia.

Znowu zaczęłam odpływać myślami od tematu. Przecież miałam sobie wizualizować mamę! Mama, mama, jej rozmowa z Welesem. Mama. Mama. Mama. Mama.

Było już bardzo późno. Nie wiem, ile czasu leżałam, usiłując zasnąć. Tak bardzo skupiałam się na myśleniu, że sen nie nadchodził. Błędne koło.

Moje stopy były wilgotne, a raczej całkowicie mokre. Poruszyłam palcami i usłyszałam mlaszczący odgłos. Otworzyłam oczy. Stałam w ciemnościach, na dworze. Wilgoć, którą czułam, okazała się błotnistą kałużą, w której tonęły moje stopy. Na wszelki wypadek założyłam skarpetki przed snem. Teraz mogłam podziwiać, jak brzoskwiniowa dzianina zmienia kolor na brązowy. Cudownie!

Padał deszcz. Duże krople niemal natychmiast przemoczyły moją

podkoszulkę. Burzowe chmury toczyły się jak szalone po niebie. Błyskawice rozświetlały wszystko urywanymi seriami. Przypominały stroboskopowe błyski z dyskotek.

Usłyszałam dźwięk rogu myśliwskiego. W kolejnym błysku pioruna zobaczyłam otaczające mnie kurhany i płyty nagrobne cmentarzyska zbudowanego na planie koła.

– No bez jaj! – wykrzyknęłam.

Cholera jasna. Przecież znowu jestem w wizji ze zmiem! Zaraz nadjedzie Dzikie Łów, a ja znowu będę się musiała użerać z atamanem. Ostatnio zaczął się robić niestety odważniejszy. Już chyba dotarło do niego, że nie zamierzam stać się członkiem jego wesołej ferajny oraz że nie zrobię mu krzywdy jako zła czarownica. Przestał pluć na mój widok, a to już naprawdę spory postęp. Gorzej, że nabrał przekonania, że się pojawia, bo podobają mi się jego długie wąsy.

Litości...

Poza tym powoli kończyły nam się tematy do rozmowy. Wysłuchałam już całej historii jego dzieciństwa i młodości. Dowiedziałam się, jak wygląda służba w Dzikim Łowie. A nawet poznałam magiczną formułkę, którą trzeba wypowiedzieć, żeby rzeczony Łów ruszył tyłek i przybył na pomoc.

Skierowałam się w stronę drzew, żeby schować się chociaż przed deszczem. I tak już cała ociekałam wodą, ale może chociaż trochę zdązę podeschnąć, zanim się obudzę. Całe szczęście, że Noc Kupały jest w czerwcu. Chyba byłabym wiecznie chora, gdybym co noc miała wizję, która rozgrywałaby się w zimowym otoczeniu.

Poza tym chciałam zejść z widoku, żeby mnie Matwiej Mazepa znowu nie zobaczył. Jakoś podejrzenie te wąsy zaczynał podkręcać na mój widok, a ostatnio nawet zaplótł swojemu wierzchowcowi warkoczyki w splątanej grzywie. Jeszcze chwila i kwiatki mi zacznę przynosić.

– Brawo, Swaróżycu, brawo – sarkałam pod nosem. – Pięknie udało ci się odblokować moje wizje. Robota pierwsza klasa. Pełen profesjonalizm.

Nie mogłam już sobie przypomnieć, czy wtedy, gdy uciekałam przed Ote, było mi zimno. Teraz zdecydowanie nie odczuwałam chłodu. Irytowały mnie tylko mokre ciuchy. Nie potrafiłam stwierdzić, czy moje dobre samopoczucie wynika z faktu, że to tylko wizja, czy może panowały wtedy sprzyjające warunki atmosferyczne.

O wilku mowa!

Obok mnie przeszła Ote. Zupełnie zapomniałam, że to w tych zaroślach się zaczęła, gdy ja wrzeszczałam na widok żmija i Radek musiał mnie ratować. Jej umorusana twarz wykrzywiona była z wściekłości. Strąki pozlepianych włosów powypadały z niechlujnego koka, w którym tkwiło kilka gałązek i piór. Jej oczy zalśniły na żółto, jak oczy sowy.

Złapałam podkoszulkę na brzuchu i wyżełam ją z wody. Muszę coś wymyślić, żeby wizje przestały mieć wpływ na rzeczywistość. Nie mogę codziennie budzić się w mokrych ubraniach. To wyjątkowo niezdrowe i niepraktyczne.

Gdy podniosłam głowę, o mało nie dostałam zawału.

– Na wszystkich bogów! – wysapałam.

Przede mną stała Ote. Wpatrywała się we mnie swoimi szalonymi oczami i oddychała, węsząc. Widziałam wyraźnie, jak skrzydełka jej nosa unosiły się, gdy spazmatycznie nabierała powietrza. Jeszcze chwila, a mnie obsmarka.

Poczułam się wybitnie nieswojo. Do tej pory mnie nie zauważała. Z niewiadomych przyczyn widział mnie tylko ataman Mazepa. Kilka razy przeparadowałam przed nosem Radka, chciałam z nim porozmawiać, jeszcze raz usłyszeć jego głos. Jednak ani razu nie zareagował na moje zaczepki. Nie istniałam dla niego. Odważyłam się nawet rzucić kamieniem w żmija, ale wciąż nie reagował. Chociaż akurat z tego bardzo się cieszę. Do Ote, z wiadomych przyczyn, się nie zbliżałam.

Jednak głupotą było zakładanie, że dowódca Dzikiego Łowu jest wyjątkowy. Dlaczego miałby być?

Nie byłam pewna, czy strzyga aby na pewno patrzyła na mnie. Istniała możliwość, że szukała tej drugiej mnie, która błąkała się gdzieś w lesie.

Dałam krok w lewo.

Niestety głowa strzygi przesunęła się za mną, ani na chwilę nie przerywając kontaktu wzrokowego. Skrzydełka nosa ciągle drżały jej nerwowo. Wyglądała, jakby zaraz miała zhiperwentylować.

Czy w wizji można umrzeć? Co się wtedy dzieje z ciałem? Wpada w śpiączkę?

Uniosłam dłonie do góry, żeby pokazać jej, że nie mam wobec niej złych zamiarów. Choć gwoli ścisłości najchętniej bym ją zdekapitowała raz na zawsze. Ale to nie był czas na snucie marzeń.

– Czym jesteś? – zapytała Ote.

Drgnęłam. A lichy by to wszystko porwało! Teraz już nie miałam

żadnych wątpliwości, że zostałam zauważona. Moje przyszłe wizje nie zapowiadają się różowo. Oczywiście, o ile przeżyję tę obecną.

Nie uśmiechało mi się co noc wpadać na pogawędkę do eks mojego narzeczonego. Na dodatek do zmarłej eks. A żeby sprawa wyglądała jeszcze paskudniej – do eks mojego narzeczonego, którą rzeczony narzeczoney zamordował.

Zrobiło się to naprawdę niezręczne.

– Widzisz mnie, co? – zapytałam niechętnie.

– Nie masz zapachu. Jesteś... rozmazana... jakbyś stała za grubą szybą – warknęła i wyszczerzyła zaostrzone zęby.

Jej głos brzmiał tak, jak go zapamiętałam: skrzekliwy i nieco piskliwy. Końcówki słów ginęły gdzieś, zupełnie jakby je połykała. Po plecach przebiegły mi dreszcze niepokoju. Bałam się jej, ale nie aż tak bardzo jak wtedy, gdy stawałyśmy naprzeciwko siebie w prawdziwym życiu. Nie ogarniała mnie panika.

Cały czas powtarzałam sobie w głowie, że to przecież wizja. Tylko wizja.

– Czym jesteś? – nie ustępowała. – Nie jesteś człowiekiem. Nie możesz być.

– To wszystko... – Wykonałam niesprecyzowany ruch rękami. – To wizja. To nie jest prawda. Ty nie jesteś prawdą. To tylko moje wspomnienia.

Zmrużyła oczy i wyszczerzyła zęby. Bogowie, jakie one są ostre!

– Nieprawda! – wysyczała.

– Wybacz, ale nie zarznęłaś mnie tej nocy, tak jak planowałam. Minęło już pół roku od tamtej pory, a ja, jak widzisz, mam się świetnie.

Podparłam się pod boki. Strzyga omiotła całą moją sylwetkę swoim spojrzeniem. Ramiona jej opadły.

– Wizja. – Splunęła. – Kto cię nauczył rozmawiać ze wspomnieniami?

– Sama się nauczyłam.

– Jesteś na to za głupia.

Westchnęłam ciężko, chociaż w duchu się z nią zgadzałam. Sama się przecież przekonałam, że jestem za głupia, żeby sterować swoimi wizjami. Przez czysty przypadek udało mi się z kimś porozmawiać, a teraz kozacę.

– Brakuje mi trochę treningu – przyznałam. – Ale jak widzisz, zacznę sobie radzić. Nie ty jedna miałaś monopol na bycie dobrą widzącą.

Pokręciła głową i zmarszczyła nos.

– Niemożliwe. Swarożyc musiał ci pomagać.

Nagle jej twarz pobladła. Wybałuszyła na mnie swoje okrągłe gały. Wyglądała, jakby się czymś zakrztusiła.

– Co? – zapytałam. – Co się stało?

– Swarożyc... teraz jesteś jego widzącą? – wydusiła wściekła.

Zanim zdążyłam zareagować czy chociażby się obśmiać, złapała mnie za przód podkoszulki i przyciągnęła sobie tuż przed nos. Poczułam smród jej oddechu. Zalatywało z niego starą krwią i zgnilizną. Na tych ostrych zębach, których zapewne od tysiąca lat nie myła, musiały rozwijać się najgorsze gatunki bakterii.

– Nie jestem niczyją widzącą – zaprotestowałam i oparłam dłonie na jej wychudzonych ramionach. Usiłowałam ją odepchnąć, ale pomimo drobnej postury była strasznie silna. Ani drgnęła. Równie dobrze mogłabym próbować przesunąć drzewo.

– Nie czuję twojego zapachu. Od razu bym poczuła, czy cię dotknął.

– Chciałabym jeszcze raz zauważyć, że teoretycznie mnie tu nie ma, więc nic nie poczujesz. To tylko wizja.

Zaczęłam się bać, że strzeli jej coś głupiego do łba. Przecież ona w każdej chwili może zrobić mi krzywdę! W jaki niby sposób ją powstrzymam? Wepchnę jej w gardło mokrą skarpetkę? Uderzę ociekającym warkoczem?

Nad ramieniem strzygi dostrzegłam, jak myśliwi z Dzikiego Łowu zbiegają na ziemię. Żmij wydawał ostatnie tchnienie. Jest jeszcze nadzieja w moim nowym kozackim kawalerze. Tylko że jak na złość jakoś nigdzie nie było go widać. Płacze się pod nogami wtedy, gdy go nie potrzebuję...

– Co to? – zapytała, wpatrując się w pierścionek, który błyszczał na moim palcu. Moja prawa dłoń znajdowała się nieopodal jej twarzy.

– Pierścionek zaręczynowy.

Niespodziewanie puściła mnie i odepchnęła od siebie. Otrzepała rękę, jakbym ją poparzyła albo jakby nie chciała mieć ze mną nic wspólnego.

– Dlaczego ty masz wszystko, a ja nic? – zapytała.

– Też miałaś wszystko, ale to popsulaś – powiedziałam zgodnie z prawdą.

Pokręciła głową. Miałam wrażenie, że w jej oczach błysnęły łzy, ale gdy znowu na mnie spojrzała, były suche. Założyła ręce na chudej piersi i uniosła podbródek.

– Masz dziwny strój – rzuciła.

Typowa kobieta. Musiała mnie skrytykować, mimo że sama wygląda sto

razy gorzej. Chociaż wcale się jej nie dziwię, w swojej głowie też już ją obgadałam. To zawsze poprawia humor.

– W prawdziwym życiu właśnie śpię.

– Czyli to nie jest wizja, to sen, głupia – parsknęła śmiechem. – A już myślałam, że coś umiesz. Co? To twój koszmar? Powtarza się pewnie, co? Taka straszna była ta noc? Powiedz, co ci zrobiłam? Budzisz się z krzykiem?

– Odczep się – warknęłam.

Zarechotała. Chyba. Ciężko powiedzieć. Brzmiało to, jakby szorowała widelcem po talerzu.

– No z tym śmiechem to gwiazdą filmową nie zostaniesz...

– Głupia – skwitowała rozbawiona.

– A ty to niby mądrzejsza?

– Prawda. – Spoważniała. – Ale my, widzące, chyba tak mamy. Chociaż ty jesteś wyjątkowo głupia.

W duchu skakałam z radości. Najwyraźniej moja wyobrażona Ote porzuciła chęć zrobienia mi krzywdy. Wolą się ze mną kłócić. Najstraszniejszy koszmar zmienił się nieoczekiwanie w potyczkę słowną. Potyczek słownych się nie boję. Mam doświadczenie. Przecież ja prawie przez cały czas gadam do siebie.

– Miło mi się z tobą gawędzi, ale na mnie już czas. Muszę jeszcze skoczyć do innej wizji – oznajmiłam.

Wzięła się pod boki i posłała mi krzywe spojrzenie.

– No i jak to niby zrobisz? – zapytała.

– Pomyślę.

– Umieram z ciekawości.

Skupiłam się na mojej mamie. Wyobraziłam sobie Welesa i moment, kiedy się spotykają. Bardzo, ale to bardzo chciałam znaleźć się obok nich. Zaraz, jakie moja mama miała wtedy włosy? Przecież nie wyglądała tak jak teraz. Mama, mama, mama, mama.

– Prędzej się zsikasz – stwierdziła strzyga, wybijając mnie z rytmu.

– Odczep się! Jak taka jesteś mądra, to powiedz, jak to zrobić!

– Żeby ci pomóc? Głupia.

– A idźże sczeźnij. A nie, przepraszam, już to zrobiłaś – powiedziałam złośliwie.

Otworzyła gębę pełną ostrych zębów. Były żółtawe i trochę krzywe. Kły dość mocno wystawały. Musiały ranić ją w wargi.

– Umarłam... – Pokiwała głową. – W końcu. A jaka to była śmierć? Kto mnie zabił?

– Ja – skłamałam.

Posłała mi sceptyczne spojrzenie.

– Kto mnie zabił? – powtórzyła.

– Mieszko.

Uśmiechnęła się niemal radośnie.

– I dobrze – powiedziała. – Z jego rąk można umierać. Dobrze się stało. A zabił mnie podstępem? Czy w walce?

– Twoja fascynacja śmiercią jest niepokojąca... Zginęłaś w walce. Naprawdę bardzo dzielnie walczyłaś.

Co ja, na wszystkich bogów, robię? Może jeszcze zacznę ją pocieszać? Może ją przytulę? Przecież ta cholera zabiła Mszczuja! Zamordowała go z zimną krwią, a potem usiłowała zrobić to samo ze mną! Nie powinnam z nią w ogóle rozmawiać.

– Co teraz? – zapytała. – Wyglądasz, jakbyś się dziegciu nażarła.

– Jesteś potworem – oznajmiłam.

– Jestem upirem, głupia – sprostowała.

– Zabiłaś Mszczuja! – Głos zadrżał mi z emocji.

– Tego brodatego dziada? Przed chwilą? – upewniła się.

Nie mogłam w to uwierzyć. To nawet nie była pewna?

Skrzekliwy śmiech wgrzył mi się w uszy. Najwyraźniej miała ze mnie niezły ubaw. Otarła łzy, które zaczęły płynąć po jej ubawionej twarzy,

– Czego się tak krzywisz? – zapytała. – Przecież jestem strzygą. Co ty sobie myślałaś? Że go pogłaszczę po główce?

– Był dobrym człowiekiem.

– No to trafił do zaświatów. Poza tym był stary. I tak pewnie niedługo by umarł. – Wzruszyła ramionami.

Po moich policzkach także pociekły łzy.

– Jesteś potworem.

– Upirem. Poza tym, jak sama powiedziałaś, zginęłam. Możesz uznać, że wyrównaliśmy rachunki. W przeciwieństwie do tego starca ja nie trafiłam do zaświatów. Już mnie nie ma. Nigdzie. Jestem tylko w twoich wspomnieniach i tylko ty umiesz mnie ożywiać. Przetrwałam tutaj... – Podeszła bliżej i stuknęła mnie palcem prosto w czoło. Jej paznokieć ukłuł mnie w skórę.

Była w tym pewna logika. Pomasowałam się po czole, sprawdzając, czy

mnie przypadkiem nie skaleczyła. Na szczęście nie.

– Czy gdybyś ciągle żyła, to pamiętałabyś, że rozmawiałam z tobą w swojej wizji? – chciałam wiedzieć.

– Chyba nie. Nie wiem. Nigdy nie rozmawiałam ze swoimi wspomnieniami. To strata czasu.

Zasepiłam się. Jeśli to tylko wspomnienie, to znaczy, że dzieje się w mojej głowie. Przypomniałam sobie wizję, którą pokazał mi Swarozyc, skwierczące płomienie stosu zadrgały mi przed oczami. To było jego wspomnienie czy Mieszka? Czy każda wizja jest wspomnieniem? Zaczęło mi się kręcić w głowie. Coraz mniej z tego wszystkiego rozumiałam.

We wspomnienie nie mogę ingerować. To tylko film, który odtwarza się w moim umyśle. Coś, co już się stało. Chociaż z drugiej strony... jestem widzącą. Mam dwie dusze. Jedna z nich może wychodzić z mojego ciała i wędrować, gdzie tylko zechce. Może mogę zawędrować do przeszłości.

Postanowiłam odnaleźć atamana w prawdziwym życiu, a nie we śnie, i dowiedzieć się, czy mnie pamięta.

– To dobrze, że nie żyjesz – powiedziałam do strzygi, zanim zdążyłam ugryźć się w język.

– Gdyby to nie była wizja, to właśnie zbierałabyś z ziemi własne jelita.

– Urocza perspektywa.

– Bardzo smakowita.

– A czemu z tobą rozmawiam? Czemu wcześniej mnie nie zauważałaś? – dociekałam.

– Skupiłaś się na mnie. Otworzyłaś drzwi – wyjaśniła. – Swarozyc tłumaczył mi kiedyś, że w głowie mamy chatę o wielu drzwiach i oknach. Czasami trzeba odpowiednio otworzyć.

Znowu zaczęłam myśleć o mojej mamie. Chcę stąd zniknąć. Nie mam ochoty dłużej rozmawiać ze strzygą. Przed oczami cały czas miałam Mszczuja i jego uśmiech, z którym mnie pożegnał. Nie potrafiłam się skupić. Nie wtedy, kiedy naprzeciwnie mnie stała morderczyni.

– Jesteś beznadziejna.

Otworzyłam oczy. Strzyga miała skrzywione usta i pełen niesmaku wyraz twarzy. Ostentacyjnie wygrzebywała sobie brud spod zakrzywionego pazura.

– Co on w tobie widzi, to ja nie wiem... – dodała.

– Co oni we mnie widzą. Zapominasz o Swarozycu – odcięłam się.

– On akurat się tobą bawi. Zawsze się nami bawił. Z żadną nie łączyła go

miłość. On nie umie kochać. Tego jednego jestem pewna.

– Przestrzegasz mnie przed nim?

Zaśmiała się.

– W żadnym razie. Będę pierwszą, która wypije toast za spalenie twojego ciała w jego ogniu. Mam nadzieję, że to będzie długo trwało.

– A w twoim przypadku długo trwało?

– Długo.

Przyjrzałam się jej uważniej. Posmutniała. Moment śmierci chyba nie był dla niej zbyt miły.

– A głupia jesteś, bo władza nad wizjami jest prosta – skwitowała, żeby mieć ostatnie słowo.

– W takim razie mnie oświeć! – krzyknęłam rozzłoszczona. – W jaki sposób mam sobie stąd pójść? W jaki sposób mogę przestać patrzeć na twoją krzywą gębę?!

– Zamknęłaś kilka minut, może kwadrans swoich wspomnień – prychnęła zniesmaczona. – Musisz je teraz otworzyć. Przejść dalej. Nie myśl o tym, co chcesz zobaczyć. Myśl o tym, dokąd chcesz pójść.

Nie potrafiłam uwierzyć, że słucham rad morderczyni, potwora, zabawki boga ognia. Poza tym ta jej rada nie była warta funta kłaków. O co jej niby chodziło? Że co miałam sobie wyobrazić? Nie miałam zielonego pojęcia, dokąd powinnam pójść. Moja mama nie powiedziała mi, gdzie spotkała się z Welesem.

Pomyślałam o drzwiach, o których mówiła chwilę wcześniej. Skoro nie potrafię zrobić tego intuicyjnie, to może uda się na chłopski rozum?

Wyobraziłam sobie, że otwieram drzwi. Zwykle, drewniane, bez żadnych ozdóbek. Nacisnęłam klamkę i pociągnęłam je do siebie, pozwalając, by załało mnie światło, które pojawiło się za progiem.

Zamrugałam, oślepiona powidokiem i białymi plamkami wirującymi mi pod powiekami. Nie sądziłam, że potrafię wyobrazić sobie światło aż tak sugestywnie, żeby mnie oślepiło. Delikatna przesada, jeśli ktoś chce znać moje zdanie.

Gdy już odzyskałam zdolność widzenia, rozejrzałam się dookoła siebie. Ote zniknęła. Niebo się roz pogodziło. Przyjrzałam się drzewom. Była wczesna jesień, środek dnia. Wciąż stałam w środku lasu, ubrana w przemoczoną podkoszulkę i ubłocone skarpety, ale teraz wszystko wyglądało zupełnie inaczej.

– Ha! – wykrzyknęłam do samej siebie. – Udało mi się!

Na wszelki wypadek dokładnie zlustrowałam otaczające mnie krzaki, ale nigdzie nie dostrzegłam znieawidzonej strzygi. Chyba naprawdę mi się udało! Szczerze wątpiłam, żeby o coś takiego chodziło Ote czy chociażby Swarożycowi, który twierdził, że strach tworzy blokady w mojej głowie, ale nie zamierzam narzekać. Grunt, że się udało, nieważne, jakim sposobem.

Nagle usłyszałam szelesty, dźwięk łamanych gałęzi i czyjeś sapanie. Obróciłam się dookoła i dostrzegłam postać w niebieskiej kurtce, która powoli przedzierała się przez gęsto rosnące w okolicy samosiejki. Jej zielone gumofilce ślizgały się na błocie przykrytym zaschłymi liśćmi.

Postać szła powoli w moją stronę. Sapanie i stękanie stawało się coraz głośniejsze. Na wszelki wypadek ukucnęłam za krzakiem, od razu wpadając w jakieś kolczaste gałęzie, które wplątały mi się w mokry warkocz. Mimo to trwałam nieruchomo, nie dając żadnego znaku życia. Nie chciałam ponownie nieświadomie otworzyć jakichś drzwi w swojej głowie. Wolałam, żeby tym razem nikt mnie nie widział.

Poza tym wciąż nie byłam pewna, czy to dobra wizja.

Gdy postać w niebieskiej kurtce podeszła bliżej, zobaczyłam, że to kobieta. Miała utapirowane włosy o miodowym odcieniu blond, które układały się dookoła głowy w kształt bliżej przypominający kask motocyklowy. Były kompletnie nieruchome, lekko błyszczące. Wiatr nie był w stanie ich zburzyć. Oceniłam tapir na jakieś pół opakowania lakieru do włosów.

Niebieska, lekka kurtka przeciwdeszczowa sięgająca jej do połowy uda, była ubłocona, najlepsze lata miała dawno za sobą. Gumiaki z kolei wyglądały na zupełnie nowiutkie. Tylko że były na nią zdecydowanie zbyt duże. Łydki kobiety wydawały się nieproporcjonalnie szczupłe w porównaniu z szerokimi cholewami. Kiedy stopa utknęła jej pod korzeniem, o mało się nie przewróciła, bo noga wysunęła się z luźnego gumiaka.

Przeszła tuż obok, posapując.

Poznałam ją.

To moja mama. Dużo młodsza i o wiele bardziej utapirowana, ale niewątpliwie moja mama. Na oko mogła mieć tyle lat, ile ja teraz. Wymalowała mocno oczy i usta, na szyi zawiązała żółtą apaszkę. Wyglądała naprawdę bardzo ładnie.

Nie licząc gumofilców, ale one z natury do najpiękniejszych nie należą.

Przeszła obok, nie poświęcając mi nawet jednego spojrzenia. Nie istniałam dla niej, chociaż zza krzaka wystawał mi chyba cały tyłek przystrojony majtkami w kotki. Kamień z serca!

Ruszyłam jej śladem. Wcale nie zachowywałam się cicho, bo chodzenie po lesie, nawet w samych skarpetkach, w sposób całkowicie bezgłośny jest niewykonalne. Co chwilę musiałam coś przeskakiwać, wbijałam sobie gałąź w stopę albo ślizgałam się na błocie. Ona mimo to nie zwracała na mnie uwagi. Jak na razie chyba całkiem nieźle dawałam sobie radę z opanowaniem wizji.

Nie poznawałam ścieżki, którą szła. Wszystko wyglądało zupełnie inaczej. Ciężko się jednak dziwić. Przez dwadzieścia kilka lat las pewnie bardzo się zmienił. Gdzieś w oddali szemrał strumień.

Po chwili go minęłyśmy. Był znacznie węższy niż w moich czasach. Gałęzie smagały mnie po gołych nogach. Skarpetki niestety nie chroniły przed ostrymi gałązkami i powykręcanyimi korzeniami. Zaczęłam się zastanawiać, kiedy obleżą mnie mrówki albo coś równie obrzydliwego i czy przypadkiem nie obudzę się z jakimś towarzyszem na gapię.

Znaczy z kleszczem.

Nie powinno tak się stać, ale skoro moje skarpetki także nie powinny się brudzić...

– Bo przecież nie mogłam się przenieść od razu do miejsca, w którym rozmawiają – burknęłam do siebie pod nosem. – To by było zbyt proste, zbyt łatwe. Cholerny Swarożyc. Mówił, że mi pomoże, a wyszło na to, że

sama sobie musiałam pomóc. Jeszcze żeby potrzebna mi była do tego projekcja Ote. A lichy by porwał tego przeklętego boga...

Pokonałam ścianę krzaków. Suche gałęzie siekły mnie po twarzy, prowokując do głośnego wypowiedzenia kolejnej wiązanki przekleństw.

Moja mama zatrzymała się przed malutką, drewnianą chatą. Oparłam dłonie na kolanach i odetchnęłam kilka razy głęboko. Zmęczyłam się. Takie łażenie po lesie, zdecydowanie chwilowo nie jest dla mnie. Brakowało mi tchu.

Przeszłam na tył domku. Powierzchnia jeziora lekko falowała. Słyszałam kumkanie żab i cykanie świerszczy. Niebo zaróżowiło się, słońce powoli zsuwało się w stronę horyzontu.

I pomyśleć, że od tej chatki stojącej pośrodku lasu najwyraźniej wszystko się zaczęło. Zupełnie jakby to miejsce mnie przyciągało przez całe życie. Przecież prawie od razu po zamieszkaniu w Bielinach tutaj trafiłam.

Koniecznymy musimy odbudować tę chatę.

Usłyszałam stłumiony głos mojej mamy. Szeptala coś gorączkowo. Jej monolog co chwilę przerywało głośne pociąganie nosem.

Przeszłam znowu na polankę przed chatą. Wysoka trawa sięgała mi niemalże do połowy ud. Mama siedziała na krzywej ławeczce koło wejścia. Nie pamiętałam, żeby tam znajdowała się ławka. W moich czasach już jej chyba nie było.

Na wszelki wypadek zeszłam jej z pola widzenia i stanęłam trochę z boku. Z tego miejsca i tak wszystko słyszałam.

Zapaliła grubą, białą świecę i postawiła ją na ławce obok siebie. Oparła głowę na rękach i powtarzała zmartwiona:

– Świętowicie, Mokosz, Welesie, Swarogu... ktokolwiek. Proszę was, proszę... zdejmijcie klątwę z mojej rodziny. Proszę was, ja tylko chcę być normalna. Proszę was, zabierzcie moją drugą duszę. Pozwólcie mi być normalnym człowiekiem. Proszę was, bogowie, okażcie mi swoją łaskę.

Zrobiło mi się przykro. Wydawała się taka delikatna i krucha. Po jej policzkach płynęły łzy. Byłam dla niej niesprawiedliwa. Powiedziałam jej, że paktowała z bogami dla siebie. No dla siebie paktowała, a dla kogo by innego. Sama zrobiłabym pewnie dokładnie to samo.

Usłyszałam pisk jastrzębia. Spojrzałam na niebo. Na tle różowiejącego zachodu słońca kołowała czarna sylwetka drapieżnego ptaka. Moja mama nie zareagowała, chyba w ogóle go nie usłyszała. Wciąż powtarzała błagania do bogów. Ciekawe, jak długo przychodziła do opuszczonej chaty,

ile razy już powtarzała swoje prośby. Wiem, że była uparta. Nigdy się łatwo nie poddawała.

Nagle z lasu wyszedł mężczyzna.

– Świętowicie, Mokosz, Welesie... – mama urwała gwałtownie.

Zerwała się na równe nogi i stanęła za ławką, jak gdyby stanowiła ona barierę nie do przebycia dla tajemniczego intruza. Była przerażona. Łzy niemalże od razu wyschły na jej policzkach. Na twarz i dekolt wystąpiły czerwone plamy.

Mężczyzna szedł powoli w jej stronę. Był ubrany na czarno. Równie ciemne włosy opadały dookoła jego twarzy. Pomimo lekkiego wiatru nie poruszały się, wisały nieruchomo, jakby były sztuczne. Jego blada twarz wydawała się kompletnie pozbawiona życia. Jedyne czarne węgle oczu zdradzały jakieś emocje.

Weles.

Prosiła o pomoc większość bogów, w tym Mokosz, która przecież zajmuje się głównie sprawami związanymi z macierzyństwem. A mimo wszystko odpowiedział tylko bóg świata podziemnego.

– Kim jesteś? – zapytała mama.

Stanął naprzeciwko niej. Był dużo wyższy, niemalże wychudzony, odrobinę nieproporcjonalny. Nawet we mnie, chociaż oglądałam to z boku, wzbudzał niepokój. To chyba dlatego, że wydawał się nierzeczywisty.

A może przez to, że wydawał się na swój sposób martwy.

Cofnęłam się, nie chciałam znów otworzyć nieopatrnie jakichś drzwi. Bałam się, że mógłby mnie zauważyć, w końcu jest bogiem. Możliwe, że wspomnienie boga ma znacznie żywszą świadomość niż wspomnienie strzygi albo atamana Dzikiego Łowu. Skoro nie wiem do końca, czym są te wizje i czy będzie mnie później pamiętał, to może lepiej nie paradować mu przed oczami.

To bóg. Z nimi nigdy nic nie wiadomo. Jeszcze będzie miał potem pretensje nie wiadomo o co.

– Kim jesteś? – powtórzyła swoje pytanie mama.

Tym razem głos lekko jej zadrżał. Wodziła sarnimi oczami po jego sylwetce. Jedną ręką złapała się za supeł apaszki na szyi, jakby brakowało jej tchu.

– Nazywają mnie Weles – oświadczył.

Głos miał równie nieprzyjemny co wygląd. Jednocześnie szorstki i ostry. Gdyby usłyszeć taki głos za plecami, na dodatek w nocy, zawał murowany.

Stanął naprzeciwko mojej rodzicielki. Oddzielała ich tylko ławka ze stojącą na niej świecą, która właśnie zgasła. Do góry, drgając na wietrze, uniosła się cieniutka strużka dymu.

– Naprawdę? – upewniła się. – Jesteś bogiem? Jesteś bogiem Welesem?

Nie odpowiedział. Trwał w bezruchu. Byłam dumna z mojej mamy. Gdy ja pierwszy raz go spotkałam, bałam się zdecydowanie bardziej.

– Przyszedłeś wysłuchać moich próśb?

– Owszem.

– Czemu?

Chyba go zaskoczyła tym pytaniem. Cofnęłam się jeszcze dalej. I tak będę wszystko słyszeć. Trawa zaszumiała, gdy skierowałam się do cienia.

– Prosiłaś, więc przyszedłem. Nie nadużywaj mojej cierpliwości.

Mama rzuciła się na kolana i pochyliła pokornie głowę. Zaskoczyła mnie tym. Hm... czy ja też powinnam była kłaniać się w pas przed bogiem? To tak trzeba robić? Że też jeszcze żaden nie zamienił mnie w pył za tę zniewagę. Muszą mnie chyba lubić.

– Welesie, panie podziemi, odbiciu światła Świętowita, władco dusz i krainy umarłych, proszę cię pokornie o pomoc. Wysłuchaj mojej prośby.

– Wstań i mów.

Powoli uniosła głowę. Natapirowany hełm z włosów ani drgnął. Trwał nieruchomo na jej głowie. Podparła się rękami o ziemię i wstała. Kolana miała oblepione błotem.

– Moja rodzina jest przeklęta. Matka wyznała mi prawdę. Każda kobieta z mojego rodu rodzi się z dwiema duszami – wyjaśniła.

– Wiem. Znałem tę, która rzuciła klątwę.

Twarz mamy pobladła. Zacisnęła wargi w wąską kreskę. Dobrze znałam tę minę. Weles miał przechlapane.

– Czemu w takim razie pozwalasz, by klątwa wisiała nad moją rodziną?
– zapytała.

A jednak mu pyskowała. A przecież mówiła mi, że nie dyskutowała z bogiem!

– Nie ja rzuciłem klątwę, nie do mnie należy jej przerwanie.

– Welesie, błagam cię. Błagam cię w imieniu swoim i córek mojej przyszłej córki. Zdejmij klątwę. Każda z nas jest przeklęta, dopóki nie urodzi córki i nie odda jej jednej ze swoich dusz. Ale wtedy przeklina swoją córkę.

Bóg przekrzywił głowę jak ptak i wbił w nią spojrzenie martwych oczu.

Straciła odrobinę animuszu, ale dalej mówiła:

– Nie chcę żyć w strachu i nie chcę, by moja córka musiała żyć w strachu. Od najmłodszych lat słyszałam od matki, że koniecznie muszę znaleźć sobie męża i urodzić mu dziecko, że nie jest ważna miłość, że ja nie jestem ważna, że liczy się tylko jak najszybsze urodzenie dziecka. Nie chcę takiego losu dla mojej przyszłej córki. Pomóż mi. Proszę cię.

Bóg pokiwał głową.

– Chodziły po tej ziemi kobiety, które spotkał gorszy los niż twój – zauważył.

– Ale ja nie pytam cię o inne kobiety – zaprotestowała. – Oddaję się w twoją władzę. Powiedz mi, co mam zrobić, byś zdjął klątwę.

Weles przymknął oczy. Zaczął się zastanawiać. Przypominał przerośniętego jastrzębia; jego zagięty, haczykowaty nos wyglądał jak dziób. Czekałam, aż zaskrzeczy.

– Urodzisz córkę – oświadczył i zamilkł.

Mama stała nieruchomo, czekając, aż coś doda. On jednak sprawiał wrażenie, jakby się zaciął.

– Wiem, urodzę córkę, bo taka jest klątwa. Nie mam jeszcze męża. Nie mam ochoty go mieć. Ale urodzę córkę. Muszę. Inaczej zamienię się w strzygę. – W jej oczach znowu zabłyśły łzy. – Nie chcę musieć urodzić dziecka. Chcę mieć łaskę wyboru.

– Podoba mi się twoja buta. Pomogę ci.

Na jej twarzy pojawił się nieśmiały uśmiech. Na policzki wstąpiły rumieńce.

– Zdejmiesz ze mnie klątwę? – zapytała.

– Z ciebie już nie mogę. Ale z twojej córki i wszystkich dalszych pokoleń potrafię.

Lekko posmutniała, ale nadal hardo unosiła głowę. Przygryzła wargę, jakby kalkulowała, czy to aby się jej opłaca.

– Dobrze – odparła w końcu. – A jak to się stanie?

– Dam ci córkę, która przełamie klątwę. Twoja córka nie zleknie się bogów. Wyposaże ją w przymioty, które są przeznaczone bogom. Sięgnie po coś, co do ludzi nie należy. Jej dziecko zmieni równowagę tego świata – wyjaśnił.

Skamieniałam. Mama mnie okłamała. Twierdziła, że nic jej nie powiedział, że nie pytała. Dlaczego mnie okłamała? Moja mama...

– Dziękuję – wyszeptała.

– Ale nie zrobię tego za darmo – zaznaczył.

Pokiwała gorliwie głową. Wyglądała, jakby znowu chciała rzucić się na kolana i bić mu pokłony.

– Co muszę zrobić?

– Gdy twoja córka będzie miała dwadzieścia cztery lata, musisz przysłać ją tutaj. Musi być w Bielinach w Noc Kupały – oświadczył poważnie.

– Dlaczego?

– Nie twoja rzecz, kobieto. Musisz przyrzec mi, że wychowasz ją w wierze w bogów, że nauczysz ją nie bać się ognia.

– Nie rozumiem, jak to nie bać się ognia? – dopytywała.

– Bogowie będą interesować się twoją rodziną, twoją córką. Będziemy was obserwować. Naucz ją, że ma nie bać się ognia, a zwłaszcza boga Swaróżyca. On nie może wzbudzać w niej strachu. Musi mieć w sercu odwagę, by stawić mu czoła.

– Dlaczego?

– Bo tak mówię...

Mama się zawstydziała. Uśmiechnęłam się. Byłyśmy do siebie bardzo podobne. Obie nie wiedziałyśmy, kiedy należy siedzieć cicho.

Spróbowałam sobie przypomnieć, czy mama zastosowała się do rozkazów boga podziemi. Całe życie zmuszała mnie do chodzenia na uroczystości, modliłyśmy się razem. Pamiętam świece, które zawsze płonęły w naszym mieszkaniu, i opowieści mamy o bogu ognia, o strzygach. Tak bardzo się starała, że osiągnęła efekt odwrotny do zamierzonego. Bogowie tak mi spowszednieli, że przestałam w nich wierzyć, w mojej wyobraźni stali się bajkami, na które nie ma miejsca w szybko pędzącym życiu. Ciężko zresztą było uznawać ich istnienie w nowoczesnej Warszawie. Tam liczył się człowiek, kariera, wykształcenie, a nie jacyś bogowie i ich zatechłe świątynie.

– Zabierzesz mi ją?

– Kogo? – spytał szczerze zaskoczony.

– Czy zabierzesz mi moją córkę, kiedy ją przyślę? Czy ona ma zostać jakąś ofiarą?

Pomyślałam sobie to samo. Nie podobało mi się, że bóg świata podziemnego od samego początku to wszystko zaplanował. Snuł swój plan już od co najmniej dwudziestu czterech lat. Nie zdziwiłabym się, gdyby maczał swoje szczupłe paluchy w kłątwie, która ciążyła na naszej rodzinie i w efekcie zmobilizowała moją mamę do zawierzenia bogom.

Czyżby chciał mnie skrwawić na jakimś kamiennym ołtarzu? Jeśli nawet zamierzał, to w przesilenie letnie mu się to nie udało.

Zaśmiał się. Jego śmiech bardzo przypominał skrzek strzygi. Oba były tak samo nieprzyjemne i bardzo przerażające. Wyglądał na szczerze ubawionego. Pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Nie, twoja córka będzie szła swoją dolą. Ja nie mam na nią żadnego wpływu. Potrzebuję jej w Bielinach w Noc Kupały. To moja cena.

– A w zamian koniec klątwy? – dociekała. – Przyślę ją do ciebie w Noc Kupały, i tyle?

– Tak.

– Czy po Nocy Kupały będzie mogła do mnie wrócić?

– Uciekasz stąd? – zainteresował się.

– Tak.

– Słusznie. To nigdy nie było miejsce dla ciebie. Twoja dola zawsze chciała się stąd wyrwać – powiedział. W jego głosie zabrzmiało kilka cieplejszych dźwięków. Nawet się do niej uśmiechnął. – Nie zrobię ci krzywdy. Nie zrobię krzywdy twojej córce. Mogę cię zapewnić, że jej życie nie będzie łatwe, ale znajdzie szczęście. Będzie bardzo potężną widzącą. Otrzyma dar, którego każda szeptucha jej pozazdrości. A jej dziecko będzie bardzo ważne dla nas wszystkich.

Odetchnęłam z ulgą. Skoro bóg uważał, że moje życie będzie szczęśliwe, to chyba nie zginę w męczarniach.

No, chyba że uważa, iż cierpienie uszlachetnia.

– Po co ci moja córka? – zapytała mama.

– Nie twoja rzecz. Pamiętaj, że nie wolno ci jej powiedzieć tego, co dzisiaj ode mnie usłyszałaś. Nie wolno ci zdradzić, że ze mną rozmawiałaś, że miałem wpływ na jej przyszłość. Sama będzie musiała się o tym przekonać, gdy przyjedzie do Bielin.

Pokiwała głową i przygryzła wargę. Widziałam, jak bije się z myślami. Bardzo chciała przyjąć propozycję Welesa, ale się bała. Nie dziwię się jej. Pamiętam, jak sama się zachowywałam, kiedy pierwszy raz stanęłam oko w oko z bogiem.

– Nie mam męża – wypaliła. – I nie chcę mieć. Nie mam zamiaru wiązać się z nikim na stałe. Nie będę swoją matką.

– Twoja dola.

Odetchnęła głęboko.

– Zgadzam się – powiedziała. – Pomóż mi, a ja przyślę do ciebie moją

córkę, gdy będzie miała dwadzieścia cztery lata.

– Dobrze.

– To co teraz?

Podszedł do niej i położył jej rękę na ramieniu. Gdy stali obok siebie, wcale nie wydawał się już nieproporcjonalny albo podejrzanie wysoki. Przypominał zwykłego mężczyznę, co prawda bladego niczym informatyk z piwnicy, ale całkiem normalnego.

Mama zeszywniała, jednak nadal hardo wpatrywała się mu w oczy. Uśmiechnął się do niej uspokajająco.

– A teraz dam ci córkę.

Sploniałam się po cebulki włosów. Odwróciłam wzrok, gdy wchodzili do chatki. Serce tłukło mi się w piersiach. Od samego początku podejrzewałam, że Weles miał w tym wszystkim dużo większy udział, niż mi mówił. Bałam się, że to może być prawda.

Byłam jego córką. Córką boga podziemi. *Boga!*

Jaki to miało na mnie wpływ? Kim w takim razie ja byłam? Nikt nigdy niczego mi nie powiedział. Przecież Swarożyc miał ze mną nawet dość bliski kontakt. Niczego nie zauważył? Chyba powinien jakoś zareagować. Tak samo Mokosz. Przecież wielokrotnie macała mnie po brzuchu. Nie poczuła genów Welesa?

Zaczęłam się cofać. Nie chciałam niczego usłyszeć albo zobaczyć przez okno. W ogóle nie powinno mnie już tutaj być! Muszę stąd uciec. Panika przysłoniła całkowicie mój zdrowy rozsądek. Od dawna już podejrzewałam prawdę, ale przekonanie się o niej na własne oczy było jak uderzenie obuchem po głowie.

Weles.

Weles jest moim ojcem.

Oddychałam coraz szybciej, niebezpiecznie balansując na granicy omdlenia z hiperwentylacji. Weles. Weles.

O bogowie, całe szczęście, że nie odziedziczyłam po nim tego haczykowatego nosa!

– Udało ci się.

Wrzasnęłam, zużywając na ten szaleńczy krzyk chyba całą pojemność oddechową płuc. Chociaż to była tylko wizja, z okolicznych gałęzi zerwały się wszystkie ptaki.

Odwróciłam się, o mało nie wywalając się na liściach. Za mną stał bóg podziemi. Spojrzał ponad moim ramieniem, jakby miał możliwość zajrzenia

przez ściany i dostrzeżenia, co się dzieje we wspomnieniu mamy.

– Widzę, że opanowałaś władzę nad wizjami – powiedział z uznaniem.

– Jak... co... czemu? – wydukałam.

– Jestem bogiem, widząca. Mogę zajrzeć do twoich wizji, kiedy tylko mam ochotę – wyjaśnił. – Mogę do nich wejść. Nie powinno cię to dziwić.

– Możemy stąd odejść? – zapytałam, zerkając z niepokojem na domek.

Wydawało mi się, że coś usłyszałam.

– Daj mi rękę – rozkazał i wyciągnął dłoń w moją stronę.

Odetchnęłam głęboko i złapałam za jego zimne, długie palce.

Gdy tylko las dookoła nas zniknął, wyszarpnęłam swoją dłoń z jego lodowatego uścisku. Miałam wrażenie, że dotykają mnie palce trupa. A ja wiem, jaka jest w dotyku skóra martwego człowieka. W końcu studiowałam medycynę.

Gdy oślepiające światło zniknęło, zobaczyłam, że stoimy w mojej kuchni, nieopodal wyspy kuchennej. Na blacie znajdował się pojemniczek z solą. No cóż... Swarożyc już zdążył mi udowodnić, że sól na bogów w żadnym razie nie działa, więc powstrzymałam odruch obronny, żeby mu sypnąć nią po oczach.

Całe pomieszczenie było pogrążone w ciemnościach. Prawie nic nie widziałam przez mroczki przed oczami. Sięgnęłam na oślep do włącznika światła. Gdy tylko lampy zalały nas ciepłym blaskiem, poczułam się pewniej.

Byłam w domu.

Chyba.

Mimo że zapalone światło odbijało się w szybach, dość wyraźnie widziałam fioletową mgłę kotłującą się tuż za oknami. Poza tym w oddali, jakby podświetlone potężnymi reflektorami, stało sobie drzewo. Nie nasz czereśniowy sad, który powinien znajdować się właśnie tam, na tamtym niewielkim wzniesieniu, tylko drzewo. A żeby dopełnić obrazu niesamowitości – drzewo kosmiczne. Zapewne dla lepszego efektu podświetlone od dołu. Stwierdziłam, że to chyba jednak nie jest moja kuchnia.

Wróciłam spojrzeniem do Welesa, który stał w bezruchu jak posąg.

– A więc to tak – powiedziałam dość mało roztropnie.

Uśmiechnął się chłodno. Wręcz lodowato.

– Widzę, że Swarożyc pomógł ci zapanować nad wizjami.

Pomyślałam o Ote. A może rozmawiałam z nią dzięki Swarożycowi? Pokręciłam głową, nie było teraz czasu na głupie dywagacje. Nie mam zamiaru dać sobie wmówić wyrzutów sumienia. Skoro sam nie chciał mi pomóc, to przecież musiałam sobie jakoś poradzić. Kiedy kazał mi popracować nad wizjami, nie zastrzegł, że nie wolno nikogo prosić

o pomoc. Nie ma prawa się teraz czepiać.

– To dlatego miałam nie odczuwać strachu przed ogniem? Żebym się nie bała z nim rozmawiać? – zapytałam.

– Żebyś nie bała się mu postawić – wyjaśnił. – To było pewne, że się tobą zainteresuje, bo taka jest jego dola. Sprawuje opiekę nad widzzącymi i ich wizjami. Ujawnia się praktycznie każdej widzącej, która ma większe moce.

No proszę. Z jednej strony jestem wyjątkowa, a z drugiej – zupełnie typowa.

– Powiedziałabym raczej, że flirtuje – zauważyłam z przekąsem.

Nie zareagował. Wpatrywał się tylko we mnie. Bogowie, on naprawdę wygląda jak trup. Nie mogłam się nadziwić, że mam w sobie połowę jego genów. Przecież w ogóle nie jesteśmy do siebie podobni!

– Czyli to ty jesteś moim ojcem? – Odważyłam się powiedzieć to głośno.

– Mówiłem, że sama zdołasz się wszystkiego dowiedzieć.

– Co teraz? Czemu mnie... stworzyłeś? Czego ode mnie chcesz? – zapytałam.

Miałam ochotę na niego nawrzeszczyć, ale pamiętałam, że Mieszko ma bardzo lekki sen. Nie wiedziałam, czy znajdujemy się w mojej kuchni, w moim domu. Jeśli tak jest, a tylko w magiczny sposób znaleźliśmy się w okolicy Wyraju, to znaczy, że teoretycznie Mieszko może się obudzić, jak zaczną krzyczeć.

– Taka jest twoja dola, moja dola, a także dola Swarozycy – wyjaśnił enigmatycznie.

– Nic mi nie powiesz?

Byłam zawiedziona. Nie oczekiwałam oczywiście wielkiego rodzinnego pojednania, wycieczki po majątku (znaczy podziemiach), zgody na siedzenie na tronie (kiedy akurat Weles go nie zajmuje), ale miałam nadzieję, że cokolwiek mi wytłumaczy. Że zachowa się... no cóż... jak ojciec. Wypadałoby chyba.

– Nie mogę przyspieszyć czasu. Wszystko stanie się we właściwym momencie – oznajmił. – Ćwicz, widząca. Twoje wizje mogą ci się kiedyś przydać.

– A co z tym, że jesteś moim ojcem? Czy to sprawia, że ja jestem boginią?

Zaśmiał się. Śmiał się długo i szczerze. Teraz byłam już pewna, że Mieszko się obudzi. Jednak nic takiego się nie stało. Nie przybiegł do nas. To tylko może oznaczać, że nie jestem w swoim domu.

– Nie, widząca. Nie staniesz się boginią. Jest nas skończona liczba. By istniała równowaga, nie może być nas więcej. Stworzyłem cię na swoje podobieństwo, ale nie jesteś boginią. Przykro mi, jeśli miałaś nadzieję na inną odpowiedź.

Z całego wywodu najbardziej ucieszyło mnie to, że mimo że jestem stworzona na jego podobieństwo, to nie odziedziczyłam haczykowatego nosa.

– Szczerze mówiąc, ulżyło mi – odparłam.

Nie okłamywałam go. Całe to boskie towarzystwo nie należało, delikatnie mówiąc, do najnormalniejszego. Wolałam nie wstępować w jego szeregi. Nie chciałam być taka jak oni. Nawet jeśli kwiatki miałyby wyrastać z ziemi w miejscu, w którym stoję.

– Czy każdy bóg może tworzyć ludzi? – zapytałam.

Jeszcze tego brakowało, żeby Swarozyc trzymał gdzieś w zanadrzu armię dzieci o nadprzyrodzonych możliwościach, które czekają na jego znak.

– Znasz legendę o powstaniu świata?

– Mniej więcej – odparłam.

– Opowiem ci ją jeszcze raz. Posłuchaj mnie uważnie.

Pokiwałam głową. Zresztą i tak nie miałam zbyt wielkiego wyboru. Skoro bóg chciał mówić, należało go raczej słuchać.

– Dawno, dawno temu nie było ziemi i lądów, jakie teraz znamy – zaczął. – Cały świat, otoczony gwiazdami, składał się prawie wyłącznie z wody. Gwiazdy odbijały się w nieskończonym morzu i błyszczały na nieboskłonie. Jednak świat nie istniałby, jeśli coś nie trzymałoby go mocno. Taką funkcję pełniło drzewo kosmiczne. Od zawsze było i będzie osią naszego świata. Trzyma niebo w górze, a podziemia skrywa zazdrośnie wśród swoich korzeni.

Patrzyłam w oczy Welesa. Miałam wrażenie, że stają się coraz większe, niczym dwie bezdenne studnie. Wciągały mnie do środka. Porwała mnie snuta przez niego opowieść, a słowa zaczęły zmieniać się w obrazy.

– Dawno temu, gdy nie było jeszcze czasu, wśród rozłożystych gałęzi usiadły dwa ptaki. Pomimo że wykluły się z jednego jajka, jeden był biały, a drugi czarny. Choć stanowiły jedność, różniły się niczym dzień i noc. Były swoimi odbiciami. Nie mogły istnieć bez siebie. Ptaki były bogami: Białobogiem i Czarnobogiem. Razem postanowiły stworzyć świat. W ten sposób narodziła się myśl.

Odważny Czarnobóg zanurkował głęboko i dwa razy wypływał na

powierzchnię, usiłując w swoich szponach przynieść odrobinę piasku z dna morza. Nie udawało mu się. Piasek był wymywany przez wodę, zanim ptak zdążył wynurzyć się na powierzchnię. Dopiero za trzecim razem, gdy nabrał ziaren w swój dziób, udało mu się przynieść go bratu. Czarnobóg wypluł piasek i w ten sposób powstały łądy. Jednak chciał oszukać Białoboga i zatrzymał część piasku dla siebie...

Znałam tę legendę, opowiadano ją dzieciom na dobranoc. Białobóg był dobry, chciał stworzyć świat, a Czarnobóg był zły, bo chciał zatrzymać go dla siebie. Nie lubiłam tego podania. Nie podobało mi się, że Czarnobóg nie dostał żadnej nagrody za to, że nurkował w morskich głębinach. Uważałam, że Białobóg chciał się wykpić i zrzucił na niego całą robotę. Jak dla mnie to w ogóle się nie przyłożył do powstania świata. Jedyne, co robił, to siedział na drzewie i dyrygował. Każdy by tak umiał.

– Czarnobóg zatrzymał w dziobie piasek – podjął opowieść Weles. – Gdy spostrzegł to drugi z bogów, bardzo się rozgniewał. Uderzył Czarnoboga i zmusił do wyplucia piachu. Z niego powstały góry. Czarny ptak spadł pod ziemię, którą chciał ukraść, między korzenie drzewa kosmicznego. Białobóg zasiadł w koronie drzewa kosmicznego. Później, by ziemia nie pozostała jałowa, ponownie się zjednoczyli i stworzyli razem roślinność i zwierzęta. Gdy pojawiło się życie, powstała bogini Mokosz. Wiesz, co było potem?

– Oczywiście, że tak – obruszyłam się, że posądza mnie o taką niewiedzę. – Później Białobóg i Czarnobóg stworzyli pozostałych bogów.

– Nie inaczej. Białobóg stworzył Swaroga, który ze swoimi synami zadbał o słońce. Z kolei Czarnobóg powołał do życia Chors, by księżyc oświetlał świat nocą. Później bogowie postanowili ulepić z piachu i śliny człowieka. Czarnobóg, Białobóg oraz Mokosz powołali do życia ludzi.

– Zaraz... – wtrąciłam. – A ty? I Świętowit? Stworzyli jeszcze was. Ciebie, żebyś opiekował się zaświatami, a Świętowita, by strzegł żywych.

– Nie – odparł krótko.

W legendzie, którą opowiadała mi mama oraz panie przedszkolanki, w legendzie, którą czytałam później na lekcjach polskiego i omawiałam na religii, zawsze wspomniano, że dwa ptaki stworzyły wszystkich innych bogów, a potem usnęły w drzewie. Jednak w tej wersji opowieści nie było ani słowa o stworzeniu Welesa i Świętowita. Przecież nie pominąłby swojego fragmentu.

Wniosek był prosty, tylko trochę ciężko mi było w niego uwierzyć.

– Jesteś Czarnobogiem, prawda? – zapytałam.

Ja wiem, że to się wydaje logiczne, zwłaszcza biorąc pod uwagę fakt, że lubi zamieniać się w czarnego jastrzębia. Tylko że wywracało do góry nogami wszystko, w co do tej pory wierzyłam.

– Tak.

– Czyli tylko ty i Białobóg możecie stworzyć człowieka?

– Oraz innych bogów – uściślił.

– Ale ja nie jestem bogiem?

– Nie, jest nas skończona liczba, inaczej zapanowałby chaos. Jesteś człowiekiem.

– Czemu mi to opowiedziałeś?

Zaczynałam się powoli gubić w tych wszystkich wskazówkach, które rzekomo mi dawał. Tym razem również niczego mi nie wyjaśnił. Najwyraźniej uważał, że sama zdołam dojść do odpowiednich wniosków. Wpatrywał się tylko we mnie z lekkim uśmiechem na tej przerażającej, nieruchomej twarzy.

Martwej twarzy.

– Swarożyc chce, żebym kogoś zabiła – oznajmiłam.

– Wiem.

– Więc może wiesz kogo?

– Wiem.

Zaczęłam się irytować.

– A powiesz mi?

– Nie.

Oczywiście. Dlaczego miałby mi cokolwiek ułatwiać? Z całą pewnością nie miał ochoty być miłym pomocnym tatusiem. A niech go licha!

– Aha – burknęłam obrażona.

– Widząca... – Jego przerażający uśmiech jeszcze bardziej się poszerzył.

Poczułam, jak po plecach przebiegły mi dreszcze. Naprawdę, bogom dzięki, że nie odziedziczyłam niczego z jego okropnej fizjonomii. W życiu bym sobie chłopaka nie znalazła.

– Matka dobrze cię przygotowała. Nie boisz się Swarożycy. To dobrze. Jednak przestrzegam cię przed zbytnią odwagą. On jest bogiem, a ty tylko człowiekiem.

– Zapamiętam.

– Zapamiętasz, ale czy zrozumiesz?

Teraz ja nie odpowiedziałam. Przecież to oczywiste, że nie rozumiem.

Kompletnie nie radzę sobie w kontaktach ze swarnym bogiem.

– Równowaga nie może zostać zachwiana – powtórzył.

– Czemu więc nie powstrzymasz Swarożyca? – zapytałam. – Skoro Białobóg go stworzył, a jesteście równi, to możesz go chyba zgładzić. Ustawić go do pionu. Do licha, powinien się ciebie słuchać!

Nic więcej nie zdążyłam powiedzieć. W jednej chwili stał naprzeciwko mnie, a w drugiej już go nie było. Zostałam sama w pustej kuchni. Spojrzałam na moje skarpetki. Były suche i czyste. Podkoszulka też. Zniknęły gdzieś zacieki z błota. Zniknęły zadrapania od gałęzi. Przynajmniej tyle.

Za oknami zobaczyłam tylko ciemność. Zgasiałam światło. Moje oczy chwilę się przyzwyczajały do mroku, ale wyraźnie zobaczyłam zarys czereśniowego sadu.

Powlekłam się po schodach do sypialni. Mieszko spał. Gdy położyłam się obok niego, zapytał sennie:

– Gdzie byłaś?

– Siusiu – skłamałam. – Pełcherz mi się chyba zmniejszył w ciąży.

Usnął usatysfakcjonowany. Ja za to długo leżałam, wpatrując się w sufit. Usiłowałam wszystko poukładać sobie w głowie, ale nie potrafiłam.

Nadszedł czas, żeby skontaktować się z moją mamą. Musiałam w końcu to zrobić, a teraz nadarzył się zdecydowanie dobry moment na kolejną oczyszczającą (a mnie doprowadzającą do szewskiej pasji) rozmowę. Na szczęście moja rodzicielka także chyba w międzyczasie przemyślała swoje postępowanie.

Tym razem nie chciałam dzwonić. Nie wypadało. Musiałyśmy o tym pomówić twarzą w twarz. Nie spodziewałam się tylko, że Mieszko się z tego powodu ucieszy. Tak ochoczo odwiózł mnie na dworzec kolejowy w Kielcach, jakby nie mógł się doczekać, kiedy się mnie pozbędzie.

Ale to tylko tak wyglądało. W rzeczywistości miał po prostu mnóstwo spraw na głowie w związku z przygotowaniem Dziadów. Szczerze mówiąc, już się nie mogłam doczekać tego święta. Nie poznawałam Mieszka. Niby tak niechętnie zabierał się do przygotowań, a ostatnio o niczym innym nie mówił. Zabrał się nawet do dokumentacji Mszczuja.

Nie wiedziałam, że kapłani prowadzą coś takiego. Podobno po każdym święcie muszą stworzyć sprawozdanie dla przełożonych. Okazało się, że od co najmniej kilku lat są w tych papierach solidne braki. Witek po objęciu urzędu usiłował coś fałszować, ale nie zdążył zbyt wiele zrobić. Mieszko postanowił, że uporządkuje wszystkie sprawy Mszczuja. Wydaje mi się, że wszystko, co robił obecnie, i całe to zaangażowanie, którym się wykazywał, miało być hołdem wobec zmarłego mentora. Na pewno chciał także za pomocą perfekcyjnie zorganizowanych Dziadów wynagrodzić mu fakt, że nie było go na jego ciałopaleniu i pogrzebie.

Mieszko pokazał mi list polecający, który napisał kapłan. Był lekko niegramatyczny, pismo momentami stawało się nieczytelne, gdy zaczynały mu się mocniej trząść ręce, jednak przebijały z niego ciepło i szacunek, jakim Mszczuj darzył władcę.

Nie było praktycznie dnia, kiedy widziałabym Mieszka siedzącego spokojnie. Rano jechał do Bielin przegrzebywać papiery w nowym domu kapłana. Potem uzgadniał coś z wójtem. Naprawdę nie wiem, co on zamierzał zrobić podczas tych Dziadów. Z tego, co pamiętałam, w trakcie wiosennych obchodów nic szczególnego się nie działo. Z drugiej strony

Rusałczy Tydzień nie jest tak hucznie celebrowany jak jesienna wigilia zmarłych.

Niemniej jednak, kiedy na dwa dni przed Dziadami wsadził mnie do pociągu, wydawał się uszczęśliwiony. I tak zamierzałam szybko wrócić. Chciałam zaskoczyć mamę, odbyć trudną rozmowę, a następnego dnia zasiąść wygodnie w pociągu zmierzającym do Kielc. Nie miałam zamiaru w żadnym razie przegapić organizowanej przez Mieszka ceremonii.

Rozmowa z mamą przebiegła lepiej, niż mogłam zakładać. Przynajmniej do czasu, gdy zeszliśmy na temat mojej ciąży...

Wyznałam mamie wszystko. Oczywiście miałam duszę na ramieniu, że ktoś podsłucha, dlatego większość czasu spędziłyśmy w najjaśniejszym miejscu w mieszkaniu, czyli łazience. Białe kafelki odbijały światło wszystkich lamp, które poustawiałyśmy na pralce, toalecie czy nawet w wannie, doprowadzając nas obie do migreny, ale przynajmniej czułyśmy się bezpiecznie.

Jak mogłam się domyślać, najbardziej ubodła ją wiadomość o mojej ciąży. Żadne tam podsłuchiwanie, wizje, bogowie, tylko ciąża.

– Ale jak to? Jesteś w ciąży? – wydusiła i wbiła spojrzenie w mój, chciałabym zauważyć, wciąż płaski brzuch. – Coś ci tutaj faktycznie wystaje... Córko! Jak mogłaś! Bez swaćby? Co ludzie powiedzą?!

– Mieszko mi się przecież oświadczył – zauważyłam i jeszcze raz podsunęłam jej pod nos swój pierścionek zaręczynowy.

– Od oświadczyn do ślubu długa droga – stwierdziła. – Przecież to wszystko trzeba przygotować. Trzeba porozmawiać z kapłanem o ceremonii, salę zarezerwować, jedzenie, orkiestrę! A sukienka? Kwiaty? Gosławo!

– Chcemy mieć kameralną ceremonię, tylko dla najbliższej rodziny jeszcze przed Szczodrymi...

– Kameralną, bo nie zdążycie zrobić hucznej? Taki wstyd.

Reszta kilkugodzinnej rozmowy brzmiała podobnie. Na moją uwagę, że przyganiał kocioł garnkowi, bo ona też zaszła w ciążę jako panienska, tylko się zapowietrzyła jak kaloryfer po lecie. Z pewną ulgą zajęłam swoją miejscówkę w wagonie bezprzedziałowym. Chociaż nie spędziłam w Warszawie zbyt wiele czasu, nie mogłam się doczekać, kiedy wrócę do Bielin, do domu.

Wagon był praktycznie pusty. W całym składzie pozajmowano pojedyncze miejsca. Powszechny ruch całego narodu w kierunku

cmentarnym ruszy dopiero pojutrze, gdy trzeba będzie pilnie dotrzeć do rodowych grobów. Dzisiaj, w zwykły dzień roboczy, kiedy mama odprowadziła mnie na dworzec, w całym budynku stacji, tak jak i w całym pociągu, panowały raczej pustki. W związku z szumnym obchodzeniem świąt w naszym kraju ludzie zwykle biorą urlopy przypadające na dni bezpośrednio po świętach, a nie przed.

Rzuciłam torebkę na siedzenie obok siebie i zaczęłam przyglądać się przez okno mijanym domom. Pociąg dopiero wyjeżdżał z Warszawy, posuwał się raczej dość statecznie przez podmiejskie miejscowości pełne przejazdów i mniejszych stacji. A ja przyglądałam się kolorowym domkom przysypanym grubą warstwą śniegu i rozmyślałam nad rozmową, którą odbyłam z mamą.

– To miejsce jest wolne?

Pełne emocji spotkanie z rodzicielką rozmyło mi się przed oczami. Zdałam sobie sprawę, że za oknem już od dłuższego czasu przemykają ośnieżone pola, a nie domki. Odwróciłam się do pytającego, a uprzejmy uśmiech zamienił mi się w grymas niechęci.

Obok mnie, jak gdyby nigdy nic, w pociągu linii Warszawa–Kielce o imieniu, jakżeby inaczej, Mieszko I, stał sobie Swarożyc. Trzeba mu przyznać, że zadbał o zachowanie pozorów. Założył koszulę i buty, by nie wyróżniać się na tle innych pasażerów. O kurtce, niezbędnej, gdy na dworze panuje urocze minus pięć, jednak zapomniał. Najwyraźniej nie miał zamiaru wychodzić na dwór.

– Czy to miejsce jest wolne? – powtórzył uprzejmie.

I jeszcze miał czelność się do mnie uśmiechać.

Zabrałam torebkę i przytuliłam ją do piersi. Gdzieś na jej dnie, obok dziesiątek niepotrzebnych przedmiotów, spoczywała mała buteleczka gazu pieprzowego. Ciekawe, co by się stało, gdybym mu psiknęła nim po oczach.

Swarożyc z wyrazem lekkiego niesmaku zasiadł na fotelu. Potężna sylwetka ledwie mieściła się na siedzeniu, przystosowanym do śmiertelników o znacznie węższej budowie. Kolana boga zaklinowały się na oparciu siedzenia znajdującego się przed nim, pomimo że usiadł najgłębiej, jak się dało.

– W pierwszej klasie są szersze fotele. Możesz tam usiąść – zasugerowałam.

– Ranisz mnie. Wolę zostać z tobą. Jak udała się wizyta u matki?

– Oboje wiemy, że cię to nie interesuje.

– Ale to ważne dla ciebie, dlatego pytam.

Rzuciłam mu pełne niedowierzania spojrzenie. Ostatnie, o co bym go podejrzewała, to kurtuazja. Z całą pewnością coś knuje. Mocniej ścisnęłam torebkę, gotowa użyć jej chociażby jako broni miotanej.

– Dobrze – burknęłam. – Wizyta się udała. Ploteczki, ciasteczka i maseczki. A ty czego ode mnie znowu chcesz?

– Jesteś bardzo opryskliwa – zauważył. – Rozumiem, że twoja matka to drażliwy temat. Nie rozumiem jednak dlaczego. Wydaje się bardzo sympatyczna.

– Nie zbliżaj się do mojej matki – wycodziłam przez zęby.

– Ty mnie interesujesz. Ona jest tylko ciekawostką. Elementem, który definiuje w pewien sposób twoje zachowanie. Skoro nie chcesz o niej rozmawiać, powiedz mi w takim razie, jak twoje wizje? Poczyniłaś jakieś postępy?

Sploniałam się, po raz kolejny przypominając sobie scenę, w której moja mama zawędrowała z Welesem do chatki. To się dopiero nazywa postęp.

– Tak – powiedziałam. – Dowiedziałam się tego, czego chciałam.

– Gratuluję. A czego się dowiedziałas?

– Nie twoja sprawa.

Oparł ręce na podłokietnikach. Cały czas rozglądał się z ciekawością, jakby widział wnętrze pociągu po raz pierwszy w życiu. Pewnie zresztą tak było. Przydałby się teraz konduktor z żądaniem okazania biletu. Chętnie bym zobaczyła, jak Swarożyc usiłuje się tłumaczyć przed śmiertelnikiem.

– Przyszedłeś mi to wreszcie powiedzieć, prawda? – zapytałam, kiedy milczenie zrobiło się stanowczo zbyt ciężkie.

Jakoś mi się nie wydawało, że pojawił się, żeby mi po prostu dotrzymać towarzystwa podczas jazdy. Umiał być uroczy i zabawny. Potrafił wchodzić w rolę zakochanego mężczyzny niczym filmowy amant. Jednak bywały też chwile, gdy jego usta wykrzywiały się w despotycznym uśmieszku, a oczy pozostawały bezwzględnie zimne. Wtedy wydawał się okrutny i zdecydowanie mało ludzki.

Z takim Swarożycem miałam niestety do czynienia właśnie teraz.

– Nadszedł już chyba ten czas – oświadczył.

Przełknęłam ślinę. Ja wiem, że przez ostatnie tygodnie, a wręcz miesiące, awanturowałam się, że chcę się w końcu dowiedzieć, że chcę poznać to przekłete imię. Jednak kiedy wreszcie nadeszła ta chwila, poczułam jedynie panikę.

Uświadomiłam sobie, że jeśli je poznam, to znaczy, że będę musiała coś robić. A ja wolę narzekać niż robić. W narzekaniu jestem już całkiem niezła. W robieniu czegokolwiek dopiero się rozkręcam.

– Kto to będzie?

Pochylił się w moją stronę i przysunął usta do ucha. Poczułam jego ciepły oddech na policzku.

– Weles – szepnął niemalże z czułością.

Skamieniałam. Na chwilę zapomniałam, jak się oddycha. Mogłam jedynie powtarzać bezgłośnie imię boga podziemi, istoty, która jako Czarnobóg stworzyła świat i ludzi.

Imię mojego ojca.

– Dlaczego? – wyszeptałam w końcu.

Usta mi drżały, nie byłam pewna, czy wymówiłam to pytanie, czy tylko mi się wydawało. Swarozyc przyglądał mi się odrobinę zniesmaczony. Nie wiem, czego oczekiwał. Przecież nikt by się nie ucieszył, słysząc coś takiego.

– Bo nic innego nie zapewni chaosu na tym świecie – powiedział. – Najlepsze, co mogę zrobić, to rozbić kolumnę podtrzymującą tę rzeczywistość. Bez niego wszystko się zachwieje.

– Ale po co? – Nie mogłam tego pojąć.

– Bo ja, moja droga widząca, mam bardzo dużą ochotę zająć jego miejsce.

– Przecież Weles jest Czarnobogiem! On na pewno wie, co knujesz! – syknęłam.

Zresztą sam mi się przyznał, że wie, kogo Swarozyc chce zaciukać sztyletem. Oczywiście mnie wcześniej nie ostrzegł. Nie wiem czemu... Chyba tylko po to, żeby zapewnić mi teraz autentyczny wstrząs.

Bo byłam wstrząśnięta, oj, byłam!

– Niech myśli, co chce – odparł lekceważąco. – Mnie nic nie powstrzyma.

– A nie uważasz, że skoro jest stwórcą bogów, to nie będzie miał żadnego problemu ze zniszczeniem jednego? – wyszeptałam. – Zresztą, co ma go niby w takiej sytuacji powstrzymać przed skrzywdzeniem mnie?

Nie rozumiałam go. Nie pojmowałam ogromu jego szaleństwa. Przecież ten plan nie może się udać.

– Ty, moja droga widząca, będziesz pierwsza. Ty skrzywdzisz go najpierw. Weź sztylet, który ci podarowałam, i wbij mu prosto w serce. Nie będzie się tego spodziewał.

– Niby jak to sobie wyobrażasz?! Przecież to bóg podziemi!!! Zabije mnie od razu, gdy tylko przed nim stanę z tym cholernym sztyletem, który błyska jak reflektor! – Mój gorączkowy szept prawie zamienił się w krzyk. Miałam gorącą nadzieję, że nikt ze współpasażerów nie podsłuchuje naszej rozmowy.

– Nie będzie cię podejrzewał.

– Niby czemu?!

– Bo już byłaś w zaświatach. Toleruje cię tam. Kto wie? Może nawet cię lubi, traktuje jako ciekawostkę. Widziałem, jak tam ostatnio wchodziłaś. Wyszłaś chwilę później i nic ci nie było. Nie bałaś się. Możesz wejść tam jeszcze raz. Nie zdziwi go to.

Zaczęłam się gorączkowo zastanawiać, czy on wie, kim jest mój ojciec. Chyba nie powinien tego wiedzieć, o ile te ćwierć wieku temu nie podglądał Welesa i nie przyłapał go z moją mamą in flagranti. Nie wymówiłam imienia Czarnoboga, kiedy pojechałam do mamy. Żadna z nas tego nie zrobiła. Ogólnie tylko wspominałyśmy mojego ojca, bez wdawania się w żadne szczegóły, które mogłyby pomóc go zidentyfikować. Babie Jadze jeszcze nie powiedziałam o swojej rodzinnej tajemnicy, tak samo Mieszkowi. Z Welesem rozmawiałam tylko w Wyraju, a wtedy Swarożyc nie mógł nas podsłuchać. Tak przynajmniej twierdził bóg podziemi.

Chyba naprawdę istniała szansa, że Swarożyc tego nie wiedział. Mógł oczywiście śledzić Welesa, gdy ten szedł na randkę z moją mamą, ale po co? Skąd mógł wiedzieć, przypuszczać chociaż, że Czarnobóg ma taki dalekosiężny plan? Nie mógł. Chyba.

– Po co u niego byłaś? – zapytał.

– Ja, ja... – zaczęłam się jąkać. – Chciałam usłyszeć od niego, że nie ma mi za złe, że nie oddałam mu kwiatu paproci. Chciałam powiedzieć, że przepraszam.

Chociaż teraz już nawet nie byłam pewna, czy to w ogóle zrobiłam. Tak... chyba go nie przeprosiłam. Ja naprawdę mam tupet i kurzy mózdzek!

– To nie było zbyt mądre – skwitował. – Cieszę się, że Weles cię nie zabił, choć miał do tego pełne prawo. Dlaczego mnie nie zapytałaś, czy możesz tam iść? Dlaczego?

– Nie jesteś moim właścicielem. Nie muszę pytać cię o pozwolenie.

Posłał mi naprawdę paskudny uśmiech.

– Ale teraz zrobisz to, co ci mówię. Teraz ja każę ci tam iść i go zabić.

Użyj całego swojego uroku osobistego i wbij mu sztylet w serce. Prosto w serce. Zabij go.

– A jak mi się nie uda? – wyjąkałam.

– Uda ci się.

– Ja...

– Masz czas do Dziadów, widząca. Do ranka następnego dnia.

Dawał mi jeden dzień. Dziady są już jutro. Nie miałam nawet czasu, żeby się porządnie zestresować całą tą sytuacją.

– A jeśli tego nie zrobię? Święto jest jutro wieczorem. To za mało czasu!
– zaprotekowałam.

– Nie chcesz nie zdążyć, widząca. Jeśli nie spełnisz danej mi obietnicy, zabiję wszystkich, których kochasz. Wszystkich, którzy kiedykolwiek chociażby z tobą rozmawiali. Nikt nie łamie danych mi obietnic.

Następnie zniknął, a mnie owionął szary dym. Rozkaszlałam się. Cholerny Swarożyc! Jak on mógł mi to zrobić?! Jak?!

– Proszę o bilet do kontroli.

Uniosłam głowę. W przejściu pomiędzy rzędami stał konduktor w ciemnogrnatowym mundurze. Marynarka ze złotymi guzikami ciasno opinała jego piwny brzuszek. Miał znudzoną minę. Nagle jednak się ożywił. Wciągnął powietrze przez nos i zmarszczył krzaczaste brwi.

– Co to za zapach? Paliła pani w pociągu?! – zapytał rozsierdzony.

– Zwariował pan?! Jestem w ciąży! – palnęłam.

– Paliła pani w pociągu, w ciąży?!

Drzewa głośno szumiały. Wysoko nad naszymi głowami zerwał się wiatr, szarpiąc bezlitośnie ich koronami, zupełnie jakby chciał zniszczyć całą puszcę. Jednak blisko ziemi nie było już czuć jego gwałtownych podmuchów. Wydawało się, że powietrze wisi w kompletnym bezruchu. Otaczające nas paprocie ani drgnęły, tak samo jak moja sukienka i jego szeroka koszula.

– Jesteś pewien, że chcesz to zrobić? – zapytałam.

Mieszko wyciągnął dłonie. Zmarszczył brwi. Zimne oczy ciskały błyskawice. Czułam wzbierającą w nim wściekłość. Mój wojownik zamienił się w obcego człowieka.

– Zawsze dotrzymuję złożonych obietnic – powiedział.

– A ja? Ja też obiecałam... – Ciągle miałam wątpliwości.

– On nie miał prawa cię o to prosić – stwierdził twardo. – A ja nie pozwolę ci się narażać.

Oboje nie wymienialiśmy jego imienia. Udawaliśmy, że nie istnieje. Tak było dla nas łatwiej.

Położyłam sztylet na jego dłoniach. Zanim zacisnął palce na brudnej rękojeści, zdołałam jeszcze dostrzec olbrzymi bursztyn osadzony w głowni.

Mieszko opuścił rękę ze sztyletem. Poznaczone rdzą ostrze nie błyszczało. Wydawało się, że pochłania światło.

– Uważaj na siebie – poprosiłam. – Wróć do mnie.

Pogłaskałam go po policzku, bojąc się, że jeśli powiem choć słowo więcej, zdradzieckie łzy popłyną po mojej twarzy.

Mieszko wszedł pomiędzy wierzby. Zniknął za zasłoną ich długich witek. Uniosłam dłonie do ust, żeby powstrzymać się w ten sposób przed wykrzyczeniem jego imienia. Miałam ochotę rwać włosy z głowy.

To był zły pomysł. Nie powinnam pozwolić mu wziąć na siebie całej odpowiedzialności. To była moja obietnica. Mój obowiązek! A to jego wysłałam na rzeź. To jemu stanie się coś złego.

Nie mogłam tego wytrzymać. Nie chciałam, żebym mu towarzyszyła. Miałam zostać i czekać cierpliwie, aż wróci. Nie. Nie mogłam tego zrobić.

Ruszyłam przed siebie. Pomogę mu. Muszę!

Powoli, na palcach, weszłam pomiędzy dwie staruszki wierzby. Witki uderzały mnie po odsłoniętych ramionach, ostre krzaki raniły w kolana i łydki. Spojrzałam na swoje gołe stopy. Krwawiły, każdy mój krok zaznaczał się na czerwono w suchej trawie.

Odwrociłam się i spojrzałam za siebie. Ślad mojej krwi prowadził do zaświatów.

Wyraj był zatopiony w świetle. Wszystko się skrzyło, błyszczało. Błękitne niebo nad moją głową pełne było delikatnych chmur, lekko różowawych, puchatych, bajkowych. Ciepły wiatr odrzucił moje włosy na plecy, słońce pogłaskało policzki. Poczułam zapach ziół. Drzewo kosmiczne wyciągało swoje gałęzie wysoko, znikają gdzieś, kryjąc się w obłokach.

Zeszłam w dół, zostawiając za plecami ponure wierzby. Jednak nie zapadłam się po kostki w błocie i płytkiej wodzie. Moje stopy stąpały pewnie po powierzchni bagna, jakby woda była szklaną taflą.

Uśmiechnęłam się. Tak powinien wyglądać Wyraj!

Spojrzałam przed siebie. U podnóża drzewa, wśród różnokolorowych kwiatów, dumnie stał drewniany tron Welesa. Pusty. Na niebo napłynęły ciemne chmury. Przysłoniły koronę drzewa kosmicznego. Nagle zrobiło się zimno. Wiatr, zamiast miłe chłodzić skórę, zaczął szarpać za włosy i wyciskać łzy z oczu. Wszystko poszarzało. Zniknęły kwiaty, różowe obłoki i tęczne odblaski.

Moje stopy zanurzyły się w wodzie. Zamachałam rękami i cudem zdołałam złapać równowagę, gdy wpadłam głębiej, aż po kolana. W otaczających mnie szuwarach zapaliły się czerwone punkty oczu.

Nawia całkowicie zmieniła swoje oblicze.

Jeszcze raz spojrzałam w stronę tronu. Teraz już zobaczyłam Welesa. Stał pomiędzy mną a drzewem. Jego stopy opierały się na wąskim pasie ziemi, ponad powierzchnią błota. Bardziej niż kiedykolwiek przypominał teraz mitycznego Czarnoboga. Jego proste, krucze włosy były znacznie dłuższe, unosiły się dookoła bladej twarzy. Usta miał zaciśnięte w wąską kreskę. Jego sylwetka nie była już wątła i nieproporcjonalna. Przypominał raczej herosa ze starych rzeźb, kogoś, kto wzbudza strach całą swoją postawą.

Obok niego klęczał Mieszko. Wydawał się znacznie mniejszy od górującego nad nim Welesa. Koszula wisiała na nim w strzępach, cała pokrwawiona. Twarz miał wysmarowaną błotem, ręce wykrzywione za plecy, a głowę pochyloną do dołu niczym skazaniec oczekujący na

egzekucję. Nie mogłam dostrzec, czy krępowały go jakieś więzy, czy kajdany. Nawet nie próbował się wyrwać.

– Mieszko! – zawołałam przerażona.

Wiatr porwał mój głos. Nie słyszeli mnie. Chciałam pobiec przed siebie, ale nie mogłam. Grząskie błoto krępowało moje ruchy. Miałam wrażenie, że zasysało mi stopy, że coś, a może raczej ktoś, obejmuje mnie za kostki i celowo nie pozwala uczynić nawet jednego kroku. Szarpnęłam się, ale bagno wchłonęło mnie tylko głębiej.

– Mieszko! – krzyknęłam.

Nadal pochylał poddańczo głowę, ale wykręcił twarz w moją stronę. Usłyszał mnie. Usłyszał!

Zobaczyłam jego oczy, dwa niebieskie zimne kryształy tuż nad zabryzganymi krwią i błotem policzkami. Wyglądał, jakby namalował sobie barwy wojenne.

Wszystko w Wyraju było białe, szare albo czarne, przypominało klatkę ze starego filmu. Tylko jego krew i oczy nadal miały kolory.

Rozchylił drżące wargi, mówił z wyraźnym wysiłkiem. Nie mogłam usłyszeć co, nie dotarł do mnie żaden dźwięk. Nie potrafiłam też niczego odczytać z ruchu jego ust.

– Mieszko! Nie rozumiem! Mieszko!

Zdołałam wyrwać jedną nogę i natychmiast poleciałam do przodu. Ugrzęzłam dłońmi w błotnistej mazi, a plisy sukienki rozłożyły się dookoła mnie jak opadające płatki kwiatu. Straciłam punkt podparcia. Moje dłonie tkwiły w błocie, opadały coraz niżej pchane moim ciężarem. Ktoś złapał mnie za nadgarstki. Poczułam palce zakończone ostrymi pazurami.

– Mieszko! – zawyłam.

Patrzył na mnie. W jego oczach zobaczyłam smutek i rezygnację. Nie rzucił mi się na ratunek.

Bóg podziemi stanął u jego boku. Złapał go za włosy i odgiął głowę do tyłu. Miałam wrażenie, że zaraz pęknie mu szyja. Mieszko wyszczerzył zęby w grymasie bólu.

– Welesie! Welesie! Zostaw go! Weź mnie! Zostaw go!

Bóg nie zwrócił na mnie uwagi. Dopiero teraz zauważyłam, że w drugiej dłoni ścisnął sztylet Juraty. Bursztyn pulsował ciepłym światłem. Zbliżył ostrze do szyi Mieszka. Jego twarz oblał żółty blask.

Mieszko patrzył na mnie. Zdołał lekko wykrzywić głowę w moją stronę. Jego usta znowu się poruszyły. Tym razem zrozumiałam, co szeptał.

Wydałam z siebie dziki skowyt i ponownie szarpnęłam się do przodu. Zdołałam stanąć na nogach, ale teraz czułam, że moich rąk, nóg i talii czepia się kilkanaście dłoni. Sękate palce obejmowały mnie mocno, przecinając skórę pazurami. Nie wiedziałam, co to za istoty, ale usiłowały wciągnąć mnie z powrotem pod powierzchnię bagna.

– NIE! – wrzasnęłam.

– Kocham cię – wyszeptał jeszcze raz.

Weles przeciągnął ostrzem po jego szyi. Strumień czerwonej krwi wystrzelił w powietrze i trysnął na wody Wyraju. Oczy Mieszka uciekły w głąb czaszki, gdy wypłynęło z niego życie.

Umarł.

Zrozumiałam to od razu. Po prostu umarł.

Weles cofnął rękę ze sztyletem. Bursztyn był najedzony. Już nie pulsował. Świecił jednostajnie, podkreślając cienie na twarzy Czarnoboga swoim ciepłym blaskiem. Bóg puścił głowę mojego Mieszka. Ten upadł bezwładnie na ziemię. Ciało poruszyło się jeszcze w drgawkach, aż całkiem znieruchomiało. Jego uwolnione z pęt ramiona leżały rozrzucone na boki. Nic go już nie krępowało.

Krew wciąż jeszcze tryskała z szyi, póki biło jego serce. Strumień spłynął po ziemi, by zmieszać się z błotem. Jednak zamiast rozmyć się w bagnie Wyraju, krew Mieszka rozlała się po powierzchni niczym olej.

Zbliżała się do mnie. Trzymające mnie dłonie po kolei zaczęły się odrywać, byle tylko krew ich nie dosięgła. Gdy dotknęła mojej skóry, straciłam przytomność.

Usiadłam. Kołdra zsunęła się z moich piersi. Śpiący obok mnie Mieszko mruknął coś przez sen i wykręcił się do mnie plecami. Pociągnął za swoją stronę pierzyny, owijając się nią szczelnie.

Nie oddychałam ciężko, nie obudziłam się z krzykiem. Krew Mieszka wyzwoliła mnie z koszmaru i po prostu otworzyłam oczy. Nie potrafiłam się powstrzymać. Uniosłam rękę i położyłam ją na jego ramieniu. Był tu, ciepły, żywy. Znowu coś sapnął, ale zaraz jego oddech się pogłębił.

Pomyślałam o sztylcie z głownią ozdobioną bursztynem. Leżał spokojnie, schowany pod kominkiem, ale czułam, że się budzi. Byłam przekonana, że zaczął świecić, błyszczeć w rytmie mojego serca.

Położyłam się na boku i przytuliłam do pleców Mieszka. Objęłam go w pasie i położyłam głowę na ramieniu. Nawet się nie poruszył.

Czułam ciepło bijące z jego ciała. Moja głowa unosiła się do góry, gdy oddychał. Przez sen zacisnął palce na mojej dłoni.

Nie mogłam dać mu sztyletu i wysłać go do Wyraju, żeby zabił dla mnie Welesa. Nie wiem, czy to był sen, czy też może wizja. Pewnie zwykły sen, skoro nawet bogowie nie mają wglądu w przyszłość. Ja również nie powinnam go mieć.

Poza tym Nawia jest zamknięta dla ludzi. Gdy kiedyś stanęłam u jej bram z Mieszkiem, oboje zobaczyliśmy bagno, jednak tylko ja widziałam drzewo kosmiczne. Zupełnie jakbym ja miała wgląd do innego wymiaru. Najzwyczajniej w świecie nie mógł tam wejść, żeby zabić dla mnie Welesa.

Nawet ze swoją nieśmiertelnością nie mógł się równać z bogiem, Czarnobogiem. Niestety ja też nie mogłam się równać. Jednak biorąc pod uwagę swoje pochodzenie, mogłam przynajmniej wejść do środka i zbliżyć się w miarę niepostrzeżenie do pana podziemi.

– Gosia? – mruknął Mieszko.

– Hm?

– Czemu nie śpisz?

– Miałam zły sen.

– To tylko sen.

Ponad jego ramieniem przyglądałam się wąskiemu paskowi światła, który prześliznął się pomiędzy zasłonami. Świtało. Rozpoczął się nowy dzień.

– Tak, to tylko sen – wyszeptałam.

Nadeszły Dziady.

Z samego rana Mieszko pojechał na cmentarz w Bielinach, żeby dopilnować układania drewna na ognisko, a potem skontrolować wszystkie rozstaje dróg, przy których miały płonąć specjalne pochodnie. Ja miałam spędzić dzień z Jarogniewą, ale najpierw musiałam pilnie skontaktować się z Welesem. Musiałam mu powiedzieć, że Swarozyc chce się go pozbyć. Wiedziałam, że już ma tego świadomość, chciałam jednak usłyszeć, czy ma w związku z tym jakieś plany. Skoro i tak o tym wiedział, to pewnie się jakoś przygotował.

Bo ja już wstępnie jeden plan miałam. Kulawy plan, w którym zionęły ogromne dziury, które miałam nadzieję przy odrobinie szczęścia jakoś zapełnić.

Gdy tylko Mieszko odjechał, a jego samochód zniknął za najbliższą górką, narzuciłam kaptur na głowę i klnąc na czym świat stoi na śnieg padający mi prosto w oczy, potruchtałam w stronę lasu. Pług śnieżny przejechał z samego rana, rozsypał piach z solą, ale i tak buty ślizgały mi się po chlapie. Sztylet ciążył mi w torbie przewieszanej przez ramię. Nie zamierzałam się dzisiaj z nim nawet na chwilę rozstawać.

Zasapałam się porządnie, na długo zanim dotarłam do lasu, chociaż to było ledwie kilkaset metrów. Wiatr pchał mi biały puch prosto w oczy, przez co ledwie widziałam. Zmartwiłam się. Warunki były niebezpieczne. Miałam nadzieję, że zarząd dróg podoła zadaniu i ludzie się nie pozabijają, jadąc wieczorem na cmentarze.

Nagle uderzył we mnie potężny podmuch wiatru. Nie miałam tyle siły, żeby ustać na nogach. Jak postać z kreskówki przechyliłam się na jedną stronę i potykając się o własne stopy, runęłam w zaspę.

No dobrze... „Runęłam” to odrobinę przesadzone określenie, jako że zaspą miała około metra wysokości. Właściwie usiadłam na niej wyjątkowo niezgrabnie, mianowicie twarzą do dołu.

Chwała bogom, że przy tej śnieżycy wszystkie wsiowe burki siedzą grzecznie na posesjach, zamiast sikać na śnieg.

Podniosłam się z lekkim wysiłkiem na kolana i przetarłam twarz.

Wiatr ustał, jakby ktoś nagle kliknął magiczny przełącznik. Powietrze

było nieruchome, a śnieżynki opadały pionowo w dół. Zrobiło się cicho, zniknął przenikliwy gwizd wiatru. Sięgnęłam dłonią do wełnianej czapki i poprawiłam ją na głowie, odzyskując pełne pole widzenia.

Dzięki temu tuż przed swoim nosem dostrzegłam czyjeś buty. Niby nic strasznego. Przecież ktoś mógł iść obok polem. Co prawda nie widzę sensu w brodzeniu w metrowej wysokości zaspie, ale nie mnie oceniać czyjaś fantazję.

Tylko że te buty były dziwne. Przede wszystkim uszyto je z białej, na oko cielejącej skórki. Dość cienkiej. Wyraźnie widziałam, jak od wewnątrz wypychają ją palce. Wszystkie szwy wykonano niebieską nitką, były bardzo wyraźne, jakby specjalnie wyeksponowane. Buty przypominały trochę góralskie kierpce, tak samo jak one nie miały typowej podbitej podeszwy. Różniły się natomiast noskiem. Miały znacznie dłuższy, lekko zakrzywiony do góry, trochę przypominały przez to buty bajkowego Aladyna. Nad nietypowymi kierpcami świeciły natomiast gołe (i zapewne to właśnie z tego powodu sine), męskie kostki i kawałek owłosionych łydek. Blond włosy pokrywały każdy centymetr skóry i przypominały kręcone futerko.

Aż bałam się unieść wzrok wyżej. Te buty już mi się nie podobały.

– Przepraszszszam, ale mussiałem.

Właściciel sinych kostek miał syczący głos i niemożliwie przeciągał słowa. To także mi się nie podobało. A już najbardziej wkurzało mnie to, że tkwię w zaspie i nie za bardzo wiem, jak się z niej wygrzebać.

– Na drodze jest sssól – dodał, jakby miało mi to wszystko wyjaśnić.

No dobra, częściowo wyjaśniało. Mogłam mieć już stuprocentową pewność, że tajemniczy osobnik w kierpcach na pewno nie jest zagubionym w Bielinach górale.

Nie brzmiało to dobrze, ale w końcu się odważyłam: uniosłam głowę i przesunęłam spojrzeniem od poszarpanych na łydkach niebieskich spodni, przez białą koszulę ściśniętą w pasie pozłacanym paskiem, aż po ciemnogrnatowy, filcowy kłobuk. Kierpce, góralski kapelusz, sina skóra... coś mi tu nie pasuje.

Widząc mój wzrok, nieznajomy sięgnął do tasiemki przewiązanej pod szyją na kokardę i szarpnął za końcówki. Niemalże od razu zerwało mu z głowy kapelusz, jak gdyby pod szerokie rondo zawiał silny wiatr. W ostatniej chwili chwycił za wymykające się sznurki.

– Witaj – rzekł i pochylił głowę.

Podejrzewam, że miał loki, jednak widziałam tylko i wyłącznie blond

pasma szarpane strasznie przez wiatr. Ja nie czułam jego podmuchów. Wniosek był więc dość prosty.

Rozwiany włos. Koszula zabezpieczona przed zarzuceniem jej na twarz. Dość niski wzrost. Już wiedziałam, z kim mam do czynienia. Stał przede mną chmurnik.

– Cześć – burknęłam.

Usiłowałam dźwignąć się do pionu, ale cały czas zapadałam się w puchatym śniegu. Jeszcze chwila i całe spodnie będę miała mokre na tyłku, który rzecz jasna, odmrozę sobie, biegając potem po lesie.

– Możesz mi pomóc wstać? – wysapałam.

– Oczywiścieście!

Podał mi lodowate dłonie i dźwignął do góry. Nadal stałam po kolana w śniegu, ale przestałam się już tak zapadać. On w ogóle nie wpadał w zaspę, zupełnie jakby nic nie ważył. Nie byłam pewna, czy śnieg w ogóle uginał się pod jego ciężarem. Na szczęście był niziutki. Nasze twarze znajdowały się na tej samej wysokości, pomimo że ja tonęłam w śniegu.

– Przepraszam za wiatr. Na drodze jest ssól. Nie mogę tam ssstanąć.

– Nie musiałeś mnie przewracać – zauważyłam.

– To nie było ssspecjalnie. Przessskakiwałam tylko obok ciebie, a ty sssię niechcący przewróciłaś. To mi sssię bardzo częsssto zdarza. Łatwo sssię przewracacie. – Zaczął bez miłosierdzia miętolić w dłoniach filcowy kapelusz. – No dobrze, już dobrze. Jesteś chmurnikiem, prawda? – zapytałam. – Poznałam niedawno Suchowieja. Był do ciebie podobny.

Uśmiechnął się. To znaczy tak mi się wydaje, bo wciąż sprawiał wrażenie smutnego i przygaszonego. Nie byłam pewna, czy uśmiechał się naprawdę, czy tylko usilnie starał się odtworzyć grymas, który widział u innych. Miał wąskie, sine wargi. Cały zresztą był blady, jakiś taki anemiczny. Pod niebieskimi przygaszonymi oczami usadowiły mu się szare cienie. Nawet pojedyncze piegi na prostym nosie wydawały się blade.

Wyglądał, jakby solidnie przemarzł.

– Sssuchowiej pędzi teraz po sssstepach Azji – wyjaśnił. – Niedawno wrócił do ssswoich ssstron. Ja nazywam sssię Halny.

Proszę, proszę. Odwiedził mnie wiatr halny. Trochę się za bardzo zapędził na północ.

– Miło mi cię poznać. Gdy spotkasz Suchowieja, to pozdrów go ode mnie – powiedziałam.

– Oczywiścieście.

– Co cię w takim razie sprowadza do Bielin? Przecież jako Halny powinieneś chyba wędrować na południu, niedaleko Tatr.

– Lubię zwiedzać – oświadczył. – Byłem osstatnio w Krakowie.

– To miło.

– Tylko ludzie ssię nie cieszczyli na mój widok. Tutaj też jessst bardzo ładnie. Tylko trochę zimno – dodał.

Spróbowałam przypomnieć sobie cokolwiek z geografii w liceum. Mówiliśmy wtedy o wiatrach. Z tego, co chodziło mi po głowie, to wiatr halny był raczej suchym, dość ciepłym wiatrem. Nie przynosił ze sobą śniegu. Rozejrzałam się dookoła.

– To Orkan przynióssst śśśnieg. Nie ja – zaznaczył, gdy zauważył, że spoglądam na śniegowe zaspy. – Ja ssstarałem ssię go rozwiąć, ale mi ssię nie udało.

– To miło – powtórzyłam.

– Nic mi ssię nie udaje – dodał.

– To mniej miło...

Chmurnik wyraźnie posmutniał. Wyglądał, jakby miał się zaraz rozpłakać. Przypomniałam sobie, co jeszcze nauczycielka mówiła na geografii. Halny to dość nieprzyjemny, porywisty wiatr, który pogarsza nastrój. Może powodować bezsenność, zdenerwowanie, bóle głowy, a nawet pogłębiać depresję.

Chmurnik Halny był ucieleśnieniem depresji.

– Spokojnie, tym śniegiem się nie przejmuj, mnie się podoba. Jest naprawdę bardzo ładnie. W zimie powinien leżeć śnieg, jest przez to bardziej... świątecznie. Nic nie musisz rozwiewać – zapewniłam go.

– Cieszysz się ssię, bo mi ssię nie udawało.

– A co cię sprowadza do Bielin? – postanowiłam zignorować jego narzekania.

– Zosstanę tylko dziśśś.

– Rozumiem. Chyba... Czyli to taka wycieczka krajoznawcza? Jak do Krakowa?

– Nie, nie, nie. – Pokręcił gwałtownie głową. – Przysssyła mnie bóg.

Robiło mi się coraz zimniej. Mokre portki i śnieg w butach zdecydowanie nie poprawiały mojego samopoczucia.

– Który bóg? – Ledwie się powstrzymałam, żeby na niego nie wrzasnąć. Jeszcze chwila i nim potrząsnę, żeby wreszcie wydusił z siebie, o co mu w ogóle chodzi.

– Bóg wiatru. Bóg Ssstriobóg.
– Dobrze, a po co cię tu przysłał? – dopytywałam, zadowolona, że w końcu udało mi się z niego wyciągnąć jakikolwiek konkret.

– Chce przesłać ci wiadomość.

– Jaką?

Jeszcze jedna nic niewnosząca odpowiedź i wepchnę go w zaspę.

– Ssstriobóg mówi: przepraszszszam.

– Co?

– Ssstriobóg mówi: przepraszszszam – powtórzył łaskawie, znacznie wolniej i wyraźniej.

– A dlaczego mnie przeprasza?

Nie podobało mi się to. Bogowie nie przepraszają. Nigdy. A już na pewno nie tacy, których nawet w życiu nie spotkałam. Dodatkowo kołatało mi się po głowie, że przecież Suchowiej wspominał, że Stribóg zaczął zaniedbywać swoją pracę, a przez to on mógł przywędrować do Królestwa Polskiego z dalekich stepów Wschodu.

Miałam tylko nadzieję, że przez swoje zaniedbania nie zmaistrował czegoś, co się odbije na mnie i na Bielinach.

Chmurnik milczał. Wyglądał, jakby się zastanawiał. Niestety nie nad odpowiedzią. Zaczął się rozglądać. Chyba chciał uciec.

– A zechciałbyś mi powiedzieć, drogi Halny, gdzie jest Stribóg?

Chmurnik posmutniał jeszcze bardziej, chociaż wydawało się to niemożliwe. Po jego policzku popłynęła łza.

– Znowu zrobiłem cośś źle? – zaszlochał.

– Nie, nie! W żadnym razie – zaprotestowałam szybko. – Wszystko zrobiłeś dobrze.

– Ale jesteśś na mnie zła.

– Nie jestem na ciebie zła. Jestem zła na Striboga.

Ta odpowiedź jeszcze bardziej go zmartwiła.

– Nie można złościć się na boga – powiedział. – Tak nie wypada.

– Cóż, będę o tym pamiętać. A teraz odpowiedz mi, proszę, na moje pytania. Muszę już iść. Nie mam zbyt wiele czasu na pogawędkę.

– Ssstriobóg nie może przyjsić do ciebie ossobiśście. Nie ma go tu – wyjaśnił i wskazał na niebo. – Jessst tam. Wyssoko. Nie wróci. Wyssłał mnie. Ja mam wykonać zadanie. Dzissiaj. A potem mogę wrócić do domu. W moje góry.

– Co dokładnie kazał ci przekazać Stribóg? – zapytałam.

– Kazał powiedzieć, że cię przepraszszsza.
– To już wiem. Mówił coś jeszcze?
– Powiedział, że każdy mussi ssspełniać dane obietnice. Nawet on. Kazał cię przeprsssic za to, co zrobi. To znaczy za to, co ja zrobię.

– A co zrobisz? – wyjąkałam.

– Tego nie mogę ci powiedzieć. Przepraszszszam. Wiem, że będzie ci przykro. Ssstribóg mnie uprzedzał.

Przestał ugniatać w dłoniach nieszczęsny kapelusz. Wsadził kłobuk na głowę i zawiązał szybko sznurki pod brodą. Szarpało rondem, ale nie było siły, żeby teraz spadł.

– Do zobaczenia – pożegnał się.

Nie zdążyłam odpowiedzieć. Dostałam w twarz śniegiem i znowu wywaliłam się w zaspę.

Chmurnik w tym czasie zniknął.

Nie zrezygnowałam ze swoich planów. Odwiedziłam Welesa. Ucięłam sobie z nim krótką, lecz całkiem burzliwą pogawędkę. Pokazałam mu sztylet, oczywiście nie próbowałam go zabić, chociaż w związku z jego brakiem zaangażowania w moje problemy ręce mnie świerzbiły.

To filar tego świata, jak malowniczo określił go Swarożyc. Poza tym to mój ojciec. Wymusiłam na nim kilka deklaracji. A nawet się popłakałam, choć akurat ten fakt nie zrobił na nim niestety zbyt dużego wrażenia. Mimo wszystko spotkanie uznałam za udane. Miałam już plan na dzisiejszą noc. Chciałam tylko zobaczyć, co się stanie później. Bałam się ruchu Striboga. Nie przewidziałam, że do dzisiejszej rozgrywki może dołączyć ktoś jeszcze. Weles nie miał pojęcia, co może zrobić dzisiaj siejący wiatr bóg.

Z tego wszystkiego rozboleła mnie głowa. Wydaje mi się, że zawdzięczałam to Halnemu. A także bogom. Wszystkim. Bez wyjątków.

Resztę dnia spędziłam z Babą Jagą. Przygotowywałyśmy jedzenie, które chciała zabrać na cmentarz, oraz posprzątałyśmy cały dom. Oczywiście nie wylewałyśmy wody przez okno, nie szyłyśmy, nie wyrzucałyśmy śmieci. Nie robiłyśmy niczego, czym przypadkiem mogłybyśmy urazić przechodzącego akurat przodka. Choć osobiście wątpię, że podziwiają prace domowe. Jak już dwa razy do roku mogą wyjść z Wyraju, to raczej spędzają ten czas przyjemniej.

Jaga usiłowała mnie dopytywać, co robiłam przez cały ranek, ale odpychając od siebie poczucie winy, wykpiłam się bólem głowy. Nawet dużo nie skłamałam. Szeptucha w przeciwieństwie do mnie była wesoła, rozsadzała ją energia. Nie mogła się doczekać, kiedy znajdziemy się na cmentarzu. Nie miałam serca psuć jej nastroju Dziadów opowieściami o morderstwach.

– Jesteś gotowa? – zapytała.

Spojrzałam krytycznie na swoje odbicie. Bardzo starałam się założyć wianek na głowę, na którą nasadzona była już wełniana czapka, ale w żadnym razie mi to nie wychodziło. Mój wianek był dość rozłożysty. Koło gospodyń wiejskich, które przygotowało dla nas nakrycia głowy i wieńce na groby, naprawdę przyłożyło się tej jesieni do swojej pracy.

Dorodne chryzantemy poprzetykane między zielonymi gałązkami cisu wyglądały pięknie.

Niemniej uważam, że noszenie wianków na głowie, gdy wszędzie leży czterdzieści centymetrów śniegu, jest odrobinę niepraktyczne.

– Włóż opaskę – doradziła Jarogniewa.

Ona tak zrobiła. Na czarną opaskę z polaru nasadziła wianek i wszystko zabezpieczyła dziesiątkami spinek do włosów. W połączeniu z jej czarnym płaszczem i kwiecistą chustką pod szyją wyglądało to nawet całkiem nieźle.

– Musisz włożyć wianek. Dzisiaj tak trzeba – dodała.

Wianek Mieszka także już czekał. Miałyśmy mu go oficjalnie przekazać, gdy już dotrzemy na bieliński cmentarz, tuż przed rozpoczęciem ceremonii. W jego wianku nie było żadnych kwiatków, upleciono go wyłącznie z gałązek cisu, na których wisiały jeszcze czerwone niby-jagody. Biorąc pod uwagę przesady związane z tym drzewem, nie było to najbezpieczniejsze rozwiązanie.

– Cis chronią przed umarłymi, prawda? – upewniłam się.

– Nie przed umarłymi, tylko przed złymi duchami, które mogą wyleźć z cmentarza – poprawiła mnie Jaga.

Mówiła niewyraźnie, bo właśnie malowała usta czerwoną szminką. Stroiła się tak, jakby miała nadzieję, że Mszczuj wyjdzie z zaświatów i się nam ukaze. Nie do końca w to wierzyłam, ale pilnowałam się, żeby dzisiaj nie robić żadnych niemiłych uwag.

– Powiedz mi, czego nie należy robić podczas Dziadów – nakazała.

Posłałam jej mordercze spojrzenie, ale udała, że go nie widzi.

– W święto zmarłych należy zadbać o dusze, które mogą nas odwiedzić. Nie wolno zostawiać ostrych przedmiotów leżących odłogiem, by przypadkiem się nie skaleczyły – zaczęłam recytować wyuczone formułki. – Nie należy szyć, bo można przyszyć do siebie duszę. Nie wolno wylewać pomyj za okno, żeby przypadkiem kogoś nie trafić. Swoją drogą, jeśli te dusze są takie obleśne, że podglądają nas przez okna, to trochę im się należy.

– Nieprawda! – oburzyła się. – Przecież to dusze. Nie mogą sobie otworzyć drzwi, więc zagląдают przez okna.

No i dobrze, że nie mogą otwierać drzwi. Tego tylko by brakowało.

– Co jeszcze? – dopytywała.

Ze złością zdjęłam z głowy czapkę i założyłam czarną opaskę. Faktycznie wianek lepiej się na niej trzymał.

Na pewno zamarznę.

– Nie można prasować, nie wolno rąbać drewna. Musimy wyłożyć czyste obrusy, pościel. Jeśli w czasie posiłku spadnie na ziemię łyżka czy widelec, to nie wolno go podnieść. Trzeba zostawić jedzenie dla duchów. No przecież znam te wszystkie przesady! – zachnęłam się.

– Czasem ci się zdarzy coś wiedzieć – przyznała. – Już dobrze, dobrze. Wiesz wszystko, przygotowałaś się, brawo. Łap jedzenie i idziemy. Na pewno dasz radę prowadzić?

– Dam, dam.

Złapałam siaty z jedzeniem i zarzuciłam na ramię torbę. O biodro uderzył mnie kanciasty kształt znajdujący się w środku. Pomacałam materiał, żeby sprawdzić, czy nie zrobił w nim dziury. Zabierałam ze sobą sztylet Juraty.

Mieszko zostawił nam swój samochód, a sam pojechał na Niksie. Na szczęście napęd na cztery koła bez trudu radził sobie ze śliskim śniegiem i w rekordowym tempie dotarliśmy pod cmentarz.

– Kiedy ślub? – zagadnęła Jaga.

– Nie wiem. Jeszcze nie ustaliliśmy – odparłam.

– Koleżanka z koła gospodyń domowych powiedziała mi, że wszystkie dziewczuchy się za nim oglądają.

– Popatrzeć sobie mogą – skwitowałam. – I tyle.

Skandal. Mają czelność w ogóle się nie przejmować faktem, że jesteśmy zaręczeni. Chyba nikogo poza Babą Jagą to nie ucieszyło. Nawet moja mama była sceptyczna. No, ale ona nigdy Mieszka nie polubiła. A znieubiła go jeszcze bardziej, gdy w końcu jej powiedziałam, że jestem z nim w ciąży.

– Dopóki nie weźmiecie swaćby, to będą za nim łązić – zawyrokowała Jarogniewa. – Teraz, kiedy został kapłanem, znowu stał się pożądanym kawalerem. Bardzo pożądanym. Każda kobieta by chciała, żeby jej zięć był kapłanem, lekarzem albo prawnikiem.

Och, moja mama też by pewnie chętnie widziała u mego boku lekarza lub adwokata. Niestety Mieszko był kapłanem, a to jej w ogóle nie satysfakcjonowało.

– Jesteśmy zaręczeni. To im powinno wystarczyć – powiedziałam.

– Narzeczona to tylko narzeczona. To jeszcze nic nie znaczy.

– Porozmawiam z Mieszkiem jeszcze raz o swaćbie – zapewniłam ją, żeby wreszcie dała mi spokój. Na szczęście ją to zadowoliło i zmieniła

temat.

Bieliński cmentarz był wyjątkowo zatłoczony. Ledwie zdołałyśmy zaparkować. Wepchnęłyśmy się chyba na ostatnie wolne miejsce. Gwar i śmiechy było słychać na całym wzgórzu. Wszyscy się cieszyli i nikt nie wyglądał na zmarzniętego.

Z wyjątkiem mnie oczywiście.

Złapałam torby z jedzeniem, z kolei Jaga dzierżyła w wyciągniętych dłoniach wianek dla Mieszka. Kapłan dawał nakrycie głowy szeptusze z okazji wiosennych Dziadów. Podczas jesiennych było odwrotnie.

Ludzie zebrali się przed wejściem na cmentarz, na polanie. Nie było tutaj tyle miejsca co na łące przy Bieliniance, gdzie odbywają się obchody Jarego Święta, Nocy Kupały czy Święta Plonów. Jednak zepchnięto śnieg w wysokie hałdy po bokach, co dało dość miejsca, żeby pomieścić wszystkich mieszkańców.

Zebrani stanęli w kręgu. W samym jego centrum znajdowało się ognisko. Na razie jeszcze nie płonęło, bo oficjalne zapalenie żywego ognia miało nastąpić dopiero za chwilę.

Przepchnęłyśmy się bliżej Mieszka. Stał naprzeciwko usypanych w stos drewnianych szczap. Po tym, jak je rozpali, przekaże ogień młodzieńcom, którzy zanoszą go na najbliższe rozstaje dróg. Zerknęłam na niego krytycznie. Miał na sobie białą kapłańską szatę z kapturem, sięgała mu do połowy uda i była podbita cienkim futrem, ale na moje oko mimo wszystko wydawała się odrobinę za cienka jak na panującą dzisiaj temperaturę. Z jego ust unosiła się przy każdym oddechu biała chmurka.

Uśmiechnął się do mnie i skłonił głowę przed szeptuchą, by ta ułożyła na kapturze wieniec z gałęzi cisu. Ścisnęła go za przedramiona, gdy już się wyprostował.

– Prawdziwy z ciebie kapłan – powiedziała ze wzruszeniem. – Mszczuj byłby dumny.

– Dziękuję, Jago.

Odsunęłam się na bok i zrobiłam miejsce Jarogniewie. Stałyśmy niedaleko Mieszka, po drugiej stronie ustawił się wójt i kilku strażaków w odblaskowych kurtkach. Gwar na polanie zaczął cichnąć. Z każdą chwilą robiło się coraz ciemniej i zimniej. Niebawem nadejdzie zmrok i na nieoświetlonym cmentarzu niczego nie będzie widać.

W oddali błyskał kogutem wóz strażacki. Na obrzeżach cmentarza wystawiono kramy z jedzeniem i namioty, w których można było schronić

się przed zinnem. W powietrzu unosił się zapach grzanego wina i piwa oraz swojskiej kiełbasy. Nawet mnie pociekła ślinka na te aromaty, a co dopiero wygłodzonym duszom.

Spojrzenia wszystkich skierowały się na nas. Mieszko wysunął się na przód i stanął naprzeciwko stosu drewna.

– Podejdźcie! – zawołał.

Nie używał mikrofonu, tak jak Mszczuj. Jego głos niósł się daleko. Ludzie wpatrywali się w niego jak w objawienie bogów.

– Utwórzcie krąg. Stańcie blisko. Nic nie może rozerwać kręgu – powiedział Mieszko.

Ludzie posłusznie się ścieśnili. Nieliczni wzięli się za ręce. Większość jednak była tak obciążona siatkami ze zniczami, kwiatami jedzeniem i piciem, że nie mieli wolnych rąk, które mogliby podać sąsiadom.

Mieszko zbliżył się do stosu drewna. Zaczął krzesać żywy ogień. Zadrżałam. Przypomniała mi się wizja, którą pokazał mi Swarozyc. Nie wiem, czy gdybym przeżyła coś takiego, umiałabym rozpałcić ognisko. Ten stos drewna bardzo przypominał tamten. Oczywiście nie był wbity w niego słup, do którego można by przywiązać jakąś biedną kobietę, ale miał podobną wysokość.

Iskra przeskoczyła na trociny i rozpałkę. Pojedyncze płomyki zaczęły obejmować coraz większe szczapy. Ogień rozprzestrzenił się szybko, drewno musiało być suche. Dookoła kręgu ułożonego z okrągłych, błyszczących kamieni zaczął się rozpuszczać śnieg. Poruszyłam palcami stóp w ciepłych botkach i poprawiłam rękawiczki. Gdy ciepły podmuch od ognia doleciał do mojej twarzy, zrobiło mi się nawet zbyt ciepło.

Dobiegł mnie beztroski śmiech dzieci, które nie mogły się już doczekać zabawy, która zwyczajowo rozpocznie się po oficjalnej ceremonii.

– Zanim zaczniemy, chciałbym, żeby każdy z was przypomniał sobie kapłana Mszczuja, mojego mentora – poprosił Mieszko. – To jego pierwsze Dziady, odkąd opuścił ziemię, może nas dzisiaj odwiedzi. Przypomnijcie sobie go jako młodego mężczyznę, który przybył do Bielin, by zostać żercą. Przypomnijcie sobie swoje ulubione święta, których obchodom przewodniczył. Nie był kryształowym człowiekiem. Żaden z nas nie jest i nie będzie. Mszczuj miał jednak dobro w sercu i zawsze się nim kierował. Zapamiętajcie go takim. Sława Mszczujowi!

– Sława! – odpowiedzieliśmy chórem.

Zerknęłam na szeptuchę. Ukradkiem, by na pewno nikt nie zauważył,

otarła chusteczką kąciaki oczu. Gdy zauważyła, że na nią patrzę, złapała mnie pod ramię i przyciągnęła do siebie z uśmiechem.

– Mam nadzieję, że dzisiaj do ciebie przyjdzie – powiedziałam.

– Dziękuję.

– Welesie, panie podziemi, opiekunie dusz, nasz pasterzu! – Mieszko kontynuował ceremonię. – Otwórz wrota Wyraju, wypuść dusze naszych przodków. Niech przyjdą posilić się z nami i złożyć swoje błogosławieństwo. Swarogu, Swarozycu, ogniu niebieski i ogniu ziemski, ojcze i synu, przyjmijcie naszą ofiarę! Mokosz, matko nasza, od ciebie przychodzimy, do ciebie wracamy. Dla ciebie piwo, chleb i miód składamy. Welesie, jaśniejący panie Nawi, strażniku przysięgi, prowadzisz nas do domu naszych przodków. Przyjmij dary nasze. O Swarogu, Świętowicie, złote kłosa w srebrnym życie. Daj dolę lekką i długie życie. Spraw zboża dojrzewanie i w domu zdrowe rodziny chowanie.

Mieszko po kolei wrzucał w ogień dary dla bogów i dusz naszych przodków. Kiwałam głową, razem z nim mrucząc pod nosem słowa dobrze znanej mi modlitwy. Nagle zgubiłam rytm. Po drugiej stronie kręgu, wśród roześmianych mieszkańców mignęła mi ruda czupryna. W pierwszej chwili serce o mało nie wyskoczyło mi z piersi ze strachu, że to Ote opuściła królestwo zmarłych. Na szczęście okazało się, że to tylko ta podła dziennikarka, która oczerniała Jagę. Pokreśliłam z niedowierzaniem głową. Mało szkód narobiła? Po co tu przylazła? Szuka kolejnej taniej sensacji?

– Przybądźcie, dziady nasze. Dla was kasza, dla nas miska. Dla was krew, dla nas kość. Sława wam, ojcowie, sława wam, przodkowie!

Wszystkie podarunki spłonęły w ognisku. Płomienie strzelały wysoko w bardzo szybko ciemniejące niebo.

Do ognia podeszło kilkunastu młodych mężczyźni mieszkających w okolicy, większość była strażakami. Mieli na sobie galowe mundury. Każdy trzymał pochodnię. Po kolei podpalali je od ognia i odchodzili, by rozświetlić żywym ogniem wszystkie okoliczne rozstaje dróg. Tak, by dusze nie zgubiły się podczas spacerów po ziemi.

Mieszko pochylił się w stronę ogniska i rozrzucił gołą ręką drewna na samym brzegu. Wygarnął miską odrobinę gorącego popiołu. Ze zgrozą obserwowałam mankiety jego szaty. Na szczęście żaden nie zajął się płomieniami.

– Dziady, przemówcie! – krzyknął. – Powiedzcie nam, jaki będzie nadchodzący rok. Dajcie nam mądrość, dajcie wiedzę. Przemówcie!

Tłum zaszemrał i zamarł w oczekiwaniu. Wszyscy najbardziej lubili tę część. Podczas jesiennych Dziadów wróżono dla całej społeczności. Przodkowie mogli uchylić nam rąbka kilku boskich tajemnic. Nie wiem co prawda, w jaki sposób, skoro sami bogowie twierdzą uparcie, że nie umieją przepowiadać przyszłości, ale tradycja to tradycja.

Mieszko rozstał popiół na dłoniach. Palcami narysował dwie proste linie wzdłuż swoich policzków. Wyciągnął ręce, a młody chłopiec, wybrany wcześniej na jego pomocnika, wysypał na nie małe prostokątne drewnienka. Złożył lniany woreczek i wycofał się. Każde drewnienko było z jednej strony pomalowane na biało, a z drugiej na czarno. To była bardzo prosta wróżba. Należało rozsmarować na drewnienkach trochę popiołu, a potem rozsypać i przeliczyć, ile jest białych, a ile czarnych. Jeśli przeważała liczba jasnych drewnienek, to nasi przodkowie wieszczili nam pomyślność, jeśli ciemnych... no cóż... można się domyślić.

Jaga powiedziała mi w tajemnicy, że większość kapłanów ma oszukane drewnienka, które w większości z obu stron są pomalowane białą farbą. Mszczuj też miał fałszywe. Nie należy zdawać się na los czy przodków w chwili, gdy każdy chce usłyszeć, że nadchodzący rok będzie dobry.

Mieszko potrząsnął dłońmi, w których ledwie mieściły się wszystkie deseczki. Zaciekawilo mnie, jak sobie z tą wróżbą radzą kapłani z małymi dłońmi. Mają mniejsze drewnienka?

– Przodkowie, nasze dziady, powiedzcie nam, jaki będzie nadchodzący rok! – jeszcze raz krzyknął.

Rzucił deseczki. Upadły na ciemną ziemię, która ukazała się pod rozpuszczonym od ognia śniegiem. Jedna ze szczap pękła w ognisku z głośnym trzaskiem, a złociste iskry posypały się do nieba. Ktoś cicho krzyknął, ktoś zaśmiał się nerwowo. Spojrzałam w płomienie, ale nie zobaczyłam w nich niczego nadprzyrodzonego. Jeśli to Swarozyc dobrze się bawił, straszac ludzi, to nie chciał mi się tym razem pokazać.

Mieszko razem ze swoim pomocnikiem ukucnęli i przeliczyli wróżbę. Spojrzeli na siebie. Na twarzy chłopca malowała się panika. Po zgromadzonym tłumie przebiegł szmer. Zaczęli liczyć na nowo. Wynik musiał być taki sam, bo podnieśli się powoli. Chłopiec wykrzywił usta w podkówkę, w jego oczach wezbrały łzy. Mieszko zachował kamienną twarz, ale widziałam, że mięsień na policzku zaczyna mu się nerwowo kurczyć.

– Przewaga czarnych – obwieścił. – Przodkowie widzą przed nami

przeszkody.

Wysypałam deseczki na dłonie Mieszka i zaczęłam je przeliczać. Stanęliśmy z boku, ukryci za kramem oferującym w promocyjnej cenie oscypki prosto z Zakopanego. Na razie nie było zbyt wielu chętnych do kupowania, więc mieliśmy chwilę dla siebie.

Tłum na cmentarzu nie był już tak rozbawiony jak jeszcze chwilę wcześniej, chociaż Mieszko usiłował ratować sytuację. Wytłumaczył ludziom, że wróżba to jedynie wskazówka, by każdy z nas spojrzął uważnie na swoje życie i postarał się, by nie było czarne jak drewniana deseczka. Słuchacze kiwali głowami, ale nadal mieli mało zachwycone miny.

Na szczęście istniała szansa, że odpowiednia ilość alkoholu przekona wszystkich, że nadchodzący rok jednak nie będzie aż taki straszny. W końcu przodkowie też ludzie, mogli się pomylić.

Zafrapowana skończyłam liczenie.

To były drewnienka do wróżb należące wcześniej do Mszczuja. Jarogniewa pamiętała jeszcze, jak własnoręcznie malował je farbą olejną. Mieszko nie zrobił sobie nowych specjalnie na jesienne Dziady, uznał, że może wykorzystać stare.

Odłożyłam ostatnią deseczkę na dłonie mojego Mieszka. Już umył je z popiołu. Jedynie na jego twarzy ciągle malowały się dwie linie. Musiały tam pozostać aż do zakończenia ceremonii.

Wśród drewnienek była zdecydowana przewaga białych, głównie dlatego, że spora część drewnien była po prostu z obu stron pomalowana białą emulsją. Wróżba z przeważającą liczbą czarnych nie była w ogóle statystycznie możliwa.

– Musieliście się pomylić. Przecież same by się nie przemalowały w trakcie wróżby. Na pewno dobrze policzyliście? – zapytałam po raz kolejny.

– Tak – odparł. – Umiem liczyć i dobrze je policzyłem.

Był zirytowany. Ceremonia nie poszła po jego myśli. Chciał, żeby było perfekcyjnie, żeby wszyscy byli szczęśliwi. A pierwsze, co udało mu się zrobić, to przekazać im wiadomość od przodków, że nadchodzący rok będzie mało przyjemny.

Cóż... i tak nie jest źle. W większości tradycyjnych wróżb, które przeprowadza się w inne święta, zły wynik oznaczał zwykle rychłą śmierć.

– Wygląda na to, że udała ci się pierwsza wróżba – skwitowała Jarogniewa.

– Raczej nie udała – burknął.

Miałam ochotę wyciągnąć rękę i wytrzeć z jego policzków szare linie popiołu. Denerwowały mnie. Wyglądał w nich, jakby szykował się na wojnę, a nie na dobrą zabawę.

– Wróżby rzadko kiedy dają pozytywne rozwiązania – stwierdziła filozoficznie. – Poza tym zapominasz, że to tylko... wróżby. Następny rok będzie taki sam jak poprzedni. Ktoś umrze, ktoś się urodzi. Świat się nie zmienia. W czasie Szczodrych Godów będziesz miał okazję jeszcze raz powróżyc. Może wtedy ci się uda.

– Może – mruknął. Nie wydawał się przekonany jej tłumaczeniem.

– Idę sprawdzić, co mają smacznego w tym roku. Znajdźcie mnie, kiedy będziecie iść na cmentarz! – Pomachała nam i odkręciła się na pięcie. Zostałam ze wszystkimi siatkami w rękach.

Miała na myśli cmentarzysko, ukryte głęboko w lesie. Mieliśmy zostać w Bielinach do północy, a następnie udać się tam. Pewnie do tej pory wróże i mądre baby z innych miejscowości w całym regionie też już przyjadą. W końcu święto bez ogniska pełnego halucynogennych ziółek to nie święto.

– Co robimy teraz? – zapytałam Mieszka.

– Muszę przejść się na obchód po cmentarzu, żeby zobaczyć, czy wszędzie palą się światła – powiedział, wrzucając przekłete deseczki do worka. – Później możemy pójść coś zjeść. Chcesz iść ze mną?

Z nosa mi ciekło, a siatki ciążyły w dłoniach. Z utęsknieniem zerknęłam na ławki i stoły poustawiane koło potężnego ogniska.

– Nie, chyba wolę usiąść w ciepłe z bezalkoholowym grzańcem, o ile taki znajdę – odpowiedziałam.

– Uważaj na siebie. Niedługo wrócę.

Przytulił mnie szybko i pocałował w czubek głowy. Chwilę później mogłam podziwiać jego szerokie plecy, gdy przeciskał się przez tłum. Jego przyozdobiona wiankiem głowa wyraźnie wystawała ponad głowy mieszkańców.

Nie próżnowałam. Nie udało mi się dogonić Baby Jagi, ale za to znalazłam małe stoisko, gdzie oferowano aromatyczną herbatę z dodatkiem

miodu, cynamonu i pomarańczy. Zamówiłam sobie największy kubek i grzejąc ręce, zasiadłam na jednym z wolnych miejsc w pobliżu ognia.

Na cmentarzu było coraz mniej ludzi. Zgodnie ze zwyczajem przyszedli odwiedzić swoich przodków. Większość zabrała ze sobą jedzenie, żeby podzielić się z nim na grobach i zostawić dary dla duchów. Jednak z powodu zimnej pogody nie zapowiadało się, żeby zabawa miała się przedłużyć tak jak na wiosnę, gdy tańczono pomiędzy grobami do białego rana. Nie było bardzo zimno, ale mimo wszystko zmrok zapadł szybko, a na ziemi, z dala od ognia, leżała gruba warstwa śniegu. Pochodnie i wysokie koksowniki poustawiane w głównych alejkach nie dawały wystarczająco dużo ciepła, żeby tkwić całą noc na cmentarzu. Podejrzewałam, że każda rodzina jak najszybciej zagryzie nad grobem swoje specjały, popije miodem albo innym alkoholem, a następnie ucieknie do domu, by tam kontynuować imprezę.

Kramarze porozstawiali namioty, w których można było się skryć przed zimnem obok małych piecyków. Z największego namiotu dobiegały mnie dźwięki skrzypiec i akordeonu. Obok mnie, przy specjalnie wystawionych stołach było pusto. Kto nie jadł właśnie na grobie babci, skrył się w którymś z namiotów.

Szkoda. Bywały lata, gdy o tej porze można było podziwiać polską złotą jesień. Drzewa wyglądały jak z obrazka, wszędzie było mnóstwo kolorowych liści, dzieciaki zbierały kasztany i żołądź. Wtedy aż żal wracać do domu!

Uwielbiałam spacerować po cmentarzach, kiedy byłam mała. Co roku w Dziady wybierałyśmy się z mamą na spacer po warszawskich nekropoliach. Pamiętam, że zawsze przed wyjściem z terenu cmentarnego mama dokładnie przetrząsała wszystkie moje kieszenie w poszukiwaniu kasztanów, żołądź, liści i kwiatków. Zawsze usiłowałam coś wynieść, a ona zawsze tak samo się irytowała, że zabiorę ze sobą śmierć do domu i sprowadzę nieszczęście.

Oczywiście nigdy nie znajdowała wszystkich kasztanów, które potrafiłam upchać nawet w butach, kiedy tylko nie patrzyła. Zastanawiam się teraz, jaki procent mojego pecha życiowego wyhodowałam sobie podczas tych bez trosk, dziecięcych lat.

I ile nieszczęścia przyniosła sobie do domu Baba Jaga, zdzierając z wisielca koszulę. Dobrze, że chociaż głowy nie wzięła.

Spojrzałam na puste ławki dookoła mnie, a potem w ogień. Czułam

przyjemne ciepło na policzkach. Herbata grzała mnie od środka. Mnie tam się tutaj podobało. Nie było aż tak zimno. Nie rozumiem, dlaczego ludzie pochowali się do namiotów.

– Można się przysiąc?

Drgnęłam. Nie usłyszałam, jak podchodzi. Odwróciłam się do kobiety z uprzejmym uśmiechem, który szybko zmienił się w niechętny grymas. Miałam przed sobą rudą dziennikarkę. Machnęłam ręką, wskazując na inne, puste ławki.

– Ma pani dużo miejsca do wyboru – powiedziałam.

– Mimo wszystko wolałabym tutaj.

Usiadła, nie czekając na moją reakcję. Zacisnęłam mocno zęby, ledwie powstrzymując się przed komentarzem. Chociaż w sumie nie wiem, po co się powstrzymywałam. Takie tłamszenie w sobie emocji jest niezdrowe.

Wyobraziłam sobie, że wstaję i idę usiąść na innej ławce. Chociaż możliwe, że okazałaby się na tyle pozbawiona dobrego wychowania, że poszłaby za mną.

– Jenczysława Jelonek, już się poznałyśmy... – Wyciągnęła w moją stronę dłoń.

Nie uścisnęłam jej. Nadal obejmowałam swój kubek. Spojrzałam na jej dłoń, a potem na twarz. Żeby nie miała żadnych wątpliwości, że nie mam ochoty na żaden kontakt cielesny.

Powoli cofnęła rękę. Umalowane na czerwono usta drgnęły nerwowo, ale nadal wykrzywiały się w uśmiechu. Kompletnie nieszczerym, ale uśmiechu. Z nutką satysfakcji zauważyłam, że na dolnej wardze wyskoczyła jej opryszczka. Zmiana miała prawie centymetr średnicy i bardzo nieładnie się paprała.

Znam czar na parchy. Jaga też go zna, nawet lepiej ode mnie.

Kolejną ciekawą obserwacją był wąsik nad górną wargą. Przysięgłabym, że gdy widziałam ją ostatnio, nie było tam żadnego czarnego zarostu. Teraz jej skóra nad ustami była wyraźnie zaczerwieniona, ze śladem po porannej depilacji. Mimo to w kilku miejscach pojawiły się pojedyncze włoski.

Pojedyncze, ale dość grube.

Czaru na porost włosów nie znam. Muszę się chyba doksztalić.

– Z tego, co wiem... jest pani uczennicą szeptuchy – dodała zachęcająco, gdy ja się nie przedstawiłam.

Postanowiłam dalej milczeć. Co mi szkodzi.

– Rozumiem, że lubi pani lokalną szeptuchę? – drążyła. – Odbywa pani

u niej roczny staż, prawda?

Odwrociłam się od niej i wbiłam spojrzenie w ogień. Bynajmniej nie spodziewałam się tam znaleźć ratunku. Po prostu musiałam odwrócić wzrok. Nie mogłam przestać patrzeć się na jej wąsik.

Miałam wrażenie, że rośnie na moich oczach.

– Ma pani piękny wianek – dodała.

Uparta cholera. Siorbnęłam z kubka. Niestety moja herbatka zaczęła robić się coraz zimniejsza. Znudziło mi się już to siedzenie. Najchętniej poszłabym na cmentarz w lesie i odegrała swoje małe przedstawienie. Miałam dość tego czekania. Tylko się denerwowałam Swarozycem. Chciałabym mieć to wszystko już za sobą.

Ciekawe, czy Mieszko już kończy? Pewnie nie...

Jeszcze tylko dzisiaj. Od dłuższego czasu powtarzałam sobie to w głowie jak mantrę. Jeszcze tylko dzisiaj, jeszcze tylko kilka godzin. A potem, gdy miną lata, będę się mogła z tego śmiać. Każda trauma po czasie blednie, zmniejsza się i oswaja, po jakimś czasie można z niej żartować.

Czy rzeczywiście każda? Ja się do dzisiaj zdecydowanie nie potrafię śmiać z korepetycji z fizyki, które miałam w liceum. Starszy pan, genialny nauczyciel, jednakże równocześnie człowiek do szpiku kości przerażający, będzie mi się chyba śnił po nocach do śmierci.

Naprawdę z wielu rzeczy umiem się śmiać. Ale nie z tych korepetycji.

– A może mogłaby mi pani polecić jakiś dobry preparat na opryszczkę? – wtrąciła.

Parsknęłam herbatą w ogień. Tego się nie spodziewałam! Odwróciłam głowę w jej stronę.

– A co? Parchy pani powyskakiwały? Tuż po tym, jak znieważyła pani szeptuchę? Widzę jeszcze wąsik na pani twarzy. Wcześniej chyba go pani nie miała. Zastanawiające...

Uśmiech zniknął z jej twarzy. Ha!

– Rozumiem, że sympatyzuje pani z szeptuchą – wycodziła.

– Och, doprawdy? Jak się pani domyśliła? – Nie mogłam powstrzymać śmiechu.

– Powinna się pani zastanowić, z kim trzyma. Mogę pani bardzo dużo zaoferować, jeśli tylko pani ze mną porozmawia. Dalsze kontakty z szeptuchą... mogą się bardzo źle dla pani skończyć.

Walczyłam z demonami, całowałam się z bogiem, a tu mnie jakaś dziennikarka od siedmiu boleści będzie straszyć?

– Wiem o pani wystarczająco dużo. Nazywa się pani Gosława Brzózka – oznajmiła.

Jeśli myślała, że przestraszy mnie swoimi szczegółowymi informacjami, to niestety się zawiodła.

– Łaaał... – zakpiłam. – Jakby wszyscy w Bielinach tego nie wiedzieli. Dziennikarstwo pierwsza klasa... podstawówki.

– Wiem, że prowadzi pani praktykę razem z lokalną szeptuchą. Słyszałam o waszym nieetycznym zachowaniu. A także o tym, że rozpija pani młode kobiety we wsi.

Zamrugałam. Ja kogoś rozpijam? I na dodatek o tym nie wiem? No skandal. A mnie kto będzie rozpijał? Widząc moją nic nierozumiejącą minę, dodała:

– Słyszałam o wieczorze panińskim, który pani zorganizowała. To podobno były jakieś bachanalia, narkotyki, alkohol.

– Źle pani słyszała – poinformowałam ją. – Ma pani jakiś dowód?

Grałam twardą sztukę, ale w środku aż cała wrzałam. Wydawało mi się, że wszystkie uczestniczki wieczoru panińskiego były zachwycone. Nie rozumiałam, kto mógł jej na mnie naskarżyć. Chyba że to matka panny młodej. Odebrała nas wtedy i porozwoziła do domów. Byłyśmy faktycznie w stanie wskazującym na dość duże spożycie substancji alkoholowych, dodatkowo Mokosz pomogła nam wszystkim wprawić się w odpowiedni do prokreacji nastrój, ale bez przesady! Przecież nic złego nie robiłyśmy. A jednak komuś musiało to na tyle przeszkadzać, że naskarżył o tym dziennikarce. Chyba że Jelonek blefuje.

Zaczęłam się powoli gubić w swoich domysłach.

– Proszę mi powiedzieć prawdę. Co wy tutaj robicie? – zapytała.

– Kompletnie nie rozumiem, o co pani chodzi – oznajmiłam. – My tu tylko usiłujemy w spokoju pracować. To pani sieje ferment.

– Właśnie nie widziałam, żeby panie pracowały. Przyjmujecie pacjentów w tym kurniku, który urąga wszelkim zasadom higieny. Sprzedajecie specyfiki, które nie zostały prawidłowo przebadane. Za grube pieniądze wmawiacie ciemnym ludziom, że kamienie potrafią leczyć. Widziałam za to, w jakim domu mieszka szanowna szeptucha. Widziałam, jakim samochodem pani jeździ.

Wyprostowałam się. Teraz mnie wkurzyła.

– Samochód należy do mojego narzeczonego. A szeptucha leczy swoich pacjentów zgodnie ze sztuką, za pomocą technik dopuszczonych do

stosowania na tym stanowisku. Radzę się doksztąpić w tej kwestii. Z kolei jej finanse to w żadnym razie nie jest pani sprawa.

– Jeszcze nie widziałam w tym kraju biednej szeptuchy! – Zaśmiała się złośliwie. – Żerujecie na biednych ludziach!

Miała rację, że Jaga dorobiła się niezłego majątku. Głównie jednak dlatego, że to kobieta z głową do interesów. Nigdy nikogo nie oszukała. Na własne oczy widziałam ciężko chorych pacjentów, którzy zapierali się rękami i nogami przed pójściem do szpitala, za wszelką cenę chcąc wyleczyć się za pomocą naturalnych sposobów, a najlepiej modlitwy. W takich wypadkach Jarogniewa była bezwzględna. Od razu dzwoniła po karetkę i nie pozwoliła uciec delikwentowi ze swojej chatki, dopóki nie przyjechała.

– Nie zamierzam z panią rozmawiać. Uważam, że w swoim artykule pani beczelnie zmyśla. A pomówienia są w naszym kraju karalne. Tak samo jak nachodzenie. Proszę nas i wszystkich mieszkańców zostawić w spokoju! – oświadczyłam. – Proszę odejść. Nie mam ochoty z panią rozmawiać. Żegnam!

– No proszę, czyli jednak jest coś na rzeczy, skoro tak się pani broni.

Rozejrzałam się dookoła, ale nigdzie nie dostrzegłam Mieszka. Musiał łązić gdzieś w głębi cmentarza. Wstałam z ławki i odstawiłam kubek na stolik. Nie miałam już ochoty na herbatę. Zemdliło mnie.

– Nie potrafię tylko znaleźć dobrego powodu, dla którego miałybyście we dwie oszukiwać ludzi, wmawiając im, że zaklęcia działają. Przecież mogłybyście ich okradać tylko za pomocą nic niewartych syropów i kamieni. Nasłuchałam się wielu historii o miłosnych specyfikach Baby Jagi, które rzekomo pomogły ludziom się sparować – powiedziała i także zerwała się ze swojego miejsca. – To chłodna kalkulacja nastawiona na jeszcze większy zysk? A może uważacie, że umiecie czarować? Składałyście jakieś krwawe ofiary?

No jeżelibyśmy się w coś takiego bawiły, to raczej nie powinna pytać wprost. Ale co ja się tam znam. Muszę poczytać później o krwawych ofiarach, najlepiej takich z dziennikarek. To może nie być głupi pomysł.

Ominęłam ognisko i weszłam pomiędzy groby. Nieliczni mieszkańcy siedzieli jeszcze obok płyt i świętowali. Nikt nie zwracał na nas uwagi.

– Proszę się ode mnie odczepić! – burknęłam, gdy zauważyłam, że za mną lezie.

– Zaintrygowała mnie jeszcze jedna ważna część całej historii.

Początkowo bielińskim żercą był mąż, a dokładniej, były mąż Baby Jagi. Gdy się biedaczysku zmarło, jego miejsce zajął nowy wróż, tym razem młody. Wtedy to pani wkracza do akcji.

Aż stanęłam.

– Że co? – wydusiłam.

– Starego żercę Baba Jaga określiła sobie dookoła palca, więc nie protestował, widząc jej praktyki. A nowym wróżem zajęła się pani. Słyszałam pogłoski, że bywała pani w jego mieszkaniu, a także wyjeżdżała z nim do Kielc. Teraz, gdy pojawił się nowy kapłan, nagle jest pani z nim zaręczona! Sama pani przyzna, że brzmi to wyjątkowo podejrzanie. Żadnemu pani nie popuści.

Dłuższą chwilę trwało, zanim zdołałam pojąć, co właśnie mi insynuowała. Roześmiałam się na całe gardło. Poczułam, jak po policzkach płyną mi łzy rozbawienia. Tego jeszcze nie było! Kolejny artykuł dziennikarki z prawdziwego zdarzenia, która tworzy swoje teksty na podstawie plotek zasłyszanych w spożywczaku, najwyraźniej nabierze pikanterii po tym, jak gospodynie nagadały jej na temat moich planów matrymonialnych.

– A wracając jeszcze do młodego żercy, który zniknął w tajemniczych okolicznościach. Dlaczego zniknął? Gdzie zniknął? Może to wszystko było ukartowane, by pani kochanek mógł zająć miejsce lokalnego żercy? – dywagowała. – Witek Witkowski nie był przychylnie nastawiony do praktyk szeptuchy, więc się go pozbyłyście. Kim jest Mieszko Pierwszy? Czemu tak wam zależało, żeby został kapłanem?

Mieszka na pewno też by ubawił ten pomysł. Przez całe tysiącletnie życie o niczym innym nie marzył!

– Z jakiej pani jest gazety? – zapytałam. – Bo to, co pani mówi, nadaje się do rubryki z teoriami spiskowymi. Tylko kosmitów brakuje w tym wywodzie.

Wszędzie paliły się znicze w różnokolorowych szklanych pojemnikach. Wyglądało to naprawdę magicznie. Z nieba zaczął padać śnieg. Grube płatki opadały powoli na ziemię, bardziej przypominając piórka niż zamrożoną wodę.

A do mnie przyczepiła się wredna zołza. I psuła cały ten magiczny efekt.

– Prawda ujrzy światło dzienne! Ostrzegam!

– Proszę przestać za mną łązić. Nękanie jest w tym kraju karalne... – powtórzyłam bezradnie. Nie miałam zielonego pojęcia, jak mam się jej

pozbyć.

– Tak samo jak stosowanie narkotyków. Wiem, co się odprawia na spotkaniach szeptuch i kapłanów. Wy tam orgie sobie urządzaście, pijecie i narkotyzujecie się.

Tego już było za wiele. Zatrzymałam się i odwróciłam do niej. Ależ była z siebie zadowolona! Bardzo ją cieszyło, że mnie zdenerwowała.

– Czego pani chce? Po co pani niszczy nasz spokój? Szeptucha jest w żałobie po mężu, a pani ma czelność ją oczerniać.

– Dowiem się prawdy.

– Nie ma czego się dowiadywać.

Nigdzie nie widziałam Mieszka. Zdałam sobie sprawę, że zapędziłam się w opuszczony rejon cmentarza. Niedobrze. Zawróciłam za najbliższym grobem i zakopałam się w zaspie. Mimo to dzielnie brnęłam naprzód. Ucieknę tej szalonej babie.

– Dowiem się wszystkiego, a później to opiszę – straszyla.

– Daj se siana – mruknęłam pod nosem.

– Sprzedajecie ludziom kłamstwa. Jesteście zwykłymi oszustkami. Wszystko, co robicie, to szarlataneria. Żerujecie na prostych ludziach.

Nie wytrzymałam.

– Pani jest nienormalna – oświadczyłam drżącym głosem. – Proszę mi dać spokój! Zaraz zadzwonię po policję!

– Rozmawiałam z ludźmi. Słyszałam, ile każecie sobie płacić za kamienie. Jesteście nieetyczne. Pozbawione skrupułów – delectowała się moim rozdrażnieniem.

– Skoro to wszystko jest kłamstwem, to proszę cierpliwie poczekać, aż wyskoczy pani więcej pryszczu. Może jeszcze broda pani wyrośnie do tego czasu – syknęłam.

Jej twarz poczerwieniała.

– Nie wmówi mi pani tego. Możecie wciskać ciemnotę tym wieśniakom, ale ja napiszę prawdę. Stworzę artykuł, który obnaży wszystkie wasze kłamstwa.

Och, byłam przekonana, że na pewno zdobyłby wielu czytelników. Prawo szeptuch do praktykowania kwestionowano już od wielu lat. W końcu na Zachodzie nie było takich przedpotopowych metod leczenia.

Za jej plecami pojawiła się męska sylwetka. W wirującym śniegu i ciemnościach nie widziałam dokładnie, kto to. Stał tuż za dziennikarką i położył jej rękę na ramieniu. Kobieta wzdrygnęła się i odwróciła

gwałtownie. Gdyby nie podtrzymała jej ręka obcego, przewróciłaby się o leżącą obok krzywą płytę nagrobną, która już dawno temu osunęła się na ziemię.

– Dzisiaj święto zmarłych – powiedział tajemniczy mężczyzna. – Nie należy tego dnia się sprzeczać ani zakłócać w żaden inny sposób spokoju duchów.

– Niech się pan ode mnie odsunie! Wszystko nagrywam!

Z ciemności wyłoniła się ruda broda i błysnęły oczy, w których płonął ogień.

– Grzecznie proszę, żeby zostawiła pani szeptuchę w spokoju.

Ale ta prośba wcale nie brzmiała grzecznie. Wyraźnie słyszałam groźbę i nienawiść ledwie skrywane za gładkim uśmiechem. Nawet mnie zdołał przestraszyć.

– Proszę odejść. Więcej nie będę tego powtarzał.

Jenczysława Jelonek, pomimo swojego oburzenia, bardzo szybko zaczęła uciekać. Powiedziałabym nawet, że biegła pomiędzy nagrobkami ręczo jak... jelonek.

– Dzięki – powiedziałam do boga.

– Dla ciebie, moja droga, wszystko. – Skłonił głowę.

– Dałabym sobie z nią radę.

Z jego spojrzenia zniknęła cała nienawiść. Wydawał się wręcz przyjacielski. Stał w śniegu tylko w spodniach i koszuli. Z jego skóry unosiła się delikatna para. Śnieg nie miał szansy go dotknąć. Płatki rozpuszczały się, zanim go w ogóle dosięgły.

– Nie wątpię – odparł.

– Co tu robisz? – zapytałam. – Pilnujesz zniczy, żeby się ładnie paliły?

– Nie musisz być złośliwa. Przybyłem ci na ratunek. Wydawało mi się, że go potrzebujesz. Mogę cię też ogrzać. Chyba ci zimno, odkąd odeszłaś od ognia.

– Spokojnie, dam sobie radę.

Kłamałam. Śnieg nasypał mi się do butów i czułam, jak zamienia się teraz w lodowatą wodę.

– Odwiedziłaś dzisiaj Nawię. – Raczej oświadczył, niż zapytał.

– Tak – przyznałam.

– I?

– I nic.

– Co tam robiłaś? – chciał wiedzieć.

– Rozpoznanie terenu – skwitowałam wymijająco.

Nie spodobała mu się moja odpowiedź. Gorączkowo starałam się utrzymać emocje na wodzy, ale zaczął chyba coś podejrzewać.

– Masz czas tylko do rana – przypomniał mi.

– Wiem, wiem. Mam ze sobą sztylet. – Poklepałam się po torbie. – Pójdę tam niedługo. Dzisiaj. Zrobię to, co obiecałam.

Przewiercał mnie wzrokiem.

– Co się stanie, jeśli to zrobisz? Świat się od razu nie zawali? – zapytałam.

– Nie *jeśli* to zrobisz, tylko *kiedy* to zrobisz – poprawił mnie.

– No tak...

– Świat będzie się powoli pogrążał w szaleństwie. Nie skończy się od razu – wyjaśnił.

Mało pocieszająca perspektywa.

– Lepiej już pójdę – powiedziałam.

Odwrociłam się, żeby odejść, ale złapał mnie za łokieć. Spojrzałam na swoją rękę, a potem w jego gorejące oczy. Stał zbyt blisko mnie.

Śnieg dookoła naszych stóp zaczął się rozpuszczać. Para unosiła się dookoła, przysłaniając świat. Nie byłam pewna, czy ktokolwiek zdołałby nas przez nią zobaczyć.

– Będę dla ciebie dzisiaj łaskawy – oświadczył.

– To znaczy?

Przecież chyba mi nie powie zaraz, że jednak mam nikogo nie zabijać.

– Pomogę ci.

– W jaki sposób? – zaniepokoiłam się.

W żadnym razie nie uwzględniałam jego pomocy w swoim planie. Miałam tylko nadzieję, że nie będzie za mną łąził i przyglądał się uważnie każdemu posunięciu.

– Dzisiejszej nocy przydarzy się coś, co zajmie pewnego boga. Będzie przez to roztargniony. Powinno ci to wiele ułatwić.

– Co dokładnie zrobisz?

– Zobaczysz.

Pokręciłam głową. Mój poziom niepokoju, wahający się od dłuższego czasu na dość stałym poziomie, wyskoczył poza skalę.

– Jeszcze jedno. – Wciąż nie puszczał mojego łokcia. – Nie zwykłem prosić.

– O co? – zdziwiłam się.

– Nie idź w nocy na cmentarz w lesie, proszę – powiedział.

Zamrugałam. Spodziewałam się, że powie coś innego. Przecież zwykle namawiał mnie do rzucenia Mieszka, poddania mu się, wspólnego spalenia się w płomieniach i innych bezceństw. A tu takie zaskoczenie.

– No wiesz... jest mi trochę zimno, ale bez przesady... Wytrzymam tam.

– Zrób to, co masz zrobić, i idź do domu albo do zaświatów. Nie idź na cmentarz.

Jego palce mocniej zacisnęły się na mojej ręce. Nawet przez kozuch i golf, które miałam na sobie, czułam ciepło jego dłoni.

– Co ty chcesz dzisiaj zrobić? – wydusiłam.

Nie odpowiedział. Świdrował mnie tylko niepokojącym wzrokiem. W jego oczach nie paliły się już płomienie. Teraz przypominały dwa czarne węgle. Widziałam w nich swoje odbicie.

Pochylił się tak, że poczułam na twarzy jego ciepły oddech. Odległość dzieląca nasze usta była zbyt mała. Wystarczyło, żebym lekko się przysunęła, a nasze wargi by się spotkały.

– Dzisiaj jest mój wieczór – wyszeptał. – I zamierzam go w pełni wykorzystać.

– Co zrobisz?

– Zobaczysz jutro rano.

Zirytował mnie tym stwierdzeniem. To po co w ogóle się odzywa, skoro zamierza mówić jakimiś głupimi zagadkami?

– Nie zamierzam niczego robić, dopóki mi tego nie wyjaśnisz – wycedziłam.

– To mi się podoba, widząca. A jak twoje wizje? Zobaczyłaś coś ciekawego?

Pomyślałam o Ote. Zdecydowanie nie było to nic ciekawego. Potem jednak przypomniałam sobie Welesa i moją mamę. Poza tą wizją nie próbowałam niczego innego. Nie wiem, czego się po mnie spodziewał.

– Nie, nic takiego.

– Kłamiesz! – Był lekko zaskoczony i ucieszony jednocześnie. Nie wiem, co go tak uradowało w moim oszustwie. – A zobaczyłaś może jakąś inną kobietę swojego kochanka?

– Nie, tego nie widziałam – odparłam z przekąsem.

Wyszło szydło z worka. Czyli od samego początku ta jego pomoc z moimi wizjami miała tylko na celu podkopanie podstaw naszego związku. Chociaż w sumie byłam głupia, jeśli spodziewałam się czegoś innego.

– Wizje w wigilię zmarłych zawsze są najlepsze. Jeśli uda ci się spełnić daną mi obietnicę, przeznacz resztę nocy na wizje – doradził.

– Gdzie jest spaleniec? – przypomniało mi się.

Miałam jakieś takie niezdrowe podejrzenie, że to miała być ta niespodzianka, którą szykował dla Welesa.

– Ach... – westchnął teatralnie. – Drogi twemu sercu kapłan. Chciałabyś go jeszcze spotkać? Doprawdy? Nie radzę. On nie jest już do końca sobą.

– Czyli wciąż żyje?

– Żyje to zbyt wiele powiedziane. Niemniej istnieje. Ma się świetnie. Jeśli miałas nadzieję, że się wypalił, to niestety muszę cię zawieść.

– Odwołaj go.

– Nie mogę.

– Więc spal. Przecież on doprowadzi do jakiegoś nieszczęścia.

– On już płonie. Za karę. – Jego głos stwardniał.

– Gosia?! – Gdzieś z boku nas rozległo się pełne pretensji wołanie.

Odwróciłam się. Zaledwie kilka metrów od nas stał Mieszko. Widziałam go wyraźnie nawet przez obłoki pary, które wciąż unosiły się dookoła nas. Twarz mojego narzeczonego wykrzywiona była w gniewnym grymasie. Swarozyc nawet nie drgnął. Wciąż się nade mną pochylał.

– Nie idź na cmentarz – wyszeptał jeszcze i zniknął.

Rozwiął się na wietrze jak dym.

Znowu siedziałam przed ogniem. Ten schemat stał się irytująco powtarzalny. Podpierając brodę na dłoniach, wpatrywałam się w skaczące płomienie. Było mi za ciepło, bardzo chciało mi się spać, a od ziólkowych wyziewów kręciło mnie w nosie i ciągle kichałam. Nie podobało mi się tu. Chciałam iść do domu, ale jednocześnie nie chciałam. Bo na pewno zdarzy się coś strasznego i wszyscy umrą, kiedy będę zadowolona z siebie siedzieć pod kołdrą. Poza tym nie mogłam iść spać, bo przecież muszę zabić dzisiaj boga.

Iść spać? Czy ratować świat, a może raczej niszczyć? Życie jest pełne trudnych wyborów.

Obok mnie siedział Mieszko. Naburmuszony. Wściekły. Milczący. Popijał tylko co chwilę miód prosto z butelki. Randka doskonała.

Po swojej drugiej stronie miałam puste miejsce. Wcześniej siedziała tam Baba Jaga, ale długo nie wytrzymała. Gdy tylko skończyły się oficjalne przemowy żerców, łzawe wspomnienie wątpliwej liczby dokonań Mszczuja i życzenia pomyślności, porzuciła nas i pobiegła na grób swojego męża. Oznajmiła, że musi się z nim napić.

Była w tym pewna logika. Jeżeli cokolwiek miało go wywabić z Wyraju, to tylko alkohol.

Po drugiej stronie ogniska, pomiędzy ramionami świętujących ludzi, dostrzegłam jakiś błysk w ciemności. Uniosłam głowę, ale nic nie mogłam dostrzec. Błysk się nie powtórzył. Krzaki wydawały się nieruchome. Musiało mi się przywidzieć.

Odetchnęłam z ulgą, przywidzenie doprowadziło mnie niemalże do palpacji. Byłam zdecydowanie zbyt zdenerwowana.

– Powiedz coś. – Stuknęłam Mieszka łokciem między żebra.

Oczywiście się nie odezwał. Mruknął tylko pod nosem, obrażony jak nastolatka. Gdyby w okolicy były jakieś drzwi, z pewnością by nimi trzasnął.

– Mieszko...

– Co mam powiedzieć? Czego ode mnie oczekujesz? – zapytał ze złością.

– Czemu jesteś na mnie wściekły? Przecież to nie moja wina, że

Swarożyc się pojawił.

Wbił spojrzenie w płomienie i się zgarbił. Przez jego twarz przebiegło kilka emocji. Jednak zbyt szybko, żebym zdołała je odczytać.

– Nie podoba mi się, że wciąż się wtrąca – stwierdził.

– Ale to nie jest moja wina, czemu się na mnie wyżywasz?

Skrzywił się tylko.

Wydaje mi się, że gdzieś w głębi duszy trochę mnie obwinia o to, że bóg ognia ciągle krąży dookoła nas. Zasepiłam się. Może miał rację? Przecież gdybym z nim nie rozmawiała, gdybym była bardziej stanowcza, gdybym go nie pocałowała...

Nie, co ja gadam! To nie moja wina, że się do mnie przyczepił. To raczej Mieszka można oskarżać o to, że ma taki sam gust do kobiet co bóg ognia.

Jeszcze tylko kilka godzin. Byle wytrwać do ranka. Jeżeli nadejdzie jutro, to znaczy, że wszystko się skończy i nie będę musiała więcej się martwić.

Albo będę martwa, ale wtedy też już raczej nie będę się martwić.

– Jak myślisz, co planuje? – zapytałam.

– Nie wiem.

– Myślisz, że spaleniec zaatakuje dzisiejszej nocy?

Lekko zeszywniał. Ja się tego bardzo obawiałam. Wydawało mi się całkowicie jasne, że to dlatego Swarożyc mnie przestrzegał. Chciał przysłać na cmentarz spaleńca. Nie było innej możliwości.

– Mam nadzieję, że nie... – odparł. – Wziąłem broń, ale...

Złapałam go za rękę i ścisnęłam za zimne palce. W końcu raczył na mnie spojrzeć. Linie z popiołu już się odrobinę osypały, ale nadal wyglądały jak malunki wojenne. Pod oczami Mieszka zagościły głębokie cienie. Źle wyglądał. Chociaż może oboje tak wyglądaliśmy.

– Miał rację – powiedział. – Powinnaś wrócić do domu.

– Nie miał racji.

– Już późno, a ty jesteś w ciąży. Musisz o siebie dbać. Poza tym nic tu po tobie.

– Eee, tam. Chodź ze mną!

Zerwałam się z pniaka i szarpnęłam go za rękę, zmuszając go, żeby wstał. Szeptuchy i wróżowie siedzący przy ognisku nie zwrócili na nas najmniejszej uwagi. Wszyscy byli już bardzo rozbawieni i w większości pijani. Impreza powoli dogorywała, chociaż ledwie się zaczęła. Każdy musiał zdążyć przed świtem na swój cmentarz, żeby dopilnować zniczy.

Nikt nie miał zamiaru bawić się do rana. Kilka osób, które przyjechały z daleka, już niecierpliwie zerkało na zegarki.

Pociągnęłam Mieszka. Westchnął głęboko, żeby okazać ogrom swojej dezaprobaty, ale potulnie poszedł za mną. Znicze płonęły na wszystkich grobach, oświetlając nam drogę. Dziewiczy śnieg trzeszczał pod stopami.

– Gdzie idziemy? – zapytał.

– Niedaleko.

Mijaliśmy coraz starsze groby. Większość była usypanymi z ziemi kurhanami. Gdyby nie znicze ustawione na ich szczytach, można by pomyśleć, że to zwykłe zaspy śnieżne. Parłam do przodu. Na szczęście przestało już padać. Mieszko mocniej złapał mnie za rękę, gdy się zachwiałam.

W końcu wydostaliśmy się z cmentarza i stanęliśmy na brzegu gołoborza. Teraz, gdy było przysypane śniegiem, w niczym nie przypominało magicznego, niemalże księżycowego krajobrazu. Ot, zwykłe, odrobinę nierówne pole pokryte równiutką warstwą śniegu. Ginące w ciemnościach. Powstrzymałam jęk zawodu.

Miałam nadzieję, że będzie to wyglądało trochę inaczej. Bardziej magicznie.

– Wracajmy do ogniska – powiedział Mieszko.

– Jeszcze chwilę.

– Tu nic nie ma. Zmarzniesz.

Wysupłałam dłoń z jego uścisku. Nie wiem, czego oczekiwałam? Że porażeni pięknem przyrody nagle się pogodzimy i pocałujemy na tle rozgwieżdżonego nieba? Że jak w kinowym romansie będzie nam przygrywać muzyka skrzypiec?

No cóż... niebo było przykryte gęstą zasłoną chmur. Nie ma błysku gwiazd, nie ma błysku srebrnych kamieni. Nawet na skrzypcach już przestali grać. Towarzystwo bawiące się przy ogniu skupiło się głównie na picciu i wdychaniu oparów z ogniska.

Szlag by to... żeby jeszcze chociaż zaczął się wschód słońca. Miałoby to wtedy w sobie chociaż malutki cień romantyzmu.

A tak... nawet ja nie byłam w stanie niczego poczuć. Nic się nie kojarzyło z tym pierwszym razem, kiedy kochaliśmy się jak szaleni na trawie w wiosenne Dziady. Pokręciłam głową, kiedy dotarło do mnie, że to było tak niedawno. A mnie się wydawało, że minęły już całe lata od tamtej pory.

– Masz rację, tu nic nie ma – stwierdziłam sucho. – Znajdźmy Babę Jagę.
– Może wrócisz z nią do domu – zaproponował. – Ja muszę zostać do rana, żeby przypilnować zniczy. Nie ma sensu, żebyś marzła.

Pokiwałam smętnie głową. Nie powiedziałam mu o swoim genialnym pomysle, bo oczywiście uniósłby się honorem wojownika, zabrał mi sztylet, który cały czas nosiłam w torbie na ramieniu, i ruszył z szaleństwem w oczach na Welesa.

A wtedy by umarł.

Byłam o tym przekonana. Wiem, że to nie była wizja, tylko senny koszmar, ale mimo wszystko nie mogłam pozbyć się przeczucia, że Mieszko umarłby w chwili, gdyby stanął naprzeciwko Czarnoboga. Jeżeli ktoś mógł zabić nieśmiertelnego człowieka, to na pewno tylko on.

Odwrociłam się w stronę cmentarza. Drgała nad nim łuna z ogniska. Gdyby Swarozyc coś planował, to przecież już by się chyba wydarzyło, prawda? Dochodziła trzecia w nocy. Do wschodu zostało jeszcze kilka godzin.

Tylko kilka godzin.

– A jak się coś stanie? – zapytałam jeszcze. – Myślisz, że Swarozyc blefował? Że po prostu chciał mi popsuć humor? To dlatego mnie straszyl?

– Nie zdziwiłoby mnie to. Chodź, pójdziemy do Jagi.

Zaczęliśmy okrążyć cmentarzysko, żeby w ten sposób szybciej dostać się do grobu wróża. Szliśmy w milczeniu. Z naszych ust unosiła się para. Jeszcze chwilę wcześniej narzekałam na ciepło, ale teraz zdecydowanie zaczynałam marznąć.

Kichnęłam. Niemal natychmiast mój rycerz w lśniącej zbroi znalazł się obok mnie i objął mnie ramieniem.

– Naprawdę nie mam ochoty tego mówić, ale Swarozyc ma rację – powiedział. – Proszę cię. Wróć do domu. I tak wszyscy zaraz będą się zbierać.

– Nie, chcę zostać z tobą – zaprotestowałam.

– Odprowadzę cię do domu. Potem wrócę na cmentarz dopilnować zniczy. Zdążę wrócić przed świtem.

Baba Jaga by go chyba ze skóry obdarła, gdyby poszedł do domu, zamiast karnie pilnować, czy wszystkie świece się palą.

– No może, ale sama pójdę. Ty tu lepiej zostań... – odparłam niepewnie, bo właśnie noga odjechała mi na kawałku lodu.

Jeszcze chwila i podeszwa mi się odmoczy. Nie ufam tym butom. Były

z przeceny.

W ciemnościach panujących na cmentarzu zobaczyłam jakieś dwie zamglone sylwetki. Stały przy grobie Mszczuja. No proszę. Ktoś jeszcze przyszedł?

– Ale ciemno – mruknęłam.

Dobiegł mnie głos Baby Jagi. Nie potrafiłam rozpoznać słów, które mówiła, ale słyszałam wyraźnie, jak się śmieje. Całe szczęście. Przez chwilę przestraszyłam się, że to może ta dziennikarka się do niej przyczepiła.

– Mieszko... co to jest? – zapytałam.

– Nie wiem – odparł i objął mnie mocniej.

Tuż obok grobu wróża stała Baba Jaga. Na głowie miała wianek z różnokolorowymi chryzantemami, a na szyi kwiecistą chustkę. Opierała się biodrem o płytę i uśmiechała kokieteryjnie do postaci stojącej tyłem do nas. Co jakiś czas poprawiała dłonią włosy albo muskała kwiaty zwieszające się jej nad skronią.

Pomijając całkowicie zachowanie, które kompletnie nie pasowało do Jarogniewy, najbardziej niepokojące było, że jej rozmówca był lekko... przezroczysty? Rozmyty? Miałam wrażenie, że patrząc na niego, wpatruję się w ekran lekko śnieżącego telewizora. Czasem jego obraz przerywały zakłócenia, ukazujące to, co znajdowało się za nim.

– Dusza – szepnął Mieszko.

Jaga dostrzegła nas ponad ramieniem towarzysza. Zamachała radośnie, żebyśmy się pospieszyli.

– Chodźcie, chodźcie! – zawołała. – Już się bałam, że w ogóle nie przyjdziecie, że nie zdążycie. Zaraz przecież będzie musiał wracać.

Ostrożnie okrążyliśmy zjawę i stanęliśmy obok szeptuchy. Rozmazany mężczyzna o chudej sylwetce uśmiechał się do nas radośnie spod równego, bardzo niemodnego wąsika, który wyglądał jak sztuczny: nieprawdopodobnie symetryczny, zupełnie jakby namalował go sobie flamastrem nad górną wargą. Kasztanowe loki sterczały na głowie mężczyzny na wszystkie strony, przez co wydawał się bardzo wysoki. Niemodne bokobrody również były kasztanowe. Strój wyglądał w miarę normalnie, ale chyba głównie dlatego, że kapłani od setek lat ubierają się identycznie. Miał na sobie koszulę ze strojną krajką i zwykłe, ciemne spodnie.

Niby obcy mężczyzna, ale ten uśmiech... Tak, jego uśmiech i kurze łapki dookoła oczu kogoś mi przypominały.

Nieemożliwe. To przecież nie może być...

– Mszczuj do nas przyszedł! – poinformowała nas szeptucha.

Stojący obok mnie Mieszko delikatnie się rozluźnił, ale nadal wpatrywał się w przybysza z dużą dozą ostrożności.

– Jesteś duchem? – zapytałam.

– Gosiu! – obruszyła się szeptucha. – Oczywiście, że nie jest duchem! Jest dziadem.

Jak dla mnie, to ta nazwa brzmi gorzej.

– Rozmawialiśmy właśnie o naszej młodości. A także o ludziach mieszkających w Bielinach – dodała.

Jaga miała rację co do nomenklatury. Przodków, którzy nas odwiedzają podczas Dziadów, nazywamy właśnie dziadami. Duchy to dusze uwięzione na zawsze na naszym świecie, którym z jakichś powodów zakazano wstępu do zaświatów. Dziady są z kolei dobre i mogą wychodzić tylko w święta.

– Mszczuju... jak dobrze cię widzieć – powiedział Mieszko.

– Mnie też raduje twój widok. Jaga opowiedziała mi, że nie zachwyił cię mój list polecający. Jest mi przykro z tego powodu, ale poniekąd potrafię to zrozumieć.

Zmarszczyłam brwi. Coś mi tu nie pasowało. Pomijając już fakt jego całkowitego odmłodnienia i dodatkowych centymetrów, których nie posiadała przygarbiona sylwetka lokalnego pijaczka, dziad Mszczuj mówił zupełnie inaczej niż znany mi kapłan. Był jakiś taki... natchniony.

– Mówisz inaczej – wytknęłam mu.

Uśmiech nie zniknął z jego ust, a nawet trochę się poszerzył. Mszczuj, którego znałam, nie miał tylu zębów, a te, które mu się jeszcze ostały, zdecydowanie nie były tak białe.

– Teraz, kiedy trafiłem do Wyraju, wszystko wygląda zupełnie inaczej. Wróciło moje dawne spojrzenie na świat – powiedział.

– Po prostu jest trzeźwy – sprostowała Jarogniewa.

Dziad Mszczuj lekko poczerwieniał, co zdołaliśmy dostrzec nawet przez jego przezroczystą powłokę. Pokiwałam głową. Szeptucha miała rację. Nigdy nie spotkałam naszego kapłana w stanie dopuszczającym do prowadzenia pojazdów mechanicznych. Najwyraźniej w młodości, na trzeźwo, był bardziej elokwentny.

– Mszczuju, przepraszam cię za to, co stało się w Noc Kupały – powiedziałam. – Przepraszam, że... przeze mnie umarłeś.

Kiedy tylko to powiedziałam, od razu poczułam ulgę. W myślach

przepraszałam go za to wielokrotnie, podczas jego pogrzebu powiedziałam to głośno. Jednak dopiero teraz, gdy stał naprzeciwko mnie, miałam okazję zrobić to we właściwy sposób. Mogłam pozbyć się tego ciężaru w sercu.

– Nie masz za co mnie przepraszać – odparł. – Wiedziałem od dawna, że tego dnia wszystko, co ziemskie, dla mnie się skończy, a rozpocznie to, co boskie i tajemnicze. To miało być moje ostatnie letnie przesilenie, zobaczyłem to w jednej z moich ostatnich wróżb. Niczego nie żałuję. Cieszę się, że mogłem pomóc ci uciec przed strzygą. Nie powinnaś się obwiniać za to, co się stało. Taka była moja dola.

Nie mogłam oderwać od niego wzroku. Był naprawdę przystojny na ten lekko starodawny sposób. Nic dziwnego, że Jaga straciła dla niego głowę.

– Jak jest po drugiej stronie? – zapytałam.

– Tego nie mogę ci powiedzieć. – Pokręcił głową. – Nie zdołałoby mi to nawet przejść przez gardło. Dowiesz się, kiedy wkroczysz do drzewa.

Do drzewa? Znaczy do kosmicznego? To do niego się wchodzi? Tego się nie spodziewałam. A już zupełnie nie kojarzę tego z nauczania naszych kapłanów. Chciałam jeszcze o coś zapytać, ale pokręcił głową na znak, że i tak nie udzieli mi odpowiedzi, więc mogę nawet nie próbować.

– Mszczuj zdołał się na chwilę pojawić. Przyszedł specjalnie, żeby ze mną porozmawiać – pochwaliła się szeptucha.

Poczułam się niezręcznie. Może nie trzeba było im przeszkadzać?

– Mszczuj jako dziad...

Nie powstrzymałam parsknięcia.

– Przepraszam – mruknęłam.

Jaga spiorunowała mnie ostrym spojrzeniem, ale jej twarz złagodniała od razu, gdy tylko spojrzała na swojego byłego męża.

– Mszczuj nie może odejść od grobu – dokończyła. – Możemy go zobaczyć tylko tutaj.

– To prawda – potwierdził. – Mogę poruszać się po całym świecie w trakcie święta, ale widoczną postać mogę zachować tylko i wyłącznie przy swoim grobie. Wydaje mi się, że mógłbym poruszać się po całym cmentarzu, ale jeszcze nie próbowałem.

Jaga uniosła dłoń w stronę zmarłego, jakby chciała go dotknąć. On także do niej sięgnął, jednak jego ręka nie była materialna. Palce Jarogniewy przeszły na wylot przez niego.

– Szkoda, że nie możemy się dotknąć. – Westchnęła.

– Mieszko... – Mszczuj zabrał dłoń i zwrócił swoje spojrzenie na

stojącego obok mnie mężczyznę. – Chcę ci pogratulować zaręczyn. Jaga podzieliła się ze mną tą nowiną.

– Dziękuję – mruknął.

– A także chcę ci podziękować, że wzięłeś w opiekę Bieliny. Wiem, że nie masz na to ochoty, że wydaje ci się, że twoja dola się buntuje, ale ty naprawdę masz zadatki na doskonałego kapłana. Widziałem to w tobie nawet wtedy, gdy byłem pijany.

To dopiero komplement!

– Bardzo mi miło, ale...

– Poza tym duchy mi powiedziały, że jesteś świetnym kandydatem – przerwał mu.

Mieszko ponownie chciał jeszcze coś dodać, jednak teraz Mszczuj zwrócił się do mnie, nie dając mu dojść do słowa:

– Gosiu, oczywiście tobie także gratuluję zaręczyn. Musicie jak najszybciej się pobrać. Nie godzi się, żebyś urodziła dziecko przed swaźbą. Władca cię posłucha. Zmusz go do szybkiej swaźby. To wstyd, żebyś nosiła dziecko bez ceremonii zaślubin. Wielki wstyd.

Ramię Mieszka, które mnie obejmowało, lekko zeszywniało. Chyba mu się nie podobało, że ktoś mu mówi, co ma robić. Mszczuj jednak zdawał się nie zauważać nagle stężalej atmosfery tego spotkania. Zachwycony, że ma możliwość się powymądrzać, rzucał radośnie kolejnymi radami:

– A ty, moja droga Jago...

Szeptucha zatrzepotała rżesami zachwycona, że cała uwaga dziada znowu zwróciła się na nią.

– Ty, moja droga, przestań zsyłać na ludzi klątwy. To nie przystoi kobiecie w twoim wieku.

Rozmarzony uśmiech na twarzy Jagi lekko przygasł.

– Że co, proszę? – wycedziła.

– Nie jesteś już najmłodsza, moja droga, nie oszukujmy się. Czas najwyższy odrobinę się ustatkować.

– To chyba ten moment, w którym powinniśmy iść sprawdzić, co słyhać przy ognisku – szepnęłam do Mieszka.

Pokiwał ochoczo głową.

– Miło cię było zobaczyć, Mszczuju – powiedział.

– Tak, tak. Bardzo miło. Odwiedz nas w kolejne Dziady – dodałam.

Nie zwrócili na nas uwagi. Właśnie kłócili się o to, że Mszczuj jest stary, tylko przeszedł magiczny lifting, a Jaga pozostanie wiecznie młoda, bo

stosuje dobre kremy, a w ogóle to co sobie Mszczuj wyobraża.

Śmiejąc się, wróciliśmy do ogniska, przy którym zastaliśmy już tylko pojedyncze osoby, powoli zbierające swoje rzeczy. Mieszko dołożył drewna i płomień uniosł się wysoko do nieba.

Jakiś kapłan kiwnął nam głową na pożegnanie i ruszył powoli przez las. Jeszcze chwila, a zostaniemy sami.

– Kto by się spodziewał, że Mszczuj przyjdzie – zagadnęłam.

Mieszko usiadł obok mnie.

– Jaga – odparł.

– Myślisz?

– Przecież widziałas, jak się wystroiła.

– No niby tak...

– Ale w jednym Mszczuj miał rację – stwierdził i objął mnie ramieniem.

– W tym, że Jaga zsyła na ludzi pryszczę?

– W tym, że najwyższy czas, żebyśmy się pobrali.

41.

– Kiedy chciałbyś przeprowadzić ceremonię? – zapytałam.

– Trzeba to zrobić jak najszybciej – odpowiedział.

W moim narzeczonym odezwał się po raz kolejny dzielny rycerz, który nie chciał postawić kobiety w trudnej sytuacji. W żadnym razie nie miałam mu tego za złe. Wolałabym, żeby moja suknia ślubna nie musiała być specjalnie poszerzana w pasie. Jeśli w miarę szybko się ogarniemy, to może nawet zdążymy, zanim brzuch zrobi się widoczny.

– To co proponujesz?

– Jak dla mnie, możemy pobrać się choćby jutro – stwierdził.

– Co? – oburzyłam się. – To niemożliwe. Przecież trzeba wszystko przygotować. Muszę mieć sukienkę, bukiet. Tobie trzeba kupić lepszą koszulę. Musimy zaprosić gości! Zadać o jedzenie! Muzykę!

– Już, już, uspokój się...

Poklepał mnie po ramieniu, a ja zaczęłam głęboko oddychać. Przecież to jest tyle przygotowań! Jutro! Zwariował chyba! Poza tym, co by powiedziała moja mama! Powoli odzyskiwałam oddech.

– A kto poprowadzi ceremonię? – zapytałam. – Przecież teraz ty jesteś kapłanem.

– Poproszę wróża z innego miasta. Chyba nie mogę sam sobie udzielić ślubu – powiedział. – Chociaż byłoby to wygodne rozwiązanie...

– Myślisz, że moja mama przyjedzie? Bo ja chciałabym mieć swaćbę w Bielinach, a nie w Warszawie. A potem małe przyjęcie, tylko dla najbliższych.

– Bez tańców? Całe szczęście.

– Dla ciebie specjalnie będą tańce – zapewniłam go. – W końcu musimy mieć pierwszy taniec.

– Wspaniale.

– Słyszę ironię.

Spojrzałam na pierścionek zaręczynowy na swoim palcu.

– Twoja mama przyjedzie. Jestem tego pewien. – Pocałował mnie w czubek głowy.

– Myślisz, że zdążymy ze swaćbą przed Szczodrymi Godami?

Gorączkowo zaczęłam przeliczać miesiące. Będzie już widać brzuch? Czy jeszcze nie?

– Zdążymy – odparł. – Ze wszystkim zdążymy.

Mieszko westchnął ciężko. Przetarł twarz, jeszcze bardziej rozmazując resztki popiołu. Z rezygnacją spojrzął na groby.

– Idę sprawdzić, czy wszystkie znicze płoną – powiedział. – Chcesz iść ze mną czy zostajesz przy ognisku?

Rozejrzałam się dookoła. Prawie wszyscy kapłani zwinęli już swoje manatki. Zostały jedynie rozchichotane szeptuchy. Każdy żerca jak najszybciej chciał dojechać na cmentarz, który sam miał pod opieką. Nam zostało przeznaczone cmentarzysko w lesie, bo najbliżej niego mieszkaliśmy. Bielińskim cmentarzem miał się zająć specjalnie wyznaczony do tego zadania strażak.

Nie miałam czasu na spacer. Powinnam powoli się zbierać. Muszę iść do Wyraju. Dotknęłam torby, chyba po raz setny upewniając się, że sztylet Juraty nie rozpułnął się w powietrzu, tylko nadal tam leży. Powinnam powiedzieć teraz Mieszkowi, że wracam do domu, a następnie ruszyć przez puszcę do zaświatów. Powinnam.

– Pójdę z tobą – powiedziałam mimo wszystko.

Tchórz. Jestem takim tchórzem.

Mieszko złapał za wielki worek, w którym szczęknęły odbijające się o siebie zapasowe znicze i sterta gratów, które zabrał na wszelki wypadek. Mnie podał pudełko długich zapalek. Wyglądaliśmy odrobinę komicznie, ale nie zamierzałam się z nim kłócić, a tym bardziej dźwigać. Ruszyliśmy powoli, po okręgu.

Na większości grobów znicze sprawiały wrażenie, jakby spokojnie mogły wytrzymać do momentu, gdy oświetlą je pierwsze promienie słońca. Były duże, miały jeszcze spory zapas stearyny. Nasza wędrówka po cmentarzysku stała się monotonna.

Ciekawiło mnie, czy Mszczuj już odszedł do zaświatów, czy może wciąż rozmawiał z Babą Jagą. W końcu następna okazja do spotkania nadarzy się dopiero za pół roku. Na jego miejscu podziwiałabym ziemię do samego ranka.

Mieszko się zatrzymał. Jedna z lampek była zgaszona. Z knota unosiła się cieniutka linia srebrnego dymu. Wyjęłam zapalną i potarłam siarkową główką o pudełko. W zniczu było jeszcze dość wosku, by mógł płonąć do rana. Musiał zdmuchnąć go wiatr. Mogłam spokojnie ponownie go zapalić.

Płomień z zapalki nie chciał podpalić końcówki knota. Gdy tylko zbliżałam płomień, zrywał się delikatny wietrzyk, który zdmuchiwał go od razu.

– Co, do licha?! – zirytowałam się.

Ośloniłam drugą dłonią płomyk, ale i tym razem wiatr mnie przechytrzył. Zapalka wciąż płonęła, ale knot nie.

– Pewnie knot jest mokry. Spróbuj z innym zniczem – powiedział Mieszko i podsunął mi małe naczynko.

Jednak ten knot także nie chciał się zapalić. Wiatr zrobił się silniejszy, ale gasił lub nie pozwalał rozpalić tylko knota. Łuczywko, które trzymałam w dłoniach, wciąż płonęło.

– Nie mogę. Cały czas gaśnie – poskarżyłam się. – Może ty dasz radę.

Mieszkowi także się nie udało.

Nagle, na innym grobie, tuż obok nas, zgasł kolejny znicz. Spojrzeliśmy po sobie. To nie wróżyło niczego dobrego.

O tej porze roku słońce wschodzi mniej więcej o szóstej trzydzieści rano. Mieliśmy więc jeszcze sporo czasu na pilnowanie ognia. Kolejne światełka gasły. Na każdym mijanym grobie stał niewypalony do końca znicz z dymiącym knotem. Wszystkie były suche, a kiedy zatrzymywaliśmy się obok, nie wiał już nawet najłżejszy wiatr.

Ruszyliśmy biegiem w stronę grobu Mszczuja.

Jaga stała tuż obok płyty i klnąc głośno na czym świat stoi, zapalała kolejne zapalki. Za nią unosił się w powietrzu Mszczuj. Dopiero teraz zauważyłam, że jego stopy wisiały smętnie nad zaspą. To dlatego wydawał mi się wcześniej taki wysoki. Dziad przyglądał się poczynaniom szeptuchy z dużym zainteresowaniem i cały czas je komentował, irytując ją jeszcze bardziej.

– Wszystkie światła zgasły! – wydusiłam, kiedy dopadliśmy do jego grobu.

Jaga była blada, czerwona szminka na jej ustach wyraźnie odcinała się na tle jasnej skóry. Oczy zabłyszczały jej w szaleństwie.

– Jak to zgasły?! – krzyknęła. – Jak to wszystkie?!

– Zgasły. Same. Nie możemy zapalić żadnego znicza. Knoty są suche, воск jest, a mimo to nie chcą się zapalić! – szybko wyjaśniłam. – Pojawia się wiatr...

Urwałam w połowie słowa, kiedy dotarło do mnie, dlaczego Stribóg mnie przeproszał za pośrednictwem Halnego. Halny! Ty cholero!

– Zgasły praktycznie w tym samym momencie – dodał Mieszko. Jako jedyny miał spokojny głos. – Wydaje mi się, że możemy uznać, że to nie przypadek.

Jaga jeszcze raz zapaliła zapałkę i drżącą ręką przysunęła płomień do knota. Wydawało się, że ogień pełza po sznurku, ale gdy tylko cofała łuczynko, okazywało się, że na knocie nie ma nawet śladu delikatnego osmalenia.

– Co teraz? – zapytałam.

– Nie wiem. – Jaga oparła się ciężko o nagrobek.

– A ja wiem! Jeśli na grobach nie będzie świateł, to żaden dziad, który opuścił Nawię, nie będzie w stanie do niej wrócić, gdy wstanie słońce – odezwał się Mszczuj. – Wszyscy zostaniemy na ziemi aż do następnych Dziadów. Światło stanowi rodzaj drzwi. Zapalone na grobie pozwala nam wyjść, ale także wejść do środka. Najgorsze, co może się przydarzyć, to zgaśnięcie płomienia przed wschodem słońca.

Niby straszne, ale z drugiej strony nie widziałam zbyt wielkich problemów, które ten stan rzeczy mógłby wygenerować. Przecież sam dzisiaj powiedział, że widać ich tylko w pobliżu grobów, a w innych miejscach są niewidzialni. Nikt nawet nie zauważy, że się wszędzie pałętają. O ile zamkniemy na wszelki wypadek cmentarze, żeby nikt ich tam nie zobaczył przed następnymi Dziadami. Widok ducha na cmentarzu mógłby chyba doprowadzić co wrażliwszych do zawału.

Chyba trafnie odczytał moją minę, bo od razu pospieszył z wyjaśnieniami:

– To będzie bardzo złe. Ja jestem niekłopotliwy i nie będę wam tłukł talerzy, zatykał rur, nie będę w nocy zrzucał z was kołdry ani podglądał w łazience. Zdążyłem już jednak poznać inne dziady, które razem ze mną opuściły Wyraj. Niektórzy są dość wojowniczo nastawieni, mają żal do swoich potomków i najchętniej uprzykrzyliby im życie. Ich może nawet ucieszyć nagłe zgaśnięcie zniczy.

– Czyli będzie jak na horrorach? I tyle? – dopytałam.

– Będzie gorzej – tym razem odpowiedziała Jaga. – Dziady naprawdę potrafią być nieprzyjemne. Mszczuj... a widziałeś braci?

Zamrugalam. Jakich braci?

– Widziałem. Też opuścili Nawię. Powinnaś sprawdzić po powrocie do domu, czy nie odkręcili ci jakiejś rury w piwnicy. Trochę się zdenerwowali na mój widok w zaświatach. Chyba przypomniało im się co nieco z życia.

– Niedobrze! – zmartwiła się.
– Zaraz, zaraz. Jakich braci? – zapytałam.
– Nieważne. Będziemy się martwić, jak nie zdołamy zapalić zniczy. Wracamy do ogniska. Trzeba ustalić, czy zgasły tylko u nas, czy wszędzie. Szybko! – rozkazała Jarogniewa.

Zniknęła jednak całkowicie atmosfera miłego wieczoru. Zaniepokojone szeptuchy i nieliczni już kapłani krążyli spanikowani od grobu do grobu z zapalkami i zapalniczkami. Gdy tylko nas dostrzegli, rzucili się niemalże biegiem, mówiąc jedno przez drugie.

– Wszystko zgasło! – Podeszła do nas najstarsza z obecnych szeptuch. – Jaga, nie wiemy, co się dzieje!

– Spokojnie. Nie wolno nam panikować.

– Dzwoniłam do mojego żercy z Ostrowca. U niego na cmentarzu też jest ciemno. Nie mogą zapalić żadnego znicza! – wyjaśniła.

Na to Jarogniewa nie miała już żadnych słów pociechy. Wyglądała teraz na tak samo spanikowaną jak jej rozmówczynie.

– Czyli to się dzieje wszędzie? – wyszeptwała. – Dzwoniliście jeszcze gdzieś?

– To Swarozyc – powiedziałam do Mieszka, ignorując kilkanaście staruszek usiłujących złapać zasięg na swoich telefonach z dużymi klawiszami.

– Wiem – odparł krótko.

Nie wiedziałam, co teraz się stanie. Miałam jednak stuprocentową pewność, że Weles się wścieknie. Przecież to on odpowiada za naszych przodków i to on pilnuje wejścia do zaświatów. Nie wiem, jak bardzo tłoczno jest w zaświatach, ale wydaje mi się, że łatwo zauważy, że nagle zniknęły gdzieś dusze, które do tej pory pasły się spokojnie na polach Wyraju albo siedziały na drzewie kosmicznym.

Jeżeli to miała być ta pomoc Swarozycy, którą mi obiecał, to ja bardzo dziękuję. Może Czarnobóg będzie przez to zdenerwowany, ale z całą pewnością nie będzie łatwiej go podejść i zaatakować. Czy on sobie wyobrażał, że Weles wybiegnie z zaświatów, a ja będę mu mogła podstawić nogę?

Nagle zobaczyłam znowu jakiś błysk w krzakach.

– Mieszko! – Szarpnęłam go za rękaw i pokazałam tamto miejsce. – Ktoś się tam ukrywa!

Rzucił się biegiem w stronę zarośli, a ja zgubiłam z oczu Jarogniewę,

która razem z innymi ponownie usiłowała zapalać znicze. Panowało ogromne zamieszanie, kilka osób zaczęło się głośno modlić i wzywać bogów na pomoc, ktoś wrzucił w ognisko jakieś śmierdzące ziółka. A co gorsza, dookoła ludzi zaczęły krążyć dziady.

Na początku kilka kobiet i jeden kapłan zapiszczeni widokiem półprzezroczystych osobników, ale szybko zostali uspokojeni przez resztę, która najwyraźniej już miała wcześniej z nimi kontakt. Co chwilę pojawiały się nowe, migoczące sylwetki. Kiedy dziady pojęły, że dzieje się coś złego, najwyraźniej przestały się krygować. Na cmentarzu zrobiło się niesamowicie tłoczno. Zapanował harmider. Każdy coś mówił, przekrzykiwał innych. Wszyscy oczywiście znali świetne rozwiązanie problemu, a już najbardziej mądrzyły się dawno zmarłe szeptuchy i kapłani.

Ruszyłam w ślad za Mieszkiem, zostawiając wrzawę za sobą. Gdy dotarłam na peryferia cmentarza, zobaczyłam, że szarpie się z jakąś kobietą.

– Proszę mnie puścić! Chamie, puszczaj! Wszystko nagrywam! – wrzeszczała.

No i było już jasne, kto się krył w krzakach. Że też sobie tyłka nie odmroziła.

– Musiała iść za nami – skwitował zniesmaczony Mieszko.

Trzymał dziennikarkę za kurtkę na karku, jak kociaka. Nie wisiła oczywiście w powietrzu, tylko stała pewnie na nogach, raz za razem okładając go pięściami po piersi.

– Wszystko widziałam! Wszystko nagrywałam! Stosujecie narkotyki! Mnie też odurzyliście! Mam teraz przez was omamy! Zniszczę was! Zobaczycie!

Ręce opadają. Nie rozumiem jej. Chociaż może to i dobrze, że uważa dziady za wytwór wyobraźni pobudzonej substancjami halucynogennymi. Będzie miała mniejszą traumę w przyszłości i zaoszczędzi na psychotropach.

– Weszła pani na teren prywatny – poinformowałam ją. – Musi pani natychmiast opuścić cmentarz. Mieszko, zostaw ją.

– Oskarżę was o naruszenie moich dóbr osobistych! – wykrzyknęła.

– Nie ma sprawy. Niech sobie pani oskarża. A teraz proszę opuścić teren cmentarza. Ścieżka jest tam. – Pokazałam jej palcem. – Nie mamy czasu się panią zajmować.

– Ja...! – zaczęła, ale przerwał jej paniczny wrzask dobiegający z cmentarza.

Niemalże od razu do krzyku dołączyły kolejne równie przerażone głosy. Nie zwracaliśmy więcej uwagi na dziennikarkę. Niech sobie nas straszy pozwami do woli. Pobiegliśmy z powrotem do centrum nekropolii.

Nagle Mieszko złapał mnie za rękę i szarpnięciem zatrzymał w miejscu. Wysunął się przede mnie.

– Hej! – zaprotestowałam.

– Uciekaj – wyszeptał.

– Co?

– Gosia, uciekaj!

Zmusił mnie, żebym na niego spojrzała. Jego twarz była blada, szare smugi popiołu zamieniały ją w kompletnie obcą mi maskę, w jego oczach zobaczyłam pustkę.

– Uciekaj – powtórzył.

Wyjrzałam zza jego ramienia. Obok ogniska stał Witek. Wyglądał znacznie gorzej niż wtedy w chatce. Jego sylwetka była jeszcze bardziej wychudzona, policzki opinały ciasno kości żuchwy. Wyglądał jak osoba z zaawansowaną anoreksją. Cały żarzył się na pomarańczowo. Nie miał na sobie ubrań ani butów, zapewne zostały spopielone. Płomienie pełzające po jego czaszce wyglądały jak sterczące do góry, ruchome włosy. Zęby zamieniły się w poczerwiałe kołki, a z otwartych ust wydobywał się szary dym i pył.

Potwór.

Trzymał w mocnym uścisku kobietę. Poznałam ją. To była szeptucha z Nowej Huty. Nasza dość bliska sąsiadka. Na wszystkich cmentarnych imprezach zawsze siadały obok siebie z Babą Jagą i porównywały ceny jajek albo wymieniały się przepisami. Była bardzo sympatyczna.

Witek złapał ją za palto. Po materiale żwawo przeskakiwały już płomienie. Kobięcina usiłowała mu się wyrwać, ale nie była w stanie. Nogi odmawiały jej posłuszeństwa. Dłonie, które oparła o jego klatkę piersiową, zamieniły się w żywe rany. Nie miała już siły krzyczeć, była na skraju omdlenia.

Zobaczyłam Babę Jagę. Po jej twarzy płynęły strumienie łez. Rzucała w spaleńca zniczami, odłamkami płyt nagrobnych i zwykłym śniegiem. On jednak nic sobie z tego nie robił. Inni uciekali w panice, na tyle szybko, na ile pozwalały im stare nogi i głębokie zasy, albo tak jak ona usiłowali

jakoś zaatakować upira. Półprzezroczyste dziady dawno zmarłych kapłanów i szeptuch biegały dookoła w podobnej panice. Staraly się łapać spaleńca za ramiona, ale nie były w stanie go uchwycić. Ich dłonie przechodziły na wylot.

Nagle upir odwrócił się w naszą stronę. Puścił kobietę. Nieprzytomna ze strachu i bólu szeptucha bez ruchu padła w kałużę wody z roztopionego śniegu. Jaga błyskawicznie rzuciła się w jej stronę i złapała ją za kapotę, próbując odciągnąć od spaleńca. Witek zdawał się tego nie zauważać, jego oczodoły były puste. Nie było już w nich gałek ocznych, panoszyły się za to płomienie. Białe płomienie z delikatnymi iskrami błękitu.

Ruszył w naszą stronę.

Za moimi plecami wrzasnęła Jenczysława Jelonek. Jej krzyk był rozpaczliwy, ale jednocześnie pełen niedowierzania. Brzmiał jak skarga, że coś tak potwornego jak spalaniec ma czelność chodzić po tym świecie, który w jej mniemaniu jest taki racjonalny. Nie zaczęła jednak uciekać. Musiała najwyraźniej wyciągnąć aparat fotograficzny, bo zza naszych pleców zaczął błyskać flesz. Raz za razem.

Spalaniec wydał z siebie wściekły ryk i rzucił się biegiem. Mieszko odskoczył, pociągając mnie za sobą. Zwaliliśmy się pomiędzy groby. Upir minął nas, strzelając iskrami.

Nagle błyski flesza urwały się. W przeciwieństwie do krzyku dziennikarki. Zerwaliśmy się na równe nogi i pobiegliśmy w przeciwną stronę. Jarogniewa zdołała już dogasić palto na koleżance, razem z inną szeptuchą holowały nieprzytomną kobietę w stronę ścieżki prowadzącej do Bielin.

– Uciekaj z nimi! – rozkazał mi Mieszko.

Złapał za worek, w którym wcześniej przyniósł zapasowe znicze oraz jedzenie. Ku mojemu zaskoczeniu wyciągnął z niego grube rękawice ochronne i fartuch, wyglądały jak specjalistyczne ubrania, których używają spawacze lub kowale.

– Skąd...?

– Uciekaj, mówię! – krzyknął.

Zarzucił na koszulę sztywny fartuch i złapał za siekiere. Na wszystkich bogów, co on jeszcze miał w tym worku? Był naprawdę duży i ciężki. Wiem, bo kiedy wysiadaliśmy z samochodu pod lasem, chciałam go podnieść, ale nie zdołałam. Nie spodziewałam się natomiast, że poza zniczami w jego wnętrzu kryło się jeszcze tyle rzeczy.

– Nie zostawię cię! – odparłam. – Sam sobie nie poradzisz! Nie masz drugich rękawiczek?

– A niby w jaki sposób mi pomożesz, co? – warknął. – Uciekaj, do cholery! Ratuj siebie i nasze dziecko! Ja sobie poradzę!

Ciało dziennikarki upadło na ziemię. Było poczerwiałe i pokurczone od wysokiej temperatury. Zemdlilo mnie na ten widok. Była koszmarną babą, ale aż tak źle jej nie życzyłam. Witek uśmiechnął się z lubością. Płomienie w jego oczach stały się pomarańczowe. Spalenie kobiety musiało przynieść mu ulgę.

Dookoła upira wciąż wirowały dziady, on jednak nic sobie z tego nie robił. Wydawało się, że w ogóle ich nie zauważa.

– Idź stąd! – Mieszko odepchnął mnie i ruszył z siekierą na spaleńca.

42.

Nie uciekłam, a w każdym razie nie od razu. Posłusznie pobiegłam śladem innych, żeby Mieszko przestał się denerwować i mógł skupić na walce z upirem. Nie opuściłam jednak terenu cmentarzyska. Skryłam się za wysokim grobowcem wielkości budki telefonicznej. Bogowie! Serce ze strachu podeszło mi aż do gardła. Odetchnęłam głęboko i wychyliłam się, żeby szybko ocenić sytuację.

Dziennikarce nie mogłam już pomóc. Pani Jelonek wyglądała jak grzanka zbyt długo trzymana w piekarniku. Szeptuchą z Nowej Huty zaopiekowała się już Jaga. Mam nadzieję, że bieglą właśnie przez las w stronę Bielin. Na pewno któryś z sąsiadów mieszkających pod lasem zawiezie je do szpitala bądź zadzwonią po pogotowie, gdy tylko złapią zasięg. Wszystkie pozostałe staruszki i równie leciwi kapłani zdołali opuścić cmentarz. Został na nim tylko Mieszko.

Tylko jemu mogłam teraz pomóc.

Poczułam w gardle gorycz żółci. Swarozyc najwyraźniej postanowił zająć się tej nocy kilkoma problemami. Ja miałam zlikwidować Welesa, a Witek został wysłany, żeby okaleczyć Mieszka.

Mój narzeczony dzielnie stawiał czoła upirowi. Na razie siły wydawały się całkiem wyrównane. Mieszko zamachnął się siekierą bez żadnego wysiłku, jakby to był plastikowy toporek dla dzieci. Witek nawet nie usiłował odskoczyć. Stał naprzeciwko w kompletnym bezruchu z uśmiechem, od którego ciarki chodziły po plecach. Ostrze wbiło się w jego bark jak w kawał drewna i... utknęło. Spaleniec wydawał się tego w ogóle nie zauważać, chyba nie czuł bólu. Mieszko szarpnął za stylisko, ale nie mógł uwolnić siekiery. Usłyszałam, jak klnie. Witek zaczął się obłąkańczo śmiać i wyciągnął w jego stronę rękę. Na szczęście zdołał schwytać go jedynie za ochronne rękawice.

Po dłoniach upira zaczęły pełzać płomienie. Mieszko zdzielił go w twarz własną głową, przez co potwór puścił jego rękawice. Całą postać spaleńca spowił ogień. Zaczęli wymieniać się ciosami.

Wiedziałam, że Mieszko jest świetnym wojownikiem, ale Witek wyglądał, jakby w ogóle się nie męczył. Musiałam coś zrobić!

Przypomniałam sobie słowa, które w tajemnicy przekazał mi ataman Matwiej.

– Słyszę z dala róg kościany, tętent kopyt, rżenie koni. Płomień furii, wrogów lament, krzyk umarłych, krew na skroni. Przybądź, Łowie, jak wołam w potrzebie! Przybądź i zabierz mych wrogów do siebie! – wypowiedziałam szybko zakłęcie i spojrzałam na niebo, spodziewając się, że od razu pojawią się na nim myśliwi.

Mazepa twierdził, że dzięki tej formułce można wezwać Dziki Łów na pomoc. Podobno tak właśnie wywoływał go Radek, za każdym razem, gdy nie mógł poradzić sobie z jakimś zmiem.

Kozacki ataman przedstawił mi to zakłęcie dopiero po którymś naszym spotkaniu, kiedy już mnie polubił. Chciałam przetestować je na długo wcześniej przed Dziadami, ale zabrakło mi odwagi. Bałam się, że w terażniejszości Matwiej nie będzie mnie pamiętał i zezłości się, jeśli zawołam ich bez potrzeby.

Teraz z kolei pomoc myśliwych bardzo by mi się przydała. Co prawda nie mam pojęcia, jakim cudem mieliby usłyszeć, jak szepczę, ale nie zamierzałam się na razie nad tym zastanawiać. Niejedną dziwną rzecz już widziałam w tym roku. Może szeptanie też działa na większe odległości, o ile szepcze się właściwe słowa.

Zerknęłam na Mieszka i Witka. Szarpali się właśnie, kotłując wściekle w śniegu. Spalenić stawał się chyba coraz gorętszy, bo biały puch rozpuszczał się od razu, gdy tylko przeskakiwali w nowe miejsce.

Ponownie uniosłam głowę i niecierpliwie spojrzałam na ciemne niebo. Nie widziałam pędzących rumaków ani sfory psów. Nie słyszałam też tego przeklętego rogu myśliwskiego. Zdecydowanie mi się to nie podobało. Na wszelki wypadek powtórzyłam formułkę jeszcze raz, usilnie starając sobie przypomnieć wszystkie słowa. Przecież dobrze zapamiętałam! Ataman powtórzył mi wierszyk kilka razy, delektując się każdym słówkiem, zupełnie jakby sam wymyślił to zakłęcie.

Poczułam, że robi mi się zimno na sercu. Do głowy mi wcześniej nawet nie przyszło, że ten wierszyk mógłby nie być prawdziwy. Przecież ataman nie miał żadnych powodów, by mnie okłamywać. Z drugiej strony, dlaczego niby miałyby mi powiedzieć prawdę. Byłam w jego mniemaniu czarownicą, która wkradła się do jego głowy. Mógł wymyślić ten wierszyk na poczekaniu, a potem śmiać się ze mnie w duchu, że uwierzyłam mu na słowo.

A nawet jeśli jest prawdziwy, to ataman był przecież tylko elementem mojej wizji, starego wspomnienia. Nie powinien w związku z tym mnie pamiętać na jawie. Nawet jeśli go usłyszał, to nie oznacza, że zareaguje na prośbę jakiejś zwykłej kobiety.

Do licha!

– Nie słyszysz? – wyszeptałam sama do siebie. – Matwiej! Matwiej Mazepa! Atamanie! Słyszysz mnie? Sam mi kazałeś się zawołać w ten sposób! Przybądź, Łowie, gdy cię wołam w potrzebie! Przybądź i zabierz mych wrogów do siebie! Słyszysz mnie?! Dziki Łowie! Atamanie Matwieju Mazepo!

Ognisko pośrodku cmentarza powoli zaczęło przygasać. Od dłuższej chwili nikt już nie dorzucał do niego drwa. Spaleniec emitował światło, jednak tylko tyle, żeby oświetlić Mieszka, z którym się szarpał. Mój narzeczony złapał go właśnie rękawicami za gardło i przerzucił nad sobą. Ciało spalenca uderzyło w kamienną płytę, połowa jego ciała leżała na kamieniu, a połowa zwieszała się w dół. Znicze stoczyły się z grobu i upadły w głęboki śnieg. Normalny człowiek miałby już złamany kręgosłup i sparaliżowane nogi, nie byłby się w stanie poruszać. Witek wydawał się jednak niezniszczalny. Niemalże natychmiast podparł się rękami i zerwał z obłąkańczym śmiechem na nogi.

– Co robisz? – usłyszałam czyjś szept.

Ledwie powstrzymałam się przed wrzaskiem. Obok mnie zmaterializował się Mszczuj. Ukucnął, jednocześnie wisząc w powietrzu. Jego stopy zagłębiły się w śniegu i zniknęły, nie pozostawiając żadnego śladu.

– Usiłuję wezwać Dziki Łów! – odparłam. – Żeby pomógł Mieszkowi!

– Dziki Łów? – upewnił się.

– Tak!

– Co za głupi pomysł – skrytykował. – A co, jak go ze sobą zabiorą? Przecież jeśli myśliwi spotkają kogoś żywego, to zawsze wcielają go do swojej drużyny. To nie było zbyt mądre posunięcie z twojej strony, droga Gosławo.

O, cholera jasna! O tym nie pomyślałam! Przecież oni faktycznie wcielają w ten sposób śmiertelników do swojego zastępu potępieńców. Na dodatek, jeśli ktoś zostanie porwany, to automatycznie zostaje wymazana wszelka pamięć o takiej osobie. Przestaje istnieć, żeby śmiertelnicy za nim nie tęsknili i by go na próżno nie szukali. Miałam ochotę zacząć tłuc głową o kamienny grób. Przecież sama doksztalcałam się ostatnio w tej kwestii

i zajrzałam nawet do tego przebrzydłego *Bestiariusza*, którego od prawie roku nie mogłam zmęczyć. I co zrobiłam? Wezwałam Dziki Łów, żeby porwał mi narzeczonego. Brawo ja!

Rozległ się dźwięk rogu myśliwskiego. Niski ton zawibrował na granicy słyszalności. Miałam wrażenie, że zęby zaczynają mi drgać w dziąsłach.

– Dziki Łów! – szepnęłam.

Dziad Mszczuj wyprostował się. Palcem wskazał niebo. Zmrużyłam oczy i dostrzegłam małą, czarną plamkę, dobrze odgraniczającą się od szarych chmur, na których tle błyskały pioruny.

Dźwięk rogu powtórzył się, tym razem z drugiej strony. Dziki Łów zaczynał osaczać swoją ofiarę. Na niebie zakotłowały się burzowe chmury, które przyplęnęły razem z myśliwymi.

Mieszko i Witek na chwilę przestali się szarpać. Zamarli, rozglądając się na boki w poszukiwaniu człowieka dmuchającego w róg myśliwski. Żadnemu nie przyszło do głowy, żeby spojrzeć w górę.

Dźwięki rogu, ujadanie psów i tętent koni przypominający grzmoty zbliżały się. Można już było rozróżnić sylwetki poszczególnych jeźdźców. Podniosłam się i zaczęłam wspinać na wysoki grobowiec. Bogom dzięki, że kamieniarz postanowił poszaleć z gzymsami i ozdobnymi pierdólkami. Było przynajmniej się za co złapać.

Gdy stanęłam na szczycie nagrobka, zamachałam rękami. Myśliwi skierowali swoje konie w stronę ziemi. Nie pozwolę, żeby ataman porwał mi narzeczonego! Po moim trupie!

– Mazepa! – wrzasnęłam. – Tutaj!

Mszczuj, jak przystało na ducha, znaczy dziada, uniósł się i zawisł obok mnie. Posłał mi pełne nagany spojrzenie.

– Mogę zapytać, co ty najlepszego wyrabiasz?

– Wołam Matwieja – wyjaśniłam i po raz kolejny wrzasnęłam w nadziei, że może jakoś mnie usłyszy pomimo coraz głośniejszego dźwięku rogu.

– A po co?

– Żeby mu pokazać, kogo ma zabić – wyjaśniłam. – MAZEPA!!

– Gosiu, na litość wszystkich bogów, przestań krzyczeć. Powiedz mi lepiej, jak ten Mazepa wygląda.

– Taki kozak. Łysy z pejsikiem przyklejonym do czoła, z wąsami – wyjaśniłam zachrypłym od wrzasku głosem. – Niezbyt wysoki. To dowódca. Będzie miał przy sobie róg myśliwski. O! A jego koń jest czarny.

– Z tego, co widzę... wszystkie konie są czarne. Poszukam go –

zapropował. – A ty przestań krzyczeć! Nie przystoi kobiecie, pannie na dodatek.

Mszczuj zaczął się wznosić do góry z jedną nogą lekko ugiętą w kolanie, a drugą prostą. Ręce rozłożył na boki, żeby łatwiej złapać równowagę. Trochę przypominał pokraczną wróżkę z bajek, brakowało mu tylko błyszczących skrzydełek i złotego pyłku. Od biedy mógłby także udawać Supermana, ale znowu nie miał peleryny.

Nagle tuż obok mnie na grobowiec wskoczył Witek. Opadł na dach i podparł się ręką. Całe jego ciało się żarzyło. Nie byłam nawet w stanie zauważyć opadających płatów poszarzałej skóry, bo spalały się w locie.

Wrzasnęłam przerażona i cofnęłam się. Moja stopa straciła podparcie, a ja poczułam, że mój środek ciężkości gwałtownie przesuwa się do tyłu. A mówiąc wprost – jak ostatnia sierota poleciałam na wznak.

Uderzenie wydusiło z moich płuc całe powietrze. Chyba na chwilę straciłam świadomość, bo kiedy otworzyłam oczy, miałam wrażenie, że budzę się właśnie z koszmarne snu. Przez chwilę nie wiedziałam, gdzie jestem i jaki mamy dzień. W panice stwierdziłam, że nie mogłam się ruszyć. Bogowie! Jestem sparaliżowana!

Witek stanął na brzegu grobowca. Wychylił się i wbił we mnie płomieniste spojrzenie.

– Gosia? – wydusił.

Z jego ust uniosła się chmura dymu. Niespodziewanie w jego głowę wbiła się siekiera. Ostrze zagłębiło się w czaszce aż do głębokości brwi. Trzonek sterczał mu nad karkiem. Spalenię odwrócił się powoli.

– Zabiję! – krzyknął.

– Chodź tu, ścierwojadzie! – odparł Mieszko.

Nie widziałam go, znajdował się po drugiej stronie grobowca.

Odetchnęłam głęboko i jeszcze raz skontrolowałam wszystkie części ciała. Początkowo nie mogłam się ruszać chyba tylko z powodu szoku. Na szczęście wylądowałam w zaspie, co znacznie osłabiło uderzenie. Podniosłam się na łokciach. Po obu stronach mojej głowy wystawały dwie płyty nagrobkowe.

– O bogowie – jęknęłam.

Wystarczyłoby kilkanaście centymetrów w jedną albo w drugą stronę i miałabym złamany kark i roztrzaskaną głowę. Aż mnie w dołku ścisnęło.

Obok mnie pojawił się Mieszko zwarty w walce z Witkiem. Kotłowali się w śmiertelnym uścisku. Płomienie skakały po ogniotrwałym fartuchu

i rękawicach. Materiał ochronny coraz gorzej sobie radził z temperaturą.

– Uciekaj, do jasnej cholery! – huknął na mnie.

– Mieszko! To Dziki Łów! – odkrzyknęłam. – Pomogą ci. Tylko nie pozwól im się zabrać! Słyszysz! Nie pozwalam ci nigdzie odchodzić! Nie wolno ci z nimi pojechać! To Dziki Łów!

Nie mam zielonego pojęcia, czy mnie usłyszał. Witek właśnie uderzył go pięścią w twarz. Mieszko zatoczył się do tyłu i z wściekłym rykiem rzucił się na spaleńca. Pchnął go na ziemię. Gdy upir padł, trzonek siekiery odbił się i wysunął ostrze z głowy. Rana od razu pokryła się ogniem. Potoczyli się po ziemi.

Mieszko złapał siekiere, a następnie usiadł okrakiem na Witku. Próbował wbić mu ostrze w szyję, żeby odrąbać głowę, ale nie miał tyle siły. Spaleniec złapał go za ramiona. Miałam wrażenie, że się z nim bawi, że to nie sprawia mu żadnej trudności. Pozwalał teraz mojemu narzeczonemu wygrywać tylko po to, żeby go złapać i skierować swój żar na jego kończyny. Po rękawach koszuli i spodniach Mieszka pełzały płomienie, powoli pożerając materiał jego kożucha. Teraz już nie wiedziałam, kto kogo trzyma. Zmartwiałam, wyobrażając sobie, ile jego gładkiej skóry będzie pokrytej po tej walce poparzeniami.

Mieszko zaczął krzyczeć z bólu.

To mnie ocuciło. Nieporadnie się podniosłam. Plecy zaboląły, ale dźwignęłam się do pionu bez dłuższego rozczulania. Nie było na to czasu. Wiedziałam, że muszę pobiec do Welesa.

Z nieba zaczął padać śnieg z deszczem. Dziki Łów przybył na miejsce.

Obok mnie, na gładką płytę nagrobną zeskoczył koń. Ciężkie, podbite metalem kopyta uderzyły w kamień, krusząc go w kilku miejscach. Od razu za wierzchowcem skryształizował się dziad i wyjęczał:

– Toż to mój nagrobek! – Załamał rękę. – Sto lat sobie stał spokojnie! Natychmiast proszę z niego zejść! Nie będę dwa razy strzepił języka!

Jednak ani ja, ani jeździec, ani już tym bardziej demoniczny rumak nie zwracaliśmy na niego uwagi. Na pięknym, czarnym koniu siedział ataman. Wbił we mnie chmurne spojrzenie swoich małych oczu. Wilgotny pejsik przykleił mu się do lśniącej łysej głowy, a wąsy wyglądały jakoś dorodniej niż w moich wizjach. Chyba w międzyczasie urosły.

– Podobno to ty nas zawołałaś – oświadczył.

Mszczuj złapał za ramię awanturującego się właściciela nagrobka i razem gdzieś odpłynęli.

– Witaj, atamanie Matwieju Mazepo. Nazywam się Gosława Brzózka. Jestem szeptuchą, a także widzącą. Zanim naplujesz na ziemię z odrazą, że rozmawiasz z wiedźmą, daj mi wszystko wytłumaczyć.

Już miał splunąć, ale się powstrzymał. Przełknął ślinę. Wciąż siedział na swoim koniu, patrząc na mnie z góry. Jego dłoń przesuwiała się niespokojnie po rękojeści szabli wystającej z pochwy na biodrze.

– Znam cię z jednej z moich wizji. Wielokrotnie rozmawialiśmy o tym, jak podczas ostatniej Nocy Kupały ty i Dziki Łów, którym dowodzisz, zabił zmija. Jako że rozmowy prowadziliśmy w moich snach, to niestety nie możesz ich pamiętać – wyjaśniłam usłużnie.

– Pierwszy raz na oczy cię widzę, wiedźmo!

Splunął. Nie mógł się powstrzymać.

Z dwojga złego i tak wolę go, kiedy jest taki niechętny i oburzony, niż wtedy gdy się do mnie przymila i usiłuje ze mną flirtować.

– Tak, ja wiem. Przecież mówię. Mazepo, nie zachowuj się jak dziecko! Dasz mi dojść do słowa?

– Czemu nas wezwałeś, białołowo? – zapytał.

– Widzisz tamtego spaleńca? Walczy z moim narzeczoną. Byłabym wdzięczna, gdybyście mu pomogli.

Spojrzał w tamtym kierunku.

– To znaczy, gdybyście pomogli mojemu narzeczonemu! – dodałam szybko. – Proszę, nie da sobie rady sam ze spaleńcem. Ten upir jest gotowy zabić wielu niewinnych ludzi.

– Nie wykonujemy niczyich rozkazów – oświadczył. – Nie wzywa się nas do byle czego.

Jego myśliwi krążyli zaniepokojeni po niebie, zataczając nad naszymi głowami coraz mniejsze kręgi. Mieszko zaczynał płonąć żywcem. A Mazepie zebrało się na dyskusje! Niech go licho porwie!

– W mojej wizji sam ostrzegałeś mnie, że tak będzie – odparłam. – Poradziłeś mi wtedy, żebym ci powiedziała, że wiem o Rusałczym Bałamutniku.

– Wiedźma! – Znowu splunął.

Matwiej wpatrywał się we mnie częściowo oburzony, a częściowo zdziwiony. Powieka nad jego prawym okiem zaczęła drżeć.

– Niemożliwe. Nikt nie wie o... Rusałczym Bałamutniku! – zaprotestował.

– Ja wiem, bo mi powiedziałaś. I to wcale nie jest wstyd, że jako dziecko

bawiłeś się drewnianym mieczykiem i nadałeś mu imię. Co prawda samo imię jest specyficzne, ale biorąc pod uwagę twój charakter i sposób bycia, da się to jakoś zrozumieć. Dziwić może jedynie fakt, że wymyśliłeś to imię w wieku lat pięciu. Naprawdę zastanawia mnie, jakie bajki opowiadali ci rodzice.

Przyglądał mi się zaskoczony.

– Wiem, że wszędzie zabierałeś ze sobą tę zabawkę, a nawet z nią spałeś – dodałam. – Każde dziecko śpi z jakąś przytulanką. Co prawda zwykle są miłsze w dotyku niż drewniane miecze, ale cóż...

– Naprawdę ja ci to wyznałem? – dopytał.

Czarny rumak atamana chyba miał już dość naszej rozmowy albo przestraszył się spaleńca, bo zarżał wyraźnie zaniepokojony.

– A mówiłem jeszcze o Byczej Chuci?

– Eee... nie... o tym mi nie mówiłeś i biorąc pod uwagę nazwę, chyba wolałabym, żebyś zatrzymał dla siebie tę historię – wyjąkałam.

Zasepił się.

– Matwieju, błagam cię, pomóż nam! Tam płonie mój narzeczony. Rusz łaskawie swój tyłek i każ myśliwym zabić spaleńca! Przecież wy lubicie zabijać potwory! A to potwór jak się patrzy. Naprawdę trudno go zabić. To prawdziwe wyzwanie!

Zmierzył mnie poważnym spojrzeniem.

– Jeśli to, co mówisz jest prawdą...

– Tak! To prawda. Znamy się! W innym wypadku nie umiałabym przecież was wezwać – przerwałam mu. – Zrób coś, na miłość wszystkich bogów!

Mieszko krzyczał coraz donośniej. Przerażało mnie to, ale jednocześnie uspokajało. Jeszcze żył.

Ataman złapał za róg i zadał w niego trzy razy. Myśliwi z dzikim wrzaskiem rzucili się w dół. Spaleniec zamarł.

– Matwieju!

Podeszłam bliżej i złapałam go za łydkę. Ledwie się powstrzymał, żeby mnie nie kopnąć.

– Nie pozwalam ci zabrać mojego narzeczonego. Nie wcielisz go w szeregi Dzikiego Łowu. Nie wolno ci. A jeśli tylko spróbujesz, to ja cię, Matwieju, znajdę, bo znam wszystkie twoje sekrety. Zapewniam, nie chcesz, żebym cię znalazła.

Znowu splunął na ziemię. Uwierzył mi. Nie musiałam już nic więcej

mówić.

Ruszyłam biegiem przed siebie. Do wschodu słońca zostało bardzo mało czasu.

Przedarłam się przez zasłonę z wierzbowych witek i zeskoczyłam z małego wzniesienia prosto w błotnistą kałużę. Bagienko cmokało przy każdym moim kroku, niechętnie wypuszczając buty ze swoich lepkich objęć. Na szczęście poziom wody nie sięgał mi do kolan, tak jak w upiornej wizji morderstwa Mieszka. Teraz ledwie przykrywał moje kostki.

Weles siedział na swoim tronie, a jakże. W cieniu drzewa kosmicznego z ledwością dopatrzyłam się kilku istot. Gdy chciałam spojrzeć na nie bezpośrednio, niczego nie dostrzegłam. Trochę mnie to zaniepokoiło. Zwykle nikogo tu nie było poza mną oraz bogiem. Po plecach przebiegł mi dreszcz niepokoju.

Wydostałam się z bagna i stanęłam przed obliczem Welesa. Było wyjątkowo posępne. Nigdy nie tryskał humorem, jednak tej nocy wyraźnie nie miał dobrego nastroju. Nie zdziwiłabym się, gdyby zaczął wrzeszczeć.

– Słyszałeś, co się stało? – zapytałam bez ogródek.

W końcu to mój ojciec, wybaczy mi chyba brak formułek grzecznościowych. Zresztą nie mamy czasu! Niedługo świt.

– Tak... – odpowiedział.

Cofam to, co pomyślałam. Weles odezwał się bardzo cicho i wypowiedział tylko jedno słowo. Jednak było w nim tyle nienawiści i gniewu, że aż włosy stanęły mi dęba. Całe szczęście, że to nie na mnie jest zły.

– Trzeba przyznać, że udało mu się wyprowadzić cię z równowagi – zakpiłam.

Oczywiście nie zareagował na zaczepkę. Nic więcej też nie powiedział. Postanowił najwyraźniej nadal bawić się w niedopowiedzenia.

Podeszłam bliżej i sięgnęłam do torby. Wyciągnęłam sztylet. Serce Juraty wyglądało, jakby doznało co najmniej migotania komór. Błyskało jak szalone i widziałam to nawet przez warstwę materiału, którym owinęłam sztylet. Powoli odwinęłam podkoszulek. Mocno zacisnęłam palce na rękojeści. Pomimo że była obwiązana rzemieniem, raniła moją dłoń chłodem.

Ostrze nie złapało malowniczo odblasku odległego ognika, ziemia nie

zaczęła drzeć, niebo nie zważyło się nam na głowy. Po prostu zrobiło się cicho. Nawet liście na wiecznie zielonym drzewie kosmicznym przestały szumieć.

– Co z dziadami, którzy wędrują po świecie? – rzuciłam, żeby przerwać tę ciszę.

– Jeśli ogień zapłonie przed świtem, będą mogli wrócić do zaświatów – odparł.

– A jeśli nie zapłonie?

– To nie wróca.

– Co wtedy?

– Przekonaj Swarożycza, żeby zapłonął.

Wyciągnęłam sztylet w stronę boga. Weles śledził każdy mój ruch, gdy podchodziłam bliżej. Nie drgnął nawet o centymetr. Niczego nie skomentował, nie dodał, nie zachęcał mnie, ale także nie odradzał tego, co miałam zrobić. Zaakceptował to.

Stałam przed tronem. Nasze twarze znajdowały się na tej samej wysokości, bo siedział na podwyższeniu.

– Zanim... zanim zacznę. Powiedz mi jeszcze jedną rzecz. Muszę to wiedzieć.

– Słucham.

– Czy Jurata nadal żyje? – zapytałam.

Wydawał się zaskoczony moim pytaniem.

– Żyje – odpowiedział.

Bursztyń już nie pulsował światłem. Znajdując się tak blisko Czarnoboga, świecił jednostajnie. Jeśli faktycznie był jej sercem, to nie potrafiłabym powiedzieć, czy biedna boginka jednak nadal żyje.

– Jest uwieczniona na dnie morza?

– Tak.

– Czemu to zrobiliście? Czemu zabiliście człowieka, który ją kochał? Którego ona kochała? Jak mogliście jej to zrobić?

Weles się poruszył. Przekrzywił głowę na bok, jak jastrząb. Wydawało mi się, że nie rozumie mojego pytania.

– Przez lekkomyślność Juraty zginęło wiele morskich istot. Wiedziała, że nie wolno jej przedłożyć swojego dobra ponad dobro podległych jej istot. A jednak to zrobiła – wyjaśnił.

– Nie mogła popełnić błędu? Każdy popełnia błędy! – Ten błąd był zbyt duży i trwał zbyt długo. Była władczynią Bałtyku. Władca musi wiedzieć,

musi zdawać sobie sprawę z konsekwencji swoich czynów.

– A co teraz z nią będzie? Nadal włada Bałtykiem?

– Teraz już wie, że nie powinna porzucać swoich obowiązków.

Spojrzałam na ostrze sztyletu i na pierś boga. Wystarczyłby jeden ruch mojej ręki.

– Byłeś tam, prawda? Byłeś jednym z bogów, którzy go zabili? – spytałam.

– Tak.

– Zamierzacie kiedykolwiek uwolnić Juratę?

– Nie.

Po prostu nie. Już nie chciałam o nic więcej go pytać. To i tak nie miało sensu i niczego by nie zmieniło.

Pchnęłam ostrze. Pomimo że przerdzewiało i na pierwszy rzut oka tępe, gładko przecięło białą jak śnieg skórę Czarnoboga. Weszło w nią lekko, w ogóle nie poczułam oporu tkanek. Z rany popłynęła od razu krew. Nie wiem, czego się spodziewałam, ale widok zwykłej, po prostu ciemnoczerwonej, mocno mnie zawiódł.

Chyba miałam nadzieję, że bogowie krwawią na niebiesko niczym księżniczki w bajkach.

Poczułam, jak po mojej dłoni rozlewa się ciepło. Nabrałam powietrza, kiedy zakreśliło mi się w głowie. Nie zauważyłam nawet, że z tego wszystkiego zupełnie zapomniałam o oddychaniu.

Cofnęłam się. Ostrze wysunęło się z jego ciała. Bursztyn przymocowany do główki zaczął powoli pulsować ciepłym światłem. Serce Juraty uspokoiło się. Było chyba zadowolone.

Ja nie byłam. Moja ręka zaczęła drżeć, nie mogłam tego powstrzymać. Nagle przestraszyłam się, że w ten sposób spłynie z niego cała krew, a ja nie będę miała czego pokazać Swaróżycowi.

Odwróciłam się na pięcie i ruszyłam przez bagna. Musiałam poważnie porozmawiać ze Swaróżycem.

Od opuszczenia Wyraju biegłam. Cały czas biegłam. Oczywiście w moim stanie, przy grubej pokrywie śniegu, częściej ten szalony bieg przypominał marsz, ale spieszyłam się, jak tylko mogłam. Cały czas z niepokojem zerkałam na niebo. Zaraz będzie świtać. Musiałam zdążyć.

O bogowie, jak już moje dziecko się urodzi, to będzie miało nerwicę przez te moje wszystkie przygody w ciąży!

Gdy już wydostałam się z lasu, na szosę, przyspieszyłam. Na szczęście piaskarka przejechała wieczorem i na drodze w ogóle nie było ślisko. Mogłam spokojnie truchtać. Obejrzałam się jeszcze za siebie, ale nie widziałam nigdzie na tle czarnego lasu ani jednej smużki dymu. Na horyzoncie nie pełzała pomarańczowa łuna pożaru, a z nieba zniknęły szare, burzowe chmury. Dziki Łów najwyraźniej już odszedł.

Zabolało mnie w piersiach. Pozostawało mi tylko mieć nadzieję, że ataman nie zabrał ze sobą mojego Mieszka. Wydaje mi się, że nie mógł go wcielić do armii myśliwych, bo ciągle go pamiętałam. Chyba że to tylko dzięki temu, że jestem widzącą.

Po policzkach popłynęły mi łzy. Nie mogłam teraz o tym myśleć. Musiałam skupić się na rozmowie ze Swarozycem!

Wpadłam jak burza do domu Jarogniewy.

– Jaga?! – zawołałam.

Rozbierając się w biegu, pognałam do kuchni. Zrzuciłam mokre buty i skopałam je pod stół, kurtkę upuściłam na ziemię. Do torby, w której wciąż leżał sztylet Juraty, zaczęłam dorzucać wszystkie rzeczy, które mogły mi się przydać.

– Jaga, jesteś w domu?! – spróbowałam jeszcze raz.

Na szczęście jej nie było. Dla spokoju ducha zawołałam ją jeszcze kilka razy, ale nie odpowiedziała. Przebiegłam przez parter, sprawdzając wszystkie pomieszczenia. Byłam sama.

W pokoju na strychu rzuciłam wszystko, co miałam w rękach, na ziemię, a potem pobiegłam do zasłoniętych tekturą i szmatami okien. Chciałam widzieć niebo, żeby wiedzieć, kiedy zacznie wstawać słońce. Musiałam zdążyć.

Czy już się spóźniłam? Szarpnęłam za tekturę.

Na szczęście niebo ciągle było ciemne.

Złapałam za nóż kuchenny, którego Jaga używała do obierania jabłek i często ostrzyła. Przecięłam opuszkę swojego palca. Rozmazałam krew na knocie najbliższej świecy. Mam nadzieję, że chociaż w domu Halny pozwoli mi coś zapalić.

– Niech jego dech, ognisty miech, da mi zapalenie, ogniste płomienie. Zapalcie się wszystkie! – zawołałam.

Zapaliły się. Jak w tanim horrorze.

Dopiero teraz mogłam zlustrować wzrokiem strych. Byłam sama, a w każdym razie tak mi się wydawało.

Dobra, czas na większą jatkę! Złapałam mocno za nóż i przecięłam całe wnętrze lewej dłoni. Krew chlusnęła na mnie, na podłogę, na świecę.

Chyba jednak przesadziłam.

Wiem, że mogłam użyć szminki. Zapewne nawet powinnam. Chciałam jednak mieć stuprocentową pewność, że krąg, który narysuję, będzie działał. Niby działał na szmince, jak ostatnio ćwiczyłam, ale w końcu zamierzałam zamknąć w nim boga. Nie mogłam bawić się w półśrodki. W samym centrum okręgu wymalowałam krzyż słoneczny. Trochę krzywy, ale czytelny.

Zadowolona pokiwałam głową. Odwróciłam się i porównałam mój krąg z tym, który przed wieloma laty narysowała Jarogniewa. Mój był trochę bardziej krzywy.

Rozsypałam sól ze szklanej solniczki, przez co krąg był otwarty do momentu, aż ją zmażę. Następnie pobiegłam po koc z sypialni i rzuciłam go na ziemię, gdy miałam już pewność, że krwawe symbole na deskach zaschły. Musiałam zakryć ślady, żeby ich nie zobaczył, żeby niechący stanął w ich obrębie.

Zacząłam rozstawiać świece w taki sposób, żeby dodatkowo zamaskować fakt istnienia nowego kręgu. Kilka wylądowało w środku. Jeśli dobrze pójdzie, to bóg tego nie zauważy, będzie przekonany, że na strychu jest tylko jeden krąg, ten stary.

Bogowie... nie wiem, czy to podziąła. Przecież Swarożyc nie jest głupi. Nie da mi się zamknąć w pułapce. Ale nie miałam wyjścia. Nie było innego sposobu. Nie mogę mu pozwolić zniszczyć wszystkiego, zachwiać równowagi. Bóg ognia nie może opuścić tego pomieszczenia.

Poza tym zrozumiałam już zagadkę Dadźboga. Kompletnie niezrozumiałe

zdania okazały się raczej luźnymi wskazówkami, co powinnam zrobić. A raczej czego ode mnie oczekiwano i z czym się liczone. Gdy zapytałam Welesa, jak on rozumie wiadomość Dadźboga, tylko się uśmiechnął. Nie raczył mi niczego wyjaśnić ani potwierdzić, czy mój tok rozumowania jest prawidłowy.

Tak więc przekonamy się.

Podniosłam sztylet Juraty. Bursztynowe serce już nie świeciło. Może krwi Welesa było za mało, żeby nasycić je na dłużej.

Nagle wybuchnęłam płaczem. Nie mogłam powstrzymać łez. Tak bardzo bałam się o Mieszka. Nie obawiałam się, że zginie z rąk spaleńca, ale raczej tego, co z nami będzie. Co z naszym dzieckiem? Czy będzie przeklęte, tak jak ja? Wytarłam twarz o przedramię, bo tylko ono nie było uwalane krwią.

– Dobra, weź się w garść! – powiedziałam sama do siebie. – Wszystko będzie dobrze!

Nie dodało mi to wcale odwagi, ale to pewnie dlatego, że nie jestem zbyt przekonująca w kłamaniu.

– Swarożycu. Przyjdź do mnie – wyszeptałam.

Nie czekałam długo. Może wyczuł wołanie przez poparzenia na mojej skórze. W końcu już kilkakrotnie wmawiał mi, że łączy nas szczególna więź.

– Widząca?

Jego niski głos rozległ się za moimi plecami. Znowu otarłam twarz i westchnęłam ciężko, wciąż niepokodzona z tym, co chciałam zrobić. Sztylet Juraty oblepiony zaschniętą krwią Welesa ciążył mi na kolanach. Trzymałam go blisko siebie, nie wypuszczałam z dłoni.

Nie wstałam, kiedy się pojawił. Czekałam, aż swarny bóg sam do mnie podejście. Usilnie starałam się nie myśleć o kręgu i wyrzucić z głowy pragnienie, by wszedł w jego granice. Bałam się, że mógłby usłyszeć moje myśli.

– Widząca? – powtórzył.

W kątach pomieszczenia zakotłował się dym. Płomienie świec wydłużyły się i stały jaśniejsze. Nawet bez tego wiedziałabym, że za mną stał. Czułam jego obecność każdą komórką swojego ciała. Lekko zapiekły mnie blizny po jego poparzeniach. Na szczęście usta nie zabolowały. Zrobiło mi się ciepło, nie wiem, czy to przez świece, czy może ze zdenerwowania.

Usłyszałam, jak powoli stawia stopy na deskach strychu. Uginające się

drewno zdradzało jego położenie.

– Gosia?

– Zrobiłam to – szepnęłam.

Zatrzymał się za mną. Nie wytrzymałam. Znowu zaczęłam płakać. Moje ramiona zadrżały od szlochów, od razu oczywiście też się obsmarkałam. Dłonie miałam brudne od krwi. Od swojej, a także od krwi Czarnoboga. Nawet nie mogłam się doprowadzić do porządku.

Swarożyc odetchnął głęboko. Zaczęłam się zastanawiać, czy nie przejrzał mojej sztuczki. Ciągłe nie podchodził, a ja z uporem trwałam nieruchomo, nie zamierzając się odwrócić nawet na chwilę. Chciałam, żeby stanął naprzeciwko mnie, by znalazł się idealnie pośrodku kręgu. Narysowałam go tuż obok drzwi wejściowych – w wyjątkowo niepraktycznym miejscu. Miałam nadzieję, że go zmylę.

Czas się dla mnie zatrzymał. Bóg ognia stał za moimi plecami i oddychał ciężko, a ja łkałam niczym bohaterka melodramatu, która odkrywa, że wszyscy jej bliscy umarli i ją to też wkrótce czeka.

Czułam się bardzo podobnie. Naprawdę.

W końcu Swarożyc ruszył się ze swojego miejsca. Okrążył mnie i ukucnął naprzeciwko. Nie patrzył na mnie. Wbijał wzrok w zakrwawiony sztylet. Bursztyń osadzony w trzonku znowu zaczął błyszczeć, gdy tylko poczuł obecność boga. Oblewał nasze twarze ciepłym światłem. Rozboleła mnie od tego głowa.

Ja nie zwracałam w tej chwili uwagi na sztylet. Całkowicie skupiłam się na obserwacji Swarożycy. Jego błyszczących z ekscytacji oczu, warg rozciągniętych w radosnym uśmiechu i kurzych łapek w kącikach, które rzadko kiedy pojawiały się na jego twarzy, jako że zwykle nie uśmiechał się szczerze.

Swarożyc ukucnął na kocu, idealnie pośrodku kręgu. Nic nie poczuł. Niczego nie podejrzewał. Był tak zadowolony, że wykonałam powierzone mi zadanie, że nawet przez myśl mu nie przeszło, że mogę coś knuć. Nie zdziwiły go koce ani fakt, że siedzę nieruchomo. Wizja nagrody w postaci zakrwawionego sztyletu przysłoniła mu wszystko.

– Zabiłaś go? – wyszeptał drżącym z podniecenia głosem.

Bardzo ostrożnie wyciągnął dłoń w stronę sztyletu. Dotknął opuszkami palców ostrza tak delikatnie, jakby bał się, że może mu zrobić krzywdę. Krew boga podziemi już zakrzepła. Gdy odwrócił dłoń, jego palce były czyste.

– Czuję to. Czuję, że świat zadrżał. – Cały czas mówił przyciszonym głosem. – Zniknęła równowaga i moc płynie falami. Jakby została uwolniona z jego ciała. Słyszę krzyki dziadów w swojej głowie. Słyszę lament zwierząt. Nawet rośliny go opłakują. Budzą się z zimowego snu, szukają swojego pana, ale nie mogą go znaleźć. Wszyscy krzyczą.

Ja tam nie zauważyłam, żeby świat się jakoś specjalnie zmienił, odkąd dźgnęłam Welesa. Najwyraźniej słaba ze mnie widząca, skoro nie umiem wyczuć, że wszyscy krzyczą. Wsłuchałam się w swoje wnętrze. Próbowałam doszukać się rzeczonoego krzyku.

Nie. Kompletnie nic. Prędeż mi żyłka pęknie, niż coś poczuję.

Swarożyc przyłożył palce do nosa i powąchał. Przymknął oczy z lubością.

– Jego krew. Wspaniała! Nigdy nikomu nie udało się go zranić i utoczyć krwi. Nie mówiąc o uczynieniu poważnej krzywdy. Nie byłem nawet pewien, czy on potrafi krwawić. Nikt tego jeszcze nie dokonał! To wydawało się niemożliwe!

– No to miło, że mnie ostrzegłeś – parsknęłam.

Wreszcie spojrział na moją zasmarkaną twarz. W jego oczach błysnęło coś na kształt podziwu.

– Zrobiłaś to. Naprawdę to zrobiłaś – oświadczył zdumiony.

– Nie wierzyłeś we mnie?

– Nie – przyznał. – Myślałem, że cię zabije.

Wszelkie wyrzuty sumienia, jakie jeszcze przed chwilą miałam, zniknęły. Moja sympatia do Swarożycy, która jakkolwiek by na to patrzeć, nigdy nie była specjalnie duża, zmaląła obecnie niemalże do zera.

Niestety to, że ktoś dobrze całuje, w żadnym razie nie jest równoznaczne z tym, że jest dobrą osobą.

– To milutko, że wysłałeś mnie na misję samobójczą – zauważyłam.

– Nigdy nie narodziła się widząca, która bez problemów mogła przekraczać bramy Wyraju. To pozwalało mi zakładać, że masz większe szanse niż ktokolwiek inny.

Pewnie dlatego jeszcze takiej nie było, bo Weles rzadko udostępniał swoje geny śmiertelnikom. Geny. Hm. Ciekawe, czy bogowie mają geny? Chyba muszą je mieć, żeby istnieć.

– Ale i tak obstawiałeś, że umrę? – doprecyzowałam.

– Tak.

– Kawał ścierwa z ciebie, wiesz?!

– Wiem! – Zaśmiał się głośno.

Sprawił teraz nieco przerażające wrażenie. Podniósł się i wyprostował. Podparł się pod boki i po raz kolejny się zaśmiał. Odnotowałam pojawienie się kurzych łapek. Najwyraźniej znowu szczerze się cieszył.

Ja za to zaczęłam się trząść ze strachu. Zbliżał się koniec. Pytanie tylko czyj... Także wstałam, wciąż trzymając sztylet Juraty, którym najwyraźniej zupełnie stracił zainteresowanie. Udało mi się ustawić tak, żeby nie widział cieniutkiego paseczka soli, na którym przed chwilą siedziałam. Wystarczy, że przesunę stopę, a krąg się zamknie.

– Czuję ich krzyki! – oznajmił, już w ogóle nie kryjąc się ze swoją radością. – Czuję chaos! Zapanował nad światem. Dzień nie wie, czy powinien wstać. Mój brat Dadźbóg płacze. Chors zeskoczył z nieba, żeby znaleźć swojego stwórcę i także zapłakać nad jego ciałem. Chaos! CHAOS!

Zerknęłam na okna. Faktycznie, wciąż było za nimi ciemno. Nie zapowiadało się, żeby miało zacząć świtać. Poczułam przypływ nadziei. Jeśli świat stanął, to zdążę jeszcze coś zrobić, żeby dusze dziadów wróciły do Nawi.

– Wreszcie! Wreszcie! Tyle lat na to czekałem! A wreszcie to osiągnąłem! Wreszcie zapanował mój chaos! – pławił się w zachwytach nad własną osobą.

– Co teraz będzie? – zapytałam.

– Teraz będę ja! Ja! JA!

Zamrugalam. Ktoś tu wyraźnie cierpi na przerost ego.

– A inni bogowie? Przecież poza Welesem kilku ich się jeszcze pałęta po okolicy – zwróciłam mu uwagę.

Posłał mi jeden z tych swoich wstrętnych, okrutnych uśmiechów, które nigdy nie dosięgały oczu.

– Panuje chaos. Nie zaryzykują otwartej walki. Teraz trzeba ratować świat, czyż nie? – zadrwił. – A ja obejmę tron Welesa. Teraz, gdy już go nie ma, sprawię, że ludzie o nim zapomną. Wymażę jego imię. A kiedy to zrobię, gdy już nikt nie będzie w niego wierzył, wówczas całkiem przestanie istnieć!

Płomienie otaczających nas świec wściekle zadrgały. Czarne cienie zaczęły krążyć pod ścianami. Brakowało tylko odpowiednio dramatycznego podkładu muzycznego. Na szczęście gdzieś za moimi plecami rozległ się tupot małych stóp, należących do ubożat. Efekt grozy osiągnięty.

Układałam w głowie rewelacje, którymi mnie poczęstował. Nie do końca

wszystko rozumiałam.

– Czyli dopóki ludzie wierzą w Welesa, to nawet jeśli on umarł, to nie jest tak do końca martwy? – dopytałam. Ta kwestia mogła mieć dość poważny wpływ na przyszłość.

Swarożyc mnie zignorował.

– Będę teraz ja. Tylko ja. Będę jedynym bogiem. Jedynym prawdziwym bogiem. Wszyscy będą wierzyć tylko we mnie! – beztrosko produkował się dalej.

Z tego, co pamiętałam, bóg podziemi kiedyś mi wspominał, że Swarożyc nie może mnie podsłuchać, gdy odwiedzam Nawię. Nie byłam tylko pewna, czy to dlatego, że nie może tam wejść, czy po prostu Weles od razu by go wyczuł i przepędził.

– Możesz wejść do Wyraju? – zapytałam.

Delikatnie poruszyłam nogą. Usiłowałam na oślep trafić w sól i zmazać ją z kręgu. Przejechałam kilka razy podeszwą po deskach. Ledwie powstrzymałam się przed spojrzeniem na podłogę. Nie czułam chrobotu kryształków soli pod skarpetką. Pomyślałam, że mój dość mało finezyjny plan zaraz weźmie w łeb, bo źle stanęłam!

– Teraz każdy już może tam wejść – odpowiedział. – I wyjść. Nawia pozostanie otwarta, dopóki nie znajdzie się nikt, kto by nie zasiadł na tronie pod drzewem. Zastanawia mnie, co robią teraz inni. Musieli poczuć zmianę tak jak ja.

Cały czas szurałam stopą, starając się zetrzeć cieniutki paseczek z soli. Za nic nie mogłam się zorientować, czy już mi się to udało, czy jeszcze nie. Istniała szansa, że po prostu nie poczułam, że już to zrobiłam.

– A co ze mną? Czy jesteśmy już kwita? Jestem wolna? – rzucałam kolejne pytania, grając na czas.

Uśmiech na jego twarzy złagodniał, jednak wciąż nie wydawał się do końca szczery.

– Gosiu, spełniłaś moją prośbę. Wciąż jednak wiąże nas jedna obietnica.

– Jaka niby?! – oburzyłam się.

– Musisz mnie jeszcze kiedyś obdarzyć pocałunkiem – przypomniał.

Ach, to! W porównaniu z tym planowym morderstwem wydawało się to tak mało ważne, że całkowicie wypadło mi z głowy.

– Teraz? – prychnęłam.

– Nie, wydaje mi się, że zostawię sobie tę przyjemność na później. Teraz niestety musisz mi wybaczyć. Czeka na mnie cały świat. Gosiu, moja słodka

Gosiu. Uradowałaś mnie dzisiaj. Zapamiętam ci na zawsze to, czego dokonałaś. Widzę przed nami świetlaną przyszłość – oznajmił.

Jedyne światełka, które ja miałam na razie przed oczami, to znicze na moim przyszłym grobie, kiedy Swarożyc zorientuje się, co właśnie robię.

– A spalenie?

– Spalenie... – Z jego głosu zniknęło rozrzewnienie. – Widziałem, co wyczyniałaś. Wyraźnie cię ostrzegałem, żebyś nie szła na cmentarz. Mimo to mnie nie posłuchałaś.

– Naprawdę sądziłaś, że to zrobię?

– Miałem nadzieję, że choć raz posłuchasz dobrej rady.

– To co z tym spaleńcem? Uciekłam... – urwałam. – Nie wiem, co się stało.

– Jeśli chcesz się dowiedzieć, co się stało z twoim kochankiem, to mogę ci powiedzieć, że żyje – wycedził. – Sprytnie to wymyśliłaś z zawołaniem Dzikiego Łowu. Poradzili sobie z moim spaleńcem w kilka chwil.

Odetchnęłam z ulgą. Mieszko był bezpieczny. Teraz, gdy miałam już pewność, mogłam przejść do dalszej części planu dnia.

– Swarożycu... – zaczęłam. – Nie możesz nigdzie iść.

– O czym ty mówisz?

– Wiążę cię. Przywiązuję cię do siebie i tego kręgu, Swarożycu.

45.

Odepchnął mnie od siebie. Poleciałam do tyłu i uderzyłam ciężko o ziemię. Kilka świec potoczyło się i zgasło. Swarozyc rzucił się za mną, ale napotkał niewidzialną ścianę na swojej drodze. Uderzył w nią pięściami.

Udało się. Udało mi się zamknąć w kręgu Swarozycy. Zacisnęłam palce na rękojeści sztyletu i odepchnęłam się stopami do tyłu, żeby nie siedzieć tuż obok boga.

Będę miała siniaki na pośladkach. Zdecydowanie zbyt często ląduję ostatnio na tyłku.

– Coś ty zrobiła? – zapytał.

Głos miał spokojny. Lodowato spokojny. Chyba wolałabym, żeby krzyczał i rzucał się w szaleństwie na otaczającą go klatkę. Gdy był spokojny, sprawiał wrażenie, jakby właśnie coś kombinował.

– Zamknęłam cię w tym kręgu – odpowiedziałam. – Nigdzie nie pójdziesz.

Kopnął w kraciasty koc leżący na ziemi. Materiał odwinął się, ukazując zaschnięte, krwawe rysunki. Symbol ognia, niestety odrobinę krzywy, znajdował się tuż pod jego stopami. Swarozyc na chwilę zamarł w bezruchu, wpatrzony w krzyż słoneczny i otaczające go symbole związania.

Okultyzm pierwsza klasa. Jestem z siebie dumna. Brakuje tylko planszy Quija do zestawu i demonicznej obecności za plecami. Na wszelki wypadek zerknęłam przez ramię, ale na szczęście niczego i nikogo tam nie było.

– Ty... Dlaczego to zrobiłaś? – wydusił zdziwiony.

Ze zdziwieniem odkryłam, że krąg przestał być dźwiękoszczelny. Gdy sama się w nim zamknęłam, ledwie dochodziły do mnie dźwięki z zewnątrz. A teraz wydawało się, że swarny bóg nie ma najmniejszego problemu ze słyszeniem moich słów.

Skandal. Ja zmarłabym w środku z głodu, a co więcej – posikałabym się, bo nikt mnie nie słyszał.

– Nie mogę pozwolić, żebyś zniszczył świat – wyjaśniłam. – Jakby górnolotnie to brzmiało.

Jeszcze raz uderzył pięścią w przeszkodę. Zmrużył oczy, usiłując

dostrzec niewidzialną ścianę.

Z wysiłkiem wstałam i uniosłam sztylet. Bursztyn migał w dyskotekowej ekstazie. Swarozyc w tym czasie uważnie badał granice swojego więzienia. Co jakiś czas uderzał pięścią w inne miejsce. Na szczęście wszędzie krąg był tak samo solidny.

– Czy ty w ogóle zabiłaś Welesa? – zapytał, gdy znowu się ode mnie odwrócił.

– Nie.

Zmarszczył brwi i wbił spojrzenie w ziemię. Milczał. Chyba nie zacnie mi teraz płakać!

– Nic już nie ma. Żadnych krzyków, żadnego szaleństwa. To wszystko było ułudą – powiedział. – Zdradziłaś mnie. Miałaś czelność mnie zdradzić.

Nie wydawał się zdruzgotany, był po prostu wściekły, kiedy usłyszał, jaka była prawda. Umówiłam się tego dnia z Welesem. Poszłam do niego przed ceremonią Dziadów i powiedziałam, jaki mam plan. Obiecałam swojemu ojcu, że zamknę Swarozycyca w więzieniu, jeśli mi pomoże. Zgodził się, bym przecięła jego skórę na ramieniu. Przysiągł także, że będzie udawał, że go zamordowałam.

– Ty miałaś czelność traktować mnie jak pionka na szachownicy. Nawet byś się nie przejął, gdybym dzisiaj zginęła, przyznaj – odparłam.

– To nieprawda. Zabolałoby mnie to, widząca. Jesteś mi bardzo bliska. Przecież już wielokrotnie cię o tym zapewniałem. Jesteś dla mnie ważna, słyszysz? Zawsze chciałem, żebyś została nosicielką mojego ognia.

– Jakoś ci nie wierzę.

– A komu uwierzyłaś? Welesowi? Poszłaś do niego na skargę, gdy tylko wyjawiałem ci moje plany, prawda?

– Poniekąd – przyznałam.

Pokręcił głową w bardzo ludzkim geście niedowierzania.

– Myślałem, że jesteś moja, że razem będziemy rządzić tym światem.

– No to się przeliczyłeś.

– Nadal możemy wziąć w posiadanie świat. Razem. Wystarczy, że mnie wypuścisz – kusił. – Będziemy rządzić wszystkimi. Dam ci wszystko, czego pragniesz.

– Ach, wystarczy, że dasz mi spokój! – zachnęłam się. – Takie głodne kawałki mogłeś opowiadać wszystkim innym widzącym, które przez wieki bałamuciłeś. Ja się nie dam na to złapać.

– Wypuść mnie – poprosił.

– Nie ma mowy. Nie po to cię zamykałam, żeby teraz uwalniać.

Poza tym nie byłam pewna, czym on chce teraz rządzić, skoro Weles ma się świetnie i właśnie grzeje pośladki na tronie w Wyraju.

– Skoro tak... – zaczął.

Poczułam, że robi mi się duszno. Miałam wrażenie, że w pokoju zaczyna kończyć się powietrze. Wciąż mogłam oddychać, ale było to coraz trudniejsze, czułam wyraźny opór przy każdej próbie nabrania powietrza. Otworzyłam usta, ale wiele mi to nie pomogło. Świece zaczęły przygasać, jakby i im brakowało tlenu.

Podeszłam szybko do okna dachowego i szarpnęłam za klamkę. Zamek odskoczył, a ono się uchyliło. Poczułam na policzkach lodowaty powiew wiatru. Jednak wciąż nie mogłam złapać oddechu, jakby coś zaciskało mi krtań i gardło. Złapałam się za szyję.

– Powiedz mi, widząca... co miałoby mnie teraz powstrzymać przed zabiciem cię? – zapytał. – Krąg, który namalowałaś, może i więzi mnie w środku, ale w żadnym razie nie tłumi moich mocy. Chcesz mnie teraz zaatakować tym sztylecikiem? To jest twój plan? Myślisz, że dasz sobie radę? Że dasz radę mnie?

– Uważałeś, że poradzę sobie z Welesem, który przecież jest Czarnobogiem – wydusiłam. – Pozbycie się pomniejszego boga powinno być dużo łatwiejsze.

– Odważna jesteś. Podziwiam tę cechę, ale teraz nie czas na żarty. Już udowodniłaś mi, że umiesz walczyć. Otwórz krąg.

– Nie.

– Otwórz krąg. Dobrze ci radzę.

Poczułam przypływ nadziei. Nie zabije mnie, bo tylko ja mogę go teraz uwolnić i najwyraźniej dobrze o tym wie. Miałam trochę soli w kieszeni spodni. Wystarczy, że ją ponownie rozsypię. Gdy ktoś inny przyjdzie na strych, na przykład Baba Jaga, to może nie być mu tak łatwo przekonać ją do przerwania kręgu.

Swarożyc wiedział, że nie zostanie nowym władcą podziemi. Jeśli wydostanie się z kręgu, zapewne czekała go kara za cały ten plan objęcia władzy, więc będzie się starał zniszczyć i zabić, kogo tylko zdoła. Raczej już mu nie będzie zależało na pozorach.

Opadłam na kolana. Oddychanie stało się już niemal niemożliwe. Przed oczami latały mi czarne plamy.

– Nie... mogę... – wycharczałam.

– Czego nie możesz?

Ukucnął po drugiej stronie. Miał spojrzenie kota, który bawi się swoją ofiarą.

– Nie możesz oddychać? – zasugerował.

– Thhhak...

– Niezbyt przyjemne uczucie, prawda? Tak samo jak zamknięcie w kręgu.

– Pomo... pomocy! – Chciałam krzyknąć, ale mój głos przypominał syk.

– Otwórz krąg, to pozwolę ci oddychać.

– Nnn-ieee!

– Mogę zacząć cię przypalać, kiedy mi się znudzi patrzenie, jak się dusisz – zagroził. – Mogę cię tak dręczyć godzinami.

Upadłam. Sztylet wysunął się z mojej zeszywniałej dłoni. Metal uderzył o deski z głośnym brzękiem, który ja jednak ledwie słyszałam. Czułam się, jakby ktoś przyłożył mi do uszu poduszki. Wszystko było przytłumione. Powoli robiło się nierealne.

Pstryknął palcami. Ucisk na moim gardle zelżał, do płuc dostał się potężny haust powietrza. Rozkaszlałam się.

– Jak to zrobiłaś? – zapytał.

Nie dałam rady odpowiedzieć. Cały czas kaszlałam jak szalona. Przez załzawione oczy zobaczyłam jakieś sylwetki, ale nie byłam w stanie dostrzec żadnych szczegółów. Jeszcze chwila, a bym zemdląca. Pozwolił mi na oddech w ostatnim momencie.

– Zostawcie mnie!

Sylwetki stały się wyraźniejsze, ale wciąż ich nie rozpoznawałam. Dyszałam na podłodze, ciesząc się z dostępu powietrza.

– Jak to zrobiłaś?! Jak je zawołałaś?! – W głosie Swarożyca pojawiła się panika.

– Kogo? – wysapałam.

Złapałam za sztylet, a drugą ręką przetarłam twarz. Gdy już odzyskałam zdolność widzenia, zorientowałam się, że na strychu zrobiło się nagle bardzo, ale to bardzo tłoczno. Dookoła kręgu stały kobiety. Chociaż powiedzenie, że stały, to pewne nadużycie, ponieważ jak przystało na dziady unosiły się w powietrzu. Ich stopy, niektóre w butach, inne zaś bose, wisały sobie bez troski nad płomykami świec. Większość była młoda, a także całkiem ładna. Stroje, które miały na sobie, stanowiły prawdziwy przegląd mody panującej na naszych ziemiach przez ostatnie tysiąclecia.

Pracownik jakiegokolwiek muzeum w Królestwie popłakałby się ze szczęścia, gdyby mógł na nie popatrzeć chociaż przez chwilę.

Natomiast według mnie widok był naprawdę upiorny. Chociaż zdołałam znaleźć jedną zaletę tego nieoczekiwanego zgromadzenia. Uwaga kobiet w żadnym razie nie była skierowana na mnie. Wszystkie wbijały swoje przenikliwe i jawnie wściekłe spojrzenia w Swarożyca.

Bóg ognia miotał się we wnętrzu kręgu. Co chwilę odwracał się w inną stronę.

– Jak to zrobiłaś?! – znowu krzyknął.

– Ja... nie wiem – odpowiedziałam zgodnie z prawdą. – To nie ja! Nie mam z tym nic wspólnego!

Podniosłam się na nogi i odetchnęłam pełną piersią. Dotknęłam brzucha. Bogowie, moje dziecko ma naprawdę bardzo ciężkie początki.

Rozejrzałam się po otaczających nas kobietach. Nie odzywały się. Wisiały nieruchomo w powietrzu, tuż nad drgającymi płomieniami świeczek.

– Kim one są? – zapytałam Swarożyca.

Nie odpowiedział. Wciąż wodził po nich szalonym wzrokiem. Bał się. Ta konkluzja bardzo mnie zaskoczyła. Nie sądziłam, że on w ogóle potrafi się bać. Za to teraz wyraźnie widziałam panikę, która zaciskała na nim coraz mocniej swoje ostre zębiska. To naprawdę bardzo miły widok.

Jeden z dziadów zbliżył się do mnie. Na wszystkich bogów, to ich unoszenie się w powietrzu jest upiorne. Kobięcina nie mogła być zbyt wysoka za życia, bo nawet machając stopami w powietrzu, sięgała mi ledwie do brody. Chyba zirytował ją fakt różnicy wzrostu, bo uniosła się wyżej, żebyśmy miały oczy na tej samej wysokości.

– Witoj – powiedziała.

– Eee... witoj – odparłam.

Wyglądała jakoś podejrzanie znajomo. Miała rumiane, okrągłe poliki i uroczy uśmiech. Gruby, czarny warkocz opadał jej na jedno ramię. W tych oczach okolonych wianuszkami rzęs można było zatonać. Gdzieś musiałam już ją widzieć, jednak za nic nie potrafiłam sobie przypomnieć, kiedy to mogło być.

– Czy my się znamy? – zapytałam. – Skądś chyba panią kojarzę.

– Nazywajom mię Radomiła – oświadczyła.

– Nie, niestety nic mi to nie mówi.

– Nie? – zdziwiła się. – No tak, tak. Kiedy jescem zyła, ci, co to ja się

nimi opiekowałam, zwali mię babcia, babą, babuską.

Klapka w mojej głowie zaskoczyła.

– Pani jest babcia Jarogniewy?! – zawołałam.

Zawsze wyobrażałam ją sobie jako zgiętą starością babuleńkę, która zgodnie z opowieściami Jagi, pracując do samego końca, zasnęła na zawsze w chatce po drugiej stronie ulicy. Teraz zaczęłam dostrzegać podobieństwo pomiędzy nią a moją mentorką. Jaga na swoich zdjęciach z młodości była nieomal identyczna.

– Ta! To wnusia moja. Słyszałam, że ucyłaś się z mojego zesycika.

– Był bardzo pomocny – przyznałam.

– No, ale takich zaklencionek to tam nie było. – Wskazała palcem na podłogę pomazaną krwią i trzęsącego się ze złości, albo strachu, boga.

– A nie było – zgodziłam się. – To Jarogniewa je wymyśliła i dopisała do zeszytu.

– Tą dziewczuchę to licho kiedy porwie za te jej salone pomyslunki. – Pokręciła głową z dezaprobatą.

– Nie da jej rady! – zaoponowałam.

– Gosia! Wypuść mnie! Wypuść mnie natychmiast – wrzasnął Swarozyc, przerywając nam uroczą pogawędkę.

– Dobrze, to tera my go psytsymamy wsytskie, a ty zrobis to, co tseba – oświadczyła babcia.

Sztylet Juraty zaciążył mi w dłoni. Słowa Dadźboga po raz kolejny rozbrzmiały w mojej głowie: „Człowiek, który ma serce z kamienia, może zadać ostatni cios. Czerń, odbicie bieli, na zawsze pozostanie czernią, nie oświecili jej najsilniejszy płomień. Serca z kamienia nie zdoła ogrzać największy żar”. Jeśli dobrze je rozumiałam, to sztylet był zabójczy dla Swarozycy. Wydaje mi się także, że dość jasno bóg słońca usiłował mi przekazać, że jego brat nie może zasiąść na tronie w świecie podziemnym.

A ja jako śmiertelniczka z sercem z kamienia miałam wykonać na nim wyrok śmierci. O czym bogowie najwyraźniej już od dawna wiedzieli i co planowali. Weles przystał na mój plan i pozwolił mi się zranić nie tylko dlatego, że obiecałam, iż zamknę Swarozycy w pułapce. Obiecałam, że wykorzystam sztylet przeciwko swarnemu bogu.

Tylko że ja wcale nie miałam ochoty nikogo zabijać. Nie podobało mi się, że wszyscy tego ode mnie oczekują.

– Zaraz, zaraz – zaprotestowałam. – Chwileczkę.

Wciąż miałam nadzieję, że jeszcze jakoś zdołam się z tego wyplatać.

Chociaż fakt, że Weles przysłał mi na pomoc dziady z zaświatów, dość jasno wskazywał, że raczej zmusi mnie do wykonania egzekucji.

– Co takie łocy robi? Psecie sama za słaba i sobie nie poradzi. Chude to takie i zabiedzone. Nic chyba nie je. My pomozemy. Carnolicy bóg kazoł nam pomóc, to my psysły. My wsyskie mamy z nim swoje rachunecki do wyrównania – wyjaśniła.

– Jak to? Jakie rachunki? Kim wy w ogóle jesteście?

– Dziewecko, my wsyskie jesteśmy nosicieleckami jego łogienka.

Spojrzałam na Swarozyca, a potem na zgromadzone dookoła kobiety. To wszystko są jego dziewczyny?

Babcia też?!

– I tak wsyskie nie psysły – dodała, czytając mi chyba w myślach. – Cęść to upiry strasne, ze ho! Dobrze ze nie psysły. Kłopoty by tylko były.

– Faktycznie dobrze – zgodziłam się.

– To co? My tsymamy. A ty go stylecikiem!

Swarozyc posłał mi pełne paniki spojrzenie. Dotknął niewidzialnej ściany.

– Gosiu, Gosiu, błagam cię, wypuść mnie! Zrobię wszystko, co mi każesz. Zniknę z twojego życia! Nie pojawię się nigdy więcej. Tylko mnie wypuść! Wypuść mnie!!! – zawołał.

Kobiety, które przyszły mi na pomoc, popłynęły w powietrzu w jego stronę. Nic sobie nie robiły z mojego kręgu. Ich postacie lekko migotały, gdy przechodziły przez jego granice, ale wydawało się, że nie ma na nie większego wpływu.

– Bois się? – zapytała mnie babcia.

– Trochę.

– Nie bój się. Ja ci pomogę.

Zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, złapała mnie za prawą dłoń. Jej palce przeniknęły przez moją skórę i objęły rękojeść sztyletu. Spróbowałam poruszyć ręką, ale nie mogłam. Babcia trzymała bardzo mocno. Pociągnęła mnie w stronę kręgu. O mało nie przewróciłam się, kiedy szarpnęła.

– No dalej, dalej. To chwilecka tylko będzie – zapewniła.

– Zaraz! Zaraz! – zaprotestowałam, ale ona ani myślała mnie puścić.

Opętała mnie, na wszytkich bogów!

– Ja wiem, że to trudne. My wsytkie to wiemy. Tseba wielu, wielu lat, żeby mieć tyle złości. My tyle mamy. Carnolicy bóg pozwolił nam ją zatsymać. Obiecoł już dawno, dawno temu, że będziemy mogły go

sksywdzić.

Dziady dopadły Swarożycza. Usiłował się wyrwać, ale nie mógł sobie z nimi poradzić, tak jak ja miotałam się w uścisku babci Jarogniewy. Dziesiątki kobiecych dłoni złapały boga za kończyny, klatkę piersiową oraz za szyję. Wywracał jak szalony oczami, ale nie mógł nawet poruszyć głową.

– Zostawcie mnie! Zostawcie! – wył przerażony. – Spalę was wszystkie! Znajdę was i zniszczę! Zostawcie mnie!

Przekroczyłam krąg. Kobiety rozstąpiły się przede mną. Radomiła pchnęła mnie mocno w plecy, żebym znalazła się dokładnie naprzeciwko boga.

– Gosiu, wypuść mnie. Wypuść mnie z tego kręgu! Natychmiast. Dam ci wszystko, czego pragniesz! Zostaniesz boginią! Obiecuję ci!

– A teraz stylecikiem go. Nie słuchoj kłamstewek – poradziła babcia.

– Swarożyczu – wyszeptalam.

– Nie! Nie!!! – wrzasnął.

Buchnęły płomienie. Chyba chciał mnie zamienić w poczerniałą skwarę, ale na szczęście otoczyły mnie dusze jego poprzednich wybranek. Ogień mnie nie dosięgnął. Wchłonęły go w siebie.

– Przeklinam was! – wycharczał. – Przeklinam was wszystkie!

– Już dawno to zrobiłeś – powiedziała jakaś kobieta.

– Przekląłeś nas w chwili, gdy twoje ręce i usta po raz pierwszy nas dotknęły – dodała druga.

– Nadszedł czas, żebyś spłacił wszystkie rachunki.

– Za nas!

– Za mnie!

– Za nasze rodziny!

Chciałam zamknąć oczy. Bardzo chciałam to zrobić. A jednak nie byłam w stanie odwrócić spojrzenia. Dusze nie mogły nikogo skrzywdzić. Mogły poruszać przedmiotami, ale nie mogły bezpośrednio przyczynić się do czyjejś krzywdy. Dlatego musiały wszystko przeprowadzić moimi rękami.

Kolejne dłonie zaczęły obejmować moje zaciśnięte na rękoności palce. Chyba nawet bogowie nie byliby w stanie uwolnić mnie z ich uścisku.

– Swarożyczu. Przepraszam – zdążyłam jeszcze powiedzieć.

– Kochałem was – odparł.

Ostrze wbiło się w jego klatkę piersiową. Bez trudu wślizgnęło się między żebra i dosięgnęło serca. Skóra i mięśnie nie stanowiły żadnej przeszkody dla, zdawałoby się, kompletnie tępego sztyletu.

Nagle dłonie przytrzymujące boga oraz moją dłoń zniknęły. Przestraszona, od razu puściłam rękę. Swarozyc oparł się plecami o niewidzialną ścianę i osunął na ziemię. Położył dłonie na swoich piersiach, po obu stronach ostrza, ale go nie wyciągnął.

– Gosia... – szepnął.

Skóra Swarozycy zrobiła się kredowobiała. Świecący jednostajnym, żółtym światłem bursztyn pogłębił jej niezdrowy wygląd. Osa zaklęta w kamiennym sercu jak szalona machała błoniastymi skrzydełkami.

Ukucnęłam obok niego.

– Umieram? Ja mogę umrzeć? – zapytał.

– Chyba każdy może umrzeć, Swarozycu – odpowiedziałam.

– Nie chcę zniknąć. Nigdzie mnie już nie będzie.

– Zostaniesz w moich wspomnieniach – zapewniłam go, chociaż osobiście wydawało mi się to mało przekonujące.

– Dobrze. Wspominaj mnie. Jeśli się w coś wierzy, to wtedy to istnieje. – Złapał mnie za rękę. – Gosia. Chaos. Czy teraz będzie chaos?

Szczerze mówiąc, nie byłam o tym przekonana. Bogowie już dawno zaplanowali, że się go pozbędą. Na pewno mieli jakiś pomysł, co zrobić, żeby rzezonego chaosu było jak najmniej.

– Pewnie tak – starałam się go uspokoić.

– Byłabyś doskonałą strażniczką mojego ognia...

Coraz trudniej było mu wypowiadać słowa. Robiły się niewyraźne, bełkotliwe. Jego czarne oczy poszarzały. Gasły.

– Pocałuj mnie – zażądał. – Obiecałaś.

– Obiecałam.

Poczułam, jak po policzkach płyną mi łzy. Nienawidziłam Swarozycy, ale nie na tyle mocno, żeby zabijać go z zimną krwią. Pochyliłam się i pocałowałam go w usta. Były już lodowate.

Swarozyc odetchnął. Dym, który wychynał z jego trzewi, wlał mi się do ust. Cofnęłam się i zakasłałam.

Przestał się ruszać. Jego oczy były białe.

Bursztyn zgasł.

Mnie za to zaczął palić ogień.

Przez okna na strychu wpadły pierwsze promienie wstającego słońca. Sunęły leniwie po podłodze, jakby Dadźbóg w ogóle się nie spieszył z rozpoczęciem nowego dnia. Świece zaczęły po kolei gasnąć, gdy tylko muskało je światło. W powietrzu zamigotały drobinki kurzu.

Ja jednak nie miałam czasu podziwiać tego jakże pięknego zjawiska, ponieważ leżałam na podłodze, zwijając się z bólu. Całe moje podbrzusze palił ogień. Miałam wrażenie, że płomienie trawią mnie od środka. Swarozyc! To on mi to zrobił! Coś mi zrobił!

Bogowie! Ja chyba ronię! Nie! Nie! NIE!!! Moje dziecko!

– Widząca.

– Pomocy! – wystękałam pomiędzy jednym skurczem a kolejnym.

Nagle ból zniknął. Odetchnęłam, ale wciąż trzymałam się za podbrzusze. Bałam się poruszyć. Nie chciałam, żeby ból wrócił. Leżałam na podłodze sparaliżowana strachem.

– Moje dziecko – wyszeptałam. – Moje dziecko! Coś się dzieje z moim dzieckiem!

– Wszystko jest dobrze.

– Bolało!

– Ból już nie wróci. Możesz wstać.

Oczywiście nie uwierzyłam od razu. Na wszelki wypadek poleżałam jeszcze chwilę. Jak przystało na hipochondryka i panikarę, wsłuchałam się uważnie we własne ciało, pogłaskałam po brzuchu, sprawdziłam sobie tętno i nie dochodząc do żadnych niepokojących wniosków, dopiero wtedy usiadłam.

Tętno podskoczyło mi od razu, gdy tylko spojrzałam na ciało Swarozycy. Opierał się wciąż o niewidzialną ścianę za swoimi plecami. Głowa opadła mu na pierś, dzięki czemu nie musiałam już patrzeć w jego pokryte bielmem oczy.

Zabiłam boga. Naprawdę to zrobiłam. Pomogło mi w tym co prawda kilkadziesiąt rozwścieczonych kobiet, ale winą i tak spadała wyłącznie na mnie.

– Widząca?

Drgnęłam.

– Ja... – urwałam.

Nie wiedziałam, co powinnam powiedzieć. Co się mówi tuż po morderstwie? Obok mnie stali Weles i Świątowit. Patrzyli na mnie spokojnie, nie popędzali. Skoro Weles jest Czarnobogiem, to pewnie Świątowit to Białobóg. Nie byli zbyt do siebie podobni, jeśli legenda o wykluciu się z jednego jajka była prawdą.

– Udało ci się – oświadczył Weles. – Twój czyn wymagał co prawda naszej pomocy, ale ci się udało. Dobrze, bardzo dobrze.

Świątowit w milczeniu pokiwał głową.

Odetchnęłam. Nie miałam siły, żeby wstać, chociaż pewnie wypadało to zrobić w ich obecności. Najchętniej położyłabym się do łóżka, przykryła kołdrą na głowę i udawała, że to wszystko nie miało w ogóle miejsca.

– Co teraz będzie? – zapytałam.

– Teraz wreszcie wszystko wróci do pierwotnej równowagi.

– Nie rozumiem.

– Swarozyc zagrażał nam wszystkim. Jego czas się skończył – powiedział Czarnobóg.

Bóg podziemi podszedł do nieruchomego ciała. Gdy mnie mijał, zauważyłam, że na jego ramieniu nie było już nawet śladu po ranie, którą mu zadałam. Kiedy tylko dotknął ściany kręgu, ta znikła, a krwiste znaki na podłodze zamieniły się w popiół. Swarozyc opadł bezwładnie na plecy. Jego głowa uderzyła z głuchym hukiem o deski. Od razu zerwałam się na równe nogi i wycofałam. Byle dalej od niego. Bałam się, że wstanie z martwych jak spaleniec.

– Jak może teraz zapanować równowaga, skoro jeden z bogów nie żyje? – Spojrzałam na Świątowita.

Uśmiechnął się do mnie, ale nadal nic nie mówił. Weles sięgnął po sztylet Juraty. Złapał za rękojeść i wyciągnął ją z głośnym mlaśnięciem z piersi boga. Krew zaczęła skapywać z ostrza. Wstał i odwrócił się w moją stronę, całkowicie tracąc zainteresowanie Swarozycem. Strzepnął krew z ostrza.

– Ależ wszyscy bogowie mają się znakomicie – oznajmił.

– Jak to? Stworzyliście już nowego boga ognia? – Widząca, która tak mało widzi... – Zacmokał.

Zirytowałam się. Nie miałam siły na żadne dalsze dyskusje ani na tłumaczenia za pomocą półsłówki, które najwyraźniej wszyscy bogowie

uwielbiają.

– Więc mnie oświeć – odwarknęłam.

Weles podszedł do mnie. Czarne oczy boga wydawały się lodowate. Uśmiechał się, ale na jego twarzy w żadnym razie nie było widać radości.

– Zawsze spełniam dane obietnice – powiedział. – Dawno temu obiecałem twojej matce, że zdejmę klątwę z twojej rodziny.

– No wiem...

Wyciągnął w moją stronę rękę bez sztyletu. Ledwie powstrzymałam się przed odskoczeniem albo chociażby wzdrygnięciem z obrzydzenia, gdy dotknął mojego brzucha.

– Nosisz w swoim łonie syna.

– Syna? – wydusiłam. – Nie córkę?!

– Syna.

Czyli klątwa faktycznie została złamana. Przecież syn nie miał prawa się urodzić! Nie w mojej rodzinie!

– A co z dwiema duszami? Ciągłe mam jedną, nadprogramową? Gdy umrę, to zamienię się w strzygę? – dopytałam.

– Nie, nie zamienisz się w strzygę. Jedna twoja dusza umarła razem z nim. – Wskazał na zwłoki Swarożycy. – Była związana ze Swarożycem.

Wciąż nie zdejmował dłoni z mojego brzucha. Zaczęło się robić niezręcznie.

– Ludzie wciąż wierzą w Swarożycy, czczą jego imię i będą je czcić. Dlatego bóg ognia zawsze będzie istniał – dodał.

Coraz mniej mi się to podobało.

Świętowit ruszył w naszą stronę. Wyglądał o wiele sympatyczniej od boga podziemi. Miał białą, skołtunioną brodę i uspokajające spojrzenie. Jedyne ubranie bezdomnego i gołe stopy psuły wizerunek dobrotliwego dziadka. On także wyciągnął dłoń i położył ją na moim podbrzuszu.

Teraz to się dopiero zrobiło niezręcznie!

– Syn – zgodził się Świętowit. – Silny chłopak. Czuję go.

– Nadal się nie domyślasz, widząca? – zadrwił Weles.

– Nie, *tato*, nie domyślam się. Najwyraźniej musisz to powiedzieć głośno. Zmrużył lekko oczy.

– Moc kwiatu paproci została przelana. Z mężczyzny, który spłodził to dziecko, i z kobiety, która była jego naczyniem – wyjaśnił.

Kolejne elementy puzzli wpadały na swoje miejsca. Coraz gorzej gojące się rany Mieszka idealnie wpasowywały się w scenariusz, w którym jego

nieśmiertelność powoli się wyczerpywała, a raczej przeciekała gdzieś indziej. Ja ciągle się goiłam, ale u mnie kwiat aktywował się stosunkowo niedawno. Dopiero podczas ostatniego dźgnięcia w brzuch. W takim razie pewnie jego siła będzie słabła trochę później.

– Czyli teraz nasze dziecko jest przeklęte? – zapytałam. – Teraz nasz syn będzie nieśmiertelny?

– Już jest. Wasz syn jest bogiem – odpowiedział Czarnobóg.

– Bogiem? – jęknęłam.

– To nowy bóg ognia – powiedział Świętowit. – Wychowaj go dobrze. Wiele od ciebie będzie zależało.

– Zaraz! Zaraz! Nie zgadzam się! Nie zrobicie z mojego dziecka żadnego boga! Nie pozwalam wam!

Odepchnęłam ich dłonie i cofnęłam się, obejmując brzuch. Wydawali się obrażeni moim zachowaniem. I dobrze! Wplątują mnie wbrew woli w takie kłopoty, zmuszają, żebym swoimi dłońmi zabiła boga, a teraz jeszcze oświadczenia, że mam jednego wychować? A niech czują się obrażeni! Jak dla mnie mogą wręcz obrazić się śmiertelnie i więcej mi się na oczy nie pokazywać!

– Mokosz będzie ci pomagać – usiłował mnie pocieszyć Białobóg.

Przed oczami stanęła mi wychudzona wariatka, która zaglądała mi przez okna. Dziękuję serdecznie za taką cioteczkę!

– Nie zgadzam się! – wykrzyknęłam.

– Nie masz zbyt wielkiego wyboru – poinformował mnie lodowatym tonem Weles. – Dola twojego syna została już dawno temu zapleciona przez Rodzanice.

– Trzy upiry ze sznurkiem nie będą decydować o losie mojego dziecka! – prychnęłam.

– Rodzanice nie są upirami – wysyczał Weles.

Ubodłam go swoim komentarzem, bo według boskiej genealogii były jego wnuczkami. Niemniej nie obchodziły mnie w tym momencie jego uczucia. Zajmowały mnie teraz wyłącznie moje własne.

– To była ciężka noc. Wydaje mi się, że widzająca powinna odpocząć. Jej ogląd całej sytuacji może być zniekształcony widmem ostatnich wydarzeń – wtrącił ugodowo Świętowit.

– Tworzenie ludzi z gliny i śliny było znacznie prostsze – skwitował jeszcze Weles.

A następnie zniknęli. Obaj zniknęli, rozpląnawszy się w powietrzu.

Zostawili mnie z trupem na podłodze i bogiem w brzuchu. Nic więcej nie dodali, nawet zwykłego przepraszam.

Cholera mnie zaraz strzeli.

W tym momencie drzwi strychu stanęły otworem. Do środka wpadł zakrwawiony Mieszko.

Półtora miesiąca później

Szczodre Gody były wyjątkowo malownicze w tym roku. Całe Bieliny przykrywała gruba warstwa bielutkiego śniegu. Codziennie padało go na tyle dużo, żeby przykryć rozjechaną przez samochody warstwę z poprzedniego dnia, ale jednocześnie na tyle mało, żeby nie powodować zbyt dużych problemów komunikacyjnych. Mróz, który chwycił po początkowym ociepleniu, zamienił drzewa, płoty i rynny w lodowe rzeźby.

Bieliny spokojnie mogłyby służyć za tło do baśni.

Mieszko stał przede mną w swobodnej pozie. Miał na sobie nową koszulę, którą sama mu kupiłam. Była biała, wzdłuż stójki oraz na piersi ozdobiono ją krajką z niebieskiej i granatowej nitki. Bardzo szykowna i elegancka. Poza tym jak zwykle założył skórzane spodnie, w których wyglądał wyjątkowo zgrabnie.

Westchnęłam z lubością. Przystojny mi się trafił ten narzeczony, nie ma co!

Na szczęście wszystkie sińce i zadrapania sprzed półtora miesiąca zniknęły już z jego twarzy. Całkiem nieźle dał sobie radę ze spaleniem. Jednak gdyby Dziki Łów nie przybył mu na pomoc, upir najprawdopodobniej pokonałby go. Człowiek, nawet potencjalnie nieśmiertelny, nie ma szans z płonąącym zombi.

Mieszko opowiedział mi, że myśliwi zagonili spalenca na gołoborze, a tam atakowali go tak długo, aż całkiem się wypalił w małym wybuchu złości. Obserwował to, bo chciał mieć pewność, że Witek na pewno zginie.

Gdy stał na brzegu cmentarza, podszedł do niego Matwiej. Ataman przedstawił mu się uprzejmie, a następnie poradził, żeby Mieszko trzymał się ode mnie z daleka, bo jestem: „tfu, wiedźmą!”. Bogom dzięki, Mieszko nie miał zamiaru go posłuchać. Gdy tylko spalenie wyzionął ducha, zaczął mnie szukać.

Trochę mu zajęło, zanim dotarł do domu Jagi. Początkowo skupił się na przetrząsaniu lasu, pobiegł do naszej nieistniejącej chatki, w międzyczasie znalazł Nixa błakającego się po puszczy. Koń, jak się okazało, ma najwięcej

rozumu z nas wszystkich i gdy tylko poczuł obecność spaleńca, zerwał się i uciekł gdzie pieprz rośnie.

Już na Niksie Mieszko przyjechał do Bielin, żeby mnie znaleźć. Podobno drogę ostatecznie wskazała mu wychudzona kobieta z gołymi stopami i szalonym spojrzeniem mająca coś o dziecku. Nie przedstawiła się zdenerwowanemu Mieszkowi, ale można się łatwo domyślić, kim była.

Później za wiele się już nie wydarzyło. Mieszko był oczywiście wstrząśnięty informacją, którą przekazali mi Weles i Świętowit. Jednak radość z widoku martwego Swarozycy, a także z wiadomości, że już nie będzie nieśmiertelny, a ja w brzuchu noszę jego syna, przyćmiła wszelkie wątpliwości i smutki.

Wątpliwości i smutki zostawił mnie, bo oczywiście ja się teraz cały czas zamartwiam, że w mojej macicy właśnie dorasta bóg ognia i tylko patrzeć, jak zacznie mnie przypalać od środka. Poza tym nie wyobrażam sobie wychowywania dziecka, które nawet bez zapalek może ci podpalić chałupę.

Teraz jednak nie było czasu na żadne zmartwienia. Dzisiaj, w wigilię Szczodrych Godów, miał się rozpocząć zupełnie nowy okres naszego życia. Dodatkowym bonusem był fakt, że bogowie dali nam święty spokój. Od wydarzeń w trakcie Dziadów nie widziałam żadnego z nich.

To miła odmiana.

– Gosiu, o czym myślisz? – zapytał cicho Mieszko.

– O niczym.

– Znowu się martwisz! – odpowiedział sam sobie.

– Nie zaprzeczę.

Przyciągnął mnie do siebie i pocałował. Po świątyni rozszedł się szmer komentarzy i śmiech. Wiekowy kapłan, stojący tuż obok nas, odchrząknął zakłopotany i teatralnym szeptem oznajmił:

– To jeszcze nie ta chwila!

Tłumiąc chichot, odsunęliśmy się od siebie. Spojrzałam na wnętrze świątyni, której budowę zapoczątkował Witek. Budynek pachniał świeżym drewnem. Pobielone ściany, przystrojone wieńcami z iglaków oraz wiszące u powały kolorowe łańcuchy wykonane przez kółko gospodyń wiejskich sprawiały, że wyraźnie było czuć atmosferę świąt. Dodatkowo, tuż nad naszymi głowami wisiała podłazniczka ozdobiona suszonymi owocami i kolorowymi koralikami.

– Moi drodzy! – zaczął kapłan. – Proszę o ciszę!

Pogłaskał się po równo przystrzyżonej, czystej brodzie. Wydawał się bardzo zadowolony. Razem z nim spojrzeliśmy na zgromadzony w świątyni tłum. Przyszło całkiem sporo osób, chociaż zupełnie się tego nie spodziewaliśmy. Wydawało się nam, że Szczodre Gody każdy będzie wolał spędzić we własnym domu, na świątecznej wieczerzy. A jednak specjalnie dla nas wystrojeni świątecznie mieszkańcy Bielin, porzucili swoje barszcze i bigosy, opuścili ciepłe domy i przyszedli do świątyni.

Poza mieszkańcami była oczywiście też moja mama, już zapłakana. Nawet nie wytrzymała do początku uroczystości. Jaga klepała ją po ramieniu i podawała chusteczki. Za nimi stało jeszcze kilka szeptuch i kapłanów z okolicznych miasteczek i wsi. Z drugiej strony stała natomiast Sława, a także kilka boginek, które kojarzyłam z widzenia. Daleko w cieniu, za wszystkimi, pod samą ścianą, majaczyły także trzy sylwetki skryte w cieniu. Na szczęście postanowili się nie wychylać.

Kiedy pokazałam ich chwilę wcześniej Mieszkowi, powiedział:

– Może to dobry znak, że przyszedli do nas bogowie.

Ja w to wątpiłam. Nie wiem, czemu Czarnobóg, Białobóg i Mokosz, która wyjątkowo tego dnia się uczesała i doprowadziła do porządku, przybyli. Jednak jakoś mi się nie wydaje, że zrobili to tylko po to, żeby złożyć nam gratulacje. Położyłam dłonie na brzuchu. Nie musiałam się już kryć ze swoją ciążą. Wszyscy chyba już o niej wiedzieli. Poprawiłam materiał, ozdobionej kremową koronką sukni, który lekko się wybrzuszał na wysokości mojego pępka.

Żerca, który zgodził się udzielić nam swańby, chrząknął jeszcze raz i powiedział:

– Moi drodzy! Bardzo cieszy mnie tak liczna obecność wiernych w tej pięknej świątyni. Jednakże okoliczność także jest piękna, i to nie tylko z powodu przypadających dzisiaj Szczodrych Godów.

Tłum zaszemrał w odpowiedzi.

– Witajcie raz jeszcze, goście weselni! – gromko zawołał kapłan. – Witajcie, państwo młodzi, witamy was chlebem i solą. Poproszę teraz swacha i swachę o założenie młodym wieńców weselnych.

W roli naszych swachów, którzy mieli poświadczyć całą ceremonię, wystąpili do przodu szeptucha z Nowej Huty i wróż z Górna. Nałożyli nam na głowy wieńce wykonane ze świerku i jemioly, przystrojone kolorowymi wstążkami.

Podziękowaliśmy im. Nie wiem, jak ja prezentowałam się w wianku, ale

Mieszkowi było w nim do twarzy. Nagle błysnął flesz. Naszym fotografem postanowiła zostać Sława. Nie miała za grosz wyrzutów sumienia, że będzie nas oślepić.

Chociaż może to i dobrze. Przynajmniej zobaczę później, jak wyglądałam.

– Swaćba to związek między kobietą a mężczyzną. Więż, która połączy wasze dusze na zawsze, więż, którą ustanowili bogowie – ogłosił żerca. – Dzisiejsza swaćba jest tym bardziej uroczysta, bo oto w związek małżeński wejdzie dwójka młodych ludzi obdarzonych boską łaską.

Ledwie powstrzymałam się przed prychnięciem na tę „boską łaskę”. Kilka osób zaczęło bić brawa. Bogowie, których obserwowałam kątem oka, pokiwali gorliwie głowami. Najwyraźniej się poczuwali. Jarogniewa przestała już klepać moją mamę po ramieniu. Płakała razem z nią.

Ja też się wzruszyłam. Nagle wszystko złe, co nam się do tej pory przydarzyło, przestało mieć znaczenie. Byliśmy razem. Żyliśmy. Niebawem na świat przyjdzie nasz syn. Poczułam, jak w oczach zbierają mi się łzy.

Udało się. Wszystko się udało.

– Będę miał zaszczyt związać swaćbą Gosławę, z domu Brzózka, od nowego roku piastującą stanowisko szeptuchy we wsi Bieliny, oraz Mieszka Pierwszego, mianowanego żercą wsi Bieliny. Niech im się darzy!

Koniec

Epilog

Służka biegła przez bagno, rozchlapując wodę. Mokre zacieki pokryły jej jasne spodnie. Zwinnie wskoczyła na miękką ziemię, z której wychylały się korzenie drzewa kosmicznego.

Na potężnym tronie siedział znudzony Weles. Rytmicznie stukał palcami w podłokietnik, nie zważając na obrażony szum drzewa.

– Panie! – wydusiła i padła na kolana.

– Mów – nakazał ochrypłym głosem.

Dawno się nie odzywał. Służka skrzywiła się boleśnie na ten dźwięk, ale gdy podniosła głowę, na jej twarzy malował się tylko uprzejmy uśmiech. Bała się boga. Nie chciała go zdenerwować.

– Panie. Urodził się.

– Dobrze. Teraz musimy tylko poczekać – odparł.

Puszcza pachniała budzącą się wiosną. Zielone liście wychylały się do słońca, pierwsze kwiaty pokryły grubym kobiercem połacie trawy.

Leszy szedł ciężkim krokiem. Minione wieki coraz mocniej odciskały się na jego sylwetce. Stawał się coraz wolniejszy, stawy zginały się z wyraźnym trudem. Stanął pod świętym dębem. Dłuższą chwilę starał się ukucnąć. W końcu padł na kolana, które zatrzeszczały jak stare gałęzie.

Uniósł głowę w stronę białego gołębia siedzącego w koronie drzewa.

– Panie, doniesiono mi, że właśnie się urodził – oznajmił.

Gołąb zagruchał, a następnie odleciał w stronę słońca.

Podziękowania

Dwa ostatnie lata, podczas których pisałam cykl *Kwiat paproci*, były dla mnie prawdziwą przygodą. Poznałam niesamowitych ludzi, zjeździłam Polskę wzdłuż i wszerz, a także dowiedziałam się wielu ciekawych rzeczy, które mogłam później wykorzystać w swoich tekstach. Ten okres był dla mnie bardzo pracowity, często pełen wyrzeczeń, ale jednocześnie niezwykle satysfakcjonujący. Nawet nie zauważyłam, kiedy te dwa lata minęły!

Chciałam, by moi bohaterowie stali się ludźmi z krwi i kości. Często łapałam się na tym, że w zwykłym, codziennym życiu zastanawiałam się, co by zrobiła Gosia albo co by powiedziała Baba Jaga. Chyba już na stałe do mojego słownika weszło pełne oburzenia powiedzenie: „O bogowie...!”. A za każdym razem, gdy w mieszkaniu przepala się żarówka, zastanawiam się, co tym razem spsociły ubożęta i czy przypadkiem nie przegapiłam jakiejś wiadomości od Swaróżyca.

Nie wiem, jak poradzę sobie teraz z pisaniem innych powieści. *Kwiat paproci* już zawsze pozostanie w moim sercu. Myślałam, że napisałam już za dużo książek w swoim życiu, żeby to tak przeżywać, ale zdradzę Wam, że gdy postawiłam ostatnią kropkę i napisałam słowo „koniec”, to się naprawdę wzruszyłam. Będę tęsknić za bohaterami tej opowieści.

A teraz, po ckliwych pożegnaniach, czas na oficjalne podziękowania!

Przede wszystkim dziękuję mojemu Mężowi. Janku, wspierałeś mnie każdego dnia, tylko Ty wiesz, jak trudno jest wytrzymać z pisarką histeryzującą, że zbliża się termin oddania powieści, a ona nie wie, co pisać. Udowodniłeś, że gdy zawodzi mnie wyobraźnia, mogę zdać się na Ciebie. To mój cudowny Mąż stworzył większość rymowanych zaklęć pojawiających się w *Przesileniu*, a także wyposażył atamana Matwieja w zabawki z dzieciństwa: drewniany miecz Rusałczy Bałamutnik oraz w tajemniczą Byczką Chuć (konia z rzędem temu, kto wpadnie na pomysł, o co mogło chodzić Matwiejowi!).

Dziękuję także Mamie Barbarze oraz Babci Mirosławie. Byłyście przy mnie, gdy Was najbardziej potrzebowałam. Znosiłyście moje kryzysy twórcze i ataki euforii, gdy wpadałam na nowe pomysły. Kochana Mamo,

dziękuję, że czytasz każdy mój maszynopis i doradzasz, co mogłabym poprawić.

Słowa podziękowania należą się także mojej szwagierce – Gosi Zając. Dziękuję, że jesteś jedną z pierwszych recenzentek. Specjalnie dla Ciebie dodałam opis sukni ślubnej Gosławy!

Dziękuję również całej Rodzinie Zająców. Moim teściom: Renacie i Piotrowi oraz drugiej szwagierce Zuzi Zając dziękuję za pomoc przy opisywaniu piękna okolic Bielin, za zbieranie ziół w ogródku i wspólne spacerowanie po lesie.

Babci Tosi i Dziadkowi Tadeuszowi Obarom dziękuję za bielińskie opowieści oraz szeptuchowe nalewki. Dziadku Tadeuszu, Twoja historia o kaloszu zaginionym w bagnie pod lasem znalazła odbicie w moich mokradłach rozciągających się w zaświatach.

Ten cykl nie powstałby także bez zaangażowania cudownych osób pracujących w Wydawnictwie W.A.B. *Przesilenie* ma swoje dwie matki chrzestne: Agnieszkę Trzeszkowską oraz Małgorzatę Danowską. Agnieszko, dziękuję Ci za wsparcie psychiczne, długie rozmowy, zrozumienie, nieustanne podnoszenie mnie na duchu. Dziękuję, że byłaś, że pomogłaś mi stworzyć cały cykl i trzymałaś rękę na pulsie, gdy traciłam wiarę, czy zdołam skończyć tę historię. Małgosiu – jestem przekonana, że bez Ciebie *Przesilenie* w ogóle by nie zaistniało w świadomości Czytelników. Miałaś genialne pomysły na promocję. Wspaniale się z Tobą pracuje.

Drodzy Fani, dziękuję Wam za te dwa lata. Tak naprawdę ogromna część tej historii powstała dzięki Wam. Gdy zabierałam się do pisania przygód Gosi, zamierałam stworzyć maksymalnie dwutomową powieść. Jednak Wasz ciepły odzew na *Szeptuchę* sprawił, że moja historia dosłownie dostała skrzydeł. Bogowie nagle wpadli na nowe pomysły, Jaga zaczęła wspominać swoją młodość, a Gosia postanowiła... dojrzeć emocjonalnie i złapać życie za rogi. Bardzo się cieszę, że jesteście ze mną w stałym kontakcie za pomocą mediów społecznościowych. Dzięki temu mogę dowiedzieć się, których z moich bohaterów pokochaliście najbardziej, który wątek chcieliście rozwinąć, czego według Was zabrakło bądź co opisałam w nadmiarze. Bardzo mnie cieszy, kiedy mogę reagować na Wasze uwagi. Podać Wam jakiś przykład? Proszę bardzo! Julię Maciejewską-Prończuk zafrapował fakt zjedzenia przez Gosławę ciasteczek ukrytych w kredensie Baby Jagi w tomie 3. Specjalnie dla niej w *Przesileniu* poznajemy reakcję szeptuchy na znikające ciastka.

Jeszcze raz bardzo Wam wszystkim dziękuję. Mam nadzieję, że cykl *Kwiat paproci* na długo zostanie w Waszej pamięci. Ja na pewno nigdy go nie zapomnę.

Moi Drodzy, do zobaczenia!

Katarzyna Berenika Miszczuk

Redakcja: Magdalena Adamska
Korekta: Urszula Niewirowicz, Anna Jagiełło
Fotografia wykorzystane na I stronie okładki: © pixabay
Projekt okładki: Izabella Marcinowska

Skład i łamanie: Dariusz Ziach

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 48
tel./faks 22 395 75 78, 22 828 98 08

biuro@gwfoksal.pl

www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-5581-0

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](#)
i Marcin Kapusta / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

virtualo